



STEPHEN
KING

PRZEBUDZENIE

Prószyński i S-ka

STEPHEN
KING

PRZEBUDZENIE

Przełożył
Tomasz Włusz

Prószyński i S-ka

*Tę książkę dedykuję ludziom,
którzy w dużej części zbudowali mój dom:*

Mary Shelley

Bramowi Stokerowi

H.P. Lovecraftowi

Clarkowi Ashtonowi Smithowi

Donaldowi Wandrei

Fritzowi Leiberowi

Augustowi Derlethowi

Shirley Jackson

Robertowi Blochowi

*Peterowi Straubowi
oraz ARTHUROWI MACHENOWI,*

którego opowiadanie Wielki Bóg Pan

zapadło mi w pamięć na całe życie.

*Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami
Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami.*

H.P. Lovecraft (przełożyła Ryszarda Grzybowska)

I

Piąta osoba dramatu – Góra Czaszki – Jezioro Spokoju

Pod co najmniej jednym względem nasze życie naprawdę jest jak film. Główną obsadę tworzą rodzina i przyjaciele. Role drugoplanowe grają sąsiedzi, współpracownicy, nauczyciele i znajomi, których widzisz na co dzień. Są też aktorzy epizodyczni: ślicznie uśmiechnięta kasjerka z supermarketu, przyjazny barman w pobliskiej knajpie, kumple, z którymi trzy razy w tygodniu ćwiczysz na siłowni. Do tego dochodzą tysiące statystów – ludzie, którzy przemykają przez świat każdego z nas jak woda przez sito, raz zobaczeni i zapomniani. Nastolatek przeglądający powieści graficzne w Barnes & Noble, ten, obok którego musiałeś się precyzyjnie (mamrocząc „przepraszam”), żeby dostać się do regałów z czasopismami. Kobieta z sąsiedniego samochodu, która stojąc na czerwonym świetle, poprawia szminkę. Matka wycierająca umazaną lodami twarz dziecka w przydrożnej restauracji, do której wpadłeś coś przekąsić. Handlarz, który sprzedał ci torebkę orzeszków ziemnych na meczu baseballowym.

Czasem jednak w twoje życie wkracza osoba niemieszcząca się w żadnej z tych kategorii. To joker, który przez długie lata wyskakuje z talii wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewasz, często w sytuacjach kryzysowych. W branży filmowej taką postacią zwie się piątą osobą dramatu albo agentem zmiany. Kiedy widzisz kogoś takiego na ekranie, wiesz, że jest tam, bo tak chciał scenarzysta. A kto pisze scenariusz naszego życia? Przeznaczenie czy przypadek? Chcę wierzyć, że to drugie. Pragnę tego całym sercem i duszą. Gdy myślę o Charlesie Jacobsie – piątej osobie mojego dramatu, moim agencie zmiany, moim zaprzysięgłym wrogu – nie mogę się zdobyć na to, by uwierzyć, że jego obecność w moim życiu miała cokolwiek wspólnego z przeznaczeniem. To by oznaczało, że wszystkie te koszmary stały się, bo miały się stać. Jeśli tak jest istotnie, światło nie istnieje i nasza wiara w nie jest naiwną ułudą. Jeśli tak jest, żyjemy w mroku jak zwierzęta w norze albo mrówki w głębi mrowiska.

I nie jesteśmy sami.

Na szóste urodziny dostałem od Claire armię i pewnej soboty w październiku 1962 roku szykowałem się do wielkiej bitwy.

Było nas pięcioro rodzeństwa – czterech chłopaków, jedna dziewczyna – i jako najmłodszy przy każdej okazji dostawałem masę prezentów, ale te od Claire zawsze były najlepsze. Nie wiem, czy dlatego, że była najstarsza, czy przez to, że była jedyną dziewczyną. Może z obu tych powodów. Ale ze wszystkich fajowych prezentów, które mi dała przez lata, ta armia była zdecydowanie najlepsza. Składała się na nią dwieście zielonych plastikowych żołnierzyków, część z karabinami samopowtarzalnymi, część z maszynowymi, tuzin stopionych w jedno z takimi sterczącymi w górę rurami, które nazywały się moździerz (tak powiedziała mi Claire). Kompletu dopełniało osiem ciężarówek i dwanaście jeepów. Może najfajniejsze w tej armii było jej opakowanie, tekturowa wojskowa szafka na rzeczy osobiste pomalowana na maskujące zielenie i brązy, z wykonanym od szablonu napisem WŁASNOŚĆ ARMII USA na wieku. Pod spodem Claire dopisała, też od szablonu: JAMIE MORTON, DOWÓDCA.

To byłem ja.

– Ich reklama była w jednym z komiksów Terry’ego – powiedziała, kiedy przestałem krzyczeć z radości. – Nie pozwolił mi jej wyciąć, bo jest zasmarkanym...

– Zgadza się – powiedział Terry. Miał osiem lat. – Jestem zasmarkanym starszym bratem.
– Ułożył dwa palce w widelki i zatkał nimi nos.

– Wystarczy – ucięła nasza mama. – Żadnych kłótni między rodzeństwem w urodziny, proszę i dziękuję. Terry, wyjmij palce z nosa.

– W każdym razie – ciągnęła Claire – zrobiłam kopię kuponu i wysłałam na podany adres. Bałam się, że to nie przyjdzie na czas, ale przyszło. Cieszę się, że ci się podoba. – I pocałowała mnie w skroń. Zawsze mnie tam całowała. Dziś, po tylu latach, wciąż czuję te delikatne pocałunki.

– I to bardzo! – powiedziałem, przyciskając tekturową szafkę do piersi. – Zawsze mi się będzie podobać!

To było po śniadaniu. Tego dnia były naleśniki z jagodami i bekon, mój ulubiony zestaw. W urodziny dostawaliśmy do jedzenia to, co lubiliśmy najbardziej, a po śniadaniu przychodził czas na prezenty, tam, w kuchni z opalaną drewnem kuchenką, długim stołem i potężną pralką, która ciągle się psuła.

– „Zawsze” to dla Jamiego jakieś pięć dni – stwierdził Con. Miał dziesięć lat, był szczupły (choć potem nabrał masy) i już wtedy interesował się nauką.

– To dobre, Conrad – powiedział nasz tata. Miał na sobie czysty roboczy kombinezon ze swoim imieniem RICHARD wyszytym złotą nicią na lewej kieszeni na piersi. Na kieszeni prawej widniał napis OLEJ OPAŁOWY MORTONA. – Jestem pod wrażeniem.

– Dzięki, papciu.

– W nagrodę za swoją elokwencję możesz pomóc mamie sprzątnąć po śniadaniu.

– Dziś kolej Andy’ego!

– Dziś miała być kolej Andy’ego – uściślił tata, polewając ostatni naleśnik syropem. – Bierz ścierkę, krasomówco. I postaraj się niczego nie zbić.

– Rozpuszczasz go jak dziadowski bicz – burknął Con, ale chwycił ścierkę.

Connie właściwie się nie mylił co do mojego sposobu pojmowania terminu „zawsze”. Po pięciu dniach gra „Operacja”, którą dostałem od Andy’ego, już obrastała kotami z kurzu pod moim łóżkiem (tak czy owak, brakowało w niej kilku części ciała; Andy kupił ją za ćwierć dolara na wyprzedaży). Podobny los spotkał układanki od Terry’ego. Con podarował mi stereoskop View-Master, który przetrwał nieco dłużej, ale ostatecznie wylądował w mojej szafie i tyle go widziano.

Od mamy i taty dostałem ubrania, bo moje urodziny wypadają pod koniec sierpnia, a tego roku miałem iść do pierwszej klasy. Nowe spodnie i koszule sprawiały mi mniej więcej taką radochę jak obraz kontrolny w telewizorze, ale starałem się podziękować z entuzjazmem. Domyślałem się, że bez trudu przejrzeni mnie na wylot; sześciolatkom niełatwo udawać zachwyty... choć, smutno to przyznać, większość z nas względnie szybko nabiera w tym wprawy. W każdym razie ubrania zostały wyprane w potężnej pralce, rozwieszono na sznurze koło domu i ostatecznie złożone w kostkę spoczęły w szufladach mojej komody. Gdzie, czego pewnie nie trzeba dodawać, leżały zapomniane do września, kiedy przyszła pora je włożyć. Pamiętam, że jeden sweter, brązowy w żółte pasy, w gruncie rzeczy był całkiem fajny. Kiedy go nosiłem, udawałem superbohatera. Jestem Człowiek Osa! Złoczyńcy, strzeżcie się mego żądła!

Con jednak mylił się co do tekturowej szafki z armią w środku. Bawiłem się tymi żołnierzkami dzień w dzień, zwykle na skraju podwórka, na pasie ziemi oddzielającym nasz trawnik od Methodist Road, w tamtych czasach nieutwardzonej. Z wyjątkiem drogi numer 9 i jednopasmówki prowadzącej na Kozią Górę, gdzie znajdował się ośrodek wypoczynkowy dla bogaczy, w Harlow nie było wtedy asfaltowych dróg. Pamiętam, jak mama narzekała, że w suche letnie dni do domu dostaje się tyle kurzu.

Billy Paquette i Al Knowles – moi najlepsi koledzy – zwykle bawili się ze mną żołnierzami, ale tego dnia, kiedy Charles Jacobs po raz pierwszy pojawił się w moim życiu, byłem sam. Nie pamiętam, dlaczego nie było Billy’ego i Ala, ale cieszyłem się, że dla odmiany nie mam towarzystwa. Po pierwsze, odpadała konieczność podzielenia armii na trzy dywizje. Po drugie – to było ważniejsze – nie musiałem się z nimi kłócić, czyja dziś kolej zwyciężyć. Prawdę mówiąc, wydawało mi się niesprawiedliwe, że w ogóle muszę przegrywać, bo przecież to były moje żołnierzyki i moja szafka wojskowa.

Pewnego upalnego dnia późnego lata wkrótce po moich urodzinach podzieliłem się tymi przemyśleniami z mamą. Chwyciła mnie za ramiona i spojrzała mi w oczy – to był nieomylny znak, że za chwilę otrzymam kolejną Lekcję Życia.

– Z takiego właśnie podejścia, że coś jest twoje, więc innym od tego wara, bierze się połowa problemów tego świata, Jamie. Kiedy się bawisz z kolegami, żołnierzyki są własnością was wszystkich.

– Nawet jeśli się bawimy, że jesteśmy wrogami?

– Nawet wtedy. Gdy Billy i Al idą do domu na kolację, a ty wkładasz żołnierzyki z powrotem do pudełka...

– To szafka wojskowa!

– Jasne, do szafki wojskowej. Kiedy je chowasz, znów są twoje. Ludzie potrafią być dla siebie podli na wiele sposobów, o czym sam się przekonasz, jak podrośniesz, ale ja uważam, że źródłem wszelkiej nikczemności jest stare dobre samolubstwo. Obiecuj, synku, że nigdy nie będziesz samolubny.

Obiecałem, ale i tak mi się nie podobało, kiedy Billy i Al wygrywali.

Tego październikowego dnia 1962 roku, kiedy losy świata wisiały na włosku z powodu małego tropikalnego skrawka ziemi zwanego Kubą, walczyłem obiema stronami bitwy, co znaczyło, że bez względu na jej przebieg wygram. Niedługo wcześniej po Methodist Road przejechała równiarka („Tylko przerzuca kamienie z miejsca na miejsce”, zawsze utyskiwał tata) i było pod dostatkiem sypkiej ziemi. Zebrałem jej dość, żeby usypać najpierw wzgórze, potem wysokie wzgórze i wreszcie bardzo wysokie wzgórze, sięgające mi prawie do kolan. Początkowo chciałem je nazwać Kozią Górą, ale uznałem, że to mało oryginalne (było nie było, prawdziwa Kozia Góra wznosiła się raptem osiemnaście kilometrów stamtąd) i nudne. Po namyśle nadałem mu nazwę Góra Czaszki. Próbowałem nawet wydrążyć palcami dwie jaskinie jak oczodoły, ale sucha ziemia zasypywała jamy.

– Mówi się trudno – powiedziałem plastikowym żołnierzom porozrzucanym bezładnie w szafce wojskowej. – Życie jest ciężkie i nie można mieć wszystkiego. – Tata często tak mawiał i pewien jestem, że z piątką dzieci na utrzymaniu miał w tym względzie doświadczenie. – Jaskinie będą tylko na niby.

Połowę armii rozlokowałem na szczycie Góry Czaszki. Tworzyli silną załogę. Najbardziej imponująco prezentowali się ci z moździerzami. To były szkopy. Amerykańskie wojsko rozstawiłem na skraju trawnika. Przydzieliłem im wszystkie jeepy i ciężarówki, bo pomyślałem sobie, że fajowo będą wyglądać, gnając po stromym stoku góry. Część się powywraca, to na pewno, ale co najmniej kilka dotrze na szczyt. I rozjadą szkopów z moździerzami, którzy będą wołać o litość. Nie zaznają jej.

– Na śmierć i życie – powiedziałem, stawiając na ziemi ostatnich kilku bohaterskich Amerykanów. – Hicmer, ty będziesz następny!

Właśnie przesuwałem ich do przodu, szereg po szeregu – wydając komiksowe dźwięki

karabinu maszynowego – kiedy na pole bitwy padł cień. Podniosłem głowę i zobaczyłem jakiegoś faceta. Zaslaniał słońce obrysowując jego sylwetkę złocistym światłem – zaćmienie przez człowieka.

Dużo się wtedy działo, jak w każde sobotnie popołudnie w naszym domu. Andy i Con byli w długim ogródku na tyłach i wśród krzyków i śmiechu grali z grupą kolegów w coś przypominającego baseball. Claire siedziała z dwiema koleżankami w swoim pokoju, gdzie puszczały płyty na gramofonie Imperial Party-Time, *Loco-Motion*, *Soldier Boy*, *Palisades Park*. Z garażu dochodził stukot młotka – Terry i tata dłubali w starym fordzie rocznik 1951, który tata nazywał Rakietą Szos. Albo Projektem. Raz słyszałem, jak go nazwał kupą szmelcu, które to wyrażenie bardzo mi wtedy przypadło do gustu i mam je w swoim repertuarze do dziś. Kiedy chcecie sobie poprawić nastrój, nazwijcie coś kupą szmelcu. To zwykle pomaga.

Wiele się działo, ale w tej chwili jakby wszystko umilkło. Wiem, że to tylko złudzenie, wytwór zawodnej pamięci (nie mówiąc o całej walizce mrocznych skojarzeń), ale wspomnienie to jest niezwykle silne. Nagle ucichły krzyki chłopaków za domem, płyta grająca na piętrze, stukot w garażu. Ptaki przestały śpiewać.

Ten człowiek schylił się i wędrujące ku zachodowi słońce wychynęło znad jego ramienia, oślepiając mnie na chwilę. Podniosłem dłoń, żeby osłonić oczy.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział i przesunął się tak, żebym patrząc na niego, nie musiał patrzeć w słońce. Od pasa w górę miał na sobie czarną marynarkę jak do kościoła i czarną koszulę z wycięciem w kołnierzu; od pasa w dół niebieskie dżinsy i pościerane mokasyny. Zupełnie jakby chciał być dwiema różnymi osobami jednocześnie. W wieku sześciu lat dzieliłem dorosłych na trzy kategorie: młodzi dorośli, dorośli i dziadki. Ten człowiek był młodym dorosłym. Oparł dłonie na kolanach, żeby z bliska obejrzeć wojujące armie.

– Kim pan jest? – spytałem.

– Charles Jacobs. – To nazwisko zabrzmiało jakoś znajomo. Wyciągnął rękę. Ucisnąłem ją od razu, bo nawet w wieku sześciu lat byłem dobrze wychowany. Jak my wszyscy. Mama i tata o to zadbali.

– Dlaczego nosi pan za krótki kołnierz?

– Bo jestem pastorem. Od tej pory co niedziela będziemy mogli się spotykać w kościele. I w czwartkowe wieczory, jeśli będziesz chodził na spotkania koła młodych metodystów.

– Naszym pastorem był pan Latoure, ale umarł.

– Wiem. Przykro mi.

– Ale to nic, bo mama mówiła, że nie cierpiał, tylko poszedł prosto do nieba. Tyle że nie nosił takiego kołnierza jak pan.

– Bo Bill Latoure był świeckim pastorem. Kimś w rodzaju ochotnika. Pilnował, żeby kościół był otwarty, kiedy nikt inny nie mógł się tym zająć. I chwala mu za to.

– Mój tata chyba coś mówił o panu – powiedziałem. – Jest diakonem w kościele. To znaczy, że może zbierać na tacę. Chociaż musi się zmieniać z innymi diakonami.

– Jasne. – Jacobs ukląkł obok mnie.

– Będzie się pan modlił? – Ta myśl trochę mnie zaniepokoiła. Modlitwy zmawiało się w kościele i na spotkaniach koła młodych metodystów, które moi bracia i siostra nazywali czwartkową szkółką wieczorową. Po wznowieniu jej działalności przez pana Jacobsa miał to być mój pierwszy rok i w niej, i w normalnej szkole. – Jeśli chce pan rozmawiać z moim tatą, jest w garażu z Terrym. Montują nowe sprzęgło w Rakiecie Szos. To znaczy, tata montuje. Terry właściwie tylko podaje narzędzia i patrzy. Ma osiem lat. Ja sześć. Mama chyba jest na tylnym ganku i patrzy, jak chłopaki grają w baseball... no może nie całkiem w baseball, ale coś podobnego.

– Też tak grałem, kiedy byłem mały. – Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech. Od razu go polubiłem.

– Naprawdę?

– Uhm. Jedna gra polegała na tym, że kto złapał piłkę, musiał trafić nią w kij pałkarza.

Jak się nazywałeś, synu?

– Jamie Morton. Mam sześć lat.

– Już mówiłeś.

– Chyba jeszcze nikt nigdy się nie modlił przed naszym domem.

– Ja też nie zamierzam. Chcę się tylko przyjrzeć z bliska twoim wojskom. Którzy to Rosjanie, a którzy Amerykanie?

– Ci na dole to Amerykanie, ale ci na Górze Czaszki to szkopy. Amerykanie muszą zdobyć górę.

– Bo stoi im na przeszkodzie – rzekł Jacobs. – Za Górą Czaszki leży droga do Niemiec.

– Właśnie! I dowódca szkopów! Hicmer!

– Sprawca tak wielu niegodziwości.

– Hę?

– Nieważne. Nie masz nic przeciwko temu, że bym nazywał nieprzyjaciół po prostu Niemcami? „Szkopy” trochę obraźliwie brzmi.

– Nie, tak też jest dobrze, szkopy i Niemcy to jedno i to samo. Mój tata był na wojnie. Ale tylko w ostatnim roku. Naprawiał ciężarówki w Teksasie. Pan był na wojnie, panie Jacobs?

– Nie, byłem za młody. Na Koreę też. Jak Amerykanie zdobędą ten szczyt, generale Morton?

– Szturmem! – krzyknąłem. – Waląc z karabinów maszynowych! Bach! Trach-trach-trach! – I niskim, gardłowym głosem: – Ratatata!

– Frontalny atak na wzniesienie wydaje się ryzykowny, generale. Na pańskim miejscu podzieliłbym wojsko... o tak... – Połowę Amerykanów przesunął na lewo, połowę na prawo. – Teraz weźmiesz wroga w kleszcze, widzisz? – Zbliżył kciuk do palca wskazującego. – Zaatakujesz cel z dwóch stron.

– Można i tak – powiedziałem. Podobał mi się pomysł frontального ataku, bo byłaby ostra nawalanka, lecz fortel pana Jacobsa miał swoje zalety. Był podstępny. A podstęp też fajna rzecz. – Próbowałem zrobić parę jaskiń, ale ziemia jest za sucha.

– Właśnie widzę. – Nowy pastor wbił palec w Górę Czaszki i patrzył, jak ziemia się kruszy i zasypuje otwór. Wstał, otrząsał kolana dzinsów. – Mam synka, któremu za rok czy dwa twoje żołnierzyki pewnie sprawiłyby dużą frajdę.

– Może pobawić się nimi teraz, jak chce. – Staralem się nie być samolubny. – Gdzie jest?

– Jeszcze w Bostonie, z mamą. Zostało sporo rzeczy do spakowania. Będą tu w środę, zdaje się. Najpóźniej w czwartek. Ale Morrie jest jeszcze trochę za mały na żołnierzyki. Tylko by je rozrzucił.

– Ile ma lat?

– Dopiero dwa.

– Na pewno jeszcze sika w majtki! – krzyknąłem i wybuchnąłem śmiechem. Pewnie tak nie wypadło, ale nie mogłem się powstrzymać. Siusiumajtki były takie zabawne.

– To fakt – powiedział Jacobs z uśmiechem – lecz na pewno z tego wyrośnie. Mówiłeś, że twój tata jest w garażu?

– Uhm. – Teraz sobie przypomniałem, w jakich okolicznościach wcześniej słyszałem nazwisko tego człowieka: kiedy mama i tata rozmawiali przy kolacji o nowym pastorze, który miał przyjechać z Bostonu. „Strasznie jest młody, nie sądzisz?”, spytała mama. „Tak, i dostanie

stosowną do wieku pensję”, odparł tata z szerokim uśmiechem. Zdaje się, że potem jeszcze coś o nim mówili, ale nie słuchałem. Andy dobrał się do tłuczonych ziemniaków i nie chciał ich oddać. Zawsze tak robił.

– Wypróbuj ten manewr oskrzydający – powiedział Jacobs na odchodnym.

– Hej?

– Kleszcze – wyjaśnił, znów zbliżając kciuk do palca wskazującego.

– Aha. Jasne. Dobra.

Wypróbowałem manewr. Sprawdził się nieźle. Wszystkie szkopy zginęły. Bitwa jednak nie wypadła zbyt efektownie, więc przeprowadziłem ją od nowa, tym razem atakując od frontu. Ciężarówka i jeepy staczały się ze stromego zbocza Góry Czaszki, szkopy spadały w przepaść po jej drugiej stronie z przedśmiertnymi okrzykami rozpacz: Aaaaaaa!

Podczas gdy bój wrzał w najlepsze, mama, tata i pan Jacobs siedzieli na ganku przed domem, pili mrożoną herbatę i rozmawiali o sprawach kościelnych – oprócz tego, że tata był diakonem, mama należała do Kobiecej Służby Pomocniczej. Nie była szefową, ale prawą ręką szefowej. Szkoda, że nie widzieliście, jakie eleganckie kapelusze nosiła w tamtych czasach. Miała ich chyba z dziesięć. Wtedy byliśmy szczęśliwi.

Mama zawołała moich braci i siostrę wraz z kolegami i koleżankami, żeby przedstawić im nowego pastora. Ja też ruszyłem w stronę domu, ale pan Jacobs odgonił mnie machnięciem ręki i powiedział mamie, że już się poznaliśmy.

– Wracaj na pole bitwy, generale! – krzyknął.

Wróciłem na pole bitwy. Con, Andy i ich koledzy wrócili na podwórko i grali dalej. Claire wróciła z koleżankami na górę i znowu zaczęły tańczyć (choć mama kazała jej ściszyć muzykę, proszę i dziękuję). Państwo Morton wrócili do rozmowy z wielbnym Jacobsem. Trwała dość długo. Pamiętam, często się dziwiłem, że dorośli potrafią tyle gadać. Przecież to męczące.

Straciłem ich z oczu, bo toczyłem bitwę o Górę Czaszki na kilka różnych sposobów. Najbardziej spodobał mi się wariant – oparty na manewrze oskrzydającym pana Jacobsa – w którym część wojska amerykańskiego przygwoździła Niemców ogniem od frontu, a reszta obeszła ich bokiem i uderzyła z zaskoczenia od tyłu. *Was is das?!* – krzyknął jeden z obrońców, zanim dostał kulkę w łeb.

Zaczynało mi się to nudzić i właśnie myślałem, żeby pójść do domu po kawałek ciasta (jeśli koledzy Cona i Andy’ego choć jeden zostawili), kiedy na mnie i pole bitwy znowu padł znajomy cień. Podniosłem głowę i zobaczyłem pana Jacobsa ze szklanką wody w ręku.

– Pożyczyłem to od twojej mamy. Pokazać ci coś?

– Pewnie.

Znowu ukląkł i wylał wodę na szczyt Góry Czaszki.

– Burza! – krzyknąłem i zacząłem wydawać odgłosy piorunów.

– Uhm, niech ci będzie. Gromy i błyskawice. A teraz zobacz. – Rozstawił dwa palce w diabelskie rogi i wcisnął je w mokrą ziemię. Tym razem dziury zostały. – Proszę bardzo – powiedział. – Jaskinie. – Wziął dwóch żołnierzy niemieckich i wsadził po jednym do każdej. – Trudno ich będzie wykurzyć, generale, ale jestem pewien, że Amerykanie sprostają zadaniu.

– Hej! Dzięki!

– Jak ziemia znów zrobi się krucha, polej ją jeszcze raz.

– Dobrze.

– I pamiętaj, żeby po bitwie odnieść szklankę do kuchni. Nie chcę podpaść twojej mamie mojego pierwszego dnia w Harlow.

Obiecałem, że to zrobię, i wyciągnąłem rękę.

– Grabuła, panie Jacobs.

Uściskał moją dłoń ze śmiechem i poszedł w dół Methodist Road, w stronę plebanii, gdzie miał mieszkać z rodziną przez następne trzy lata, dotąd, aż został zwolniony. Odprowadziłem go wzrokiem, po czym odwróciłem się do Góry Czaszki.

Zanim bój rozgorzał na dobre, na pole bitwy znowu padł cień. Tym razem był to mój tata. Przykląkł na jedno kolano, uważając, żeby nie rozgnieść żadnego amerykańskiego żołnierza.

– I jak, Jamie, co sądzisz o naszym nowym pastarze?

– Lubię go.

– My z mamą też. Jest bardzo młody jak na tę funkcję i jeśli okaże się dobry, szybko przeniosą go do większej parafii, ale sądzę, że sobie poradzi. Zwłaszcza z młodzieżą. Młodość do młodości ciągnie.

– Zobacz, tato, pokazał mi, jak robić jaskinie. Wystarczy zmoczyć ziemię i robi się takie jakby błoto.

– Rozumiem. – Zmierzwił mi włosy. – Pamiętaj, żeby przed kolacją porządnie się umyć.

– Podniósł szklankę. – Odnieść to za ciebie?

– Tak, proszę i dziękuję.

Zabrał szklankę i poszedł z powrotem do domu. Ja wróciłem do Góry Czaszki i zobaczyłem, że ziemia wyschła i jaskinie się zawaliły. Żołnierze w środku zostali pogrzebani żywcem. Nie zmartwiłem się zbyt; w końcu to byli ci źli.

W dzisiejszych czasach staliśmy się koszmarnie wyczuleni na punkcie seksu i żaden rodzic przy zdrowych zmysłach nie puściłby sześciolatka samego z dorosłym mężczyzną, który mieszka samotnie (nawet jeśli tylko przez kilka dni), ale tak właśnie postąpiła moja mama w następnym poniedziałek po południu, i to bez żadnego wahania.

Wielebny Jacobs – mama powiedziała, że tak mam się do niego zwracać, nie per „pan” – mniej więcej za kwadrans trzecia wdrapał się na Methodist Hill i zapukał do drzwi z siatką przeciw owadom. Ja leżałem na podłodze salonu i malowałem kolorowanki, a mama oglądała program *Dialing for Prizes*. Wysłała swoje nazwisko do stacji WCSH i miała nadzieję zdobyć nagrodę miesiąca, odkurzacz marki Electrolux. Wiedziała, że szanse są nikłe, ale, jak mawiała, nadzieja uwiera ostatnia. To był żart.

– Pożyczysz mi swojego najmłodszego na pół godziny? – zagaił wielebny Jacobs. – Mam w garażu coś, co może chciałby zobaczyć.

– Co to takiego? – spytałem, już podnosząc się z podłogi.

– Niespodzianka. Potem opowiesz o niej mamie.

– Mamo?

– Oczywiście – zgodziła się mama – ale nigdzie nie pójdziesz w szkolnym ubraniu, Jamie, najpierw się przebierz. Może wielebny w tym czasie napije się mrożonej herbaty?

– Chętnie – odparł. – A ty może zdobędziesz się na to, żeby mówić mi Charlie.

Przemyślała to.

– Nie, lecz na Charlesa mogłabym się zgodzić – powiedziała.

Przebrałem się w dżinsy i T-shirt. Gdy wróciłem na dół, rozmawiali o dorosłych sprawach, więc wyszedłem przed dom poczekać na autobus szkolny. Con, Terry i ja chodziliśmy do jednoizbowej szkoły przy drodze numer 9 – kilkaset metrów spacerkiem od domu – lecz Andy uczył się w gimnazjum zbiorczym, a Claire w pierwszej klasie liceum w Gates Falls, daleko, za rzeką. („Pamiętaj, żeby nie tylko być uczennicą pierwszej klasy, ale i pierwszej klasy uczennicą”, poinstruowała ją mama). Autobus wysadzał ich na skrzyżowaniu drogi numer 9 z Methodist Road u stóp Methodist Hill.

Zobaczyłem, jak wysiedli, i kiedy ociążale powlekli się pod górę – jak zawsze się o coś sprzeczała, słyszałem ich, stojąc przy skrzynce pocztowej – wielebny Jacobs wyszedł.

– Gotowy? – spytał i wziął mnie za rękę. Wydawało się to całkowicie naturalne.

– Jasne – powiedziałem.

Spotkaliśmy Andy'ego i Claire w połowie stoku. Andy spytał, dokąd idę.

– Do wielebnego Jacobsa – powiedziałem. – Pokaże mi niespodziankę.

– Tylko nie zasiedź się za długo – rzuciła Claire. – Dziś twoja kolej nakryć do stołu. –

Zerknęła na Jacobsa i szybko uciekła z oczami, jakby trudno jej było na niego patrzeć. Moja starsza siostra jeszcze przed końcem roku zadurzyła się w nim na zabój, podobnie jak wszystkie jej koleżanki.

– Raz-dwa odstawię go z powrotem – obiecał Jacobs.

Trzymając się za ręce, zesliśmy do drogi numer 9, która w lewo prowadziła do Portland, a w prawo do Gates Falls, Lewiston i Castle Rock. Staaliśmy i sprawdziliśmy, czy nic nie jedzie, co w sumie było bez sensu, bo samochody pojawiały się na dziewiątce właściwie tylko latem, po czym ruszyliśmy dalej, mijając łąki i pola kukurydzy, z której teraz zostały już tylko suche łodygi klekoczące na łagodnym jesiennym wietrze. Po dziesięciu minutach dotarliśmy do budynku plebanii, schludnego białego domu o czarnych okiennicach. Za nim stał Pierwszy Kościół Metodystyczny w Harlow, nazwa też w sumie bez sensu, bo innych kościołów metodystycznych w Harlow nie było.

W Harlow był tylko jeden inny dom modlitwy: kościół sziloicki. Sziloitów uważaliśmy za mniej lub bardziej umiarkowanych dziwaków. Nie jeździli bryczkami ani nic takiego, ale wszyscy mężczyźni i chłopcy od nich poza domem nosili czarne kapelusze, a kobiety i dziewczęta sukienki po kostki i białe czepki. Mój tata mówił, że sziloici twierdzą, że znają datę końca świata; była zapisana w jakiejś specjalnej księdze. Mama przekonywała, że w Ameryce każdy ma prawo wierzyć w to, co chce, jeśli nikogo nie krzywdzi... lecz i nie powiedziała, że tata się myli. Nasz kościół był większy od świątyni sziloitów, ale bardzo prosty. Poza tym nie miał wieży. Obalił ją huragan, który przeszedł nad Harlow dawno temu, w latach dwudziestych czy kiedyś.

Weszliśmy z wielebny Jacobsem na nieutwardzony podjazd prowadzący na plebanię. Stał na nim niebieski plymouth belvedere, superfajowy wóz.

– Biegi zmienia się ręcznie czy guzikami? – spytałem.

Wielebny Jacobs zrobił zaskoczona minę, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Guzikami – rzekł. – To prezent ślubny od teściów.

– Też chcę mieć teściów, skoro dają takie prezenty.

– Trochę musisz poczekać – powiedział ze śmiechem. – Lubisz samochody?

– Wszyscy je lubimy – odparłem, mając na myśli wszystkich w mojej rodzinie... choć, zdaje się, mama i Claire niekoniecznie by się ze mną zgodziły. Kobiety nie potrafiły zrozumieć, jakie samochody są fajne. – Jak Rakieta Szos będzie nareperowana, tata zgłosi ją do wyścigu na torze w Castle Rock.

– Naprawdę?

– To znaczy, właściwie nie on, mama mu zabroniła, bo to zbyt niebezpieczne, tylko ktoś inny. Może Duane Robichaud. Prowadzi ze swoimi rodzicami sklep Brownie's. W zeszłym roku startował w wyścigu, ale silnik mu się zapalił. Tata mówił, że teraz szuka nowego wozu.

– Czy rodzina Robichaud chodzi do kościoła?

– Eee...

– Rozumiem, że nie. Chodź do garażu, Jamie.

Garaż był mroczny i śmierdział stęchlizną. Trochę się bałem tej ciemności i smrodu, ale

Jacobsowi jedno ani drugie wyraźnie nie przeszkadzało. Wprowadził mnie głębiej w mrok, po czym zatrzymał się i wskazał coś palcem. Kiedy dojrzałem, co to jest, dech mi zaparło.

Jacobs zachichotał cicho, jak człowiek z czegoś dumny.

– Witaj nad Jeziorem Pokoju, Jamie.

– O rany!

– Zmontowałem to, żeby zabić czas do przyjazdu Patsy i Morriego. Powinienem zająć się domem i nawet co nieco zrobiłem... choćby naprawiłem pompę studzienną... ale niewiele ponadto mogę zdziałać, dopóki Pats nie przyjedzie z meblami. Twoja mama i reszta pań ze Służby Pomocniczej pięknie wszystko wysprzątały. Pan Latoure dojeżdżał z Wyspy Orra, więc dom stał pusty od przed wojny. Już twojej mamie podziękowałem, ale nie zaszkodzi, żebyś jeszcze raz jej ode mnie podziękował.

– Jasne – powiedziałem, lecz tych drugich podziękowań nigdy nie przekazałem, bo ledwo słyszałem, co mówił. Całą uwagę skupiłem na stole, który zajmował prawie połowę garażu. Rozciągał się na nim pagórkowaty zielony pejzaż, przy którym Góra Czaszki mogła się schować. Od tego czasu widziałem wiele podobnych krajobrazów – przeważnie w witrynach sklepów z zabawkami – ale przez wszystkie kursowały wymyślne kolejki elektryczne. Tam, na stole rozstawionym przez wielebnego Jacobsa – tak naprawdę nie był to stół, tylko arkusze sklejk ułożone na szeregu koźłów do piłowania drewna – kolejki nie było. Była tylko miniaturowa wiejska okolica, o rozmiarach mniej więcej trzy i pół na półtora metra. Po przekątnej stały półmetrowe słupy wysokiego napięcia. Najwięcej miejsca zajmowało jezioro z prawdziwą wodą, która nawet w półmroku skrzyła się jaskrawym błękitem.

– Niebawem będę to musiał zwinąć – rzekł wielebny Jacobs – inaczej samochód się nie zmieści w garażu. Patsy nie byłaby zadowolona.

Zgiął się wpół, oparł dłonie nad kolanami i wbił wzrok w falujące wzgórza, nici przewodów wysokiego napięcia, duże jezioro. Nad wodą pasły się plastikowe owce i krowy (nieproporcjonalnej wielkości, ale nie zwróciłem na to uwagi, a nawet gdybym zwrócił, byłoby mi to obojętne). Było też dużo latarni ulicznych, w sumie nie wiadomo po co, skoro nie było miasta ani dróg, które mogłyby oświetlać.

– Mógłbyś urządzić tu swoim żołnierzom niezłą bitwę, co?

– Uhm. – Pomyślałem, że mógłbym tam stoczyć całą wojnę.

Skinął głową.

– Ale nic z tego, bo nad Jeziorem Pokoju wszyscy żyją w zgodzie i wojny są zakazane. Pod tym względem jest tu jak w niebie. Zamierzam przenieść to do piwnicy kościoła, jak tylko ruszy koło młodych metodystów. Może ty i twoi bracia byście mi pomogli? Myślę, że dzieciom to się spodoba.

– Na pewno! – powiedziałem, po czym dodałem coś, co mawiał mój tata: – Jak amen w pacierzu!

Zaśmiał się i klepnął mnie w ramię.

– A teraz chcesz zobaczyć cud?

– Chyba tak – powiedziałem. Właściwie nie byłem pewien, czy tego chcę. Bałem się, że to będzie coś strasznego. Nagle uświadomiłem sobie, że jesteśmy sami w starym garażu, w którym nie ma samochodu, w zatęchłej norze. Drzwi na świat zewnętrzny wciąż były otwarte, lecz wydawało się, że są o kilometr ode mnie. Jasne, lubiłem wielebnego Jacobsa, ale w tej chwili zacząłem żałować, że nie zostałem w domu, gdzie mógłbym sobie spokojnie malować kredkami i czekać, czy mama wygra elektroluks i wreszcie przechyli na swoją stronę szalę nieustającego boju z letnim kurzem.

Wtedy wielebny Jacobs powoli przesunął dłonią nad Jeziorem Pokoju i zapomniałem

o swoich obawach. Spod prowizorycznego stołu dobiegło ciche buczenie podobne do dźwięku, jaki wydawał nasz telewizor Philco, kiedy się nagrzewał, i wszystkie małe latarnie się zapaliły. Świecąc jasnym białym światłem, prawie zbyt jasnym, żeby na nie patrzeć, rozsnuły magiczną księżycową poświatę po zielonych wzgórzach i błękitnej wodzie. Nawet plastikowe krowy i owce nabrały bardziej realistycznego wyglądu, może dlatego, że teraz rzucały cienie.

– O rety, jak wielebny to zrobił?

Uśmiechnął się szeroko.

– Sprytna sztuczka, co? „Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!«. I stała się światłość. Bóg, widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności”. Tylko że ja nie jestem Bogiem, więc muszę polegać na elektryczności. Elektryczność jest wspaniała, Jamie. To dar od Boga, coś, dzięki czemu sami czujemy się jak bogowie, ilekroć pstrykamy włącznikiem, nie sądzisz?

– Może i tak – powiedziałem. – Mój dziadek Amos pamięta czasy, kiedy w ogóle nie było prądu.

– On i wielu innych, lecz wkrótce to pokolenie odejdzie... a potem już nikt nie będzie sobie zaprzętał głowy tym, jak wielkim cudem jest elektryczność. I jak wielką tajemnicą. Mamy jakie takie pojęcie o tym, jak działa, ale wiedzieć, jak coś działa, a wiedzieć, co to jest, to dwie zupełnie różne sprawy.

– Jak wielebny zapalił te latarnie? – spytałem.

Wskazał półkę za stołem.

– Widzisz to małe czerwone światełko?

– Uhm.

– To ogniwo fotoelektryczne. Można takie kupić, ale akurat to zrobiłem sam. Wysła niewidzialny promień. Kiedy go przerywam, światła wokół Jeziora Pokoju się zapalają. Jak zrobię to znowu... o tak... – Przesunął dłonią nad pejzażem. Latarnie przygasły, zapełgały słabo i nad Jeziorem Pokoju zapadła ciemność. – Widzisz?

– Fajowo – szepnąłem.

– Sam spróbuj.

Podniosłem rękę. Początkowo nic się nie działo, ale kiedy stanąłem na palcach, moja dłoń przerwała promień. Pod stołem znów zabuczało i latarnie się zapaliły.

– Udało się!

– Jak amen w pacierzu – powiedział wielebny Jacobs i zwichrzył mi włosy.

– Co tak buczy? Zupełnie jak nasz telewizor.

– Zajrzyj pod stół. Czekaaj, zapalę światła, żebyś lepiej widział. – Pstryknął włącznikiem na ścianie i rozbłysły dwie zakurzone żarówki pod sufitem. Nie przegnały zatęchłego smrodu (w tej chwili poczułem jeszcze inny zapach – czegoś gorącego i oleistego), ale trochę rozproszyły mrok.

Schyliłem się – w tym wieku nie musiałem się bardzo schylać – i zajrzałem pod stół. Zobaczyłem przychepione od spodu dwie, może trzy skrzynki. To one buczały. I wydzielały oleisty zapach.

– Baterie – powiedział wielebny Jacobs. – Też mojej roboty. Elektryczność to moje hobby. I urządzenia elektryczne. – Wyszczrzył się radośnie jak dziecko. – Uwielbiam je. Żonę to do szalu doprowadza.

– Moje hobby to walka ze szkopami – stwierdziłem. Po czym, przypominając sobie, że uznał to określenie za trochę obraźliwe, dodałem: – To znaczy z Niemcami.

– Każdy musi mieć jakieś hobby – rzekł wielebny Jacobs. – I każdy musi doświadczyć jednego czy dwóch cudów, choćby po to, by uzyskać dowód, że życie to coś więcej niż tylko długa, mozolna wędrówka od kołyski po grób. Chciałbyś zobaczyć jeszcze jeden, Jamie?

– Pewnie!

W kącie stał drugi stół, zavalony narzędziami, kawałkami drutu, trzema–czterema rozbebeszonymi radiami tranzystorowymi jak te, które mieli Claire i Andy, i normalnymi, kupionymi w sklepie bateriami typu C i D. Była tam też mała drewniana skrzynka. Jacobs wziął ją, przyklął na jedno kolano, żeby móc spojrzeć mi prosto w oczy, po czym otworzył wieko i wyjął figurkę w białej szacie.

– Wiesz, kto to jest?

Wiedziałem, bo figurka wyglądała prawie tak samo jak moja fluorescencyjna lampka nocna.

– Jezus. Jezus z plecakiem na plecach.

– To nie plecak; to komora na baterie. Zobacz. – Podniósł klapkę komory na zawiasie nie większym od igły. Wewnątrz zobaczyłem coś, co wyglądało jak dwie lśniące dziesięciocentówki pokryte kropelkami lutowia. – Te też sam zrobiłem, bo czegoś tak małego i mocnego nie dostanie się w sklepie. Pewnie mógłbym je opatentować i może kiedyś to zrobię, ale... – Pokręcił głową.

– Nieważne.

Zamknął komorę na baterie i podszedł z Jezusem do Jeziora Pokoju.

– Mam nadzieję, że zauważyłeś, jak błękitna jest woda – powiedział.

– Tak! Nie widziałem bardziej błękitnego jeziora!

Skinął głową.

– To cud sam w sobie, można rzec... przynajmniej dopóki nie przyjrzeć się z bliska.

– Hę?

– Tak naprawdę to tylko farba. Czasem skłania mnie to do zadumy, Jamie. Kiedy nie mogę zasnąć. Że wystarczy odrobina farby, by nadać płyciźnie pozory głębi.

Wydawało mi się, że głupio jest myśleć o takich sprawach, ale nic nie powiedziałem. Po chwili jakby oprzytomniał i postawił Jezusa na brzegu jeziora.

– Zamierzam korzystać z tego na spotkaniach młodych metodystów... to taka, jak to nazywamy, pomoc naukowa... ale dam ci mały pokaz przedpremierowy, dobrze?

– Dobrze.

– Oto co czytamy w czternastym rozdziale Ewangelii według świętego Mateusza. Gotów jesteś przyjąć do serca naukę płynącą ze świętego Słowa Bożego, Jamie?

– No... chyba tak – powiedziałem, znowu lekko zaniepokojony.

– Wiem, że tak – stwierdził – bo to, czego się nauczymy w dzieciństwie, zostaje z nami najdłużej. No dobra, zaczynamy, więc słuchaj uważnie. „Zaraz też przynaglił uczniów”... to znaczy, Jezus kazał swoim uczniom... „żeby wsiedli do łodzi i wyprzedzili Go na drugi brzeg, zanim odprawi tłumy. Gdy to uczynił, wyszedł sam jeden na górę, aby się modlić”... A ty się modlisz, Jamie?

– Tak, co wieczór.

– Grzeczny chłopiec. No dobrze, wracajmy do naszej historii. „Wieczór zapadł, a On sam tam przebywał. Łódź zaś była już sporo stadiów”... to taka miara długości... „sporo stadiów oddalona od brzegu, miotana falami, bo wiatr był przeciwny. Lecz o czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze. Uczniowie, zobaczywszy Go krocącego po jeziorze, zlekli się, myśląc, że to zjawą, i ze strachu krzyknęli. Jezus zaraz przemówił do nich: »Odwagi! Ja jestem, nie bójcie się!«”. To cała opowieść, niech Słowo Boże będzie błogosławione. Dobre, co?

– Chyba tak. A sporo stadiów to jak daleko?

– Jakieś parę kilometrów. Chciałbyś zobaczyć Jezusa krocącego po Jeziorze Pokoju?

– No jasne!

Włożył rękę pod białą szatę Jezusa i figurka ruszyła. Kiedy weszła na Jezioro Pokoju, nie utonąła, tylko spokojnie sunęła dalej po tafli wody. Po jakichś dwudziestu sekundach dotarła na drugi brzeg. Było tam wzgórze, na które próbowała się wspiąć, ale widziałem, że nic z tego, zaraz fiknie. Wielebny Jacobs złapał ją, zanim się przewróciła. Znow włożył rękę pod szatę Jezusa i go wyłączył.

– Udało się! – powiedziałem. – Kroczył po wodzie!

– Cóż... – Pastor uśmiechał się, ale jego uśmiech nie był wesoły. Usta opadały mu w jednym kąciku. – Tak i nie.

– To znaczy?

– Widzisz miejsce, w którym wszedł do wody?

– Uhm...

– Włóż tam rękę. Sam zobaczysz. Tylko uważaj, żeby nie dotknąć linii wysokiego napięcia, bo płynie nią prawdziwy prąd. Słaby, ale kopnąć kopnie. Zwłaszcza gdybyś miał mokrą rękę.

Ostrożnie zanurzyłem dłoń w miniaturowym jeziorze. Nie sądziłem, by pastor miał mi spletać psikus, jak to czasem robili Terry i Con, byłem jednak w obcym miejscu z obcym człowiekiem i całkowitej pewności nie miałem. Woda wydawała się głęboka, ale to było złudzenie wywołane niebieską farbą w zbiorniku i odbiciem światła w jego powierzchni. Mój palec wszedł tylko do pierwszego stawu.

– Nie, nie tam – powiedział wielebny Jacobs. – Trochę bardziej w prawo. Odróżniasz prawą stronę od lewej?

Odróżniałem. Mama mnie nauczyła: „Prawa ręka to ta, którą piszesz”. Oczywiście Claire i Conowi ta wskazówka by nie pomogła, bo oboje byli, jak mówił mój tata, szmajami.

Poruszyłem ręką i wymacałem coś w wodzie. Coś metalowego, z rowkiem pośrodku.

– Chyba znalazłem – powiedziałem.

– Też mi się tak wydaje. Dotykasz szyny, po której chodzi Jezus.

– To magiczna sztuczka! – powiedziałem. Widziałem iluzjonistów w *Ed Sullivan Show*, a Con miał zestaw małego magika, który kiedyś dostał na urodziny, chociaż do tej pory zachowały się z niego tylko Fruwające Kule i Znikające Jajo.

– Otóż to.

– Tak samo Jezus poszedł po wodzie do tej łodzi!

– Czasem tego właśnie się obawiam – powiedział wielebny Jacobs.

Wydawał się taki smutny i nieobecny duchem, że znow trochę się wystraszyłem, ale jednocześnie było mi go żal. Nie żebym rozumiał, jak w ogóle można się czymkolwiek smucić, kiedy człowiek ma w garażu taki fajowy sztuczny świat z jeziorem.

– To naprawdę dobra sztuczka – powiedziałem i poklepałem go po dłoni.

Wrócił do rzeczywistości i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Masz rację. Chyba po prostu tęsknię za żoną i synkiem. Pewnie dlatego pożyczyłem cię od twojej mamy, Jamie. Ale pora, żeby cię jej oddać.

Na skraju drogi numer 9 znowu wziął mnie za rękę, mimo że nic nie jechało, i nie puścił, dopóki nie weszliśmy na Methodist Hill. Nie miałem nic przeciw temu. Miło było trzymać jego dłoń. Wiedziałem, że pastor się o mnie troszczy.

Pani Jacobs i Morris przyjechali kilka dni później. On był tylko małym szkrabem z pieluchą w majtkach, za to ona była ładna. W sobotę, dzień przed tym, jak wielebny Jacobs po raz pierwszy wszedł na ambonę naszego kościoła, Terry, Con i ja pomogliśmy mu przenieść

Jezioro Pokoju do kościelnej piwnicy, w której koło młodych metodystów miało się spotykać w czwartkowe wieczory. Po spuszczeniu wody wyraźnie widać było płytką nieckę jeziora i przecinającą dno szynę z rowkiem.

Wielebny Jacobs kazał Terry'emu i Conowi przysiąc, że nikomu nic nie powiedzą – bo, jak wyjaśnił, nie chciał psuć maluchom wrażeń (wtedy poczułem się duży, co było bardzo przyjemne). Zgodzili się i o ile wiem, żaden się nigdy nie wygadał. Tyle że lampy w piwnicy kościoła świeciły dużo jaśniej od żarówek w garażu plebanii i z bliska każdy mógł zobaczyć, że Jezioro Pokoju to tak naprawdę tylko szeroka kałuża. Szynę też było widać. W Boże Narodzenie wiedzieli już wszyscy.

– Jeden wielki pic – powiedział do mnie Billy Paquette pewnego czwartkowego popołudnia. On i jego brat Ronnie nie znosili czwartkowej szkółki wieczorowej, ale przychodzili, bo matka im kazała. – Jak jeszcze raz to pokaże i opowie tę bajkę o chodzeniu po wodzie, porzygam się.

Chciałem dać mu za to w zęby, ale był ode mnie większy. No i się kumplowaliśmy. Poza tym miał rację.

II

Trzy lata – Głos Conrada – Cud

Wielebny Jacobs został zwolniony z powodu kazania, które wygłosił z ambony dwudziestego pierwszego listopada 1965 roku. Łatwo znalazłem dokładną datę w internecie, bo miałem dobry punkt orientacyjny: pamiętałem, że to była ostatnia niedziela przed Świętem Dziękczynienia. Tydzień później Jacobs zniknął z naszego życia. Wyjechał sam. Patsy i Morrisa – zwanego Morriem Przylepą przez dzieciaki z koła młodych metodystów – już wtedy nie było. Ani plymoutha belvedere, w którym biegi zmieniało się guzikami.

Moje wspomnienia z trzech lat między dniem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Jezioro Pokoju, a niedzielą Straszego Kazania są zaskakująco wyraziste, choć zanim zasiadłem do spisywania tej opowieści, powiedziałbym wam, że z tamtych czasów pamiętam niewiele. Kto szczególnie pamięta, co robił między szóstym a dziewiątym rokiem życia? Pisanie jednak to czynność wspiania i straszliwa zarazem. Otwiera dostęp do pokładów pamięci, które dotąd pozostawały głęboko ukryte.

Czuje, że mógłbym odłożyć na bok historię, którą postanowiłem opowiedzieć, a zamiast tego zapełnić karty książki – i to niemałej – opisem tamtych lat i tamtego świata, tak różnego od tego, w którym żyję dziś. Pamiętam matkę stojącą w halce przy desce do prasowania, niewiarygodnie piękną w promieniach porannego słońca. Pamiętam mój obwisły na tyłku kostium kąpielowy w brzydkim burozielonym odcieniu i pływanie z braćmi w Stawie Harry’ego. Mówiliśmy sobie nawzajem, że muł na dnie to krowie placki, ale to było tylko błoto (chyba). Pamiętam senne popołudnia w jednoizbowej szkole w West Harlow, to, jak siedzieliśmy na zimowych kurtkach w Kąciku Ortograficznym i tłumaczyliśmy biednemu, głupkowatemu Dicky’emu Osgoodowi, jak się pisze „żyrafa”. Pamiętam nawet, że powiedział: „P-po co mi wiedzieć, j-j-jak to się pi-pisze, skoro nigdy ży-żyrafy nie zo-zo-zobaczę?”.

Pamiętam pajęczynę dróg gruntowych, które przecinały okolicę, pamiętam, jak w przenikliwe kwietniowe chłody na przerwach graliśmy w kulki na szkolnym podwórku, pamiętam szum wiatru w sosnach, kiedy po zmówieniu paciorka leżałem w łóżku i czekałem, aż przyjdzie sen. Pamiętam, jak mój ojciec, w opuszczonej nisko na czoło czapce z napisem OLEJ OPAŁOWY MORTONA nad daszkiem, wychodził z garażu z kluczem francuskim w rękę i krwią ściekającą po umorusanych smarem knykciach. Pamiętam Kena Mackenziego zapowiadającego kreskówki z Popeye’em w programie *The Mighty 90* i to, że miałem szlaban na telewizję w popołudnia, kiedy Claire przyprowadzała koleżanki, bo chciały oglądać *American Bandstand*, żeby zobaczyć, co noszą dziewczyny. Pamiętam zachody słońca czerwone jak krew na knykciach taty, do dziś na ich wspomnienie dostaję dreszczy.

Mam tysiące innych wspomnień, w większości dobrych, ale nie po to usiadłem przy komputerze, żeby założyć różowe okulary i popaść w nostalgię. Wybiórcza pamięć to jeden z głównych grzechów starości i nie mam na nią czasu. Są i złe wspomnienia. Mieszkaliśmy na wsi, a w tamtych czasach życie na wsi było trudne. Pewnie dziś też nie jest łatwe.

Sortownik do ziemniaków wciągnął lewą rękę mojego kolegi Ala Knowlesa i urwał mu trzy palce, zanim pan Knowles zdołał wyłączyć tę oporną, niebezpieczną maszynę. Byłem przy tym i pamiętam, jak pasy nagle załały się czerwienią. Pamiętam krzyk Ala.

Mój tata (wraz z Terrym, jego wiernym, choć mało rozgarniętym akolitą) doprowadził Rakietę Szos do stanu używalności – Boże, jak pięknie, donośnie terkotała, kiedy dodawał gazu!

– i świeżo pomalowaną, ozdobioną numerem 19 na bocznych drzwiach, oddał w ręce Duane’a Robichauda, który miał się nią ścigać na torze w Castle Rock. Na pierwszym okrążeniu pierwszego wyścigu bałwan dachował. Samochód był do kasacji. Duane wyszedł z kraksy bez szwanku.

– Pedał gazu musiał się zaciąć – powiedział z tym swoim durnym, szerokim uśmiechem, na co tata stwierdził, że zawinił nie pedał gazu, tylko osioł, który go wciskał.

– Masz nauczkę, żeby nie powierzać Robichaudom niczego cennego – skwitowała mama, a tata schował dłonie tak głęboko do kieszeni, że góra majtek wyszła na wierzch. Może chciał mieć pewność, że ręce nie wymkną mu się spod kontroli i nie powędrują gdzieś, gdzie nie powinny.

Lenny Macintosh, syn listonosza, stracił oko, kiedy schylił się, żeby sprawdzić, dlaczego nie wybuchła petarda, którą wsadził do puszek po ananasach.

Mój brat Conrad stracił głos.

Dlatego owszem – mam też i złe wspomnienia.

W pierwszą niedzielę, kiedy wielebny Jacobs wszedł na ambonę, kościół zapełnił się jak nigdy przez wszystkie lata posługi grubego, siwowłosego, dobrodusznego pana Latoure’a, wygłaszającego z głębi serca płynące, ale mętne kazania i wzruszającego się do łez w każdy Dzień Matki, zwany przez niego Niedzielą Matki (te szczegóły lata później przedstawiła mi mama – sam ledwo pamiętałem pana Latoure’a). Zamiast dwudziestu wiernych było co najmniej cztery razy tyle ludzi i pamiętam, jak ich głosy narastały w czasie Doksolologii: „Niech Boga wielbi każdy twór, niech Mu aniołów śpiewa chór”*. Aż dostałem gęziej skórki. Poza tym pani Jacobs nieźle grała na organach, a jej blond włosy związane prostą czarną wstążką mieniły się barwami w świetle wpadającym przez nasz jedyny witraż.

Kiedy wracaliśmy z kościoła *en famille*, wzbijając porządnymi niedzielnymi butami małe kłęby kurzu, trzymałem się tuż za rodzicami, więc usłyszałem, jak mama wyraziła swoją aprobatę. I ulgę.

– Bałam się, że skoro jest taki młody i w ogóle, będzie się mądrzył o prawach obywatelskich albo konieczności wstrzymania poboru czy coś – stwierdziła. – A tu proszę, wygłosił porządną naukę opartą na Biblii. Myślę, że ludzie od tej pory będą przychodzić regularnie, nie sądzisz?

– Przez jakiś czas – odparł tata.

– Powiedział magnat branży opałowej. Wielki cynik. – Żartobliwie trzepnęła go w ramię. Jak się okazało, oboje mieli trochę racji. Frekwencja na nabożeństwach nigdy nie spadła do przeciętnej z czasów pana Latoure’a – co w zimie mogło oznaczać ledwie dwunastu parafian, zbitych w ciasną grupkę, żeby było im ciepłej w przewiewnym, ogrzewanym piecykiem na drewno kościele – ale powoli się zmniejszyła do sześćdziesięciu, potem pięćdziesięciu i wreszcie jakichś czterdziestu ludzi. Od tej pory oscylowała wokół tego poziomu niczym igła barometru w zmienny letni dzień. Nikt nie winił za ten exodus kazań pana Jacobsa, które zawsze były zrozumiałe, miłe dla ucha i oparte na Biblii (żadnych kontrowersyjnych komentarzy o raketach międzykontynentalnych czy Marszach Wolności); wierni się wykruszali i tyle.

– Bóg nie jest tak ważny dla ludzi jak kiedyś – stwierdziła mama któregoś dnia, zawiedziona wyjątkowo niską frekwencją. – Przyjdzie czas, że tego pożałują.

Przez te trzy lata nasze koło młodych metodystów także przeżywało skromny renesans.

W czasach pastora Latoure'a w czwartkowe wieczory rzadko przychodziło nas więcej niż kilkunastu, z czego czwórka nosiła nazwisko Morton: Claire, Andy, Con i Terry. Ja, zdaniem rodziców, byłem wtedy za mały, żeby w tych spotkaniach uczestniczyć; Andy niekiedy czochrał mnie pięścią, mówiąc, jaki to ze mnie szczęściarz. Gdy raz zapytałem Terry'ego, jak koło młodych metodystów wyglądało w tamtych czasach, wzruszył ramionami ze znużeniem.

– Śpiewaliśmy piosenki, robiliśmy różne ćwiczenia zapoznające z Biblią i przysięgaliśmy, że nie tkniemy napojów wysokich ani papierosów. Potem Latoure mówił, że mamy kochać nasze matki, że katolicy pójdą do piekła, bo czczą fałszywych bogów, i że Żydzi kochają pieniądze. Aha, i że jak kolega opowie nam świński dowcip, musimy sobie wyobrazić, że Jezus słucha.

Pod nowym kierownictwem frekwencja wzrosła do trzydziestu kilku dzieciaków w wieku od sześciu do siedemnastu lat, co wymusiło zakup dodatkowych składanych krzeseł do kościelnej piwnicy. Głównym magnesem nie był Elektryczny Jezus przechadzający się po Jeziorze Pokoju; on szybko przestał być atrakcją nawet dla mnie. Zdjęcia Ziemi Świętej, które wielebny Jacobs rozwiesił na ścianach, też raczej nie miały z tym wiele wspólnego.

Dużo ważniejsza była młodość i entuzjazm pastora. Nie tylko przewodził kazania, ale i organizował rozmaite gry i zajęcia, bo, jak regularnie nam przypominał, Jezus najczęściej nauczał pod gołym niebem, co pokazuje, że chrześcijaństwo to więcej niż tylko kościół. Nadal mieliśmy też ćwiczenia zapoznające z Biblią, tyle że połączone z zabawą w gorące krzesła i bardzo często się zdarzało, że ktoś lądował na podłodze, szukając dziewiątego wersetu czternastego rozdziału Księgi Powtórzonego Prawa czy dwunastego wersetu drugiego rozdziału Pierwszego Listu do Tymoteusza. Śmiechu było co niemiara. Dodatkową atrakcją stanowiło boisko do baseballu, które wielebny wytyczył za kościołem z pomocą Cona i Andy'ego. W niektóre czwartki chłopcy grali w baseball, a dziewczyny nas dopingowały; w inne dziewczyny grały w softball, a chłopcy (zawsze z nadzieją, że część dziewczyn zapomni, że tego dnia ich kolej, i przyjdzie w spódniczkach) kibicowali.

Wielebny Jacobs często wykorzystywał swoje zainteresowanie elektrycznością w czwartkowych „rozmowach z młodzieżą”. Pewnego popołudnia zadzwonił do nas i poprosił Andy'ego, żeby w czwartek przyszedł w swetrze. Kiedy grupa zebrała się w komplecie, wywołał mojego brata na środek sali i powiedział, że chce zademonstrować, jakim ciężarem jest grzech.

– Choć jestem pewien, że ty, Andy, dużo nie nagrzeszyłeś – dodał.

Mój brat uśmiechnął się nerwowo i nie odpowiedział.

– Nie chcę was nastraszyć – zastrzegł wielebny. – Niektórzy pastory wierzą w takie metody, ale ja nie. Chodzi tylko o to, żebyście zrozumieli. – Dziś, nauczony doświadczeniem, wiem, że tak zwykle mówi ktoś, kto zaraz wystraszy cię na śmierć.

Nadmuchał kilka baloników i kazał nam sobie wyobrazić, że każdy waży dziesięć kilo. Podniósł pierwszy.

– Ten to kłamstwa – rzekł. Potarł nim energicznie o koszulę i przyłożył go do swetra Andy'ego.

Balonik przylgnął jak przyklejony.

– Ten to kradzież. – Pastor przyczepił drugi balonik do swetra Andy'ego. – Ten to gniew...

Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że ostatecznie przyczepił do ręcznie dzierganego swetra w renifery siedem baloników, po jednym na każdy grzech główny.

– W sumie to ponad pięćdziesiąt kilo grzechów – powiedział. – Nie byle jaki ciężar! Kto jednak zmazuje grzechy tego świata?

– Jezus! – posłusznie odpowiedzieliśmy chórem.

– Właśnie. Kiedy prosicie Go o przebaczenie, oto co się dzieje. – Wyjął szpilkę i przebił baloniki jeden po drugim, w tym także ten, który się oderwał od swetra i trzeba go było ponownie przyczepić. Zdaje się, że morał z przekłuwaniem baloników zaciekał nas wszystkich dużo bardziej od pokazu uświęconej elektryczności statycznej.

Jeśli chodzi o tego rodzaju praktyczne zastosowania elektryczności, największe wrażenie zrobił na nas jeden z własnych wynalazków Jacobsa, nazwany przez niego Drabiną Jakuba. Była to metalowa skrzynka mniej więcej wielkości tekturowej szafki, w której mieszkało moje zabawkowe wojsko. Sterczały z niej dwa druty przypominające antenę pokojową. Kiedy wielebny włożył wtyczkę do gniazdka (ten wynalazek działał na prąd z sieci, nie baterie) i pstryknął przełącznikiem z boku, po drutach popęzły długie iskry, tak jasne, że ledwo dało się na nie patrzeć. U szczytu wypiętrzały się i znikały. Gdy Jacobs rozsypał nad urządzeniem jakiś proszek, wspinające się iskry nabrały różnych kolorów. Dziewczyny piły z zachwytu.

Miało to też jakiś podtekst religijny – przynajmniej w zamyśle Charlesa Jacobsa – ale za cholerę nie pamiętam jaki. Może chodziło o coś w związku ze Świętą Trójcą. Kiedy nie mieliśmy przed oczami kolorowych isker pnących się po Drabinie Jakuba, kiedy nie słyszeliśmy prądu syczącego jak rozeźlony kocur, takie egzotyczne idee przeważnie odchodziły w zapomnienie jak przejściowa gorączka.

A mimo to jeden z miniwykładów pamiętam bardzo wyraźnie. Wielebny Jacobs siedział na odwróconym krześle i patrzył na nas znad oparcia. Jego żona była za nim, na ławce przy pianinie, z rękami skromnie złożonymi na podolku i lekko spuszczoną głową. Może się modliła. Może po prostu była znudzona, podobnie jak duża część jego publiczności; w tym czasie większość młodych metodystów z Harlow zaczynała mieć po uszy elektryczności i wszelkich związanych z nią cudów.

– Dzieci, nauka mówi nam, że elektryczność to ruch naładowanych cząstek zwanych elektronami. Przepływ elektronów powoduje wytwarzanie prądu i im szybszy ich ruch, tym wyższe powstaje napięcie. Tyle nauka. Sęk w tym, że nauka, choć sama w sobie pożyteczna, jest ograniczona. Zawsze dochodzimy do punktu, w którym wiedza się kończy. Czym właściwie są elektrony? Posiadającymi ładunek cząstkami, powiadają naukowcy. No dobrze, niech będzie, ale czym są te cząstki?

Wychylił się do przodu nad oparciem krzesła i utkwiał w nas swoje niebieskie oczy (same w tej chwili wydawały się elektryczne).

– Tak naprawdę nikt nie wie! I tu właśnie otwiera się pole dla religii. Elektryczność to jedne z Bożych wrót do nieskończoności.

– Fajniej by było, jakby przyniósł krzesło elektryczne i usmażył kilka białych myszek – prychnął Billy Paquette pewnego wieczoru po błogosławieństwie. – O, to by było ciekawe.

Pomimo częstych (i coraz nudniejszych) wykładów o świętym napięciu elektrycznym, większość z nas chętnie chodziła na czwartkową szkółkę wieczorową. Kiedy wielebny Jacobs nie wsiadał na swojego konika, potrafił wygłaszać żywe, czasem nawet zabawne pogadanki ilustrujące nauki płynące z Pisma Świętego. Mówił o codziennych problemach, z jakimi wszyscy się stykaliśmy, od kłopotów ze szkolnymi łobuzami po pokusę, by zrzucać od innych na klasówkach. Lubiliśmy organizowane przez niego zabawy, lubiliśmy większość zajęć i lubiliśmy też śpiewać, bo pani Jacobs była dobrą pianistką, która nigdy nie przeciągała hymnów.

Zresztą nie tylko hymny znała. Pewnego niezapomnianego wieczoru zagrała trzy piosenki Beatlesów i razem z nią zaśpiewaliśmy *From Me to You*, *She Loves You* i *I Want to Hold Your Hand*. Moja mama twierdziła, że Patsy Jacobs była siedemdziesiąt razy lepszą pianistką od pana Latourea, i kiedy młoda pani pastorkowa spytała, czy może wydać część środków z tacy

na stroiciela fortepianów z Portland, diakoni jednogłośnie przystali na jej prośbę.

– Ale może z Beatlesami skończmy – powiedział pan Kelton, najdłuższy stażem diakon kościoła metodystycznego w Harlow. – Tego dzieci mogą słuchać w radiu. Wolelibyśmy, żebyś pozostała przy bardziej... hm... chrześcijańskich melodiach.

Pani Jacobs przytaknęła cicho, ze skromnie spuszczonej oczami.

Było coś jeszcze. Charles i Patsy Jacobsowie mieli sex-appeal. Wspomniałem już, że Claire i jej koleżanki szalały za pastorem; większość chłopaków zaś wkrótce zabujała się w jego żonie, bo Patsy Jacobs była piękna. Miała blond włosy, kremową cerę, pełne usta. Connie przypisywał jej czarnoksiężskie moce, bo zawsze, kiedy przypadkiem kierowała na niego spojrzenie swoich zielonych, lekko skośnych oczu, z kolan robiła mu się galareta. Ludzie wzięliby ją na języki, gdyby przy takiej urodzie nosiła makijaż obfitszy od dyskretnego muśnięcia ust szminką, ale w wieku dwudziestu trzech lat niczego więcej nie potrzebowała. Młodość była jej makijażem.

W niedziele Patsy ubierała się w porządne, skromne sukienki do kolan albo łydek, mimo że w tych latach kobiety coraz śmielej odsłaniały nogi. Na czwartkowe spotkania koła młodych metodystów wkładała porządne, skromne spodnie i bluzki (z Ship 'N Shore, według mojej matki). Jednak mamy i babcie zasiadające w kościelnych ławach i tak ją bacznie obserwowały, bo podkreślona tymi porządnymi, skromnymi ciuchami figura była z tych, na których widok koledzy mojego brata czasem przewracali oczami albo potrząsali dłonią, jakby dotknęli płyty kuchenki, którą ktoś zapomniał wyłączyć. Żona pastora grywała z dziewczynami w softball i raz usłyszałem, jak Andy – który miał wtedy prawie czternaście lat – powiedział, że patrzeć, jak biegnie od bazy do bazy, to przeżycie religijne samo w sobie.

Znajdowała czas, żeby przygrywać nam na pianinie w czwartkowe wieczory i uczestniczyć w większości innych zajęć koła młodych metodystów, bo mogła przyprowadzać z sobą synka. Był posłusznym, bezproblemowym dzieckiem. Wszyscy Morriego lubili. Z tego, co pamiętam, lubił go nawet Billy Paquette, ten młody, początkujący ateista. Morrie prawie nigdy nie płakał. Nawet jak się wywraçał i obcierał sobie kolana, w najgorszym razie siąkał nosem, a i to tylko dotąd, aż któraś ze starszych dziewczyn brała go na ręce. Kiedy szliśmy na dwór w coś zagrać czy się pobawić, dreptał za chłopakami wszędzie, gdzie mógł, a jak nie nadażał, ruszał za dziewczynami, które opiekowały się nim też podczas studiów nad Biblią i kołysały go w rytm śpiewanych przez nas piosenek – stąd przydomek Morrie Przylepa.

Claire szczególnie za nim przepadała i mam w pamięci wyrazisty obraz – wiem, że na pewno powstały z wielu nakładających się na siebie wspomnień – ich dwojga w kącie, w którym leżały zabawki; Morrie siedzi na swoim krzeselku, Claire klęczy obok i pomaga mu malować kredkami albo układać węża z kamieni domina.

– Chcę mieć czterech takich jak on, kiedy wyjdę za mąż – wyznała raz mojej mamie. Zdaje się, że wtedy już dobijała do siedemnastki i to były jej ostatnie dni w kole młodych metodystów.

– Powodzenia – odparła mama. – W każdym razie mam nadzieję, że twoi będą ładniejsi niż Morrie, misiu.

To było trochę okrutne, ale w sumie prawdziwe. Choć Charles Jacobs był przystojnym mężczyzną, a Patsy Jacobs, co tu dużo mówić, piękną młodą kobietą, Morriego Przylepę los obdarzył urodą nijaką jak tłuczone ziemniaki. Miał idealnie okrągłą twarz, przez co przypominał mi Charliego Browna, i włosy w odcieniu, o którym nie potrafię powiedzieć nic poza tym, że był ciemny. Nie odziedziczył ani niebieskich oczu ojca, ani tych zniewalająco zielonych oczu matki

– miał pospolite, brązowe. A mimo to wszystkie dziewczyny go uwielbiały, jakby widziały w nim wzorzec dla dzieci, które same urodzą w ciągu następnych dziesięciu lat, chłopcy zaś traktowali go jak młodszego brata. Był naszą maskotką. Morriem Przylepą.

Pewnego lutowego czwartkowego wieczoru moja czwórka rodzeństwa i ja wróciliśmy z plebanii rumiani od zjazdów na sankach za kościołem (wielebny Jacobs rozwiesił wzdłuż trasy elektryczne lampki). Idąc, śpiewaliśmy na całe gardło *I'm Henry the Eighth*. Pamiętam, że Andy'emu i Conowi było najweselej, bo na spotkanie przytargali nasz tobogan i wozili na nim Morriego. Usadowiony na poduszce z przodu, wyglądał jak galion na dziobie statku. Nie bał się ani trochę.

– Lubicie te spotkania, co? – spytał tata. W jego głosie brzmiało coś jakby lekkie zadziwienie.

– Pewnie! – przytaknąłem. – Mieliśmy dzisiaj z tysiąc ćwiczeń z Biblii, a potem poszliśmy na sanki! Pani Jacobs też jeździła na sankach, tylko ciągle spadała!

Zaśmiałem się, on mi zawtórował.

– To świetnie, Jamie, ale czy wy tam się czegoś uczycie?

– Wola człowieka powinna być przedłużeniem woli Boga – powiedziałem, powtarzając jak papuga otrzymaną tego wieczoru naukę. – A jak się połączy drutem dodatni i ujemny biegun baterii, będzie zwarcie.

– To prawda – powiedział ojciec – i dlatego trzeba być ostrożnym, odpalając samochód na krótko. Ale nie bardzo widzę, jaka z tego płynie nauka dla chrześcijanina.

– Że nie można robić czegoś złego tylko dlatego, że liczysz, że to zmieni coś innego na lepsze.

– Aha. – Sięgnął po najnowszy numer „Car and Driver” z fajowym jaguarem XK-E na okładce. – Cóż, wiesz, jak to mówią: dobrymi chęciami piekło brukowane. – Chwilę pomyślał. – I elektrycznymi lampkami oświetlone.

To go rozśmieszyło, więc zaśmiałem się razem z nim, chociaż nie zrozumiałem żartu. O ile to był żart.

Andy i Con przyjaźnili się z braćmi Fergusonami, Normem i Halem. Fergusonowie – takich jak oni nazywaliśmy „ceprami”, czyli przyjezdnymi – mieszkali w Bostonie, więc była to przyjaźń w zasadzie ściśle wakacyjna. Mieli domek nad jeziorem Lookout, raptem półtora kilometra od naszego domu. Chłopcy poznali się na Letniej Szkole Biblijnej.

Rodzina Fergusonów miała wykupione członkostwo w ekskluzywnym ośrodku wypoczynkowym na Koziej Górze i Con z Andym czasem jeździli tam z nimi, żeby popływać i zjeść lunch „w klubie”. Basen, opowiadali, był tysiąc razy lepszy od Stawu Harry'ego. Na mnie i Terrym nie robiło to większego wrażenia – lokalna glinianka w zupełności nam wystarczała, poza tym mieliśmy własnych przyjaciół – ale Claire bzikowała z zazdrości. Chciała zobaczyć, „jak żyje druga połowa”.

– Żyją tak samo jak my, skarbie – powiedziała mama. – Ktokolwiek twierdzi, że bogaci są inni, jest w błędzie.

Claire, która właśnie przeciągała ubrania przez wyżymaczkę naszej starej pralki, zrobiła nadąsaną minę.

– Wątpię.

– Andy mówił, że w basenie dziewczyny pływają w bikini – wtrąciłem.

Mama prychnęła.

– Równie dobrze mogłyby pływać w staniku i majtkach.

– Chciałabym mieć bikini – stwierdziła Claire. Pewnie była to tylko prowokacja, w jakich specjalizują się siedemnastoletnie dziewczyny.

Mama wymierzyła w nią palec z ociekającym mydlinami, krótko obcięty paznokciem.

– Tak dziewczęta zachodzą w ciążę, młoda damo.

Claire zgrabnie odbiła piłeczkę.

– W takim razie nie powinnaś puszczać tam Cona i Andy’ego. A nuż zrobią jakiejś dziecko.

– Buzia na kłódkę – powiedziała mama, wymownie zerkając w moim kierunku. – Małe dzbanki mają wielkie ucha.

Jakbym nie wiedział, o co z tym robieniem dzieci chodziło: o seks. Chłopak kładzie się na dziewczynie i wierci się dotąd, aż sobie wygodzi. Wtedy z ptaszka wypływa mu takie tajemnicze coś, co się nazywa sperma. To wnika do brzucha dziewczyny i dziewięć miesięcy później trzeba kupić pieluchy i wózek dziecięcy.

Mimo godnych psa ogrodnika zabiegów mojej siostry rodzice nie zabraniali Conowi i Andy’emu jeździć latem raz czy dwa razy w tygodniu do ośrodka wypoczynkowego, a kiedy Fergusonowie przybyli w lutym 1965 roku na ferie i zaprosili moich braci na narty, mama i tata puścili ich bez wahania. Stare, sfatygowane deski Cona i Andy’ego przypięte zostały obok lśniących nowości nart Fergusonów do dachu kombi, które zabrało całe towarzystwo na Kozią Górę.

Kiedy wrócili, gardło Cona przecinała jaskrawoczerwona pręga.

– Zboczyłeś z trasy i wpadłeś na gałąź? – spytał tata, gdy po powrocie z pracy zobaczył ten ślad.

Con, dobry narciarz, obruszył się.

– O rany, nie, tato. Ściąłem się z Normem. Szliśmy łąb w łąb, pruliśmy jak szatany...

Mama wymierzyła w niego widelec.

– Przepraszam, mammo, jak szaleni. Norm wpadł na muldę i mało nie stracił równowagi. Wyciągnął rękę w bok, o tak... – zademonstrował, omal nie przewracając szklanki z mlekiem – ...i trafił mnie kijkiem w szyję. Bolało jak... to znaczy bardzo, ale już jest lepiej.

Tyle że wcale nie było lepiej. Nazajutrz czerwona pręga wyblakła i zmieniła się najpierw w siny, a potem krzykliwie żółty naszyjnik, za to Con ochrypl. Wieczorem już mógł mówić tylko półgłosem. Po dwóch dniach oniemiał zupełnie.

Przeprost szyi skutkujący naciągnięciem nerwu krtaniowego. Taką diagnozę postawił doktor Renault. Stwierdził, że nieraz widział takie urazy i że za tydzień–dwa choremu zacznie wracać głos. Pod koniec marca Conrad będzie zdrow jak ryba. Nie ma się czym martwić, zapewnił, i nie było. Przynajmniej z jego punktu widzenia; on głosu nie stracił. Co innego mój brat. W kwietniu Con wciąż porozumiewał się, pisząc notki i pokazując na migi, czego chce. Uparł się, żeby chodzić do szkoły, chociaż chłopaki się już z niego nabijały, zwłaszcza od czasu, gdy znalazł (przynajmniej częściowo skuteczne) rozwiązanie problemu, jak się udzielać na lekcjach – wypisał sobie TAK na jednej dłoni i NIE na drugiej. Nosił też stosik fiszek z innymi komunikatami, skreślonymi drukowanymi literami. Kolegów z klasy najbardziej bawiła ta z pytaniem MOGĘ PÓJŚĆ DO UBIKACJI?

Con pozornie przyjmował to wszystko z humorem, świadom, że w przeciwnym razie dokuczaliby mu jeszcze bardziej, ale pewnego wieczoru zastałem go w pokoju, który dzielił z Terrym, płaczącego bezgłośnie na łóżku. Podszedłem i spytałem, co się stało. Głupie pytanie, jako że odpowiedź znałem z góry, ale w takiej sytuacji trzeba coś powiedzieć, tym bardziej że

powiedzieć coś mogłem, bo to nie ja dostałem w gardło Kijkiem Przeznaczenia.

– Won! – odparł bezgłośnie. Jego policzki i czoło, usiane świeżymi pryszczami, płonęły. Oczy miał zapuchnięte. – Won, wynocha! – A potem, ku mojemu przerażeniu: – Spierdalaj, kutasie!

Tej wiosny we włosach mojej mamy pojawiły się pierwsze siwe nitki. Pewnego popołudnia, kiedy tata wrócił do domu bardziej zmęczony niż zwykle, powiedziała mu, że muszą zabrać Cona do specjalisty w Portland.

– Dość czekania – stwierdziła. – Ten stary baran George Renault może sobie mówić, co chce, ale ja wiem, co się stało, i ty też. Ten bezmyślny nadziany bachor zniszczył mojemu synowi struny głosowe.

Ojciec ciężko usiadł przy stole. Żadne z nich nie zauważyło, że byłem w sieni, gdzie z niebyszałym ociąganiem wiązałem tenisówki.

– Nie stać nas, Lauro – powiedział.

– Ale było cię stać, żeby kupić Hiram Oil! – odparowała brzydkim, niemal szyderczym tonem, którego nigdy wcześniej nie słyszałem z jej ust.

Siedział i patrzył w stół, nie na nią, chociaż na blacie nie było nic oprócz ceraty w czerwono-białą kratę.

– Właśnie dlatego nas na to nie stać. Stąpamy po bardzo kruchym lodzie. Wiesz, jaka była zima.

Wszyscy wiedzieliśmy: ciepła. Kiedy olej opałowy jest głównym źródłem dochodów twojej rodziny, od Święta Dziękczynienia do Wielkanocy czujnie obserwujesz termometr i modlisz się o to, żeby czerwona kreska nie poszła za wysoko.

Mama stała przy zlewie, z dłońmi zanurzonymi w kłębie mydlin. Gdzieś pod mydlinami naczyń brzęczały tak, jakby chciała je potłuc, nie umyć.

– Musiałeś ich przejąć, co? – Wciąż tym samym tonem. Strasznie mi się nie podobał. Brzmiało to tak, jakby podjudzała tatę. – Magnat branży opałowej, myślałby kto!

– Umowę zawarliśmy przed wypadkiem Cona – odparł, wciąż nie podnosząc wzroku. Dłonie znowu miał wciśnięte głęboko do kieszeni. – W sierpniu. Ty i ja razem przeglądaliśmy „Almanach Farmera”. Zapowiadał mroźną, śnieżną zimę, najzimniejszą od drugiej wojny światowej, i uznaliśmy, że to wyjdzie nam na dobre. Wszystko wyliczyłaś na swojej maszynie liczącej.

Naczynia zabrzęczały głośniejsz pod mydlinami.

– Weź pożyczkę!

– Mógłbym, ale... posłuchaj, Lauro. – Wreszcie podniósł oczy. – Chyba będę to musiał zrobić, żebyśmy w ogóle jakoś przetrwali lato.

– To twój syn!

– Wiem, do cholery! – ryknął tata. To mnie przeraziło i mamę też musiało przerazić, bo tym razem z kłębu mydlin dobiegł nie brzęk, lecz huk. I kiedy podniosła dłonie, jedna z nich krwawiła.

Pokazała mu ją – jak mój niemy brat pokazujący TAK albo NIE na lekcji – i powiedziała:

– Zobacz, co przez ciebie zro... – Wtedy zauważyła mnie siedzącego na stercie drewna i zaglądnącego do kuchni. – Wynocha! Pobaw się na dworze!

– Lauro, nie wyzywaj się na...

– Wyjdź! – krzyknęła. Tak krzyknęłyby na mnie Con, gdyby miał głos. – Bóg nienawidzi szpicli!

Popłakała się. Ja wybiegłem z domu, też cały we łzach. Popędziłem w dół Methodist Hill i przeciąłem drogę numer 9, nie patrząc, czy coś jedzie. Nie zamierzałem pójść na plebanię;

byłem tak wzburzony, że nawet nie pomyślałem, by zasięgnąć rady u pastora. Gdyby nie to, że Patsy Jacobs akurat wyszła do ogródka przed domem sprawdzić, czy posadzone zeszłej jesieni kwiaty zaczynają rosnać, może biegłbym aż do utraty sił. Była tam jednak i mnie zawołała. Po trosze chciałem biec dalej, ale – jak już, zdaje się, wspomniałem – byłem dobrze wychowany, nawet w chwilach wzburzenia. Zatrzymałem się więc.

Podeszła do mnie. Stałem ze spuszczoną głową, ciężko dysząc.

– Co się stało, Jamie? – spytała.

Nie odpowiedziałem. Wsunęła mi palce pod brodę i uniosła moją twarz. Zobaczyłem Morriego siedzącego na trawie obok ganku plebanii w otoczeniu zabawkowych ciężarówek. Patrzył na mnie wybałuszonymi oczami.

– Jamie? Powiedz, co się stało.

Uczono nas nie tylko tego, że mamy być grzeczni, ale i że nie wolno mówić ludziom, co się dzieje w domu. Takie już są jankeskie zwyczaje. Jednak życzliwość pani Jacobs przełamała mój opór i słowa popłynęły wartkim strumieniem: o niedoli Cona (z której ogromu, byłem przekonany, rodzice nie zdawali sobie sprawy, mimo że szczerze się o niego martwili), o obawie mamy, że jego struny głosowe są zniszczone i nigdy nie odzyska mowy, o jej żądaniu, żeby zabrać go do specjalisty, i tłumaczeniach taty, że ich na to nie stać. Przede wszystkim opowiedziałem o tym, jak na siebie krzyczeli. Nie wspomniałem o obcym głosie, który słyszałem z ust matki, ale tylko dlatego, że nie miałem pomysłu, jak to ująć w słowa.

Kiedy w końcu zamilkłem, powiedziała:

– Chodź do szopy. Musisz porozmawiać z Charliem.

Odkąd belvedere zajął należne mu miejsce w garażu plebanii, szopa stała się warsztatem wielbnego Jacobsa. Kiedy Patsy wpuściła mnie do środka, pastor gmerał w pozbawionym ekranu telewizorze.

– Jak już poskładam to cacko – powiedział, obejmując mnie ramieniem i wyciągając chusteczkę z tylnej kieszeni – będę łapał stacje z Miami, Chicago i Los Angeles. Wytrzymaj oczy, Jamie. Nos też przy okazji.

Wycierając twarz, patrzyłem zafascynowany na bezoki telewizor.

– Stacje z Chicago i Los Angeles? Naprawdę?

– Nie, żartowałem. Próbuję tylko wmontować wzmacniacz sygnału, który pozwoli nam łapać coś oprócz Channel 8.

– My odbieramy jeszcze szóstkę i trzynastkę – powiedziałem. – Chociaż na szóstce trochę śnieży.

– Wy macie antenę na dachu. Rodzinie Jacobsów musi wystarczyć pokojowa.

– Czemu wielbny też takiej nie kupi? Są w Western Auto w Castle Rock.

Uśmiechnął się szeroko.

– Świetny pomysł! Stanę przed diakonami na kwartalnym spotkaniu i oświadczę, że chcę wydać część środków z tacy na antenę telewizyjną, żeby Morrie mógł oglądać *Mighty 90*, a ja z żoną *Petticoat Junction* we wtorkowe wieczory. Mniejsza z tym, Jamie. Powiedz, co cię tak wzburzyło.

Rozejrzałem się za panią Jacobs w nadziei, że mnie wyręczy i nie będę musiał drugi raz wszystkiego opowiadać, ona jednak niepostrzeżenie się ulotniła. Wielbny wziął mnie za ramiona i zaprowadził do kozła do piłowania drewna. Byłem akurat na tyle wysoki, żeby móc na nim usiąść.

– Chodzi o Cona?

Nic dziwnego, że się domyślił; prośba o przywrócenie Conowi głosu była tej wiosny stałym elementem modlitwy kończącej spotkania w czwartkowe wieczory, zresztą modliliśmy się nie tylko za niego, ale i za wszystkich młodych metodystów, którzy przeżywali trudne chwile (najczęściej z powodu złamanych kości, choć na przykład taki Bobby Underwood mocno się poparzył, a mała Carrie Doughty musiała chodzić ostrzyżona na zero, z głową umytą octem, bo przerażona mama znalazła w jej włosach całe roje wszy). Jednak ani wielebny Jacobs, ani jego żona nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo Con cierpiał i jak ta jego udręka roznosiła się po całej rodzinie niczym szczególnie zjadliwy zarazek.

– Zeszłego lata tata kupił Hiram Oil. – Znów zacząłem chlipać. Źle się z tym czułem, chlipanie to była sztuczka małych dzieci, nic więcej, ale jakoś nie mogłem się powstrzymać. – Mówił, że za tak niską cenę grzechem byłoby tego nie zrobić, tylko że potem mieliśmy ciepłą zimę i olej opałowy staniał do piętnastu centów za galon, i teraz nie stać ich na specjalistę, i gdyby wielebny ją słyszał, mówiła zupełnie jak nie mama, a on czasem chowa ręce do kieszeni, bo... – Ale tu obudziła się jankeska powściągliwość i dokończyłem: – Nie wiem dlaczego.

Znów wyjął chusteczkę i w czasie, kiedy robiłem z niej użytek, wziął ze stołu roboczego metalową skrzynkę. Sterczały z niej druty, każdy w inną stronę, niczym nieudolnie obcięte włosy.

– Oto wzmacniacz, o którym mówiłem – powiedział. – Nie chwaląc się, mój własny wynalazek. Jak go podłączę, pociągnę kabel od niego do okna, a stamtąd w górę, na okap. Gdzie zamocuję... to. – Wskazał ką, w którym stały oparte o ścianę grabie z zardzewiałymi metalowymi zębami sterczącymi w górę. – Specjalną Antenę Jacobsa.

– I będzie działać? – spytałem.

– Nie wiem. Tak myślę. Ale nawet jeśli, uważam, że dni anten telewizyjnych są policzone. Za dziesięć lat sygnał telewizyjny popłynie kablami telefonicznymi i do wyboru będzie dużo więcej niż trzy kanały. W roku 1990 telewizja nadawana będzie za pośrednictwem satelitów. Wiem, że to brzmi jak science fiction, ale niezbędna technologia już istnieje.

Miał rozmarzoną minę i pomyślałem: Zupełnie zapomniał o Conie. Teraz wiem, że to nieprawda. Dał tylko czas mnie, żebym ochłonął, i sobie, żeby pomyśleć.

– Ludzie początkowo będą zaskoczeni, potem stanie się to dla nich oczywiste. Będą mówić: „O tak, mamy telewizję telefoniczną” albo „Mamy telewizję z satelitów ziemskich”, co do tego jednak będą w błędzie. Dlaczego? Bo to wszystko zawdzięczamy elektryczności, która dziś jest czymś tak podstawowym i wszechobecnym, że nie zwracamy na nią uwagi. Mówi się, że to czy tamto jest słoniem w salonie, czyli czymś tak dużym, że nie sposób tego nie zauważyć, ale nawet słonia przestałbyś zauważać, gdyby stał w salonie wystarczająco długo.

– Chyba żebym musiał sprzątać po nim kupy – powiedziałem.

Ryknął śmiechem, a ja mu zawtórowałem, mimo że oczy wciąż miałem opuchnięte od płaczu.

Wyjrzał przez okno. Założył ręce za plecy i długo nic nie mówił. Wreszcie odwrócił się do mnie.

– Chcę, żebyś dziś wieczorem przyprowadził Cona na plebanię. Zgoda?

– Pewnie – powiedziałem bez wielkiego entuzjazmu. Myślałem, że chodzi tylko o kolejne modlitwy, i wiedziałem, że to nie może zaszkodzić, ale i tak już dużo się za Cona modliliśmy i to nie pomogło.

Rodzice nie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy poszli na plebanię (musiałem zapytać ich z osobna, bo tego wieczoru praktycznie się do siebie nie odzywali). Conniego musiałem

przekonywać najdłużej, pewnie dlatego, że sam nie byłem do końca przekonany. Ponieważ jednak obiecałem wielebnemu, nie dałem za wygraną. Poprosiłem o pomoc Claire. Wierzyła w moc modlitwy dużo silniej niż ja, poza tym miała własne specjalne moce. Chyba brały się z tego, że była jedyną dziewczyną z rodzeństwa. Z czterech braci Mortonów tylko Andy – najbliższy jej wiekiem – mógł się oprzeć Claire, gdy robiła słodkie oczy i o coś prosiła.

Kiedy przechodziliśmy we trójkę przez drogę numer 9, rzucając długie cienie w blasku wschodzącego księżyca w pełni, Con – zaledwie trzynastoletni tamtego roku, ciemnowłosy, smukły, ubrany w wypłowiałą kurtkę w kratę odziedziczoną po Andym – pokazał nam notes, z którym się nie rozstawał. Pisał w marszu, więc litery były koślawe. TO GŁUPIE.

– Może i tak – powiedziała Claire – ale przynajmniej będą ciastka. Pani Jacobs zawsze ma ciastka.

Był też Morrie, wówczas już pięcioletni, przebrany w piżamę. Pobiegł prosto do Cona i rzucił mu się na szyję.

– Ciągle nie możesz mówić? – spytał.

Con pokręcił głową.

– Tata cię wyleczy – powiedział malec. – Całe popołudnie pracował. – Wyciągnął ramiona do mojej siostry. – Ponoś mnie na rączkach, to dam ci buzi!

Claire ze śmiechem wzięła go od Cona.

Wielebny Jacobs był w szopie, ubrany w sprane dzinsy i sweter. W kącie stał elektryczny grzejnik, którego elementy grzewcze świeciły wiśniową czerwień, a mimo to było zimno. Domyślałem się, że pastor, zajęty dłubaniem w swoich wynalazkach, nie znalazł czasu, żeby zabezpieczyć warsztat przed mrozem. Chwilowo bezoki telewizor skrywał się pod kocem ochronnym.

Jacobs uściskał Claire i cmoknął ją w policzek, po czym podał rękę Conowi, który pokazał mu swój notes. Drukowane litery na pierwszej kartce stwierdzały: KOLEJNE MODLITWY, DOMYŚLAM SIĘ.

Wydało mi się to trochę nieuprzejme i po zmarszczonym czole Claire poznałem, że odebrała to tak samo, lecz Jacobs się uśmiechnął.

– Może przyjdzie i na to czas, ale najpierw chcę wypróbować coś innego. – Odwrócił się do mnie. – Komu pomaga Bóg, Jamie?

– Tym, co same se pomagają – powiedziałem.

– Niegramatyczne, ale prawdziwe.

Podszedł do stołu roboczego i przyniósł coś, co wyglądało jak gruby pas z materiału albo najcieńszy elektryczny koc na świecie. U dołu dyndał kabel biegnący do małej białej plastikowej skrzynki z przełącznikiem suwakowym na wierzchu. Jacobs stał z tym pasem w rękach i z powagą patrzył na Cona.

– To coś, w czym dłubię z przerwami od roku. Nazywam to Elektrycznym Stymulatorem Nerwów.

– Jeden z wynalazków wielebnego – powiedziałem.

– Nie całkiem. Pomysł, żeby wykorzystać elektryczność do uśmierzenia bólu i pobudzania mięśni, jest bardzo, bardzo stary. Sześćdziesiąt lat przed narodzinami Chrystusa rzymski lekarz imieniem Skryboniusz Largus odkrył, że nadeptanie na elektrycznego węgorza łagodzi ból nogi.

– Wielebny zmyśla! – zarzuciła mu Claire ze śmiechem. Con się nie śmiał; patrzył zafascynowany na pas z materiału.

– Wcale nie – powiedział Jacobs – z tym że ja do zasilania używam małych baterii, a to rzeczywiście mój własny wynalazek. W centralnym Maine trudno o elektrycznego węgorza,

jeszcze trudniej byłoby owinąć nim szyję. A to właśnie zamierzam zrobić z tym własnej produkcji stymulatorem. Bo być może doktor Renault ma rację, że twoje struny głosowe nie są zniszczone. Może trzeba je tylko rozruszać. Gotów jestem przeprowadzić eksperyment, ale tylko za twoją zgodą. Co ty na to?

Con skinął głową. W jego oczach zobaczyłem coś, czego dość dawno w nich nie było: nadzieję.

– Dlaczego wielebny nie pokazał nam tego na spotkaniach koła? – spytała Claire niemal oskarżycielskim tonem.

Jacobs wydawał się zaskoczony i ciut zaniepokojony.

– Chyba nie miałem pomysłu, jak to powiązać z chrześcijańskim nauczaniem. Zanim dzisiaj przyszedł do mnie Jamie, myślałem, żeby wypróbować to na jego koledze Alu Knowlesie. Temu, który miał ten przykry wypadek.

Alowi palce urwał sortownik ziemniaków.

– Al do dziś czuje palce, które stracił – ciągnął pastor. – Mówi, że bołą. Poza tym w wyniku uszkodzenia nerwów stracił dużą część władzy w tej ręce. Jak wspomniałem, od lat wiem, że elektryczność może pomóc przy uszkodzeniu nerwów. Teraz wychodzi na to, że ty zostaniesz moim królikiem doświadczalnym, Con.

– Czyli to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności, że wielebny miał to urządzenie pod ręką? – spytała Claire. Nie rozumiałem, dlaczego to ważne, ale wyraźnie dla niej takie było.

Jacobs spojrział na nią z wyrzutem i powiedział:

– Zbieg okoliczności i szczęśliwy traf to słowa, którymi ludzie małej wiary opisują Bożą wolę, Claire.

Zacerwieniła się i spuściła wzrok na swoje tenisówki. Con tymczasem pisał coś w notesie. Odwrócił go w naszą stronę. BĘDZIE BOLAŁO?

– Nie sędzę – rzekł Jacobs. – Prąd jest bardzo, ale to bardzo słaby. Przetestowałem ten aparat na swoim ramieniu, jak mankiet do pomiaru ciśnienia, i poczułem tylko mrowienie, takie jak wtedy, kiedy wraca krążenie w zdrętwiałej ręce albo nodze. Jeśli cię zboli, podnieś rękę, od razu wyłączę zasilanie. Teraz ci to założę. Ciasno, ale nie za ciasno. Będziesz mógł swobodnie oddychać. Klamry są plastikowe. W takim urządzeniu nie można używać metalu.

Nałożył Conowi na szyję ten pas. Wyglądał jak gruby zimowy szalik. Connie miał oczy szeroko otwarte i przerażone, ale kiedy Jacobs spytał go, czy jest gotowy, mój brat skinął głową. Poczulem, że Claire ścisnęła mnie za rękę. Miała zimne palce. Myślałem, że teraz Jacobs pewnie zacznie się modlić – o sukces. I w pewnym sensie tak zrobił. Schylił się, żeby spojrzeć Conowi prosto w oczy, i powiedział:

– Spodziewaj się cudu.

Mój brat skinął głową i z trudem przełknął ślinę. Widziałem, jak materiał opinający jego szyję podnosi się i opada.

– No dobra. Zaczynamy.

Wielebny Jacobs przesunął przełącznik na górze skrzynki sterowniczej i usłyszałem ciche buczenie. Con rzucił głową. Jego usta drgnęły najpierw w jednym, potem w drugim kąci. Palce zaczęły szybko trzepotać, ramiona podskoczyły.

– Boli? – spytał Jacobs. Jego palec wskazujący zawisł nad przełącznikiem, gotowy wyłączyć urządzenie. – Jeśli tak, wyciągnij do mnie rękę.

Con pokręcił głową. Potem, chropawym głosem, który brzmiał, jakby dobywał się z ust pełnych żwiru, powiedział:

– Nie... nie boli. Ciepło.

Claire i ja popatrzyliśmy po sobie z ożywieniem, połączeni jedną myślą, silną jak przekaz

telepatyczny: Czy mnie uszy nie mylą? Siostra ścisnęła moją dłoń mocno, aż do bólu, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Kiedy spojrzeliśmy na Jacobsa, był uśmiechnięty.

– Nie próbuj mówić. Jeszcze nie. Niech pas popracuje dwie minuty według mojego zegarka. Chyba że poczujesz ból. Wtedy wyciągnij do mnie ręce i natychmiast to wyłączę.

Con nie wyciągnął rąk, chociaż palce dalej latały mu w górę i w dół, jakby grał na niewidzialnym pianinie. Jego górna warga uniosła się kilka razy w mimowolnym grymasie, powieki trzepotały spazmatycznie. Raz, wciąż tym skrzypiącym, chropawym głosem, powiedział:

– Mogę... mówić!

– Ciii! – uciął Jacobs srogo. Trzymał palec wskazujący nad przełącznikiem, gotów odciąć dopływ prądu, oczami śledził wędrówkę sekundnika na zegarku. Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim w końcu pchnął przełącznik i to słabe buczenie ucichło. Odpiął klamry i ściągnął pas Conowi przez głowę. Skóra na szyi mojego brata była lekko zaczerwieniona, ale raczej nie od prądu, tylko od uciskającego ją pasa.

– A teraz, Con, chcę, żebyś powiedział: „Mój pies ma pchły, dlatego jest zły”. Ale jeśli poczujesz ból gardła, natychmiast przestań.

– Mój pies ma pchły – wyrecytował Con swoim dziwnym, skrzypiącym głosem. – Dlatego jest zły. – Potem: – Muszę odplunąć.

– Boli cię gardło?

– Nie, tylko muszę odplunąć.

Claire otworzyła drzwi szopy. Con wychylił się, odcharknął (wydając przy tym nieprzyjemny, metaliczny dźwięk jakby zardzewiałych zawiasów) i wypluł kawał flegmy, który wydał mi się duży jak galka u drzwi. Odwrócił się z powrotem do nas, masując gardło dłonią.

– Mój pies ma pchły. – Wciąż nie mówił jak Con, którego pamiętałem, ale słowa były już wyraźniejsze i bardziej ludzkie. Łzy nabiegły mu do oczu i pociekły po policzkach. – Dlatego jest zły.

– Na razie wystarczy – powiedział Jacobs. – Pójdziemy do domu i wypijesz szklanek wody. Dużę. Musisz pić dużo wody. Dziś i jutro. Aż twój głos odzyska normalne brzmienie. Będziesz pamiętał?

– Tak.

– Jak wrócisz do domu, możesz powiedzieć „cześć” mamie i tacie. Potem chcę, żebyś poszedł do swojego pokoju, padł na kolana i podziękował Bogu za to, że przywrócił ci głos. Zgoda?

Con skwapliwie przytaknął. Płakał jak nigdy w życiu, zresztą nie on jeden. Claire i ja też płakaliśmy. Tylko wielebny Jacobs miał suche oczy. Zdaje się, że był zbyt zdumiony, żeby płakać.

Jedynie Patsy nie była zaskoczona. Kiedy wróciliśmy na plebanię, tylko ścisnęła ramię Cona i powiedziała rzeczowym tonem:

– Zuch chłopak.

Morrie przytulił mojego brata, a mój brat odwzajemnił uścisk tak mocno, że malcowi oczy wyszły na wierzch. Patsy nalała szklanek wody z kranu w kuchni i Con wypił do dna. Podziękował już prawie własnym głosem.

– Nie ma za co, Con. A teraz przepraszam was, dzieci, ale Morrie już dawno powinien być w łóżku i czas najwyższy, żebyście wrócili do domu. – Zaprowadziła Morriego za rękę do schodów i nie odwracając się, dodała: – Myślę, że wasi rodzice bardzo się ucieszą.

To było niedomówienie stulecia.

Siedzieli w salonie, oglądali *The Virginian* i nadal się do siebie nie odzywali. Choć byłem radosny i podekscytowany, czułem panujący między nimi chłód. Andy i Terry rozbijali się na górze i psioczyli na siebie nawzajem z jakiegoś powodu – innymi słowy, wieczór jak każdy inny. Mama dziergała kwadrat, który miał być elementem pledu, i właśnie schylała się, żeby rozplątać włóczkę w koszyku, kiedy Con powiedział:

– Cześć, mamó. Cześć, tato.

Tata wgapił się w niego z rozdziawionymi ustami. Mama zamarła z jedną ręką w koszyku i drugą trzymającą druty. Bardzo powoli podniosła głowę.

– Co...? – powiedziała.

– Cześć – powtórzył Con.

Krzyknęła, zerwała się z fotela, przewracając kopnięciem koszyk z robótką, i chwyciła Conniego, tak jak to czasem robiła, kiedy byliśmy mali i chciała nami potrząsnąć, bo coś zbroiliśmy. Tego wieczoru potrząśnięcia nie było. Załkała i porwała Cona w objęcia. Słyszałem, jak Terry i Andy pędzą z piętra na dół zobaczyć, co się dzieje.

– Powiedz coś jeszcze! – krzyknęła. – Powiedz coś jeszcze, żebym nie myślała, że to mi się tylko przyśniło!

– Nie powinien... – zaczęła Claire, ale Con jej przerwał. Bo teraz już mógł.

– Kocham cię, mamó – powiedział. – Kocham cię, tato.

Tata chwycił go za ramiona i uważnie obejrzał jego gardło, ale nie było tam już nic do oglądania; czerwony ślad zanikł.

– Dzięki Bogu – westchnął. – Dzięki Bogu, synu.

Claire i ja popatrzyliśmy po sobie i znowu porozumieliśmy się bez słów: wielbnemu Jacobsonowi też wypadłoby podziękować.

Wyjaśniliśmy, że Con ma na razie oszczędzać głos, i kiedy powiedzieliśmy, że musi pić dużo wody, Andy poszedł do kuchni i wrócił z wielkim śmiesznym kubkiem do kawy naszego taty (z nadrukowaną flagą kanadyjską i napisem JEDEN ANGIELSKI GALON KOFEINY) pełnym wody. Podczas gdy Connie pił, Claire i ja na zmianę opowiadaliśmy, co się stało; raz czy dwa razy wszedł nam w słowo, żeby powiedzieć o mrowieniu, które czuł, kiedy pas był włączony. Ilekroć nam przerywał, Claire sztorcowała go za to, że mówi.

– Nie do wiary! – powtórzyła mama kilka razy. Nie mogła oderwać oczu od Cona. Kilka razy chwytła go i przytulała, jakby w obawie, że wyrosną mu skrzydła, zmieni się w anioła i odleci.

– Gdyby kościół nie płacił za jego olej opałowy – powiedział tata, kiedy opowieść dobiegła końca – wielbny Jacobs miałby go gratis do końca życia.

– Coś wymyślimy – rzuciła mama w roztargnieniu. – Na razie będziemy świętować.

Terry, wyjmij z zamrażalnika lody, które miały być na urodziny Claire. Dobrze zrobią Conowi na gardło. Zanieście je z Andym na stół. Zjemy całość, więc weźcie te większe miseczki. Nie masz nic przeciwko, co, Claire?

Potrząsnęła głową.

– To jest lepsze niż impreza urodzinowa.

– Muszę do łazienki – powiedział Connie. – Za dużo się opilem. Potem mam się pomodlić. Tak kazał wielbny. Nie wchodźcie, dopóki nie skończę.

Poszedł na górę. Andy i Terry zniknęli w kuchni, gdzie zajęli się nakładaniem lodów neapolitańskich (które nazywaliśmy wan-trus-czekami... aż dziw, ile się człowiekowi po latach przypomina). Mama z tatą zapadli się w fotele i oglądali telewizję niewidzącym wzrokiem. Zobaczyłem, że mama wyciągnęła rękę w bok, a tata chwycił ją bez patrzenia, jakby wyczuł, że tam jest. Ten widok sprawił mi ulgę.

Ktoś pociągnął mnie za dłoń. Claire. Zaprowadziła mnie przez kuchnię, gdzie Andy i Terry spierali się o względną wielkość porcji, do sieni. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

– Widziałeś go? – spytała. Z naciskiem.

– Kogo?

– Wielebnego Jacobsa, głupku! Widziałeś jego minę, kiedy spytałam, czemu nie pokazał nam tego elektrycznego pasa na spotkaniach koła?

– No... tak...

– Powiedział, że pracował nad nim rok, ale gdyby to była prawda, pokazałby go nam.

Pokazuje wszystkie swoje wynalazki!

Pamiętałem, jak zaskoczona miał minę – jakby Claire przyłapała go na kłamstwie (nieraz czułem, że robię podobną, kiedy to mnie przyłapywano), ale...

– Chcesz powiedzieć, że kłamał?

Energicznie pokiwała głową.

– Tak! Na pewno! I jego żona o tym wiedziała! Wiesz, co myślę? Że zaczął pracę nad tym zaraz po twojej wizycie. Może pomysł miał już wcześniej, zdaje się, że ma tysiące pomysłów na elektryczne wynalazki, pewnie strzelają mu w głowie jak prażona kukurydza, ale akurat z tym do dzisiaj nic nie robił.

– O rany, Claire, nie sądzę...

Wciąż trzymała mnie za rękę i teraz niecierpliwie, mocno nią szarpnęła, jakbym ugrzązł w bagnie i trzeba mi było pomóc się z niego wydostać.

– Widziałeś ich stół kuchenny? Było jedno czyste nakrycie, pusty talerz i pusta szklanka! Wielebny nie przyszedł na kolację, tylko cały czas pracował. I to jak szatan, sądząc z wyglądu jego dłoni. Były całe czerwone, na dwóch palcach miał pęcherze.

– Zrobił to wszystko dla Cona?

– Nie sądzę – odparła, ani na chwilę nie odrywając ode mnie oczu.

– Claire! Jamie! – zawołała mama. – Chodźcie na lody!

Claire nawet nie spojrzała w stronę kuchni.

– Ze wszystkich dzieciaków z koła młodych metodystów ciebie pierwszego poznał i ciebie lubi najbardziej. Zrobił to dla ciebie, Jamie. Zrobił to dla ciebie.

I poszła do kuchni, zostawiając mnie osłupiałego przy stercie drewna. Gdyby chwilę zaczekała, żebym mógł ochłonąć z zaskoczenia, podzieliłbym się z nią swoim wrażeniem: że wielebny Jacobs był równie zaskoczony jak my.

Nie spodziewał się, że to podziela.

* *Pieśni Nadziei i Wiary – Kancjonał Kościoła Metodystycznego*, Wydawnictwo „Pielgrzym Polski”, Warszawa 1986, hymn nr 445 (wszystkie przypisy tłumacza).

III

Wypadek – Opowieść mojej mamy – Straszne Kazanie – Pożegnanie

W ciepły i bezchmurny powszedni dzień października 1965 roku Patricia Jacobs usadowiła Morriego Przylepę na przednim siedzeniu plymoutha belvedere, który był ślubnym prezentem od jej rodziców, i wyruszyła do Red & White Market w Gates Falls – „za sprawunkami”, powiedzieliby Jankesi w tamtych czasach.

Cztery i pół kilometra stamtąd George Barton – farmer, zatwardziały kawaler znany w okolicy jako Samotny George – ruszył sprzed domu, ciągnąc za swoim pikapem kopaczkę do ziemniaków. Zamierzał ją zawieźć drogą numer 9 na swoje południowe pole, oddalone o jakieś półtora kilometra. Z kopaczką na holu mógł wyciągnąć najwyżej piętnaście kilometrów na godzinę, więc trzymał się nieutwardzonego pobocza, żeby kierowcy mogli go bezpiecznie wyprzedzić. Samotny George nigdy nie myślał tylko o sobie. Był dobrym farmerem, dobrym sąsiadem, członkiem rady szkoły i diakonem naszego kościoła. Był też, jak oznajmiał ludziom niemal z dumą, „pepileptykiem”. Choć, pospiesznie dodawał, doktor Renault przepisał mu proszki, dzięki którym „prawie wcale” nie dostaje ataków. Nie znaczyło to jednak, że nie dostawał ich nigdy, jak się okazało akurat w czasie, kiedy tego dnia siedział za kierownicą swojego pikapa.

– Pewnie w ogóle nie powinien był prowadzić, może co najwyżej po polu – stwierdził później doktor Renault – ale jak tu prosić kogoś, żeby oddał prawo jazdy? Zwłaszcza że chłopina nie ma ani żony, ani dorosłych dzieci, które mogłyby go zastąpić za kółkiem. Równie dobrze można by go od razu poprosić, żeby sprzedał farmę temu, kto da najwięcej.

Niedługo po tym, jak Patsy i Morrie wyruszyli do Red & White, pani Adele Parker zjechała z Sirois Hill po ostrym, zdradliwym łuku drogi, na którym przez lata zdarzyło się wiele wypadków. Jej samochód toczył się naprzód w ślimaczym tempie, dlatego zdołała – ledwo, ledwo – wyhamować na tyle wcześnie, żeby nie potrącić kobiety, która zataczając się, szła środkiem szosy z przyciśniętym jedną ręką do piersi ociekającym tobołkiem. Patsy Jacobs mogła się posługiwać tylko jedną ręką, bo druga była urwana w łokciu. Po jej twarzy lała się krew. Z głowy, na wysokości barku, zwisał strzęp skóry z zakrwawionymi puklami rozwiewanymi łagodnym jesiennym wiatrem. Prawe oko było na policzku.

– Pomóż mojemu dziecku! – krzyknęła Patsy, kiedy pani Parker zatrzymała swojego starego studebakera i wysiadła.

Za plecami zakrwawionej kobiety z ociekającym tobołkiem leżał przewrócony na dach, płonący belvedere. Wciskała się w niego wgnieciona maska pikapa Samotnego George’a. George siedział z głową na kierownicy. Za jego wozem drogę numer 9 blokowała przewrócona kopaczka do ziemniaków.

– Pomóż mojemu dziecku! – Patsy wyciągnęła tobołek przed siebie.

Adele Parker zobaczyła, że to mały chłopczyk ze zdartą twarzą. Zasłoniła oczy i zaczęła krzyczeć. Gdy spojrzała znowu, Patsy była na klęczkach, jakby się modliła.

Z Sirois Hill zjechał następny pikap i omal nie wpadł na studebakera pani Parker. Kierowcą był Fernald DeWitt, który obiecał tego dnia pomóc George’owi w wykopkach. Wyskoczył z szoferki, przypadł do pani Parker i spojrział na kobietę klęczącą na jezdni. Potem pobiegł dalej, w stronę miejsca wypadku.

– Gdzie lecisz?! – krzyknęła pani Parker. – Pomóż tej kobiecie!

Fernald, który walczył w marines na Pacyfiku i widział tam straszne rzeczy, nie zatrzymał się, lecz zawołał przez ramię:

– Jej i małemu nie da się pomóc! George’owi może tak.

Nie pomylił się. Patsy umarła długo przed przyjazdem karetki z Castle Rock. Samotny George Barton dożył osiemdziesiątki. I nigdy więcej nie usiadł za kółkiem samochodu.

Powiecie: Skąd możesz to wszystko wiedzieć, Jamie Mortonie? Miałeś wtedy dopiero dziewięć lat.

A jednak to wiem.

W 1976 roku, kiedy moja matka była jeszcze względnie młoda, lekarze wykryli u niej raka jajnika. Studiowałem wtedy na Uniwersytecie Stanu Maine, ale na drugim semestrze drugiego roku wziąłem dziekanę, żeby przy niej być w ostatnich chwilach. Choć dzieci państwa Morton już dziećmi nie były (Con był hen, za horyzontem, na Hawajach i prowadził badania nad pulsarami w obserwatoriach na Mauna Kea), wszyscy przyjechaliśmy do domu, żeby czuwać przy mamie i pomóc tacie, zbyt zdruzgotanemu, by się do czegokolwiek nadawał; snuł się tylko po domu albo chodził na długie spacerunki po lesie.

Mama chciała dożyć swoich dni w domu, jasno dała to do zrozumienia, i na zmianę karmiliśmy ją, podawaliśmy jej leki czy po prostu przy niej siedzieliśmy. Wtedy zostały z niej już praktycznie same kości i dostawała morfinę, by nie cierpieć. Morfina to dziwna rzecz. Ma to do siebie, że usuwa zahamowania – tę słynną jankeską powściągliwość – których inaczej nie sposób przeczławić. W lutowe popołudnie jakiś tydzień, może dwa przed śmiercią mamy przyszła kolej na mnie, żeby z nią posiedzieć. Tego dnia szalała zamieć, trzymał siarczysty mróz, północny wiatr wył pod okapem, lecz w domu było ciepło. Nawet gorąco. Przypominam, że mój ojciec handlował olejem opałowym, i po tym jednym strasznym roku w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy stanął w obliczu bankructwa, interesy szły na tyle dobrze, że stał się dość zamożnym człowiekiem.

– Ściągnij ze mnie koce, Terence – powiedziała mama. – Po co ich tyle? Zaraz się usmażę.

– Mamo, to ja, Jamie. Terry jest z tatą w garażu. – Odwinąłem pojedynczy koc, odsłaniając makabrycznie radosną różową koszulę nocną, która wydawała się pusta w środku. Przez przeredzone włosy mamy (zupełnie posiwiałe, zanim dostała raka) przeświecała łysina; zęby wystające spod ściągniętych warg wydawały się za duże, wręcz końskie; tylko oczy pozostały takie same. Wciąż były młode i pełne podszytej żalem ciekawości: Co się ze mną dzieje?

– Jamie, Jamie, przecież mówię. Dasz mi procha? Strasznie dziś boli. W życiu nie byłam w gorszym dołku.

– Za kwadrans, mamo. – Właściwie powinna dostać tabletkę za dwie godziny, ale sądziłem, że w tej sytuacji nie ma to już większego znaczenia. Claire zasugerowała nawet, żeby podać jej wszystkie naraz, czym zaszokowała Andy’ego; on jedyny z nas pozostał wierny dość surowym religijnym zasadom wpojonym nam za młodu.

– Chcesz ją posłać do piekła? – spytał.

– Nie poszłaby do piekła, gdybyśmy to my je jej podali – odparła Claire, całkiem roztropnie moim zdaniem. – Przecież to byłoby bez jej wiedzy. – Po czym dodała, niemal łamiąc mi serce, bo to było jedno z ulubionych powiedzonek mamy: – Nie wie, czy jest na nogach, czy na koniu. Już nie.

– Nie zrobisz tego – uciął Andy.

– Nie – westchnęła Claire. Zbliżyła się wtedy do trzydziestki i była piękna jak nigdy. Bo wreszcie się zakochała? Jeśli tak, cóż to za gorzka ironia losu. – Brak mi na to odwagi. Mam tylko odwagę pozwolić jej cierpieć.

– Kiedy pójdzie do raju, jej cierpienie będzie tylko jak cień – powiedział Andy, jakby to rozstrzygało sprawę. I pewnie tak sądził.

Wiatr wył, stare szyby w jedynym oknie sypialni brzęczały, a moja matka mówiła:

– Jestem chuda, taka chuda, byłam piękną panną młodą, wszyscy tak mówili, ale dziś Laura Mackenzie jest taka chuda. – Grymas żalu i bólu wygiął jej usta w podkówkę jak na twarzy smutnego klauna.

Miałem posiedzieć z nią jeszcze trzy godziny, zanim zluzuje mnie Terry. Przewidywałem, że część tego czasu mama prześpi, ale w tej chwili nie spała i ogromnie zależało mi na tym, by zająć czymś jej uwagę, sprawić, by nie myślała o tym, jak jej organizm sam się pożera. Uczepiłbym się wszystkiego. Traf chciał, że padło na Charlesa Jacobsa. Spytałem ją, czy nie wie, dokąd wyjechał z Harlow.

– Och, to był straszny czas – powiedziała. – To okropne, co spotkało jego żonę i synka.

– Tak – odparłem. – Wiem.

Moja umierająca matka spojrzała na mnie z przytępioną morfiną pogardą.

– Nic nie wiesz. Nie rozumiesz. To było okropne, bo nikt nie zawinił. Na pewno nie George Barton. Dostał ataku, to wszystko.

Wtedy opowiedziała mi to, co już wam opowiedziałem. Całą historię poznała z ust Adele Parker, która mówiła, że nigdy nie zapomni tej konającej kobiety.

– Ja nie zapomnę czegoś innego – powiedziała mama. – Tego, jak krzyczał w zakładzie Peabody’ego. Nie wiedziałam, że człowiek może wydać taki dźwięk.

Doreen DeWitt, żona Fernalda, zadzwoniła do mojej matki i powiadomiła ją, co się stało. Miała dobry powód, żeby najpierw zwrócić się do Laury Morton.

– Będziesz mu musiała powiedzieć – stwierdziła.

Mama przeraziła się na samą myśl.

– O nie! Nie mogę!

– Musisz – powiedziała Doreen cierpliwie. – Takich wiadomości nie przekazuje się przez telefon, a nie licząc tej starej wrony Myry Harrington, jesteś jego najbliższą sąsiadką.

Moja matka, po morfinie pozbawiona zahamowań, wyznała mi:

– W końcu zebrałam całą odwagę i już miałam iść, ale w drzwiach mnie zawróciło. Musiałam polecieć się wysrać.

Zeszła z naszego wzgórza, przecięła drogę numer 9 i skierowała się na plebanię. Choć tak nie powiedziała, domyślałam się, że to był najdłuższy marsz w jej życiu. Zapukała do drzwi, ale nie otwierał, choć słyszała, że w środku gra radio.

– Bo i czemu miałby mnie usłyszeć? – posłała pytanie w sufit. – Za pierwszym razem moje kostki ledwo musnęły drewno.

Za drugim razem zapukała głośniejsze. Otworzył i spojrzał na nią przez siatkę przeciw owadom. W ręku trzymał dużą książkę i mimo upływu lat mama wciąż pamiętała jej tytuł: *Protony i neutrony: tajemny świat elektryczności*.

– Cześć, Lauro – powiedział. – Wszystko w porządku? Jesteś bardzo blada. Wejdz, wejdz.

Weszła. Spytał, co się stało.
– Zdarzył się straszny wypadek – powiedziała.
Zatroskał się jeszcze bardziej.
– Dickowi czy któremuś z dzieci? Chcesz, żebym z tobą poszedł? Usiądź, Lauro, wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemleć.
– Mojej rodzinie nic się nie stało – powiedziała. – Charles... chodzi o Patsy. I Morriego.
Ostrożnie odłożył wielkie tomiszcze na stolik w korytarzu. Pewnie wtedy zobaczyła tytuł i nie jestem zaskoczony, że go zapamiętała; w takich chwilach widzi się wszystko i wszystko zapamiętuje. Wiem to z własnego doświadczenia. Wolałbym nie wiedzieć.
– W jakim są stanie? – I nie czekając na odpowiedź: – Zabrali ich do Świętego Stefana? Na pewno, tam jest najbliżej. Zawieszysz mnie?
Szpital Świętego Stefana był w Castle Rock, ale oczywiście nie tam ich zabrano.
– Charles, musisz się przygotować na tragiczną wiadomość.
Wziął ją za ramiona – delikatnie, powiedziała, nie mocno, ale kiedy schylił się, żeby zajrzeć jej w twarz, jego niebieskie oczy płonęły.
– W jakim są stanie? Lauro, co z nimi?
Moja mama się rozplakała.
– Nie żyją, Charles. Tak mi przykro.
Puścił ją i ręce opadły mu do boków.
– Nieprawda – powiedział głosem człowieka stwierdzającego prosty fakt.
– Powinnam była do niego podjechać – wspominała moja matka. – Powinnam była zabrać samochód. Nie pomyślałam. Po prostu poszłam.
– Nieprawda – powtórzył. Odwrócił się od niej i oparł czoło o ścianę. – Nieprawda. – Walnął głową w ścianę tak mocno, że zatrzęsł się wiszący w pobliżu obrazek z Jezusem niosącym baranka. – Nieprawda. – Uderzył znowu i obrazek spadł z haczyka.
Wzięła wielebno Jacobsa za ramię. Zwisало bezwładnie.
– Charles, nie rób tak. – I jakby był jednym z jej dzieci, nie dorosłym mężczyzną: – Przestań, kotku.
– Nie. – Znowu uderzył czołem w ścianę. – Nie! – I jeszcze raz. – Nie!
Tym razem chwyciła go obiema rękami i odciągnęła od ściany.
– Przestań! Natychmiast przestań!
Spojrzał na nią oszołomiony. Jego czoło przecinała jaskrawoczerwona pręga.
– Ta jego mina... – powiedziała mi mama dwanaście lat później na łożu śmierci. – Chciałam uciec, ale nie mogłam. Jak człowiek pakuje się w coś takiego, musi to doprowadzić do końca.
– Chodź, pójdziemy do mnie – powiedziała do niego. – Napijesz się whisky Dicka, bo tego ci trzeba, a wiem, że tu nic takiego nie masz...
Zaśmiał się. To był szokujący dźwięk.
– ...i potem zawiozę cię do Gates Falls. Są u Peabody’ego.
– U Peabody’ego?
Czekała, aż sam sobie dopowie resztę. Wiedział, czym zajmuje się Peabody. Do tego czasu odprawił dziesiątki pogrzebów.
– Patsy nie mogła umrzeć – powiedział cierpliwym, pouczającym tonem. – Dziś środa. Środa to Dzień Spaghetti, tak mówi Morrie.
– Chodź, Charles. – Wzięła go za rękę i zaciągnęła do drzwi, a potem na piękne jesienne słońce.
Tego ranka obudził się u boku żony i zjadł śniadanie, siedząc naprzeciwko synka.

Rozmawiali o tym i o owym, jak zwykle. Nigdy nic nie wiadomo. Każdy dzień może być naszym ostatnim, nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy dotarli do drogi numer 9 – zalanej słońcem, cichej, jak prawie zawsze pustej – Jacobs, niczym nasłuchujący pies, przekrzywił głowę w stronę wycia syren dobiegającego z Sirois Hill. Na horyzoncie majaczyła smuga dymu. Spojrzał na moją matkę.

– Morrie też? Jesteś pewna?

– Chodź, Charlie. – („Wtedy jeden jedyny raz tak go nazwałam”, powiedziała mi). – Chodź, stoimy na środku drogi.

Zabrała go do Gates Falls naszym starym fordem. Pojechali przez Castle Rock. Tamtędy było co najmniej trzydzieści kilometrów dalej, ale mama wtedy już trochę ochłonęła z szoku i wróciła jej jasność myśli. Choćby musiała nadłożyć Bóg wie ile drogi, nie zamierzała przejeżdżać koło miejsca wypadku.

Dom pogrzebowy Peabody’ego był na Grand Street. Na podjeździe czekał już szary karawan marki Cadillac, kilka samochodów stało przy krawężniku. Jednym z nich był buick, krążownik szos Reggiego Keltona. Innym, zauważyła z ogromną ulgą, furgonetka z napisem OLEJ OPAŁOWY MORTONA z boku.

Tata i pan Kelton wyszli drzwiami frontowymi, kiedy mama prowadziła wielebnego Jacobsa w stronę budynku. Wtedy już był potulny jak dziecko. Patrzył w górę, wspominała, jakby próbował oszacować, kiedy kolory liści staną się najbardziej intensywne.

Tata wziął Jacobsa w ramiona, wielebny jednak nie odwzajemnił uścisku. Stał z opuszczonymi rękami i patrzył na liście.

– Charlie, tak bardzo ci współczuję – zagrzmiał Kelton. – Wszyscy ci współczujemy.

Wprowadzili go w aż za słodki zapach kwiatów. Z głośników w górze płynęła muzyka organowa, cicha jak szept i z jakiegoś powodu okropna. Myra Harrington – przez wszystkich w West Harlow zwana Babunią – już była na miejscu, pewnie dlatego, że słyszała przez telefon towarzyski rozmowę Doreen z moją mamą. Podśluchiwanie było jej hobby. Dźwignęła cielsko z kanapy w holu i przygarnęła wielebnego Jacobsa do swojego ogromnego biustu.

– Twoja ukochana żona i ukochany synek! – krzyknęła swoim wysokim, miaukliwym głosem. Mama spojrzała na tatę, oboje się skrzywili. – Cóż, teraz już są w niebie! To jedyna pociecha! Zbawieni krwią Baranka, ukołysani do snu w wiecznych ramionach Ojca Niebieskiego! – Łzy lały się po policzkach Babuni, żłobiąc grubą warstwę różowego pudru.

Wielebny Jacobs pozwolił, żeby się nad nim użaliła. Po minucie–dwóch („Kiedy już zaczynałam myśleć, że zadusi go tymi wielkimi cycami”, powiedziała mi mama) odepchnął Myrę. Nie mocno, ale stanowczo. Odwrócił się do mojego ojca i pana Keltona.

– Chcę ich zobaczyć – powiedział.

– Nie, Charlie, jeszcze nie – odparł pan Kelton. – Poczekaj trochę. Niech pan Peabody doprowadzi ich do porządku...

Jacobs przeszedł przez salę pożegnań, w której jakaś starsza pani w mahoniowej trumnie czekała na swój ostatni występ publiczny. Ruszył dalej korytarzem prowadzącym na tyły. Znał drogę jak mało kto.

Tata i pan Kelton pospieszyli za nim. Mama usiadła, a Babunia, z oczami świecącymi pod chmurą siwych włosów, zajęła miejsce naprzeciwko niej. Wtedy już była stara, po osiemdziesiątce, i kiedy nie odwiedzały jej dziesiątki wnuków i prawnuków, tylko tragedie i skandale w pełni budziły ją do życia.

– Jak to przyjął? – zapytała scenicznym szeptem. – Padłaś z nim na kolana?

– Nie teraz, Myro – powiedziała mama. – Jestem wykończona. Chcę tylko zamknąć oczy i chwilę odsapnąć.

Odpoczynek jednak nie był jej dany, bo właśnie w tej chwili z zaplecza domu pogrzebowego, gdzie przygotowywano ciała do pochówku, dobiegł przeraźliwy krzyk.

– Brzmiał jak ten wiatr, który dzisiaj wieje, Jamie – powiedziała – tylko sto razy gorzej. – Wreszcie oderwała wzrok od sufitu. Źle, że to zrobiła, bo zobaczyłem cień śmierci przyczajony tuż za blaskiem w jej oczach. – Z początku nie było słów, tylko ten skowyt jak wycie banshee. Samo to może jeszcze jakoś bym zniosła, ale na tym się nie skończyło. „Gdzie jego twarz?!”, krzyknął. „Gdzie twarz mojego synka?!”.

Kto odprawi pogrzeb? To pytanie (w stylu „kto strzyże fryzjera”) mnie dręczyło. Później wszystkiego się dowiedziałem, ale tylko z drugiej ręki; mama zdecydowała, że na pogrzeb pójdą ona, tata, Claire i Con. Dla reszty z nas mogłoby to być zbyt dużym wstrząsem (z pewnością miała w pamięci te mroźące krew w żyłach krzyki na zapleczu zakładu pogrzebowego), Terry i ja zostaliśmy więc w domu pod opieką Andy’ego. Niezbyt mi się to uśmiechało, bo Andy potrafił być wstręciuchem, zwłaszcza pod nieobecność rodziców. Jak na zdeklarowanego chrześcijanina miał zdumiewające upodobanie do robienia pokrzywek i dawania kokosów – tak mocnych, że gwiazdy stawały przed oczami.

W sobotę podwójnego pogrzebu Patsy i Morriego nie było ani pokrzywek, ani kokosów. Andy powiedział, że jeśli rodzice nie wrócą na kolację, zrobi spaghetti z puszki. Tymczasem mieliśmy oglądać telewizję i siedzieć cicho. Sam poszedł na górę i tyleśmy go widzieli. Choć bywał zrzędlawy i rządził się jak szara gęś, lubił Morriego Przylepę jak my wszyscy, no i oczywiście bujał się w Patsy (też jak my wszyscy... z wyjątkiem Cona, którego dziewczyny nie interesowały ani wtedy, ani nigdy później). Może chciał się pomodlić – wejść do swej izdebki i zamknij drzwi, radzi święty Mateusz – a może tylko w spokoju pomyśleć, spróbować dojść z tym wszystkim do ładu. Do końca życia pozostał zatwardziałym fundamentalistą, śmierć Patsy i Morriego nie zabiła w nim wiary, ale musiała mocno nią zachwiać. Moja wiara wtedy pozostała niewzruszona. Zniszczyło ją dopiero Straszne Kazanie.

Wielebny David Thomas z Kościoła kongregacyjnego w Gates Falls wygłosił mowę pogrzebową ku czci Patsy i Morriego w naszym kościele i nikogo to nie zbulwersowało, bo, jak stwierdził mój tata: „między kongregacjonalistami i metodystami nie ma za grosz różnicy”.

Wiernych zbulwersowało co innego – decyzja Jacobsa, że nabożeństwo na cmentarzu Willow Grove odprawi Stephen Givens. Givens był pastorem (nie tytułował siebie „wielebnym”) Kościoła sziloickiego, którego członkowie w owym czasie wciąż twardo trzymali się nauk Franka Westona Sandforda, wieszczka apokalipsy, który zachęcał rodziców, by chłostali dzieci za drobne grzeszki (radził im: „Musicie być srogimi nauczycielami w służbie Chrystusa”), i nawet od niemowląt wymagał trzydziestosześciodziesięciu postów.

Kościół sziloicki znacznie się zmienił od śmierci Sandforda (i dziś niewiele go różni od innych wspólnot protestanckich), ale w 1965 roku wciąż krążyła o nim masa starych plotek, dla których pożywką był osobliwy ubiór jego członków i otwarcie przez nich wyrażane przekonanie, że koniec świata nastąpi wkrótce, może już za tydzień. A mimo to okazało się, że nasz Charles Jacobs i ich Stephen Givens od lat spotykali się w Castle Rock przy kawie i byli przyjaciółmi. Po Strasznych Kazaniu niektórzy mówili, że wielebny Jacobs „zaraził się sziloizmem”. Może i tak, ale według mamy i taty (a także Cona i Claire, której słowu ufałem bardziej) podczas krótkiego nabożeństwa nad grobem Givens mówił spokojnie, krzepiąco, taktownie.

– Ani razu nie wspomniał o końcu świata – powiedziała Claire. Pamiętam, jak pięknie wyglądała tego wieczoru w ciemnoniebieskiej sukience (czarnej nie miała) i dorosłych pończochach. Pamiętam też, że prawie nie zjadła kolacji, tylko gmerła w talerzu, aż wszystko się pobełtało i upodobiło do psiej kupy.

– Który fragment Biblii przeczytał? – spytał Andy.

– Z Pierwszego Listu do Koryntian – powiedziała mama. – O tym, że widzimy jakby w zwierciadle, niejasno.

– Dobry wybór – stwierdził mój starszy brat tonem mędrca.

– Jak to zniósł wielebny Jacobs? – spytałem mamę.

– Był... cichy – powiedziała, wyraźnie zatroskana. – Chyba medytował.

– Wcale nie – wtrąciła Claire, odsuwając talerz. – Był zamroczony. Siedział na składanym krześle przy grobie i nawet się nie ruszył, kiedy pan Givens spytał, czy rzuci pierwszą garść ziemi i zmówi z nim błogosławieństwo. Nic, tylko siedział z rękami między kolanami i zwieszoną głową. – Popłakała się. – To jak sen, zły sen.

– Ale w końcu wstał i rzucił tę garść ziemi – powiedział tata, obejmując ją ramieniem. – Po jakimś czasie. Po jednej garści na każdą trumnę. Prawda, misiu?

– Uhm – odparła, płacząc jeszcze głośniej. – Jak ten sziloita wziął go za rękę i praktycznie podniósł z krzesła.

Con w ogóle się nie odzywał i dopiero w tej chwili zauważyłem, że odszedł od stołu. Zobaczyłem go za domem, stojącego przy wiązcie, na którym wisiała nasza huśtawka z opony. Oparł głowę o korę i obejmował drzewo rękami. Jego ramiona się trzęsły.

A mimo to, w odróżnieniu od Claire, zjadł kolację. Pamiętam to. Zmiotł wszystko z talerza i poprosił o dokładkę mocnym, wyraźnym głosem.

Następne trzy nabożeństwa niedzielne odprawili zaproszeni przez diakonów kaznodzieje z innych kościołów, ale nie było w tym gronie pastora Givensa. Mimo że na cmentarzu mówił spokojnie, krzepiąco, taktownie, domyślałam się, że nie brano go pod uwagę. Oprócz wrodzonej i wpojonej powściągliwości Jankesów cechuje też skłonność do bezrefleksyjnych uprzedzeń na tle religijnym i rasowym. Trzy lata później słyszałem, jak jeden z moich nauczycieli w liceum w Gates Falls powiedział do drugiego tonem oburzonym i zdumionym jednocześnie: „I po co było zabijać wielebno Kinga? Na litość boską, przecież to był porządny czarnuch!”.

Po wypadku odwołano zajęcia koła młodych metodystów. Chyba wszyscy byliśmy z tego zadowoleni – nawet Andy, znany jako Cesarz Ćwiczeń z Biblii. Ani my nie byliśmy gotowi stanąć przed wielebnym Jacobsem, ani on przed nami. Nie znieśliśmy widoku kącika z zabawkami, w którym Claire i inne dziewczyny zabawiały Morriego (i siebie same). No i kto przygrywałby nam na pianinie? Pewnie znalazłby się ktoś w okolicy, ale Charles Jacobs nie był w stanie szukać chętnych, zresztą to nie byłoby to samo bez blond włosów Patsy kołyszących się z boku na bok, kiedy grała radosne hymny jak *We Are Marching to Zion*. Teraz te blond włosy były pod ziemią i sztywniały na atlasowej poduszce w ciemności.

Pewnego szarego listopadowego popołudnia, kiedy Terry i ja malowaliśmy na naszych oknach indyki i rogi obfitości – farbą w sprayu, od szablonów – odezwał się telefon. Jeden długi, jeden krótki dzwonek: znak, że to do nas. Mama odebrała, chwilę mówiła, po czym odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do mnie i Terry’ego.

– To był wielebny Jacobs. W tę niedzielę wygłosi kazanie z okazji Święta Dziękczynienia. To miło, prawda?

Lata później – byłem wtedy w szkole średniej, a Claire przyjechała na wakacje z Uniwersytetu Stanu Massachusetts – spytałem siostrę, czemu nikt go nie powstrzymał. Byliśmy za domem i bujaliśmy starą huśtawką z opony. Nie musiała pytać, kogo mam na myśli; tamto kazanie zostawiło bliznę w nas wszystkich.

– Chyba dlatego, że wydawał się taki rozsądny. Taki... normalny. Zanim do ludzi dotarło, co tak naprawdę mówi, było za późno.

Może i tak, ale pamiętam, że Reggie Kelton i Roy Easterbrook przerwali mu pod koniec, i że wiedziałem, że coś jest nie tak, jeszcze zanim zaczął, bo po czytaniu z Pisma Świętego nie powiedział zwyczajowego „niech Słowo Boże będzie błogosławione”. Nigdy o tym nie zapomniał, nawet tego dnia, kiedy go poznałem i pokazał mi małego Elektrycznego Jezusa kroczącego po Jeziorze Pokoju.

Czytanie w dniu Straszego Kazania było z trzynastego rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian, tego samego, po który pastor Givens sięgnął nad dwoma grobami – jednym dużym, jednym małym – na cmentarzu Willow Grove: „Po części bowiem tylko poznajemy i po części prorokujemy. Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe, zniknie to, co jest tylko częściowe. Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce. Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany”.

Zamknął dużą Biblię na pulpicie – nie mocno, ale wszyscy usłyszeliśmy głuchy huk. Kościół metodystyczny w West Harlow zapelniał się tej niedzieli, wszystkie ławy były zajęte, ale panowała martwa cisza, nikt nawet nie kasłał. Pamiętam, że modliłem się o to, by jakoś przez to przebrnąć; żeby nie zalał się łzami.

Myra Harrington – Babunia – siedziała w pierwszej ławie i choć odwrócona była do mnie plecami, mogłem sobie wyobrazić jej oczy, na poły schowane w żółtawych fałdach tłuszczu, skrzące się żarliwym blaskiem. Moja rodzina była w trzecim rzędzie, jak zawsze. Mama siedziała spokojnie, ale widziałem, że dłońmi w białych rękawiczkach ścisnęła dużą Biblię w miękkiej oprawie dość mocno, by wygiąć ją w kształt litery U. Claire zeskubała zębami szminkę z ust. Cisza między końcem czytania z Pisma Świętego a początkiem mowy znanej od tej pory w Harlow jako Straszne Kazanie nie mogła trwać dłużej niż pięć, góra dziesięć sekund, ale w moim odczuciu ciągnęła się w nieskończoność. Jacobs pochylał głowę nad wielką Biblią z błyszczącymi złotymi brzegami. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, ukazując spokojną, opanowaną twarz, po kościele przeszło zbiorowe westchnienie ulgi.

– To był dla mnie ciężki, burzliwy okres – powiedział. – Właściwie nie muszę wam tego mówić; tworzymy zżytą społeczność, wszyscy się znamy. Służyliście mi pomocą na wszelkie możliwe sposoby i zawsze będę wam za to wdzięczny. Szczególnie pragnę podziękować Laurze Morton, która przekazała mi wiadomość o mojej stracie tak delikatnie, z taką życzliwością i troską.

Kiwnął jej głową. Ona odpowiedziała tym samym, uśmiechnęła się i otarła łzę dłonią w białej rękawiczce.

– Przez czas między tym tragicznym dniem a dzisiejszym porankiem oddawałem się rozmyśleniom i studiom. Chciałbym dodać „i modlitwie”, ale choć raz za razem padałem na kolana, nie czułem obecności Boga, więc rozmyślenia i studia musiały wystarczyć.

Cisza w kościele. Wszystkie oczy zwrócone na niego.

– Wybrałem się do biblioteki w Gates Falls w poszukiwaniu „New York Timesa”, ale w zbiorach mają tylko „Weekly Enterprise”, odesłali mnie więc do Castle Rock, gdzie „Times”

dostępny jest na mikrofilmach... „szukajcie, a znajdziecie”, powiada nam święty Mateusz i kurczę, miał człowiek rację.

Na te słowa kilku ludzi zaśmiało się cicho, ale szybko umilkli. Nikt nie wiedział, czy to był żart, czy nie.

– Chodziłem tam dzień w dzień, przeglądałem mikrofilmy, aż mnie głowa rozboleła, i pragnę przedstawić wam choć część faktów, które znalazłem.

Z kieszeni czarnej marynarki wyjął kilka fiszek.

– W czerwcu zeszłego roku trzy małe tornada przeszły przez miasteczko May w stanie Oklahoma. Były straty materialne, ale obyło się bez ofiar w ludziach. Mieszkańcy zebrali się w kościele baptystycznym, żeby odśpiewać hymny pochwalne i zmówić modlitwy dziękczynne. Kiedy tam byli, nad May nadciągnęło czwarte tornado, istne monstrum kategorii F5, i zniszczyło kościół. Zginęło czterdzieści jeden osób. Trzydzieści innych było poważnie rannych, w tym dzieci, które straciły ręce i nogi.

Przełożył fiszkę na spód stosiku i spojrzał na następną.

– To być może pamiętacie. W sierpniu zeszłego roku pewien człowiek wypłynął z dwoma synami łódką na jezioro Winnepesaukee. Zabrali swojego psa. Pies wypadł za burtę i obaj chłopcy skoczyli mu na ratunek. Kiedy ojciec zobaczył, że synowie toną, rzucił im się na pomoc, niechcący przewracając łódkę. Wszyscy trzej zginęli. Pies dopłynął do brzegu. – Podniósł głowę i, o dziwo, przelotnie się uśmiechnął; jakby słońce nieśmiało wyjrzało przez całun chmur w zimny styczniowy dzień. – Próbowałem ustalić dalsze losy tego psa... czy kobieta, która straciła męża i synów, zatrzymała go, czy uśpiła... ale ta informacja była niedostępna.

Zerknąłem ukradkiem na braci i siostrę. Terry i Con wydawali się tylko zdumieni. Andy pobladł z przerażenia, gniewu albo jednego i drugiego. Trzymał mocno zaciśnięte pięści na kolanach. Claire płakała bezgłośnie.

Następna fiszka.

– Październik ubiegłego roku. Huragan wdarł się na ląd niedaleko Wilmington w Karolinie Północnej i zabił siedemnaście osób. Wśród ofiar było sześcioro dzieci z przykościelnego żłobka. Siódme zaginęło. Jego ciało znaleziono tydzień później na drzewie.

Następna.

– Teraz parę słów o rodzinie misjonarzy, którzy nieśli żywność, leki i Dobrą Nowinę ubogim w dawnym Kongu Belgijskim, dziś znanym jako, zdaje się, Zair. Było ich pięcioro. Zostali zamordowani. Choć autor artykułu nie napisał tego wprost... jak wiecie, „New York Times” zamieszcza tylko wiadomości, które nadają się do druku... to sugerował, że zabójcy mogli wykazywać skłonności ludożercze.

Rozległ się szmer dezaprobaty, ogniskujący się wokół Reggiego Keltona. Słyszając to, Jacobs uniósł dłoń w geście błogosławieństwa.

– Nie muszę wchodzić w dalsze szczegóły, wyliczać pożarów, powodzi, trzęsień ziemi, zamieszek, morderstw, choć mógłbym. Na świecie takich zdarzeń jest bez liku. A mimo to lektura tych wszystkich artykułów przyniosła mi pewną pociechę, dowodzą one bowiem, że nie jestem osamotniony w moim cierpieniu. Pociecha to jednak dość marna, bo gdy ludzie giną w takich okolicznościach... jak moja żona i syn... ich śmierć wydaje się okrutna i niezrozumiała. Chrystus wstąpił do nieba w swoim ciele, powiada Pismo Święte, ale my, nieszczęśni śmiertelnicy, tu, na tym padole, aż za często zostajemy sami z ohydnyimi kupami zmasakrowanego mięsa i tym nieustannie huczącym w głowie pytaniem: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Przez całe życie czytałem Pismo Święte, najpierw na kolanach matki, potem w kole młodych metodystów i na studiach teologicznych, i mogę wam powiedzieć, przyjaciele, że Biblia

nigdzie bezpośrednio tej kwestii nie porusza. Najbliższe do niej nawiązanie znajdziemy w Liście do Koryntian, gdzie święty Paweł mówi mniej więcej tak: „Nie pytajcie, bracia, bo i tak nie zrozumiecie”. Kiedy Hiob ośmielił się prosić o wyjaśnienia samego Boga, otrzymał jeszcze bardziej obcesową odpowiedź: „Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię?”. Co w wolnym tłumaczeniu znaczy, jak ujęliby to nasi młodszy parafianie, „Spadaj na szczaw, koleś”.

Tym razem nikt się nie zaśmiał.

Wielebny Jacobs wpatrywał się w nas ze słabym uśmiechem igrającym w kącikach ust. Światło wpadające przez witraż malowało niebieskie i czerwone brylanty na jego lewym policzku.

– Religia ma podnosić na duchu w trudnych czasach. Bóg jest naszym kijem i naszą laską, oznajmia Wielki Psalm; będzie z nami, da nam oparcie, gdy wyruszymy w tę nieuniknioną wędrówkę ciemną doliną. Inny psalm zapewnia, że Bóg jest dla nas ucieczką i mocą, choć ludzie, którzy zginęli w tym kościele w Oklahomie, mogliby z tą tezą polemizować... gdyby wciąż mieli usta, którymi byliby w stanie wyrazić obiekcje. A ten ojciec i jego dwaj synowie, tonący, bo próbowali ratować swojego psa... czy zapytali Boga, co się dzieje? O co tu chodzi? I czy odpowiedział: „Powiem wam za parę minut, chłopaki”, gdy woda zalewała ich płuca, a umysły zasnuwał mrok śmierci?

Powiedzmy sobie wprost, co święty Paweł miał na myśli, mówiąc o tym niejasnym zwierciadle. Chodziło mu o to, że mamy wszystko przyjmować na wiarę. Jeśli nasza wiara jest silna, pójdziemy do nieba i tam wszystko zrozumiemy. Jakby życie było dowcipem, a my dopiero w niebie poznamy jego kosmiczną pointę.

W kościele rozbrzmiewał cichy kobiecy szloch i bardziej stanowcze męskie pomruki niezadowolenia. Na razie jednak nikt nie wyszedł ani nie wstał, by powiedzieć wielebnemu Jacobsowi, że to, co mówi, zakrawa na bluźnierstwo. Wszyscy wciąż byli zbyt oszołomieni.

– Kiedy miałem już dość czytania o niewinnych ludziach ginących w pozornie przypadkowych i często makabrycznych okolicznościach, zająłem się studiami nad różnymi odłamami chrześcijaństwa. Boże drogi, przyjaciele, nawet nie przypuszczałem, że jest ich aż tyle! Istna Wieża Doktryny! Katolicy, episkopaliańskie, metodyści, baptyści fundamentalistyczni i liberalni, anglikanie, luteranie, prezbiterianie, unitarianie, świadkowie Jehowy, Adwentyści Dnia Siódmego, kwakrzy, szejkersi, greckie prawosławie, Kościoły orientalne, sziloici... nie wolno o nich zapomnieć... i pół setki innych.

Tu, w Harlow, wszyscy mamy telefony towarzyskie i odnoszę wrażenie, że religia jest największym telefonem towarzyskim ze wszystkich. Pomyślcie, jakie zatory muszą powstawać na łączach w niedzielne poranki! I wiecie, co mnie fascynuje? Każdy bez wyjątku Kościół szerzący Chrystusową naukę jest przekonany, że on jeden ma bezpośrednie połączenie z Wszechmogącym. I, dobry Boże, nawet nie wspominałem o muzułmanach, żydach, teozofach, buddystach czy tych, którzy wielbią samą Amerykę równie żarliwie jak przez osiem–dwanaście koszmarnych lat Niemcy wielbili Hitlera.

Wtedy ludzie zaczęli wychodzić. Najpierw tylko kilkoro z tyłu, ze spuszczonej głowami i zgarbionymi ramionami (jakby dostali klapsa), potem stopniowo coraz więcej. Wielebny Jacobs zdawał się tego nie zauważać.

– Niektóre z tych sekt i wyznań są nastawione pokojowo, ale największe... czy raczej te, którym się najlepiej powodzi, zbudowano na krwi, kościach i krzykach cierpienia tych, którzy mieli czelność nie oddać pokłonu ich wersji Boga. Rzymianie rzucali chrześcijan na pożarcie lwom; chrześcijanie ćwiartowali tych, których uznawali za heretyków, czarowników czy czarownice; Hitler złożył miliony Żydów w ofierze fałszywemu bogu czystości rasowej. Miliony spalono, zastrzelono, powieszono, połamano kołem, otruto, zabito prądem i dano na rozszarpanie

psom... wszystko w imię Boga.

Moja mama głośno szlochała, ale nie spojrzałem na nią. Nie mogłem. Zastygłem w całkowitym bezruchu. Z przerażenia, tak, oczywiście. Miałem zaledwie dziewięć lat. Była też jednak we mnie dzika, niejasna euforia, poczucie, że ktoś nareszcie mówi mi szczerą, nieupiększoną prawdę. Po trosze miałem nadzieję, że wielbny Jacobs zamilknie; głównie jednak gorąco pragnąłem, żeby kontynuował, i moje życzenie się spełniło.

– Chrystus uczy nas, że mamy nadstawiać drugi policzek i miłować naszych nieprzyjaciół. My na pokaz pochwalamy tę zasadę, gdy jednak ktoś nas uderzy, przeważnie staramy się mu odplacić w dwójnasób. Chrystus przegnał lichwiarzy ze świątyni, ale tych naciągaczy nie da się przegonić na długo; jeśli kiedykolwiek byliście na organizowanej przez kościół loterii albo słyszeliście w radiu kaznodzieję zebrzącego o datki, doskonale wiecie, o czym mówię. Izajasz prorokował, że nadejdzie dzień, kiedy miecze przekujemy na lemiesz, ale w obecnych mrocznych czasach przekuwa się je na bomby atomowe i międzykontynentalne pociski balistyczne.

Reggie Kelton wstał. Był tak czerwony, jak blady był mój brat Andy.

– Niech wielbny usiądzie. Wielbny nie jest sobą.

Jacobs nie usiadł.

– I cóż dostajemy za naszą wiarę? Za stulecia, przez które ofiarowaliśmy temu czy innemu Kościołowi naszą krew i skarby? Zapewnienie, że u kresu tego wszystkiego czeka nas niebo, a kiedy się tam dostaniemy, poznamy pointę dowcipu i powiemy „Aha! Teraz rozumiem”. To jest ta wielka nagroda. Wbija to się nam do głów od najmłodszych lat: niebo, niebo, niebo! Zobaczymy nasze utracone dzieci, ukochane matki wezmą nas w ramiona! To jest marchewka. Kijem, którym się nas okłada, jest piekło, piekło, piekło! Szeol wiekuistej męki i potępienia. Straszmy dzieci tak małe jak mój kochany zmarły synek, że będą się smażyć w piekle, jeśli ukradną cukierka czy nie powiedzą prawdy o tym, jak przemoczyły nowe buciki.

Nie ma żadnego dowodu, że jakiegokolwiek zaświaty istnieją; żadnej podstawy naukowej; jest tylko suche zapewnienie, połączone z naszą silną potrzebą wiary, że to wszystko ma sens. Kiedy jednak stałem na zapleczu domu pogrzebowego Peabody’ego i patrzyłem na zmasakrowane szczątki mojej żony i synka, którego dużo bardziej ciągnęło do Disneylandu niż do nieba, doznałem objawienia. Religia to teologiczny odpowiednik klasycznego przekreślenia ubezpieczeniowego, polegającego na tym, że rok po roku wnosisz składki, po czym, kiedy chcesz ze swojej sumiennie opłacanej polisy skorzystać, dowiadujesz się, że firma, która brała od ciebie pieniądze, tak naprawdę nie istnieje.

W szybko pustoszącym kościele wstał Roy Easterbrook; nieogolone, potężne chłopisko. Mieszkał na zastawionym rdzewiejącymi przyczepami mieszkalnymi małym kempingu we wschodniej części Harlow, blisko granicy Freeport. Z reguły przychodził tylko w Boże Narodzenie, dziś jednak zrobił wyjątek.

– Wielbny – powiedział – słyszałem, że w schowku wielbnego samochodu była flaszka gorzały. A Mert Peabody mówił, że jak się schylił nad panią pastorową, coby ją oporządzić, waliło od niej jak z gorzelnii. Szuka wielbny powodu? To jest powód. Cały tego sens. Nie ma wielbny w sobie siły, żeby przyjąć wolę Bożą? W porządku. Ale niech wielbny zostawi innych w spokoju. – To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł ciężkim krokiem.

Jacobsa zamurowało. Kurczowo trzymał się ambony, oczy mu płonęły w białej twarzy, usta miał zaciśnięte tak mocno, że zniknęły.

Wtedy podniósł się mój tata.

– Charles, musisz skończyć.

Wielbny Jacobs potrząsnął głową, jakby usiłował oprzytomnieć.

– Tak, masz rację, Dick. Cokolwiek powiem, to i tak niczego nie zmieni.

A jednak coś zmieniło. Przynajmniej dla jednego małego chłopca.

Jacobs cofnął się, potoczył dookoła wzrokiem, jakby nie pamiętał, gdzie jest, po czym wrócił na ambonę, choć teraz już nie słuchał go nikt oprócz mojej rodziny, diakonów i Babuni, wciąż wybałuszającej oczy w pierwszym rzędzie.

– Jeszcze jedno. Nie wiemy, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy. Może coś tam jest, ale idę o zakład, że nie jest to Bóg w rozumieniu jakiegokolwiek Kościoła. Wsłuchajcie się w cały ten jazgot sprzecznych wierzeń, a stanie się to dla was oczywiste. Wykluczają się nawzajem i nie pozostawiają nic. Jeśli szukacie prawdy, siły wyższej od was samych, prędzej znajdziecie ją w piorunie... miliard woltów w każdym uderzeniu, sto tysięcy amperów prądu, temperatura dwadzieścia siedem tysięcy stopni Celsjusza. W tym jest wyższa siła, przyznaję. Ale tu, w tym budynku? Nie. Wierzcie, w co chcecie, lecz powiem wam jedno: w mętnym zwierciadle świętego Pawła nie skrywa się nic prócz kłamstwa.

Zszedł z ambony i zniknął za bocznymi drzwiami kościoła. Rodzina Mortonów siedziała w ciszy, jaka zapewne zapada po wybuchu bomby.

Kiedy wróciliśmy do domu, mama poszła do dużej sypialni w głębi, zażądała, żeby jej nie przeszkadzać, i zamknęła się w środku. Spędziła tam resztę dnia. Claire ugotowała kolację i jedliśmy w prawie zupełnym milczeniu. W pewnym momencie Andy zaczął cytować jakiś ustęp z Biblii, który miał wykazywać całkowitą niesłuszność słów wielebnego, ale tata kazał mu zamknąć jadaczkę. Andy ujrzał, że ojciec ma dłonie wciśnięte głęboko do kieszeni, i zasznurował usta.

Po kolacji tata poszedł do garażu, gdzie dłużył w Rakiecie Szos II. Ten jeden jedyny raz Terry – zwykle jego wierny asystent, prawie akolita – nie towarzyszył mu, więc zrobiłem to ja... choć nie bez wahania.

– Tatusiu, mogę cię o coś spytać?

Był pod Rakietą na pelzaku na kółkach, z okratowaną lampką w ręku. Wystawały tylko jego nogi w drelichowych spodniach.

– Jasne. Chyba że chodzi o ten cholerny bajzel dziś rano. Jeśli tak, to tobie też radzę zamknąć jadaczkę. Dziś nie będę do tego wracał. Jutro będzie na to dość czasu. Będziemy musieli wnieść petycję do Konferencji Metodystów Nowej Anglii, żeby go zwolnili, a oni będą musieli z tym pójść do biskupa Matthewsza z Bostonu. Jeden wielki zasrany burdel. Jeżeli powiesz matce, że użyłem przy tobie takich słów, przetrzepie mi skórę jak dywan przed Wielkanocą.

Nie wiedziałem, czy moje pytanie dotyczy Straszego Kazania, czy nie, wiedziałem tylko, że muszę je zadać.

– Czy pan Easterbrook powiedział prawdę? Ona piła?

Światło pod samochodem znieruchomiało. Tata wysunął się spod podwozia, żeby na mnie spojrzeć. Bałem się, że będzie zły, ale nie był zły. Tylko nieszczęśliwy.

– Chodziły takie plotki i pewnie teraz, kiedy ten matol Easterbrook powiedział o tym na głos, rozniosą się jeszcze szerzej, ale posłuchaj mnie, Jamie: to nie ma znaczenia. George Barton dostał ataku padaczki, był po złej stronie drogi, a ona wyjechała zza zakrętu i bach. To nieważne, czy była trzeźwa, czy miała w czubie. Nawet Mario Andretti nie uniknąłby tego wypadku. Wielebny co do jednego miał rację: ludzie zawsze chcą znać przyczynę nieszczęść, które ich spotykają. A czasem jej nie ma.

Wymierzył we mnie umorusany smarem palec.

– Cała reszta to było pieprzenie zrozpaczonego człowieka i nie waz się o tym zapomnieć.

W srodę przed Świętem Dziękczynienia mieli nas puścić wcześniej ze szkoły, ale obiecałem pani Moran, że zostaną pościerać tablice i zrobić porządek w naszej małej bibliotece pełnej sfatygowanych książek. Kiedy powiedziałem o tym mamie, machnęła ręką rozkojarzona i kazała tylko, żeby wrócił na kolację. Wkładała już indyka do piekarnika, ale wiedziałem, że na pewno nie był dla nas; taki mały nie starczyłby dla siedmiu osób.

Jak się okazało, Kathy Palmer (lizuska, jakich mało) też została, żeby mi pomóc, i uwinęliśmy się z robotą w pół godziny. Pomyślałem, żeby pójść do Ala lub Billy'ego pobawić się pistoletami, ale wiedziałem, że na pewno chcieliby gadać o Straszonym Kazaniu i o tym, jak to pani Jacobs zabiła siebie i Morriego, bo była nawalona w trzy dupy – plotka ta rzeczywiście nabrała wiarygodności niezaprzeczalnego faktu – a nie miałem na to najmniejszej ochoty, więc wróciłem do domu. Dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, okna były pootwierane i słyszałem, że moja siostra kłóci się z mamą.

– Dlaczego nie mogę pójść? – spytała Claire. – Chcę, by wiedział, że w tej durnej dziurze zabitej dechami są jeszcze ludzie, którzy stoją po jego stronie!

– Bo twój ojciec i ja uważamy, że wszystkie nasze dzieci powinny trzymać się od niego z dala – powiedziała moja matka. Były w kuchni, a ja w tej chwili stałem pod jej oknem.

– Nie jestem już dzieckiem, mam siedemnaście lat!

– Przykro mi, ale w tym wieku jesteś jeszcze dzieckiem, i to nie uchodzi, żeby pastora odwiedzała młoda dziewczyna. Musisz mi uwierzyć na słowo i tyle.

– A tobie uchodzi? Wiesz, że Babunia cię zobaczy i zaraz obdzwoni całą okolicę! Jeśli tam idziesz, pozwól mi pójść z tobą!

– Powiedziałam „nie”. Koniec dyskusji.

– Przywrócił Conowi głos! – wybuchnęła Claire. – Jak możesz być tak wredna?

Nastąpiła długa pauza.

– Właśnie dlatego do niego idę – powiedziała wreszcie moja matka. – Nie żeby zanieść mu coś do jedzenia na jutro, tylko żeby pokazać, że jesteśmy wdzięczni mimo tego okropnego kazania.

– Wiesz, dlaczego tak mówił! Dopiero co stracił żonę i synka, był rozbity! Odchodził od zmysłów!

– Ależ ja to wiem. – Mama zniżyła głos i musiałem wyteńczyć słuch, żeby ją dosłyszeć, bo Claire głośno płakała. – Co nie zmienia faktu, że ludzie byli w szoku. Przeholował.

Zdecydowanie. Za tydzień odchodzi i tak będzie najlepiej. Kiedy wiesz, że cię zwolnią, trzeba wcześniej samemu zrezygnować. Wtedy można zachować trochę szacunku dla siebie.

– Domyślam się, że zwolnią go diakoni – powiedziała Claire szyderczo. – Czyli tata też.

– Twój ojciec nie ma wyboru. Kiedy przestaniesz być dzieckiem, może to do ciebie dotrze i wykażesz trochę zrozumienia. Dickowi jest z tym potwornie ciężko.

– No to idź. – Claire zrezygnowała z walki. – Zobaczymy, czy kilka plastrów piersi indyka i słodkich ziemniaków wynagrodzi mu to, jak go wszyscy traktujecie. Założę się, że nawet tego nie tknie.

– Claire... misiu...

– Nie nazywaj mnie tak! – krzyknęła moja siostra i usłyszałem głośny tupot jej nóg oddalający się w stronę schodów. Pewnie trochę się podąsa i popłacze sobie w sypialni, pomyślałem. Potem jej przejdzie, tak jak wtedy, kiedy mama orzekła, że w wieku piętnastu lat jest zdecydowanie za młoda, żeby pojechać do kina samochodowego z Donniem Cantwellem.

Postanowiłem dać drapaką na podwórko za domem, zanim mama wyjdzie ze swoim specjalnie przygotowanym obiadem. Usiadłem na huśtawce z opony, właściwie nie w ukryciu, ale i nie na widoku. Po dziesięciu minutach usłyszałem trzask zamykanych drzwi frontowych. Wyrząłem zza węgła i zobaczyłem, że mama idzie drogą z przykrytą folią tacą w rękach. Folia skrzyła się w słońcu. Wszedłem do domu i wdrapałem się schodami na piętro. Zapukałem do drzwi siostry ozdobionych wielkim plakatem Boba Dylana.

– Claire?

– Idź sobie! – krzyknęła. – Nie chcę z tobą rozmawiać! – Gramofon grał dalej. Yardbirds, na cały regulator.

Mama wróciła po jakiejś godzinie – dość długa wizyta, zważywszy, że podobno poszła tam tylko zanieść jedzenie – i choć byliśmy wtedy z Terryem w salonie, gdzie oglądaliśmy telewizję i toczyliśmy bój o najlepsze miejsce na kanapie (pośrodku, gdzie sprężyny nie kłuły w tyłek), ledwo nas zauważyła. Con był na górze, grał na gitarze, którą dostał na urodziny. I śpiewał.

W pierwszą niedzielę po Święcie Dziękczynienia na ambonie ponownie stanął David Thomas z Kościoła kongregacyjnego w Gates Falls. Ławy także i tym razem się zappełniły, może dlatego, że ludzie byli ciekawi, czy zjawi się wielebny Jacobs i zacznie wygadywać kolejne herezje. Gdyby spróbował, jestem pewien, że zamknęliby mu usta, zanim zdołałby się rozkręcić, może nawet wynieśliby go z kościoła. Jankesi traktują religię poważnie.

Nazajutrz, w poniedziałek, wróciłem ze szkoły biegiem, nie spacerkiem jak zwykle. Miałem pewien pomysł i chciałem zdążyć do domu przed przyjazdem autobusu szkolnego. Kiedy się wreszcie zjawił, złapałem Cona i zaciągnąłem go na podwórko.

– A ciebie co ugryzło? – spytał.

– Musisz pójść ze mną na plebanie – powiedziałem. – Wielebny Jacobs niedługo wyjeżdża, może już jutro, i powinniśmy się z nim przedtem zobaczyć. Powiedzieć mu, że nadal go lubimy.

Oderwał się ode mnie i otrzepał swoją koszulkę Ivy League, jakby w obawie, że przeszły na niego moje pchły.

– Zwariowałeś? Ani myślę. Powiedział, że nie ma Boga.

– Ale naelektryzował ci gardło i przywrócił głos.

Con niepewnie wzruszył ramionami.

– Głos wróciłby sam z siebie. Tak powiedział doktor Renault.

– Powiedział, że wróci za tydzień lub dwa. To było w lutym. A w kwietniu ciągle nie mogłeś mówić. Po dwóch miesiącach.

– No i co? Trochę się to przeciągnęło i tyle.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Co, cykor cię obleciał?

– Powtórz to, a dam ci w zęby.

– Może mu chociaż podziękujesz?

Patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami i czerwonymi policzkami.

– Nie wolno nam się z nim widywać, mama i tata zabronili. To wariat i pewnie pijak jak jego żona.

Zaniemówiłem. W moich oczach zalśniły łzy. Łzy wściekłości, nie smutku.

– Poza tym – powiedział Con – muszę przynieść drewna, zanim tata wróci, bo będę miał przerąbane. Dlatego skończ tę gadkę, Jamie.

Zostawił mnie i poszedł. Mój brat, który wyrósł na jednego z najwybitniejszych astronomów na świecie – w 2011 roku odkrył czwartą planetę leżącą w tak zwanej strefie Złotowłosej, zapewniającej warunki sprzyjające rozwojowi życia – zostawił mnie i poszedł. I nigdy więcej nawet słowem nie wspomniał o Charlesie Jacobsie.

Nazajutrz, we wtorek, znów pobiegłem drogą numer 9, jak tylko wyszedłem ze szkoły. Ale nie wybierałem się do domu.

Przed plebanią stał nowy samochód. No, właściwie nie nowy; ford fairlane rocznik 1958 z rdzewiejącymi progami i pękniętą szybą od strony pasażera. Kłapa bagażnika była podniesiona. Zjrzałem do środka. Zobaczyłem dwie walizki i masywny aparat elektroniczny, który wielebny Jacobs pokazał na jednym z czwartkowych spotkań – oscyloskop. Jacobs był w swoim warsztacie. Z wnętrza dochodziły jakieś hałasy.

Stałem przy jego nowym-starym samochodzie i myślałem o belvedere, z którego został tylko wypalony wrak. Korciło mnie, żeby zrobić w tył zwrot i nawiać do domu. Ciekawe, czy moje życie dziś wyglądałoby inaczej, gdybym to zrobił. Ciekawe, czy teraz pisałbym te słowa. No ale tego nigdy się nie dowiemy, prawda? Święty Paweł miał całkowitą rację co do tego mętnego zwierciadła. Patrzymy w nie całe życie i nie widzimy nic oprócz własnego odbicia.

Zebrałem całą odwagę i poszedłem do szopy. Jacobs chował elektroniczne urządzenia do drewnianej skrzyni wyściełanej wielkimi arkuszami zmiętego brązowego papieru. Zrazu mnie nie zauważył. Był w dżinsach i prostej białej koszuli. Koloratka zniknęła. Dzieci z reguły nie dostrzegają zmian zachodzących w dorosłych, ale poznałem, że schudł. Stał w snopie światła słonecznego i kiedy w końcu mnie usłyszał, podniósł głowę. Przybyło mu zmarszczek na twarzy, ale zniknęły, gdy uśmiechnął się na mój widok. Ten uśmiech był tak smutny, że ugodził mnie prosto w serce jak strzała.

Bez namysłu pobiegłem do niego. Rozłożył ramiona, podniósł mnie z ziemi i pocałował w policzek.

– Jamie! – krzyknął. – Tyś jest Alfa i Omega!

– Hę?

– Apokalipsa, rozdział pierwszy, werset ósmy. „Jam jest Alfa i Omega”, czyli początek i koniec. Ciebie pierwszego poznałem po przyjeździe do Harlow i ciebie ostatniego widzę przed wyjazdem. Tak bardzo, bardzo się cieszę, że przyszedłeś.

Popłakałem się. Nie chciałem, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Przepraszam, wielebny. Przepraszam za wszystko. Wtedy w kościele wielebny miał rację, to nie fair.

Pocałował mnie w drugi policzek i postawił na ziemi.

– Zdaje się, że nie całkiem tak to ująłem, ale rzeczywiście, taki był ogólny sens. Nie że powinieneś poważnie traktować to, co wtedy mówiłem; nie byłem przy zdrowych zmysłach. Twoja matka to odgadła. Tak powiedziała, kiedy przyniosła mi ten smakowity posiłek na Święto Dziękczynienia. I życzyła mi wszystkiego najlepszego.

Słyszac to, poczułem się trochę lepiej.

– Dała mi też dobrą radę: żebym pojechał daleko od Harlow i zaczął od nowa.

Powiedziała, że może w nowym miejscu odzyskam wiarę. Mocno w to wątpię, ale co do wyjazdu miała rację.

– Nigdy więcej wielebnego nie zobaczę.

– Nie mów tak, Jamie. Nigdy. Ludzkie ścieżki nieustannie się krzyżują na tym naszym świecie, czasem w najdziwniejszych sytuacjach. – Wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę i wytarł łzy

z mojej twarzy. – Tak czy inaczej, będę cię pamiętał. Mam nadzieję, że czasem o mnie pomyślisz.

– Na pewno. – I dorzuciłem ten stary tekst: – Jak amen w pacierzu.

Wrócił do stołu roboczego, teraz smętnie nagiego, i spakował ostatnie rzeczy – dwie duże kwadratowe baterie, które nazywał „suchymi ogniwoami”. Zamknął wieko skrzyni i zaczął ją przewiązywać dwoma kawałkami solidnego sznura.

– Connie chciał przyjść ze mną i wielebnemu podziękować, ale ma dzisiaj... hm... trening piłki nożnej, zdaje się.

– Nie ma sprawy. Wątpię, czy tak naprawdę cokolwiek mi zawdzięcza.

Byłem w szoku.

– Na litość boską, przecież wielebny przywrócił mu głos! Swoim wynalazkiem!

– Ach, tak. Moim wynalazkiem. – Zawiązał drugi kawałek sznura i mocno zadzierzgnął.

Rękawy koszuli miał podwinięte i zobaczyłem imponujące mięśnie. Nigdy wcześniej ich nie zauważyłem. – Elektrycznym Stymulatorem Nerwów.

– Powinien wielebny go sprzedawać! Zbiłby wielebny fortunę!

Położył łokieć na skrzyni, wsparł głowę na dłoni i wbił we mnie wzrok.

– Tak myślisz?

– Tak!

– Głęboko w to wątpię. I nie sądzę, żeby to mój stymulator przywrócił głos twojemu bratu. Widzisz, zmontowałem go tego samego dnia, kiedy przyszliście. – Zaśmiał się. – Zasilany był malutkim japońskim silniczkiem z zabawkowego robota Morriego.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Idea jest słuszna, o tym jestem przekonany, ale takie prototypy składane naprędce, bez eksperymentów weryfikujących każdy kolejny krok, bardzo rzadko działają. A mimo to sądziłem, że szansa istnieje, bo nigdy nie wątpiłem w trafność pierwotnej diagnozy doktora Renault. To był naciągnięty nerw, nic więcej.

– Ale...

Dźwignął skrzynię. Mięśnie ramion wyrzuciły się, pod skórą zarysowały się żyły.

– Chodź ze mną, mały.

Poszedłem za nim do samochodu. Postawił skrzynię obok tylnego zderzaka, zajrzał do bagażnika i stwierdził, że będzie musiał przenieść walizki na tylne siedzenie.

– Mógłbyś wziąć tę małą, Jamie? Nie jest ciężka. W daleką podróż najlepiej brać jak najmniej bagażu.

– Dokąd wielebny pojedzie?

– Nie mam pojęcia, ale myślę, że dowiem się, kiedy tam dotrę. O ile ten gruchot się nie zepsuje. Spala tyle ropy, że niedługo jej w Teksasie zabraknie.

Przenieśliśmy walizki na tylne siedzenie forda, po czym wielebny Jacobs dźwignął dużą skrzynię i stękając z wysiłku, włożył ją do bagażnika. Zatrzasnął klapę i oparł się o nią, wpatrzony we mnie.

– Masz wspaniałą rodzinę, Jamie. Rodzice poświęcają wam wiele uwagi. Gdybym ich poprosił, żeby opisali ciebie i twoje rodzeństwo, idę o zakład, że powiedzieliby, iż Claire wam matkuje, Andy się rządzi...

– O rany, i to jak!

Uśmiechnął się szeroko.

– W każdej rodzinie trafia się taki rodzynek, chłopie. Terry’ego nazwaliby majsterklepką, a ciebie marzycielem. A co powiedzieliby o Conie?

– Że jest uczniem. Albo może folkowcem, odkąd ma gitarę.

– Być może, ale założę się, że nie to najpierw przyszłoby im do głowy. Przyjrzałeś się kiedyś paznokciom Cona?

Zaśmiałem się.

– Obgryza je jak szalony! Raz tata obiecał mu dolara, jeśli na tydzień przestanie, ale Con nie dał rady!

– Jest nerwusem, Jamie... tak powiedzieliby twoi rodzice, gdyby mieli być zupełnie szczerzy. Tym, który do czterdziestki nabawi się wrzodów żołądka. Kiedy dostał w szyję kijkiem od nart i stracił głos, zaczął się martwić, że go nie odzyska. I gdy głos nie wracał, wmówił sobie, że nie wróci nigdy.

– Doktor Renault powiedział... .

– Renault to dobry lekarz. Sumienny. Przyjechał tu migiem, kiedy Morrie zachorował na odrę, i potem, jak Patsy miała... cóż, kobiece problemy. Zajął się obojgiem jak fachowiec. Sęk w tym, że nie emanuje pewnością siebie, jaka cechuje najlepszych lekarzy rodzinnych. Nie potrafi powiedzieć z taką charakterystyczną manierą: „Phi, to drobiazg, raz-dwa wrócisz do zdrowia”.

– Przecież tak powiedział!

– Owszem, ale Conrada nie przekonał, bo nie jest przekonujący. Potrafi leczyć ciało, ale umysł? Nieszczęśliwie. A leczenie to proces, który w pewnej, może nawet w głównej części dokonuje się w głowie. Con pomyślał: Okłamuje mnie, żebym mógł się przyzwyczaić do bycia niemową. Potem powie mi prawdę. Tak twój brat jest skonstruowany, Jamie. Żyje nerwami, a umysł takich ludzi często się zwraca przeciwko nim.

– Nie chciał dziś ze mną przyjść – powiedziałem. – Skłamałem.

– Tak? – Jacobs nie wydawał się zaskoczony.

– Tak. Prosiłem, ale się bał.

– Nie miej mu tego za złe – powiedział Jacobs. – Lękliwi ludzie żyją we własnym piekle. Można rzec, że sami je sobie tworzą... tak jak Con sam sobie wmówił, że nie odzyska głosu. Ale to coś poza ich kontrolą. Tak są skonstruowani. Należy im się wyrozumiałość i współczucie.

Odwrócił się do plebanii, która już wyglądała na opuszczoną, i westchnął. Znowu spojrzał na mnie.

– Może stymulator rzeczywiście coś zrobił, ale szczerze w to wątpię. Jamie, sądzę, że zwiódłem twojego brata. Nabrałem go, inaczej mówiąc. To umiejętność, której uczą na teologii, chociaż nazywają ją „rozniecaniem wiary”. Zawsze byłem w tym dobry, co budzi mój wstyd i radość jednocześnie. Powiedziałem twojemu bratu, żeby spodziewał się cudu, po czym puściłem prąd i włączyłem ten mój pozał się Boże wynalazek. Jak tylko zobaczyłem jego drgające usta i trzepoczące powieki, wiedziałem, że będzie dobrze.

– To było niesamowite!

– Fakt. I dość podłe.

– Hę?

– Mniejsza z tym. Teraz najważniejsze, żebyś nigdy mu nic nie powiedział. Zapewne nie straciłby znowu głosu, ale kto wie. – Zerknął na zegarek. – Wiesz co? Pora kończyć tę naradę wojenną, jeśli mam dotrzeć do Portsmouth przed nocą. A ty lepiej wracaj do domu. Twoja dzisiejsza wizyta u mnie pozostanie jeszcze jedną naszą wspólną tajemnicą, prawda?

– Tak.

– Nie przechodziłeś chyba obok domu Babuni?

Przewróciłem oczami, jakbym miał go za skończonego głupka, i Jacobs znowu się zaśmiał. Byłem zachwycony, że pomimo tego, co się wydarzyło, potrafiłem go rozśmieszyć.

– Szedłem na skróty przez pole Marstellara.

– Zuch.

Nie chciałem iść i nie chciałem, żeby wyjechał.

– Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Dobrze, byle szybko.

– Kiedy wielebny wygłaszał swoje... hm... – Nie chciałem użyć słowa „kazanie”, wydawało się jakoś niebezpieczne. – Wtedy, w kościele, wielebny powiedział, że piorun ma dwadzieścia siedem tysięcy stopni. To prawda?

Jego twarz rozpalila się jak tylko w tych chwilach, kiedy mówił o elektryczności. Wsiadał na swojego konika, jak powiedziała Claire. Mój tata nazwałby to jego obsesją.

– Całkowita prawda. Pomijając trzęsienia ziemi i tsunami, piorun to najpotężniejsza siła w przyrodzie. Potężniejsza od tornado i dużo potężniejsza od huraganu. Widziałeś kiedyś piorun uderzający w ziemię?

Potrząsnąłem głową.

– Tylko takie na niebie.

– To piękny widok. Piękny i przerażający. – Podniósł głowę, jakby wypatrując błyskawicy, ale niebo tego popołudnia było błękitne, zasnuwały je tylko białe obłoczki powoli wędrujące na południowy zachód. – Gdybyś kiedyś chciał zobaczyć piorun z bliska... znasz Longmeadow, prawda?

Pewnie, że znałem. W połowie drogi do ośrodka wypoczynkowego na Koziej Górze znajdował się park publiczny, utrzymywany przez władze stanu. To właśnie było Longmeadow. Widok z niego sięgał na wiele kilometrów ku wschodowi. W wyjątkowo pogodne dni można było zobaczyć pustynię Maine, Freeport, a czasem nawet Atlantycką. Koło młodych metodystów każdego sierpnia urządzało w Longmeadow letniego grilla.

– Jak miniesz Longmeadow i pojedziesz dalej – powiedział – dotrzesz do stróżówki ośrodka na Koziej Górze...

– ...gdzie wpuszczają tylko członków i zaproszonych gości.

– No właśnie. System klasowy w pełnej krasie. Ale tuż przed stróżówką jest żwirowa droga, która odchodzi w lewo. Każdy może z niej korzystać, bo tamte tereny należą do stanu. Kończy się jakieś pięć kilometrów dalej, przy punkcie widokowym o nazwie Skytop. Nigdy was tam nie zabierałem, bo to niebezpieczne miejsce... granitowe zbocze kończące się sześćsetmetrową przepaścią. Nie ma ogrodzenia, tylko tabliczka z ostrzeżeniem, żeby nie podchodzić do krawędzi. Na szczycie jest sześciometrowy żelazny słup wbity głęboko w skałę. Nie mam pojęcia, kto go postawił i po co, lecz stoi tam od dawien dawna. Powinien być zardzewiał, a nie jest. Wiesz dlaczego?

Pokręciłem głową.

– Bo tak często biją w niego pioruny – rzekł. – Skytop przyciąga pioruny, a ten żelazny drąg to jego punkt centralny.

Patrzył rozmarzonym wzrokiem w stronę Koziej Góry. Jasne, nie była duża w porównaniu z Górami Skalistymi (czy nawet Górami Białymi w New Hampshire), ale wyrastała ponad łagodne wzgórza zachodniego Maine.

– Tam gromy są głośniejsze, Jamie, a chmury bliższe. Na widok tych nadciągających chmur burzowych człowiek czuje się bardzo mały, a kiedy dręczą cię zmartwienia albo wątpliwości, dobrze poczuć się małym. Wiesz, kiedy piorun uderzy, bo chwilę przedtem wszystko jakby wstrzymuje oddech. To takie uczucie, jakby... sam nie wiem... zapłonął ogień, który niczego nie spala. Włosy stają ci dęba, pierś przygniata jakiś ciężar. Czujesz ciarki na skórze. Czekasz i gdy wreszcie nadciąga grom, nie ma huk. Jest trzask, jakby gałęzi pękającej pod ciężarem lodu, tylko sto razy głośniejszy. Potem zapada cisza... i słyszysz

„pstryk”, jakby takiego włącznika światła, jakie montowano kiedyś. Po niebie przetacza się grzmot i zaraz uderza piorun. Musisz wtedy zmrużyć oczy, inaczej błysk cię oślepi i nie zobaczysz, jak ten czarny żelazny słup staje się najpierw fioletowobiały, potem czerwony niczym podkowa w kuźni.

– O rany! – powiedziałem.

Zamrugał i wrócił do rzeczywistości. Kopnął oponę swojego starego-nowego samochodu.

– Przepraszam, mały. Czasem mnie trochę ponosi.

– To musi być niesamowite.

– Och, dużo więcej niż niesamowite. Jak będziesz starszy, wybierz się tam kiedyś i sam zobacz. Tylko przy słupie bądź ostrożny. Pioruny odłupały ze skał tyle okruchów, że powstało tam rumowisko i jakbyś zaczął się po nim zsuwać, mógłbyś się nie zatrzymać. A teraz, Jamie, naprawdę muszę już jechać.

– Wolałbym, żeby wielebny został. – Chciałem jeszcze trochę popłakać, ale nie pozwoliłem sobie na to.

– Doceniam to i jestem wzruszony, lecz cóż, jak to mówią: gdyby życzenia były końmi, żebracy nie chodziliby pieszo. – Rozłożył ramiona. – A teraz chodź tu, przytul mnie jeszcze raz.

Wyściskałem go mocno i wziąłem głęboki wdech, żeby nałapać na zapas zapachu jego mydła i toniku do włosów – marki Vitalis, tego samego, którego używał mój tata. I od niedawna Andy.

– Ciebie lubiłem najbardziej – szepnął mi na ucho. – To też pewnie powinienes zachować w tajemnicy.

Kiwnąłem głową. Nie było potrzeby mówić mu, że Claire już to wiedziała.

– Zostawiłem ci coś w piwnicy plebanii – powiedział. – Gdybyś chciał to sobie wziąć, klucz jest pod wycieraczką.

Postawił mnie na nogach, pocałował w czoło, po czym otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Ten wóz to żadna rewelacja, kolezko – powiedział, przybierając jankeski akcent, i choć czułem się podle, musiałem się uśmiechnąć. – Ale tak se myślę, że dowiezie mnie, gdzie trza, w jednym kawałku.

– Kocham wielebnego – powiedziałem.

– Ja ciebie też – odparł. – Tylko mi tu znowu nie płacz, Jamie. Bardziej złamanego serca nie zniosę.

Nie popłakałem się, dopóki nie zostałem sam. Stałem i patrzyłem, jak wielebny Jacobs zjeżdża tyłem na drogę. Dopiero kiedy zniknął w oddali, wróciłem do domu. W tamtych czasach wciąż mieliśmy na podwórku abisynkę i zanim wszedłem do środka, opłukałem twarz lodowato zimną wodą. Nie chciałem, żeby mama poznała, że płakałem, i zapytała dlaczego.

Kobieca Służba Pomocnicza miała za zadanie porządnie, od piwnicy po dach, wysprzątać plebanię, usunąć wszelkie ślady nieszczęsnej rodziny Jacobsów i przygotować budynek na przyjęcie nowego pastora, ale nie było pośpiechu, stwierdził tata; tryby Metodystycznej Diecezji Nowej Anglii obracały się powoli i to byłby cud, gdyby nowy pastor zjawił się przed wakacjami.

– Niech trochę postoi w spokoju – taka była jego rada i Służba Pomocnicza ochno z niej skorzystała. Panie wzięły się do mioteł, szczotek i odkurzaczy dopiero po Bożym Narodzeniu (w tym roku specjalne, świeckie kazanie wygłosił Andy i rodzice pękali z dumy). Do tego czasu plebania stała pusta i dzieciaki z mojej szkoły zaczęły szeptać, że jest nawiedzona.

Zjawił się tam jednak jeden gość – ja. To było w sobotnie popołudnie; także i tym razem poszedłem na skróty przez pole kukurydzy Dorrance’a Marstellara, żeby uniknąć czujnego oka Babuni Harrington. Wyjąłem klucz spod wycieraczki i wszedłem. Miałem pietra. Drwiłem z gadania, że tam straszy, ale kiedy już znalazłem się w środku, aż za łatwo było sobie wyobrazić, że jeśli się odwrócę, zobaczę gnijące trupy Patsy i Morriego Przylepy, stojące ręką w rękę z wybałuszonymi oczami.

Nie bądź głupi, powiedziałem sobie. Albo przenieśli się na jakiś inny świat, albo po prostu zniknęli w czarnej nicości, jak mówił wielebny Jacobs. Więc przestań się bać. Nie bądź durnym cykorem.

Cóż, nie mogłem ot tak przestać być durnym cykorem, tak jak nie mogłem ot tak przestać mieć bólu brzucha po obżarciu się fasolą i hot dogami w sobotni wieczór. Nie uciekłem jednak. Chciałem zobaczyć, co mi zostawił. Nie to, że chciałem: musiałem. Dlatego poszedłem do drzwi, na których wciąż wisiał plakat (Jezus trzymający za ręce dwoje dzieci, które wyglądały jak Dick i Jane z mojego starego elementarza) i tabliczka POZWÓLCIE DZIECIOM PRZYCHODZIĆ DO MNIE.

Zapaliłem światło, zszedłem schodami na dół i spojrzałem na poskładane krzesła ustawione pod ścianą, zamknięte pianino i kącik z zabawkami i stolikiem, na którym nie było już kamieni domina, malowanek ani kredek. Zachowało się jednak Jezioro Pokoju, a także mała drewniana skrzynka z Elektrycznym Jezusem. Oto co mi zostawił. Byłem potwornie zawiedziony. Mimo to otworzyłem skrzynkę i wyjąłem Elektrycznego Jezusa. Postawiłem go na brzegu jeziora, tam gdzie wiedziałem, że jest szyna, po której się poruszał, i wsunąłem dłoń pod jego szatę, żeby go włączyć. Wtedy ogarnęła mnie wściekłość, jakiej nigdy nie zaznałem w moim krótkim życiu. Była tak nagła, jak te pioruny na Skytop z opowieści wielebnego Jacobsa. Zamachnąłem się i trzepnąłem Elektrycznego Jezusa. Doleciał aż do przeciwległej ściany.

– Nie istniejesz naprawdę! – krzyknąłem. – Nie istniejesz naprawdę! To tylko sztuczki! Niech cię diabli, Jezusie! Niech cię diabli, niech cię diabli, Jezusie!

Wbiegłem schodami na górę tak zapłakany, że ledwo widziałem na oczy.

Nie przysłano nam nowego pastora. Kilku okolicznych ojczulków próbowało wypełnić powstałą lukę, ale frekwencja na nabożeństwach spadła prawie do zera i kiedy chodziłem do ostatniej klasy szkoły średniej, nasz kościół był już zamknięty na cztery spusty. Nie miało to dla mnie znaczenia. Straciłem wiarę. Nie mam pojęcia, co się stało z Jeziolem Pokoju i Elektrycznym Jezusem. Kiedy następnym razem wszedłem do sali koła młodych metodystów na plebanii – wiele lat później – była zupełnie pusta. Pusta jak niebo.

IV

Dwie gitary – Chrome Roses – Piorun na Skytop

Kiedy patrzymy wstecz, mamy wrażenie, że nasze życie układa się w schemat; każde wydarzenie zaczyna się wydawać logiczne, jakby coś – albo Ktoś – z wyprzedzeniem rozplanowało wszystkie nasze kroki (i potknięcia). Weźmy na przykład wulgarnego emeryta, który nieświadomie wyznaczył mi zajęcie na ćwierć wieku. Czy nazwać to zrządzeniem losu, czy zwykłym zbiegiem okoliczności? Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Nawet nie było mnie przy tym, gdy pewnego wieczoru Hector Fryzjer poszedł szukać swojej starej gitary Silvertone. Dawno, dawno temu powiedziałbym, że wyborem naszych życiowych dróg rządzi przypadek: zdarzyło się to, potem tamto, co z kolei doprowadziło do czegoś innego. Teraz wiem lepiej. Są pewne siły.

W 1963 roku, zanim świat zawojowali The Beatles, Amerykę ogarnęło krótkie, ale silne zauroczenie muzyką folk. Program telewizyjny, który wszedł na antenę w samą porę, żeby na tej fali wypłynąć, nosił tytuł *Hootenanny* i występowali w nim tacy biali interpretatorzy doli czarnego człowieka jak Chad Mitchell Trio i The New Christy Minstrels (białych uchodzących za komuchów, jak Pete Seeger i Joan Baez, nie zapraszano). Mój brat Conrad przyjaźnił się ze starszym bratem Billy'ego Paquette'a, Ronniem, i w każdy sobotni wieczór oglądali *The Hoot*, jak go nazywali, w domu Paquette'ów.

W tym czasie z Paquette'ami mieszkał dziadek Ronniego i Billy'ego. Ludzie wołali na niego Hector Fryzjer, bo taki fach wykonywał przez prawie pięćdziesiąt lat, choć trudno było wyobrazić go sobie w tej roli; fryzjerzy, jak barmani, z zasady powinni być dobrymi rozmówcami, Hector Fryzjer zaś rzadko się odzywał. Siedział w salonie, doprawiał kawę lanym z zakrętki burbonem i palił tiparillos. Ich zapachem przesiąkł cały dom. Kiedy Hector w ogóle raczył zabrać głos, swoje wypowiedzi okraszał licznymi wulgaryzmami.

Lubił jednak *Hootenanny* i zawsze oglądał ten program z Conem i Ronniem. Pewnego wieczoru, kiedy jakiś biały małolat zaśpiewał coś o tym, że smutno mu, bo zostawiła go ukochana, Hector Fryzjer prychnął i burknął:

- Kurna, chłopaki, to nie jest blues.
- Jak to, dziadku? – spytał Ronnie.
- Blues to szorstka muzyka. Ten młodziak śpiewa, jakby zlał się w wyro i bał się, że mamunia zobaczy.

Chłopcy zaśmiali się, po trosze rozbawieni, po trosze zdumieni tym, że z Hectora jest taki krytyk muzyczny.

– Poczekajcie – rzekł i powoli wdrapał się po schodach, podciągając się sękatą dłonią po poręczy. Przepadł na tak długo, że chłopcy prawie o nim zapomnieli; w końcu jednak wrócił na dół, niosąc za gryf sfatygowaną gitarę Silvertone. Jej porysowane pudło trzymało się na kawałku postrzępionego powróśla. Klucze do strojenia były powykrzywiane. Hector usiadł ze stęknieniem, pierdnął i oparł gitarę na swoich kościstych kolanach.

- Wyłączcie ten chłam.

Ronnie wykonał polecenie – program i tak się kończył.

- Nie wiedziałem, że grasz, dziadku – powiedział.

– Od lat nie miałem jej w rękach – stwierdził Hector. – Rzuciłem ją w kąt, kiedy zaczął mi dokuczać artretyzm. Nawet nie wiem, czy jeszcze umiem such nastroić.

– Wyrażaj się, tato! – zawołała pani Paquette z kuchni.

Hector Fryzjer zignorował ją; poza chwilami, gdy chciał, żeby podała mu tłuczone ziemniaki, rzadko zauważał jej istnienie. Powoli nastroił gitarę, klnąc pod nosem, po czym zagrał akord, który – niespodzianka – zabrzmiał prawie jak muzyka.

– Można było poznać, że jeszcze jest rozstrojona – powiedział Con, kiedy później opowiadał mi całe zdarzenie – ale i tak fajnie brzmiała.

– O rany! – powiedział Ronnie. – Co to za chwyt, dziadku?

– E. E to podstawa. Ale czekajcie, to jeszcze nic. Zobaczmy, czy pamiętam, jak to kurestwo leci.

Z kuchni:

– Wyrażaj się, tato!

Także i tym razem nie zwrócił na nią uwagi, tylko trącił struny starej gitary zrogowaciałym, poślizniętym od nikotyny paznokciem. Z początku grał wolno, mamrocząc pod nosem kolejne niecenzuralne słowa, w końcu jednak złapał równy, żywy rytm. Chłopcy zerknęli po sobie ze zdumieniem. Jego palce chodziły w górę i w dół gryfu, najpierw niezdarne, potem – gdy stare synapsy pamięci ospale obudziły się do życia – nieco płynniej: z B na A, z A na G i wreszcie z powrotem na E. Grałem tę sekwencję z dziesięć tysięcy razy, choć w 1963 roku jeszcze nie odróżniłbym chwytu gitarowego od chwytu judo.

Wysokim, zawodzącym głosem zupełnie niepodobnym do tego, jakim mówił (kiedy w ogóle mówił), dziadek Ronniego zaśpiewał:

– „Hej, mała, chodź do mnie, pokaż się... hej, mała, masz w sobie coś, co niepokoi mnie”...

Pani Paquette przysła z kuchni, wycierając ręce w ścierkę do naczyń z miną, jakby zobaczyła jakiegoś egzotycznego ptaka – powiedzmy, strusia albo emu – paradującego środkiem drogi numer 9. Billy i mała Rhonda Paquette, która nie mogła wtedy mieć więcej niż pięć lat, stali w połowie schodów, przechyleni przez poręcz, i wybałuszali gały na dziadka.

– Ten rytm... – opowiadał mi później Con. – Kurczę, w *Hootenanny* czegoś takiego nie usłyszysz.

Hector Fryzjer tupał nogą w rytm, szeroko uśmiechnięty. Con powiedział mi, że nigdy wcześniej nie widział uśmiechu na jego twarzy i że wyglądało to trochę strasznie, jakby staruszek nagle się zmienił w śpiewającego wampira.

– „Mama nie pozwala mi po nocy włóczyć się”... – śpiewał Hector. – „Boi się, że jakaś kobieta może... może”... – Przeciągnął to. – „Mooże skrzywdzić mnie!”.

– Brawo, dziadku! – krzyknął Ronnie, klaszcząc w dłonie.

Hector zaczął śpiewać drugą zwrotkę, tę o tym, jak walet karo powiedział królowej pik, że może sobie łązić, gdzie chce, ale wtedy pękła struna: BRZĘĘĘK.

– Ożeż ty pizdo wredna! – zaklął i na tym spontaniczny koncert Hectora Fryzjera się zakończył. Pani Paquette zabrała mu gitarę (zerwana struna przecięła powietrze niebezpiecznie blisko jej oka) i powiedziała, że jak ma się tak wyrażać, to niech idzie posiedzieć na ganek.

Hector Fryzjer nie poszedł na ganek, tylko, jak to miał w zwyczaju, zamilkł. Nigdy więcej przy chłopcach nie zagrał ani nie zaśpiewał. Umarł następnego lata i jego pogrzeb odprawił Charles Jacobs – w 1964, roku Beatlesów, wciąż będący w doskonałej formie.

Nazajutrz po wysłuchaniu tej skróconej wersji *My Mamma Don't Allow Me* Arthura „Big

Boy” Crudupa, Ronnie Paquette znalazł silvertone’a w jednej z beczek na pomyje za domem, wyrzuconego tam przez jego oburzoną mamę. Wyciągnął go i zaniósł do szkoły, gdzie pani Calhoun, nauczycielka angielskiego, która w gimnazjum uczyła też muzyki, pokazała mu, jak założyć nową strunę i nastroić gitarę, biorąc za wzór trzy pierwsze nuty *Taps*. Dała też Ronniemu „Sing Out!”, pismo o muzyce folk, które zamieszczało teksty i chwytły do różnych piosenek, między innymi *Bar’bry Allen*.

Przez następne parę lat (z krótką przerwą w czasie, kiedy Kijek Przeznaczenia odebrał Conowi głos) Ronnie i Con uczyli się kolejnych piosenek folkowych i przekazując sobie starą gitarę z ręki do ręki, opanowywali te same podstawowe akordy, które bez wątpienia grał Leadbelly w więzieniu. Gitarzyści z nich byli marni, ale Con miał niezły głos – choć za słodki, żeby przekonująco śpiewać jego ulubione numery bluesowe – i kilka razy wystąpili publicznie jako Con and Ron (rzucili monetą, żeby ustalić, czyje imię będzie pierwsze).

Con ostatecznie dostał własną gitarę, akustycznego gibsona z wiśniowym wykończeniem. Była o niebo ładniejsza od starego silvertone’a Hectora Fryzjera i to jej używali, kiedy wykonywali kawałki typu *Seventh Son* i *Sugarland* na Wieczorze Młodych Talentów w Eureka Grange. Nasi rodzice ich w tym wspierali – rodzice Ronniego też – ale zasada GIGO obowiązuje nie tylko w informatyce, w muzyce także: śmieci na wejściu, śmieci na wyjściu.

Nie śledziłem pilnie dążeń Cona i Rona do zdobycia lokalnej sławy w charakterze duetu folkowego i właściwie nawet nie zauważyłem, kiedy brat odstawił gibsona w ką. Po tym, jak wilebny Jacobs wyjechał swoim nowym-starym samochodem z Harlow, miałem wrażenie, że w moim życiu powstała wyrwa. Straciłem Boga i jedyne dorosłego przyjaciela. Długo dręczył mnie smutek i niejasna trwoga. Mama starała się mnie pocieszyć, Claire też. Nawet tata próbował. Usiłowałem odzyskać radość życia i w końcu mi się udało, ale kiedy rok 1965 przeszedł w 1966, a potem 1967, fakt, że z piętra przestały dobiegać nieudolne wersje *Don’t Think Twice* i innych piosenek, umknął mi zupełnie.

W tym czasie Cona interesował już tylko sport (był dużo lepszym sportowcem niż gitarzystą), a co do mnie... do Harlow sprowadziła się nowa dziewczyna, Astrid Soderberg. Miała jedwabiste blond włosy, chabrowe oczy i małe wżgórki pod swetrem, które w przyszłości mogły się stać prawdziwymi piersiami. W pierwszych latach wspólnej nauki w szkole zdawała się nie wiedzieć, że istnieję – no chyba że akurat chciała spisać ode mnie pracę domową. Ja wprost przeciwnie, myślałem o niej bez przerwy. Miałem wrażenie, że gdyby pozwoliła mi dotknąć swoich włosów, dostałbym zawału. Któregoś dnia zdjąłem z półki słownik Webstera, wróciłem z nim do ławki i, z mocno walącym sercem i ciarkami przechodzącymi po skórze, starannie, drukowanymi literami napisałem ASTRID na definicji słowa „pocałunek”. Zadurzyłem się, tak to należy nazwać, bo rzeczywiście byłem jak odurzony.

Do głowy mi nie przyszło, żeby sięgnąć po gibsona Conniego; kiedy brała mnie chęć na muzykę, włączałem radio. Talent to jednak niepokojąca rzecz – ma to do siebie, że we właściwym czasie dyskretnie, acz stanowczo daje o sobie znać. Niczym pewne uzależniające środki, pojawia się jako przyjaciel, na długo zanim uprzytomnisz sobie, że jest tyranem. Przekonałem się o tym tego roku, kiedy skończyłem trzynaście lat.

Najpierw to, potem tamto, co z kolei prowadzi do czegoś innego.

Nie miałem wielkiego talentu muzycznego, ale na pewno dużo większy niż Con... i w ogóle wszyscy w naszej rodzinie. Odkryłem go w nudną, pochmurną sobotę jesienią 1969 roku. Cała rodzina – nawet Claire, która przyjechała na weekend z uczelni – wybrała się do Gates Falls na mecz. Con, wtedy w trzeciej klasie, grał w pierwszym składzie Gates Falls Gators. Ja

zostałem w domu, bo bolał mnie brzuch, chociaż nie tak bardzo, jak twierdziłem; po prostu nie przepadałem za futbolem, a poza tym zanosilo się na deszcz.

Przez pewien czas oglądałem telewizję, ale na dwóch kanałach był futbol, a na trzecim golf – jeszcze gorsze nudziarstwo. Dawną sypialnię Claire zajął Connie, w szafie jednak zostało trochę jej książek i pomyślałem, że wezmę sobie coś Agathy Christie. Claire mówiła, że dobrze się ją czyta i że fajnie jest rozwiązywać zagadki kryminalne razem z panną Marple czy Herculesem Poirot. Wszedłem do pokoju i zobaczyłem w kącie gibsona mojego brata, otoczonego bezładną stertą starych „Sing Out!”. Spojrzałem na zapomnianą gitarę, smętnie opartą o ścianę, i pomyślałem: Ciekawe, czy umiałbym na tym zagrać *Cherry, Cherry*.

Pamiętam tę chwilę tak żywo jak mój pierwszy pocałunek, bo myśl ta była egzotycznym nieznanym, zupełnie niezwiązanym z tym, co kołotało mi się w głowie, kiedy wchodziłem do pokoju Cona. Przysiągłbym to na stos Biblii. To nawet nie była myśl. Raczej coś jakby nakaz.

Wziąłem gitarę i usiadłem na łóżku Cona. Na razie nie dotykałem strun, tylko jeszcze trochę pomyślałem o tej piosence. Wiedziałem, że na gitarze Conniego zabrzmiałaby dobrze, bo *Cherry, Cherry* oparta jest na akustycznym riffie (nie żebym wtedy znał to słowo). Odtworzyłem ją w pamięci i ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że nie tylko słyszę, ale i widzę kolejne akordy. Wiedziałem o nich wszystko oprócz tego, w których miejscach gryfu się skrywają.

Złapałem pierwszy lepszy „Sing Out!” i poszukałem bluesowego kawałka, wszystko jedno jakiego. Znalazłem coś pod tytułem *Turn Your Money Green*, zobaczyłem, jak wygląda akord E („E to podstawa”, powiedział Conowi i Ronniemu Hector Fryzjer), i zagrałem go na gitarze. Dźwięk był stłumiony, ale czysty. Gibson to porządny instrument, choć zaniedbywany, nie rozstroił się. Docisnąłem struny trzema palcami lewej dłoni. Zabolalo, ale miałem to gdzieś. Bo akord E to było to. Dźwięk boski. Brzmiał dokładnie tak, jak go słyszałem w głowie.

Con pół roku się uczył *House of the Rising Sun*, a i tak nie mógł przejść z D na F bez chwili zawahania przy zmianie ułożenia palców. Ja opanowałem trzyakordowy riff *Cherry, Cherry* – najpierw E, potem A, D i znowu A – w dziesięć minut, po czym uświadomiłem sobie, że te same trzy chwytów wystarczą, żeby zagrać *Glorię* Shadows of Knight i *Louie, Louie* The Kingsmen. Grałem dotąd, aż czubki moich palców wyły z bólu i ledwo mogłem rozłożyć lewą dłoń. Kiedy w końcu przestałem, to nie dlatego, że chciałem; po prostu dłużej nie dałbym rady. I nie mogłem się doczekać, żeby zacząć znowu. Nie obchodzili mnie New Christy Minstrels, Ian and Sylvia ani reszta folkowych nudziarzy, za to *Cherry, Cherry* mógłbym grać cały dzień. Ta piosenka potrafiła mnie ruszyć.

Gdybym nauczył się w miarę dobrze grać, kombinowałem, Astrid Soderberg mogłaby zobaczyć we mnie kogoś więcej niż tylko dostarczyciela prac domowych. Jednak nawet to w tej chwili miało drugorzędne znaczenie; najważniejsze było to, że muzyka wypełniła wyrwę we mnie. Była samoistnym bytem, prawdą emocjonalną. Grając, znów czułem się jak człowiek.

Trzy tygodnie później, w inne sobotnie popołudnie, Con wrócił od razu po meczu, zamiast zostać na tradycyjnym pomeczowym grillu organizowanym przez rodziców z klubu kibica. Siedziałem wtedy na podeście u szczytu schodów i zarzyłem *Wild Thing*. Myślałem, że wpadnie w szal i wyrwie mi gitarę, może nawet oskarży mnie o to, że brukam świętość, grając idiotyczny, zbudowany na trzech akordach kawałek The Troggs na instrumencie stworzonym do wrażliwych protest songów typu *Blowin' in the Wind*.

Ale Con tego dnia zaliczył trzy przyłożenia, ustanowił szkolny rekord liczby jardów przebiegniętych z piłką i Gators byli na najlepszej drodze do play-offów trzeciej ligi. Powiedział

tylko:

– Głupszej piosenki chyba jeszcze w radiu nie puścili.

– E tam – powiedziałem. – Nic nie przebije *Surfin' Bird*. To też umiem zagrać, jak chcesz posłuchać.

– Jezu, nie. – Mógł wzywać imienia Pana Boga swego nadaremno, bo mama była w ogródku, tata i Terry pracowali w garażu przy Rakiecie Szos III, a nasz religijny starszy brat już się wyprowadził. Podobnie jak Claire, Andy studiował na Uniwersytecie Stanu Maine (żalił się, że pełno tam „tych pasożytów, hipisów”).

– Ale nie masz nic przeciwko temu, żebym na niej grał, Con?

– A graj sobie – powiedział, mijając mnie na schodach. Miał barwnego siniaka na policzku i śmierdział meczowym potem. – Tylko jak ją zepsujesz, zapłacisz ze swoich pieniędzy.

– Nie zepsuję.

I słowa dotrzymałem, jeśli nie liczyć pozrywanych strun. Rock and roll daje strunom w kość mocniej niż folk.

W 1970 roku poszedłem do liceum w Gates Falls, na drugim brzegu rzeki Androscoggin. Con, który wtedy był w ostatniej klasie i dzięki sukcesom sportowym i wzorowym ocenom stał się gwiazdą szkoły, nie zauważał mnie. To nic; zupełnie mi to nie wadziło. Niestety, nie zauważała mnie też Astrid Soderberg, choć siedziała ławkę za mną na wychowawczej i obok mnie na angielskim. Spinała włosy w koński ogon i nosiła spódniczki kończące się co najmniej pięć centymetrów nad kolanami. Ilekroć zakładała nogę na nogę, umierałem. Bujałem się w niej jeszcze bardziej niż w gimnazjum, ale raz na długiej przerwie podsłuchałem jej rozmowę z koleżankami na trybunach sali gimnastycznej i wtedy dowiedziałem się, że wszystkie nie widziały świata poza chłopakami ze starszych klas. Ja byłem tylko jednym z wielu statystów w pierwszym akcie epopei ich życia w szkole średniej.

Ktoś jednak mnie zauważył – tyczkowaty, długowłosy czwartoklasista, wypisz wymaluj jeden z „tych pasożytów, hipisów”, jak określił ich Andy. Odszukał mnie któregoś dnia, kiedy jadłem przyniesione z domu drugie śniadanie na trybunach sali gimnastycznej, dwa rzędy nad Astrid i jej rozchichotaną paczką.

– Jamie Morton, zgadza się? – spytał.

Ostrożnie się do tego przyznałem. Miał na sobie obszerne dżinsy z łatami na kolanach, jego oczy były podkrążone, jakby sypiał dwie–trzy godziny na dobę. Albo często walił konia.

– Chodź do sali muzycznej – rzucił.

– Dlaczego?

– Bo tak każe, kocie.

Ruszyłem za nim przez tłum uczniów, którzy śmiali się, krzyczeli, przepychali między sobą i trzaskali drzwiami szafek. Miałem nadzieję, że nie dostanę lania. Nie zdziwiłbym się, gdyby drugoklasista sprzął mnie bez powodu – otrzęsiny, choć oficjalnie zabronione, były ochoczo praktykowane – ale czwartoklasista? Wątpliwe. Czwartoklasiści ledwo zauważali kotów; dobrym przykładem był mój brat.

Sala muzyczna była pusta. Ulżyło mi. Jeśli ten koleś chciał mi spuścić manto, to przynajmniej zrobi to bez pomocy kumpli. On jednak, zamiast mnie pobić, podał mi rękę. Ucisnąłem ją. Jego palce były obwisłe i lepkie.

– Norm Irving.

– Miło cię poznać. – Nie wiedziałem, czy to prawda, ale tak się mówi.

– Słyszałem, kocie, że grasz na gitarze.
– Od kogo?
– Od twojego brata. Gwiazdy futbolu. – Norm Irving otworzył szafkę magazynową pełną gitar w futerałach. Wyjął jedną, rozpiął klamry i moim oczom ukazała się piękna, czarna jak noc, elektryczna yamaha.

– SA 30 – wyjaśnił zwięźle. – Kupiłem ją dwa lata temu. Całe lato malowałem domy z ojcem. Włącz ten wzmacniacz. Nie, nie ten duży. Bullnose'a, którego masz przed sobą.

Podszedłem do miniwzmacniacza i poszukałem pstryczka lub guzika. Nie znalazłem.

– Z tyłu, kocie.

– Aha. – Dostrzegłem przełącznik kołyskowy i nacisnąłem go. Zabłysło czerwone światełko i usłyszałem ciche buczenie. Ten dźwięk od razu mi się spodobał. Była w nim moc.

Norm wygrzebał z szafki kabel i podpiął się do bullnose'a. Musnął struny palcami i rozległo się krótkie BRAĄĄ. To był dźwięk atonalny, niemelodyjny i przepiękny. Norman podał mi gitarę.

– Co mam robić? – Byłem zaniepokojony i podekscytowany jednocześnie.

– Twój brat mówi, że grasz rytm. Zagraj więc.

Wziąłem gitarę i w małym wzmacniaczu u moich stóp znów rozbrzmiało to BRAĄĄ. Yamaha była dużo cięższa od akustycznego gibsona mojego brata.

– Nigdy nie grałem na elektrycznej – powiedziałem.

– Technika jest ta sama.

– Co mam zagrać?

– Niech będzie *Green River*. Umiesz? – Sięgnął do kieszonki swoich obszernych dżinsów i wyjął kostkę.

Jakoś udało mi się jej nie upuścić.

– E-dur? – Jakbym musiał pytać. E to podstawa.

– Sam zdecyduj, kocie.

Przełożyłem pas gitary przez głowę i poprawiłem poduszeczkę na ramieniu. Yamie wisiła strasznie nisko – Norman Irving był dużo wyższy ode mnie – ale miałem zbyt wielką treść, by wpaść na to, że przecież mogę wyregulować długość pasa. Zagrałem akord E i aż podskoczyłem, kiedy huknął w zamkniętej sali muzycznej. Norm uśmiechnął się szeroko i jego uśmiech – obnażający zęby, o które powinien trochę lepiej dbać, jeśli nie chciał mieć z nimi kłopotów w przyszłości – podniósł mnie na duchu.

– Drzwi są zamknięte, kocie. Daj głośniejszą jazdę.

Pokrętko głośności było na piątce. Przetawiałem je na siódmkę i kiedy uderzyłem w struny, rozległo się miłe dla ucha, donośne rżenie.

– Ale śpiewać to ja nie umiem – zastrzegłem.

– Nie musisz. Na wokalu jestem ja. Ty masz tylko grać rytm.

Green River ma podstawowy rockandrollowy beat – może nie identyczny jak *Cherry*, *Cherry*, ale prawie. Znów zagrałem E, posłuchałem w myślach pierwszej frazy piosenki i uznałem, że tak, to jest to. Norman zaczął śpiewać. Gitara prawie zupełnie go zagłuszała, ale słyszałem dość, żeby stwierdzić, że ma niezły głos.

– „Zabierz mnie tam, gdzie chłodna woda płynie”...

Zagrałem A i Norm zamilkł.

– Powinno być znowu E, zgadza się? – powiedziałem. – Przepraszam, przepraszam...

Na pierwszych trzech wersach należało zostać przy E, ale kiedy potem znów przeskoczyłem na A, jak to jest w większości prostych kawałków rockowych, coś nadal nie pasowało.

– Co teraz? – spytałem Normana.

Tylko na mnie spojrział z rękami w tylnych kieszeniach spodni. Posłuchałem piosenki w głowie i spróbowałem raz jeszcze. Na czwartym wersie zagrałem C; wreszcie zabrzmiało to jak należy. Musiałem zacząć od nowa, ale potem już poszło jak z płatka. Teraz potrzeba nam było tylko bębnow, basu... no i gitary prowadzącej, oczywiście. John Fogerty z Creedence wymiatał tak, że nawet nie miałem co marzyć, że mu dorównam.

– Daj wiosło – rzekł Norman.

Podaliśmy mu gitarę, zawiedziony, że muszę się z nią rozstać.

– Dzięki, że pozwoliłeś mi zagrać – powiedziałem i ruszyłem do drzwi.

– Czekaj no, Morton. – W sumie niewielka zmiana, ale przynajmniej nie byłem już kotem. – To jeszcze nie koniec przesłuchania.

Przesłuchania?

Wyjął z szafki magazynowej mniejszy futerał, otworzył go i wyjął porysowaną gitarę elektryczno-akustyczną Kay – 900G, jeśli interesują was takie szczegóły.

– Podepnij się do dużego wzmacniacza, ale ścisź go do czwórki. Ten kay sprzęga jak sam skurwysyn.

Zrobiłem, co kazał. Kay był lepiej dopasowany do mojej sylwetki niż yammie; grając, nie musiałem się garbić. Wyjąłem kostkę pomiędzy strun.

– Gotowy?

Kiwnąłem głową.

– Raz... dwa... raz, dwa, trzy i...

Kiedy usiłowałem rozgryźć prostą sekwencję akordów gitary rytmicznej w *Green River*, byłem stremowany, jasne, ale gdybym wówczas wiedział, jak dobrym Norm jest gitarzystą, chyba nie odważyłbym się zagrać w ogóle – po prostu czmychnąłbym z sali. Nie pomylił ani jednej nuty; jakbym słyszał solówkę samego Fogerty'ego na tym starym singlu z wytwórni Fantasy. Dałem się porwać muzyce.

– Głośniej! – krzyknął do mnie. – Więcej czadu, chrzanić przester!

Podkręciłem duży wzmacniacz do ósemki i uderzyłem w struny. Kiedy grały obie gitary, a wzmacniacz sprzęgał jak gwizdek policyjny, głosu Norma nie słychać było zupełnie. Nie miało to znaczenia. Trzymałem rytm i dawałem się nieść melodii gitary prowadzącej. To było tak, jakby surfować na szklistej fali, która płynie przez dwie i pół minuty, nie napotykając brzegu.

Wreszcie piosenka się skończyła i powróciła cisza. Dzwoniło mi w uszach. Norm popatrzył zamyślonym wzrokiem w sufit, po czym skinął głową.

– Nie jest rewelacyjnie, ale ujdzie. Jak trochę poćwiczysz, możesz być lepszy od Snuffy'ego.

– Kto to jest Snuffy? – spytałem. Dzwonienie w uszach nie ustawało.

– Koleś, który się wynosi do Massachusetts – odparł. – Spróbujmy *Needles and Pins*. No wiesz, The Searchers.

– E?

– Nie, D, ale nie czyste D. Trzeba kombinować. – Pokazał mi, jak uderzać małym palcem strunę E, i od razu załapałem. Piosenka w naszym wykonaniu nie zabrzmiała całkiem tak jak na płycie, ale prawie. Kiedy skończyliśmy, lał się ze mnie pot.

– No dobra – powiedział, zdejmując gitarę. – Chodźmy do palarni. Muszę zajarać.

Palarnia była za szkolnym warsztatem. Spotykali się tam rockersi i hipisi, a także dziewczyny, które nosiły obcisłe spódniczki, dyndające kolczyki i zbyt obfity makijaż. Przy

drugim końcu warsztatu kucalo dwóch chłopaków. Znałem ich tylko z widzenia, podobnie jak – do tego dnia – Normana. Jeden, rudawy blondyn, był obsypany pryszczami. Drugi miał na głowie płataninę kręconych rudych włosów sterczących na dziewięć różnych stron. Wyglądali jak ofermy, ale miałem to gdzieś. Norman Irving też wyglądał jak oferma, a był najlepszym gitarzystą, jakiego słyszałem na żywo.

– I co? – spytał rudawy blondyn, Kenny Laughlin, jak się okazało.

– Lepszy niż Snuffy – powiedział Norman.

Ten o zwariowanych rudych włosach uśmiechnął się szeroko.

– Żadne osiągnięcie.

– Tak, ale kogoś wziąć musimy, inaczej w sobotę nie zagramy w Grange. – Wyjął paczkę kools i przechylił ku mnie. – Zajarasz?

– Nie palę – powiedziałem. Po czym, czując się idiotycznie, ale niezdolny się powstrzymać: – Przepraszam.

Norman puścił to mimo uszu i przypalił papierosa zapalniczką Zippo z wygrawerowanym z boku węzem.

– To Kenny Laughlin. Gra na basie. Ten rudzielec to Paul Bouchard. Bębny. Ten karakan to brat Conniego Mortona.

– Jamie – powiedziałem. Strasznie zależało mi na tym, żeby mnie polubili, przyjęli do swojej paczki, ale nie chciałem zaczynać tej znajomości, jakkolwiek miałyby się rozwinąć, jako tylko młodszy brat Gwiazdy Futbolu. – Jestem Jamie. – Wyciągnąłem dłoń.

Uścisnęli moją rękę tak słabo jak Norm. Od dnia, kiedy Norman Irving wziął mnie na przesłuchanie do sali muzycznej liceum w Gates Falls, występowałem z setkami muzyków i prawie wszyscy mieli ten sam uścisk śniętej ryby. Zupełnie jakby rockmani uważali, że muszą zachować wszystkie siły na granie.

– No i co ty na to? – spytał Norman. – Chcesz być w zespole?

Czy chciałem? Gdyby mi powiedział, że w ramach inicjacji muszę zjeść swoje sznurówki, natychmiast wywlekłbym je z butów i zaczął żuć.

– Jasne, ale nie mogę grać w lokalach, w których serwują alkohol. Mam dopiero czternaście lat.

Popatrzyli po sobie zaskoczeni i parsknęli śmiechem.

– O graniu w Holly i Deuce-Four pomyślimy, jak wyrobimy sobie markę – powiedział Norman, wypuszczając nozdrzami smugi dymu. – Na razie gramy tylko na potańcówkach dla młodzieży. Takich jak ta w Eureka Grange. Jesteś stamtąd, zgadza się? Z Harlow?

– Z Chamówka – zachichotał Kenny Laughlin. – Tak tę waszą wiochę nazywamy.

– Słuchaj, chcesz grać, prawda? – powiedział Norm. Uniósł nogę i skiepował papierosa na jednym ze swoich starych, znoszonych butów beatlesówek. – Twój brat mówił, że grasz na jego gibsonie, który nie ma przetwornika, ale zawsze możesz korzystać z kaya.

– Nauczyciele muzyki nie będą mieli nic przeciwko?

– Nie będą nic wiedzieć. Przyjdź do Grange w czwartek po południu. Przyniosę kaya. Tylko nie zepsuj tego sprzęgającego skurwiela. Podłączymy sprzęt i zrobimy próbę. Weź jakiś zeszyt, żeby sobie zapisać chwyt.

Zabręczał dzwonek. Dzieciaki pogasiły szlugi i ruszyły w stronę szkoły. Jedna z przechodzących dziewczyn pocałowała Normana w policzek i klepnęła go w okryty obwisłymi dzinsami tyłek. Sprawiał wrażenie, jakby nawet jej nie zauważył, co wydało mi się niezwykle wyrafinowane. Jeszcze bardziej urósł w moich oczach.

Koledzy z zespołu jakoś nie przejęli się dzwonkiem, więc ruszyłem do szkoły sam. Nagle przyszło mi do głowy coś jeszcze i zawróciłem.

– Jak zespół się nazywa?

– Kiedyś byliśmy The Gunslingers, ale ludzie uważali, że to trochę zbyt, no wiesz, militarystyczne – powiedział Paul. – Dlatego teraz jesteśmy Chrome Roses. Kenny wymyślił tę nazwę, kiedy upaleni oglądaliśmy u mojego ojca program ogrodniczy. Fajna, co?

Przez następne ćwierć wieku grałem w J-Tones, Robin and The Jays, The Hey-Jays (liderem wszystkich trzech był ekscentryczny gitarzysta Jay Pederson). Grałem w The Heaters, The Stiffs, The Undertakers, Last Call i The Andersonville Rockers. W latach rozkwitu punka grałem w Patsy Cline's Lipstick, The Test Tube Babies, Afterbirth i The World is Full of Bricks. Grałem nawet w kapeli rockabilly Duzz Duzz Call the Fuzz. Jednak moim zdaniem nie wymyślono jeszcze lepszej nazwy zespołu niż Chrome Roses.

– No nie wiem – powiedziała mama. Nie złościła się, wyglądała, jakby bolała ją głowa. – Masz dopiero czternaście lat, Jamie. Conrad mówił, że ci chłopcy są dużo starsi. – Jedliśmy kolację przy stole, który bez Claire i Andy'ego wydawał się o wiele większy. – Palą?

– Nie – powiedziałem.

Mama odwróciła się do Cona.

– Prawda to?

Con, który właśnie podawał Terry'emu purée z kukurydzy, nie wahał się ani chwili.

– Tak.

W tej chwili mógłbym go wyściskać. Przez lata nieraz darliśmy z sobą koty, jak to bracia, kiedy jednak przychodzi co do czego, brat na brata zawsze może liczyć.

– Nie będziemy grać w barach ani nic takiego, mamó – powiedziałem... choć przeczuwałem, że koniec końców trafimy także do barów, i to pewnie na długo przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami najmłodszego członka Chrome Roses. – Tylko w Grange. W czwartek mamy próbę.

– Będziecie potrzebowali wielu prób – palnął Terry złośliwie. – Poda mi ktoś jeszcze jednego kotleta?

– Poproś ładnie, Terence – powiedziała mama rozkojarzonym tonem.

– Proszę, niech mi ktoś poda jeszcze jednego kotleta.

Tata podał mu półmisek. Milczał. To mógł być dobry znak. Albo zły.

– Czym będziesz dojeżdżał na próby? Że o tych... tych... koncertach nie wspomnę?

– Norm ma volkswagena mikrobusa. To znaczy, pożyczył go od taty, ale za jego zgodą namalował na karoserii nazwę zespołu!

– Ten Norm nie może mieć więcej niż osiemnaście lat – powiedziała mama. Przestała jeść. – Skąd mogę wiedzieć, że jest bezpiecznym kierowcą?

– Mamo, jestem im potrzebny! Ich gitarzysta rytmiczny przeprowadził się do Massachusetts. Bez gitary rytmicznej nie zagrają koncertu w sobotę! – Myśl przemknęła mi przez głowę jak meteor: może na tę potańcówkę przyjdzie Astrid Soderberg. – To ważne! To duża sprawa!

– Nie podoba mi się to. – Pocierała skronie.

Wreszcie odezwał się tata.

– Pozwól mu, Lauro. Wiem, że się niepokoisz, ale to coś, w czym Jamie jest dobry. Westchnęła.

– No dobrze. Chyba.

– Dzięki, mamó! Dzięki, tato!

Mama wzięła widelec, po czym go odłożyła.

- Obiecuję, że nie będziesz palił papierosów ani marihuany i że nie będziesz pił.
 - Obiecuję – powiedziałem i dotrzymywałem tej obietnicy przez dwa lata.
- Mniej więcej.

Z tego pierwszego koncertu w Eureka Grange No. 7 najlepiej pamiętam smród mojego potu w chwili, kiedy we czwórkę wchodziliśmy na estradę. W poceniu się czternastoletni chłopcy nie mają sobie równych. Przed występem wziąłem dwudziestominutowy prysznic – aż skończyła się ciepła woda – ale kiedy schylałem się po pożyczoną gitarę, już cuchnąłem strachem. Kay zdawał się ważyć co najmniej sto kilogramów, kiedy zawiesiłem go na ramieniu. Miałem dobry powód, żeby się bać. Nawet uwzględniając fakt, że rock and roll to z natury prosta muzyka, zadanie, jakie wyznaczył mi Norm Irving – nauczyć się trzydziestu piosenek między czwartkowym popołudniem a sobotnim wieczorem – było niewykonalne i otwarcie mu to powiedziałem.

Wzruszył ramionami i dał mi najbardziej pożyteczną radę, jaką dostałem jako muzyk: Jak nie wiesz, co grać, nie graj.

– Zresztą – powiedział, obnażając próchniejące zęby w szelmowskim uśmiechu – ja dam takiego czadu, że ciebie i tak nie usłyszą.

Paul zagrał krótki wstęp na bębnach, żeby przyciągnąć uwagę publiki, uwieńczony uderzeniem w talerz. Odpowiedziały skromne, wyczekujące oklaski. Wszystkie oczy (były ich miliony, miałem wrażenie) wpatrywały się w małą scenę, na której staliśmy stłoczeni w blasku reflektorów. Pamiętam, że czułem się potwornie głupio w wysadzonej strasami kamizelce (kamizelki były pamiątkami z krótkiego okresu, kiedy Chrome Roses nazywali się The Gunslingers) i byłem ciekaw, czy puszcę pawia. Wydawało się to raczej niemożliwe, bo uszczknąłem tylko kilka kęsów lunchu, a kolacji nie tknąłem w ogóle, ale takie miałem nieodparte wrażenie. Potem pomyślałem: Nie, nie puszcę pawia. Zasłabnę. Właśnie, zasłabnę.

I może tak by się stało, ale Norm nie dał mi na to czasu.

– Jesteśmy Chrome Roses, dobra? Zapraszamy na parkiet. – A potem, do nas: – Raz... i dwa... i wiecie, co i jak.

Paul Bouchard zagrał na tom-tomie wstęp do *Hang On, Sloopy* i zaczęliśmy. Norm był na głównym wokalu; tak już zostało na zawsze, z wyjątkiem paru numerów, w których zastępował go Kenny. Paul i ja śpiewaliśmy chórki. Początkowo strasznie się tego wstydzilem, ale przeszło mi, kiedy usłyszałem, jak dorośle brzmi mój głos przetworzony przez wzmacniacz. Później sobie uzmysłowiłem, że tak czy tak nikt nie zwraca większej uwagi na chórki... choć gdyby ucichły, wszystkim by ich brakowało.

Patrzyłem, jak pary wychodzą na parkiet i zaczynają tańczyć. Niby po to tu przyszli, ale w najgłębszej głębi serca nie wierzyłem, że to się stanie – przynajmniej nie przy muzyce, którą grałem ja. Kiedy zrozumiałem, że nas nie wygwizdzą, wezbrała we mnie euforia bliska ekstazy. Od tego czasu wziąłem tyle narkotyków, że okręt wojenny nie wytrzymałby takiego obciążenia, ale nawet najlepsze nie dały mi takiego kopa. My graliśmy. Oni tańczyli.

Koncert trwał od siódmej do wpół do jedenastej, z dwudziestominutową przerwą koło dziewiątej, kiedy Norm i Kenny rzucili instrumenty, wyłączyli wzmacniacze i pobiegli na dwór zapalić. Te godziny upłynęły mi jak we śnie, nie byłem więc zaskoczony, gdy w czasie jednego z wolniejszych numerów – zdaje się, że to było *Who'll Stop the Rain* – przed sceną zatańczyli moi rodzice.

Mama opierała głowę na ramieniu taty. Powieki miała opuszczone, na jej ustach błąkał się lekki, rozmarzony uśmiech. Kiedy mijali w tańcu estradę, ojciec mrugnął do mnie. Nie musiałem

czuć się skrępowany ich obecnością; choć szkolne potańcówki i zabawy organizowane przez Policyjne Towarzystwo Sportowe na wrotkowisku w Lewiston były tylko dla młodzieży, to na nasze występy w Eureka Grange, siedzibie Elks** i sali Związku Weteranów Amerykańskich w Gates zawsze przychodziło wielu dorosłych. Ten pierwszy koncert miał tylko jeden minus – choć zjawilo się kilka koleżanek Astrid, samej Astrid nie było.

Moi rodzice wyszli wcześniej i Norm odwiózł mnie do domu starym mikrobusem. Upojeni sukcesem, śmiałyśmy się i przeżywałyśmy koncert, i kiedy Norm podał mi banknot dziesięciodolarowy, nie zrozumiałem, za co to.

– Twoja działka – powiedział. – Dostaliśmy pięć dych. Dwadzieścia dla mnie... bo to mój mikrobus i gram na gitarze prowadzącej... i po dziesięć dla każdego z was.

Wziąłem banknot i rozsunąłem boczne drzwi obolałą lewą ręką. Wciąż miałem wrażenie, że to wszystko mi się śni.

– Próba w czwartek – powiedział Norm. – Tym razem w sali muzycznej, po szkole. Tylko potem nie będę mógł cię odwiedzić. Muszę pomóc tacie malować dom w Castle Rock.

Powiedziałem, że to nic. Jeśli nie będę mógł się zabrać z Conem, złapię okazję. Znałem większość ludzi kursujących drogą numer 9 między Gates Falls a Harlow, ktoś mnie na pewno podwiezie.

– Musisz popracować nad *Brown-Eyed Girl*. Nie nadążałeś.

Obiecałem, że będę ćwiczył.

– I słuchaj, Jamie...

Spojrzałem na niego.

– Poza tym spisałeś się nieźle.

– Lepiej niż Snuffy – powiedział Paul.

– Dużo lepiej niż ten tłuk – dorzucił Kenny.

To prawie wynagrodziło mi nieobecność Astrid na zabawie.

Tata już poszedł spać, ale mama siedziała przy stole kuchennym z filiżanką herbaty.

Przebrała się we flanelową koszulę nocną, ale wciąż była umalowana i pomyślałem, że bardzo ładnie wygląda. Kiedy się uśmiechnęła, zobaczyłem w jej oczach łzy.

– Mamo? Wszystko w porządku?

– Tak – powiedziała. – Po prostu cieszę się z twojego sukcesu, Jamie. I trochę się boję.

– Niepotrzebnie – zapewniłem i przytuliłem ją.

– Nie zaczniesz palić z tymi chłopakami, co? Obiecuj mi.

– Już obiecałem, mamo.

– Obiecuj jeszcze raz.

Zrobiłem to. W wieku czternastu lat obiecać coś jest jeszcze łatwiej, niż się spocić.

Poszedłem na górę. Con leżał na swoim łóżku i czytał książkę naukową. Trudno mi było uwierzyć, że ktokolwiek może sięgać po takie lektury dla przyjemności (zwłaszcza znakomity futbolista), ale Connie pochłaniał je pasjami.

– Nieźle grałeś – powiedział.

– Skąd możesz wiedzieć?

Uśmiechnął się.

– Zajrzałem tam. Tylko na minutkę. Graliście tę kretyńską piosenkę.

Miał na myśli *Wild Thing*. Nawet nie musiałem pytać.

W następny piątek graliśmy w sali Związku Weteranów, a w sobotę na zabawie w liceum. Podczas niej Norm zaśpiewał *I Ain't Gonna Eat Out My Heart Anymore* w sprośnej wersji.

Pilnujący porządku dorośli tego nie wyłapali, nigdy nie wsłuchiwali się w teksty, ale dzieciakom to nie umknęło i były wniebowzięte. Sala gimnastyczna w Gates była tak duża, że sama w sobie działała jak wzmacniacz, i – zwłaszcza na naprawdę głośnych kawałkach, jak *Good Lovin'* – brzmieliśmy rewelacyjnie. Robiliśmy kupę hałasu, że sparafrazuję Slade. W przerwie Kenny, Norm i Paul poszli do palarni, więc ruszyłem za nimi.

Było tam kilka dziewczyn, w tym Hattie Greer, ta, która w dniu mojego przesłuchania klepnęła Norma w tyłek. Tym razem zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w niego. Włożył dłonie do tylnych kieszeni jej spodni, żeby mocniej przycisnąć ją do siebie. Staralem się nie gapić.

Zza moich pleców dobiegł cichy, nieśmiały głos.

– Jamie?

Odwrociłem się. To była Astrid. Miała na sobie wąską białą spódniczkę i niebieską bluzkę bez rękawów. Jej twarz okalały włosy, tego dnia, inaczej niż w szkole, uwolnione ze schludnego końskiego ogona.

– Cześć – powiedziałem. I, ponieważ czułem, że to trochę za mało: – Cześć, Astrid. Nie widziałem cię na sali.

– Przyszłam późno, bo musiałam się zabrać z Bonnie i jej tatą. Fajnie gracie, naprawdę.

– Dzięki.

Norm forsownie całował się z Hattie. Hałasował przy tym prawie jak elektroluks mojej mamy. Inne pary też się obłapiały – choć ciszej – ale Astrid zdawała się tego nie zauważać. Te świetliste oczy ani na chwilę nie oderwały się od mojej twarzy. W uszach miała kolczyki w kształcie żab. Niebieskie, pod kolor bluzki. W takich chwilach zauważa się wszystko.

Sprawiała wrażenie, że czeka, aż powiem coś jeszcze, więc rozwinąłem moją poprzednią uwagę:

– Wielkie dzięki.

– Zapalisz?

– Ja? Nie palę. – Przemknęło mi przez myśl, że moja mama przysłała ją na przeszpiegi.

– To może odprowadzisz mnie na salę?

Odprowadziłem ją. Z palarni do tylnych drzwi sali gimnastycznej było jakieś czterysta metrów. Żałowałem, że nie cztery kilometry.

– Przyszłaś z kimś? – spytałem.

– Tylko z Bonnie i Carłą. Nie z chłopakiem ani nikim takim. Rodzice zabronili mi się spotykać z chłopakami, dopóki nie skończę piętnastu lat.

Po czym, jakby chciała mi pokazać, co sądzi o tak durnym zakazie, wzięła mnie za rękę. Przy tylnych drzwiach sali spojrzała mi w oczy. Prawie ją wtedy pocałowałem, ale zabrakło mi odwagi.

Chłopaki czasem są fujarami.

Kiedy po zabawie ładowaliśmy perkusję Paula na tył mikrobusu, Norm zwrócił się do mnie srogim, niemal ojcowskim głosem.

– Po przerwie ciągle się gubiłeś. Co się stało?

– Nie wiem – powiedziałem. – Przepraszam. Następnym razem będzie lepiej.

– Oby. Jak jesteśmy dobrzy, wynajmują nas na imprezy. Jak nie, to nie. – Poklepał zardzewiałą karoserię mikrobusa. – Betsy nie jeździ na pęcherzykach powietrza, ja też nie.

– To przez tę dziewczynę – powiedział Kenny. – Ładną blondyneczkę w białej kiecce.

Norma jakby oświeciło. Położył mi dłonie na ramionach dobranym pod głos ojcowskim

gestem i lekko mną potrząsnął.

– Spiknij się z nią, młody. Najszybciej jak możesz. Będziesz lepiej grał.

I dał mi piętnaście dolarów.

W sylwestra graliśmy w Grange. Sypał śnieg. Była Astrid. Miała na sobie parkę z kapturem podbitym futrem. Zaprowadziłem ją pod schody pożarowe i pocałowałem. Jej szminka smakowała truskawkami. Kiedy się odsunąłem, spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi oczami.

– Myślałam, że nigdy tego nie zrobisz. – Zachichotała.

– Było dobrze?

– Spróbuj jeszcze raz, to ci powiem.

Całowaliśmy się pod schodami pożarowymi, dopóki Norm nie stuknął mnie w ramię.

– Starczy tego, dzieciarnia. Pora grać.

Astrid cmoknęła mnie w policzek.

– Zagrajcie *Wild Thing*. Uwielbiam to – powiedziała i pobiegła w stronę tylnych drzwi, ślizgając się w swoich butach do tańca.

Norm i ja ruszyliśmy za nią.

– Jaja bolą? – spytał.

– Hę?

– Nieważne. Najpierw zagramy jej piosenkę. Wiesz, co i jak, mam nadzieję?

Wiedziałem, bo zespół często grał utwory na zamówienie. I robiłem to chętnie, bo teraz już czułem się pewniej, kiedy miałem przed sobą kawa, elektryczną tarczę podłączoną do prądu i gotową dać ognia.

Wyszliśmy na estradę. Paul zagrał tradycyjny wstęp na bębnach, sygnał, że zespół wrócił i zaraz z głośników huknie rock and roll. Norm kiwnął mi głową i poprawił pasek gitary, którego poprawiać nie musiał. Podeszedłem do mikrofonu stojącego na środku.

– Ta piosenka jest dla Astrid – ryknąłem – bo o nią poprosiła i dlatego, że... WILD THING, I THINK I LOVE YOU! – I choć zwykle było to zadaniem Normy i jego przywilejem jako lidera zespołu, odliczyłem: – Raz i dwa, i wiecie, co i jak.

Na parkiecie koleżanki szturchały Astrid i piszczały. Była czerwona jak burak. Posłała mi całusa.

Astrid Soderberg posłała mi całusa.

Członkowie Chrome Roses mieli zatem dziewczyny. A może były naszymi *groupies*. A może jednym i drugim. Kiedy grasz w kapeli, nie zawsze da się to odróżnić. Norm miał Hattie. Paul miał Suzanne Fournier. Kenny miał Carol Plummer. A ja miałem Astrid.

Hattie, Suzanne i Carol czasem pakowały się z nami do mikrobusu, kiedy jeździliśmy na koncerty. Astrid nie wolno było tego robić, mogła co najwyżej zabierać się z dziewczynami, kiedy Suzanne pożyczala samochód rodziców.

Czasami wychodziły na parkiet i tańczyły z sobą; przeważnie stały w ciasno zbitej grupce i patrzyły. W przerwach koncertów zwykle całowałem się z Astrid i zacząłem czuć od niej papierosy. Nie miałem nic przeciwko. Kiedy to spostrzegła (dziewczyny jakoś zawsze poznają takie rzeczy), zaczęła palić przy mnie i parę razy wdmuchnęła mi dym do ust, kiedy się całowaliśmy. Tak mi wtedy stawał, że mógłbym nim beton kruszyć.

Tydzień po piętnastych urodzinach Astrid dostała zgodę na to, żeby pojechać z nami

mikrobusem na zabawę organizowaną przez Policyjne Towarzystwo Sportowe w Lewiston. Całowaliśmy się przez całą drogę powrotną i kiedy wsunąłem dłoń pod jej płaszcz, żeby pomacać pierś, która była już dużo więcej niż tylko wzgórkiem, nie dała mi po łapie jak zawsze do tej pory.

– To przyjemne – szepnęła mi na ucho. – Wiem, że nie powinniśmy tego robić, ale to przyjemne.

– Może właśnie dlatego – powiedziałem. Chłopaki nie zawsze są fujarami.

Dopiero po miesiącu pozwoliła mi wsunąć dłoń pod stanik, a po dwóch między uda, ale jak już dopiąłem swego, przyznała, że to też przyjemne. Nie chciała jednak pójść na całość.

– Na pewno za pierwszym razem zaszłabym w ciążę – szepnęła mi do ucha pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w samochodzie i atmosfera była szczególnie gorąca.

– Mogę coś kupić w aptece. Pojechalbyśmy do Lewiston, tam mnie nie znają.

– Carol mówiła, że to czasem pęka. Raz tak się stało, kiedy była z Kennym, i potem miesiąc żyła w strachu. Bała się, że nie dostanie okresu. Ale są inne rzeczy, które możemy robić. Powiedziała mi.

Te inne rzeczy były całkiem niezłe.

W wieku szesnastu lat dostałem prawo jazdy; jako jedyny z rodzeństwa zdałem praktyczny za pierwszym podejściem. Po części zawdzięczałem to kursowi przygotowawczemu, głównie jednak Cicero Irvingowi. Norm mieszkał w Gates Falls z mamą, dobroduszną tlenioną blondynką, ale prawie wszystkie weekendy spędzał u ojca na obskurnym kempingu w Motton, zaraz za granicą Harlow.

Jeśli mieliśmy koncert w sobotę wieczorem, po południu zespół – wraz z naszymi dziewczynami – często spotykał się w przyczepie Cicero na pizzy. Jedzeniu towarzyszyło skręcanie i palenie jointów. Po prawie roku opierania się namowom w końcu uległem i spróbowałem. Początkowo nie bardzo mogłem zatrzymać dym w płucach, ale – jak większość czytelników zapewne świetnie wie – z czasem przychodzi to łatwiej. Nie paliłem wtedy dużo trawy; tylko tyle, żeby się rozluźnić przed koncertem. Lepiej mi się grało, kiedy miałem szumek w głowie, i w tej starej przyczepie zawsze było dużo śmiechu.

Gdy powiedziałem Cicero, że za tydzień mam egzamin na prawo jazdy, spytał, czy będę zdawał w Castle Rock, czy w mieście, co znaczyło Lewiston-Auburn. Kiedy odparłem, że w L-A, pokiwał głową z mądrą miną.

– To znaczy, że trafisz na Joego Cafferty’ego. Dwadzieścia lat robi w tym zawodzie. Piłem z nim w Mellow Tiger w Castle Rock, kiedy byłem tam konstabłem. To było, zanim Rock tak się rozrosło, że otworzyli w nim normalny komisariat.

Trudno było sobie wyobrazić Cicero Irvinga – siwego, przekrwionych oczach, chudego jak szczapa, rzadko ubranego w coś innego niż stare drelichowe spodnie i podkoszulek – w roli stróża prawa, ale ludzie się zmieniają; czasem pną się po drabinie, czasem schodzą w dół. Drogę na dno często torują rozmaite środki odurzające, takie jak ten w fachowo zwijanych skrętach, którymi Cicero hojnie częstował nastoletnich kumpli syna.

– U starego Joeya prawie nikt nie zdaje za pierwszym razem – powiedział Cicero. – Taką ma zasadę.

Wiedziałem o tym; Claire, Andy i Con mieli już z Joem Caffertym do czynienia. Terry trafił na innego egzaminatora (może Cafferty akurat zachorował) i choć był doskonałym kierowcą, odkąd pierwszy raz zasiadł za kółkiem, akurat tego dnia zmienił się w kłębek nerwów i przy próbie parkowania równoległego wjechał tyłem w hydrant.

– Trzy rady, jeśli chcesz zdać – powiedział Cicero, podając Paulowi Bouchardowi świeżo skręconego jointa. – Po pierwsze, do egzaminu nie tykaj tego gówna.

– Jasne. – Poniekąd mi ulżyło. Lubiłem zioło, ale przy każdym sztachnięciu przypominałem sobie, że łamię złożoną mamie obietnicę... choć pocieszałem się tym, że nadal nie palę papierosów ani nie piję, co znaczyło, że utrzymuję nieco ponadsześćdziesięciosześcioprocentową skuteczność.

– Po drugie, bądź dla niego grzeczny. Dziękuję panu, kiedy wsiadasz, dziękuję panu, kiedy wysiadasz. On to lubi. Rozumiesz?

– Tak.

– Po trzecie i najważniejsze, skróć te swoje kudły. Joe Cafferty nie cierpi hipisów.

Ta rada zupełnie mi nie przypadła do gustu. Od czasu, kiedy dołączyłem do zespołu, urosłem prawie pięć centymetrów, za to moje włosy okropnie się pod tym względem guzdrały. Po roku ledwo mi sięgały do ramion. Często też wyklócałem się o fryzurę z rodzicami, którzy przekonywali, że wyglądam jak lump. Ocena Andy'ego była jeszcze ostrzejsza: „Jak chcesz wyglądać jak dziewczyna, Jamie, czemu nie włożysz kiecki?”. Głębokie, co? I jakże chrześcijańskie w swojej wymowie.

– No nie, jeśli zetnę włosy, będę wyglądał jak kujon!

– Już tak wyglądasz – powiedział Kenny i wszyscy się zaśmiali. Nawet Astrid (po czym położyła rękę na moim udzie, żeby nie było mi zbyt przykro).

– Uhm – powiedział Cicero Irving – będziesz wyglądał jak kujon z prawem jazdy. Paulie, zapalisz tego jointa czy będziesz tylko siedział i go podziwiał?

Odstawiłem zioło. Byłem grzeczny dla Cafferty'ego. Obciałem się na biznesmena, ku mojej rozpacz i radości mamy. Przy parkowaniu równoległym stuknąłem zderzak samochodu z tyłu, ale Cafferty i tak dał mi prawo jazdy.

– Ufam ci, synu – powiedział.

– Dziękuję panu – odparłem. – Nie sprawię panu zawodu.

Moje siedemnaste urodziny świętowaliśmy w naszym domu, który teraz już stał przy utwardzonej drodze – to się nazywa postęp. Astrid oczywiście została zaproszona i dała mi sweter, który sama zrobiła na drutach. Włożyłem go od razu, choć był upalny sierpniowy dzień.

Mama podarowała mi komplet powieści historycznych Kennetha Robertsa w twardych oprawach (o dziwo, wszystkie przeczytałem). Od Andy'ego dostałem oprawną w skórę Biblię (którą też przeczytałem, głównie żeby zrobić mu na złość) z moim imieniem wybitym złotymi literami na okładce. Dedykacja na wyklejce była z trzeciego rozdziału Apokalipsy: „Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego”. Ukryta w tych słowach sugestia – że odstąpiłem od wiary – nie była całkowicie bezpodstawna.

Od Claire – wtedy miała dwadzieścia pięć lat i uczyła w szkole w New Hampshire – dostałem szalową marynarkę sportową. Con, jak zawsze cokolwiek skąpy, podarował mi sześć zestawów strun do gitary. Cóż, przynajmniej były to struny Dollar Slicks.

Mama wniosła tort i wszyscy odśpiewali tradycyjną piosenkę. Gdyby był tam Norm, pewnie zdmuchnąłby świece swoim rockandrollowym głosem, ale go nie było, więc musiałem zrobić to sam. Kiedy mama zaczęła rozkładać talerzyki, zorientowałem się, że nie dostałem nic od taty ani Terry'ego – choćby krawata w kwiatki.

Po torcie i lodach (wan-trus-czek oczywiście) zobaczyłem, że Terry zerknął znacząco

na tatę. Tata spojrział na mamę, która w odpowiedzi posłała mu blade, nerwowy uśmiech. Dopiero z perspektywy czasu uprzytomniłem sobie, jak często widziałem ten nerwowy uśmiech na twarzy mojej matki, gdy jej dzieci dorastały i szły w świat.

– Chodź do stodoły, Jamie – powiedział tata, wstając. – Terence i ja mamy pewien drobiazg dla ciebie.

„Drobiazgiem” okazał się ford galaxie rocznik 1966. Był umyty, nawoskowany i biały jak śnieg w blasku księżyca.

– O mój Boże! – powiedziałem słabym głosem i wszyscy się zaśmiali. Nawet Andy.

– Karoseria wyglądała nieźle, ale w silniku trzeba było trochę podłubać – powiedział Terry. – Podszlifowaliśmy z tatą zawory, wymieniliśmy świece, zamontowaliśmy nowy akumulator... pełny serwis.

– Nowe opony. – Tata wskazał je palcem. – W sumie żadna sensacja, ale przynajmniej niebieżnikowane. Podoba się, synu?

Uściskałem go. Uściskałem ich obu.

– Tylko obiecaj mi i twojej matce, że nigdy nie siądziesz za kółkiem po drinku. Nie chcemy pewnego dnia być zmuszeni spojrzeć sobie w oczy i stwierdzić, że podarowaliśmy ci coś, czym zrobiłeś krzywdę sobie albo komuś innemu.

– Obiecuje – powiedziałem.

Astrid – z którą potem podzieliłem się resztką jointa, kiedy odwoziłem ją do domu moim nowym samochodem – ścisnęła moje ramię.

– Dopilnuję, żeby dotrzymał słowa.

Po dwóch kursach nad Staw Harry’ego (dwa były konieczne, żeby wszyscy mogli się ze mną przejechać) historia się powtórzyła. Poczułem, że ktoś pociągnął mnie za dłoń. To była Claire. Zaprowadziła mnie do sieni tak jak tego dnia, kiedy wielebny Jacobs przywrócił Conniemu głos swoim Elektrycznym Stymulatorem Nerwów.

– Mama chce, żebyś obiecał coś jeszcze – powiedziała – ale wstydziła się poprosić. Dlatego zaoferowałam się, że ją wyręcę.

Czekałem.

– Astrid to miła dziewczyna – powiedziała Claire. – Pali, czuć od niej papierosami, ale to nie znaczy, że jest złym człowiekiem. No i ma dobry gust, skoro trzy lata z tobą chodzi.

Czekałem.

– Jest też bystra. Na pewno pójdzie na studia. Dlatego chcemy, Jamie, żebyś złożył nam następującą obietnicę: że nie zrobisz jej dziecka na tylnym siedzeniu tego samochodu. Możesz to obiecać?

Prawie się uśmiechnąłem. Gdybym to zrobił, byłby to uśmiech na poły rozbawiony, na poły złoły. Przez ostatnie dwa lata mieliśmy z Astrid tajne hasło: przerwa. Oznaczało to wzajemną masturbację. Odkąd zaczęliśmy to robić, kilka razy napomknąłem jej o prezerwatywach, posunąłem się nawet do kupna trójpaka trojanów (jednego trzymałem w portfelu, dwa pozostałe za listwą przypodłogową w mojej sypialni), ona jednak była święcie przekonana, że pierwsza, którą wypróbujemy, pęknie albo okaże się nieszczelna. Dlatego pozostawała... przerwa.

– Gniewasz się na mnie, co? – spytała Claire.

– Nie – powiedziałem. – Na ciebie nigdy, misiu. – I to była prawda, i wtedy, i zawsze. Ten gniew czekał na potwora, którego poślubiła, i nigdy nie osłabł.

Przytuliłem ją i obiecałem, że nie zrobię Astrid dziecka. Słowa dotrzymałem, choć mieliśmy parę sytuacji podbramkowych przed tym dniem w chałupie koło Skytop.

W tamtym okresie czasem śnił mi się Charles Jacobs – a to wbijający palce w moją nibygórę, żeby zrobić jaskinie, a to wygłaszający Straszne Kazanie z głową okoloną niebieskim ogniem, który wyglądał jak elektryczny diadem – ale na jawie nie myślałem o nim prawie wcale aż do pewnego czerwcowego dnia 1974 roku. Miałem osiemnaście lat. Astrid też.

Były wakacje. Chrome Roses mieli zaklepane koncerty na całe lato (w tym parę w barach – na te z trudem, bo z trudem, ale dostałem pisemną zgodę rodziców), a na co dzień, jak przed rokiem, miałem pomagać Marstellarom prowadzić stragan z produktami rolnymi. Olej opałowy dobrze się sprzedawał i rodziców stać było na opłacenie czesnego na Uniwersytecie Stanu Maine, ale uważali, że sam też muszę dołożyć swoją cegiełkę. Pracę na straganie Marstellarów zaczynałem jednak dopiero za tydzień, więc mieliśmy z Astrid dużo czasu dla siebie. Spotykaliśmy się u mnie albo u niej. Popołudniami często krążyliśmy moim galaxie po bocznych drogach. Znajdowaliśmy dobre miejsce do zaparkowania, a potem... przerwa.

Tego popołudnia byliśmy w nieczynnej żwirowni przy drodze numer 9 i paliliśmy skręta z dość marnej lokalnej trawki. Było parno, na zachodzie tworzyły się chmury burzowe. Zagrzmiało i pewnie gdzieś pojawiła się błyskawica. Nie zobaczyłem jej, ale w głośniku radia rozległ się trzask, który na chwilę przerwał *Smokin' in the Boys' Room*, piosenkę, którą Roses tego roku wykonywali na każdym koncercie.

Wtedy wielebny Jacobs stanął mi w pamięci niczym dawno niewidziany gość i zapaliłem silnik.

– Zgaś skręta – powiedziałem. – Przejedziemy się.

– Dokąd?

– W miejsce, o którym ktoś mi powiedział dawno temu. O ile jeszcze istnieje.

Astrid schowała niedopałek jointa do pudełka po pastylkach *Sucrets* i wsunęła je pod siedzenie. Przejechałem jakieś dwa kilometry drogą numer 9, po czym odbiłem na zachód, w stronę Koziej Góry. Masywne drzewa napierały na nas z obu stron, zamglone słońce zniknęło za nadciągającymi chmurami burzowymi.

– Jeśli masz na myśli ośrodek, nie wpuszczą nas – powiedziała Astrid. – Rodzice zrezygnowali z członkostwa. Stwierdzili, że muszą oszczędzać, jeśli mam studiować w Bostonie.
– Zmarszczyła nos.

– Nie chodzi o ośrodek – powiedziałem.

Minęliśmy Longmeadow, gdzie koło młodych metodystów organizowało doroczne pikniki z kiełbaskami, i zobaczyliśmy ludzi, którzy nerwowo zerkając w niebo, uciekali do samochodów, objuczeni kocami i łódawkami turystycznymi. Grzmiało coraz głośniejszy, jakby po niebie przetaczały się ciężkie wozy, i gdzieś po drugiej stronie Skytop uderzył piorun. Ciarki przeszły mi po plecach. „To piękny widok – powiedział Charles Jacobs swojego ostatniego dnia w Harlow. – Piękny i przerażający”.

Z boku przemknęła tablica STRÓŻÓWKA KOZIA GÓRA 1 KM PROSIMY OKAZAĆ KARTE CZŁONKOWSKĄ.

– Jamie...

– Gdzieś tu powinna być droga na Skytop – powiedziałem. – Może już jej nie ma, ale...

A jednak była, wciąż wysypana żwirem. Skręciłem trochę zbyt gwałtownie i tyłem galaxie zarzuciło.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedziała Astrid. Nie wyglądała na przerażoną tym, że jedzie na spotkanie letniej burzy; była raczej zaintrygowana i lekko podekscytowana.

– Ja też.

Droga zrobiła się stroma. Tyłem galaxie od czasu do czasu rzucało na sypkiej

nawierzchni, ale poza tym samochód jechał pewnie. Jakieś cztery kilometry od zjazdu z szosy drzewa się rozstąpiły, odsłaniając Skytop. Astrid wstrzymała oddech i usiadła prosto. Wcisnąłem hamulec. Wóz znieruchomiał z chrzęstem opon na żwirze.

Na prawo od nas stała stara chałupa z omszałym, zapadającym się dachem i powybijanymi oknami. Po jej szarych, niepomalowanych ścianach wiło się graffiti tak wyblakłe, że prawie nieczytelne. Z przodu, ponad nami wznosiło się wielkie, wypukłe granitowe czoło. Na szczycie, tak jak powiedział mi Jacobs pół życia wcześniej, był żelazny słup wymierzony w chmury, teraz już czarne i wiszące nisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Po naszej lewej stronie, tam gdzie patrzyła Astrid, wzgórze, pola i szarozielone połacie lasów ciągnęły się po ocean. Z tamtej strony wciąż świeciło słońce, nadając światu blask.

– O mój Boże, to tu było zawsze? I nigdy mnie tutaj nie zabrałeś?

– Siebie też nie – odparłem. – Mój dawny pastor mówił, że...

Tylko tyle zdołałem powiedzieć. Z nieba strzelił oślepiająco jasny piorun. Astrid krzyknęła i osłoniła głowę rękami. Przez chwilę – dziwną, straszną, cudowną chwilę – miałem wrażenie, że powietrze zmieniło się w elektryczny olej. Włosy na całym moim ciele – nawet te króciutkie w nosie i uszach – stanęły dęba. A potem rozległo się „pstryk!”, jakby niewidzialny olbrzym strzelił palcami. Błysnął drugi piorun i uderzył w żelazny drąg, który przybrał ten sam jaskrawy niebieski kolor, jaki tańczył wokół głowy Charlesa Jacobsa w moich snach. Musiałem zamknąć oczy, żeby nie oślepnąć. Kiedy uniosłem powieki, słup świecił wiśniową czerwienią. „Niczym podkowa w kuźni”, powiedział wielebny, i tak to właśnie wyglądało. Grzmot przetoczył się po niebie.

– Wracamy? – spytałem, usiłując przekrzyczeć dzwonienie w moich uszach.

– Nie! – odkrzyknęła. – Tam idziemy! – I wskazała wałącą się chałupę.

Chciałem jej powiedzieć, że bezpieczniejsi bylibyśmy w samochodzie – gdzieś mi się obilo o uszy, że gumowe opony uziemiają i chronią od uderzeń piorunów – ale nad Skytop przeszły tysiące burz, a stara chata ciągle stała. Kiedy pobiegliśmy do niej, trzymając się za ręce, zrozumiałem, że to w sumie logiczne. Żelazny drąg ściągał gromy na siebie. Przynajmniej do tej pory.

Gdy byliśmy już przy otwartych drzwiach chaty, zaczął padać grad; grudki lodu wielkości kamyków bębniły w granit.

– Au, au, au! – krzyczała Astrid... ale jednocześnie się śmiała. Wpadła do środka.

Wbiegłem za nią w chwili, kiedy błysnął następny piorun, artyleria na jakimś apokaliptycznym polu bitwy. Tym razem poprzedziło go „trzask!”, nie „pstryk!”.

Astrid ścisnęła moje ramię.

– Patrz!

Nie zobaczyłem drugiego uderzenia burzy w żelazny drąg, za to wyraźnie widziałem, co stało się potem. Kuliste ognie świętego Elma, podskakując, turlały się w dół skalnego rumowiska. Było ich pięć. Jeden po drugim zniknęły.

Astrid wtuliła się we mnie, ale to jej nie wystarczyło. Zaplotła dłonie na moim karku, wdrapała się na mnie, objęła udami moje biodra.

– To fantastyczne! – krzyknęła.

Grad przeszedł w deszcz. Lało jak z cebra. Ściana wody przesłoniła Skytop, ale żelazny drąg ani na chwilę nie zniknął nam z oczu, bo pioruny waliły w niego raz po raz. Rozbłyskiwał na niebiesko lub fioletowo, chwilę świecił czerwienią i gasł tylko po to, by za chwilę przyciągnąć następny grom.

Taka ulewa zwykle nie trwa długo. Kiedy zelżała, zobaczyliśmy, że granitowy stok pod żelaznym drągiem zmienił się w rzekę. Ciągle grzmiało, ale w tym dźwięku nie było już

furii, co najwyżej naburmuszenie. Wszędzie wokół rozlegał się szum płynącej wody – jakby ziemia szeptała. Na wschodzie, nad Brunswick, Freeport i Jerusalem's Lot, nadal świeciło słońce; zobaczyliśmy tam nie jedną, nie dwie, lecz sześć tęcz splecionych z sobą jak koła olimpijskie.

Astrid odwróciła mnie ku sobie.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła cicho.

– Co? – Nagle nabrałem pewności, że zniszczy tę magiczną chwilę, zrywając ze mną.

– Miesiąc temu mama zabrała mnie do lekarza. Powiedziała, że nie interesuje jej to, jak poważne ty i ja mamy wobec siebie zamiary, bo to nie jej sprawa, ale musi wiedzieć, że uważam na siebie. Tak to ujęła. „Wystarczy, że powiesz lekarzowi, że tego chcesz, bo masz bolesne i nieregularne miesiączki – poradziła mi. – Kiedy zobaczy, że sama cię przyprowadziłam, nie będzie o nic pytał”.

Trochę nie nadażalem, więc walnęła mnie w pierś.

– Pigułki antykoncepcyjne, głuptasie. Ovril. Teraz już wiem, że jestem bezpieczna, bo dostałam okresu po tym, jak zaczęłam je brać. Czekałam na właściwy moment i lepszego niż teraz pewnie nie będzie.

Te świetliste oczy utkwione w moich... Po chwili spuściła wzrok i przygryzła wargę.

– Tylko... tylko panuj nad sobą, dobrze? Myśl o mnie i bądź delikatny. Bo się boję. Carol mówiła, że za pierwszym razem bolało ją jak diabli.

Rozebraliśmy się nawzajem – do naga, nareszcie – i w tym czasie chmury się przetańczyły, zaświeciło słońce, a szum płynącej wody zaczął cichnąć. Astrid miała już opalone ręce i nogi, poza tym była biała jak śnieg. Szczerozłote włosy łonowe podkreślały jej kobiecość, zamiast ją przesłaniać. W kącie, gdzie dach wciąż był cały, leżał stary materac – nie my pierwsi skorzystaliśmy z tej chałupy w celu, do jakiego posłużyła tego dnia.

Wprowadziła mnie w siebie, po czym kazała mi poczekać. Spytałem, czy wszystko w porządku. Powiedziała, że tak, ale że chce to zrobić sama.

– Nie ruszaj się, kochanie. Nie ruszaj się.

Leżałem nieruchomo. Wymagało to wielkiego samozaparcia, ale zarazem było cudowne. Uniosła biodra raz, potem drugi i pomału wsuwałem się coraz głębiej. Pamiętam, że patrzyłem na materac i widziałem jego wyblakły wzór, plamy brudu i samotnie wędrującą mrówkę. I wtedy Astrid znów uniosła biodra. Wślizgnąłem się do końca i wciągnęła powietrze ustami.

– O Boże!

– Boli? Astrid, czy to...

– Nie, jest cudownie. Myślę... że teraz już możesz.

Zrobiłem to. Zrobiliśmy to.

To było nasze lato miłości. Robiliśmy to w kilku miejscach – raz w przyczepie Cicero, na łóżku Norma, które się pod nami załamało i potem musieliśmy je naprawiać – najczęściej jednak korzystaliśmy z chałupy na Skytop. Tam mieliśmy swoją kryjówkę i dopisaliśmy nasze nazwiska do kilkudziesięciu innych nabazgranych na jednej ze ścian. Nie było już jednak ani jednej burzy. Przynajmniej tego lata.

Jesienią zacząłem naukę na Uniwersytecie Stanu Maine, a Astrid na Uniwersytecie Suffolk w Bostonie. Przypuszczałem, że to tylko tymczasowe rozstanie – że będziemy się widywać w ferie, a w bliżej nieokreślonej przyszłości, kiedy oboje skończymy studia, weźmiemy ślub. Od tego czasu przekonałem się, że jedna z zasadniczych różnic między płciami polega na tym, że mężczyźni snują przypuszczenia, a kobiety prawie nigdy. Może nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale to wiem na pewno.

W dniu burzy, kiedy jechaliśmy do domu, Astrid powiedziała: „Cieszę się, że byłeś moim pierwszym”. Odparłem, że też się cieszę, i do głowy mi nie przyszło, co z jej słów wynikało.

Nie było dramatycznego rozstania. Nasze drogi po prostu się rozeszły i jeśli ktoś w ogóle przyłożył rękę do tego stopniowego uwiadu uczuć, to tylko Delia Soderberg, ładna, cicha matka Astrid, zawsze okazująca mi nienaganną uprzejmość, ale patrząca na mnie jak sklepikarz na podejrzany banknot dwudziestodolarowy, który myśli sobie: Może nie ma powodu do niepokoju, ale coś z nim jest... nie tak. Gdyby Astrid zaszła w ciążę, moje przypuszczenia co do naszej wspólnej przyszłości mogłyby okazać się trafne. I kto wie, może nawet bylibyśmy bardzo szczęśliwi: troje dzieci, garaż na dwa samochody, basen za domem i tak dalej. Wątpię w to jednak. Sądzę, że ciągle koncerty – i dziewczyny, które zawsze się kręcą koło zespołów rockowych – w końcu okazałyby się zbyt ciężką próbą. Patrząc wstecz, myślę, że podejrzenia Delii Soderberg mimo wszystko były zasadne. Rzeczywiście byłem lewą dwudziestką. Sfalszowaną na tyle umiejętnie, że większość by się na tym nie poznała, ale ona owszem.

Nie było też dramatycznego rozstania z Chrome Roses. Kiedy pierwszy raz przyjechałem na weekend z uczelni w Orono, w piątkowy wieczór zagrałem z zespołem w sali Związku Weteranów, a w sobotę w pubie Scooter's w North Conway. Brzmieliśmy świetnie jak zawsze; wtedy zgarnialiśmy już sto pięćdziesiąt od występu. Pamiętam, że zaśpiewałem główny wokal w *Shake Your Moneymaker* i zagrałem niezłe solo na harmonijce.

Kiedy jednak przyjechałem na Święto Dziękczynienia, dowiedziałem się, że Norm znalazł nowego gitarzystę rytmicznego i zmienił nazwę zespołu na Norman's Knights.

– Nie gniewaj się, stary – powiedział ze wzruszeniem ramion. – Byliśmy zasypani propozycjami, a trio to nie dla mnie. Bębny, bas, dwie gitary, to jest rock and roll.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Rozumiem. – I rzeczywiście rozumiałem, bo miał rację. No, prawie. Bębny, bas, dwie gitary i E-dur.

– Jutro wieczorem gramy w Ragged Pony w Winthrop, jeśli chcesz dołączyć. No wiesz, jako gość specjalny.

– Dzięki, odpuszczę sobie – powiedziałem. Słyszałem ich nowego gitarzystę rytmicznego. Był o rok młodszy ode mnie, a już lepszy; grał funka jak opętany. Poza tym, to znaczyło, że mogłem spędzić sobotni wieczór z Astrid. I tak zrobiłem. Podejrzewam, że wtedy już spotykała się z innymi facetami – tak ładne dziewczyny nie siedzą grzecznie w domu – ale była dyskretna. I czuła. To było udane Święto Dziękczynienia. Wcale nie brakowało mi Chrome Roses (ani Norman's Knights; jak dobrze, że nie musiałem się przyzwyczaić do tej nazwy).

To znaczy... no wiecie.

Prawie wcale.

Pewnego dnia niedługo przed przerwą na Boże Narodzenie wpadłem do barku Bear's Den w budynku administracji na hamburgera i colę. Wychodząc, przystanąłem, żeby rzucić okiem na tablicę ogłoszeń. Wśród natłoku karteczek – na niektórych były oferty sprzedaży podręczników i samochodów, na innych prośby o podwózki w rozmaite miejsca – znalazłem to:

DOBRA WIADOMOŚĆ! The Cumberland's znowu razem! **ZŁA WIADOMOŚĆ!** Brakuje nam gitarzysty rytmicznego! Jesteśmy zespołem, który gra covery i **DAJE CZADU!** Jeśli umiesz grać Beatlesów, Stonesów, Badfinger, McCoys, Barbarians, Standells, Byrds itd., przyjdź z wiosłem do pokoju 421 w Cumberland Hall. Jeśli lubisz Emerson, Lake & Palmer albo Blood, Sweat & Tears, to sp*****laj.

Wtedy już miałem jaskrawoczerwonego gibsona SG i tego popołudnia po zajęciach zataaszczyłem go do Cumberland Hall, gdzie poznałem Jaya Pedersona. Z uwagi na zakaz hałasowania w czasie przeznaczonym na naukę brzdąkaliśmy na sucho w jego pokoju. Wieczorem podłączyliśmy sprzęt w świetlicy akademika. Przez pół godziny dawaliśmy ognia, po czym dostałem tę fuchę. Jay był dużo lepszy ode mnie, ale to coś, do czego przywykłem; w końcu zaczynałem swoją rockandrollową karierę u boku Norma Irvinga.

– Zastanawiam się, czy nie zmienić nazwy na The Heaters – powiedział Jay. – Co o tym myślisz?

– Jeśli tylko będę miał dość czasu na naukę, a ty będziesz sprawiedliwie dzielił forszę, możemy się nazywać Assholes from Hell, mnie bez różnicy.

– Niezła nazwa, prawie tak dobra jak Doug and the Hot Nuts, ale z taką raczej nikt nas nie wynajmie na szkolną potańcówkę. – Podał mi rękę i wymieniliśmy ten znajomy uścisk śniętej ryby. – Witaj na pokładzie, Jamie. Próba w środę wieczorem. Nie przyjdiesz, toś dupa.

Wiele można o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem dupa. Przyszedłem. I przez następne kilkanaście lat, w kilkunastu zespołach i setce miast, przychodziłem zawsze. Gitarzysta rytmiczny wszędzie znajdzie pracę, nawet jeśli jest tak naćpany, że ledwo się trzyma na nogach. W gruncie rzeczy wystarczy spełnić dwa warunki: przychodzić, gdzie każą, i umieć grać barowe E.

Moje kłopoty się zaczęły, kiedy przestałem przychodzić, gdzie każą.

** Pełna nazwa: Benevolent and Protective Order of Elks, organizacja o charakterze patriotycznym i dobroczynnym, do połowy lat dziewięćdziesiątych zrzeszająca wyłącznie mężczyzn.

Płynne przemijanie czasu – Portrety Błyskawicą – Moje kłopoty z narkotykami

Kiedy skończyłem Uniwersytet Stanu Maine (ze średnią 4; o włos za niską na wyróżnienie), miałem dwadzieścia dwa lata. Kiedy po raz drugi spotkałem Charlesa Jacobsa, miałem lat trzydzieści sześć. On wówczas wyglądał młodo jak na swój wiek, może dlatego, że gdy widziałem go ostatnio, był wychudły i wynędzniały z rozpaczy. W roku 1992 ja też nie wyglądałem na swój wiek; wyglądałem dużo starzej.

Zawsze uwielbiałem filmy. W latach osiemdziesiątych obejrzałem ich mnóstwo, najczęściej samotnie. Na niektórych przysypiałem (weźmy takie *Śmiertelne zauroczenie* – jak na tym nie zasnąć?), przeważnie jednak dzielnie trwałem aż do napisów końcowych bez względu na to, jak mocno byłem naćpany. Płynąłem na fali dźwięków, kolorów i obrazów niewiarygodnie pięknych kobiet w skąpych łąszkach. Książki są w porządku, przeczytałem ich sporo, telewizja też ujdzie, kiedy człowiek utknie w pokoju motelowym w czasie burzy, ale jak dla Jamiego Mortona nic nie mogło dorównać filmowi na wielkim ekranie. Byłem tylko ja, mój popcorn i moja duża cola. No i moja heroina, oczywiście. Zwykle brałem z bufetu dodatkową słomkę, przegryzałem ją na pół i wciągałem przez nią proszek z grzbietu dłoni. Do roku 1990 czy 91 nie tykałem strzykawki, ale w końcu skapitulowałem. Jak większość z nas. Wierzcie mi na słowo.

W filmach najbardziej urzeka mnie to, jak płynnie przemija w nich czas. Bohater zaczyna jako typowy gamoniowaty nastolatek – bez przyjaciół, bez pieniędzy, z beznadziejnymi rodzicami – i nagle zmienia się w Brada Pitta z najlepszych lat. Jedyne, co oddziela gamonia od boga, to plansza o treści 14 LAT PÓZNIEJ.

– Grzechem jest chcieć, żeby czas płynął szybciej – pouczała nas mama, zwykle wtedy, gdy w głębokim lutym marzyliśmy o letnich wakacjach albo kiedy nie mogliśmy się doczekać Halloween, i pewnie miała rację, ale mimo wszystko myślę sobie, że takie przeskoki w czasie to coś w sam raz dla ludzi, którym się w życiu nie układa, a mnie, w okresie między inauguracją prezydentury Reagana w 1980 roku a jarmarkiem stanowym w Tulsa w roku 1992, nie układało się zupełnie. Były wyciemnienia ekranu, ale bez objaśniających ich plansz tekstowych. Musiałem przeżyć każdy dzień tych lat, a kiedy nie mogłem się naćpać, niektóre z tych dni miały sto godzin.

Wprowadzenie wygląda tak: The Cumberlandy przemienili się w The Heaters, The Heaters w J-Tones. Ostatnim koncertem, który zagraliśmy jako zespół studencki, był huczny i przerasdosny bal absolwentów w roku 1978 w Memorial Gym. Trwał od ósmej do drugiej nad ranem. Wkrótce potem Jay Pederson wziął do zespołu znaną w okolicy wokalistkę, która grała też na saksofonie i tenorowym, i altowym tak, że dech w piersi zapierało. Nazywała się Robin Storrs. Pasowała do nas idealnie i w sierpniu J-Tones zmienili się w Robin and the Jays. Staliśmy się jedną z najbardziej rozchwytywanych kapel do wynajęcia w Maine. Przebieraliśmy w ofertach, życie było piękne.

A teraz przeskok.

Czternaście lat później Jamie Morton obudził się w Tulsa. Nie w dobrym hotelu, nawet nie w średniej klasy motelu sieciowym; to była podła nora o nazwie Fairgrounds Inn. Tak wyglądała oszczędność w wydaniu Kelly'ego Van Dorna. Jedenasta przed południem, łóżko

mokre. Nie zdziwiło mnie to. Kiedy śpisz dziewiętnaście godzin w objęciach madame H., praktycznie nie sposób się nie zeszczuć. Pewnie byś nie uniknął tego, nawet gdybyś w tym narkotycznym śnie umarł, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – przynajmniej już nigdy nie obudziłbyś się w zasikanych bokserkach.

Z załzawionymi oczami, pociągając nosem, powlokłem się krokiem zombi do łazienki. Po drodze zrzuciłem majtki. Pierwszy przystanek zrobiłem przy przyborach do golenia... ale nie po to, żeby usunąć zarost. Tam wciąż był mój sprzęt do ćpania, wraz z oklejonym taśmą woreczkiem śniadaniowym zawierającym parę gramów. Nie miałem powodu sądzić, że ktokolwiek włamałby się po mój skromny zapasik, ale sprawdzanie, czy towar jest na miejscu, to dla ćpuna wręcz odruch.

Załatwiwszy to, zwróciłem się w stronę sedesu i opróżniłem pęcherz z moczu, który się w nim zebrał od czasu mojego nocnego wypadku. Kiedy tak stałem, zaświtało mi, że zapomniałem o czymś ważnym. W tym czasie grałem w zespole country-popowym i zeszłego wieczoru mieliśmy być supportem Sawyer Brown na wielkiej Scenie Oklahoma jarmarku stanowego w Tulsa. Duża rzecz, zwłaszcza dla jeszcze za słabej na Nashville kapeli jak White Lightning.

– Próba o piątej – powiedział mi Kelly Van Dorn. – Będziesz, prawda?

– Jasne – odparłem. – Nie ma obaw.

Ups.

Wychodząc z łazienki, zobaczyłem, że spod drzwi pokoju wystaje złożona kartka. Mogłem się domyślić, jakiej jest treści, ale dla pewności podniosłem ją i przeczytałem. Była krótka i na temat.

Zadzwoń do nauczyciela muzyki z miejscowej szkoły i szczęśliwym trafem znalazł się mały, który grał na gitarze rytmicznej i slide na tyle dobrze, że jakoś sobie poradziłem. Z radością przyjął twoje 600 \$. Kiedy przeczytasz ten liścik, będziemy już w drodze do Wildwood Green. Nawet nie myśl o tym, żeby za nami jechać. Jesteś zwolniony. Cholernie mi przykro to robić, ale co za dużo, to niezdrowo.

Kelly

PS Pewnie to olejesz, Jamie, lecz jak się nie weźmiesz w garść, za rok wylądujesz w więzieniu. Jeśli dopisze ci szczęście. Jeśli nie, w kostnicy.

Próbowałem schować liścik do tylnej kieszeni, ale upadł na wytartą zieloną wykładzinę – zapomniałem, że jestem goły. Podniosłem świstek, wyrzuciłem do kosza i wyrząłem przez okno. Parking na dziedzińcu był zupełnie pusty, nie licząc starego datsuna i zdezelowanego pikapa jakiegoś farmera. Explorer wożący zespół i furgonetka ze sprzętem, którą prowadził nasz dźwiękowiec, zniknęły. Kelly nie żartował. Ten niewydarzony rzępoła mnie zostawił. Może to i lepiej. Czasem myślałem, że jeśli będę musiał zagrać jeszcze jeden kawałek o piciu i niewiernych kobietach, do reszty postradam rozum.

Postanowiłem najpierw przedłużyć wynajem pokoju. Nie miałem ochoty spędzić kolejnej nocy w Tulsa, zwłaszcza w pobliżu działającego pełną parą jarmarku stanowego, ale potrzebowałem trochę czasu, żeby się zastanowić, co dalej z moją karierą. Musiałem też zdobyć towar, a jak nie znajdziesz dilerów na jarmarku stanowym, to słabo się starasz.

Kopnąłem wilgotne majtki w kącie – napiwek dla pokojówki, pomyślałem złośliwie –

i rozsunąłem zamek mojego worka marynarskiego. W środku nie znalazłem nic oprócz brudnych łachów (poprzedniego dnia zamierzałem poszukać samoobsługowej pralni; to też mi wyleciało z głowy), ale przynajmniej były suche. Ubrałem się i powędrowałem po popękanych asfalcie dziedzińca do recepcji, wciąż krokiem zombi, ale już trochę bardziej posuwistym. Przy przełykaniu paliło mnie w gardle. Dodatkowa atrakcja.

Recepcjonistką była oschła wieśniara koło pięćdziesiątki, aktualnie żyjąca pod wulkanem utapirowanych rudych włosów. Na ekranie jej małego telewizora gospodarz talk-show paplał o czymś z Nicole Kidman. Nad telewizorem wisiał oprawiony obrazek z Jezusem przynoszącym szczeniaka chłopcu i dziewczynce. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Na prowincji często mylą Zbawiciela ze Świętym Mikołajem.

– Pana zespół już się wymeldował – powiedziała, odnalazłszy moje nazwisko w księdze meldunkowej. Miała lokalny akcent, który brzmi jak źle nastrojone bandzo. – Wyjechali parę godzin temu. Mówili, że aż do Karoliny Północnej.

– Wiem – powiedziałem. – Nie jestem już w zespole.

Uniosła brew.

– Różnice na tle artystycznym – wyjaśniłem.

Brew powędrowała wyżej.

– Zostanę na jeszcze jedną noc.

– Uhm, jasne. Gotówka czy karta kredytowa?

Miałem jakieś dwie stowy gotówką, ale większość tych funduszy przeznaczona była na narkotyki, które zamierzałem kupić na jarmarku, więc dałem jej moją BankAmericard. Zadzwoiła do banku i czekała ze słuchawką przyciśniętą do ucha mięsistym ramieniem, wpatrzona w reklamę papierowych ręczników, które podobno mogły wchłonąć całą wodę z jeziora Michigan. Oglądałem razem z nią. Kiedy zaczął się dalszy ciąg talk-show, do Nicole Kidman dołączył Tom Selleck, a wieśniara z recepcji wciąż czekała, żeby ktoś podszedł do telefonu. Jej to wyraźnie nie wadziło, ale mnie owszem. Zaczęło się znajome śwędzenie, chora noga coraz mocniej pulsowała bólem. Na następnej przerwie reklamowej recepcjonistka wreszcie się ożywiła. Obróciła się na krześle, wyjrzała przez okno na soczyście błękitne niebo Oklahomy i chwilę z kimś gawędziła. Potem odłożyła słuchawkę i oddała mi kartę.

– Odrzucona. Co zachęca mnie do przyjęcia gotówki. O ile ją masz.

To było złośliwe, ale i tak obdarzyłem ją moim najlepszym uśmiechem.

– Karta jest ważna. Pomylili się. Ciągle się myślą.

– W takim razie naprawisz to niedopatrzenie w innym motelu – powiedziała.

(Niedopatrzenie! Kto by pomyślał, wieśniara, a zna takie mądre słowa). – W pobliżu są jeszcze cztery, ale dość marne.

Gdzie im do tego przydrożnego Ritza-Carltona, pomyślałem.

– Proszę jeszcze raz sprawdzić.

– Skarbie – zachnęła się – nie muszę, wystarczy, że na ciebie spojrzę.

Kichnąłem, odwracając głowę, żeby smarki wylądowały w krótkim rękawie mojej koszulki. Nie mogło jej to zaszkodzić, bo i tak ostatnio nie była prana. Nawet dłużej niż ostatnio.

– Co to niby znaczy?

– To, że zostawiłam pierwszego męża, kiedy on i obaj jego bracia zaczęli palić herę. Bez urazy, ale wiem, kogo mam przed sobą. Ostatnia noc jest opłacona kartą kredytową zespołu... lecz skoro zostałeś, jak to mówią, solistą, do pierwszej masz zwolnić pokój.

– Na drzwiach jest napisane, że doba hotelowa trwa do trzeciej.

Wymierzyła oblażący z lakieru paznokciec w kartkę na lewo od kalendarza z Jezusem przynoszącym szczeniaczka: POTCZAS JARMARKU STANOWEGO, OD 25 WRZEŚNIA DO

4 PAŹDZIERNIKA, DOBA HOTELOWA KOŃCZY SIĘ O 13.00.

– „Podczas” jest napisane z błędem – zauważyłem. – Powinnas naprawić to niedopatrzenie.

Zerknęła na kartkę, po czym znów odwróciła się do mnie.

– Może i tak, ale w godzinie błędu nie ma. – Rzuciła okiem na zegarek. – Masz półtorej godziny. Nie każ mi wzywać policji, skarbie. W czasie jarmarku jest ich więcej niż much na świeżym psim gównie i migiem przyjadą.

– To jakieś kpiny – powiedziałem.

Tamte czasy upłynęły mi jak we mgle, ale jej odpowiedź pamiętam tak wyraźnie, jakby szepnęła mi ją na ucho dwie minuty temu:

– Nie, skarbie, to rzeczywistość.

I odwróciła się w stronę telewizora. Właśnie pokazywali jakiegoś stepującego pajaca.

Nie zamierzałem kupować towaru w biały dzień, nawet na jarmarku stanowym, dlatego zostałem w Fairgrounds Inn do wpół do drugiej (żeby zrobić wieśniarze z recepcji na złość). Potem wziąłem worek marynarski w jedną rękę, futerał z gitarą w drugą i wyszedłem. Pierwszy przystanek zrobiłem na stacji benzynowej Texaco w pobliżu miejsca, gdzie North Detroit Avenue przechodzi w South Detroit. Wtedy już mocno utykałem, przechylony na lewą burtę, a moje biodro pulsowało bólem w rytmie zgodnym z biciem serca. W męskiej ubikacji podgrzałem i wprowadziłem połowę mojego zapasu w zagłębienie w lewym barku. Od razu spłynęła na mnie błogość. Gardło i noga powoli przestały boleć.

Moja zdrowa lewa noga stała się nogą chorą w słoneczny letni dzień 1984 roku. Jechałem kawasaki; stary piździel nadciągający z naprzeciwka siedział za kółkiem chevroleta wielkości jachtu motorowego. Zabłąkał się na mój pas, stawiając mnie w obliczu wyboru: albo pobocze, albo zderzenie czołowe. Podjąłem oczywistą decyzję i udało mi się palanta wyminąć. Błędem była próba powrotu na jezdnię przy prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Rada dla wszystkich początkujących motocyklistów: gwałtowne skręcanie na żwirze, jadąc sześćdziesiątką, to fatalny pomysł. Wywróciłem motor i zламаłem nogę w pięciu miejscach. Roztrzaskałem sobie też biodro. Wkrótce potem odkryłem uroki morfiny.

Dzięki temu, że noga mniej bolała, a swędzenie i skurcze ustały, w dalszą drogę wyruszyłem z nieco większym wigorem i kiedy dotarłem na dworzec autobusowy, zadawałem już sobie pytanie, po kiego w ogóle tak długo wytrzymałem z Kellym Van Dornem i jego popieprzoną kapelą country. Granie łzawych ballad (w C-dur, na litość boską) to nie to, do czego byłem stworzony. Byłem rockmanem, nie burakiem.

Kupiłem bilet na autobus odjeżdżający nazajutrz w południe do Chicago, co przy okazji dało mi prawo do złożenia mojego worka marynarskiego i gibsona SG – jedynej cennej rzeczy, jaka mi została – w przechowalni bagażu. Zapłaciłem dwadzieścia dziewięć dolarów. Przeliczyłem resztę pieniędzy, siedząc w kabinie ubikacji. Sto pięćdziesiąt dziewięć dolców, mniej więcej tyle, ile się spodziewałem. Przyszłość rysowała się nieco bardziej różowo. Kupię towar na jarmarku, znajdę nocleg – może w miejscowym schronisku dla bezdomnych, może pod chmurką – i jutro pojedę greyhoundem do Wietrznego Miasta. Jak w większości dużych miast, działała tam giełda muzyczna; muzycy spotykali się, opowiadali dowcipy, wymieniali się plotkami i rozpytywali o fuchy. Niektórym nie było łatwo (na przykład akordeonistom), ale przyzwoici gitarzyści rytmiczni zawsze mieli wzięcie, a ja byłem ciut więcej niż przyzwoity.

W roku 1992 umiałem nawet zagrać solówkę, kiedy zachodziła taka potrzeba. No i jeśli nie byłem zbyt naćpany. Na razie przede wszystkim musiałem dostać się do Chicago i znaleźć robotę, zanim Kelly Van Dorn rozpuści wiadomość, że nie można na mnie polegać, a tego obsrańca byłoby na to stać.

Do zmroku zostało jeszcze co najmniej sześć godzin, więc podgrzałem resztę mojego zapasu i wstrzyknąłem tam, gdzie jest z niego najwięcej korzyści. Potem kupiłem w kiosku western w miękkiej oprawie, otworzyłem go na pierwszej lepszej stronie, usiadłem na ławce i uciąłem sobie drzemkę. Kiedy serią kichnięć wyrwałem się ze snu, była już siódma. Pora, by były gitarzysta rytmiczny White Lightning rozejrział się za towarem.

Gdy dotarłem na jarmark, z zachodzącego słońca została już tylko kładąca się na horyzoncie smuga koloru gorzkiej pomarańczy. Choć chciałem zachować większą część pieniędzy na herę, szarpnąłem się na taksówkę, bo czułem się kiepsko. I nie tylko przez zwykłe skurcze i bóle towarzyszące zjazdowi. Znów paliło mnie w gardle. W uszach miałem ostry, piszczący szum, było mi gorąco. Powiedziałem sobie, że to ostatnie to rzecz normalna, bo tego wieczoru panował niemiłosierny upał. Co do reszty, byłem pewien, że po sześciu–siedmiu godzinach snu dojdę do siebie. Przekimam się w autobusie. Chciałem być w szczytowej formie, zanim znów się zaciągnę do rockandrollowej armii.

Ominąłem główne wejście na jarmark, bo tylko kretyn próbowałby kupić heroinę na wystawie rękodzieła czy zwierząt gospodarskich. Dalej znajdował się Park Rozrywki Bell's. Dziś tej dodatkowej atrakcji jarmarku stanowego w Tulsa już nie ma, we wrześniu 1992 roku jednak działała na pełnych obrotach. Obie kolejki górskie – drewniana Zingo i bardziej nowoczesna Wildcat – mknęły po serpentynach torów, na każdym ostrym zakręcie i karkołomnym zjeździe za wagonikami niosły się radosne krzyki. Przy zjeżdżalniach wodnych, karuzeli Himalaya i tunelu strachu Phantasmagoria utworzyły się długie kolejki.

Zignorowałem to wszystko i niespiesznie poszedłem za budki z jedzeniem. Buchające z nich zapachy smażonego ciasta i kielbasek – zwykle nęcące – przyprawiły mnie o lekkie mdłości. Koło stoiska z szyldem zachęcającym CELNY RZUT WYGRYWA kręcił się facet, który wyglądał obiecująco, i prawie go zagadnąłem, ale kiedy podszedłem bliżej, wyczułem w nim tajniaka. Koszula, którą na sobie miał (KOKAINA! ŚNIADANIE MISTRZÓW!), była odrobinę za mało subtelna. Ruszyłem dalej, mijając strzelnicę, potem budę, w której celowało się piłką w piramidy kręgli w kształcie butelek po mleku, i wreszcie Skeeball i Koło Fortuny. Z każdą chwilą czułem się gorzej, moja skóra była coraz bardziej rozpalona, szum w uszach głośniejszy. Gardło tak bolało, że krzywiłem się przy przełykaniu śliny.

Daleko z przodu było rozbudowane pole do minigolfa. Zajmowały je głównie roześmiane nastolatki i stwierdziłem, że znalazłem Strefę Zero. Tam, gdzie są dobrze bawiące się małolaty, nie może zabraknąć dilerów skorych do pomocy w zoptymalizowaniu rzeczony zabawy. I faktycznie dostrzegłem paru jegomościów o wyglądzie w sam raz do tej roli. Po rozbieganych oczach i nieumytych włosach ich poznać.

Za polem do minigolfa pasaż kończył się skrzyżowaniem w kształcie litery T, którego jedna odnoga prowadziła z powrotem na teren jarmarku, a druga na tor wyścigów. Nie wybierałem się ani tam, ani tam, ale od jakiegoś czasu gdzieś po prawej stronie słyszałem dziwne elektryczne trzaski, po których następował aplauz, śmiech i okrzyki zdumienia. Zbliżając się do zbiegu pasaży, zobaczyłem, że każdemu trzaskowi towarzyszy jasny niebieski błysk, który przypominał mi błyskawicę. Błyskawicę na Skytop, mówiąc ściśle. Od lat o tym nie myślałem. Na czymkolwiek ten numer polegał, przyciągnął spory tłum. Stwierdziłem, że cwaniaki kręcące

się koło pola do minigolfa mogą kilka minut poczekać. Tacy jak oni zwykle nigdzie się nie ruszają, dopóki nie zgasną neony, a chciałem zobaczyć, kto wytwarza błyskawice w ten upalny, pogodny wieczór w Oklahomie.

Spotęgowany przez wzmacniacz głos huknął:

– A teraz, gdy ujrzeliście moc mojego Miotacza Piorunów... jedynego na świecie, to wam gwarantuję... pokażę wam, jak powstaje wspaniały portret, który sami będziecie mogli kupić za jeden portret Alexandra Hamiltona wysuptyany z portfela czy portmonetki; jeden jedyny pokaz nadzwyczajny, zanim otworzę moje Studio Elektryczne i dam każdemu z was szansę pozowania do fotografii stulecia! W tym celu będę jednak potrzebował ochotnika, abyście mogli zobaczyć, że wasze dziesięć dolarów nie pójdzie na marne, przeciwnie, że będzie to najlepiej wydane dziesięć dolarów w waszym życiu. Jacyś chętni? Zapraszam! To całkowicie bezpieczne, daję słowo! No, drodzy państwo, zawsze słyszałem, że ludzie z Oklahomy słyną w całej Ameryce z odwagi!

Stała tam estrada, przed którą zebrał się spory tłum, pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Jej płócienne tło miało pewnie ze dwa metry szerokości i co najmniej sześć metrów wysokości. Widniało na nim zdjęcie prawie tak duże jak obraz na ekranie kinowym. Przedstawiało piękną młodą kobietę na, zdaje się, parkiecie sali balowej. Jej czarne włosy upięte były na czubku głowy w misterną, pełną zakrętów i zawijasów fryzurę, której układanie musiało trwać godzinami. Z głębokiego dekoltu sukni bez ramiączek wylaniały się ponętnie krągłe piersi. W uszach kobiety tkwiły brylantowe kolczyki, usta umalowane były krwistoczerwoną szminką.

Na wprost wytwornej olbrzymki stał aparat fotograficzny starego typu, taki rodem z dziewiętnastego wieku, na trójnogim statywie, z czarną zasłoną, którą fotograf może sobie narzucić na głowę. Wydawało się, że z tego miejsca obiektyw obejmował dziewczynę z wielkiego zdjęcia tylko od kolan w dół. Obok, na słupku, była taca z proszkiem błyskowym. Mistrz ceremonii w czarnym surducie i cylindrze trzymał lekko stuloną dłoń na aparacie. Poznałem go od razu.

To wszystko mam wyraźnie przed oczami, ale jeśli chodzi o dalsze wydarzenia tego wieczoru, nie można ufać mojej pamięci – przyznaję to z własnej nieprzymuszonej woli. Byłem długoletnim ćpunem, który przed dwoma laty przerzucił się na strzykawkę, początkowo używaną tylko do zastrzyków podskórnych, z czasem jednak coraz częściej wkłuwaną w żyłę. Byłem niedożywiony i mocno wychudzony. W dodatku miałem temperaturę. To była grypa. Rozłożyła mnie szybko. Rano po przebudzeniu myślałem, że to tylko typowy heroinowy katar, w najgorszym razie przeziębienie, ale w chwili, kiedy zobaczyłem Charlesa Jacobsa stojącego obok przedpotopowego aparatu fotograficznego na tle płótna z napisem PORTRETY BŁYSKAWICĄ nad dziewczyną olbrzymką, czułem się jak we śnie. Nie byłem zaskoczony widokiem mojego dawnego pastora, który wtedy miał już skronie oprószone siwizną i zmarszczki (płytkie) wokół ust. Nie zdziwiłbym się, gdyby obok niego stanęły moje świętej pamięci matka i siostra przebrane za Króliczki Playboya.

Paru mężczyzn podniosło ręce w odpowiedzi na prośbę Jacobsa o ochotników, on jednak zaśmiał się i wskazał piękność górującą nad jego ramieniem.

– Nie wątpię, że jesteście panowie odważni jak czart w sobotni wieczór, ale żadnemu z was nie będzie do twarzy w sukni bez ramiączek.

Jego słowa powitał serdeczny śmiech.

– Dziewczyny mi tu trzeba – powiedział człowiek, który pokazał mi Jezioro Pokoju, kiedy byłem szkrabem w krótkich portkach. – Ładnej dziewczyny! Ślicznotki z Oklahomy! Co państwo na to? Pasuje wam?

Zaklaskali w dłonie, żeby pokazać, jak bardzo im to pasuje. A Jacobs, który niechybnie

upatrzył już sobie ofiarę, wymierzył bezprzewodowy mikrofon w kogoś stojącego blisko estrady.

– Może panienka? Ładniejszej nikt nie mógłby sobie wymarzyć!

Byłem na samym końcu tłumu, ale ludzie zdawali się przede mną rozstępować, jakbym posiadał jakąś magiczną odpychającą moc. Pewnie po prostu roztrącałem ich łokciami, ale nie tak to pamiętam, nie przypominam też sobie, żeby ktokolwiek mi oddał. Zupełnie jakbym płynął przez tłum. Wszystkie kolory stały się jaskrawsze, dźwięki – pojękiwanie organów parowych akompaniujących karuzeli, okrzyki na kolejce górskiej – głośniejsze. Szum w moich uszach przeszedł w melodyjne dzwonienie (G7, zdaje się). Sunałem przez aromaty perfum, wody po goleniu i taniego lakieru do włosów.

Ślicznotka z Oklahomy protestowała, ale jej znajomi na to nie zważali. Wypchnęli ją naprzód i weszła na stopnie po lewej stronie sceny, ukazując gawiedzi swoje opalone uda wystające spod wystrzępionego rąbka krótkiej dżinsowej spódniczki. Nad spódniczką miała zieloną bluzkę, która sięgała pod szyję, ale kokietyjnie odsłaniała parę centymetrów brzucha. Dziewczyna była długowłosą blondynką. Kilku mężczyzn gwizdnęło.

– Każda piękna panna z natury obdarzona jest ładunkiem dodatnim! – powiadomił widzów Jacobs i zerwał cylinder z głowy. Zobaczyłem, że zacisnął dłoń, w której go trzymał. Przez chwilę czułem coś, czego nie zaznałem od tamtego dnia na Skytop: ręce obsypała mi gęsia skórka, włosy stanęły dęba na karku, powietrze w płucach stało się zbyt ciężkie. I wtedy na tacy obok aparatu wybuchło coś, co na pewno nie było proszkiem błyskowym. Osłepiający niebieski błysk rozświetlił płócienne tło. Twarz dziewczyny w sukni wieczorowej zniknęła. Kiedy blask przygasł, na miejscu pięknej olbrzymki zobaczyłem – przynajmniej tak mi się zdawało – pięćdziesięcioparoletnią wieśniarę, która przed mniej więcej dziewięcioma godzinami wywalila mnie z Fairgrounds Inn. A potem znów ukazała się dziewczyna w ozdobionej cekinami sukni z głębokim dekoltem.

To zadziwiło tłum, mnie zresztą też... ale nie powiem, żeby mnie zaskoczyło. Wielebny Jacobs odstawiał swoje stare numery, to wszystko. Nie byłem też zaskoczony, kiedy objął ramieniem wywołaną na scenę dziewczynę, odwrócił ją twarzą do nas. Przez chwilę miałem wrażenie, że to Astrid Soderberg, znów szesnastoletnia i lękająca się, żeby nie zająć w ciąży. Astrid, która czasem wdmuchiwała dym z virginia slims do moich ust, przyprawiając mnie o erekcję wszech czasów.

A potem znów była to tylko ślicznotka z Oklahomy, która przyjechała z rodzinnej farmy wesoło spędzić wieczór.

Asystent Jacobsa, przyszczaty, nieudolnie ostrzyżony małolat, przydreptał na scenę z prostym drewnianym krzesłem. Postawił je przed aparatem, po czym komicznym, teatralnym gestem otrzepał staromodny surdut Jacobsa z kurzu.

– Usiądź, skarbie – powiedział Jacobs, prowadząc dziewczynę do krzesła. – Obiecuję ci elektryzującą dobrą zabawę.

Poruszył brwiami, a jego młody asystent zatrząsł się jak rażony prądem. Widownia była zachwycona. Oczy Jacobsa odnalazły mnie w pierwszym rzędzie, powędrowały dalej, wróciły. Po krótkiej kontemplacji wznowiły wędrówkę.

– Będzie bolało? – spytała dziewczyna i w tej chwili zobaczyłem, że wcale nie jest podobna do Astrid. Pewnie, że nie. Moja pierwsza dziewczyna byłaby dużo starsza... i dokądkolwiek zawiódł ją los, prawie na pewno nie nazywała się już Soderberg.

– Nic a nic – zapewnił ją Jacobs. – I w odróżnieniu od innych pań, które odważą się tu podejść, ty swój portret dostaniesz...

Odwrócił się od niej w stronę publiczności i tym razem spojrział prosto na mnie.

– ...za darmo.

Posadził ją na krzesło i kontynuował swoją gadkę, teraz jednak już z pewnym wahaniem, jakby gubił wątek. Co rusz na mnie zerkał, kiedy jego asystent przewiązywał dziewczynie oczy białą jedwabną opaską. Jeśli był rozkojarzony, publiczność tego nie zauważyła; ładna dziewczyna – w dodatku z zawiązanymi oczami – miała lada moment zostać sfotografowana u stóp olbrzymiej, pięknej kobiety i bardzo to wszystko było ciekawe. Zwłaszcza że dziewczyna na estradzie miała prawie gołe nogi, a ta w tle prawie gołe piersi.

– Kto by chciał... – zaczęła ślicznotka z Oklahomy i Jacobs pospiesznie podstawił jej mikrofon, żeby mogła zwrócić się ze swoim pytaniem do całej publiczności – ...zdjęcie, na którym mam zasłonięte oczy?

– Ale resztę masz odsłoniętą, kochana! – krzyknął ktoś i odpowiedział mu serdeczny aplauz. Dziewczyna na krzesło mocno zwarła kolana, ale przy tym lekko się uśmiechała. Tym starym dobrotliwym uśmiechem mówiącym „a miejcie sobie radochę”.

– Moja droga, myślę, że się zdziwisz – powiedział Jacobs, po czym zwrócił się do widzów. – Elektryczność! Choć traktujemy ją jako coś oczywistego, jest największym cudem natury na tym świecie! Wielka Piramida w Gizie to w porównaniu z nią zaledwie mrowisko! Elektryczność jest fundamentem naszej współczesnej cywilizacji! Niektórzy twierdzą, że ją rozumieją, panie i panowie, ale nikt nie rozumie elektryczności tajemnej, owej siły, która spaja wszechświat w harmonijną całość. Czy ja ją rozumiem? Nie. Nie całkiem. Wiem jednak, że ma moc, aby niszczyć, uzdrawiać, a także tworzyć magiczne piękno! Jak panienka się nazywa?

– Cathy Morse.

– Cathy, znam takie stare powiedzenie: Piękno jest w oku patrzącego. Ty i ja, i wszyscy tu dziś zgromadzeni naocznie się przekonamy o jego prawdziwości, po czym wrócisz do domu z portretem, który będziesz mogła pokazywać swoim wnukom, a one kiedyś pokażą swoim wnukom! I jeśli ci twoi jeszcze nienarodzeni potomkowie nie będą nim zachwyceni, to ja nie nazywam się Dan Jacobs.

Tyle że tak się nie nazywasz, pomyślałem.

Kolebałem się w przód i w tył, jakby w rytm muzyki organów parowych i tej, która dzwoniła mi w uszach. Chciałem przestać, ale nie mogłem. Moje nogi były dziwnie mięsiste, jakby centymetr po centymetrze usuwano z nich kości.

Jesteś Charles, nie Dan, tłukło mi się po głowie. Myślisz, że nie poznaję człowieka, który przywrócił głos mojemu bratu?

– A teraz, panie i panowie, radzę osłonić oczy!

Asystent teatralnym gestem zakrył oczy dłonią. Jacobs obrócił się na pięcie, podrzucił czarną płachtę z tyłu aparatu i zniknął pod nią.

– Zamknij oczy, Cathy! – zawołał. – Tak silny impuls elektryczny może oślepić nawet przez opaskę! Policzę do trzech! Raz... i dwa... i trzy!

Znów poczułem, że powietrze dziwnie zgęstniało, zresztą nie ja jeden; tłum cofnął się o krok czy dwa. Potem rozległo się głośne „pstryk!”, jakby ktoś strzelił palcami koło mojego prawego ucha. Niebieski błysk rozświetlił świat.

– Ooooooch! – westchnął tłum. A kiedy ludziom wrócił wzrok i zobaczyli, co się stało z tłem estrady, rozległo się: – OOOOOCH!

Suknia wieczorowa pozostała taka sama – z dużym dekoltem, srebrna, wysadzana cekinami. Ponętne krągłości pozostały, podobnie jak wymyślna fryzura. Piersi jednak się zmniejszyły, a włosy były blond, nie czarne. Twarz też się zmieniła. Teraz na parkiecie sali balowej stała Cathy Morse. Zamrugalem oczami i ślicznotka z Oklahomy zniknęła. Na jej miejscu znów była Astrid. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości; to była Astrid w wieku szesnastu lat, obiekt moich marzeń i – ostatecznie odwzajemnionego – pożądania.

Przez tłum przeszedł cichy szmer zadziwienia i wpadła mi do głowy myśl szalona i przekonująca jednocześnie: że oni wszyscy też widzą ludzi ze swojej przeszłości, tych, którzy odeszli bądź zostali przemienieni stanowczą, bezlitosną ręką czasu.

A potem była już tylko Cathy Morse, ale widok i tak zdumiewał: sześciometrowa Cathy Morse w drogiej sukni, na jaką nigdy nie będzie jej stać w rzeczywistości. W jej uszach lśniły brylantowe kolczyki i choć dziewczyna na krześle miała na ustach cukierkoworóżową szminkę, to wargi Cathy olbrzymki za jej plecami umalowane były na krwistoczerwono.

Ani śladu opaski na oczy.

Stary dobry wielebny Jacobs, pomyślałem, tyle że nauczył się sztuczek dużo bardziej efektownych niż Elektryczny Jezus kroczący po Jeziorze Pokoju czy pas z materiału z zabawkowym silniczkiem.

Wychynął spod czarnej płachty, odrzucił ją i wyciągnął z aparatu szklaną płytkę. Pokazał ją publiczności i znów rozległo się OOOOOCH. Jacobs uklonił się i odwrócił w stronę głęboko zdezorientowanej Cathy. Podał jej płytkę i powiedział:

– Możesz odsłonić oczy, Cathy. Już nic ci nie grozi.

Zsunęła opaskę i zobaczyła obraz na płytce: dziewczyna z Oklahomy jakimś cudem przemieniona w ekskluzywną francuską kurtyzanę z *demimonde*. Podniosła dłonie do ust, ale Jacobs miał mikrofon w pogotowiu i wszyscy usłyszeli, jak powiedziała „O Boże!”.

– A teraz się odwróć! – krzyknął Jacobs.

Wstała, odwróciła się i zatoczyła do tyłu na widok siebie samej, wysokiej na sześć metrów i odstawionej w elegancką kreację. Jacobs podtrzymał ją w talii ręką nietrzymającą mikrofonu. Dłoń, w której miał mikrofon, a wraz z nim jakieś ukryte urządzenie sterujące, znów się zacisnęła i tym razem na szmerze przebiegającym przez publiczność się nie skończyło. Rozległo się też kilka okrzyków.

Olbrzymia Cathy Morse powoli obróciła się jak modelka, ukazując tył sukni, z wycięciem dużo głębszym od dekoltu. Obejrzała się przez ramię... i puściła oko.

Jacobs nie zapomniał o mikrofonie – najwyraźniej był w tym fachu starym wygą – i publiczność usłyszała drugi okrzyk prawdziwej Cathy tak wyraźnie, jak pierwszy:

– O ja piernicze!

Ludzie się śmiali. Wiwatowali. A kiedy oblała się szkarłatnym rumieńcem, zgotowali jej jeszcze większą owację. Tymczasem nad Jacobsem i dziewczyną olbrzymia Cathy zaczęła się zmieniać. Jasne włosy zbrązowiały. Rysy zatarły się, choć czerwona szminka pozostała wyraźnie widoczna, niczym uśmiech kota z Cheshire w *Alicji w Krainie Czarów*.

I po chwili na płótnie była ta sama dziewczyna co na początku. Obraz Cathy Morse zniknął.

– Ale ta wersja nie zniknie nigdy – powiedział Jacobs, znów podnosząc szklaną płytkę. – Mój asystent zrobi odbitkę, oprawi i będziesz ją mogła odebrać, zanim pójdziesz do domu.

– Te, magik, uważaj! – krzyknął ktoś z pierwszego rzędu. – Dziewczyna ci zaraz zemdleje!

Ale nie zemdlą. Tylko się lekko zachwiały.

To ja zemdląłem.

Kiedy otworzyłem oczy, leżałem w dużym łóżku, przykryty kocem po brodę. Spojrzawszy w prawo, zobaczyłem ścianę wyłożoną boazerią ze sztucznego drewna, w lewo – ładny kącik kuchenny: lodówka, zlew, mikrofalówka. Dalej była kanapa, kącik jadalny z czterema krzesłami, nawet wygodny fotel ustawiony na wprost wbudowanego telewizora. Nie

mogłem wyciągnąć szyi na tyle, żeby zobaczyć szoferkę, ale jako wędrowny muzyk, który pokonał dziesiątki tysięcy kilometrów w podobnych pojazdach (choć przeważnie nie tak odszykowanych), i tak wiedziałem, gdzie jestem: w sporym samochodzie turystycznym, pewnie boulderze. Czyimś domu na kółkach.

Palila mnie gorączka. W ustach miałem sucho, jakbym nałykał się pyłu drogowego. No i byłem na głodzie. Silnym jak skurwysyn. Zsunąłem z siebie koc i od razu zacząłem dygotać. Padł na mnie cień. To był Jacobs i w rękę miał rzecz cudowną: sok pomarańczowy w wysokiej szklance, z której sterczała zginana słomka. Lepsza w tej chwili byłaby tylko pełna strzykawka, ale nie wszystko naraz. Sięgnąłem po szklankę.

Jacobs najpierw mnie na powrót przykrył, po czym ukląkł obok łóżka.

– Pomału, Jamie. Jesteś chory, biedaczysko.

Napiłem się. Sok cudownie koił bolące gardło. Chciałem wziąć szklankę i duszkiem wypić resztę, ale Jacobs cofnął rękę.

– Pomału, powiedziałem.

Opuściłem dłoń i znów podsunął mi szklankę. Teraz też przelknąłem bez trudu, ale kiedy wziąłem trzeci łyk, dostałem skurczu żołądka i wróciły dreszcze. Nie od grypy.

– Muszę przyćpać – powiedziałem. Nie tak chciałem odnowić znajomość z moim dawnym pastorem i pierwszym dorosłym przyjacielem, ale ćpun w potrzebie nie wie, co to wstyd. Poza tym on też pewnie miał jednego–dwa trupy w szafie. Inaczej dlaczego występowałby jako Dan, nie Charles Jacobs?

– Widziałem ślady po igłach – rzekł. – I będę cię zaopatrywał w to, czego ci potrzeba, przynajmniej dopóki nie zwalczysz bakcyli, który buszuje ci w organizmie. W przeciwnym razie zwracałbyś wszystko, czym cię nakarmię, a na to nie możemy sobie pozwolić, prawda? Zwłaszcza że i bez tego masz na oko co najmniej dwadzieścia kilo niedowagi.

Wyjął z kieszeni brązową buteleczkę z przymocowaną do zakrętki łyżeczką. Sięgnąłem po nią. Potrząsnął głową i cofnął rękę.

– Ten sam układ. Ja siedzę za kółkiem.

Odkręcił buteleczkę, wysypał na łyżeczkę szczyptę przybrudzonego białego proszku i podsunął mi pod nos. Wciągnąłem prawym nozdrzem. Podał mi drugą dawkę; tą uraczyłem nozdrze lewe. Nie tego mi było trzeba – to znaczy, nie w tak małej ilości – ale dreszcze zaczęły słabnąć i przestałem się czuć, jakbym miał zaraz wyrzygać ten pyszny zimny sok pomarańczowy.

– Teraz możesz się zdrzemnąć – powiedział. – Albo odpłynąć, jeśli tak to nazywasz. Zrobię ci rosół. Campbell's, nie taki, jaki gotowała twoja mama, ale innego nie mam.

– Nie wiem, czy mi przejdzie przez gardło – odparłem, lecz okazało się, że owszem, przeszedł.

Kiedy Jacobs wlał we mnie cały kubek, poprosiłem o dokładkę hery. Dostałem dwie bardzo skąpe działki.

– Skąd to masz? – spytałem, gdy schował buteleczkę z powrotem do kieszeni džinsów, które teraz miał na sobie.

Uśmiechnął się i znów wyglądał jak dwudziestopięciolatek z ukochaną żoną i ubóstwianym synkiem.

– Jamie, szmat czasu pracuję w wesołych miasteczkach i na jarmarkach. Musiałbym być ślepy albo głupi, żeby nie wiedzieć, gdzie dostać narkotyki.

– Potrzeba mi więcej. Muszę zrobić sobie zastrzyk.

– Nie musisz, tylko chcesz, i na mnie nie licz. Ani myślę pomagać ci się szprycować. Po prostu nie chcę, żebyś dostał drgawek i wyciągnął kopyta w mojej budzie na kółkach. Teraz się prześpij. Już prawie północ. Jeśli rano będzie z tobą lepiej, pomówimy o wielu sprawach, między

innymi o tym, jak cię wyrwać ze szponów nałogu. A jeśli lepiej nie będzie, zabiorę cię albo do Świętego Franciszka, albo do kliniki uniwersytetu stanowego.

– Życzę powodzenia, jeśli myślisz, że mnie przyjmą – wychrypiałem. – Jestem praktycznie splukany, a moje ubezpieczenie zdrowotne to tylenol ze spożywczego.

– Jak to ujęła Scarlett O’Hara, będziemy się tym martwić jutro, bo jutro też jest dzień.

– Tere-fere.

– Skoro tak twierdzisz.

– Daj jeszcze trochę. – Skromne dawki, które mi wydzielał, zaspokajały mnie nie bardziej niż marlboro light człowieka, który od małego nałogowo pali chesterfield kings, ale nawet to było lepsze niż nic.

Po namyśle dał mi dwie działki. Jeszcze skromniejsze niż poprzednio.

– Podaję heroinę choremu na ciężką gripę. – Zachichotał. – Chyba mi odbiło.

Nie wyglądał, jakby mu odbiło, przynajmniej nie wtedy.

Zajrzałem pod koc i zobaczyłem, że rozebrał mnie do majtek.

– Gdzie moje ciuchy?

– W szafie. Nie obraż się, ale trzymam je oddzielnie od moich. Trochę nieświeżo pachną.

– W przedniej kieszeni dzinsów mam portfel. Jest w nim kwit bagażowy na mój worek marynarski i gitarę. Ubrania są nieważne, ale gitara tak.

– Z dworca kolejowego czy autobusowego?

– Autobusowego. – Heroina, choć w postaci proszku i podana w dawkach leczniczych, musiała być doskonałej jakości albo wyjątkowo silnie działała na mój osłabiony organizm. Zupa rozgrzała mi żołądek, powieki miałem jak z ołowiu.

– Śpij, Jamie. – Jacobs lekko ścisnął moje ramię. – Jeśli masz pokonać tego bakcyła, musisz dużo spać.

Opuściłem głowę na poduszkę. Była dużo bardziej miękka od tej w moim pokoju w Fairgrounds Inn.

– Czemu przedstawiasz się jako Dan?

– Bo tak się nazywam. Charles Daniel Jacobs. No już, śpij.

Miałem taki zamiar, ale musiałem jeszcze o coś zapytać. Dorośli się zmieniają, jasne, ale jeśli nie dopadnie ich jakaś wyniszczająca choroba albo nie zostaną oszpeceni w wypadku, zwykle można ich rozpoznać nawet po wielu latach. Za to dzieci...

– Poznałeś mnie. Widziałem. Jakim cudem?

– Bo poznaję w tobie swoją matkę, Jamie. Mam nadzieję, że Laura ma się dobrze.

– Nie żyje. Claire też.

Nie wiem, jak to przyjął. Zamknąłem oczy i po dziesięciu sekundach pogrzyłem się w nieświadomości.

Kiedy się ocknąłem, gorączka minęła, ale dreszcze wróciły na całego. Jacobs położył mi na czole termometr paskowy kupiony w aptece, potrzymał go tam minutę–dwie, po czym skinął głową.

– Chyba wyżyjesz – powiedział i podał mi dwie maleńkie działki z brązowej buteleczki. – Dasz radę wstać i zjeść jajecznicę?

– Najpierw łazienka.

Pokazał, gdzie jest, i powlokłem się do małej kabiny, przytrzymując się mijanych sprzętów. Musiałem się tylko wysikać, ale byłem za słaby, żeby ustać na nogach, więc usiadłem i załatwiłem się jak dziewczyna. Gdy wyszedłem, Jacobs pogwizdywał, smażąc jajecznicę.

Zaburczało mi w żołądku. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zjadłem coś bardziej treściwego od zupy z puszki. Chyba jakieś wędliny za kulisami przed koncertem dwa dni wcześniej. Jeśli potem jadłem coś jeszcze, to tego nie pamiętałem.

– Tylko powoli – uprzedził, stawiając jajecznicę na stole w kąciku jadalnym. – Nie chcesz chyba zaraz tego zwrócić, co?

Jadłem pomału, aż wszystko zniknęło z talerza. Jacobs siedział naprzeciwko i sączył kawę. Poprosiłem, żeby mi też nalał. Dał mi pół filiżanki, z dużą porcją śmietanki.

– Ta sztuczka ze zdjęciem – powiedziałem. – Jak to zrobiłeś?

– Sztuczka? Ranisz mnie. Obraz na płótnie powleczonej jest substancją fosforyzującą.

Aparat to jednocześnie generator elektryczny...

– Tyle to ja się domyśliłem.

– Flesz jest bardzo silny i... niezwykły. Rzuci obraz osoby fotografowanej na obraz dziewczyny w sukni wieczorowej. Nie na długo; powierzchnia jest za duża. Za to zdjęcia, które sprzedają, są o wiele trwalsze.

– Na tyle, żeby mogła pokazać je wnukom? Serio?

– Cóż... nie.

– Jak długo się zachowują?

– Dwa lata. Mniej więcej.

– A ty po tym czasie już jesteś daleko.

– Otóż to. A obrazy najważniejsze... – Postukał się w skroń. – Zachowują się tutaj. U nas wszystkich. Zgodzisz się?

– Ale... wielebny...

Jego twarz drgnęła i przez chwilę znów widziałem w nim człowieka, który wygłosił Straszne Kazanie za prezydentury Lyndona Johnsona.

– Proszę, nie nazywaj mnie tak. Wystarczy Dan. To moje obecne wcielenie. Dan autor Portretów Błyskawicą. Albo Charlie, jeśli tak ci wygodniej.

– Ale ona się obróciła. Dziewczyna na tym płótnie obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Prosta sztuczka kinematograficzna. – Ale mówiąc to, uciekł z oczami. Potem znów spojrzał na mnie. – Chcesz wyzdrowieć, Jamie?

– Już mi lepiej. To musiała być zwykła jednodniowa infekcja.

– Nie jednodniowa infekcja, tylko grypa, i jeśli pójdziesz teraz na autobus, do południa znów cię rozłoży na łopatki. Zostań, a za parę dni może ci się rzeczywiście poprawi. Ale nie o grypę pytam.

– Nie jest ze mną tak źle – powiedziałem, teraz jednak to ja musiałem uciec z oczami.

Tym, co przyciągnęło mój wzrok z powrotem, była brązowa buteleczka. Trzymał ją za łyżeczkę i bujał nią na srebrnym łańcuszku jak hipnotyzer amuletem. Wyciągnąłem do niej rękę. Cofnął dłoń.

– Dawno bierzesz?

– Heroinę? Jakies trzy lata. – Tak naprawdę sześć. – Miałem wypadek na motocyklu.

Rozwaliłem w diabły biodro i nogę. Dali mi morfinę...

– Jakżeby inaczej.

– ...a potem przestawili mnie na kodeinę. Była do kitu, więc zacząłem popijać tabletki syropem na kaszel. Wodzianem terpinu. Wiesz, co to jest?

– Żarty sobie robisz? W branży kuglarskiej nazywają to wojskowym dzinem.

– Noga się zaleczyła, ale nie do końca. Potem... grałem wtedy w kapeli The Andersonville Rockers, a może to już było po tym, jak zmienili nazwę na The Georgia Giants...

jeden gość poczęstował mnie tussionexem. To był duży krok we właściwym kierunku, przynajmniej jeśli chodzi o zwalczanie bólu. Naprawdę chcesz tego słuchać?

– Oczywiście.

Wzruszyłem ramionami z udawaną obojętnością, tak naprawdę jednak ulżyło mi, że mogę to wszystko z siebie wyrzucić. Do tego dnia ani razu nie dostałem po temu okazji. W zespołach, w których grałem, wszyscy tylko wzruszali ramionami i udawali, że nic nie widzą. Przynajmniej dopóki przychodziłeś, gdzie kazali, i pamiętałeś chwyt do *Midnight Hour* – a to, wiercie mi, żadna filozofia.

– To inny syrop na kaszel. Mocniejszy od wodzianu terpinu, ale tylko jeśli wiesz, jak wydobyć z niego to, co najlepsze. Robisz to tak, że zawiązujesz sznurek na szyjce butelki i kręcisz nią w kółko jak wariat. Siła odśrodkowa dzieli syrop na trzy warstwy. To, co najlepsze, hydrokodon, jest pośrodku. Wysysasz go przez słomkę.

– Fascynujące.

Nie bardzo, pomyślałem.

– Po pewnym czasie, kiedy ciągle mnie bolało, znów sięgnąłem po morfinę. Potem odkryłem, że heroina jest równie skuteczna i o połowę tańsza. – Uśmiechnąłem się. – Wiesz, istnieje taka swoista giełda narkotykowa. Kiedy wszyscy przerzucili się na crack, cena hery poleciała na łeb na szyję.

– Z tego, co widzę, z twoją nogą jest wszystko w porządku – powiedział łagodnym tonem. – Została brzydka blizna, część mięśni, co zrozumiałe, zanikła, ale aż tak źle to nie wygląda. Jakiś lekarz dobrze cię poskładał.

– Chodzić mogę, jasne. Lecz spróbuj postać trzy godziny na nodze pełnej metalowych zacisków i śrub w gorącym świetle reflektorów, z pięciokilogramową gitarą na ramieniu. Możesz prawić kazania do woli, podałeś mi rękę, kiedy byłem na dnie, więc pewnie masz do tego prawo, ale nie mów mi o bólu. Nikt, kto czegoś takiego nie przeżył, nie wie, jak to jest.

Skinął głową.

– Jako ktoś, kto doznał... strat, w pełni cię rozumiem. Powiem ci jednak coś, co zapewne w głębi ducha sam dobrze wiesz. To twój mózg odczuwa ból i winą za to obarcza twoją nogę. Już taki ten nasz mózg jest podstępny.

Schował buteleczkę z powrotem do kieszeni (ku mojemu głębokiemu rozżaleniu) i popatrzył mi prosto w oczy.

– Myślę jednak, że mogę ci pomóc, poddając cię terapii elektrycznej. Żadnych gwarancji, poza tym nie wiem, czy to wyleczy cię z uzależnienia psychicznego na zawsze, ale sądzę, że mógłbym choć, jak to się mówi, oczyścić ci przedpole.

– Pomóc mi tak jak Conniemu, domyślam się. Po tym, jak ten gówniarz przywalił mu kijkiem do nart.

Zrobił zaskoczoną minę, po czym się zaśmiał.

– Pamiętasz to.

– No pewnie! Jakże mógłbym zapomnieć? – Pamiętałem też, że Con nie chciał pójść ze mną do Jacobsa po Straszonym Kazaniu. Może nie była to taka zdrada jak zaparcie się Piotra, ale prawie.

– Zastosowałem metodę, delikatnie mówiąc, wątpliwą. Prawdopodobnie zadziałał efekt placebo. Tobie proponuję zabieg rzeczywiście skuteczny, taki, który... tak przynajmniej sądzę... oszczędzi ci bolesnych objawów odstawienia.

– Cóż innego miałbyś powiedzieć?

– Oceniasz mnie na podstawie roli, jaką gram na jarmarku. Ale to tylko rola. Kiedy nie noszę kostiumu i nie zarabiam na życie, staram się mówić prawdę. Ba, nawet przy pracy zwykle

nie kłamię. To zdjęcie faktycznie zadziwi znajomych panny Cathy Morse.

– I będzie ich zadziwiać przez całe dwa lata. Mniej więcej.

– Przystań się migać od odpowiedzi. Chcesz wyzdrowieć czy nie?

W tej chwili przypomniało mi się postscriptum liściku, który Kelly Van Dorn wsunął pod moje drzwi. Za rok będę w więzieniu, jeśli nie wezmę się w garść. A i to jeżeli dopisze mi szczęście.

– Trzy lata temu przestałem brać. – Poniekąd prawda, chociaż po prostu przestawiłem się na marihuanę. – Zrobiłem wszystko, jak należy, przetrzymałem drgawki, poty i sraczkę. Noga tak bolała, że ledwo kuśtykałem. Uszkodzenie nerwów czy coś.

– Sądzę, że temu też mogę zaradzić.

– Co, jesteś cudotwórcą? To chcesz mi wmówić?

Do tej pory siedział na wykładzinie przy łóżku. Teraz wstał.

– Na dzisiaj wystarczy. Musisz się przespać. Daleko ci jeszcze do dobrej formy.

– To poczęstuj mnie czymś, co mi pomoże.

Zrobił to bez sprzeciwu i pomogło. Tyle że niewystarczająco. W 1992 roku prawdziwą pomoc niosła mi tylko strzykawka. Nic innego. Czegoś takiego nie da się odgonić czarodziejską różdżką.

Tak przynajmniej sądziłem.

Mieszkałem w jego boudnerze prawie tydzień. Żywiłem się zupą, kanapkami i wciągany mi nosem dawkami heroiny, dzięki którym za bardzo mną nie telepało. Jacobs przyniósł moją gitarę i worek marynarski. W worku trzymałem zapasowy zestaw przyborów do ćpania, ale kiedy zajrzałem do środka (to było drugiego wieczoru, w czasie gdy on tworzył na jarmarku swoje Portrety Błyskawicą), tam go nie znalazłem. Błagałem Jacobsa, żeby oddał mi sprzęt, najlepiej razem z dawką heroiny na tyle dużą, by ją podgrzać i wstrzyknąć.

– Nie – powiedział. – Jeśli chcesz dać w żyłę...

– Wstrzykuję tylko podskórnice!

Spojrzał na mnie wzrokiem mówiącym „Proszę cię”.

– Jeśli tego chcesz, będziesz musiał sam sobie załatwić niezbędne przybory. Dziś może jesteś na to za słaby, ale jutro już będziesz miał dość sił i nie wątpię, że w okolicy bez trudu znajdziesz, co trzeba. Tylko potem tu nie wracaj.

– Kiedy dostanę to tak zwane cudowne lekarstwo?

– Jak będziesz na tyle silny, żeby wytrzymać lekkie pobudzenie prądem płatu czołowego.

Te słowa mnie zmroziły. Zwiesiłem nogi z jego łóżka (on spał na rozkładanej kanapie) i patrzyłem, jak zdejmuje swój kostium, starannie wieszając każdą sztukę, i przebiera się w prostą białą piżamę przypominającą strój, jaki noszą statyści grający pacjentów w horrorze, którego akcja toczy się w szpitalu dla psychicznie chorych. Czasem zastanawiałem się, czy on sam nie powinien do takiej placówki trafić, i nie tylko dlatego, że został w gruncie rzeczy jarmarcznym iluzjonistą. Bywało, że – zwłaszcza kiedy mówił o leczniczych właściwościach elektryczności – jego spojrzenia nie sposób było nazwać rozumnym. W takich chwilach wyglądał prawie tak jak wtedy, kiedy jednym kazaniem pozbawił się pracy w Harlow.

– Charlie... – Tak się do niego teraz zwracałem. – Mówisz o terapii elektrowstrząsowej?

Spojrzał na mnie z powagą, zapinając górę od białej piżamy pensjonariusza wariatkowa.

– Tak i nie. Na pewno nie w konwencjonalnym sensie, bo nie zamierzam cię leczyć elektrycznością konwencjonalną. Moja jarmarczna gadka brzmi niewiarygodnie, ponieważ tego oczekują klienci. Nie przychodzą tu w poszukiwaniu rzeczywistości, Jamie, przychodzą po to,

żeby od rzeczywistości uciec. Tajemna elektryczność jednak naprawdę istnieje i ma różnorakie zastosowania. Po prostu jeszcze wszystkich nie odkryłem, w tym tego, które interesuje mnie najbardziej.

– Powiesz coś więcej?

– Nie dzisiaj. Mam za sobą kilka męczących pokazów i muszę się przespać. Liczę, że rano jeszcze tu będziesz, ale jeśli nie, to twój wybór.

– Dawno, dawno temu powiedziałbyś, że nie ma czegoś takiego jak wybór, jest tylko wola Boża.

– Tak mówił inny człowiek. Młodzieniec o naiwnych przekonaniach. A teraz bądź tak miły i życz mi dobrej nocy.

Zrobiłem to, po czym położyłem się w łóżku, które mi odstąpił. Porzucił stan duchowny, ale pod wieloma względami pozostał chrześcijaninem w typie dobrego Samarytanina. Nie byłem nagi jak człowiek napadnięty przez rabusiów w drodze do Jerycha, ale heroina wiele mi odebrała, bez dwóch zdań. Jacobs mnie nakarmił, przyjął pod swój dach i utrzymywał przy życiu, podając dość hery, żebym nie dostał pierdolca. Teraz musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zgodzę się, żeby sprasował mi prądem fale mózgowe. Albo od razu mnie zabił, posyłając w mój łeb cholera wie ile megawoltów „specjalnej elektryczności”.

Pięć razy, może nawet dziesięć czy dwanaście myślałem, żeby wstać i poszukać w lunaparku kogoś, kto sprzedałby mi to, czego potrzebowałem. To pragnienie było jak wiertło wwiercające się głębiej i głębiej w głowę. Wciągane nosem skąpe dawki H nie wystarczały. Potrzebowałem mocnego strzału prosto w ośrodkowy układ nerwowy. Raz nawet zwiesiłem nogi z łóżka i sięgnąłem po koszulę, zdecydowany zrobić to i mieć już z głowy, po chwili jednak położyłem się z powrotem, dygoczący, spocony, rozedrgany.

Wreszcie zacząłem odpływać. Nie próbowałem z tym walczyć, pomyślałem tylko: Jutro. Odejdę jutro. Ale zostałem. Piątego dnia – chyba piątego – Jacobs usiadł za kierownicą boundera, zapalił silnik i powiedział:

– Przejedziemy się.

Nie miałem w tej sprawie wyboru, chyba żebym otworzył drzwi i wyskoczył w biegu, bo samochód już jechał.

VI

Terapia elektryczna – Nocna przechadzka – Wkurzony chłop z Oklahomy – Bilet na Mountain Express

Warsztat elektryczny Jacobsa znajdował się w West Tulsa. Nie wiem, jak tam jest teraz, ale w 1992 roku była to zaniedbana dzielnica przemysłowa, pełna wymarłych i dogorywających zakładów. Bounder skręcił na parking praktycznie opuszczonego pasażu handlowego na Olympia Avenue i zatrzymał się przed warsztatem samochodowym Wilson Auto Body.

– Od dawna stał pusty, tak mi powiedział agent nieruchomości – wyjaśnił Jacobs. Był w spranych dżinsach i niebieskiej koszulce polo, włosy miał umyte i uczesane, oczy mu błyszczały z emocji. Na sam jego widok czułem się nieswojo. – Musiałem podpisać umowę na rok, ale i tak wyszło śmiesznie tanio. Wejdz.

– Powinieneś zdjąć ten szyld i wywieścić własny – zauważyłem. Obramowałem go lekko tylko drżącymi dłońmi. – PORTRETY BŁYSKAWICĄ, WŁAŚCICIEL C.D. JACOBS. Wyglądałoby nieźle.

– Nie zostanę w Tulsa aż tak długo, a portrety robię tylko po to, żeby mieć z czego żyć, prowadząc moje eksperymenty. Daleko zaszedłem od czasu, kiedy byłem pastorem, ale przede mną jeszcze długa droga. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak długa. Wchodź, Jamie. Wchodź.

Otworzył drzwi kluczem i przeprowadził mnie przez gabinet, w którym nie było mebli, choć na brudnym linoleum dostrzegłem czyste kwadraciki, ślady po niegdyś stojących tam nogach biurka. Na ścianie wisiał zawijający się kalendarz z kwietniem 1989 roku na wierzchu.

Warsztat przykryty był dachem z blachy falistej i wydawałoby się, że na wrześnieowym słońcu powinien się nagrzać jak piec, ale w środku panował rozkoszny chłód. Słyszałem szmer klimatyzatorów. Kiedy Jacobs wcisnął szereg włączników – niedawno przerobionych, sądząc z kabli sterczących z dziur po usuniętych obudowach – rozbłysło tuzin jasnych lamp. Gdyby nie ciemny od oleju beton i prostokątne jamy po dwóch podnośnikach, można by wziąć to pomieszczenie za salę operacyjną.

– Klimatyzacja musi kosztować fortunę – powiedziałem. – A jeszcze palisz tyle świateł.

– Jest tania jak barszcz. Klimatyzatory zaprojektowałem sam. Pobierają bardzo mało mocy, a tę w większości wytwarzam we własnym zakresie. Mógłbym wytwarzać całość, ale nie chcę, żeby zakład energetyczny się zainteresował, czy aby nie podkradam prądu, i przysłał tu kontrolę. Co do świateł... każdą z żarówek mógłbyś chwycić ręką i nie poparzyłbyś się. Nawet nie ogrzałyby ci skóry.

Nasze kroki rozbrzmiewały echem w tej pustej przestrzeni. Podobnie jak nasze głosy. Zupełnie jakbyśmy byli w towarzystwie zjaw. Jestem na głodzie, więc wyobraźnia mi wariuje, powiedziałem sobie.

– Słuchaj, Charlie... nie majstrujesz chyba przy czymś radioaktywnym, co?

Skrzywił się i potrząsnął głową.

– Promieniowanie jądrowe nie interesuje mnie zupełnie. To energia dla idiotów. Ślepy zaulek.

– To jak wytwarzasz moc?

– Elektryczność rodzi elektryczność, jeśli wiesz, co robisz. Poprzestańmy na tym. Podejdz tu, Jamie.

Po drugiej stronie pomieszczenia stały trzy czy cztery długie stoły, na których leżały

urządzenia elektryczne. Zobaczyłem oscyloskop, spektrometr i dwa przedmioty przypominające wzmacniacze Marshalla, pewnie jakieś akumulatory. Obok była rozebrana niemal na czynniki pierwsze płyta sterownicza i stos kilku konsol z ciemnymi tarczami. Grube kable wiły się na wszystkie strony. Niektóre znikwały w zamkniętych metalowych pojemnikach, które mogły być skrzyniami na narzędzia; inne zataczały łuk i wracały do wyłączanego sprzętu.

To wszystko mogą być zwykłe rojenia, pomyślałem. Może te urządzenia działają tylko w jego wyobraźni. Ale Portrety Błyskawicą nie były złudzeniem. Nie miałem pojęcia, jak je robił, jego wyjaśnienie było mgliste, delikatnie mówiąc, a jednak powstawały naprawdę. I choć stałem bezpośrednio pod jedną z tych jasno świecących lamp, rzeczywiście nie czułem, żeby wydzielala ciepło.

– Jakoś mało tego wszystkiego – powiedziałem z powątpiewaniem. – Spodziewałem się, że będzie tego więcej.

– Migające światełka! Chromowane łączniki nożowe sterujące z pulpity sterowniczych rodem z science fiction! Teleekrany jak w *Star Trek*! Do tego może jeszcze komora teleportacyjna albo hologram arki Noego w komorze Wilsona! – Zaśmiał się wesoło.

– Nie o to mi chodzi – powiedziałem, choć właściwie trafił w sedno. – Po prostu jakoś tu... spartańsko.

– To prawda. Zaszedłem najdalej, jak się dało, przynajmniej na razie. Część sprzętu sprzedałem. Inne rzeczy, te bardziej kontrowersyjne, rozmontowałem i złożyłem do magazynu. Odwaliłem w Tulsa kawał dobrej roboty, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak mało mam wolnego czasu. Sam wiesz, ile trzeba zachodu, żeby mieć co do gęby włożyć.

Wiedziałem to doskonale.

– Ale owszem, poczyniłem pewne postępy na drodze do mojego ostatecznego celu. Teraz muszę pomyśleć, a o to raczej niełatwo, kiedy trzeba co wieczór dawać pięć–sześć pokazów.

– A czym jest ten ostateczny cel?

Tym razem też zignorował pytanie.

– Podejź tu, Jamie. Chcesz małe co nieco, zanim zaczniemy?

Nie byłem pewien, czy chcę zacząć, ale małe co nieco chciałem, oczywiście. Nie pierwszy raz przeszło mi przez myśl, żeby wyrwać mu tę brązową buteleczkę i uciec. Tyle że pewnie by mnie dogonił i ją odebrał. Byłem od niego młodszy, grypa prawie minęła, ale Jacobs i tak miał lepszą kondycję niż ja. Choćby dlatego, że nie rozwaliał sobie biodra i nogi w wypadku motocyklowym.

Chwycił pochłapane farbą drewniane krzesło i postawił je przed jedną z czarnych skrzynek przypominających wzmacniacze Marshalla.

– Siadaj.

Nie zrobiłem tego jednak, nie od razu. Na jednym ze stołów stało zdjęcie, takie z podpierającą je nóżką z tyłu. Zobaczył, że po nie sięgam, i zrobił ruch, jakby chciał mnie powstrzymać. A potem tylko stał i patrzył.

Piosenka w radiu może przywołać niesłychanie wyraziste (choć na szczęście przelotne) obrazy z przeszłości: pierwszy pocałunek, impreza z kumplami, smutny przełomowy moment w życiu. Kiedy słyszę *Go Your Own Way* Fleetwood Mac, zawsze powracam myślami do ostatnich bolesnych tygodni mojej mamy; tamtej wiosny puszczali ten utwór chyba wszędzie. Tak samo może działać fotografia. Kiedy spojrzałem na tę w warsztacie Jacobsa, nagle znów stałem się ośmiolatkiem. Moja siostra pomagała Morriemu wykładać kamienie domina w kąciku z zabawkami, a Patsy Jacobs grała *Bringing in the Sheaves*, kołysząc się na ławce przy pianinie. Jej gładkie blond włosy bujały się z boku na bok.

To była fotografia portretowa. Patsy miała na sobie bufiastą suknię do łydek, od dawna

niemodną, ale dobrze w niej wyglądała. Morrie, w szortach i wełnianej kamizelce, siedział jej na kolanach. Z tyłu głowy sterczał mu kogut, który dobrze pamiętałem.

– Nazywaliśmy go Morrie Przylepa – powiedziałem, lekko muskając palcami szkło.

– Naprawdę?

Nie podniosłem wzroku. Głos mu drżał i bałem się, co zobaczę w jego oczach.

– Uhm. I my, chłopaki, wszyscy kochaliśmy się w twojej żonie. Zresztą Claire też. Chyba chciała być taka jak pani Jacobs.

Na myśl o siostrze łzy napłynęły mi do oczu. Mógłbym wam powiedzieć, że to tylko dlatego, że byłem w kiepskiej formie fizycznej i na głodzie. Byłaby to prawda, ale nie cała prawda.

Wytarłem twarz ramieniem i odstawiłem fotografię. Kiedy podniosłem głowę, Jacobs majstrował przy regulatorze napięcia, który nie wyglądał, jakby trzeba było przy nim majstrować.

– Nie ożeniłeś się drugi raz?

– Nie – odparł. – A gdzie tam. Patsy i Morrie... to wszystko, czego chciałem. Czego potrzebowałem. Nie ma dnia, żebym o nich nie myślał, miesiąca, żebym nie śnił, że są cali i zdrowi. Wydaje mi się wtedy, że wypadek był snem. A potem się budzę. Powiedz mi coś, Jamie. Zastanawiasz się czasem, gdzie są twoja matka i siostra? Czy w ogóle gdzieś są?

– Nie. – Resztki wiary, które przetrwały Straszne Kazanie, wygasły we mnie w liceum i na studiach.

– Aha. Rozumiem. – Upuścił regulator i włączył urządzenie przypominające wzmacniacz Marshalla, taki, na jaki nie było stać większości zespołów, w których grałem. Zabuczało, ale nie jak Marshall. Ciszej, prawie melodyjnie. – Zaczynamy, dobrze?

Spojrzałem na krzesło, ale nie usiadłem.

– Miałeś najpierw dać mi małe co nieco.

– Rzeczywiście. – Wyjął brązową buteleczkę, popatrzył na nią, po czym mi podał. – Skoro to, miejmy nadzieję, twój ostatni raz, ty czyń honory domu.

Nie kazałem się dwa razy prosić. Wciągnąłem nosem dwie potężne działki i wciągnąlbym drugie tyle, gdyby nie wyrwał mi buteleczki. Mimo to w mojej głowie otworzyło się okno z widokiem na tropikalną plażę. Wpadł łagodny wietrzyk i nagle przestałem dbać o to, co się stanie z moimi falami mózgowymi. Usiadłem na krześle.

Jacobs otworzył jedną z kilku szafek wiszących i wyjął sfatygowane, posklejane taśmą słuchawki z metalową siatką na nausznikach. Podłączył je do niby-wzmacniacza i mi podał.

– Jak usłyszę *In-A-Gadda-Da-Vida*, spadam – powiedziałem.

Uśmiechnął się bez słowa.

Założyłem słuchawki. Poczulem na uszach chłodny dotyk siatki.

– Testowałeś to już na kimś? – spytałem. – Będzie bolało?

– Nie będzie bolało – odparł, pozostawiając pierwsze pytanie bez odpowiedzi. Jakby na przekór swoim słowom podał mi ochraniacz szczęki, jaki czasem noszą koszykarze.

Uśmiechnął się, widząc moją minę. – Tylko na wszelki wypadek. Włóż to do ust.

Zrobiłem, co kazał.

Wyjął z kieszeni białą plastikową skrzyneczkę nie większą od dzwonka u drzwi.

– Myślę, że będziesz...

Wcisnął guzik na skrzyneczce i reszty nie usłyszałem.

Nie było urwanego filmu, poczucia upływu czasu, w ogóle żadnej przerwy w świadomości. Tylko „pstryk!”, bardzo głośne, jakby Jacobs strzelił palcami koło moich uszu,

choć był co najmniej półtora metra ode mnie. A mimo to nagle pochylał się nade mną, zamiast stać przy urządzeniu, które nie było wzmacniaczem Marshalla. Biała skrzyneczka sterownicza zniknęła, a z moim mózgiem działo się coś złego. Zaciął się.

– Coś – powiedziałem. – Coś, coś, coś. Się stało. Się stało. Coś się stało. Coś się stało, się stało, coś się stało. Się stało. Coś.

– Przestań. Nic ci nie jest. – Ale w jego głosie nie było pewności. Był strach.

Słuchawki zniknęły. Próbowałem wstać i zamiast tego wyrzuciłem rękę do góry jak drugoklasista, który wrywa się do odpowiedzi.

– Coś. Coś. Coś. Się stało. Się stało, się stało. Coś się stało.

Uderzył mnie w twarz, i to mocno. Szarpnąłem się do tyłu i wywinąłem kozła, gdyby nie to, że krzesło stało prawie pod samą metalową ścianą warsztatu.

Opuściłem rękę, przestałem bełkotać i tylko patrzyłem na niego.

– Jak się nazywasz?

Powiem, że coś się stało, pomyślałem. Imię Coś, nazwisko Się Stało.

Ale tak nie powiedziałem.

– Jamie Morton.

– Drugie imię?

– Edward.

– Jak ja się nazywam?

– Charles Jacobs. Charles Daniel Jacobs.

Wyjął i podał mi buteleczkę heroiny. Spojrzałem na nią i mu oddałem.

– Na razie nie trzeba. Dopiero co mnie częstowałeś.

– Tak myślisz? – Pokazał mi swój zegarek. Przyjechaliśmy rano. Teraz było kwadrans po drugiej po południu.

– To niemożliwe.

Wyraźnie się zainteresował.

– Dlaczego?

– Bo nie minęła nawet chwila. Tyle że... minęło kilka godzin. Prawda?

– Tak. Długo rozmawialiśmy.

– O czym?

– O twoim ojcu. Twoich braciach. O śmierci twojej matki. I Claire.

– Co mówiłem o Claire?

– Że mąż się nad nią znęcał i przez trzy lata nic nikomu nie mówiła, bo było jej wstyd.

W końcu zwierzyła się twojemu bratu Andy'emu i...

– Nazywał się Paul Overton – powiedziałem. – Uczył angielskiego w ekskluzywnej szkole w New Hampshire. Andy pojechał tam, zczekał na parking, aż Overton wyjdzie, i skuł bydlakowi mordę. Wszyscy kochaliśmy Claire... kochał ją każdy, pewnie nawet Paul Overton na swój sposób... ale ona i Andy byli najstarsi i szczególnie z sobą zżyci. To ci mówiłem?

– Prawie słowo w słowo. Andy powiedział: „Jeszcze raz ją tkniesz, to cię zabiję”.

– Co jeszcze mówiłem?

– Że Claire się wyprowadziła, wywalczyła w sądzie zakaz zbliżania się dla męża i wniosła o rozwód. Przeprowadziła się do North Conway, znów zaczęła pracować jako nauczycielka. Pół roku po sfinalizowaniu rozwodu Overton pojechał tam i zastrzelił ją w klasie, kiedy poprawiała wypracowania po lekcjach. Potem się zabił.

Tak. Claire umarła. Na jej pogrzebie reszta mojej dużej, kłóliwej, zwykle szczęśliwej rodziny po raz ostatni zebrała się w komplecie. W słoneczny październikowy dzień. Po wszystkim pojechałem na Florydę tylko dlatego, że jeszcze nigdy tam nie byłem. Miesiąc później

grałem z Patsy Cline's Lipstick w Jacksonville. Ceny paliwa były wysokie, a aura przeważnie ciepła, więc wymieniałem mój samochód na kawasaki. Nie najlepsza decyzja, jak się okazało.

W kącie stała mała lodówka. Jacobs otworzył ją i przyniósł mi butelkę soku jabłkowego. Opróżniłem ją pięcioma długimi łykami.

– Spróbuj wstać.

Podniosłem się z krzesła i zachwiałem na nogach. Jacobs podtrzymał mnie za łokieć.

– Na razie nieźle. A teraz przejdź do ściany i z powrotem.

Początkowo zataczałem się jak pijany, ale kiedy wróciłem, wszystko grało. Mógłbym robić za linoskoczka.

– Dobrze – powiedział. – Już nie utykasz. Wracajmy na jarmark. Musisz odpocząć.

– A jednak coś się stało – stwierdziłem. – Co?

– Drobną reorganizacją twoich fal mózgowych, jak sądzę.

– Tak sądzisz.

– Tak.

– Ale nie wiesz?

Rozmyślał nad tym długo, jak mi się zdawało, choć w rzeczywistości mogło to trwać raptem kilka sekund; dopiero po tygodniu zacząłem odzyskiwać normalne poczucie czasu.

– Mam duże trudności ze zdobyciem pewnych ważnych książek – odezwał się wreszcie – przez co przede mną jeszcze wiele badań. W związku z tym czasami muszę podejmować drobne ryzyko. Zawsze w granicach bezpieczeństwa. Jesteś cały i zdrowy, zgadza się?

Wydawało mi się, że jest za wcześnie, by o tym wyrokować, ale tego nie powiedziałem. Co się stało, to się nie odstanie.

– Chodź, Jamie. Dziś czeka mnie długi, pracowity wieczór i sam też muszę odpocząć.

Kiedy podeszliśmy do jego boundera, chciałem otworzyć drzwi, ale zamiast tego raz jeszcze wyciągnąłem rękę prosto do góry. Łokieć się zablokował; zupełnie jakby staw usztywniała stalowa szyna. Przez jedną przerażającą chwilę myślałem, że tak zostanę na zawsze, że przeżyję resztę życia z ręką podniesioną w tym geście mówiącym: „Psze pani, psze pani, chcę do odpowiedzi”. A potem to minęło. Opuściłem rękę, otworzyłem drzwi i wsiadłem.

– To przejdzie – powiedział.

– Skąd możesz wiedzieć, skoro nawet nie wiesz, co właściwie zrobiłeś?

– Bo nie pierwszy raz to widzę.

Kiedy zaparkował na swoim zwykłym miejscu na terenie jarmarku, znów pokazał mi buteleczkę heroiny.

– Możesz ją sobie wziąć, jeśli chcesz.

Nie chciałem. Czuję się jak człowiek, który patrzy na banana z lodami i bitą śmietaną po spalaszowaniu dziewięciodaniowego obiadu w Święto Dziękczynienia. Wiesz, że ten napakowany cukrem przysmak jest dobry, i wiesz, że w pewnych okolicznościach wtrąbiłbyś go łapczywie, ale nie teraz, po obfitym posiłku. Po obfitym posiłku banan z lodami i bitą śmietaną nie jest obiektem pożądania, tylko zwykłym obiektem.

– Może potem – powiedziałem, ale owo „potem” jak dotąd nie przyszło. I dziś, kiedy jako podstarzały człowiek z lekkim artretyzmem piszę o tamtych czasach, wiem, że nie przyjdzie nigdy. Jacobs mnie wyleczył, lecz jego lekarstwo było niebezpieczne i dobrze o tym wiedział – kiedy mówi się o ryzyku w granicach bezpieczeństwa, powstaje pytanie, kto te granice wyznacza. Charlie Jacobs był dobrym samarytaninem. Był też na poły szalonym naukowcem i tamtego dnia w opuszczonym warsztacie samochodowym zostałem jego najnowszym królikiem

doświadczalnym. Mógł mnie zabić i czasem – nawet często – żałuję, że tego nie zrobił.

Resztę popołudnia przespałem. Po przebudzeniu czułem się jak dawna, przytomna, pełna werwy wersja Jamiego Mortona. Zwiesiłem nogi z łóżka i patrzyłem, jak Jacobs przebiera się w kostium.

– Powiedz mi coś – zagailem.

– Jeśli chodzi o naszą małą przygodę w West Tulsa, wolałbym o tym nie rozmawiać.

Na razie poczekajmy i zobaczmy, czy polepszyło ci się na stałe, czy głód narkotyczny wróci... cholerny krawat, nigdy nie mogę go dobrze zawiązać, a Briscoe jest do niczego.

Briscoe był jego asystentem, chłopakiem, który robił głupie miny do publiczności i kiedy trzeba, odwracał jej uwagę.

– Zostaw – powiedziałem. – Zupełnie go zapłaczesz. Daj, pomogę ci.

Stanąłem za nim, przełożyłem ręce nad jego ramionami i zawiązałem krawat. Dłonie już mi nie latały. Były tak pewne jak moje kroki po tym, gdy minęły skutki zastrzyku z elektryczności w mózg.

– Gdzieś ty się tego nauczył?

– Po wypadku, jak już mogłem parę godzin stać o własnych siłach i grać, załapałem się do zespołu The Undertakers. – Marny to był zespół. Jak każdy, w którym to ja byłem najlepszym muzykiem. – Nosiliśmy surduty, cylindry i krawaty. Bębniarz z basistą pobili się o dziewczynę i kapela się rozpadła, ale przynajmniej zdobyłem nową umiejętność.

– Cóż... dziękuję. O co chciałeś mnie zapytać?

– O te Portrety Błyskawicą. Robisz zdjęcia tylko kobietom. Wydaje mi się, że w ten sposób tracisz połowę potencjalnych dochodów.

Uśmiechnął się swoim chłopięcym uśmiechem, tym, który miał na twarzy, gdy przewodził zabawom w piwnicy plebanii.

– Kiedy wynalazłem aparat portretowy... który, jak na pewno wiesz, w rzeczywistości jest połączeniem generatora i projektora... chciałem fotografować i mężczyzn, i kobiety. To było w małym nadmorskim parku rozrywki w Karolinie Północnej. Nazywał się Joyland. Już nie istnieje, splajtował, ale był naprawdę uroczy. Świetnie się tam bawiłem. Podczas mojego pobytu na Joyland Avenue... tak nazywał się główny pasaż... obok Pałacu Luster Mysterio była Galeria Łotrów. Stały w niej naturalnej wielkości tekturowe ludzkie sylwetki z wycięciem w miejscu twarzy. Był pirat, gangster z automatem, twarda laska z thompsonem, Joker i Kobieta-Kot z komiksów o Batmanie. Ludzie wkładali głowy w te otwory i fotografki zatrudniane przez lunapark... Gwiazdeczki, tak je nazywali... robiły im zdjęcia.

– To nasunęło ci ten pomysł?

– Tak. W tamtym czasie nosiłem pseudonim Mr. Electrico na cześć Raya Bradbury'ego, lecz wątpię, czy któryś ówkok się tego domyślił. Chociaż wynalazłem już prymitywną wersję projektora, którego dziś używam, do głowy mi nie przyszło, żeby wykorzystać go w moim show. Przeważnie posługiwałem się transformatorem Tesli i generatorem iskrowym, który nazywałem Drabiną Jakuba. Małą Drabinę Jakuba pokazałem wam, kiedy byłem pastorem w Harlow, Jamie. Zmieniałem kolor iskier przy użyciu substancji chemicznych. Pamiętasz?

Pamiętałem.

– Galeria Łotrów uzmysłowiła mi, jakie możliwości drzemają w moim projektorze, i tak oto zacząłem robić Portrety Błyskawicą. Jeszcze jedna sztuczka, jakich wiele, powiesz... ale pomogła mi też w badaniach i nadal pomaga. Podczas pobytu w Joylandzie miałem na estradzie dwa różne tła: jedno z pięknością w sukni balowej, drugie z dżentelmenem w eleganckim

garniturze. Niektórzy mężczyźni owszem, chcieli się sfotografować, ale było ich zaskakująco mało. Domyślam się, że znajomkowie się podśmiewali, kiedy widzieli ich odstawionych jak z żurnala. Z kobietami jest inaczej, uwielbiają się stroić, więc się z takich rzeczy nie śmieją. Każda chciałaby być ubrana jak spod igły, nawet dwóch, gdyby się dało. I jak tylko zobaczą demonstrację aparatu, zaraz stają w kolejce do zdjęcia.

– Długo jesteś w tej branży?

Policzył w pamięci, mrużąc jedną powiekę. Po chwili szeroko otworzył oboje oczu zdziwiony.

– Już prawie piętnaście lat.

Pokręciłem głową z uśmiechem.

– Kaznodzieja stał się kuglarzem.

Ledwie skończyłem mówić, a już zrozumiałem, że zabrzmiało to złośliwie, ale ciągle nie mogłem się oswoić z myślą, że mój dawny pastor pokazuje sztuczki na jarmarku. On jednak się nie obraził. Tylko raz jeszcze spojrzął z podziwem w lustro na swój wzorowo zawiązany krawat, po czym mrugnął do mnie.

– Jeden diabeł – powiedział. – Obaj muszą przede wszystkim być przekonujący dla ówków. A teraz wybacz, ale czas, żebym sprzedał ludziom parę piorunów.

Zostawił heroinę na stoliku pośrodku boundera. Zerkalem na nią od czasu do czasu, nawet raz wzięłem ją do ręki, ale nie korciło mnie, by zażyć. Prawdę mówiąc, nie mogłem zrozumieć, czemu w ogóle tak schrzaniłem sobie życie z jej powodu. Całe to szalone łaknienie wydawało mi się snem. Byłem ciekaw, czy wszyscy tak się czują po wyjściu z nałogu. Nie wiedziałem.

Do dziś nie wiem.

Briscoe odszedł w siną dal, jak to z pracownikami sezonowymi często bywa, i kiedy spytałem Jacobsa, czy mogę przejąć jego obowiązki, zgodził się od razu. Tak naprawdę tych obowiązków nie było wiele, ale przynajmniej nie musiał tracić czasu na poszukiwania jakiegoś miejscowego ciolka, który wnosiłby i znosił aparat ze sceny, podawał mu cylinder i udawał porażonego prądem. Zasugerował nawet, żebym w czasie pokazu zagrał parę akordów na moim gibsonie.

– Coś budującego napięcie – poinstruował mnie. – Coś, co nasunie ówkom myśl, że dziewczyna może się jednak usmażyć.

To było względnie proste. Przejście z a-moll na E (akordy, na których opierają się *House of the Rising Sun* i *The Springhill Mining Disaster*, jeśli to was ciekawi) zawsze wieści nadciągającą zgubę. Lubilem to grać, choć zawsze sądziłem, że efekt byłby jeszcze lepszy, gdyby dorzucić bębny głośno wybijające powolny rytm.

– Nie przywiązuj się za bardzo do tej roboty – poradził mi Charlie Jacobs. – Zamierzam się stąd zwinąć. Po zamknięciu jarmarku frekwencja w Bell's leci na łeb na szyję.

– Zwinąć się? Dokąd?

– Nie jestem pewien, ale przywykłem podróżować samotnie. – Klepnął mnie w ramię. – Żebyś nie był zaskoczony.

Nie byłem. Od śmierci żony i dziecka Charlie Jacobs występował wyłącznie solo.

Jego wizyty w warsztacie z dnia na dzień były coraz krótsze. Zaczął znosić część sprzętu z powrotem i chować do małej przyczepy, którą miał holować bounderem, kiedy wznowi swoje wędrówki. Wzmacniacze, które nie były wzmacniaczami, więcej się nie pojawiły, dwie z czterech podłużnych metalowych skrzynek też nie. Domyślałem się, że chce zacząć od nowa, dokądkolwiek trafi. Jakby zaszedł jedną drogą najdalej, jak mógł, i postanowił wypróbować inną.

Nie miałem pojęcia, co zrobić z własnym życiem, teraz już wolnym od narkotyków (i kuśtykania; to też), na pewno jednak nie chciałem go spędzić w podróży z Królem Wysokiego Napięcia. Byłem mu wdzięczny, ale ponieważ tak naprawdę nie pamiętałem już koszmaru uzależnienia od heroiny (tak jak zapewne kobieta, która powiła dziecko, nie pamięta bólów porodowych), nie tak wdzięczny, jak można by sądzić. Poza tym on mnie przerażał. Jego tajemna elektryczność też. Mówił o niej górnolotnymi słowami – „sekret wszechświata”, „droga do najwyższej wiedzy” – lecz miał nie większe pojęcie o jej prawdziwej naturze niż trzylatek o pistolecie znalezionym w szafie tatusia.

A skoro już o szafach mowa... byłem wścibski, dobra? I znalazłem album fotograficzny pełen zdjęć Patsy, Morriego i ich trojga razem. Strony nosiły ślady wielokrotnego kartkowania, oprawa się rozłaziła. Nie musiałem być Samem Spade'em, by się domyślić, że często oglądał te zdjęcia – nigdy jednak nie robił tego przy mnie. Ten album był jego tajemnicą.

Jak jego elektryczność.

Nad ranem trzeciego października, wkrótce przed tym, jak jarmark stanowy w Tulsa zamknął swoje podwoje do następnego roku, ostatni raz doświadczyłem skutków ubocznych strzału w mózg, który dostałem od Jacobsa. Jacobs płacił za moje usługi (swoją drogą dużo więcej, niż były warte) i wynająłem pokój jakies cztery przecznice od jarmarku. Było oczywiste, że chciał zostać sam, bez względu na to, jak bardzo mnie lubił (o ile mnie lubił), i uznałem, że pora zwolnić jego łóżko.

Położyłem się o północy, jakąś godzinę po ostatnim pokazie, i od razu zasnąłem. Jak prawie zawsze. Bez hery w organizmie spało mi się dobrze. Tyle że tej nocy ocknąłem się po dwóch godzinach na zachwaszczonym podwórku pensjonatu. Na niebie wisiał lodowaty sierp księżycy. Pod nim stał Jamie Morton, nagi, tylko w jednej skarpecie i z gumową rurką zawiązaną wokół bicepsa. Nie mam pojęcia, skąd ją wytrzasnąłem, ale ponad nią wybrzuszały się naczynia krwionośne – każde idealne do tego, żeby się w nie wkluć. Poniżej rurki moje przedramię było białe, zimne i zdrętwiałe.

– Coś się stało – powiedziałem. W dłoni miałem widelec (też Bóg raczy wiedzieć, skąd się wziął) i raz po raz dźgałem nim moje obrzmiałe ramię. Krople krwi perliły się z co najmniej dziesięciu nakłuć. – Coś. Się stało. Coś się stało. O matko, coś się stało. Coś, coś.

Kazałem sobie przestać, ale z początku nie byłem w stanie. Nie to, że się nie kontrolowałem, nie całkiem; nie ja mnie kontrolowałem, tak to należy określić. Pomyślałem o Elektrycznym Jezusie kroczącym po Jeziorze Pokoju na ukrytej szynie. To właśnie działo się ze mną.

– Coś.

Dziab.

– Coś się stało.

Dziab-dziab.

– Coś...

Wystawiłem i przygryzłem język. Znów rozległo się „pstryk!”, nie koło moich uszu, tylko głęboko w mojej głowie. Wewnętrzny przymus, żeby mówić i się dźgać, minął bez śladu. Widelec wypadł mi z ręki. Odwiązałem prowizoryczną opaskę uciskową i przedramię zaczęło mnie mrowić, kiedy napłynęła do niego krew.

Spojrzałem na księżyc. Dygocząc, zastanawiałem się, kto albo co mną sterowało. Bo coś mną sterowało, na pewno. Kiedy wróciłem do pokoju (z ulgą, że nikt nie zobaczył mnie z wackiem dyndającym na wietrze), zauważyłem, że w którymś momencie musiałem nadepnąć

na potłuczone szkło, bo miałem głęboko rozciętą stopę. To powinno mnie było obudzić, ale nie obudziło. Dlaczego? Bo nie spałem. Byłem tego pewien. Coś wyrzuciło mnie z mojego ciała i przejęło stery, kierowało nim jak samochodem.

Obmyłem ranę i wróciłem do łóżka. Nigdy nie powiedziałem Jacobsowi, co się stało tej nocy – co by to dało? Stwierdziłby, że rozcięcie stopy na nocnej przechadzce to niska cena za cudowne uleczenie z uzależnienia od heroiny, i miałby rację. A mimo to...

Coś się stało.

W tym roku ostatnim dniem jarmarku stanowego w Tulsa był dziesiąty października. Tego popołudnia stawiałem się w boulderze Jacobsa o wpół do szóstej, dość wcześnie, żeby zdążyć nastroić gitarę i zawiązać Charliemu krawat – co stało się tradycją. Kiedy to robiłem, ktoś zapukał do drzwi. Charlie, z zachmurzonym czołem, poszedł otworzyć. Tego wieczoru miał dać sześć pokazów, włącznie z ostatnim o północy, a nie lubił, żeby mu przedtem przeszkadzano.

Otworzył ze słowami: „Jeśli to nic pilnego, wołałbym, żeby przyszedł pan póź...”, i wtedy farmer w ogrodniczkach i czapce z logo Case IH (wkurzony chłop z Oklahomy, taki co żywemu nie przepuści) przywalił mu w zęby. Jacobs zatoczył się do tyłu, zaplątał we własne nogi i runął jak kłoda, o centymetry unikając uderzenia głową w stół w kąciku jadalnym, a tym samym prawdopodobnej utraty przytomności.

Nasz gość wpadł do środka, schylił się, złapał Jacobsa za bety. Mniej więcej w jego wieku, był jednak dużo od niego masywniejszy. I wściekły. Mogą być kłopoty, pomyślałem. To znaczy, kłopoty już były, oczywiście, ale chodziło o takie, które kończą się długim pobytom w szpitalu.

– Przez ciebie zabrała ją policja! – krzyknął. – Niech cię diabli, tera będzie notowana i będzie się to za nią ciągnęło do końca życia! Jak puszka przywiązana kundlowi do ogona!

Bez namysłu złapałem pusty garnek leżący w zlewku i z rozmachem przyłożyłem intruzowi w skroń. Cios nie był silny, ale chłop z Oklahomy puścił Jacobsa i spojrzał na mnie ze zdumieniem. Łzy pociekły w zagłębieniach po bokach jego pokaźnego nocha.

Charlie czmychnął, odpychając się rękami i nogami od podłogi. Krew lała się z jego dolnej wargi, rozciętej w dwóch miejscach.

– Słabszego bijesz? Podskocz do mnie, zobaczymy, jakiś mocny – powiedziałem. Niezbyt wyrafinowany wywód, wiem, ale kiedy człowiek uczestniczy w takich konfrontacjach, kurczę, wracają odruchy z lat szkolnych.

– Pod sąd ją postawią! – krzyknął do mnie tym przypominającym rozstrojone bandzo akcentem z Oklahomy. – Wszystko przez tego łacha! Tego tutaj, co zmyka jak jaki pieroński krab!

Powiedział „pieroński”. Naprawdę.

Odstawiłem garnek na kuchenkę i pokazałem, że mam puste ręce. Przybrałem mój najbardziej kojący ton.

– Nie wiem, o kim pan mówi, i jestem pewien, że... – Prawie powiedziałem „Charles”. – ...że Dan też nie wie.

– O mojej córusi! Mojej Cathy! Cathy Morse! Pedziół jej, że to zdjęcie jest za darmo... bo weszła na scenę... ale wcale nie było za darmo! Drogo za nie zapłaciła! Życie jej w pierona zniszczyło!

Ostrożnie objąłem go ramieniem. Myślałem, że mnie walnie, ale teraz, kiedy już dał upust swojej wściekłości, wydawał się tylko smutny i oszołomiony.

– Wyjdźmy – powiedziałem. – Znajdziemy ławkę w cieniu i wszystko mi pan opowie.

– A pan kto?

Miałem powiedzieć „asystent pana Jacobsa”, ale z tej mąki nie byłoby chleba. Lata w branży muzycznej przyszyły mi na ratunek.

– Jego agent.

– Tak? To co, dostanę odszkodowanie? Bo tego chcę. Jak opłacę adwokata, ledwo mi starczy na życie. – Wymierzył palec w Jacobsa. – Przez ciebie! Twoja pierońska wina!

– Nie... nie mam pojęcia... – Charlie otarł dłonią krew z podbródka. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie Morse, zaręczam panu.

Doprowadziłem już Morse'a do drzwi i nie chciałem stracić zdobytego terenu.

– Porozmawiajmy na świeżym powietrzu.

Pozwolił się wyprowadzić. Na skraju parkingu dla personelu był bufet pod chmurką, z zardzewiałymi stolikami ocienionymi przez obszarpane płócienne parasole. Kupiłem dużą colę i podałem Morse'owi. Rozlał trochę na stolik, po czym wielkimi łykami wypił połowę papierowego kubka. Odstawił go i przycisnął nasadę dłoni do czoła.

– Nigdy się nie nauczę, coby zimnego tak nie pić – powiedział. – Jakby gwóźdź w głowę wrażało, nie?

– Tak – odparłem i przypomniałem sobie, jak stałem nago w skąpym świetle księżyca i wbijałem zęby widelca w nabrzmiałe krwią ramię. Coś się stało. Mnie i, jak się wydawało, Cathy Morse też.

– Proszę powiedzieć, na czym polega problem.

– To zdjyncie, co jej dał, oto cały pieroński problem. Chodziła z nim prawie wszędzie. Koleżanki robiły se z niej śmichy-chichy, ale miała to gdzieś. Gadała ludziom „Tak wyglądam naprawdę”. Jednego wieczoru próbowałem wybić jej to z głowy, ale matka pedziła, cobym przestał, że to minie. I jakby minęło. Zostawiła zdjyncie w pokoju na, nie wiem, dwa, może trzy dni. Poszła bez niego do szkoły fryzjerskiej. Myśleli my, że to koniec.

Ale to nie był koniec. Siódmego października, przed trzema dniami, weszła z torbą na zakupy do sklepu jubilerskiego w Broken Arrow, mieścinie na południowy wschód od Tulsy. Obaj sprzedawcy rozpoznali ją, bo zaglądała tam kilka razy od swojego gwiazdorskiego występu w show Jacobsa. Jeden spytał, czym może jej służyć. Cathy ominęła go bez słowa, podeszła do gabloty, w której przechowywane były najdroższe błyskotki, i rozbiła jej szklane wieko młotkiem wyjętym z torby na zakupy. Nie bacząc na ryk alarmu i dwie rany cięte, tak głębokie, że potem trzeba je było szyc („Zostaną blizny”, rozpaczal jej ojciec), włożyła rękę do środka i wyjęła brylantowe kolczyki.

– Są moje – powiedziała. – Pasują do mojej sukni.

Ledwie Morse skończył swoją opowieść, nadciągnęły dwa osiłki w czarnych T-shirtach z nadrukiem OCHRONA.

– Jakiś problem? – spytał jeden z nich.

– Nie – powiedziałem zgodnie z prawdą. Kiedy Morse się wyżalił, furia opuściła go do reszty, i dobrze. Gorzej, że jednocześnie jakby się skurczył. – Pan Morse już idzie.

Wstał, ściskając w dłoni kubek z resztką coli. Krew Charliego Jacobsa schła na jego knykciach. Spojrzał na nią, jakby nie wiedział, skąd się wzięła, a potem na mnie.

– Nie ma co iść z tym do glin, nie? – spytał. – W końcu tylko zdjyncie jej zrobił, powiedzą. I to, kurna, za darmo.

– Chodźmy, proszę pana – powiedział jeden z ochroniarzy. – Jeśli chce pan odwiedzić jarmark, z chęcią ostempluję panu dłoń.

– Nie, dzięki – odparł Morse. – Moja rodzina ma tego jarmarku po uszy. Idę do domu. – Ruszył ze zwieszoną głową, po czym zawrócił. – Robił to już wcześniej, panie? Namieszał innym w głowie tak jak mojej Cathy?

Coś się stało, pomyślałem. Coś, coś, coś.

– Nie – powiedziałem. – Nigdy.

– I tak byś pan tego nie przyznał. Boś pan jego agent i w ogóle.

Poszedł ze spuszczoną głową, nie odwracając się.

Jacobs przez ten czas zmienił zaplamioną krwią koszulę i przyłożył do wargi ścierkę z lodem. Kiedy wróciłem do boundera, wysłuchał mojej relacji z rozmowy z Morse'em, po czym powiedział:

– Zawiąż mi jeszcze raz krawat, dobrze? Już jesteśmy spóźnieni.

– Chwila, moment – powiedziałem. – Nie tak prędko. Musisz ją wyleczyć. Tak jak wyleczyłeś mnie. Słuchawkami.

Posłał mi spojrzenie wyrażające coś niebezpiecznie bliskiego pogardy.

– Myślisz, że kochany tatuś dopuści mnie do niej na kilometr? Poza tym to, co jest z nią nie tak, ten jej wewnętrzny przymus minie sam z siebie. Nic jej nie będzie, każdy adwokat z prawdziwego zdarzenia bez trudu przekona sędziego, że nie była sobą. Pogrożą dziewczynie palcem i ją puszcza.

– To dla ciebie nic nowego, zgadza się?

Wzruszył ramionami, ale już jakby unikał mojego spojrzenia.

– Od czasu do czasu zdarzają się skutki uboczne, owszem, choć nie tak efektowne jak nieudany napad rabunkowy panny Morse.

– Jesteś samoukiem, mam rację? Wszyscy twoi klienci to tak naprawdę króliki doświadczalne. Tylko tego nie wiedzą. Ja też byłem królikiem doświadczalnym.

– I co, lepiej ci?

– Tak. – Przynajmniej jeśli nie liczyć nocnej akupunktury widelcem.

– To zawiąż mi krawat, proszę.

Prawie odmówiłem. Byłem na niego zły – poza wszystkim innym, wymknął się tylnymi drzwiami i wezwał ochronę – ale wiele mu zawdzięczałem. Ocalił mi życie, to przecież dobrze. Przestałem brać, to jeszcze lepiej.

Dlatego zawiązałem mu krawat. Daliśmy show. Ba, daliśmy ich sześć. Kiedy na zakończenie jarmarku wybuchły fajerwerki, tłum jęknął „aaaach”, ale nie tak głośno jak wtedy, kiedy Dan autor Portretów Błyskawicą rzucał swoje czary. I gdy kolejne dziewczyny patrzyły rozmarzonym wzrokiem na swój wizerunek w głębi sceny, a ja przechodziłem z a-moll na E, zastanawiałem się, które spośród nich pewnego dnia odkryją, że w ich głowach dzieje się coś złego.

Koperta wystająca spod drzwi. Znowu to samo déjà vu, powiedziała by słynny baseballista Yogi Berra. Tyle że tym razem nie zsiąkałem się w łóżko, poskładana przez chirurgów noga mnie nie bolała, nie miałem grypy i nie telepał mną głód narkotyczny. Schyliłem się, podniosłem ją, rozerwałem.

Piąta osoba mojego dramatu nie uznawała łzawych pożegnań, to mu przyznam. Koperta zawierała bilet na pociąg Amtrak z przypiętą spinaczem kartką. Widniało na niej nazwisko i adres w mieście Nederland w stanie Kolorado. Pod spodem Jacobs nagryzmoilił trzy zdania.

Ten człowiek da Ci pracę, jeśli zechcesz. Ma wobec mnie dług. Dzięki za wiązanie krawata. CDJ

Wyjąłem bilet z okładki; był w jedną stronę, na Mountain Express z Tulsa do Denver. Długo na niego patrzyłem. Mógłbym oddać go do kasy i dostać zwrot pieniędzy. Albo skorzystać z niego i wybrać się na giełdę muzyczną w Denver. Tyle że potrzebowałem czasu, żeby odzyskać czucie gry. Opuszki palców mi zmiękły, wyszedłem z wprawy. No i była jeszcze kwestia narkotyków. Kiedy jesteś w trasie, są wszędzie. Magia zawarta w Portretach Błyskawicą przestawała działać po mniej więcej dwóch latach, powiedział Jacobs. Skąd miałem wiedzieć, czy tak samo nie będzie z wyleczeniem z nałogu? Skąd mogłem wiedzieć, skoro on sam tego nie wiedział?

Tego popołudnia pojechałem taksówką do warsztatu samochodowego, który Jacobs wynajmował w West Tulsa. Był opuszczony, zostały gołe ściany. Na ciemnej od smaru podłodze nie było choćby kawałka drutu.

Coś mi się tu stało, pomyślałem. Pytanie, czy gdybym dostał drugą szansę, znów założyłbym te przerobione słuchawki. Stwierdziłem, że tak, a to, w jakiś nie całkiem zrozumiały dla mnie sposób, pomogło mi podjąć decyzję, co zrobić z biletem. Skorzystałem z niego i po przybyciu do Denver pojechałem autobusem do Nederland, położonego wysoko na Zboczu Zachodnim Gór Skalistych. Tam poznałem Hugh Yatesa i po raz trzeci zacząłem życie od nowa.

VII

Powrót do domu – Ranczo Wolfjaw – Bóg uzdrawia jak błyskawica – Głuchy w Detroit – Pryzmatyki

Mój ojciec zmarł w 2003 roku. Przeżył swoją żonę i dwoje z piątki dzieci. Claire Morton Overton nie miała jeszcze trzydziestki, kiedy były mąż odebrał jej życie. Moja matka i najstarszy brat umarli w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

Pytanie: Gdzież jest, o śmierci, twój ościęć?

Odpowiedź: Wszędzie, kurwa, wszędzie.

Pojechałem do Harlow na pogrzeb taty. Do tego czasu utwardzono większość dróg, nie tylko naszą i dziewiątkę. Tam, gdzie kiedyś chodziliśmy pływać, powstało osiedle, a kilkaset metrów od kościoła sziloitów stanął sklep spożywczy Big Apple. Mimo to okolica pod wieloma względami się nie zmieniła. Nasz kościół wciąż był nieopodal domu Myry Harrington (choć sama Babunia przeniosła się już do tego wielkiego telefonu towarzyskiego w niebie), a na drzewie na naszym podwórku nadal wisiała huśtawka z opony. Pewnie dawniej bujały się na niej dzieci Terry’ego; teraz już stały się raczej za duże na takie zabawy. Sznur był przetarty i pociemniały ze starości.

Może go wymienię na nowy, pomyślałem... ale po co? Dla kogo? Na pewno nie dla moich dzieci, bo żadnych nie miałem, a ten dom nie był już moim domem.

Na podjeździe stał jeden samochód, zdezelowany ford rocznik 1951. Wyglądał jak pierwsza Rakietka Szos, ale to oczywiście było niemożliwe – Duane Robichaud rozwalił Rakietę Szos I na pierwszym okrążeniu jedyne go wyścigu na torze w Castle Rock, w jakim wystartowała. A jednak na klapie bagażnika była naklejka Delco Batteries, z boku karoserii zaś numer 19 wymalowany farbą czerwoną jak krew. Przyfrunęła wrona i usiadła na masce. Przypomniało mi się, jak tata uczył nas wszystkich, żebyśmy pokazywali wronom znak złego oka (tłumaczył: „Nic to nie da, ale i nie zaszkodzi”), i pomyślałem: To mi się nie podoba. Coś tu nie gra.

Mogłem zrozumieć, dlaczego nie przyjechał Con, Hawaje są o wiele dalej niż Kolorado, ale gdzie był Terry? Przecież on i jego żona Annabelle wciąż tu mieszkali. I co z Bowiem? Clukeyami? Paquette’ami? DeWittami? Co z załogą firmy Olej Opałowy Mortona? Jasne, tata był mocno posunięty w latach, ale przecież to niemożliwe, by przeżył wszystkich znajomych z okolicy.

Zaparkowałem, wysiadłem z samochodu i zobaczyłem, że nie jest to już ford focus, którym wyjechałem z wypożyczalni Hertza w Portland. Był to galaxie rocznik 1966, którego ojciec i brat podarowali mi na siedemnaste urodziny. Na miejscu pasażera leżał komplet powieści Kennetha Robertsa w twardych oprawkach, który dostałem od matki: *Oliver Wiswell*, *Warownia Arundel* i cała reszta.

To sen, pomyślałem. Ten co zwykle.

Kiedy to do mnie dotarło, nie odczułem ulgi, tylko narastające przerażenie.

Wrona wylądowała na dachu domu, w którym się wychowywałem. Druga usiadła na obdartej z kory, sterczącej jak naga kość gałęzi, na której wisiała huśtawka z opony.

Nie chciałem wejść do domu, bo wiedziałem, co tam zastanę. Mimo to nogi niosły mnie naprzód. Wszedłem na schodki i choć Terry przed ośmioma (a może dziesięcioma) laty przysłał mi zdjęcie przebudowanego ganku, ta sama stara deska co zwykle, druga od góry, jak zawsze skrzypnęła marudnie, kiedy na nią nadepnąłem.

Czekali na mnie w pokoju stołowym. Nie cała rodzina; tylko umarli. Z mojej matki została sama skóra i kości, jak tamtego mroźnego lutego, kiedy leżała na łożu śmierci. Ojciec miał bladą, pomarszczoną twarz, prawie jak na zdjęciu na kartce świątecznej, którą dostałem od Terry'ego niedługo przed ostatnim atakiem serca staruszka. Andy był korpulentny – mój chudy brat po czterdziestce sporo przytył – ale jego nadciśnieniowe wypieki przeszły w woskową bladłość grobu. Najgorzej wyglądała Claire. Jej oszalałemu byłemu mężowi nie wystarczyło to, że ją zabił; miała czelność go zostawić, więc zasłużyła na całkowite unicestwienie. Strzelił jej w twarz trzy razy, w tym dwa razy już wtedy, kiedy leżała martwa na podłodze klasy, po czym wpakował sobie kulę w łeb.

– Andy – powiedziałem. – Co ci się stało?

– Prostata – odparł. – Powinienem być ciebie posłuchać, braciszku.

Na stole stał zapleśniały tort urodzinowy. Na moich oczach lukier wybrzuszył się, pękł i ze szczeliny wylazła czarna mrówka wielkości pieprzniczki. Wdrapała się po rękę mojego martwego brata na jego ramię, a stamtąd na twarz. Moja matka odwróciła głowę. Usłyszałem skrzypienie suchych ścięgien, dźwięk jakby zardzewiałej sprężyny, na której trzymają się stare kuchenne drzwi.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Jamie – powiedziała. Jej głos był zgrzytliwy, beznamiętny.

– Wszystkiego najlepszego, synu. – To mój tata.

– Wszystkiego najlepszego, młody. – To Andy.

Wtedy Claire odwróciła się i spojrzała na mnie, choć patrzeć mogła tylko jednym obdartym ze skóry oczodołem. Nic nie mów, pomyślałem. Jeśli się odezwiesz, oszaleję.

Zrobiła to jednak; słowa dobyły się z zaskorupiałej dziury wypełnionej połamanymi zębami.

– Obiecuj, że nie zrobisz jej dziecka na tylnym siedzeniu tego samochodu.

A moja matka pokiwała głową jak lalka brzuchomowcy, podczas gdy ze starego tortu wylażyły kolejne wielkie mrówki. Ich ciała tętniły ohydny życiem.

Próbowałem zakryć oczy, ale moje ręce były zbyt ciężkie. Zwisały mi bezwładnie u boków. Za plecami usłyszałem marudne skrzypnięcie tej starej deski na ganku. Dwa skrzypnięcia. Dwoje nowych gości. Wiedziałem, kto nadchodzi.

– Nie – powiedziałem. – Już dosyć. Proszę, już dosyć.

Ale wtedy dłoń Patsy Jacobs spoczęła na moim ramieniu, a ręce Morriego Przylepy objęły moją nogę tuż nad kolaniem.

– Coś się stało – powiedziała mi Patsy na ucho. Włosy połaskotały mój policzek; wiedziałem, że zwisały z płata skóry zerwanego z jej głowy podczas wypadku.

– Coś się stało – przytaknął Morrie i mocniej ścisnął moją nogę.

Wszyscy zaczęli śpiewać. To było *Happy Birthday*, ale ze zmienionym tekstem.

– „Coś się stało... TO-BIE! Coś się stało... TO-BIE! Coś się stało, nasz Jamie, coś się stało TO-BIE!”.

Zacząłem krzyczeć.

Ten sen po raz pierwszy przyśnił mi się w pociągu wiozącym mnie do Denver, choć – szczęśliwie dla ludzi, z którymi jechałem w wagonie – moje krzyki w świecie rzeczywistym słyszalne były tylko jako głębokie, gardłowe pomruki. Przez następnych dwadzieścia lat nawiedził mnie może ze trzydzieści razy. Zawsze budziłem się z niego z tą samą trwogą i przejmującą myślą: Coś się stało.

W tamtym czasie Andy jeszcze żył, miał się świetnie. Zacząłem do niego wydzwaniać i przekonywać, żeby zbadał sobie prostatę. Początkowo tylko się ze mnie śmiał, w końcu jednak wpadł w złość i zauważył, że nasz ojciec wciąż jest zdrow jak ryba i zanosi się, że swobodnie pociągnie jeszcze ze dwadzieścia lat.

– Może i tak – powiedziałem mu – ale mama umarła na raka, i to w młodym wieku.

Podobnie jak jej mama.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale żadna z nich nie miała prostaty.

– Nie sądzę, żeby to było ważne dla bogów spuścizny genetycznej – odparłem. –

Wysyłają chorobę na R tam, gdzie jest najmilej widziana. Na litość boską, w czym problem? Palec w tyłek, dziesięć sekund i jest po sprawie, nie musisz się obawiać o swoje zadnie dziewictwo. Chyba że poczujesz, że lekarz chwyta cię za ramiona.

– Załatwię to, kiedy skończę pięćdziesiątkę – rzekł. – Tak zalecają, tak zrobię, koniec, kropka. Cieszę się, że wyszedłeś na prostą, Jamie. Cieszę się, że masz zajęcie, które w branży muzycznej uchodzi za poważną pracę. Ale to nie daje ci prawa kierować moim życiem. Od tego jest Bóg.

Po pięćdziesiątce będzie za późno, pomyślałem. Kiedy skończysz pięćdziesiąt lat, to już się w tobie zagnieździ.

Ponieważ kochałem mojego brata (mimo że, moim skromnym zdaniem, wyrósł na cokolwiek irytującego świętoszka), zagrałem va banque i zwróciłem się do Francine, jego żony. Jej mogłem powiedzieć to, co Andy by wyśmiał – że miałem przecucie, i to silne. Proszę, Francie, błagam, przekonaj go, żeby zbadał sobie prostatę.

Poszedł na kompromis („Żebyście oboje się wreszcie zamknęli”) i wkrótce po czterdziestych siódmym urodzinach zrobił sobie badanie poziomu PSA, marudząc, że przecież, do licha, i tak nie jest wiarygodne. Może to i prawda, ale wynik był taki, że nawet mój Biblię cytujący, lekarzofobiczny brat nie bardzo miał się do czego przyczepić: dziesiątka, idealna jak Bo Derek. Potem była wizyta u urologa w Lewiston i operacja. Po trzech latach uznano, że jest wyleczony. Rok później – kiedy miał pięćdziesiąt jeden lat – dostał wylewu podczas podlewania trawnika i przeniósł się w objęcia Jezusa, zanim karetka dojechała do szpitala. To było w stanie Nowy Jork; tam też odbył się pogrzeb. W Harlow nie odprawiono nabożeństwa. Uznałem, że to dobrze. I tak aż za często wracałem do domu w snach, które były długotrwałym następstwem terapii antynarkotykowej Jacobsa.

Co do tego nie miałem wątpliwości.

Z tego samego snu obudziłem się w pogodny poniedziałek czerwca 2008 roku. Przez dziesięć minut leżałem w łóżku i usiłowałem wziąć się w garść. Mój oddech w końcu się uspokoił i przestałem mieć wrażenie, że jeśli otworzę usta, nie wyjdzie z nich nic oprócz „coś się stało” powtarzanego raz po raz. Przypomniałem sobie, że nie biorę, jestem trzeźwy, i że to wciąż najważniejsze w moim życiu, bo zmieniło to życie na lepsze. Owszem, były pewne trwałe skutki uboczne, ale ten sen przychodził coraz rzadziej, no i już od co najmniej czterech lat niczym się po nocach nie dźgałem (ostatnio była to łopatką kuchenna, która żadnych szkód nie wyrządziła). To nie gorsze od małej blizny pooperacyjnej, powtarzałem sobie i zazwyczaj byłem w stanie tak o tym myśleć. Tylko bezpośrednio po przebudzeniu czułem, że coś się za tym snem czai, coś złego. Nie coś. Ona. Czym była, nie wiedziałem, ale już wtedy byłem pewien, że jest płci żeńskiej.

Kiedy wziąłem prysznic i się ubrałem, sen już zacierał się w mojej pamięci. Wkrótce pierzchnie całkowicie. Wiedziałem to z doświadczenia.

Miałem mieszkanie na piętrze przy Boulder Canyon Drive w Nederland. W 2008 roku mogłem już sobie pozwolić na kupno domu, ale wymagałoby to zaciągnięcia kredytu hipotecznego, a tego chciałem uniknąć. Kawalerowi mieszkanie w zupełności wystarczało. Łóżko było spore, jak to w budzie na kółkach Jacobsa, istic królewskie, i przez lata nie brakowało księżniczek skłonnych je ze mną dzielić. Ostatnio ich szeregi trochę się przerzedziły, no ale to zapewne było do przewidzenia. Wkrótce miałem skończyć pięćdziesiąt dwa lata, a to – mniej więcej – wiek, w którym szarmanccy pożeracze serc niewieścich rozpoczynają nieuchronną przemianę w starych, obleśnych capów.

Poza tym lubiłem śledzić, jak moje konto bankowe pomału puchnie. Nie byłem skąpy, co to, to nie, ale do pieniędzy przywiązywałem sporą wagę. Nigdy nie zapomniałem tego dnia, kiedy obudziłem się w Fairgrounds Inn chory i splukany. Ani miny rudej wieśniary w chwili, gdy oddała mi moją zablokowaną kartę kredytową. „Proszę jeszcze raz sprawdzić”, powiedziałem jej i usłyszałem: „Skarbie, nie muszę, wystarczy, że na ciebie spojrzę”.

Taaak, ale spójrz na mnie teraz, żabciu, pomyślałem, jadąc moim 4runnerem drogą o nazwie Caribou Road na zachód. Od wieczora, kiedy spotkałem Charlesa Jacobsa w Tulsa, przybyło mi dwadzieścia kilogramów, ale przy wzroście metr osiemdziesiąt trzy z wagą osiemdziesiąt pięć kilo było mi do twarzy. No dobra, może nie miałem płaskiego brzucha, a mój poziom cholesterolu, jak wynikało z ostatniego badania, mógłby być nieco niższy, ale wtedy, przed laty, wyglądałem jak ofiara Dachau. Wiedziałem, że nigdy nie wystąpię w Carnegie Hall ani wielkich salach koncertowych z E Street Band, najważniejsze jednak, że wciąż grałem – dużo – i miałem pracę, którą lubiłem i w której byłem dobry. Często mówiłem sobie, że kto pragnie czegoś więcej, mężczyzna czy kobieta, tylko kusi bogów. Dlatego nie kuś ich, Jamie. A jeśli przypadkiem usłyszysz Peggy Lee śpiewającą ten stary, gorzki klasyk Leibera i Stollera – *Is That All There Is* – zmień stację i poszukaj jakiejś dobrej, skocznej muzyki.

Sześć kilometrów dalej, tam gdzie Caribou Road zaczyna stromą wspinaczkę w głąb gór, skręciłem przy drogowskazie z napisem RANCZO WOLFJAW, 3 KM. Wprowadziłem kod otwierający bramę i wjechałem na zwirowy parking oznakowany tabliczką PRACOWNICY I ARTYŚCI. Tylko raz do tej pory widziałem, żeby się zapełnił: kiedy Rihanna nagrywała EP-kę w Wolfjaw. Tamtego dnia samochody stały nawet na drodze dojazdowej, prawie po samą bramę. Laska miała naprawdę dużą świtę.

Pagan Starshine (naprawdę się nazywała Hillary Katz) z pewnością nakarmiła konie przed dwiema godzinami, ale i tak przeszedłem między rzędami boksów, rozdając na lewo i prawo kawałki jabłek i marchewek. Prawie wszystkie konie były duże i piękne – czasem myślałem o nich jak o limuzynach Cadillaca na czterech kopytach. Mój ulubieniec jednak bardziej przypominał zdezelowanego chevroleta. Bartleby, jabłkowita szkapa bez rodowodu, był w Wolfjaw, kiedy przyjechałem tam z gitarą, workiem marynarskim i duszą na ramieniu, i już wtedy miał swoje lata. Większość jego zębów dawno odeszła w zapomnienie jak niebieskie zamszowe buty, ale dzielnie przeżuwał kawałek jabłka tymi, które się zachowały, leniwie poruszając szczękami z boku na bok. Jego łagodne ciemne oczy ani na chwilę nie oderwały się od mojej twarzy.

– Dobrze robić z tobą interesy, Bart – powiedziałem, głaszcząc go po pysku. – A ja uwielbiam dobre interesy.

Kiwnął łbem jakby na znak, że wie.

Pagan Starshine – dla przyjaciół Paig – karmiła kury z fartucha. Nie mogła pomachać ręką, więc pozdrowiła mnie donośnym, chrapliwym okrzykiem i odśpiewaniem pierwszych

dwóch wersów *Mashed Potato Time*. W następnych dwóch jej zawtórowałem. Pagan kiedyś śpiewała w chórkach i w swoich najlepszych latach miała głos jak jedna z Pointer Sisters. Poza tym paliła jak komin, przez co po czterdziestce jej wokal już raczej przypominał Joego Cockera z czasu festiwalu w Woodstock.

Studio Jeden było zamknięte i ciemne. Zapaliłem światła i sprawdziłem na tablicy ogłoszeń, jakie sesje zaplanowano na dzisiaj. Były cztery: pierwsza o dziesiątej, druga o drugiej, trzecia o szóstej i czwarta o dziewiątej, przy czym ta ostatnia prawdopodobnie przeciągnie się do późnej nocy. Studio Dwa też na pewno miało wszystkie terminy zajęte. Nederland to mała miejscina ulokowana wysoko na Zboczu Zachodnim, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują, ma niespełna półtora tysiąca stałych mieszkańców, ale w świecie muzyki odgrywa rolę niewspółmiernie dużą do swojej wielkości; naklejki na zderzak o treści NEDERLAND! TUTAJ NASHVILLE OSIĄGA SZCZYT to nie czcze przechwałki. Joe Walsh nagrał swoją pierwszą płytę w Wolfjaw 1, kiedy studiem rządził ojciec Hugh Yatesa, a John Denver swoją ostatnią w Wolfjaw 2. Hugh kiedyś puścił mi nagranie rozmowy Denvera z jego zespołem o eksperymentalnym samolocie, który właśnie kupił, maszynie o nazwie Long-EZ. Ciarki mnie przechodziły, kiedy tego słuchałem.

W centrum miasta było dziewięć barów, w których co wieczór grały różne zespoły, i trzy inne studia nagraniowe oprócz naszego. Jednak największym i najlepszym było Ranczo Wolfjaw. Tego dnia, gdy bojaźliwie wsunąłem się do gabinetu Hugh Yatesa i powiedziałem, że przysłał mnie Charles Jacobs, na ścianach wokół jego biurka wisiało co najmniej dwadzieścia zdjęć takich sław, jak Eddie Van Halen, Lynyrd Skynyrd, Axl Rose (w jego najlepszych latach) i U2. A mimo to tym, które Hugh cenił najwyżej – i jedynym, na którym sam również został uwieczniony – była fotografia Staples Singers. „Mavis Staples to bogini – powiedział mi. – Najlepsza wokalistka w Ameryce. Inne jej do pięt nie dorastają”.

Przez lata zdobywania szlifów w trasie brałem udział w nagraniach wielu tanich singli i kieszonkowych niezależnych albumów, ale na płytę wydaną przez dużą wytwórnię załapałem się, dopiero gdy na sesji Neila Diamonda zastąpiłem gitarzystę rytmicznego, który zachorował na mononukleozę. Tamtego dnia byłem przerażony – pewien, że po prostu puszczyć pawia na mojego SG – od tej pory jednak uczestniczyłem w wielu sesjach, przeważnie w zastępstwie, lecz czasem na wyraźne życzenie muzyków. Kokosów z tego nie miałem, ale nie mogłem narzekać. W weekendy grałem w zespole występującym w lokalnym barze Comstock Lode, no i od czasu do czasu łapałem fuchy w Denver. Udzielałem też lekcji początkującym nastoletnim muzykom w ramach letniego programu Rock-Atomic, który Hugh zainaugurował po śmierci ojca.

– Nie mogę – zaprotestowałem, kiedy Hugh zasugerował, że doda to do moich obowiązków. – Nie czytam muzyki!

– Chcesz powiedzieć, że nie czytasz nut – odparł. – Z tablaturą sobie radzisz, a to wszystko, co te dzieciaki chcą umieć. Na szczęście dla nas i dla nich większości niczego więcej nie trzeba. Tu, w górach, Segovii nie znajdziesz, przyjacielu.

Co do tego miał rację, ale jak już przeszła mi trema, na lekcjach bawiłem się doskonale. Po pierwsze, przywoływały wspomnienia Chrome Roses. Po drugie... może powinienem wstydić się to wyznać, ale przyjemność, jaką czerpałem z pracy z nastolatkami w ramach programu Rock-Atomic, była podobna do przyjemności, jaką dawało mi poranne częstowanie Bartleby'ego kawałkiem jabłka i głaskanie go po nosie. Te dzieciaki chciały tylko grać rocka i większość odkryła, że to jest w ich zasięgu... no, jak już opanowali barowe E.

W Studiu Dwa też było ciemno, ale Mookie McDonald zostawił włączoną konsolę mikserską. Powyłączałem wszystko i stwierdziłem, że trzeba z nim będzie o tym porozmawiać.

Był dobrym inżynierem dźwięku, lecz po czterdziestu latach palenia zioła szwankowała mu pamięć. Mój gibson SG stał na stojaku z resztą instrumentów, bo później tego dnia miałem grać na demo miejscowego zespołu rockabilly o nazwie Gotta Wanna. Usiadłem na stołku i przez jakieś dziesięć minut brzdąkałem na sucho kawałki jak *Hi-Heel Sneakers* i *Got My Mojo Working*, tak na rozgrzewkę. Byłem lepszy niż w latach spędzonych w trasie, dużo lepszy, ale Claptona to już ze mnie nie będzie.

Zadzwonił telefon – choć telefony w studiach tak naprawdę nie dzwoniły, tylko krawędzie im się zapalały na niebiesko. Odłożyłem gitarę i odebrałem.

– Studio Dwa, mówi Curtis Mayfield.

– Co tam w zaświatach, Curtis? – spytał Hugh Yates.

– Ciemno. Plus jest taki, że nie jestem już sparaliżowany.

– Cieszę się. Przyjdź tu do mnie. Mam coś, co powinieneś zobaczyć.

– Jezu, stary, za pół godziny nagrywamy kogoś w Jedyńce. Zdaje się, że tę długonogą laskę, która gra country.

– Mookie jej wszystko przygotowuje.

– E tam. Jeszcze nie przyszedł. Poza tym zostawił włączoną konsolę w Dwójce. Znowu. Hugh westchnął.

– Porozmawiam z nim. Chodź i tyle.

– Dobra, ale to ja pogadam z Mooksterem. Od tego jestem, nie?

Zaśmiał się.

– Czasem jestem ciekaw, gdzie się podział ten smętny milczek, którego zatrudniłem. Ten, z którego każde słowo trzeba było wołami wyciągać. No chodź wreszcie. Padniesz, jak to zobaczysz.

Dom Hugh Yatesa był rozległy, parterowy. Na okrągłym placu przed nim stał klasyczny continental. Hugh miał fioła na punkcie wszystkiego, co żłopało wysokogatunkową benzynę, i mógł sobie na tę słabość pozwolić. Ranczo Wolfjaw wychodziło na czysto z tylko lekką nawiązką, lecz poprzednie pokolenia Yatesów włożyły duże pieniądze w bezpieczne inwestycje kapitałowe, a Hugh – po dwóch małżeństwach, obu z intercyzami, za to bez dzieci – był ostatnią gałązką na drzewie genealogicznym rodu. Hodował konie, kury, owce i kilka świń, ale to było tylko hobby. Podobnie jak jego samochody i kolekcja pikapów z potężnymi silnikami. Naprawdę interesowała go muzyka; jej oddał serce. Twierdził, że sam kiedyś grał, choć nigdy nie widziałem go z trąbką czy gitarą w ręku.

– Muzyka jest ważna – powiedział mi kiedyś. – Literatura popularna przemija, programy telewizyjne przemijają i dam głowę, że nie potrafiłbyś powiedzieć, co dwa lata temu oglądałeś w kinie. Ale muzyka trwa. Nawet pop. Zwłaszcza pop. Możesz drzwi do woli z *Raindrops Keep Fallin' on My Head*, ale za pół wieku ludzie dalej będą tej szmiry słuchać.

Łatwo mogłem sobie przypomnieć dzień, kiedy go poznałem, bo Wolfjaw wyglądało wtedy dokładnie tak samo – był nawet zaparkowany przed domem ciemnogramatowy connie z owalnymi tylnymi okienkami. Zmieniłem się tylko ja. Tamtego dnia jesienią 1992 roku Hugh Yates otworzył mi drzwi, uścisnął dłoń i zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Tam klapnął w fotel z wysokim oparciem za biurkiem tak dużym, że piper cub by na nim wylądował. Wszedłem stremowany; kiedy zobaczyłem te sławne twarze patrzące ze ścian, resztki śliny zaschły mi w ustach.

Zmierzył mnie wzrokiem – tego przybysza w brudnej koszulce AC/DC i jeszcze brudniejszych dzinsach – i rzekł:

– Zadzwoił do mnie Charlie Jacobs. Od dobrych kilku lat mam wobec wielebnego duży dług. Za duży, żebym mógł go spłacić, jednak Jacobs powiedział, że ty wyrównujesz rachunki między nami.

Stałem oniemiały przed biurkiem. Wiedziałem, jak sobie radzić na przesłuchaniu do zespołu, ale to było coś innego.

– Mówił, że ćpałeś.

– Tak – przyznałem. Nie było sensu zaprzeczać.

– Mówił, że Wielką H.

– Tak.

– Ale już nie bierzesz?

– Nie.

Myślałem, że zapyta, od jak dawna, ale tego nie zrobił.

– Usiądźże, na litość boską. Chcesz coli? Piwa? Lemoniady? Może mrożonej herbaty? Usiadłem, ale jakoś nie mogłem się wygodnie oprzeć.

– Poproszę mrożoną herbatę.

Włączył interkom na biurku.

– Georgia? Dwie mrożone herbaty, słonko. – Potem do mnie: – Mamy tu normalnie funkcjonujące ranczo, tyle że trzoda, której doglądam, gra na instrumentach.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale czułem, że idiotycznie z tym wyglądam, więc dałem sobie spokój.

Chyba nie zauważył.

– Zespoły rockowe, zespoły country, soliści. Oni są naszym głównym źródłem utrzymania, ale produkujemy też dzingle dla rozgłośni radiowych z Denver i dwadzieścia-trzydzieści audiobooków rocznie. Michael Douglas nagrał w Wolfjaw powieść Faulknera. Georgia mało się nie posikała. Facet powszechnie uchodzi za luzaka, ale o rany, w studiu to perfekcjonista jakich mało.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc milczałem i czekałem w bezruchu na mrożoną herbatę. W ustach miałem sucho jak na pustyni.

Wychylił się do przodu.

– Wiesz, czego na każdym ranczu potrzeba przede wszystkim?

Potrząsnąłem głową, ale zanim mógł rozwinąć myśl, młoda, ładna czarna kobieta wniosła na srebrnej tacy dwie wysokie, wypchane lodem szklanki mrożonej herbaty. W każdej tkwiła gałązka mięty. Wycisnąłem do mojej herbaty dwa plasterki cytryny, lecz od cukiernicy trzymałem się z dala. W latach, kiedy brałem heroinę, byłem pies na cukier, ale od tych kilku godzin spędzonych ze słuchawkami na uszach w nieczynnym warsztacie samochodowym wszystko, co słodkie, przyprawiało mnie o mdłości. Zaraz po wyjeździe z Tulsa kupiłem w wagonie restauracyjnym baton Hershey i stwierdziłem, że nie dam rady go zjeść. Niedobrze mi się robiło od samego zapachu.

– Dziękuję, Georgio – powiedział Yates.

– Proszę bardzo. Nie zapominaj, że o drugiej zaczynają się godziny wizyt. Les na pewno liczy, że przyjdziesz.

– Nie zapomnę.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi, i Yates odwrócił się do mnie.

– Na każdym ranczu potrzeba zarządcy. Tu, w Wolfjaw, za wszystko, co z rolnictwem i hodowlą związane, odpowiada Rupert Hall. Z nim nie ma kłopotów, za to mój zarządca

do spraw muzycznych właśnie dochodzi do siebie w szpitalu rejonowym w Boulder. Les Calloway. Nazwisko pewnie nic ci nie mówi.

Potrząsnąłem głową.

– A o The Excellent Board Brothers słyszałeś?

To brzmiało znajomo.

– Zespół instrumentalny, dobrze kojarzę? Surf rock, coś w stylu Dick Dale and the Del Tones?

– Tak, to oni. Trochę to dziwne, zważywszy, że wszyscy pochodzili z Kolorado, które leży najdalej od obu oceanów, jak to możliwe. Mieli jeden przebój w pierwszej czterdziestce, *Aloona Ana Kaya*. Co w koszmarnie łamanym hawajskim oznacza „uprawiajmy seks”.

– Jasne, pamiętam to. – Oczywiście, że pamiętałem; moja siostra puszczała ten numer z miliard razy. – To ten kawałek, w którym słychać śmiech dziewczyny.

Yates wyszczerzył się radośnie.

– Ten śmiech stał się ich przepustką do świata gwiazd jednego przeboju i to ja go nagrałem na płytę. Właściwie w ostatniej chwili. Studium kierował wtedy mój ojciec. A ta dziewczyna, która się tak chichra, pracuje tu do dziś. To Hillary Katz, chociaż ostatnio przedstawia się jako Pagan Starshine. Już nie bierze, ale wtedy nawdychała się podtlenku azotu i nie mogła powstrzymać śmiechu. Nagrałem ją w kabinie nagraniowej; nawet nie wiedziała. Dzięki jej śmiechowi płyta odniosła sukces i chłopaki odpalili jej siedem patoli.

Skinąłem głową. Annały rocka są pełne podobnych szczęśliwych zbiegów okoliczności.

– W każdym razie The Excellent Board Brothers odbyli jedno tournée, a potem zaliczyli podwójne R. Wiesz, o co biega?

Wiedziałem, i to z własnego doświadczenia.

– Roztrwonili kasę i się rozpadli.

– Uhm. Les wrócił do domu i zatrudnił się u mnie. Produkuje lepiej, niż grał, i od dobrych piętnastu lat jest moją prawą ręką w sprawach muzycznych. Kiedy zadzwonił Charles Jacobs, umyśliłem sobie, że pošlę cię do Lesa na staż, żebyś ucząc się fachu, zarabiał i mógł trochę pograć na boku, przyjemne z pożytecznym, wiesz, jak jest. I to pozostaje aktualne, tyle że uczyć się będziesz musiał szybko, synu, bo Les w zeszłym tygodniu dostał ataku serca. Wyliże się, tak mówią, ale musi zrzucić sporo kilogramów i łykać masę prochów, więc postanowił za jakiś rok przejść na emeryturę. Co da mi dość czasu, żeby zobaczyć, czy się nadasz.

Wezbrał we mnie niemal paniczny strach.

– Panie Yates...

– Hugh.

– Hugh, nie znam się na sprawach artystyczno-repertuarowych. Do dziś bywałem tylko w takich studiach nagraniowych, które moje zespoły wynajmowały na godziny.

– Zazwyczaj za pieniądze kochanych rodziców gitarzysty prowadzącego – dopowiedział.

– Albo żony perkusisty, pracującej osiem godzin dziennie jako kelnerka i na obolałych nogach zebrzącej o napiwki.

Rzeczywiście, tak to mniej więcej wyglądało. Przynajmniej do czasu, kiedy żoneczka szła po rozum do głowy i wywaląca delikwenta za drzwi.

Hugh wychylił się do przodu ze splecionymi dłońmi.

– Albo się nauczysz, albo nie. Wielebny zapewnia, że tak. Mnie to wystarczy. Musi. Jestem jego dłużnikiem. Na razie będziesz tylko zapalał światła w studiach, pilnował rozkładu zajęć artystów... wiesz, o co chodzi?

– Tak.

– No i zamykał interes na noc. Mój człowiek pokaże ci wszystko, co masz robić

do powrotu Lesa. Nazywa się Mookie McDonald. Jeśli będziesz równie pilnie zwracał uwagę na to, co Mookie robi źle, jak na to, co robi dobrze, wiele się nauczysz. Cokolwiek się będzie działo, nie daj mu przygotowywać grafiku. I jeszcze jedno. Jak zapalisz skręta, nic mi do tego, pod warunkiem że będziesz punktualnie w pracy i nie wywołasz pożaru traw. Ale jeśli usłyszę, że znowu dajesz w żyłę...

Zmusiłem się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Nigdy do tego nie wrócę.

– Śmiałe słowa. Wiele razy je słyszałem, także z ust kilku ludzi, którzy już nie żyją. Bywa jednak, że okazują się prawdziwe. Mam nadzieję, że tak będzie w twoim przypadku. Ale żeby nie było niedomówień: jak zaczniesz brać, wylatujesz, nieważne, co jestem komuś winien. Czy to jest jasne?

Było jasne. Jak słońce.

Georgia Donlin w roku 2008 była równie piękna jak szesnaście lat wcześniej, tyle że kilka kilogramów przytyła, w jej ciemnych włosach pojawiły się srebrne nitki, a na nosie okulary dwuogniskowe.

– Nie wiesz może, co go dziś tak rozjuszyło? – spytała mnie.

– Nie mam pojęcia.

– Najpierw kłął na czym świat stoi, potem trochę się pośmiał i wreszcie znów zaczął bluzgać. Stwierdził, że wiedział, kurwa, że tak będzie, kogoś nazwał sukinsynem, a potem czymś rzucił, tak to przynajmniej zabrzmiało. Chcę tylko wiedzieć, czy ktoś wyleci z pracy. Jeśli tak, biorę wolne. Źle znoszę konfrontacje. Spytaj mojego terapeutę.

– I mówi to kobieta, która w zimie rzuciła doniczką w dostawcę mięsa.

– To co innego. Durny sukinsyn chciał mnie pogłaskać po tyłku.

– Durny, za to z dobrym gustem – stwierdziłem i kiedy spojrzała na mnie bykiem, dodałem: – Tak tylko mówię.

– Hm. Od kilku minut jakoś tam cicho. Mam nadzieję, że nie dostał zawału.

– Może zobaczył coś w telewizji. Albo wyczytał w gazecie.

– Telewizor zgasił kwadrans po moim przyjściu, a „Camery” i „Posta” nie prenumeruje od dwóch miesięcy. Mówi, że wszystkiego się dowiaduje z internetu. Tłumaczę mu: „Hugh, internetowe serwisy informacyjne prowadzą gówniarze z mlekiem pod nosem i paniusie, które ledwo ze staników dziecięcych wyrosły. Nie można im ufać”. Ma mnie za zacoфанą starą babę. Nie mówi tak wprost, ale widzę to w jego oczach. Jakbym nie miała córki, która studiuje informatykę na Uniwersytecie Stanu Kolorado. To Bree mi powiedziała, żebym nie wierzyła w to, co piszą na tych blogach czy jak to zwał. No już, idź do niego. Ale jeśli siedzi tam martwy, bo mu się silnik zadławił, nie wołaj mnie, żebym mu robiła usta-usta.

Poszła, wysoka i dostojna, posuwistym krokiem niczym nieróżniącym się od kroku pięknej młodej kobiety, która przed szesnastu laty wniosła mrożoną herbatę do gabinetu Hugh Yatesa.

Zastukałem w drzwi. Hugh nie umarł, ale siedział zgarbiony za swoim ogromnym biurkiem i pocierał skronie, jakby miał migrenę. Przed nim stał otwarty laptop.

– Wylejesz kogoś? – spytałem.

Podniósł wzrok.

– Hę?

– Georgia mówi, że jak masz kogoś wylać, ona bierze sobie wolne.

– Nikogo nie wyleję. To nonsens.

– Mówiła, że czymś rzuciłeś.
– Gówno prawda. – Zawiesił głos. – To znaczy, kopnąłem kosz na śmieci, kiedy zobaczyłem te bzdety o świętych obrączkach ślubnych.
– To opowiedz mi o tych obrączkach, a ja dam koszowi jeszcze jednego rytualnego kopa i pójdę do pracy. Mam dziś szesnaście miliardów rzeczy do zrobienia, między innymi muszę się nauczyć dwóch kawałków na sesję Gotta Wanna. Kto wie, może strzał koszem w okienko mnie rozrusza?
Hugh znów zaczął pocierać skronie.
– Przewidywałem, że to się może zdarzyć, wiedziałem, że go na to stać, ale nie spodziewałem się czegoś tak... na taką skalę. No ale wiesz, jak to mówią: idź na całość albo idź do domu.
– Nie mam za cholerę pojęcia, o co ci chodzi.
– Zaraz wszystko zrozumiesz, Jamie.
Posadziłem tyłek na rogu jego biurka i słuchałem.
– Co rano, kiedy robię brzuszki i pedałuję na rowerze treningowym, oglądam wiadomości o szóstej, nie? Głównie dlatego, że widok pogodynki sam w sobie poprawia wydolność oddechową. I dziś rano zobaczyłem reklamę czegoś innego niż magiczny krem na zmarszczki i składanki przebojów dla oldbojów produkcji Time-Warner. Oczom nie wierzyłem. Normalnie, kurde, oczom nie wierzyłem. A jednocześnie wcale mnie to nie zdziwiło. – Wtedy się zaśmiał, nie z rozbawieniem, tylko tak jakby nie dowierzał, że coś może być prawdą. – Wyłączam więc idioswizję i szukam dalszych szczegółów w internecie.
Chciałem przejść na jego stronę biurka, ale powstrzymał mnie uniesieniem dłoni.
– Najpierw muszę cię spytać, czy pójdziesz ze mną na męską randkę, Jamie. Żeby zobaczyć wspólnego znajomego, który po paru falstartach wreszcie robi to, do czego jest stworzony.
– Pewnie, nie ma sprawy. Pod warunkiem że nie chodzi o koncert Justina Biebera. Trochę za stary jestem na Beeba.
– Och, to dużo lepsze niż Beeb. Zobacz. Tylko uważaj, żeby ci oczu nie poraziło.
Obszedłem biurko i po raz trzeci spotkałem piątą osobę mojego dramatu. Najpierw zobaczyłem świdrujące spojrzenie jarmarcznego hipnotyzera. Po bokach twarzy trzymał rozczapierzone dłonie, na środkowym palcu każdej tkwiła gruba złota obrączka.
Był to plakat zamieszczony na stronie z nagłówkiem EWANGELIZACYJNA PIELGRZYMKA PASTORA C. DANNY’EGO JACOBSA.

SPOTKANIE PRZEBUDZENIOWE

JAK ZA DAWNYCH LAT!

13–15 CZERWCA

PLAC JARMARKU HRABSTWA NORRIS

30 km na wschód od Denver

WYSTĄPIĄ
BYŁY WYKONAWCA MUZYKI SOUL
AL STAMPER
THE GOSPEL ROBINS
Z TOWARZYSZENIEM DEVINY ROBINSON

ORAZ

EWANGELISTA C. DANNY JACOBS

ZNANY Z PROGRAMU

DANNY JACOBS LECZY MOCĄ

SŁOWA BOŻEGO

ODNÓW ŚPIEWEM SWĄ DUSZĘ
ULECZ SIEBIE I SWĄ WIARĘ
WYSŁUCHAJ PORUSZAJĄCEJ OPOWIEŚCI
O ŚWIĘTYCH OBRĄCZKACH
OPOWIEDZIANEJ TAK,
JAK OPOWIADAĆ POTRAFI
TYLKO PASTOR DANNY!

„Wprowadź tu ubogich, ułomnych, niewidomych i chrymch; zmuszaj ich do wejścia,
aby mój dom był zapełniony”. Łk 14,21 i 23

PRZYJDŹ I ZOBACZ, JAK BÓG ODMIENIA LUDZKIE ŻYCIE!

PIĄTEK godzina 19.00

SOBOTA godzina 14.00 i 19.00

NIEDZIELA godzina 14.00 i 19.00

BÓG MÓWI ŁAGODNIE. (1 Kr1 19,12)

BÓG UZDRAWIA JAK BŁYSKAWICA. (Mt 24,27)

PRZYBYWAJCIE WSZYSCY

I KAŻDY Z OSOBNA!

BĄDŹCIE ODNOWIENI!

U dołu widniało zdjęcie chłopca, który na oczach rozradowanej i zadziwionej gawiedzi odrzuca kule. Podpis głosił: „Robert Rivard, uleczony z DYSTROFII MIĘŚNIOWEJ 30/05/07, St. Louis, Mo”.

Byłem oszołomiony, tak jak zapewne oszołomiony jest człowiek, kiedy widzi starego znajomego, o którym słyszał, że nie żyje albo został aresztowany za poważne przestępstwo. A mimo to jakaś cząstka mnie – cząstka odmieniona, uleczona – nie była zaskoczona. Ta cząstka przez cały czas czekała na ten moment.

Hugh się zaśmiał.

– Kurczę, wyglądasz, jakbyś niechący połknął wróbla. – Po czym wypowiedział na głos jedyną zborną myśl, którą w tej chwili miałem w głowie: – Wygląda na to, że wielebny znowu odstawia swoje stare numery.

– Tak – odparłem i wskazałem odniesienie do Ewangelii według świętego Mateusza. – Ale ten werset wcale nie mówi o uzdrawianiu.

Uniósł brwi.

– Nie wiedziałem, że jesteś znawcą Biblii.

– Wielu rzeczy nie wiesz – powiedziałem – bo nigdy o nim nie rozmawiamy. Ale znałem Charliego Jacobsa na długo przed przyjazdem do Tulsa. Kiedy byłem mały, został pastorem w naszym kościele. To była jego pierwsza praca duszpasterska i sądziłem, że ostatnia. Do dziś.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Co ty gadasz! Ile miał wtedy lat, osiemnaście?

– Dwadzieścia kilka, zdaje się. Ja sześć–siedem.

– Uzdrawiał ludzi?

– Nie, wcale. – To znaczy, jeśli nie liczyć mojego brata Cona. – W tamtych czasach był normalnym, porządnym metodystą, no wiesz, na komunii sok z winogron zamiast wina i tak dalej. Wszyscy go lubili. – Przynajmniej do Straszego Kazania. – Odszedł, kiedy stracił żonę i syna w wypadku samochodowym.

– Wielebny był żonaty? Miał dziecko?

– Tak.

Hugh się zamyślił.

– Czyli właściwie ma prawo do co najmniej jednej z tych obrączek... o ile to rzeczywiście obrączki. W co wątpię. Spójrz na to.

Wjechał kursorem na pasek u góry strony i kliknął nagłówek ŚWIADECTWA CUDÓW. Na ekranie pojawił się rząd wideo z YouTube. Było ich co najmniej kilkanaście.

– Hugh, jeśli chcesz iść zobaczyć Charliego Jacobsa, chętnie się z tobą zabiorę, ale dziś rano naprawdę nie mam czasu o nim rozmawiać.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Nie wyglądasz jak ktoś, kto połknął wróbla. Wyglądasz, jakbyś dostał pięścią w brzuch. Obejrzyj ten jeden filmik i już cię puszczam.

Na środku ekranu była twarz chłopaka z plakatu. Kiedy Hugh na nią kliknął, zobaczyłem, że wideo, które trwało zaledwie nieco ponad minutę, miało już ponad sto tysięcy wyświetleń. Nie wiral, ale prawie.

Obraz ruszył. Ktoś podstawił Robertowi Rivardowi mikrofon z napisem KSDK.

Niewidoczna kobieta powiedziała:

– Opowiedz, co się działo w czasie tego tak zwanego uzdrowienia, Bobby.

– Cóż, psze pani – powiedział Bobby – jak chylił mnie za głowę, poczułem, że tu, po bokach... – wskazał swoje skronie – dotykają mnie święte obrączki. Potem coś trzasło, jakby kawałek drewna na podpalkę. Sekundę–dwie chyba byłem nieprzytomny i naraz to... sam nie wiem... ciepło spłynęło mi do nóg... i... – Chłopak się rozplakał. – I mogłem na nich stanąć. Mogłem chodzić! Zostałem uzdrowiony! Niech Bóg błogosławi pastora Danny'ego!

Hugh odchylił się na oparcie.

– Wszystkich świadectw nie oglądałem, ale te, które widziałem, są właściwie identyczne.

Przypomina ci to coś?

– Może – odparłem. Ostrożnie. – A tobie?

Nigdy nie rozmawialiśmy o przysłudze, którą oddał mu „wielebny” – przysłudze wartej tego, by szef Rancza Wolfjaw na podstawie jednej rozmowy telefonicznej zatrudnił ledwo wyleczonego narkomana.

– Nie teraz, skoro ci się spieszy. Masz jakieś plany na lunch?

– Zamówię pizzę. Po piosenkarce country przyjeżdża jakiś facet z Longmont... według grafiku to „barytonowy interpretator piosenki popularnej”.

Hugh przez chwilę patrzył pustym wzrokiem przed siebie, po czym palnął się w czoło nasadą dłoni.

– O mój Boże, George Damon?

– Tak, tak się nazywa.

– Chryste, to ten aparat jeszcze żyje? Od lat go nie widziałem... ostatnio na długo zanim się tu zjawiał. Pierwszą płytą, którą u nas nagrał, była *Damon Does Gershwin*. Nikomu się jeszcze wtedy o kompaktach nie śniło, choć możliwe, że istniały już taśmy ośmiościeżkowe. Każda piosenka, dosłownie, kurde, każda brzmiała jak *God Bless America* w wykonaniu Kate Smith. Niech Mookie się nim zajmie. Znają się jak łyse konie. Jeśli Mookster coś spieprzy, poprawisz to w miksie.

– Jesteś pewien?

– Tak. Skoro mamy zobaczyć świętą szopkę wielebnego, najpierw chcę usłyszeć, co o nim wiesz. Pewnie powinniśmy byli odbyć tę rozmowę lata temu.

Przemyślałem to.

– No dobra... ale coś za coś. Ja powiem tobie, co wiem, ty mnie. Pełna i szczerza wymiana informacji.

Splótnął dłonie na opinającej niemały brzuch kowbojskiej koszuli i odchylił się na krześle.

– Nie myśl, że jest to coś, czego się wstydzę. To po prostu takie... niewiarygodne.

– Ja uwierzę – stwierdziłem.

– Może. Zanim pójdziesz, powiedz, o czym jest ten werset z Mateusza i skąd go znasz.

– Po tylu latach nie przytoczę go słowo w słowo, ale to coś w stylu „Jak błyskawica zabłyśnie na wschodzie i świeci aż na zachodzie, tak będzie z przyjściem Jezusa”. Nie mówię o uzdrawianiu, tylko o apokalipsie. A pamiętam go, bo był jednym z ulubionych cytatów wielbego Jacobsa.

Zerknąłem na zegarek. Długonoga piosenkarka country – Mandy jakaś tam – była nieuleczalnym rannym ptaszkiem i pewnie już siedziała na schodkach przed Studiem 1 z opartą obok gitarą, ale w tej chwili musiałem poznać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że wątpisz, czy to obrączki ślubne?

– Ciebie nie potraktował pierścieniami, co? Kiedy leczył cię z twoich drobnych kłopotów z narkotykami?

Pomyślałem o opuszczonym warsztacie samochodowym.

– Nie. Słuchawkami.

– Kiedy to było? W 1992 roku?

– Tak.

– Ja z wielbnym miałem do czynienia w 1983. Przez ten czas musiał unowocześnić swoje metody. Teraz pewnie wrócił do obrączek, bo bardziej się kojarzą z religią niż słuchawki. Ale idę o zakład, że od moich... i twoich czasów zrobił wielkie postępy w swojej pracy. Cały wielbny, nie sądzisz? Zawsze by wszystko ulepszał.

– Mówisz o nim „wielbny”. Był kaznodzieją, kiedy go poznałeś?

– Tak i nie. To skomplikowane. No dobrze, spadaj, dziewczyna na pewno już czeka.

Może będzie w minispódniczce. To oderwie twoje myśli od pastora Danny’ego.

Tak się złożyło, że była w minispódniczce, a nogi miała rewelacyjne, bez dwóch zdań. Ledwo je jednak zauważałem i bez zaglądnania w grafik nie mógłbym wam powiedzieć, co tego dnia śpiewała. Myślałem tylko o Charlesie Danielu Jacobsie vel Wielbnym. Dziś znanym jako pastor Danny.

Mookie McDonald przyjął burę za niewyłączenie konsoli w milczeniu, ze spuszczonej oczami, kiwając głową, i obiecał poprawić się na przyszłość. I poprawi się. Na jakiś czas. Potem, za tydzień–dwa, przyjdę i znów zastanę włączoną konsolę w Jedynce, Dwójce albo w obu studiach. Myślę, że idiotyzmem jest wsadzać ludzi do więzienia za palenie marychy, ale nie mam wątpliwości, że jej długotrwałe codzienne zażywanie prowadzi do syndromu NCNP, czyli Ni Cholery Nie Pamiętam.

Rozpromienił się, kiedy mu powiedziałem, że będzie nagrywał George’a Damona.

– Zawsze go uwielbiałem! Wszystko, co śpiewał, brzmiało jak...

– *God Bless America* w wykonaniu Kate Smith. Wiem. Bawcie się dobrze.

W olchowym zagajniku za domem był mały, ładny plac piknikowy. Georgia właśnie jadła tam lunch z paroma dziewczynami z biura. Hugh zaprowadził mnie do stolika z dala od nich i wyjął ze swojej przepaścistej męskiej torebki dwie puszkę napoju Dr. Pepper i dwie zapakowane

kanapki.

– Jedna z sałatką z kurczaka, druga z sałatką z tuńczyka, obie z Tubby's. Wybieraj.

Wziąłem tuńczyka. Przez jakiś czas jedliśmy w ciszy, okryci cieniem wysokich gór, aż w końcu Hugh powiedział:

– Wiesz, też grałem rytm i byłem dużo lepszy od ciebie.

– Jak wielu.

– Karierę kończyłem w zespole z Michigan o nazwie Johnson Cats.

– Z lat siedemdziesiątych? Faceci w koszulach wojskowych, którzy brzmiali jak The Eagles?

– Przebiliśmy się na początku lat osiemdziesiątych, ale tak, to my. Mieliśmy cztery przeboje, wszystkie z pierwszej płyty. I chcesz wiedzieć, co sprawiło, że ludzie w ogóle tę płytę zauważyli? Tytuł i okładka, jedno i drugie mojego pomysłu. Płyta nazywała się *Your Uncle Jack Plays All the Monster Hits*, a na okładce widniał mój własny wujek Jack Yates brzdąkający na ukulele w swoim salonie. Muzyka jako taka była ostra, potężne przestery, ciężkie brzmienia i tak dalej. Nic dziwnego, że nie dostaliśmy Grammy. To była epoka Toto. Pieprzona *Africa*, rany boskie, ależ to był syf!

Zadumał się.

– W każdym razie byłem w Cats dwa lata i to mnie słyhać na ich przełomowej płycie. Zagrałem pierwsze dwa koncerty na trasie, po czym mnie wywalili.

– Dlaczego? – Z myślą: Na pewno przez narkotyki. W tamtych czasach zawsze winne były narkotyki. On jednak mnie zaskoczył.

– Ogłuchłem.

Trasa koncertowa The Johnson Cats zaczęła się w Bloomington – w Circus One – a następnym przystankiem był Congress Theater w Oak Park. Małe sale, koncerty na rozgrzewkę z lokalnymi szarpidrutami. Następne w kolejności było Detroit, gdzie tournée miało ruszyć pełną parą: trzydzieści miast, The Johnson Cats jako support Boba Segera z The Silver Bullet Band. Rock stadionowy, duża sprawa. Spełnienie marzeń.

W Bloomington Hugh Yatesowi zaczęło dzwonić w uszach. Początkowo to zlekceważył, uznał, że to wpisane w cenę, jaką się płaci, gdy sprzedaje się duszę za rock and rolla – jakiemu szanującemu się muzykowi od czasu do czasu nie dzwoni w uszach? Weźmy Pete'a Townshenda, Erica Claptona, Neila Younga. Potem, w Oak Park, dostał zawrotów głowy i mdłości. W połowie koncertu zszedł chwiejnym krokiem ze sceny i wyrzygał się do wiadra pełnego piachu.

– Do dziś pamiętam tabliczkę na filarze nad nim – powiedział mi. – TYLKO DO MAŁYCH POŻARÓW.

Jakoś dograł koncert do końca, uklonił się publiczności i zataczając się, uciekł za kulisy.

– Co z tobą? – spytał Felix Granby. Był gitarzystą prowadzącym i wokalistą, co dla fanów, przynajmniej tych najbardziej zagorzałych, znaczyło, że Johnson Cats to on. – Schlałeś się?

– Grypa żołądkowa – powiedział Hugh. – Już mi lepiej.

I naprawdę tak sądził; po wyłączeniu wzmacniaczy dzwonienie w uszach jakby przycichło. Jednak następnego ranka powróciło i od tej pory, oprócz tego piekielnego brzęczenia, nie słyszał prawie nic.

Dwaj członkowie Johnson Cats – Felix Granby i sam Hugh – w pełni zdali sobie sprawę z nadciągającej katastrofy. Za raptem trzy dni czekał ich koncert w Silverdome w Pontiac.

Pojemność dziewięćdziesiąt tysięcy widzów. Ponieważ gwiazdą wieczoru miał być ubóstwiany w Detroit Seger, przewidywano, że stadion zapełni się do ostatniego miejsca. The Johnson Cats byli na progu sławy, a w świecie rock and rolla takie szanse rzadko się powtarzają. Dlatego Felix Granby zrobił Hugh to, co Kelly Van Dorn z White Lightning zrobił mnie.

– Nie miałem do niego pretensji – powiedział Hugh. – Gdyby nasze role się odwróciły, postąpiłbym tak samo. Wynajął muzyka sesyjnego z L'Amour Studio w Detroit i to ten gość wyszedł z nimi na scenę tego wieczoru w Dome.

Granby zwolnił go osobiście; nic nie mówił, tylko pisał na kartkach, które dawał mu do czytania. Zwrócił uwagę, że podczas gdy pozostali członkowie JC wywodzą się z klasy średniej, rodzina Hugh ma forsy jak lodu. Że Hugh może polecieć pierwszą klasą z powrotem do Kolorado i pójść do najlepszych lekarzy. Ostatnia notka Granby'ego przekonywała drukowanymi literami: ANI SIĘ OBEJRZYSZ, A JUŻ BĘDZIESZ Z NAMI ZNOWU.

– Też coś – powiedział Hugh, kiedy siedzieliśmy w cieniu, zjadając kanapki z Tubby's.

– Brakuje ci tego, nie? – spytałem.

– Nie. – Długa pauza. – Tak.

Nie wrócił do Kolorado.

– Nawet gdybym się na to zdecydował, na pewno nie poleciałbym samolotem. Czuję, że powyżej sześciu tysięcy metrów rozerwałoby mi głowę. Poza tym nie ciągnęło mnie do domu. Chciałem tylko wylizać rany, które wciąż krwawiły, a Detroit to równie dobre miejsce do lizania ran jak każde inne. Przynajmniej tak sobie wmówiłem.

Objawy nie ustępowały: zawroty głowy, czasem umiarkowane, czasem ostre mdłości, i zawsze to piekielne dzwonięcie, niekiedy ciche, niekiedy tak głośne, że myślał, że łeb mu pęknie. Bywało, że dolegliwości cofały się jak morze podczas odpływu i wtedy spał po dziesięć–dwanaście godzin.

Choć mógł sobie pozwolić na coś lepszego, mieszkał w podrzędnym hotelu na Grand Avenue. Przez dwa tygodnie odwlekał wizytę u lekarza, lękając się, że usłyszy, że ma złośliwego, nieoperacyjnego raka mózgu. Kiedy w końcu się przemógł, żeby pójść do bezpłatnej przychodni na Inkster Road, hinduski medyk o wyglądzie siedemnastolatka osłuchał go, pokiwał głową, zrobił kilka badań i zalecił mu, żeby zgłosił się do szpitala na dalsze badania oraz po eksperymentalne leki przeciw mdłościom, których on sam nie może przepisać, bardzo mu przykro.

Zamiast pójść do szpitala, Hugh zaczął urządzać sobie długie i bezcelowe safari (o ile akurat nie kręciło mu się w głowie) po słynnym odcinku drogi przecinającej Detroit znanym jako Ósma Mila. Pewnego dnia minął zakurzoną witrynę zastawioną radiami, gitarami, gramofonami, magnetofonami, wzmacniaczami i telewizorami. Szydł nad nią głośił „Sklep Jacobsa z nową i używaną elektroniką”, choć według Hugh Yatesa większość sprzętu wyglądała jak zdezelowane rupiecie, a już na pewno nie było tam nic nowego.

– Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego wszedłem do środka. Może z jakiejś chorej nostalgii za tymi wszystkimi cackami. Może żeby się katować. Może po prostu pomyślałem, że sklep jest klimatyzowany i odpocznę w nim od upału... rany boskie, bardziej się nie mogłem pomylić. A może zachęcił mnie napis nad wejściem.

– Jaki? – spytałem.

Hugh uśmiechnął się do mnie.

– „Możesz zaufać wielebnemu”.

Był jedynym klientem. Regały wypełniał sprzęt dużo bardziej egzotyczny od towarów w witrynie. Niektóre urządzenia rozpoznał: liczniki, oscyloskopy, woltomierze i regulatory napięcia, regulatory amplitudy, prostowniki, falowniki. Innych nie. Po podłodze wiły się kable zasilania, wszędzie porozciągane były druty.

Właściciel wszedł przez drzwi obramowane migającymi lampkami choinkowymi („Pewnie kiedy wchodziłem, zabręczał dzwonek, ale oczywiście go nie słyszałem”, stwierdził Hugh). Piąta osoba mojego dramatu ubrana była w sprane dzinsy i prostą białą koszulę zapiętą pod szyję. Usta Jacobsa ułożyły się w „Dzień dobry” i coś jakby „Czym mogę służyć”. Hugh kiwnął mu ręką, pokręcił przecząco głową i zaczął się rozglądać po regałach. Wziął do ręki stratocastera i trącił struny, ciekaw, czy jest nastrojony.

Jacobs przyglądał mu się z zainteresowaniem, ale bez wyczuwalnego zaniepokojenia, choć z fryzury rockmana Hugh zostały tylko nieumyte strąki smętnie opadające na ramiona, a jego ubranie było równie brudne jak włosy. Po jakichś pięciu minutach mój obecny szef się znudził i już miał wrócić do podłej nory, w której wówczas zakotwiczył, kiedy nagle zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się i wyciągnął rękę w bok, przewracając rozmontowany głośnik stereo. Prawie odzyskał równowagę, ale że w tym okresie mało jadł, zrobiło mu się szaro przed oczami. Zanim gruchnął na zakurzoną drewnianą podłogę sklepu, szarość przeszła w czerni. Jakbym słyszał moją własną historię. Tylko miejsce akcji było inne.

Ocknął się w kantorku Jacobsa z zimną szmatką na czole. Przeprosił i obiecał, że zapłaci za wszystkie szkody. Jacobs odsunął się, mrugając z zaskoczenia. Hugh w poprzednich tygodniach często spotykał się z taką reakcją.

– Przepraszam, jeśli za głośno mówię – powiedział. – Nie słyszę siebie. Jestem głuchy.

Jacobs wygrzebał notes z górnej szuflady zagraconego biurka (mogłem je sobie wyobrazić, zawalone kawałkami drutu i bateriami). Napisał coś i pokazał Hugh.

„Od niedawna? Widziałem pana z gitarą”.

– Od niedawna – przytaknął Hugh. – Mam coś o nazwie choroba Ménière’a. Jestem muzykiem. – Pomyślał o tym i parsknął śmiechem... wydawało mu się, że bezgłośnie. – Przynajmniej byłem.

Jacobs przewrócił kartkę w notesie, chwilę coś pisał, po czym pokazał Hugh: „Jeśli to ménière, może będę w stanie panu pomóc”.

– I, jak widać, zrobił to – powiedziałem.

Przerwa na lunch się skończyła; dziewczyny wróciły do środka. Zajęć mi tego dnia nie brakowało – ba, miałem masę roboty – ale nie zamierzałem pójść, dopóki nie wysłucham całej historii.

– Długo siedzieliśmy w jego kantorku... rozmowa idzie powoli, kiedy jedna strona musi pisać wszystko, co ma do powiedzenia. Spytałem, jak mógłby mi pomóc. Napisał, że od niedawna eksperymentuje z przeskórną stymulacją nerwów, w skrócie TENS. Tłumaczył, że pomysł pobudzania uszkodzonych nerwów prądem elektrycznym zrodził się przed tysiącami lat, że pierwszy wpadł na to jakiś Rzymianin...

W głębi mojej pamięci otworzyły się zakurzone drzwi.

– Rzymianin Skryboniusz. Odkrył, że jak nadeptnie się chorą nogą na elektrycznego węgorza, ból czasem mija. A z tym eksperymentowaniem od niedawna to był pic na wodę, Hugh. Twój wielbny bawił się TENS, zanim to oficjalnie wynaleziono.

Patrzył na mnie z uniesionymi brwiami.

– Kontynuuj – powiedziałem.

– No dobra, ale wrócimy do tego, prawda?

Skinąłem głową.

– Gramy w otwarte karty. Taka była umowa. Jeden szczegół zdradzę ci już teraz: w mojej historii też występuje omdlenie.

– Cóż... powiedziałem mu, że choroba Ménière'a jest zagadką; lekarze nie wiedzieli, czy to coś na tle nerwowym, czy wirus powodujący przewlekłe gromadzenie się płynu w uchu środkowym, czy też jakaś sprawa bakteryjna lub genetyczna. On napisał: „Wszystkie choroby są z natury elektryczne”. Powiedziałem, że to nonsens. Tylko się uśmiechnął, przewrócił kartkę i pisał dłużej niż poprzednio. Potem podał mi notes. Nie przytoczę tego, co napisał, słowo w słowo... dużo czasu minęło... ale pierwszego zdania nie zapomnę nigdy: „Elektryczność jest podstawą wszelkiego życia”.

Tak, to cały Jacobs. Ten tekst był lepszy od odcisku palca.

– Dalej było coś w stylu: „Weźmy pańskie serce. Pracuje dzięki impulsom elektrycznym. Ten prąd dostarczany jest przez potas, elektrolit. Pański organizm przetwarza potas na jony – cząstki posiadające ładunek elektryczny – i za ich pomocą reguluje pracę nie tylko pańskiego serca, ale również mózgu i WSZYSTKIEGO INNEGO”. Te ostatnie słowa napisał dużymi literami i zakreślił. Kiedy oddałem mu notes, coś narysował, bardzo szybko, po czym wskazał palcem moje oczy, uszy, pierś, brzuch i nogi. Potem pokazał mi, co narysował. To była błyskawica.

Jasne, że tak.

– Do rzeczy, Hugh.

– Cóż...

Hugh powiedział, że będzie się musiał zastanowić. Nie dodał (ale na pewno to pomyślał), że nic o Jacobsie nie wie; facet mógł być świrem, jakich pełno w każdym wielkim mieście.

Jacobs napisał, że rozumie jego wahanie i że sam też ma spore obawy. „Dużo ryzykuję, w ogóle składając tę propozycję. W końcu znam pana nie lepiej niż pan mnie”.

– Czy to niebezpieczne? – spytał Hugh głosem, który już tracił barwę i modulację, upodabniając się do głosu robota.

Wielebny wzruszył ramionami i zaczął pisać.

„Nie będę kłamał, puszczenie elektryczności bezpośrednio przez uszy pociąga za sobą pewne ryzyko. Ale to NISKIE NAPIĘCIE, jasne? Myślę, że w najgorszym razie się pan posika”.

– To obłąd – powiedział Hugh. – Jesteśmy szaleni, że w ogóle o tym rozmawiamy.

Wielebny znów wzruszył ramionami, ale tym razem nic nie napisał. Tylko patrzył.

Hugh siedział w kantorku ze ścierką (wciąż wilgotną, ale teraz już ciepłą) ściśniętą w dłoni i na poważnie rozważał propozycję Jacobsa; bo mimo że dopiero faceta poznał, sądził, że propozycja w gruncie rzeczy jest godna poważnego rozważenia. Był ogłuchłym muzykiem wyrzuconym z zespołu, który współzakładał, dziś stojącego na progu sukcesu. Inni muzycy i co najmniej jeden wielki kompozytor – Beethoven – jakoś z głuchotą żyli, tyle że na utracie słuchu męki Hugh się nie kończyły. Były jeszcze zawroty głowy, drżenie, okresowa utrata wzroku. Do tego dochodziły mdłości, wymioty, biegunka, galopujące tętno. Najgorsze było prawie nieustające dzwonięcie w uszach. Do tej pory myślał, że głuchota oznacza ciszę. Przekonał się, że to nieprawda, przynajmniej w jego przypadku. Miał w głowie stale wyjący alarm przeciwwłamaniowy.

Był jeszcze jeden czynnik. Prawda do tej pory nieuznawana, ale od czasu do czasu

niewyraźnie, jakby kątem oka, dostrzegana. Hugh został w Detroit, bo zbierał odwagę. Na Ósmej Mili było dużo lombardów i wszystkie sprzedawały broń. Czy to, co oferował mu ten facet, było gorsze od lufy kupionej z trzeciej ręki trzydziestkiósemki wsadzonej między zęby i wymierzonej w podniebienie?

Swoim zbyt donośnym głosem robota powiedział:

– A czort tam. Zgoda.

Opowiadając dalej, Hugh patrzył na góry i prawą dłonią głaskał swoje prawe ucho. Zdaje się, że nieświadomie.

– Wywiesił w witrynie tabliczkę NIECZYNNE, zaryglował drzwi, opuścił żaluzje. Potem posadził mnie na krześle kuchennym obok kasy i postawił na blacie stalową skrzynię wielkości wojskowej szafki na rzeczy osobiste. Leżały w niej dwa metalowe pierścienie zawinięte w coś, co wyglądało jak złota siatka. Były mniej więcej wielkości tych dużych, dyndających kolczyków, które Georgia zakłada, jak chce być elegancka. Wiesz, o które chodzi?

– Jasne.

– U dołu każdego było takie gumowe ustrojstwo, z którego wychodził kabel. Kable biegly do urządzenia sterującego nie większego od dzwonka u drzwi. Otworzył jego denko i pokazał mi coś, co wyglądało jak bateria AAA. Odetchnąłem. To mi wielkiej krzywdy nie robi, pomyślałem, ale poczułem się trochę mniej pewnie, kiedy włożył gumowe rękawice... wiesz, takie, w jakich kobiety zmywają naczynia, i chwycił pierścienie szczypcami.

– Myślę, że baterie AAA Charliego są inne niż te, które się kupuje w sklepie – stwierdziłem. – Dużo potężniejsze. Nie mówił ci o tajemnej elektryczności?

– I to ile razy! Miał hopla na tym punkcie. Ale to było później i nigdy nic z tego nie rozumiałem. Zdaje się, że on też nie. Jego oczy nabierały wtedy takiego spojrzenia...

– Jakby był zdumiony – powiedziałem. – Zdumiony, zaniepokojony i podekscytowany, wszystko naraz.

– Tak, coś w tym stylu. Przystawił mi pierścienie do uszu... szczypcami, wiesz... po czym poprosił, żebym wcisnął guzik na urządzeniu sterującym, bo sam miał zajęte ręce. Prawie stchórzyłem, ale przed oczami stanęły mi pistolety w witrynach lombardów i zrobiłem to.

– I urwał ci się film. – To nie miało być pytanie; ja wiedziałem, że tak się stało. On jednak mnie zaskoczył.

– Jasne, zdarzały się zaniki pamięci i coś, co nazwałem pryzmatykami, ale dopiero później. W tamtej chwili był tylko potężny trzask w mojej głowie. Nogi wyskoczyły mi do przodu, a ręce w górę jak u ucznia, który wyrywa się do odpowiedzi.

To przywołało wspomnienia. Nieprzyjemne.

– Poza tym miałem dziwny smak w ustach. Jakbym ssał jednocentówki. Spytałem Jacobsa, czy mogę się napić wody, usłyszałem swoje pytanie i zalałem się łzami. Długo płakałem. On trzymał mnie w ramionach. – Hugh w końcu odwrócił się od gór i spojrzał na mnie.

– Od tego czasu zrobiłbym dla niego wszystko, Jamie. Wszystko.

– Znam to uczucie.

– Kiedy ochłonąłem, zaprowadził mnie z powrotem do sklepu i założył mi słuchawki Koss. Podłączył je do radia, po czym stopniowo ściszał muzykę i pytał, czy ją słyszę. Słyszałem wszystko dotąd, aż zjechał do zera, ba, przysiągłbym, że nawet potem. Nie tylko przywrócił mi słuch, ale i sprawił, że był tak ostry jak wtedy, kiedy jako czternastolatek grałem w mojej pierwszej kapeli.

Hugh spytał, jak się może Jacobsowi odwdziaczyć. Wielebny, wówczas zaledwie niechlujny facet, któremu przydałaby się wizyta u fryzjera i kąpiel, myślał przez dłuższą chwilę.

– Wie pan co? – powiedział wreszcie. – Interes tu i tak kiepsko się kręci, a wśród tych nielicznych klientów, którzy przychodzą, trafiają się różne podejrzanе typy. Zamierzam przewieźć cały sprzęt do magazynu w północnej części miasta i zastanowić się, co dalej. Mógłby mi pan pomóc.

– Mogę zrobić coś więcej – powiedział Hugh, wciąż rozkoszując się dźwiękiem własnego głosu. – Sam wynajmę powierzchnię magazynową i opłacę ekipę, która wszystko przewiezie. Nie wyglądam, jakby było mnie na to stać, ale stać mnie. Naprawdę.

Jacobs jakby się przeraził tą propozycją.

– Wykluczone! Towar, który mam na sprzedaż, to głównie złom, za to mój sprzęt – większość aparatury na zapleczu, w moim laboratorium – jest cenny, precyzyjny i łatwo go uszkodzić. Pańska pomoc będzie aż nadto wystarczającym wynagrodzeniem. Choć najpierw musi pan trochę odpocząć. I podjąć. Przytyć parę kilo. Ma pan za sobą trudny okres. Może chciałby pan zostać moim asystentem, panie Yates?

– Jak pan sobie życzy – zgodził się Hugh. – Panie Jacobs, ciągle nie mogę uwierzyć, że słyszę wszystko, co pan mówi.

– Za tydzień będzie to dla pana coś oczywistego – odparł lekceważąco. – Tak to bywa z cudami. Nie ma co na to pomstować; taka już jest ludzka natura. Ale skoro wspólnie doświadczyliśmy cudu w tym zapomnianym zakamarku Motor City, nie mogę się zgodzić, żeby zwracał się pan do mnie per „panie Jacobs”. Proszę mi mówić „wielebny”.

– Jak do pastora?

– Otóż to – powiedział Jacobs z szerokim uśmiechem. – Wielebny Charles D. Jacobs, obecny naczelny prałat Pierwszego Kościoła Elektryczności. I obiecuję, że nie będę pana zmuszał do zbyt ciężkiej pracy. Nie ma pośpiechu; czasu nam nie zabraknie.

– I o to chodziło – powiedziałem.

– Co masz na myśli?

– Nie chciałem, żebyś mu zafundował ekipę przeprowadzkową, nie chciałem twoich pieniędzy. Chciałem twojego czasu. Myślę, że cię obserwował. Wypatrywał skutków ubocznych. Jak ty to odebrałeś?

– Wtedy? Nijak. Byłem w siódmym niebie. Gdyby wielebny poprosił, żebym obrabował bank, kto wie, czybym nie spróbował. Jednak patrząc wstecz, możliwe, że masz rację. Praca w sumie nie była ciężka, bo kiedy przyszło co do czego, okazało się, że tak naprawdę niewiele miał rzeczy do sprzedania. Więcej sprzętu trzymał na zapleczu, ale gdyby załatwić wystarczająco dużą przyczepę, moglibyśmy zabrać cały majdan z Ósmej Mili w dwa dni. On jednak przeciągnął to do ponad tygodnia. – Zamyślił się. – Tak, rzeczywiście. Obserwował mnie.

– Badał. Wypatrywał skutków ubocznych. – Zerknąłem na zegarek. Za kwadrans musiałem być w studiu i jeśli nie chciałem się spóźnić, nie mogłem dłużej siedzieć na placu piknikowym. – Chodź ze mną do Jedyńki. Powiedz, jak te skutki uboczne wyglądały.

Ruszyliśmy i Hugh opowiedział mi o zanikach pamięci, których doświadczał po przywracającej słuch elektrycznej terapii Jacobsa. W pierwszych dniach były krótkie, ale częste, i w ich trakcie nie miał poczucia utraty świadomości. Po prostu nagle znajdował się w innym miejscu i stwierdzał, że uciekło mu pięć minut. Albo dziesięć. Dwa razy zdarzyło się to, kiedy ładowali z Jacobsem sprzęt i towary używane ze sklepu na tył starego furgonu dostawczego,

który wielebny od kogoś pożyczył (może od innego cudownie uzdrowionego, choć jeśli tak było, Hugh nigdy się o tym nie dowiedział – Jacobs unikał mówienia o tych sprawach).

– Spytałem go, co się w tych sytuacjach działo, powiedział, że nic, po prostu dalej nosiliśmy rzeczy i normalnie rozmawialiśmy.

– Wierzyłeś mu?

– Wtedy tak. Teraz nie wiem. Pewnego wieczoru – to musiało być pięć–sześć dni po zabiegu – siedziałem na jedynym krześle w swoim obskurnym pokoju hotelowym, czytając książkę, i nagle się zorientowałem, że stoję w kącie, twarzą do ściany.

– Coś wtedy mówiłeś? – spytałem, myśląc: Coś się stało. Coś, coś, coś.

– Nie – powiedział. – Ale...

– Ale co?

Pokręcił głową.

– W czasie kiedy miałem urwany film, zdjąłem spodnie i włożyłem tenisówki. Stałem w kącie w bokserkach i reebokach. Obłąd, co?

– *Muy loco* – przytaknąłem. – Jak długo miałeś te zaniki pamięci?

– W drugim tygodniu było ich tylko parę. W trzecim żadnego. Ale było coś innego, co trwało dłużej. Coś z moimi oczami. Te... epizody. Pryzmatyki. Nie wiem, jak je inaczej nazwać. Przytrafiły mi się może dziesięć razy w ciągu następnych pięciu lat. I od tamtej pory nic.

Doszliśmy do studia. Czekał na nas Mookie. W czapce Broncos odwróconej daszkiem do tyłu wyglądał jak najstarszy skejt na świecie.

– Zespół jest w środku. Ćwiczą. – Zniżył głos. – Są, kurna, do niczego, mówię wam.

– Powiedz im, że zaczniemy z lekkim poślizgiem – zarządziłem. – Potem przedłużymy sesję, żeby nie byli stratni.

Mookie przeniósł wzrok z Hugh na mnie i z powrotem – mierzył temperaturę emocjonalną.

– Hej, nikt nie wyleci z pracy, co?

– Nie, chyba że znowu zostawisz włączoną konsolę – powiedział Hugh. – A teraz idź do środka, dorośli muszą porozmawiać.

Mookie zasalutował i zniknął za drzwiami.

Hugh odwrócił się do mnie.

– Pryzmatyki były dużo dziwniejsze od zaników pamięci. Nie bardzo umiem je opisać. Jak to się mówi, trzeba było przy tym być.

– Spróbuj.

– Zawsze wiedziałem, kiedy się zaczną. Zajmowałem się swoimi sprawami, no wiesz, wszystko było normalnie i nagle jakby wyostrzał mi się wzrok.

– Tak jak twój słuch po zabiegu?

Potrząsnął głową.

– Nie, tamto było rzeczywiste. Do dziś słyszę lepiej niż przed ogłuchnięciem i wiem, że badanie słuchu by to potwierdziło, choć nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby je zrobić. Nie, ze wzrokiem było tak... wiesz, tak jak epileptycy poznają, że dostaną napadu, bo czują mrowienie nadgarstków albo jakiś urojony zapach.

– Zwiastuny.

– Właśnie. U mnie takim zwiastunem było wrażenie, że wyostrza mi się wzrok. A potem pojawiały się... kolory.

– Kolory.

– Wokół wszystkiego, co miałem przed oczami, rozlewały się odcienie czerwieni, błękitu i zieleni. Kolory przechodziły jeden w drugi. Zupełnie jakbym patrzył przez pryzmat, ale taki,

który jednocześnie powiększa i rozbija oglądane rzeczy na kawałki. – Poklepał się po czole w łagodnym geście frustracji. – Lepiej tego nie opiszę. Trwało to trzydzieści–czterdzieści sekund i w tym czasie miałem wrażenie, jakbym przenikał wzrokiem świat na wylot i widział skryty za nim inny świat. Świat prawdziwszy.

Spojrzał na mnie z powagą.

– To właśnie te pryzmatyki. Do dziś nikomu o nich nie mówiłem. Przerazały mnie na śmierć.

– Wielebnemu też nie powiedziałaś?

– Powiedziałbym, ale już go nie było, kiedy to się stało pierwszy raz. Wyjechał bez wylewnego pożegnania, zostawił tylko kartkę z wiadomością, że trafiła mu się okazja biznesowa w Joplin. To było jakieś pół roku po cudownym uleczeniu i byłem wtedy tutaj, w Nederland. Te pryzmatyki... były piękne. Nie potrafię tego opisać, ale mam nadzieję, że więcej nie wrócą. Bo jeśli ten inny świat jest tam naprawdę, nie chcę go widzieć. A jeśli istnieje tylko w mojej głowie, wolę, żeby tam został.

Wyszedł Mookie.

– Rwą się do grania, Jamie. Zacznę nagrywać, jak chcesz. Na pewno nic nie spieprzę, bo w porównaniu z nimi The Dead Milkmen brzmią jak The Beatles.

Może i tak, ale zapłacili za sesję gotówką.

– Nie, już idę. Powiedz im, że jeszcze dwie minuty.

Zniknął.

– A zatem – powiedział Hugh – jak sam mówiłeś, coś za coś. Teraz twoja kolej.

– Koło dziewiątej będę miał wolną godzinę. Wtedy przyjdę do ciebie i wszystko opowiem. Dużo czasu to nie zajmie. Moja historia właściwie nie różni się od twojej: zabieg, uleczenie, skutki uboczne, które z czasem słabły, aż w końcu zanikły zupełnie. – Nie całkiem prawda, ale spieszyłem się na sesję nagraniową.

– Żadnych pryzmatyk?

– Nie. Inne atrakcje. Na przykład tourette bez przeklinania. – Postanowiłem, że sny o nieżyjących członkach rodziny zachowam dla siebie. Na razie. Może na zawsze. To były moje wizje innego świata, o którym mówił Hugh.

– Musimy pojechać go zobaczyć. – Hugh ścisnął moje ramię. – Koniecznie.

– Chyba masz rację.

– Ale żadnej uroczystej kolacji z okazji spotkania po latach, dobrze? Nie chcę nawet z nim rozmawiać, tylko go obserwować.

– W porządku. – Spojrzałem w dół, na jego dłoń. – A teraz puść mnie, zanim zrobisz mi siniaka. Muszę nagrać parę kawałków.

Puścił. Wszedłem do studia, gdzie powitały mnie dźwięki lokalnej kapeli punkowej grającej muzykę spod znaku skórzanej kurtki i agrafki, coś, co Ramonesom wychodziło dużo lepiej w latach siedemdziesiątych. Kiedy zerknąłem przez ramię, Hugh wciąż stał tam, gdzie go zostawiłem, i patrzył na góry.

Świat poza światem, pomyślałem, po czym wyrzuciłem to z głowy – przynajmniej spróbowałem – i wziąłem się do pracy.

Minął jeszcze rok, zanim uległem i sprawiłem sobie laptopa, ale w Studiach Jeden i Dwa już wtedy były porządne, mocne komputery – w 2008 roku prawie wszystko nagrywaliśmy przy użyciu programów na maca – więc kiedy o piątej miałem krótką przerwę, sprawdziłem C. Danny'ego Jacobsa na Google i znalazłem tysiące linków. Najwyraźniej wiele mi umknęło

od czasu, gdy przed dziesięcioma laty „C. Danny” wypłynął na szersze wody, ale nie miałem do siebie o to pretensji. Telewizję oglądam rzadko, w kulturze popularnej zawsze interesowała mnie tylko muzyka, a do kościoła nie chodziłem od lat. Nic dziwnego, że nie słyszałem o kaznodziei, który, według jego notki biograficznej w Wikipedii, był „Oralem Robertsem dwudziestego pierwszego wieku”.

Nie miał megakościoła, ale jego cotygodniowy program *Danny Jacobs leczy mocą Słowa Bożego* nadawany był w całym kraju na kanałach kablówki o wysokich numerach, gdzie koszt emisji jest niski, za to stopa zwrotu w postaci darów serca zapewne spora. Programy rejestrowane były na jego spotkaniach przebudzeniowych, organizowanych w prawie wszystkich stanach (z pominięciem Wschodniego Wybrzeża, gdzie ludzie zapewne są nieco mniej łatwowierni). Na kolejnych zdjęciach widziałem, jak Jacobsowi przybywa lat i siwych włosów, ale jego spojrzenie nigdy się nie zmieniło – pozostawało fanatyczne i jakby urażone.

Jakiś tydzień przed tym, jak pojechaliśmy z Hugh zobaczyć Jacobsa w jego naturalnym środowisku, zadzwoniłem do Georgii Donlin i poprosiłem o numer telefonu jej córki – tej, która studiowała informatykę na Uniwersytecie Stanu Kolorado. Miała na imię Brianna.

Odbyliśmy z Bree niezwykle ciekawą rozmowę.

VIII

Spotkanie przebudzeniowe

Z Nderland na plac jarmarku hrabstwa Norris było sto kilometrów, co dawało mnie i Hugh dużo czasu na rozmowę, ale w drodze praktycznie się do siebie nie odzywaliśmy; tylko siedzieliśmy i oglądaliśmy widoki. Nie licząc wiecznie wiszącej nad Arvada smugi smogu, był piękny dzień późnego lata.

Dopiero na wschód od Denver Hugh wyłączył radio ustawione na nadającą stare hity rozgłośnię KXKL i powiedział:

– Czy twój brat Conrad miał jakieś trwałe skutki uboczne po tym, jak wielebny wyleczył go z zapalenia krtani czy co to było?

– Nie, ale to nic zaskakującego. Jacobs powiedział, że tamten zabieg to był pic, placebo, i zawsze sądziłem, że mówił prawdę. Pamiętaj, że wtedy dopiero stawiał pierwsze kroki, za wielkie przedsięwzięcie uważał polepszenie odbioru telewizji. Umysł Cona po prostu potrzebował zezwolenia na to, żeby wydobrzeć.

– Wiara ma wielką moc – przytaknął Hugh. – Popatrz na te wszystkie zespoły i solistów, którzy pchają się do nas nagrywać płyty, mimo że już prawie nikt ich nie kupuje. Znalazłeś jakieś informacje o C. Danny Jacobsie?

– I to dużo. Pomaga mi córka Georgii.

– Ja też trochę powęszyłem i idę o zakład, że wiele jego uzdrowień dokonuje się tak jak uzdrowienie twojego brata. Ludzie z chorobami psychosomatycznymi uznają się za wyleczonych, kiedy pastor Danny dotyka ich swoimi magicznymi boskimi obrączkami.

Może i tak było, lecz obserwując Jacobsa w Tulsa, nabrałem pewności, że wielebny poznał podstawową tajemnicę przyciągania publiki: nie wystarczy pomachać ćwokom stekiem przed oczami, muszą też poczuć jego smak. Jasne, kobiety oświadczające, że przeszła im migrena, i mężczyźni krzykiem obwieszczający swoje wyleczenie z ischiasu robią wrażenie, ale takie obrazki są mimo wszystko trochę za mało efektowne. Nie są to Portrety Błyskawicą, można rzec.

Było co najmniej dwadzieścia kilka stron internetowych poświęconych demaskowaniu jego działalności, w tym jedna zatytułowana C. DANNY JACOBS: FAŁSZYWY CUDOTWÓRCA. Setki ludzi zamieszczały na nich komentarze, że „rakowate guzy” usuwane przez pastora Danny’ego to nic innego jak wątroby świń albo kozie flaki. Na jego nabożeństwach nie wolno było robić zdjęć, a tym, których na tym przyłapywano, „personel” konfiskował aparaty fotograficzne, lecz sporo fotografii wyciekło. Wiele z nich, o dziwo, zdawało się uwiarygodniać oficjalne wideo udostępnione na stronie C. Danny’ego. Na innych jednak połyskująca masa w rękach pastora rzeczywiście przypominała kozie flaki. Domyślałem się, że te nowotwory istotnie są fałszywe – ten punkt programu za bardzo trącił klasycznym jarmarcznym numerem, by mogło być inaczej. Nie znaczyło to jednak, że wszystko, co robił Jacobs, było tylko na pokaz. Tu, w wielkim lincolnie continentalu, siedziało dwóch ludzi, którzy mogli o tym zaświadczyć.

– Lunatykowałeś i miałeś niekontrolowane skurcze – powiedział Hugh. – Według Web MD nazywają się mioklonie. W twoim przypadku przejściowe. I potrzebę klucza się przedmiotami, jakbyś w głębi ducha nadal chciał dać w żyłę.

– Wszystko to prawda.

– Ja miałem zaniki pamięci, w czasie których normalnie mówiłem i chodziłem... jak

urwanie filmu po gorzale, tyle że bez gorzały.

– I pryzmatyki – uzupełniłem.

– Uhm. No i jest jeszcze ta dziewczyna z Tulsa, o której mi opowiedziałeś. Ta, co ukradła kolczyki. Najzuchwalszy napad rabunkowy na świecie.

– Myślała, że należą do niej, bo były na zdjęciu, które jej zrobił. Założę się, że krążyła też po butikach w Tulsa, szukając sukni.

– Pamiętała rozbicie gabloty?

Potrząsnąłem głową. Cathy Morse stanęła przed sądem długo po moim wyjeździe z Tulsa, ale Brianna Donlin wyszukała w sieci krótką relację z rozprawy. Morse zeznała, że nic nie pamięta, i sędzia jej uwierzył. Skierował ją na badania psychologiczne i oddał pod opiekę rodziców. Nic więcej Bree o tej dziewczynie nie znalazła.

Hugh przez pewien czas milczał. Ja też. Patrzyliśmy na drogę przed nami. Teraz, kiedy wyjechaliśmy z gór, biegła prosto jak strzała po horyzont.

– Po co to wszystko, Jamie? – spytał wreszcie Hugh. – Dla pieniędzy? Tuła się kilka lat po jarmarkach, aż w końcu pewnego dnia stwierdza: „E tam, to marne grosze, więc zostanę kaznodzieją uzdrowicielem i zbiję prawdziwą kasę”?

– Być może, tyle że ja nigdy nie miałem wrażenia, że Charliemu Jacobsowi zależy na dużej forsie. Wiary też już nie chce krzycić, no chyba że wykonał zwrot o trzysta sześćdziesiąt stopni od czasu, kiedy z hukiem zakończył posługę w moich rodzinnych stronach; w każdym razie w Tulsa nie widziałem u niego śladu pobożności. Najważniejsi byli dla niego żona i synek... ten album ze zdjęciami, który znalazłem w jego kamperze, prawie się rozpadał od częstego przeglądania... i jego eksperymenty, którymi na pewno pasjonuje się do dziś. Kiedy chodzi o tę jego tajemną elektryczność, jest jak Ropuch ze swoim samochodem.

– Nie rozumiem.

– Ma obsesję. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że potrzebuje pieniędzy na dalsze prowadzenie swoich doświadczeń. Więcej niż mógłby zarobić, pokazując sztuczki na jarmarku.

– Czyli na uzdrawianiu nie poprzestanie? Nie to jest jego celem?

Nie mogłem wiedzieć tego na pewno, ale rzeczywiście nie sądziłem, by uzdrawianie stanowiło jego cel ostateczny. Spotkania przebudzeniowe niewątpliwie były cynicznym figłem spletanym religii, od której się odwrócił, a przy okazji sposobem na to, żeby szybko i dobrze zarobić na darach serca, mnie jednak Jacobs nie uleczył dla pieniędzy; to był akt starej dobrej chrześcijańskiej pomocy bliźniemu dokonany przez człowieka, który odrzucił etykietkę kapłana Chrystusa, ale nie dwie podstawowe zasady Chrystusowego kapłaństwa: miłosierdzie i łaskę.

– Nie wiem, do czego dąży – przyznałem.

– A myślisz, że on wie?

– Szczerze? Tak.

– Ta tajemna elektryczność. Ciekawe, czy w ogóle wie, co to jest.

Ciekaw byłem, czy w ogóle o to dbał. Ta myśl mnie przerażała.

Jarmark hrabstwa Norris odbywał się w drugiej połowie września; parę lat wcześniej byłem tam z przyjaciółką i trzeba przyznać, że robił wrażenie. Teraz, w czerwcu, plac, na którym go organizowano, był pusty, nie licząc jednego wielkiego płóciennego namiotu. Stał on – jakże stosownie – w miejscu zwykle zajmowanym przez najbardziej przaśne atrakcje: ustawione gry i pokazy golizny. Rozległe parkingi wypełnione były samochodami i pikapami, przeważnie starymi gruchotami z naklejonymi na zderzak hasłami typu JEZUS UMARŁ DLA MNIE, JA

ŻYJĘ DLA NIEGO. Namiot wieńczył, zapewne przyśrubowany do masztu, wielki elektryczny krzyż, po którym, jak na słupku przed zakładem fryzjerskim, wędrowały czerwone, białe i niebieskie paski. Ze środka dobiegały dźwięki zelektryzowanej muzyki gospel i rytmiczne klaskanie publiczności. Przybywali kolejni ludzie. Większość już siwiała, ale było i sporo młodych.

– Jak słycać, dobrze się bawia – powiedział Hugh.

– Uhm. Wędrowny Cyrk Zbawienia Brata Miłość.

Przed wejściem do namiotu, na chłodnym wietrze wiejącym od równin, było przyjemne osiemnaście stopni, ale w środku musiało być dużo cieplej. Widziałem farmerów w ogrodniczkach i ich podstarzałe żony o rumianych, radosnych twarzach. Widziałem mężczyzn w garniturach i kobiety w eleganckich sukienkach, jakby przyjechali prosto ze swoich biur w Denver. Była też grupa meksykańskich robotników z okolicznych rancz, wszyscy w dzinsach i koszulach roboczych o podwiniętych rękawach, spod których tu i ówdzie wystawały prawdopodobnie więzienne tatuaże. Dostrzegłem nawet kilka wytatuowanych łezek. Pierwsze rzędy zajmowała brygada na wózkach inwalidzkich. Akompaniujący sekstet wymiatał, aż miło, kołysząc się w rytm muzyki. Prym na scenie wiodło sześć zażywnych lasek w obszernych bordowych szatach chóralnych, Devina Robinson and the Gospel Robins. Przesępowały energicznie z nogi na nogę, błyskały białymi zębami w brązowych twarzach i klaskały w dłonie nad głowami.

Devina z bezprzewodowym mikrofonem w ręku wyszła tanecznym krokiem na przód sceny, wyciągnęła nutę jak Aretha w swoich najlepszych latach i zaczęła śpiewać.

*Jezusa w sercu mam,
O tak, o tak, o tak,
Niebo na mnie czeka, na ciebie też!
Mogę tam iść
Choćby i dziś
Bo Pan z grzechu oczyścił mnie,
Jezusa w sercu mam, o tak, Jezusa w sercu mam!*

Zachęciła wiernych, żeby śpiewali razem z nią, i zawtórowali jej z werwą. Hugh i ja ulokowaliśmy się z tyłu, bo w namiocie, w którym pewnie mieściło się ponad tysiąc ludzi, zostały już tylko miejsca stojące. Hugh nachylił się ku mnie i krzyknął mi nad uchem:

– Kurczę, ma dziewczyna głos! Posłuchaj tylko!

Skinąłem głową i zacząłem klaskać w rytm muzyki. Było pięć zwrotek, każda z wieloma „o tak”, i kiedy Devina kończyła śpiewać, pot ściekał jej po twarzy, a ogólny entuzjazm udzielił się nawet ludziom na wózkach. W punkcie kulminacyjnym raz jeszcze wyciągnęła nutę jak Aretha, trzymając mikrofon wysoko w górze. Organista i gitarzysta prowadzący wydłużali ten ostatni akord, ile się dało.

Kiedy instrumenty w końcu umilkły, Devina krzyknęła:

– A teraz, moi piękni, zawołajcie „alleluja”!

Zrobili to.

– Jeszcze raz, tak jakbyście znali Bożą miłość!

Zawołali jeszcze raz, tak jakby znali Bożą miłość.

Zadowolona spytała, czy gotowi są posłuchać Ala Stamera. Dali znać, że są aż nadto

gotowi.

Zespół zagrał coś wolnego i zmysłowego. Publiczność zasiadła w rzędach składanych krzeseł. Na scenę dziarsko wyszedł łysy czarny mężczyzna, rozkosznie zwinny jak na swoje sto kilkadziesiąt kilo żywej wagi.

Hugh nachylił się ku mnie. Teraz już mógł mówić ciszej.

– W latach siedemdziesiątych śpiewał w The Vo-Lites. Był wtedy chudy jak szczapa i miał afro, w którym można by schować stolik do kawy. Myślałem, że już kopnął w kalendarz. Tyle koki wciągał, że w sumie powinien.

Stamper natychmiast to potwierdził.

– Byłem wielkim grzesznikiem – wyznał publiczności. – Dziś, chwała Bogu, jestem tylko wielkim żarłokiem.

Zaśmiali się. On zaśmiał się z nimi, po czym spoważniał.

– Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa ocaliła moją duszę, a ciało z nałogów uleczył pastor Danny Jacobs. Niektórzy z was mogą pamiętać świeckie piosenki, które wykonywałem z The Vo-Lites, a bardzo nieliczni te, które śpiewałem solo. Dziś w repertuarze mam inne utwory, wszystkie te z niebios zesłane pieśni, które niegdyś odrzuciłem...

– Chwała Panu! – krzyknął ktoś z publiczności.

– Otóż to, bracie, wysławiaj Jego imię, jako i ja zaraz uczynię.

Zaintonował *Let the Lower Lights Be Burning*, hymn, który dobrze pamiętałem z dzieciństwa, głosem tak szlachetnym, że ścisnęło mnie w gardle. Pod koniec pieśni większość wiernych śpiewała już razem z nim, z błyszczącymi oczami i mokrymi policzkami.

Wykonał jeszcze dwie pieśni (melodia i rytm drugiej podejrzenie przypominały *Let's Stay Together* Ala Greena), po czym ponownie wywołał na scenę The Gospel Robins. One śpiewały; on śpiewał z nimi; wykrzykiwali radośnie na cześć Pana, wprawiając wiernych w euforię, otwierając ich serca na przyjęcie Jezusa. Podczas gdy tłum stał i bił brawa dłońmi czerwonymi od oklasków, w namiocie zgasły światła z wyjątkiem jednego jasnego reflektora punktowego skierowanego na lewą stronę sceny, gdzie ukazał się C. Danny Jacobs. To był mój Charlie we własnej osobie i wielebny, którego poznał Hugh, ale jakże się zmienił od czasu, kiedy ostatnio go widziałem!

Jego obszerny czarny płaszcz – podobny do tego, w jakim występował Johnny Cash – częściowo ukrywał to, jak bardzo schudł, ale wymizerowana twarz zdradzała prawdę. Dostrzegłem w nim też inne prawdy. Myślę, że większość ludzi, którzy ponoszą w życiu dotkliwą stratę – przeżywają wielką tragedię – staje na rozstaju dróg. Może nie od razu, ale wtedy, kiedy mija szok. Może to nastąpić po kilku miesiącach; może po kilku latach. Albo się rozwijają pod wpływem tego, co ich spotkało, albo się kurczą. Jeśli to brzmi newage'owo – bo pewnie tak brzmi – ani myślę za to przepraszać. Wiem, o czym mówię.

Charles Jacobs się skurczył. Jego usta były bladą kreską, niebieskie oczy płonęły, ale otoczone sieciami zmarszczek wydawały się mniejsze niż dawniej. Jakby czymś osłonięte. Wesoły młody mężczyzna, który pomógł mi zrobić jaskinie w Górze Czaszki, kiedy miałem sześć lat, człowiek, który z taką życzliwością mnie słuchał, gdy opowiadałem, jak Con stracił głos... człowiek ten teraz wyglądał jak dawny nauczyciel z Nowej Anglii szykujący się do tego, by złać różgą krnąbrnego ucznia. Albo cały namiot krnąbrnych uczniów.

Wtedy jednak uśmiechnął się, budząc we mnie cień nadziei, że młody pastor, który kiedyś się ze mną zaprzyjaźnił, wciąż siedzi gdzieś w tym jarmarcznym kaznodziei. Ten uśmiech rozświetlił całą jego twarz. Publiczność biła brawo. Po trosze z ulgi, jak sądzę. Jacobs uniósł dłonie, po czym opuścił je, skierowane w dół.

– Spocznijcie, bracia i siostry. Spocznijcie, chłopcy i dziewczęta. Niech nas połączy więź

braterstwa.

Usiedli z głośnym szelestem. W namiocie zapadła cisza. Wszystkie oczy zwrócone były na Jacobsa.

– Niosę wam dobrą nowinę, którą wszyscy już słyszeliście: Bóg was miłuje. Tak, każdego z was, bez wyjątku. Tych, którzy wiodą żywot sprawiedliwy, i tych, którzy nurzają się w grzechu. Pan tak was umiłował, że posłał na świat Syna swego jednorodzonego... Jan 3,16. W wigilię swego ukrzyżowania Syn Boży modlił się o to, abyście zostali ustrzeżeni od złego... Jan 17,15. Kiedy Bóg karci, kiedy obarcza nas ciężarami i nieszczęściami, czyni to z miłości... Dzieje Apostolskie 17,11. I czyż nie może, powodowany tą samą miłością, zdjąć z nas tychże ciężarów i nieszczęść?

– Tak, chwała Panu! – padł euforyczny okrzyk z rzędu wózków.

– Oto stoję przed wami ja, wędrowiec po amerykańskiej ziemi i naczynie Bożej miłości. Czy przyjmiecie mnie do swoich serc, jak ja was przyjmuję?

Odpowiedzieli gromkim „tak”. Pot ściekał po mojej twarzy, twarzy Hugh i twarzach ludzi obok nas, ale twarz Jacobsa była sucha i lśniąca, mimo że w blasku reflektora punktowego musiało być mu jeszcze goręcej niż nam. Zwłaszcza w czarnym płaszczu.

– Kiedyś miałem żonę i synka – powiedział. – Zdarzył się straszny wypadek i oboje utonęli.

Zupełnie jakby ktoś chlusnął mi zimną wodą w twarz. To było kłamstwo wypowiedziane w sytuacji, kiedy nie było powodu kłamać.

Przez publiczność przeszedł pomruk – prawie jęk. Wiele kobiet płakało, kilku mężczyzn też.

– Odwróciłem wtedy twarz od Boga i przekląłem Go w mym sercu. Tułałem się po dziczy. Och, byłem w Nowym Jorku, w Chicago, Tulsa, Joplin, Dallas i Tijuanie; byłem w Portland w stanie Maine i Portland w stanie Oregon. Wszędzie ta sama dzicz. Odszedłem od Boga, ale nie od pamięci o mojej żonie i synku. Odłożyłem na bok naukę Chrystusa, ale tego nie odłożyłem na bok nigdy.

Uniósł lewą dłoń, pokazując złotą obrączkę, która wydawała się zbyt gruba i szeroka, by być zwyczajną obrączką ślubną.

– Kusiły mnie kobiety... oczywiście, że tak, jestem mężczyzną, a żona Putyfara zawsze jest wśród nas... lecz pozostałem wierny.

– Chwała Panu! – krzyknęła jakaś kobieta. Pewnie sądziła, że rozpoznałaby żonę Putyfara, nawet gdyby ta wszetecznicą przebrała się w strój matrony.

– Aż wreszcie pewnego dnia, kiedy oparłem się pokusie, która była szczególnie silna, szczególnie pociągająca, Bóg objawił mi się jak Szawłowi w drodze do Damaszku.

– Oto słowo Boże! – krzyknął jakiś mężczyzna, wznosząc dłonie ku niebu (a raczej ku szczytowi namiotu).

– Pan powiedział mi, że mam do wykonania pracę i że praca moja polegać będzie na zdejmowaniu ciężarów i nieszczęść z bliźnich. Ukazał mi się we śnie i kazał założyć drugą obrączkę, symbolizującą moje zaślubiny z nauczaniem Bożym poprzez Jego Słowo i nauki Jego Syna, Jezusa Chrystusa. Byłem wtedy w Phoenix, pracowałem w bezbożnym lunaparku. Bóg kazał mi pójść na pustynię bez jedzenia ani wody, wzorem wszystkich starotestamentowych pielgrzymów na tym świecie. Powiedział, że tam, na odludziu, znajdę obrączkę, która będzie znakiem mojego drugiego i ostatniego małżeństwa. Obiecał, że jeśli pozostanę wierny temu małżeństwu, uczynię wiele dobra i dołączę do żony i synka w raju, gdzie nasz prawdziwy związek zostanie na nowo uświęcony u stóp Jego świętego tronu, w Jego świętym blasku.

Znów rozległy się ochy i achy. Kobieta w schludnym kostiumie, cielistych pończochach

i eleganckich butach na niskim obcasie runęła na przejście między siedzeniami i zaczęła przemawiać w języku, który zdawał się składać z samych samogłosek. Mężczyzna, z którym przysłała – mąż albo chłopak – ukląkł obok i czule podtrzymał jej głowę.

– Przecież on sam w to nie wierzy – powiedziałem. Byłem zdumiony. – To wszystko kłamstwa, od początku do końca. Jak można tego nie widzieć?

A jednak ludzie tego nie widzieli, Hugh zaś mnie nie słyszał. Patrzył prosto przed siebie jak zahipnotyzowany. Namiot rozbrzmiewał radosnym gwarem, chóralnymi hosannami, ponad które dzięki cudowi elektryczności (i mikrofonowi bezprzewodowemu) wybijał się głos Jacobsa.

– Szedłem dzień cały. W koszu na śmieci przy przydrożnym parkingu znalazłem resztki jedzenia, które ktoś tam wyrzucił, i się pożywiłem. Obok ścieżki znalazłem pół butelki coli i zaspokoilem pragnienie. Potem Bóg kazał mi zejść ze szlaku i choć zapadał już zmrok, a lepsi traperzy ode mnie zginęli na tej pustyni, wykonałem Jego polecenie.

Pewnie przez ten czas zawędrował aż na przedmieścia, pomyślałem. Może do samego North Scottsdale, gdzie mieszkają bogaci.

– Była ciemna, pochmurna noc, ani jednej gwiazdy na niebie. Zaraz po północy jednak chmury się rozstały i promień światła księżycowego padł na stos głazów. Pod nimi znalazłem... to.

Uniósł prawą rękę. Na środkowym palcu miał drugą grubą złotą obrączkę. Zerwała się burza oklasków i gromkich „alleluja”. Próbowałem coś z tego zrozumieć – na próżno. Otaczali mnie ludzie, którzy na co dzień korzystali z komputerów, by kontaktować się ze znajomymi i być na bieżąco z tym, co się na świecie dzieje, ludzie, którzy traktowali satelity meteorologiczne i przeszczepy płuc jak coś najzupełniej normalnego, ludzie, którzy oczekiwali, że pożyją trzydzieści–czterdzieści lat dłużej niż ich pradziadowie. A mimo to wszyscy jak jeden mąż dawali się nabrać na historyjkę, przy której bajki o Świętym Mikołaju i Wróżce Zębuszce to naturalistyczny realizm. Jacobs karmił ich gównem i byli zachwyceni. Miałem niepokojące wrażenie, że, co gorsza, zachwycony był też on. Nie był tym samym człowiekiem, którego znałem w Harlow i który przyjął mnie pod swój dach w Tulsa. Choć kiedy przypominałem sobie, jak potraktował ojca Cathy Morse, tego skołowanego, zdruzgotanego farmera, musiałem przyznać, że już wtedy schodził na złą drogę.

Nie wiem, czy nienawidzi tych ludzi, pomyślałem, ale na pewno nimi gardzi.

A może nie. Może po prostu miał wszystko gdzieś. Wszystko oprócz tego, ile zbierze na tacę.

Tymczasem Jacobs kontynuował swoje świadectwo, teraz już przy akompaniamencie zespołu, którego muzyka jeszcze bardziej podsycała entuzjazm gawiedzi. The Gospel Robins kołysały się i klaskały; publiczność poszła za ich przykładem.

Jacobs opowiedział o swoich pierwszych niepewnych uzdrowieniach przy użyciu obrączek z jego dwu małżeństw – świeckiego i świętego. O chwili, kiedy sobie uzmysłowił, że wolą Boga jest, by niósł światu Jego przesłanie pokoju i uzdrawiał bliźnich. O tym, jak Go raz po raz przekonywał – na kolanach, z bólem – że nie jest godzien. O odpowiedzi Boga, że gdyby to była prawda, nigdy nie powierzyłby mu obrączek. Słuchając Jacobsa, odnosiło się wrażenie, że on i Bóg toczyli długie rozmowy na ten temat w jakiejś niebiańskiej palarni, być może pykając z fajek i patrząc przez okna na rajskie wzgórza.

Nie podobało mi się, jak teraz wyglądał – ta wąska twarz nauczyciela i błękitny blask w oczach. Nie podobał mi się też jego czarny płaszcz. Kuglarze nazywają taki magicznym kubrakiem, bo zawiera przemyślnie powszywane skrytki, pomocne w robieniu sztuczek. Dowiedziałem się tego, pracując przy Portretach Błyskawicą Jacobsa w parku rozrywki Bell's.

– Pomódlcie się ze mną, dobrze? – poprosił Jacobs i padł na kolana jakby z lekkim

grymasem bólu. Reumatyzm? Artretyzm? Pastorze Danny, ulecz samego siebie, pomyślałem.

Znow zaszeleściły ubrania, zaszemrały egzaltowane szept i wierni uklękli. Ci z nas, którzy stali przy wyjściu, zrobili to samo. Prawie się wyłamałem – nawet dla niepraktykującego metodysty jak ja cała ta szopka śmierdziała bluźnierstwem w służbie show-biznesu – ale ostatnie, czego chciałem, to zwrócić na siebie jego uwagę jak w Tulsa.

Ocalił ci życie, pomyślałem. Nie zapominaj o tym.

To prawda. I od tego czasu przeżyłem wiele dobrych lat. Zamknąłem oczy – nie po to, by się modlić, tylko żeby opanować mętlik w głowie. Żałowałem, że przyjechałem, ale tak naprawdę nie miałem wyboru. Nie pierwszy raz stwierdziłem, że lepiej by było, gdybym nie poprosił Georgii Donlin, by skontaktowała mnie ze swoją oblataną w komputerach córką.

Już za późno.

Pastor Danny modlił się za obecnych. Modlił się za przykutych do łóżka, którzy chcieli tu być, a nie mogli. Modlił się za mężczyzn i kobiety dobrej woli. Modlił się za Stany Zjednoczone i o to, żeby Pan obdarzył rządzących swoją mądrością. A potem przeszedł do konkretów i poprosił Boga, by jego dłońmi i świętymi obrączkami uzdrowił chorych. Niech się stanie Twoja wola, dodał.

A zespół grał.

– Czy są wśród was ludzie, którzy pragną zostać uzdrowieni? – zapytał pastor Danny, dźwigając się na nogi, znowu z grymasem na twarzy. Al Stamper ruszył mu na pomoc, ale Jacobs odpędził byłego piosenkarza soul machnięciem ręki. – Czy są wśród was obarczeni wielkimi ciężarami, które pragną zrzucić, i nieszczęściami, od których chcą się uwolnić?

Wierni przytaknęli, i to głośno. Ludzie na wózkach i przewlekle chorzy z pierwszych dwóch rzędów patrzyli jak urzeczeni. Podobnie jak ci zaraz za nimi, w większości wychudzeni, wyglądający jak trzy ćwierci do śmierci. Widziałem opatrunki, oszpecone twarze, maski tlenowe, uschnięte kończyny, aparaty ortopedyczne. Niektórzy podrygiwali i kołysali się bezradnie pod wpływem wściekłych wygibasów ich dotkniętych porażeniem mózgow.

Devina i The Gospel Robins zaintonowały *Jesus Says Come Forth* cicho jak wiosenny wietrzyk wiejący od pustyni. Jakby za skinieniem czarodziejkiej różdżki pojawili się asystenci w wyprasowanych dżinsach, białych koszulach i zielonych kamizelkach. Niektórzy pomagali chętnym do uzdrowienia ustawić się w kolejce w przejściu między siedzeniami. Inni – wielu innych – krążyli wśród publiczności z wiklinowymi koszykami na dary serca tak wielkimi, że wyglądały jak kosze podróżne. Brzęk monet słyszałem tylko z rzadka; większość wrzucała banknoty, „kapuchę”, jak to się określa w branży kuglarskiej. Kobieta, która przed chwilą mówiła językami, wracała z pomocą męża albo chłopaka na swoje składane krzesło. Luźno opadające włosy okalały jej rumianą, zachwyconą twarz, zakiet był umorusany ziemią.

Sam też czułem się brudny, ale wreszcie doczekaliśmy tego, co tak naprawdę chciałem zobaczyć. Wyjąłem z kieszeni długopis i notes. Miałem w nim już trochę zapisków, część na podstawie własnych ustaleń, większość dzięki Briannie Donlin.

– Co robisz? – spytał Hugh zniżonym głosem.

Pokręciłem głową. Zaczynało się uzdrawianie i obejrzałem wystarczająco wiele wideo na stronie pastora Danny'ego, by wiedzieć, jak to się odbywa. „Stara szkoła”, stwierdziła Bree, kiedy sama zobaczyła kilka filmików, i nie mogłem się z tym nie zgodzić.

Na środek wyjechała kobieta na wózku inwalidzkim. Jacobs poprosił, żeby się przedstawiła, i podsunął jej mikrofon. Drżącym głosem oświadczyła, że nazywa się Rowena Mintour, jest nauczycielką i przyjechała aż z Des Moines. Miała ciężki artretyzm i nie mogła chodzić.

Zapisałem jej nazwisko w notesie pod nazwiskiem Mabel Jergens, uleczonej z urazu

rdzenia kręgowego miesiąc wcześniej w Albuquerque.

Jacobs wrzucił mikrofon do zewnętrznej kieszeni swojego magicznego kubraka, ujął głowę Roweny w dłoń, po czym przycisnął obrączki do jej skroni, a jej twarz do swojej piersi. Zamknął oczy. Jego usta poruszyły się w cichej modlitwie... chociaż równie dobrze mógł to być dziecięcy wierszyk. Rowena nagle się szarpnęła. Jej dłonie wyskoczyły w górę i zatrzepotały jak białe ptaki. Spojrzała Jacobsowi w twarz oczami szeroko otwartymi albo ze zdumienia, albo wskutek porażenia prądem.

I wstała.

Thum ryknął „alleluja!”. Kiedy Rowena wyściskała Jacobsa i obsypała jego policzki pocałunkami, kilku mężczyzn wyrzuciło kapelusze w górę; coś takiego widziałem w filmach, ale nigdy w rzeczywistości. Jacobs odwrócił ją za ramiona w stronę publiczności – wszyscy patrzyli z przejęciem, mnie nie wyłączając – i sięgnął po mikrofon z wyćwiczoną wprawą starego jarmarcznego kuglarza.

– Idź do swojego męża, Roweno! – huknął do mikrofonu. – Idź do niego i na każdym kroku chwal Jezusa! Na każdym kroku chwal Boga! Wysławiaj Jego święte imię!

Zalkana, poszła chwiejnym krokiem do męża, z rękami wyciągniętymi w bok dla utrzymania równowagi. Asystent w zielonej kamizelce popychał jej wózek tuż za nią, na wypadek gdyby nogi się pod nią ugięły... ale to nie było potrzebne.

Uzdrowianie trwało godzinę. Muzyka ani na chwilę nie ucichła, asystenci z głębokimi koszykami ani na chwilę nie przestali krążyć wśród publiczności. Jacobs nie uleczył wszystkich, lecz mogę was zapewnić, że jego kwestarze oskubali tych ówków aż do ich niewątpliwie do cna wyczyszczonych kart kredytowych. Wielu ludzi na wózkach, których dotknęły święte obrączki, nie zdołało wstać, ale kilku owszem. Zapisywałem nazwiska wszystkich i wykreślałem tych, którzy po kontakcie z uzdrawiającymi dłońmi Jacobsa nadal wyglądali na orżniętych przez los.

Kobieta z zaćmą oświadczyła, że widzi, i w blasku reflektorów jej oczy rzeczywiście były jakby mniej mętne. Krzywe ramię zostało wyprostowane. Płaczące dziecko z jakąś wadą serca uspokoilo się jak za pstryknięciem wyłącznika. Mężczyzna, który podszedł o kulach, ze spuszczoną głową, zerwał kołnierz ortopedyczny z szyi i odrzucił kule. Kobieta w zaawansowanym stadium przewlekłej choroby obturacyjnej płuc zdjęła z twarzy maskę tlenową. Oświadczyła, że może swobodnie oddychać i że ciężar ugniatający jej pierś zniknął.

Wielu uzdrowień nie dało się wymiernie ocenić i bardzo możliwe, że niektórzy chorzy byli podstawieni. Na przykład mężczyzna z wrzodami, który oświadczył, że po raz pierwszy od trzech lat nie boli go brzuch. Albo chora na cukrzycę – z jedną nogą amputowaną pod kolanem – która oznajmiła, że odzyskała czucie w dłoniach i palcach u ocalałej nogi. Może też para cierpiących na przewlekłą migrenę, którzy obwieścili, że ból minął, chwała Bogu, minął zupełnie.

Mimo to zapisywałem nazwiska wszystkich i – kiedy je podawali – nazwy miast i stanów, z których pochodzili. Bree Donlin była dobra, zainteresowała się moim przedsięwzięciem i chciałem jej dostarczyć jak najwięcej materiału.

Tego wieczoru Jacobs usunął tylko jeden nowotwór. Nazwiska szczęśliwca nie zapisałem, nawet przez myśl mi to nie przeszło, bo zauważyłem, że pastor Danny ukradkiem sięgnął za pazuchę magicznego kubraka, zanim posłużył się swoimi magicznymi obrączkami. To, co pokazał oniemiałej, zachwyconej gawiedzi, podejrzenie przypominało mi cielęcą wątróbkę z supermarketu. Podał rzekomy nowotwór jednemu z asystentów w zielonych kamizelkach, który włożył go do słoika i migiem zabrał z pola widzenia.

Wreszcie Jacobs oświadczył, że jego moc uzdrawiająca na dziś się wyczerpała. Czy to była prawda, nie wiedziałem, lecz rzeczywiście wyglądał na wyczerpanego. I to śmiertelnie,

prawdę mówiąc. Twarz wciąż miał suchą, ale przód koszuli lepił się do jego piersi. Kiedy odstąpił o krok od opornie rozchodzących się wiernych, których dziś pominął (wielu niewątpliwie pojedzie za nim na następne spotkanie przebudzeniowe), potknął się. Al Stamper był dość blisko, żeby go podtrzymać, i tym razem Jacobs przyjął pomoc.

– Módlmy się – powiedział. Z trudem łąpał oddech i mimo woli się zaniepokoiłem, że zasłabnie albo wręcz tu i teraz dozna zatrzymania akcji serca. – Złożmy podziękowania Panu, tak jak składamy przed Nim nasze ciężary. A potem, bracia i siostry, Al, Devina i The Gospel Robins pożegnają nas pieśnią.

Tym razem nie próbował uklęknąć, ale zrobili to wierni, w tym kilkoro, którzy pewnie jeszcze tego ranka sądzili, że do końca życia nie uklękną już nigdy. Znów rozległ się ten ulotny szelest ubrań, prawie zagłuszył dobiegające mnie z boku odgłosy krztuszenia. Odwróciłem się w porę, by zobaczyć tył kraciatej koszuli Hugh Yatesa znikający między połami namiotu.

Znalazłem go stojącego pod latarnią pięć metrów dalej. Zgięty wpół, trzymał się za kolana. Znacznie się ochłodziło i kałuża między jego nogami lekko parowała. Kiedy podszedłem, wstrząsnął nim skurcz i kałuża się powiększyła. Dotknąłem jego ramienia; szarpnął się i potknął, omal nie przewracając się we własne wymiociny, co zapewniłoby mi niezapomniane wrażenia zapachowe w drodze powrotnej.

Zwrócił na mnie spanikowane spojrzenie zwierzęcia uwięzionego w płonącym lesie. Po chwili odprężył się, stanął prosto i wyciągnął z tylnej kieszeni staromodną chustę ranczera. Wytarł nią usta. Dłoń mu drżała. Jego twarz była trupio blada, po części niewątpliwie przez to, że padał na nią ostry blask latarni, ale nie tylko dlatego.

– Przepraszam, Jamie. Wystraszyłeś mnie.

– Zauważyłem.

– To chyba z gorąca. Chodźmy stąd, co ty na to? Zanim się zrobią korki.

Ruszył w stronę lincolna. Dotknąłem jego łokcia. Odsunął się. Chociaż nie, nie całkiem.

Uchylił się.

– Co się tak naprawdę stało?

Zrazu nie odpowiedział, tylko dalej zmierzał w stronę drugiego końca parkingu, gdzie stał jego krążownik szos z Detroit. Dotarliśmy do samochodu, położył dłoń na zwilżonej rosą masce, jakby szukał tam otuchy.

– To była przymatyka. Pierwsza od bardzo, bardzo dawna. Poczułem, że się zbliża, kiedy uzdrawiał tego ostatniego... tego, co niby był sparaliżowany od pasa w dół po wypadku samochodowym. Zobaczyłem, że ten człowiek wstaje z wózka, i nagle wszystko się wyostrzyło. Stało się klarowne.

Nie rozumiałem, ale pokiwałem głową, jakbym rozumiał. Za naszymi plecami wierni klaskali radośnie i śpiewali *How I Love My Jesus* na całe gardła.

– Potem, kiedy wielebny zaczął się modlić... te kolory. – Spojrzał na mnie z drżącymi ustami. Wyglądał, jakby się postarzał o dwadzieścia lat. – Tak jasne nie były jeszcze nigdy. Wszystko rozbiły na kawałki.

Złapał mnie za koszulę tak mocno, że oberwał dwa guziki. To był chwyt tonącego. Oczy miał wielkie i przerażone.

– Potem... potem te wszystkie fragmenty znów połączyły się w całość, ale kolory nie zniknęły. Tańczyły i wiły się jak zorza polarna w zimową noc. A ludzie... nie byli już ludźmi.

– Tylko czym?

– Mrówkami – szepnął. – Wielkimi mrówkami, jakie żyją chyba tylko w lasach

tropikalnych. Brązowymi, czarnymi i czerwonymi. Patrzyły na niego martwymi oczami i ta trucizna, którą wydzielają, kwas mrówkowy, wyciekała im z paszcz. – Wziął przeciągły, drżący oddech. – Jeśli jeszcze raz zobaczę coś takiego, zabiję się.

– Ale to minęło, prawda?

– Tak. Minęło. Dzięki Bogu.

Wyciągnął kluczyki z kieszeni. Wypadły mu z ręki. Podniosłem je.

– Ja poprowadzę.

– Jasne. Prowadź. – Ruszył w stronę miejsca pasażera, po czym spojrzał na mnie. – Ty też, Jamie. Odwróciłem się do ciebie i zobaczyłem, że stoję obok wielkiej mrówki. Spojrzałeś na mnie...

– Hugh, nic takiego nie zrobiłem. W ostatniej chwili zauważyłem, że wychodzisz.

Zdawał się nie słyszeć.

– Spojrzałeś na mnie... i chyba próbowałeś się uśmiechnąć. Ze wszystkich stron otaczały cię kolory, ale oczy miałeś martwe, jak inni. A twoje usta były pełne trucizny.

Nic więcej nie powiedział, dopóki nie stanęliśmy przed wielką drewnianą bramą wjazdową Wolfjaw. Była zamknięta i zacząłem wysiadać z samochodu, żeby ją otworzyć.

– Jamie... – usłyszałem.

Odwróciłem się do niego. Wróciły mu kolory, ale tylko trochę.

– Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie jego imienia. Nigdy. Jeśli to zrobisz, pożegnamy się na zawsze. Czy to jasne?

Było jasne. Ale to nie znaczyło, że zostawię tę sprawę.

IX

Lektura nekrologów w łóżku – Znowu Cathy Morse – The Latches

Pewnego niedzielnego poranka na początku sierpnia 2009 roku Brianna Donlin i ja przeglądaliśmy w łóżku nekrologi. Dzięki sztuczkom znanym tylko prawdziwym komputerowym maniakom Bree zdołała zestawić z sobą notki o zmarłych z dwunastu największych amerykańskich gazet i ułożyć je w kolejności alfabetycznej.

Nie pierwszy raz robiliśmy to w tak przyjemnych okolicznościach, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nieuchronnie zbliża się raz ostatni. We wrześniu Bree wybierała się do Nowego Jorku na rozmowy o pracę w działach informatycznych firm oferujących na wejściu sześciocyfrową pensję – spotkania z czterema już wpisała do kalendarza – ja zaś miałem własne plany. Jednak czas, który spędziliśmy razem, dobrze mi zrobił pod wieloma względami i nie miałem powodu nie wierzyć, kiedy mówiła, że jej też.

Nie byłem pierwszym mężczyzną, który wdał się w romans z kobietą więcej niż o połowę młodszą od siebie, i jeśli skwitujecie to tak, że nie masz głupca nad starego głupca i capa nad starego capa, nie będę się z wami spierał, ale takie przygody czasem są w porządku, przynajmniej na krótką metę. Żadne z nas nie było w związku, żadne z nas nie żywiło złudzeń, że to trwały układ. Po prostu stało się, co się stało, i to z inicjatywy Brianny. To było jakieś trzy miesiące po spotkaniu przebudzeniowym w hrabstwie Norris i cztery po wszczęciu naszego komputerowego dochodzenia. Nie trzeba mnie było długo przekonywać, zwłaszcza po tym, jak pewnego wieczoru w moim mieszkaniu zrzuciła z siebie bluzkę i spódniczkę.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytałem.

– Zdecydowanie. – Błysnęła uśmiechem. – Wkrótce ruszam w wielki świat i lepiej, żebym przedtem wyzbyła się kompleksu tatusia.

– Czyli co, twój tatuś to też biały eksgitarzysta?

To ją rozśmieszyło.

– W ciemności wszystkie koty są szare, Jamie. To jak, pofiglujemy czy nie?

Pofiglowaliśmy i było wspaniale. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie podniecała mnie jej młodość – Bree miała dwadzieścia cztery lata – i skłamałbym też, gdybym twierdził, że zawsze byłem w stanie dotrzymać jej kroku. Tej pierwszej nocy, wyciągnięty na łóżku obok niej i praktycznie do cna wyczerpany po jednym zaledwie bisie, spytałem, co powiedziałaaby Georgia.

– Ode mnie się nie dowie. A od ciebie?

– Nie, ale Nederland to małe miasto.

– To prawda, a w małych miastach dyskrecja ma swoje granice. Gdyby coś mi powiedziała, po prostu przypominałabym jej, że swego czasu była dla Hugh Yatesa kimś więcej niż tylko księgową.

– Poważnie?

Zachichotała.

– Wy, biali faceci, potraficie być tacy tępi.

Teraz, z kawą po stronie łóżka Bree i herbatą po mojej, siedzieliśmy wsparci na poduszkach, rozdzieleni jej laptopem. Letnie słońce – poranne, zawsze najlepsze – rzucało długi prostokąt na podłogę. Bree miała na sobie mój T-shirt i nic ponadto. Krótko ostrzyżone

włosy okrywały jej głowę czarną, kędzierzawą czapką.

– Dalej poradziłbyś sobie sam – powiedziała. – Udajesz komputerowego analfabety, żeby mieć mnie pod ręką na wypadek, gdyby w środku nocy wzięło cię na amory... ale korzystanie z wyszukiwarek to żadna filozofia. Poza tym chyba masz już dość materiału, nie?

Rzeczywiście. Zaczęliśmy od trzech nazwisk ze strony „Świadectwa cudów” na witrynie C. Danny’ego Jacobsa. Listę otwierał Robert Rivard, chłopak uleczony z dystrofii mięśniowej w St. Louis. Do tej trójki Bree dołączyła pewniaków ze spotkania przebudzeniowego w hrabstwie Norris – takich jak Rowena Mintour, co do której nagłego wyzdrowienia trudno było mieć wątpliwości. Jeśli udawała, kiedy zapłakana szła chwiejnym krokiem do męża, zasłużyła na Oscara.

Bree prześledziła trasę Ewangelizacyjnej Pielgrzymki Pastora Danny’ego Jacobsa z Kolorado do Kalifornii. W sumie było dziesięć przystanków. Z zapalem biologów morskich studiujących nowo odkryty gatunek ryby oglądaliśmy filmy z YouTube wrzucane na stronę ze świadectwami cudów. Dyskutowaliśmy o wiarygodności każdego z nich (najpierw w moim salonie, potem w tym samym łóżku, w którym leżeliśmy teraz), by ostatecznie podzielić je na cztery kategorie: „Totalna lipa”, „Prawdopodobnie lipa”, „Nie da się stwierdzić na pewno” oraz „Trudno nie uwierzyć”.

W ten sposób powoli powstała lista główna. Tego słonecznego sierpniowego poranka w sypialni mojego mieszkania na piętrze figurowało na niej piętnaście nazwisk. To były uzdrowienia, które uznaliśmy za w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach wiarygodne, wybrane spośród prawie siedmiuset pięćdziesięciu przeanalizowanych. Na liście znalazł się Robert Rivard, Mabel Jergens z Albuquerque, a także Rowena Mintour i Ben Hicks, człowiek, który podczas spotkania przebudzeniowego w hrabstwie Norris zerwał kołnierz ortopedyczny i odrzucił kule.

Hicks był interesującym przypadkiem. Zarówno on, jak i jego żona potwierdzili autentyczność uleczenia w artykule zamieszczonym w „Denver Post” parę tygodni po odjeździe wędrownego show Jacobsa. Pan Hicks uczył historii w szkole pomaturalnej w Denver i cieszył się nieposzlakowaną reputacją. W rozmowie z dziennikarzem określił się mianem religijnego sceptyka i nazwał wizytę na spotkaniu przebudzeniowym w hrabstwie Norris „ostatnią deską ratunku”. Jego żona to potwierdziła. „Jesteśmy zdumieni i wdzięczni”, powiedziała. Dodała, że znów zaczęli chodzić do kościoła.

Rivard, Jergens, Mintour, Hicks i wszyscy z naszej listy głównej zostali dotknięci „świętymi obrączkami” Jacobsa w okresie między majem 2007 a grudniem 2008 roku, kiedy to Ewangelizacyjna Pielgrzymka zakończyła się w San Diego.

Bree przystępowała do naszego dochodzenia z lekkim sercem, ale w październiku 2008 roku popadła w ponury nastrój, bo znalazła artykuł o Robercie Rivardzie – właściwie krótką notkę – w wydawanym w hrabstwie Monroe „Weekly Telegram”. Informacja dotyczyła „cudownie uzdrowionego” chłopca, który został przyjęty do szpitala dziecięcego w St. Louis „z powodów niezwiązanych z wyleczoną dystrofią mięśniową”.

Bree próbowała poznać więcej szczegółów, tak przez internet, jak i telefonicznie. Rodzice Rivarda nie chcieli z nią rozmawiać, lecz pielęgniarka ze szpitala dziecięcego w końcu uległa, kiedy Bree jej powiedziała, że próbuje zdemaskować C. Danny’ego Jacobsa jako szarlatana. Nie całkiem taki był nasz zamiar, ale ważne, że to poskutkowało. Po uzyskaniu zapewnienia, że jej nazwisko nie pojawi się w żadnym artykule ani książce, pielęgniarka powiedziała Bree, że Bobby Rivard trafił do szpitala z, jak to określiła, „samoistnymi bólami głowy” i zrobiono mu serię badań, by wykluczyć raka mózgu. Kiedy się potwierdziło, że to nie nowotwór, chłopak został przewieziony do Gad’s Ridge w Oakville w stanie Missouri.

– Co to za szpital? – spytała Bree.

– Psychiatryczny – odparła pielęgniarka. I podczas gdy Bree przetrwała tę informację, dodała: – Większość ludzi, którzy trafiają do Gad's, już stamtąd nie wychodzi.

Bree próbowała dowiedzieć się czegoś więcej w Gad's Ridge, ale to było walenie głową w mur. Ponieważ uważałem Rivarda za naszego Pacjenta Zero, poleciałem do St. Louis, wynająłem samochód i pojechałem do Oakville. Po kilku popołudniach spędzonych w barze najbliższym szpitala znalazłem sanitariusza, który gotów był ze mną porozmawiać za drobnym wynagrodzeniem w wysokości sześćdziesięciu dolarów. Robert Rivard nadal normalnie chodził, powiedział sanitariusz, tyle że nigdy dalej niż w kąt swojego pokoju. Tam po prostu stał jak dziecko ukarane za złe zachowanie, dopóki ktoś nie odprowadził go z powrotem do łóżka albo na najbliższe krzesło. W swoje lepsze dni jadł samodzielnie; w gorszych okresach – tych było dużo więcej – musiał być karmiony przez sondę. Uznano go za półkatatonika. Warzywo, jak to ujął sanitariusz.

– Nadal ma bóle głowy? – spytałem.

Sanitariusz wzruszył mięsistymi ramionami.

– Kto to może wiedzieć?

No właśnie, kto.

Ustaliliśmy, że dziewięć osób z naszej listy głównej miało się dobrze. Do tego grona należeli Rowena Mintour, która wróciła do zawodu nauczycielskiego, i Ben Hicks, z którym osobiście rozmawiałem w listopadzie 2008 roku, pięć miesięcy po jego uzdrowieniu. Nie powiedziałem mu wszystkiego (na przykład nie wspominałem o elektryczności; ani zwyczajnej, ani nadzwyczajnej), ale wyjawilem dość, żeby zyskać wiarygodność w jego oczach: moje uzależnienie od heroiny wyleczone przez Jacobsa na początku lat dziewięćdziesiątych i niepokojące następstwa zabiegu, które z czasem złagodniały, by w końcu zaniknąć. Chciałem wiedzieć, czy i on odczuwał jakieś skutki uboczne – luki w pamięci, błyski światła w oczach, lunatyzm, może ataki niekontrolowanego bełkotania jak w zespole Tourette'a.

Ani jednego, powiedział. Był zdrow jak ryba.

– Nie wiem, czy działał przez niego Bóg, czy nie – mówił mi Hicks przy kawie w jego gabinecie. – Moja żona tak sądzi, takie jej prawo, ale ja o to nie dbam. Nic mnie nie boli, co dzień przechodzę trzy kilometry. Za dwa miesiące powinienem dostać zgodę na grę w tenisa, pod warunkiem że w deblu, gdzie nie trzeba biegać więcej niż kilka kroków. To jest dla mnie najważniejsze. Na pewno rozumie pan, co mam na myśli.

Rozumiałem, ale znałem też fakty, których on nie znał.

Że Robert Rivard cieszył się odzyskanym zdrowiem w zakładzie dla psychicznie chorych, gdzie sączył glukozę przez kroplówkę zamiast coli z przyjaciółmi.

Że Patricia Farmingdale, uleczona z neuropatii obwodowej w Cheyenne w stanie Wyoming, nasypała sobie soli do oczu, prawdopodobnie usiłując się oślepić. Nie pamiętała, że to zrobiła, a tym bardziej dlaczego.

Że Stefan Drew z Salt Lake City po uleczeniu z domniemanego raka mózgu stał się nałogowym piechurkiem. Swoich spacerów – niekiedy były to dwudziestoparokilometrowe maratony – nie odbywał nieświadomie; po prostu ogarniało go niepowstrzymane pragnienie, by iść przed siebie, i szedł.

Że Veronica Freemont z Anaheim cierpiała na, jak to określała, „zakłócenia wzroku”. Jedno z nich poskutkowało niegroźnym – bo przy małej prędkości – zderzeniem z innym kierowcą. W jej organizmie nie wykryto narkotyków ani alkoholu. Oddała swoje prawo jazdy w obawie, że to się powtórzy.

Że w San Diego cudownie wyleczony z urazu szyi Emil Klein od czasu do czasu odczuwał wewnętrzny przymus, żeby wyjść na podwórko i jeść ziemię.

No i był jeszcze Blake Gilmore z Las Vegas, który twierdził, że C. Danny Jacobs późnym latem 2008 roku uległ go z chłoniaka. Miesiąc potem pan Gilmore stracił posadę krupiera blackjacka, bo zaczął obrzucać klientów przekleństwami – na przykład „Dobierz kartę, dobierz, kurwa, kartę, cykorze zasrany”. Kiedy podobnie zaczął wykrzykiwać w domu do trojga swoich dzieci, żona wywalila go za drzwi. Przeniósł się do schadzkowego motelu na północ od Fashion Show Drive. Po dwóch tygodniach znaleziono go martwego na podłodze łazienki z buteleczką kleju Krazy Glue w dłoni. Zakleił nim sobie usta i nozdrza. Jego nekrolog nie był jedynym powiązany z Jacobsem, który Bree znalazła za pomocą swojej wyszukiwarki, ale jedynym, który dawał nam prawie pewność, że taki związek istnieje.

Dopóki nie przeczytaliśmy o Cathy Morse.

Znów robiłem się senny, mimo zaaplikowania sobie mocnej czarnej herbaty. Uznałem, że to przez auto-scrolla włączonego w laptopie Bree. Pomocna opcja, stwierdziłem, ale działa hipnotyzująco.

– Skarbie, jeszcze niczego nie widziałeś – powiedziała. – Za rok Apple wypuści na rynek komputer w kształcie tabliczki, który zrewolucjonizuje... – Nie dokończyła, bo rozległo się „dzyń!” i auto-scroll się zatrzymał. Wbiła wzrok w ekran. Jedna linijka tekstu była zaznaczona na czerwono. – O-o. To jedno z nazwisk, które mi podałeś, kiedy zaczynaliśmy.

– Kto to jest? – Wtedy, na początku, mogłem jej podać tylko kilka nazwisk i jedno z nich należało do mojego brata Cona. Jacobs wprawdzie twierdził, że to było placebo, ale...

– Moment, daj mi otworzyć link.

Przechyliłem się w bok, żeby spojrzeć na ekran. Moją pierwszą reakcją była ulga; nie Con, oczywiście, że nie. Drugą coś między przygnębieniem a przerażeniem.

To był opublikowany w „Tulsa World” nekrolog niejakiej Catherine Anne Morse, lat trzydzieści osiem. Umarła nagle, napisano. I jeszcze to:

Pogrążeni w nieutulonym żalu rodzice Cathy proszą, aby zamiast kwiatów przekazać datki na rzecz Sieci Zapobiegania Samobójstwom. Darowizny te podlegają odpisowi od podatku.

– Bree – powiedziałem – zajrzyj do zeszłotygodniowego...

– Wiem, co robić, nie musisz mi mówić. – Zerknęła na moją twarz. – Dobrze się czujesz?

– Tak – powiedziałem, ale to nie była prawda. Przed oczami miałem Cathy Morse wdrapującą się przed laty na estradę, na której powstawały Portrety Błyskawicą, ślicznotkę z Oklahomy o opalonych nogach wyłaniających się spod wystrzępionego rąbka dżinsowej spódniczki. „Każda piękna panna z natury obdarzona jest ładunkiem dodatnim”, powiedział Jacobs. Ładunek Cathy w którymś momencie stał się ujemny. Żadnej wzmianki o mężu, choć dziewczyna takiej urody na pewno nie mogła narzekać na brak adoratorów. I ani słowa o dzieciach.

Może wołała dziewczyny, pomyślałem, ale kiepska to była hipoteza.

– Proszę, miśku – powiedziała Bree. Odwróciła laptop w moją stronę, żebym wyraźniej widział. – Ta sama gazeta.

ŚMIERTELNY SKOK KOBIETY Z MOSTU IM. CYRUSA AVERY’EGO, głosił

nagłówek. Cathy Morse nie zostawiła listu pożegnalnego i jej zrozpaczeni rodzice nie mogli zrozumieć, co się stało. „Zastanawiam się, czy ktoś jej nie zepchnął”, powiedziała pani Morse, ale według artykułu wykluczono udział osób trzecich, choć autor nie podał jak.

„Robił to już wcześniej, panie?” zapytał mnie pan Morse wtedy, w 1992 roku. To było po tym, jak dał piątej osobie mojego dramatu w zęby i rozwalil jej wargę. „Namieszał innym w głowie tak jak mojej Cathy?”.

Tak, proszę pana, pomyślałem teraz. Tak, tak sędzę.

– Jamie, nie wiesz tego na pewno – powiedziała Bree, dotykając mojego ramienia. – Szesnaście lat to szmat czasu. Przyczyna mogła być zupełnie inna. Może Cathy się dowiedziała, że ma złośliwego raka albo inną śmiertelną chorobę. Śmiertelną i bolesną.

– To jego robota – stwierdziłem. – Ja to wiem i myślę, że teraz ty już też. Większość jego królików doświadczalnych po zabiegu ma się dobrze, ale niektórzy wychodzą z tego z bombami zegarowymi w głowach. Jak Cathy Morse. Jej bomba w końcu wybuchła. Ile innych wybuchnie przez następne dziesięć–dwadzieścia lat?

Myślałem o tym, że mnie też może to spotkać, i Bree na pewno zdawała sobie z tego sprawę. Nie znała historii Hugh, bo nie moją rolą było ją opowiedzieć. Od wieczoru spędzonego na spotkaniu przebudzeniowym nie miał nawrotu przyzmatyk – a tamten atak prawdopodobnie wywołany był stresem – ale to mogło mu się przytrafić znowu i choć o tym nie rozmawialiśmy, pewien jestem, że wiedział to równie dobrze jak ja.

Bomby zegarowe.

– Czyli teraz zamierzasz go znaleźć.

– Jasne. – Nekrolog Catherine Anne Morse był ostatnim niezbędnym mi dowodem, tym, dzięki któremu moja decyzja stała się ostateczna.

– I przekonać go, żeby przestał.

– Jeśli zdołam.

– A jeśli nie?

– To nie wiem.

– Pojadę z tobą, jeśli chcesz.

Nie chciała tego jednak. Miała to wypisane na twarzy. Rzuciła się w wir powierzonego jej zadania z zapalem inteligentnej młodej kobiety do czystej pracy badawczej – tym bardziej że urozmaicała ją sobie seksem – ale teraz praca badawcza przestała być czysta, a jej wyniki mocno Bree przerażały.

– Masz się trzymać od niego z dala – zastrzegłem. – Ale od ośmiu miesięcy przestał jeździć po kraju, a jego cotygodniowy program w telewizji to same powtórki. Dowiedz się, gdzie ostatnio zakotwiczył.

– Da się załatwić. – Odłożyła laptop na bok i wsunęła rękę pod pościel. – Najpierw jednak chciałabym zrobić coś innego, jeśli masz ochotę.

Miałem.

W ostatnich dniach sierpnia pożegnałem się z Bree Donlin w tymże samym łóżku. Było to pożegnanie w przeważającej mierze fizyczne, przyjemne dla nas obojga, ale jednocześnie smutne. Dla mnie bardziej niż dla niej, jak sędzę. Ona od tej pory miała wieść żywot ładnej singielki bez zobowiązań w Nowym Jorku; przede mną zaś roztaczała się koszmarna wizja pięćdziesiątych piątych urodzin za niecałe dwa lata. Byłem przekonany, że w moim życiu nie będzie więcej pełnych wigoru młodych kobiet. I, jak się okazało, miałem pod tym względem całkowitą rację.

Wstała z łóżka – długonoga i pięknie naga.

– Znalazłam to, czego chciałeś – powiedziała i zaczęła grzebać w swojej torebce leżącej na komodzie. – Było trudniej, niż przypuszczałam, bo ostatnio przedstawia się jako Daniel Charles.

– Stary dobry Charlie. Nie całkiem fałszywe nazwisko, ale prawie.

– Chyba raczej środek ostrożności. Tak jak celebryci meldują się w hotelu pod przybranym nazwiskiem albo przeróbką prawdziwego, żeby zmylić łowców autografów. Wynajął dom, w którym mieszka, jako Daniel Charles, co jest legalne, pod warunkiem że ma konto bankowe i nie płaci czekami bez pokrycia; czasem jednak człowiek musi zdradzić, jak się naprawdę nazywa, jeśli nie chce kłopotów z prawem.

– O jakie „czasem” chodzi w tym przypadku?

– W zeszłym roku kupił samochód w Poughkeepsie w stanie Nowy Jork, nie rewelacyjnego, zwyczajnego forda taurusa, i zarejestrował go pod swoim prawdziwym nazwiskiem. – Wróciła do łóżka i podała mi świstek papieru. – Proszę, przystojniaku.

Na karteluszkę napisane było: „Daniel Charles (vel Charles Jacobs, vel C. Danny Jacobs), The Latches, Latchmore, Nowy Jork 12561”.

– The Latches? Co to takiego?

– Wynajęty przez niego dom. Właściwie majątek. Wstęp wzbroniony, więc będziesz musiał uważać. Latchmore leży kawałek na północ od New Paltz, ma ten sam kod pocztowy. To w górach Catskill, gdzie dawno, dawno temu Rip Van Winkle... mmm, twoje dłonie są tak przyjemnie ciepłe... grał w kręgle z krasnoludami.

Wtuliła się we mnie i powiedziałam to, co mężczyźni w moim wieku chcąc nie chcąc muszą mówić coraz częściej: że doceniam ofertę, ale niestety w tej konkretnej chwili nie czuję się na siłach z niej skorzystać. Z perspektywy czasu żałuję, że nie postarałem się trochę bardziej. Miło byłoby zrobić to jeszcze jeden, ostatni raz.

– To nic, miśku. Obejmij mnie.

Objąłem ją. Chyba przysnęliśmy, bo kiedy się ocknąłem, słońce padało już nie na łóżko, tylko na podłogę. Bree zerwała się i sięgnęła po ubranie.

– Muszę lecieć. Mam dziś tysiąc rzeczy do zrobienia. – Zapięła stanik i spojrzała na mnie w lustrze. – Kiedy do niego pojedziesz?

– Raczej nie wcześniej niż w październiku. Hugh załatwił kogoś z Minnesoty na moje zastępstwo, ale dopiero od wtedy.

– Masz być ze mną w stałym kontakcie. Mailowym i telefonicznym. Jeśli nie będę miała wiadomości od ciebie codziennie w czasie, kiedy tam będziesz, zaczną się niepokoić. Może nawet będę musiała osobiście przyjechać i sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– Nie rób tego – powiedziałam.

– Bądź w kontakcie, białasku, a nie będę musiała. – Ubrana, przysiadła na skraju łóżka. – Może w ogóle nie musisz tam jechać. Pomyślałeś o tym? On nie planuje tournée po kraju, na jego stronie internetowej nic się nie dzieje, jego programy w telewizji to same powtórki. Któregoś dnia natknęłam się na wpis na blogu zatytułowany *Gdzie się podział pastor Danny?* Dyskusja pod tekstem ciągnęła się stronami.

– Do czego zmierzasz?

Wzięła mnie za rękę, splotła palce z moimi.

– Wiemy... no, może nie wiemy, ale jesteśmy prawie pewni, że niektórym pomógł, innym zrobił krzywdę. Dobra, stało się i tego się nie odwróci. Ale jeśli przestał uzdrawiać, więcej nikogo nie skrzywdzi. Po co w takim razie stawać z nim twarzą w twarz?

– Jeśli przestał uzdrawiać, to dlatego, że zarobił dość, by się zająć czymś innym.

– Czym?

– Nie wiem, ale sądząc po tym, czym się zajmował w przeszłości, może to być coś niebezpiecznego. I... posłuchaj. – Usiadłem prosto, chwyciłem jej drugą rękę. – Pomijając wszystko inne, ktoś musi dopilnować, żeby odpowiedział za to, co zrobił.

Podniosła moje dłonie do swoich ust i pocałowała najpierw jedną, potem drugą.

– Ale czemu tym kimś masz być ty, kochanie? W końcu jesteś jednym z jego sukcesów.

– Myślę, że właśnie dlatego. Poza tym Charlie i ja... znamy się od dawna. Bardzo, bardzo dawna.

Nie odprowadziłem jej na lotnisko w Denver – to była rola jej matki – ale po wylądowaniu zadzwoniła do mnie, kipiąca z nerwów i emocji. Patrzyła przed siebie, nie wstecz. Cieszyłem się jej radością. Kiedy mój telefon zadzwonił po dwudziestu minutach, myślałem, że to znowu ona. A jednak nie. To była jej matka. Georgia spytała, czy możemy porozmawiać. Na przykład przy lunchu.

Oho! – pomyślałem.

Spotkaliśmy się w McGee's – przyjemny posiłek, przyjemna pogawędka, głównie o branży muzycznej. Kiedy oboje zrezygnowaliśmy z deseru i zgodziliśmy się na kawę, Georgia oparła swój okazały biust na stoliku i przeszła do rzeczy.

– No to jak, Jamie, skończyliście z sobą?

– Ja... eee... Georgio...

– Och, przestań dukać i stękać. Świetnie wiesz, o czym mówię, i nie bój się, nie urwę ci głowy. Gdybym miała taki zamiar, zrobiłabym to rok temu, kiedy pierwszy raz wskoczyła z tobą do wyrka. – Uśmiechnęła się na widok mojej miny. – Nie, nic mi nie powiedziała, a ja nie pytałam. Nie musiałam. Czytam w niej jak w otwartej książce. Założę się, że nawet ci powiedziała, że dawno, dawno temu pozwalałam sobie na podobne numery z Hugh. Prawda?

Pokazałem, że zamykam usta na suwak, po czym przekręciłem niewidzialny klucz. Jej uśmiech przeszedł w śmiech.

– Oj, to dobre. To mi się podoba. Lubię cię, Jamie. Lubiłam cię prawie od samego początku, kiedy jeszcze byłeś chudy jak szczapa i dochodziłeś do siebie po syfie, którym szpikowałeś swój organizm, cokolwiek to było. Wyglądałeś jak Billy Idol, tylko po długim pobycie w rynsztoku. I żeby nie było: nie mam nic przeciwko dzieciaczkom rasy mieszanej. Ani różnicy wieku. Wiesz, co dał mi ojciec, kiedy byłam już dość duża, żeby wyrobić sobie prawo jazdy?

Potrząsnąłem głową.

– Plymoutha rocznik 1960 z oberwaną połową kratownicy wlotu powietrza, łysymi oponami, zardzewiałymi progami i silnikiem, który żłopał hektolitry oleju z odzysku. Nazwał go „trupem na kółkach”. Powiedział, że każdy świeżo upieczony kierowca powinien zaczynać od starego grata, zanim przesiądzie się do samochodu, który przeszedłby inspekcję bezpieczeństwa. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Oczywiście, że rozumiałem. Bree nie była mniszką, miała trochę przygód erotycznych, zanim mnie poznała, ale ja byłem jej pierwszym stałym facetem. W Nowym Jorku przetrzuci się na lepszy model – jeśli nie mężczyznę swojej rasy, to na pewno nieco bliższego jej wiekiem.

– Chciałam, żebyśmy mieli co do tego jasność, zanim powiem to, co tak naprawdę przysłałam powiedzieć. – Wychyliła się do przodu jeszcze bardziej, tak że wysoka fala jej biustu zagroziła filiżance z kawą i szklance z wodą. – Bree niechętnie mówiła o tych materiałach, które dla ciebie zbierała, ale wiem, że ją przerażały, a jak raz próbowałam zapytać o to Hugh, mało mi

głowy nie urwał.

Mrówki, pomyślałem. W jego oczach wszyscy wyznawcy Jacobsa wyglądali jak mrówki.

– Chodzi o tego kaznodzieję – dodała. – Tyle wiem.

Milczałem.

– Język ci kołkiem stanął?

– Można tak powiedzieć.

Skinęła głową i odchyliła się na oparcie krzesła.

– W porządku. Niech ci będzie. Chcę tylko, żebyś od tej pory nie mieszał do tego Brianny. Zgoda? Choćby przez wdzięczność, że ani razu nie zasugerowałam, byś trzymał swojego zgrzybiałego kutasa z dala od majątek mojej córki.

– Już w tym nie uczestniczy. Tak uzgodniliśmy.

Rzeczowo skinęła głową. Po czym:

– Hugh mówił, że bierzesz urlop.

– Tak.

– Jedziesz do tego kaznodziei?

Milczałem. To znaczyło „tak” i dobrze o tym wiedziała.

– Uważaj na siebie. – Wyciągnęła rękę nad stolikiem i splotła palce z moimi, tak jak to miała w zwyczaju jej córka. – O cokolwiek chodziło w tym waszym śledztwie, strasznie to Bree poruszyło.

Na początku października poleciałem na lotnisko Stewarta w Poughkeepsie. Drzewa nabierały kolorów i widoki po drodze do miasteczka Latchmore były piękne. Kiedy tam dotarłem, popołudnie już chyliło się ku wieczorowi. Zatrzymałem się w miejscowym Motel 6. Nie było dostępu do internetu przez gniazdko telefoniczne, a tym bardziej Wi-Fi, przez co mój laptop nie miał kontaktu ze światem poza czterema ścianami pokoju, ale nie potrzebowałem Wi-Fi, żeby znaleźć The Latches; Bree mnie wyręczyła. Majątek znajdował się sześć kilometrów na wschód od centrum Latchmore, przy drodze numer 27. Dawniej należał do zamożnego rodu Vander Zanden. Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku rodowa fortuna najwyraźniej się rozeszła, bo The Latches został sprzedany i przerobiony na ekskluzywne sanatorium dla otyłych dam i zapijaczonych dżentelmenów. Pełnił tę funkcję prawie do początku dwudziestego pierwszego wieku. Od tego czasu był na sprzedaż albo do wynajęcia.

Myślałem, że oka nie zmruję, ale zasnąłem prawie od razu, w trakcie planowania, co powiem Jacobsowi, kiedy go zobaczę. Jeśli go zobaczę. Przebudziwszy się wczesnym rankiem kolejnego pogodnego jesiennego dnia, uznałem, że najlepiej będzie improwizować. Jeśli nie położę przed sobą torów, po których miałbym jechać, nie da się mnie wykoleić. Tak rozumowałem (może błędnie).

O dziewiątej wsiadłem do wynajętego samochodu, przejechałem sześć kilometrów, nie znalazłem nic. Jakies półtora kilometra dalej zatrzymałem się przy straganie z ostatnimi w sezonie plonami. Okiem chłopaka ze wsi oceniłem, że ziemniaki wyglądają marnie, lecz dynie były pierwsza klasa. Za straganem urzędowała para nastolatków. Podobieństwo rysów świadczyło, że są rodzeństwem. Miny – że nudzą się jak mopsy. Spytałem o drogę do The Latches.

– Przegapił pan zjazd – powiedziała dziewczyna. Ona była starsza.

– Domyślam się. Nie rozumiem tylko, jakim cudem. Wydawało mi się, że mam jasne instrukcje, a to podobno dość duży majątek.

– Kiedyś był tam drogowskaz – rzekł chłopak – ale zdjął go facet, który wynajął

posiadłość. Tata mówił, że widocznie chce mieć spokój od ludzi. Mama powiedziała, że pewnie zgrywa ważniaka.

– Przymknij się, Willy. Kupi pan coś? Tata powiedział, że nie możemy zamknąć straganu, dopóki nie sprzedamy towaru za trzydzieści dolarów.

– Kupię dynię. Jeśli mi dobrze wytłumaczycie, jak tam dojechać. Westchnęła teatralnie.

– Jedna dynia. Pięćdziesiąt centów. Rewelacja.

– A co powiecie na jedną dynię za pięć dolarów?

Wymienili spojrzenia i dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

– Może być.

Z moją kosztowną dynią, usadowioną na tylnym siedzeniu niczym mały pomarańczowy księżyc, ruszyłem z powrotem drogą, którą przyjechałem. Dziewczyna kazała mi wypatrywać dużego głazu z wymalowanym sprejem napisem METALLICA RZĄDZI. Zauważyłem go i zwolniłem do piętnastu na godzinę. Trzysta metrów za głazem dojechałem do bocznej drogi, którą wcześniej przeoczyłem. Była utwardzona, ale jej wylot zasłaniały gęste zarośla i opadłe liście. Wyglądało, jakby ktoś go zamaskował. Kiedy spytałem młodych straganiarzy, czy wiedzą, czym nowy lokator się zajmuje, wzruszyli ramionami.

– Tata mówił, że pewnie się dorobił na giełdzie – powiedziała dziewczyna. – Musi mieć dużo kasy, skoro stać go na taką chatę. Mama mówiła, że jest tam pewnie z pięćdziesiąt pokoiów.

– Po co pan do niego jedzie? – To chłopak.

Siostra szturchnęła go łokciem.

– Willy, nie bądź niegrzeczny.

– Jeśli jest tym, kim myślę, że jest, przed laty go znałem – powiedziałem. – I dzięki wam mam dla niego prezent. – Dźwignąłem dynię ze straganu.

– Na pewno zrobi z tego dużo placków – powiedział chłopak.

Albo halloweenową dekorację, pomyślałem, skręcając na drogę dojazdową do The Latches. Taką z jasną lampką elektryczną w środku zamiast świecy. Tuż za wydrążonymi oczami.

Z początku gałęzie ocierały się o boki samochodu, ale droga dojazdowa zaraz za skrzyżowaniem z szosą stała się szeroka i porządnie utwardzona. Wiła się serpentynami pod górę. Dwa razy musiałem się zatrzymać, żeby przepuścić brykające jelenie. Patrzyły na mój samochód bez lęku. Dawno nikt w tym lesie nie polował.

Po sześciu kilometrach stanąłem przed zamkniętą bramą z kutego żelaza, po której obu stronach wisiały tabliczki: z lewej WŁASNOŚĆ PRYWATNA, z prawej WSTEP WZBRONIONY. Na słupku z kamienia polowego zamontowany był domofon, a nad nim kamera wideo skierowana w dół, na dzwoniącego. Wcisnąłem guzik. Serce waliło mi mocno, pociełem się.

– Halo? Jest tam kto?

Z początku nic. I wreszcie:

– Czym mogę służyć? – Dźwięk był dużo czystszy niż w większości domofonów, wręcz krystaliczny, ale zważywszy na zainteresowania Jacobsa, to mnie nie zdziwiło. Głos nie należał do niego, lecz brzmiał znajomo.

– Ja do Daniela Charlesa.

– Pan Charles nie przyjmuje niezapowiedzianych gości – poinformował mnie domofon.

Przemyślałem to, po czym znowu wcisnąłem guzik mikrofonu.

– A Dan Jacobs? Pod takim nazwiskiem występował w Tulsa, gdzie prowadził jarmarczną atrakcję o nazwie Portrety Błyskawicą.

Głos ze skrzynki powiedział:

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, i jestem pewien, że pan Charles też nie.

Przyszło olśnienie i domyśliłem się, do kogo należy ten potoczysty tenor.

– Proszę mu powiedzieć, że nazywam się Jamie Morton, panie Stamper. I przypomnieć mu, że byłem świadkiem jego pierwszego cudu.

Nastąpiła długa, bardzo długa pauza. Myślałem, że to koniec rozmowy, co oznaczałoby, że zostałem na lodzie. No chyba żebym spróbował staranować bramę wynajętą małowitrazówką, a byłem prawie pewien, że z tego starcia brama wyszłaby zwycięsko.

Kiedy już miałem zrobić w tył zwrot, Al Stamper powiedział:

– Co to był za cud?

– Mój brat Conrad stracił głos. Wielebny Jacobs mu go przywrócił.

– Proszę spojrzeć w kamerę.

Zrobiłem to. Po kilku sekundach w domofonie rozległ się inny, dobrze mi znany głos.

– Zapraszam, Jamie – powiedział Charles Jacobs. – Niezmiernie się cieszę, że cię widzę.

Zamruczał elektryczny silnik i brama rozsunęła się na ukrytych szynach. Jak Jezus kroczący po Jeziorze Pokoju, pomyślałem, kiedy wsiadłem do samochodu i ruszyłem. Kilkadziesiąt metrów dalej był kolejny ostry zakręt, ale zanim go pokonałem, zobaczyłem, że brama się zamyka. Skojarzenie, które mi się nasunęło – pierwotni mieszkańcy rajy wygnani za zjedzenie niewłaściwego jabłka – nie było zaskakujące; w końcu wychowywałem się na Biblii.

The Latches był rozległą rezydencją, która być może rozpoczęła żywot jako dom w stylu wiktoriańskim, ale teraz stanowiła mieszaninę architektonicznych eksperymentów. Miała cztery kondygnacje, liczne szczyty i, na zachodnim krańcu, zaokrągloną, przeszkloną przybudówkę z widokiem na wąwozy, parowy i stawy w dolinie rzeki Hudson. Droga numer 27 biegła ciemną nitką przez pejzaż, który mienił się kolorami. Główny gmach był drewniany, z białymi wykończeniami, i dobrze się komponował z kilkoma dużymi budynkami gospodarczymi. Byłem ciekaw, w którym mieści się laboratorium Jacobsa. Za zabudowaniami robiło się coraz bardziej stromo; tam teren zajęty był przez las.

Pod portykiem, w miejscu, gdzie bagażowi niegdyś rozładowywali eleganckie samochody przyjeżdżających pijaków i bywalczyń salonów piękności, stał niepozorny ford taurus, który Jacobs zarejestrował pod własnym nazwiskiem. Zatrzymałem wóz za nim i wszedłem po schodach na ganek długości – takie miałem wrażenie – boiska futbolowego. Wyciągnąłem rękę do dzwonka, ale zanim go wcisnąłem, drzwi się otworzyły. Na progu stał Al Stamper w dzwonach rodem z lat siedemdziesiątych i podkoszulku w psychodelicznych barwach. Od czasu, kiedy widziałem go na spotkaniu przebudzeniowym, jeszcze bardziej się roztył; gabarytami niemal dorównywał przyczepie kempingowej.

– Dzień dobry, panie Stamper. Jamie Morton. Jestem wielkim fanem pańskiej wczesnej twórczości. – Podałem mu rękę.

Nie uściskał jej.

– Nie wiem, czego pan tu szuka, ale panu Jacobsowi nie można przeszkadzać. Ma dużo pracy, a ostatnio nie czuje się najlepiej.

– Panu Jacobsowi czy pastorowi Danny'emu? – spytałem (no dobrze, może trochę złośliwie).

– Proszę do kuchni. – Głos był ciepły, potoczny, stworzony do muzyki soul, ale twarz mówiła: Takim jak ty kuchnia musi wystarczyć.

Byłem skłonny się zgodzić, kuchnia rzeczywiście takim jak ja wystarczała, ale zanim mnie tam zaprowadził, inny głos, dobrze mi znany, krzyknął:

– Jamie Morton! Zawsze się zjawiasz w najbardziej dogodnych momentach!

Nadszedł korytarzem, lekko utykając, przechylony na prawą burtę. Jego włosy, teraz już prawie zupełnie białe, jeszcze bardziej cofnęły się ze skroni, odsłaniając połyskujące zakola. Niebieskie oczy patrzyły bystro jak zawsze. Wargi rozchyłały się w uśmiechu, który wyglądał (przynajmniej na moje oko) dość drapieżnie. Jacobs minął Stampera, jakby tego potężnego chłopiska w ogóle tam nie było, z wyciągniętą do mnie prawą ręką. Dziś nie nosił na niej obrączki, obrączkę miał za to na lewej dłoni: prostą, złotą, cienką i porysowaną. Byłem pewien, że jej bliźniaczka spoczywa w ziemi cmentarza w Harlow, na palcu, z którego do tej pory zostało niewiele więcej niż naga kość.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

– Jesteśmy daleko od Tulsy, co, Charlie?

Skinął głową, potrząsając moją dłońią jak polityk, który zabiega o głos wyborcy.

– Bardzo, bardzo daleko. Ile to już masz lat, Jamie?

– Pięćdziesiąt trzy.

– A co u twojej rodziny? Jak się miewają?

– Rzadko ich widuję, ale Terry nadal siedzi w Harlow, handluje olejem opałowym. Ma troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę. Już prawie dorośli. Con ciągle patrzy w gwiazdy na Hawajach. Andy zmarł kilka lat temu. Wylew.

– Bardzo mi przykro to słyszeć. Ale ty wyglądasz świetnie. Jak okaz zdrowia.

– Ty też. – To było wierutne kłamstwo. Pomyślałem przelotnie o trzech okresach w życiu Wielkiego Amerykańskiego Mężczyzny: młodości, wieku średnim i świetnie, kurde, wyglądasz.

– Masz już pewnie z... ile? Siedemdziesiąt lat?

– Niewiele się pomyliłeś. – Ciągle potrzasał moją ręką. Miał porządny, mocny uścisk, ale gdzieś pod jego skórą wyczuwałem lekkie drżenie. – A co u Hugh Yatesa? Nadal u niego pracujesz?

– Tak, i ma się dobrze. Słyszysz każdy szelest za ścianą.

– To wspaniale. Wspaniale. – Wreszcie puścił moją dłoń. – Al, Jamie i ja mamy wiele spraw do omówienia. Przyniósłbyś nam po lemoniadzie? Będziemy w bibliotece.

– Ale nie będziesz się forsował, prawda? Musisz mieć siły do pracy. – Stamper patrzył na mnie z nieufnością i niechęcią. Jest zazdrosny, pomyślałem. Od końca ostatniej pielgrzymki ewangelizacyjnej miał Jacobsa dla siebie i taki układ mu odpowiada.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoił Ala Jacobs. – Nic tak nie krzepi jak stary przyjaciel. Chodź ze mną, Jamie.

Zaprowadził mnie w głąb głównego korytarza; po lewej stronie minęliśmy jadalnię długości wagonu Pullmana, po prawej jeden–dwa–trzy salony, środkowy ozdobiony wielkim żyrandolem, który wyglądał jak rekvizyt z planu *Titanica* Jamesa Camerona. Przeszliśmy przez rotundę, w której wypolerowane drewno ustępowało miejsca wypolerowanemu marmurowi i nasze kroki zaczęły się odbijać echem. Dzień był bardzo ciepły, ale tu, w środku, było przyjemnie chłodno. Słyszałem jedwabisty szmer klimatyzatorów i zastanawiałem się, ile kosztuje chłodzenie tego domu w sierpniu, kiedy słońce dużo mocniej przypieka. Wspominając warsztat w Tulsy, uznałem, że pewnie bardzo mało.

Biblioteka była okrągłym pomieszczeniem na drugim końcu domu. Na wygiętych w łuk regałach stały tysiące książek, ale nie wyobrażałem sobie, jak przy takim widoku w ogóle można

cokolwiek czytać. Za zachodnią ścianą, całą ze szkła, rozciągała się panorama doliny rzeki Hudson wijącej się w oddali błyszczącą kobaltową wstęgą.

– Uzdrawianie to oplącalny interes. – Znów pomyślałem o Koziej Górze, tym miejscu zabaw ludzi zamożnych, ogrodzonym, by bronić dostępu do niego takim kmiotom jak rodzina Mortonów. Niektóre widoki można mieć tylko za pieniądze.

– Pod wieloma względami – przytaknął. – Nie muszę pytać, czy nadal nie bierzesz; poznają to po twojej cerze. I twoich oczach. – Przypomniał mi w ten sposób, ile mu zawdzięczam, poprosił, żebym usiadł.

Teraz, kiedy już naprawdę byłem tutaj, nie wiedziałem, jak i od czego zacząć. Zresztą nawet nie chciałem zaczynać, skoro Al Stamper – obecnie pełniący funkcje asystenta i lokaja – miał zaraz przynieść lemoniadę. Okazało się, że to żaden kłopot. Zanim wymyśliłem, jak tu zagaić jakąś bląhą pogawędkę dla zabicia czasu, były wokalista The Vo-Lites wszedł, jeszcze bardziej naburmuszony niż poprzednio. Postawił srebrną tacę na stoliku z drzewa wiśni między nami.

– Dziękuję, Al – rzekł Jacobs.

– Proszę bardzo. – Al Stamper mówił do szefa, mnie ignorował.

– Ładne spodnie – powiedziałem. – Przypominają czasy, kiedy Bee Gees dali sobie spokój z transcendentalnymi klimatami i przerzucili się na disco. Brakuje ci tylko butów na koturnach do kompletu.

Posłał mi spojrzenie, które niewiele miało wspólnego z soulem (ani chrześcijaństwem, swoją drogą), i wyszedł. Głośno tupiąc.

Jacobs sięgnął po szklankę i upił łyk. Widząc pływające na wierzchu kawałki mięszu, domyśliłem się, że lemoniada jest domowej roboty. A słysząc grzechot kostek lodu w chwili, kiedy odstawiał szklankę, wydedukowałem, że moje wcześniejsze wrażenie nie było mylne – ręce rzeczywiście mu drżały. Sherlock tego dnia nie miałby ze mną szans.

– To było nieuprzejme, Jamie – powiedział Jacobs, ale wydawał się rozbawiony. – Takie zachowanie nie przystoi gościowi, i to nieproszonemu. Laura wstydziłaby się za ciebie.

Puściłem wzmiankę o mojej matce – poczynioną z premedytacją, jestem tego pewien – mimo uszu.

– Czy jestem proszony, czy nie, miałem wrażenie, że się ucieszyłeś na mój widok.

– Oczywiście. Bo i czemuż by nie? Skosztuj lemoniady. Wyglądasz, jakby ci było gorąco. I, jeśli wolno mi być szczerym, jakbyś czuł się trochę nieswojo.

Tak się czułem, ale przynajmniej już się nie bałem. Byłem zły. Oto siedziałem w gigantycznym domu otoczonym gigantyczną połącią ziemi, na której bez wątpienia znalazło się miejsce dla basenu i pola golfowego – może teraz już zbyt zarośniętego, by na nim grać, ale tak czy tak stanowiącego część majątku. Tu Charles Jacobs mógł u schyłku życia w luksusowych warunkach prowadzić swoje eksperymenty. Gdzie indziej Robert Rivard stał w kącie pokoju, pewnie z założoną pieluchą, bo sposób załatwiania potrzeb fizjologicznych był ostatnio najmniejszym z jego zmartwień, Veronica Freeman jeździła do pracy autobusem, bo nie śmiała siadać za kierownicą, a Emil Klein być może nadal podjadał ziemię. No i była jeszcze Cathy Morse, ślicznotka z Oklahomy, która teraz leżała w trumnie.

„Spokojnie, białasku – przypomniałem sobie radę Bree. – Wrzuć na luz”.

Umoczyłem usta w lemoniadzie i odstawiłem ją z powrotem na tacę. Gdzież bym śmiał skalać kosztowne wykończenie stolika z drzewa wiśni; cholerstwo pewnie było zabytkiem.

I dobra, może jednak wciąż trochę się bałem, ale kostki lodu w mojej szklance nie grzechotały. Tymczasem Jacobs założył prawą nogę na lewą; zauważyłem, że musiał ją podnieść rękami.

– Artretyzm?

– Tak, ale znośny.
– Dziwne, że nie uleczyłeś się świętymi obrączkami. A może to podpadałoby pod samookaleczenie?

Bez słowa spojrział na malowniczy widok za szybą. Krzaczaste stalowoszare brwi – właściwie zrosnięte w jedną – ściągnęły się nad płonącymi niebieskimi oczami.
– A może boisz się następstw – drażyłem. – O to chodzi?
Uniósł dłoń w geście mówiącym „wystarczy”.
– Dość insynuacji. Wobec mnie nie musisz ich czynić, Jamie. Przeznaczenie zbyt mocno związało nas z sobą.
– W przeznaczenie wierzę nie bardziej niż ty w Boga.
Odwrócił się do mnie i raz jeszcze posłał mi ten uśmiech, który obnażał zęby, ale nie sięgał oczu.
– Powtarzam: dosyć. Ty mi powiesz, po co przyjechałeś, a ja ci powiem, dlaczego się cieszę, że cię widzę.
W sumie nie było co kombinować; musiałem powiedzieć, co miałem do powiedzenia, i tyle.
– Przyjechałem, by cię uprzedzić, że musisz przestać uzdrawiać.
Napił się lemoniady.
– A czemuż miałbym przestać, Jamie, skoro to przyniosło tyle dobra tak wielu?
Wiesz, dlaczego przyjechałem, pomyślałem. Po czym naszła mnie jeszcze bardziej nieprzyjemna myśl: Czekałeś na mnie.
Odpędziłem ją.
– Niektórym wcale nie wyszło to na dobre. – W tylnej kieszeni spodni miałem naszą listę główną, ale nie było potrzeby jej wyjmować. Znałem na pamięć nazwiska i skutki uboczne. Zacząłem od Hugh i jego przyzmatyk, po czym powiedziałem o ataku, którego doznał na spotkaniu przebudzeniowym w hrabstwie Norris.
Jacobs zbył to wzruszeniem ramion.
– To ze stresu. Od tego czasu miał jakieś ataki?
– Nic mi o tym nie mówił.
– Pewnie by powiedział, skoro przy ostatnim byłeś. Hugh ma się dobrze, jestem o tym przekonany. A co z tobą, Jamie? Odczuwasz do dziś jakieś skutki uboczne?
– Mam koszmary.
Prychnął z subtelną drwiną.
– Jak każdy, ze mną włącznie. Ale zaniki pamięci, których doświadczałeś, minęły, prawda? Podobnie jak niekontrolowany słowotok, ruchy miokloniczne i klucie się po rękach?
– Tak.
– No właśnie. Widzisz? Nic gorszego od bólu ramienia po szczepieniu.
– Och, myślę, że skutki uboczne u niektórych twoich wiernych są nieco gorsze.
Na przykład Robert Rivard. Pamiętasz go?
– Coś mi dzwoni, ale tak wielu uzdrowiłem.
– Z Missouri. Dystrofia mięśniowa. Wideo z nim było na twojej witrynie internetowej.
– A tak, już pamiętam. Jego rodzice przekazali mi niezwykle hojny dar serca.
– Dystrofia go opuściła, ale rozum też. Dziś Robert jest w szpitalu czasem nazywanym zagonem warzywnym.
– Bardzo mi przykro to słyszeć – powiedział Jacobs i znów się zapatrzył w pejzaż za oknem: stan Nowy Jork płonący barwami jesieni.
Wyliczyłem pozostałych, choć było oczywiste, że wiedział już wiele z tego, co mu

mówiłem. Tak naprawdę zaskoczyłem go tylko raz, na samym końcu, kiedy opowiedziałem o Cathy Morse.

– Jezu! Dziewczyna z wściekłym ojcem.

– Myślę, że wściekły ojciec tym razem nie poprzestałby na obiciu ci gęby. Gdyby cię znalazł, oczywiście.

– Może i tak, ale Jamie, nie widzisz szerszego obrazu. – Wychylił się do przodu, z dłońmi splecionymi między kościstymi kolanami, patrząc mi w oczy. – Uleczyłem mnóstwo nieszczęśliwych. Niektórzy... ci z zaburzeniami psychosomatycznymi... tak naprawdę, jak na pewno wiesz, wracają do zdrowia sami z siebie. Innych jednak uleczyła tajemna elektryczność. Choć zasługę przypisują Bogu, rzecz jasna.

Jego zęby obnażyły się na chwilę w wyzutym z wesołości spazmie uśmiechu.

– Pozwól, że przedstawię ci hipotetyczną sytuację. Przypuśćmy, że jestem neurochirurgiem i przychodzisz do mnie ze złośliwym nowotworem mózgu, bardzo trudnym, ale nie niemożliwym do zoperowania. Z zabiegiem wiąże się duże ryzyko. Założmy, że informuję cię, że jest... hmm... dwadzieścia pięć procent szans, że umrzesz na stole operacyjnym. Czy nie zdecydowałbyś się pójść pod nóż mimo to, świadom, że alternatywą są długie cierpienia, a po nich pewna śmierć? Pewnie, że tak. Błagałbyś, żebym cię zoperował.

Milczałem, bo jego tok rozumowania był bez zarzutu.

– Jak myślisz, ilu ludzi tak naprawdę uzdrowiłem zabiegami elektrycznymi?

– Nie wiem. Moja asystentka i ja wpisaliśmy na listę tylko tych, co do których mogliśmy mieć pewność. Była dość krótka.

Skinął głową.

– Dobra technika badawcza.

– Miło, że ci odpowiada.

– Mam własną listę i jest dużo dłuższa. Bo widzisz, ja poznaję, kiedy to się dzieje. Bez cienia wątpliwości. I z moich dalszych obserwacji wynika, że tylko nieliczni doświadczają niepożądanych następstw. Trzy, może pięć procent. W porównaniu z nowotworem mózgu, który podałem ci jako przykład, powiedziałbym, że ryzyko jest znikome.

Zostałem nieco w tyle, zatrzymałem się na słowach „z moich dalszych obserwacji”. Ja miałem tylko Briannę. On mógł liczyć na setki, może tysiące wyznawców, którzy ochoczo zgodziliby się śledzić losy uzdrowionych przez niego ludzi; wystarczyło, żeby poprosił.

– Poza Cathy Morse znalazłeś wszystkie przypadki, które wymieniłem, prawda?

Nie odpowiedział. Tylko mi się przyglądał. Bez śladu zwątpienia, z kamienną, niewzruszoną pewnością. Przemknęło mi przez myśl, że ten człowiek może być szalony.

– Oczywiście. Bo masz tych ludzi na oku. To twoje króliki doświadczalne, a kto by się przejmował tym, czy parę królików zachoruje albo umrze?

– To głęboko niesprawiedliwe.

– Nie sądzę. Odstawiasz tę religijną szopkę, bo gdybyś robił takie numery w laboratorium, które na pewno masz tu, w The Latches, władze aresztowałyby cię za eksperymentowanie na ludziach... i zabijanie niektórych z nich. – Patrzyłem mu prosto w oczy. – Prasa nazwałaby cię Josefem Mengele.

– Czy ktokolwiek nazywa neurochirurga Josefem Mengele tylko dlatego, że niektórzy jego pacjenci umierają?

– Ludzie nie przychodzą do ciebie z nowotworami mózgu.

– Niektórzy owszem, i wielu z nich dziś żyje i cieszy się życiem, zamiast leżeć w ziemi.

Czy zdarzało mi się podczas uzdrowień pokazywać fałszywe nowotwory? Tak i nie jestem z tego dumny, ale to było konieczne. Bo nie można pokazać czegoś, co po prostu znika. – Zamyślił się.

– To prawda, że większość przychodzących na spotkania przebudzeniowe nie była nieuleczalnie chora, ale takie niezagrażające życiu dolegliwości w pewnym sensie są gorsze. Można się z nimi męczyć całe lata. Niekiedy straszliwie. A ty zabierasz się do sądenia. – Smutno pokręcił głową, lecz w jego oczach nie było smutku. Była wściekłość.

– Cathy Morse nic nie bolało, nie zgłosiła się na ochotnika. Wyłowiłeś ją z tłumy, bo była seksowna. Bo chciałeś, żeby ćwoki miały na czym zawiesić oko.

Tak jak Bree, Jacobs zauważył, że Morse mogła się zabić z innych powodów. Szesnaście lat to szmat czasu. Wiele się mogło wydarzyć.

– Wiesz, że to nieprawda – powiedziałem.

Napił się ze swojej szklanki i odstawił ją dłonią, która teraz już wyraźnie się trzęsła.

– Ta rozmowa jest bezprzedmiotowa.

– Bo i tak nie przestaniesz?

– Bo już przestałem. C. Danny Jacobs więcej nie zorganizuje ani jednego spotkania przebudzeniowego. W tej chwili jest w internecie trochę dyskusji i spekulacji na temat tego jegomościa, ale ludzie mają krótką pamięć. Świat wkrótce o nim zapomni.

Skoro tak, przyjechałem tu tylko po to, żeby wyważyć otwarte drzwi. Zamiast przynieść mi ulgę, ta myśl pogłębiła mój niepokój.

– Za pół roku, może rok, strona internetowa zamieści informację, że pastor Jacobs zakończył działalność z uwagi na kłopoty zdrowotne. A potem zniknie z sieci.

– Dlaczego? Bo skończyłeś swoje badania?

Nie wierzyłem, by badania Charliego Jacobsa mogły się kiedykolwiek skończyć.

Odwrócił się i znów kontemplował widok za oknem. W końcu zdjął nogę z nogi i wstał, dźwigając się na poręczach krzesła.

– Chodź ze mną, Jamie. Chcę ci coś pokazać.

Al Stamper, góra sadła w spodniach z ery disco, siedział przy stole kuchennym. Sortował pocztę. Przed nim piętrzył się stos gofrów ociekających masłem i syropem. Obok stał karton po alkoholu, a na podłodze przy krześle trzy plastikowe pudła wypełnione po brzegi listami i paczkami. Patrzyłem, jak Stamper rozrywa szarą kopertę. Wytrząsnął z niej nabazgrany list, zdjęcie chłopca na wózku inwalidzkim i banknot dziesięciodolarowy. Włożył dychę do kartonu po dzinie i zajadając gofra, przejrzał list. Stojący obok niego Jacobs wydawał się jeszcze chudszy niż zwykle. Tym razem skojarzyli mi się nie z Adamem i Ewą, lecz z Flipem i Flapem.

– Namiot może i zwinąłeś – powiedziałem – ale widzę, że dary serca nadal przychodzą.

Stamper spojrzał na mnie ze złowrogą obojętnością – jeśli coś takiego istnieje – po czym wrócił do otwierania i sortowania korespondencji. I do gofrów.

– Czytamy każdy list – rzekł Jacobs. – Prawda, Al?

– Tak.

– A odpisujecie na każdy? – spytałem.

– Powinniśmy – burknął Stamper. – Przynajmniej ja tak uważam. I moglibyśmy, gdybym miał kogoś do pomocy. Wystarczyłaby jedna osoba, no i komputer na miejsce tego, który pastor Danny wyniósł do warsztatu.

– Rozmawialiśmy już o tym, Al – zachnął się Jacobs. – Gdybyśmy zaczęli korespondować ze wszystkimi, którzy proszą o pomoc...

– Nigdy byśmy nie przestali, wiem. Tak się tylko zastanawiam, co się stało z czynieniem Bożego dzieła.

– Przecież je czynisz. – Jacobs mówił łagodnie, ale oczy miał rozbawione, jakby patrzył

na psa robiącego sztuczkę.

Stamper bez słowa otworzył następną kopertę. W tej nie było zdjęcia, tylko list i banknot pięciodolarowy.

– Chodź, Jamie – powiedział Jacobs. – Niech pracuje w spokoju.

Z podjazdu przed domem zabudowania gospodarcze wydawały się schludne i zadbane, ale z bliska zobaczyłem, że deski miejscami się rozszczepiały, a wykończenia wymagały retuszu. Trawę bermudzką, przez którą szliśmy, niewątpliwie duży wydatek przy okazji ostatniej wizyty architekta zieleni, należało jak najszybciej skosić, żeby hektar trawnika nie zmienił się w łąkę.

Jacobs stanął.

– Jak myślisz, który budynek to moje laboratorium?

Wskazałem stodołę. Była z nich największa, rozmiarów mniej więcej warsztatu samochodowego, który wynajmował w Tulsa.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, że w miarę zbliżania się pierwszej próby atomowej w White Sands personel Projektu Manhattan stopniowo się kurczył?

Pokręciłem głową.

– W momencie wybuchu bomby kilka baraków z prefabrykatów, w których mieszkali pracownicy, stało pustych. Oto mała znana reguła pracy naukowej: im bliżej jesteś ostatecznego celu, tym mniejszego wsparcia potrzebujesz.

Poprowadził mnie w stronę budynku, który wyglądał jak skromna szopa na narzędzia, wyjął pęk kluczy i otworzył drzwi. Spodziewałem się, że w środku będzie gorąco, ale było tak chłodno jak w głównym domu. Wzdłuż ściany po lewej stronie ciągnął się stół warsztatowy, pusty, nie licząc kilku zeszytów i komputera Macintosh, w którym włączył się wygaszacz ekranu przedstawiający galopujące bez końca konie. Przed makiem stało krzesło, z wyglądu ergonomiczne i kosztowne.

Po prawej stronie szopy były regały zastawione skrzynkami przypominającymi posrebrzane kartony papierosów... tyle że kartony papierosów nie buczą jak wzmacniacze w trybie gotowości. Na podłodze stała jeszcze jedna skrzynka, pomalowana na zielono, wielkością zbliżona do minilodówki hotelowej. Na niej był monitor telewizyjny. Jacobs lekko klasnął w dłonie i ekran monitora rozbłysł. Ukazał się na nim szereg słupków – czerwonych, niebieskich i zielonych – które podnosiły się i opadały w rytmie nasuwającym skojarzenie z oddechem. Nie sądziłem, by pod względem walorów rozrywkowych mogło to zagrozić *Big Brotherowi*.

– Tu pracujesz?

– Tak.

– Gdzie sprzęt? Przyrządy?

Wskazał maca, potem monitor.

– Tu i tu. Ale najważniejsze mam... – Wycelował palec w skroń gestem człowieka, który udaje, że popełnia samobójstwo. – Tutaj. Jesteś w najnowocześniejszym ośrodku badań nad elektroniką na świecie. Wynalazki powstałe w Menlo Park Edisona błędną w porównaniu z odkryciami, jakich dokonałem w tym pomieszczeniu. To odkrycia, które mogą zmienić świat.

Czy byłaby to zmiana na lepsze? – zastanawiałem się. Nie podobała mi się rozmarzona, władcza mina, z jaką rozglądał się po tej szopie, która mnie wydawała się prawie pusta. A mimo to nie mogłem uznać jego słów za przechwałki człowieka, który żywi się złudzeniami. Czuło się, że w srebrnych kartonach i skrzynce wielkości lodówki drzemie moc. Wrażenie było takie, jakby

stać zbyt blisko elektrowni pracującej pełną parą, tak blisko, że z nadmiaru woltów metalowe plomby w zębach mrowią.

– Obecnie wytwarzam prąd metodą geotermiczną. – Poklepał zieloną skrzynkę. – To generator geosynchroniczny. Pod nim biegnie rura studzienna nie większa od takiej, jaka zaspokaja potrzeby średniej wielkości gospodarstwa mlecznego. A mimo to, pracując na pół mocy, ten generator może wytworzyć dość pary przegrzanej, by zaopatrzyć w prąd nie tylko The Latches, ale i całą dolinę rzeki Hudson. Przy pełnej mocy mógłby ugotować całą warstwę wodonośną jak wodę w imbryku. Co pewnie miałyoby się z celem. – Zaśmiał się serdecznie.

– Niemożliwe – powiedziałem. Ale oczywiście leczenie świętymi obrączkami nowotworów mózgu i przerwanym rdzeni kręgowym też było niemożliwe.

– Ależ możliwe, Jamie, zapewniam cię. Z nieco większym generatorem, zmontowanym z części, które można zamówić pocztą, mógłbym dostarczać elektryczność na całe Wschodnie Wybrzeże. – Powiedział to spokojnie; nie przechwalał się, tylko stwierdzał fakt. – Ale tego nie robię, bo produkcja energii mnie nie interesuje. Niech świat się dusi w swoich ściekach, na nic lepszego nie zasługuje. A dla moich celów, niestety, energia geotermiczna to ślepy zaułek. Nie wystarcza. – Spojrzał w zadumie na konie galopujące po ekranie monitora. – Więcej się spodziewałem po tym miejscu, zwłaszcza latem, kiedy... ale mniejsza z tym.

– I nic z tego nie jest zasilane elektrycznością, tak jak ją dzisiaj rozumiemy?

Spojrzał na mnie z rozbawieniem i pogardą.

– Oczywiście, że nie.

– Tylko tajemną elektrycznością.

– Tak. Tak ją nazywam.

– Rodzajem elektryczności, której od czasów Skryboniusza nikt nie odkrył. Dopóki nie zjawiał się ty. Pastor, którego konikiem było składanie zabawek na baterie.

– Och, ona jest znana. Czy raczej była. Ludvig Prinn wspomina o niej w *De Vermis Mysteriis* napisanej pod koniec piętnastego wieku. Nazywa ją *potestas magnum universum*, napędową siłą wszechświata. Prinn nawet cytuje Skryboniusza. Przez te wszystkie lata od wyjazdu z Harlow *potestas universum*, jej poszukiwania, dążenie do jej ujarznienia stały się treścią mojego życia.

Chciałem wierzyć, że to tylko mrzonki, ale uzdrowienia i dziwne trójwymiarowe portrety, które na moich oczach tworzył w Tulsa, dowodziły, że tak nie jest. Może to nie miało znaczenia. Może liczyło się tylko to, czy naprawdę odłożył C. Danny'ego Jacobsa do lamusa. Jeśli skończył z cudownymi uleczeniami, zrobiłem, co do mnie należało. Prawda?

Przybrał profesorski ton.

– Żeby zrozumieć, jak udało mi się zająć tak daleko i samodzielnie dokonać tylu odkryć, musisz sobie uzmysłowić, że nauka jest pod wieloma względami kapryśna jak moda. Eksplozja Trinity w White Sands miała miejsce w 1945 roku. Cztery lata później Rosjanie zdetonowali w Semipałatyńsku swoją pierwszą bombę atomową. W 1951 roku, w Arco w stanie Idaho, po raz pierwszy wykorzystano reakcję rozszczepienia jądra atomu do wytworzenia energii elektrycznej. W następnym półwieczu elektryczność stała się brzydką druhną, energia jądrowa zaś piękną panną młodą, do której wszyscy wzdychają. Wkrótce brzydką druhną stanie się rozszczepienie jądra atomowego, a piękną panną młodą – synteza jądrowa. Kurek z grantami i dotacjami na badania dotyczące teorii elektryczności został zakrecony. Co ważniejsze, wygasło zainteresowanie. Elektryczność postrzegana jest jako antyk, mimo że każde bez wyjątku nowoczesne źródło energii trzeba przetwarzać na ampéry i woltów!

Był to już nie wykład, lecz gniewna tyrada. Przemknęło mi przez myśl, że jestem w małym zamkniętym pomieszczeniu z autentycznym szalonym naukowcem.

– Pomimo jej potężnej mocy, która może leczyć i zabijać, pomimo że odmieniła życie każdego człowieka na tej planecie, i wreszcie pomimo że wciąż pozostaje niezrozumiana, poświęcone jej badania naukowe traktuje się z pobłażliwą pogardą! Neutrony są seksowne! Elektryczność to nuda, odpowiednik zakurzonego magazynu, z którego wyniesiono wszystko, co cenne, pozostawiając same bezwartościowe rupiecie. Jednak magazyn ten nie jest pusty. W jego głębi są nieodnalezione drzwi prowadzące do komnat, które niewielu widziało, komnat wypełnionych cudami nie z tej ziemi. I komnaty te nie mają końca.

– Charlie, zaczynasz mnie niepokoić. – To miało zabrzmieć żartobliwie, ale wyszło śmiertelnie poważnie.

Nie zwrócił na to uwagi, tylko zaczął kuśtykać w tę i we w tę między stołem warsztatowym a regałami, wpatrzony w podłogę. Ilekroć mijał zieloną skrzynkę, dotykał jej, jakby chciał się upewnić, że jest tam nadal.

– Tak, inni odwiedzili te komnaty. Nie jestem pierwszy. Na przykład Skryboniusz. I Prinn. Ale większość zachowała swoje odkrycia dla siebie, jak ja. Bo ta moc jest przeogromna. Właściwie niepoznawalna. Energia jądrowa? Phi! Śmiechu warte! – Dotknął zielonej skrzynki. – Gdyby to, co jest w środku, podłączyć do wystarczająco silnego źródła, energia jądrowa przy tym znaczyłaby tyle co pistolet na kapiszony.

Żałowałem, że nie przyniosłem z sobą lemoniady, bo zaschło mi w gardle. Musiałem odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos.

– Charlie, przypuśćmy, że wszystko, co mi mówisz, jest prawdą. Czy rozumiesz, z czym masz do czynienia? Jak to działa?

– Zasadne pytanie. Pozwól, że odpowiem własnym. Czy ty rozumiesz, co się dzieje, kiedy pstrykasz włącznikiem na ścianie? Czy umiałbyś przedstawić sekwencję zdarzeń, która kończy się rozproszeniem przez światło cieni w ciemnym pokoju?

– Nie.

– Wiesz chociaż, czy tym pstryknięciem zamykasz, czy otwierasz obwód elektryczny?

– Nie mam pojęcia.

– A jednak nigdy nie przeszkodziło ci to zapalić światła, prawda? Ani włączyć elektrycznej gitary, kiedy przychodziła pora grać?

– Zgoda, ale nigdy nie podłączałem się do wzmacniacza na tyle mocnego, że mógłby zaopatrzyć w prąd całe Wschodnie Wybrzeże.

Spojrzał na mnie z podejrzliwością tak mroczną, że wydawała się bliska obłądu.

– Jeśli to miała być jakaś aluzja, obawiam się, że jej nie rozumiem.

Sądziłem, że mówił prawdę, i to być może było najbardziej przerażające ze wszystkiego.

– Mniejsza z tym. – Chwyciłem go za ramiona, żeby przestał chodzić tam i z powrotem, i zczekałem, aż na mnie spojrzy. Tyle że nawet kiedy jego szeroko otwarte oczy spoczęły na mojej twarzy, wyglądało to raczej tak, jakby przenikał mnie wzrokiem na wylot. Znow pomyślałem: Ten człowiek nie jest już w pełni zdrow na umyśle.

– Charlie... skoro przestałeś uzdrawiać i nie chcesz zakończyć kryzysu energetycznego, to do czego właściwie dążysz?

Zrazu nie odpowiedział. Wydawał się pogrążony w transie. Wreszcie oderwał się ode mnie i znow zaczął chodzić od ściany do ściany, zamieniając się z powrotem w profesora wygłaszającego wykład.

– Urządzenia przesyłowe, których używam do uzdrawiania, przez lata miały wiele różnych wersji. Kiedy wyleczyłem Hugh Yatesa z głuchoty, stosowałem duże pierścienie powleczone złotem i palladem. Dziś wydają mi się śmiesznie przestarzałe, ot, kasety wideo w erze ściągania plików z internetu. Słuchawki, z których skorzystałem w twoim przypadku, były

mniejsze i mocniejsze. Zanim zjawileś się ze swoim uzależnieniem od heroiny, zastąpiłem pallad osmem. Osm jest tańszy... to plus, kiedy trzeba się liczyć z każdym centem, jak ja wtedy. Słuchawki działały, ale nie wyglądałyby dobrze na spotkaniu przebudzeniowym. Czy Jezus nosił słuchawki?

– Pewnie nie – odparłem – ale jako kawaler raczej nie nosił też obrączek.

Puścił moje słowa mimo uszu. Chodził tam i z powrotem jak więzień po celi. Albo paranoicy krążący po każdym wielkim mieście, ci, którzy chcą rozmawiać ze wszystkimi dookoła o CIA, ogólnoświatowym spisku żydowskim i tajemnicach różokrzyżowców.

– Wróciłem więc do pierścieni i dorobiłem im legendę, żeby stały się... strawne dla wiernych.

– Bajer, innymi słowy.

To przywróciło go do rzeczywistości. Uśmiechnął się szeroko i przez chwilę byłem w towarzystwie wielebnego Jacobsa, którego pamiętałem z dzieciństwa.

– Niech będzie, bajer. Wtedy już używałem stopu rutenu i złota, dzięki czemu pierścienie były znacznie mniejsze. I jeszcze potężniejsze. Wyjdziemy, Jamie? Jesteś jakiś nieswój.

– To fakt. Może nie rozumiem twojej energii, ale ją czuję. Prawie jakby krew mi się gotowała.

Zaśmiał się.

– Tak! Można rzec, że panuje tu isticie elektryzująca atmosfera! Ha! Mnie to odpowiada, no ale ja przywykłem. Chodźmy, odetchnijmy świeżym powietrzem.

Powietrze chyba nigdy nie pachniało bardziej słodko niż w chwili, kiedy ruszyliśmy z powrotem w stronę głównego domu.

– Jeszcze jedno pytanie, Charlie, jeśli nie masz nic przeciwko.

Westchnął, ale nie wyglądał na niezadowolonego. Po wyjściu z tej przyprawiającej o klaustrofobię klatki znów wydawał się normalny.

– Chętnie odpowiem, jeżeli potrafię.

– Mówisz ćwokom, że twoja żona i syn utonęli. Po co kłamiesz? Nie rozumiem, czemu to ma służyć.

Zatrzymał się i spuścił głowę. Kiedy ją podniósł, zobaczyłem, że spokój i normalność – a może tylko ich pozory – pierzchły bez śladu. Na jego twarzy malowała się furia tak głęboka, tak mroczna, że odruchowo cofnąłem się o krok. Wietrzyk zdmuchnął jego rzadziejące włosy na zryte bruzdami czoło. Jacobs odgarnął kosmyki, po czym przycisnął dłonie do skroni jak człowiek nękany potwornym bólem głowy. A mimo to, kiedy przemówił, jego głos był cichy, matowy. Rozważny, pomyślałbym, gdybym nie widział twarzy Jacobsa.

– Oni nie zasługują na prawdę. Nazwałś ich ćwokami, jakże trafnie. Odłożyli na bok swoje rozumy... często całkiem tęgie... i zawierzyli tej gigantycznej, oszukańczej firmie ubezpieczeniowej zwanej religią. Obiecuje im ona wiekiustą szczęśliwość po śmierci, jeśli za życia będą przestrzegać określonych reguł, i wielu próbuje, ale nawet to nie wystarcza. Kiedy przychodzi ból, pragną cudów. Dla nich jestem tylko szamanem, który dotyka ich magicznymi obrączkami, zamiast potrząsać nad nimi grzechotką z kości.

– Nikt nie ustalił, jak było naprawdę? – Dochodzenie, które prowadziłem z Bree, przekonało mnie, że Fox Mulder z *Archiwum X* co do jednego miał rację: prawda rzeczywiście gdzieś tam jest i w naszej epoce, w której prawie wszyscy żyją w domach ze szkła, odszukać ją może każdy, kto ma komputer połączony z internetem.

– Ty mnie w ogóle słuchasz? Oni nie zasługują na prawdę i wcale jej nie chcą. –

Uśmiechnął się, obnażając zęby, górną szczękę zwartą z dolną. – Nie chcą też ośmiu błogosławieństw ani Pieśni nad Pieśniami. Chcą tylko, żeby ich uleczyć.

Stamper nie podniósł głowy, kiedy szliśmy przez kuchnię. Dwa pudła z korespondencją były już puste, w tej chwili przeglądał trzecie. Karton po alkoholu wydawał się mniej więcej w połowie pełny. Było trochę czeków, przeważały jednak zmięte banknoty. Przypomniałem sobie, jak Jacobs porównał się do szamana. W Sierra Leone jego klienci staliby w kolejce pod drzwiami, niosąc w darze owoce, warzywa i kury z ukręconymi łbami. Zasada w gruncie rzeczy ta sama – chcecie zobaczyć sztuczkę, to płąćcie.

Kiedy wróciliśmy do biblioteki, Jacobs usiadł z grymasem i wypił resztę swojej lemoniady.

– Całe popołudnie będę sikał – powiedział. – To przekleństwo starości. A twoja wizyta, Jamie, ucieszyła mnie dlatego, że chcę cię zatrudnić.

– Co chcesz zrobić?

– Dobrze słyszałeś. Al wkrótce odchodzi. Nie jestem pewien, czy już to wie, ale ja wiem. Nie chce uczestniczyć w mojej pracy naukowej. Choć wie, że na niej opierają się moje uzdrowienia, brzydzi się jej.

Prawie powiedziałem: A jeśli słusznie?

– Mógłbyś przejąć jego obowiązki. Przeglądać pocztę, spisywać nazwiska i dolegliwości autorów listów, odkładać dary serca, raz w tygodniu jeździć do Latchmore i deponować czeki w banku. Do tego doszłoby odprawianie nieproszonych gości... ostatnio ich szeregi się przerzedziły, ale wciąż zjawia się co najmniej dziesięciu tygodniowo.

Spojrzał mi prosto w twarz.

– Mógłbyś też zrobić to, od czego Al się wymawia... pomóc mi pokonać ostatnie przeszkody dzielące mnie od celu. Jestem już bardzo blisko, lecz brakuje mi sił. Asystent byłby bezcenny, a nam w przeszłości dobrze się razem pracowało. Nie wiem, ile Hugh ci płaci, ale ode mnie dostaniesz dwa... nie, trzy razy tyle. Co ty na to?

W pierwszej chwili nie mogłem nic powiedzieć. Zamurowało mnie.

– Jamie, czekam.

Sięgnąłem po lemoniadę i tym razem topniejące resztki kostek lodu zagrzechotały. Napilem się, odstawiłem szklankę.

– Mówisz, że masz jakiś cel. Powiedz jaki.

Zamyślił się. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Jeszcze nie. Może kiedy zgodzisz się dla mnie pracować i trochę lepiej zrozumiesz moc i piękno tajemnej elektryczności.

Wstałem i wyciągnąłem do niego dłoń.

– Miło było cię znowu zobaczyć. – Jeszcze jeden oklepany tekst, kropelka smaru, żeby tryby się zupełnie nie zatarły, a przy tym kłamstwo dużo gorsze od zapewniania go, że świetnie wygląda. – Trzymaj się. I uważaj na siebie.

Podniósł się, ale nie uścisnął mojej ręki.

– Zawiodłeś mnie. I przyznam, rozgniewałeś. Przebyłeś kawał drogi, żeby zrugać zmęczonego starca, który kiedyś ocalił ci życie.

– Charlie, co będzie, jeśli tajemna elektryczność wymknie ci się spod kontroli?

– Nie wymknie się.

– Założę się, że to samo mówiła dyrekcja Czarnobyła.

– To więcej niż podłe. Wpuściłem cię do swojego domu, oczekując wdzięczności

i zrozumienia. Widzę, że na jedno ani drugie nie mam co liczyć. Al odprowadzi cię do wyjścia. Muszę się położyć. Jestem bardzo zmęczony.

– Charlie, ja jestem ci wdzięczny. Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Ale...

– Ale. – Jego twarz była kamienna i szara. – Zawsze jakieś ale.

– Pomijając tajemną elektryczność, nie mogę pracować dla kogoś, kto mści się na nieszczęśliwych ludziach, bo nie może się zemścić na Bogu za śmierć swojej żony i dziecka.

Szara twarz Jacobsa zbieleła.

– Jak śmiesz?!

– Może część z nich uzdrawiasz – powiedziałem – ale wszystkich równo olewasz. Idę. Pan Stamper nie musi mnie odprowadzać.

Ruszyłem do wyjścia. Właśnie szedłem przez rotundę, stukając obcasami w marmur, kiedy Jacobs zawołał za mną głosem spotęgowanym echem niosącym się po całej tej otwartej przestrzeni:

– To nie koniec, Jamie! Bynajmniej. Obiecuję ci to!

Stamper nie musiał też otwierać mi bramy; rozsunęła się automatycznie, kiedy do niej podjechałem. U wylotu drogi dojazdowej zatrzymałem się, zobaczyłem, że mam zasięg w komórce, i zadzwoniłem do Bree. Odebrała po pierwszym dzwonku i zanim zdążyłem otworzyć usta, zapytała, czy wszystko u mnie w porządku. Powiedziałem, że tak, po czym poinformowałem ją, że Jacobs zaproponował mi pracę.

– Poważnie?

– Tak. Odmówiłem...

– No ja myślę!

– Ale nie to jest najważniejsze. Twierdzi, że skończył ze spotkaniami przebudzeniowymi i uzdrawianiem. Sądząc z ogólnego naburmuszenia pana Ala Stamera, byłego członka The Vo-Lites, a obecnie osobistego asystenta Charliego, mówi prawdę.

– Czyli to koniec?

– Jak mawiał Samotny Jeździec do swojego wiernego indiańskiego kompana: „Tonto, nie tu już po nas”. – Pod warunkiem że nie wysadzi świata w powietrze przy użyciu swojej tajemnej elektryczności, pomyślałem.

– Zadzwoń, jak wrócisz do Kolorado.

– Jasne, kwiatuszku. Co tam w Nowym Jorku?

– Jest świetnie! – Entuzjazm, który słyszałem w jej głosie, sprawił, że poczułem się, jakbym miał dużo więcej niż pięćdziesiąt trzy lata.

Trochę pogadaliśmy o jej nowym życiu w wielkim mieście, po czym wrzuciłem bieg i zjechałem na szosę, kierując się z powrotem w stronę lotniska. Kilka kilometrów dalej zerknąłem w lusterko wsteczne i zobaczyłem pomarańczowy księżyc na tylnym siedzeniu.

Zapomniałem dać Charliemu dynię.

Dzwony weselne – Jak ugotować żabę – Zjazd rodzinny – „Radzę, żebyś to przeczytał”

Choć przez następne dwa lata rozmawiałem z Bree wiele razy, zobaczyłem się z nią ponownie dopiero dziewiętnastego czerwca 2011 roku, kiedy w kościele na Long Island stała się Brianną Donlin-Hughes. Wiele naszych rozmów telefonicznych dotyczyło Charlesa Jacobsa i jego niepokojących uzdrowień – znaleźliśmy kilku innych ludzi, którzy doświadczyli prawdopodobnych skutków ubocznych jego terapii – ale z biegiem czasu coraz bardziej skupialiśmy się na jej pracy i George’u Hughesie, którego poznała na imprezie i z którym wkrótce zamieszkała pod jednym dachem. Był wziętym radcą prawnym, Afroamerykaninem i właśnie skończył trzydziestkę. Nie wątpiłem, że matka Bree jest usatysfakcjonowana... na tyle, na ile samotna matka jedynaczki może być usatysfakcjonowana.

Tymczasem strona internetowa pastora Danny’ego zniknęła, a w sieci zrobiło się o nim cicho. Tu i ówdzie pojawiały się spekulacje, że zmarł albo trafił do jakiegoś prywatnego zakładu, prawdopodobnie pod przybranym nazwiskiem i chory na alzheimera. Do końca 2010 roku zdobyłem tylko dwie pewne informacje, obie interesujące, ale w sumie wnoszące niewiele. Al Stamper wydał płytę z piosenkami gospel zatytułowaną *Thank You Jesus* (gościnnie wystąpiła na niej między innymi idolka Hugh Yatesa, Mavis Staples), a The Latches znów oferowano na wynajem „upoważnionym osobom lub organizacjom”.

Charles Daniel Jacobs zapadł się pod ziemię.

Cała załoga Rancza Wolfjaw poleciała na zaślubiny gulfstreamem wyczarterowanym z tej okazji przez Hugh Yatesa. Mookie McDonald godnie reprezentował na ceremonii lata sześćdziesiąte, wystrojony w psychodeliczną koszulę z bufiastymi rękawami, spodnie rurki, zamszowe buty beatlesówki i chustę w tureckie wzory. Matka panny młodej wyglądała zgoła olśniewająco w wyszperanej w komisie klasycznej sukni od Ann Lowe i kiedy nowożeńcy wypowiadali słowa przysięgi, obficie zrosiła przypięty do gorsu bukietik łzami. Pan młody, wysoki, przystojny brunet, był jak żywcem przeniesiony z powieści Nory Roberts. Ucieliśmy sobie krótką, sympatyczną rozmowę na weselu, jeszcze zanim zakrapiane pogaduchy nieuchronnie przeszły w pijackie tańce. Nic nie wskazywało, by Bree powiedziała mu, że to ja jestem gruchotem z zardzewiałymi progami, na którym uczyła się jeździć, choć byłem pewien, że pewnego dnia to wyzna – najprawdopodobniej w łóżku, po wyjątkowo udanym seksie. Nie miałem nic przeciwko, bylebym nie musiał widzieć tego nieuchronnego męskiego przewrócenia oczami.

Ekipa z Nederland wróciła do Kolorado samolotem American Airlines, bo prezentem od Hugh dla nowożeńców był przelot gulfstreamem na Hawaje, gdzie mieli spędzić miesiąc miodowy. Kiedy oznajmił to podczas toastów, Bree pisnęła jak dziewięciolatka, poderwała się i go wyściskała. Jestem pewien, że w tej chwili wcale a wcale nie myślała o Charlesie Jacobsie, i bardzo dobrze. Moich myśli jednak nie opuścił nigdy, nie do końca.

Kiedy zrobiło się późno, zauważyłem, że Mookie szepnął coś liderowi zespołu weselnego, bardzo przyzwoitej blues-rockowej kapeli z obdarzonym mocnym głosem wokalistą i repertuarem bogatym w stare przeboje. Lider skinął głową, a potem spytał, czy chciałbym wejść na estradę i zagrać z nimi na gitarze parę kawałków. Kusiło mnie, ale lepsze anioły mojej natury

zwyciężyły i podziękowałem. Może człowiek nigdy nie jest za stary na rock and rolla, lecz z biegiem lat umiejętności maleją, a ryzyko zrobienia z siebie durnia na oczach ludzi rośnie.

Właściwie nie uważałem się za emeryta, ale przeszło rok nie grałem na żywo i w tym czasie uczestniczyłem w zaledwie trzech, może czterech sesjach nagraniowych, za każdym razem jako ostatnia deska ratunku. Na żadnej nie sprawiłem się najlepiej. Podczas odsłuchiwania jednej z nich zauważyłem, że perkusista się skrzywił, jakby ugryzł coś kwaśnego. Widząc, że na niego patrzę, powiedział, że bas się rozstroił. To była nieprawda i obaj to wiedzieliśmy. Jeśli niedorzeczne jest, by facet po pięćdziesiątce baraszkował w sypialni z kobietą tak młodą, że mogłaby być jego córką, to tym bardziej nie przystoi mu latać ze stratem po scenie i wymachiwać nogami w rytm *Dirty Water*. Mimo to z pewnym żalem i sporą nostalgią patrzyłem, jak chłopaki dają czadu.

Ktoś wziął mnie za rękę. Obejrzałem się i zobaczyłem Georgię Donlin.

– Jak bardzo ci tego brakuje, Jamie?

– Nie aż tak, jak bardzo to szanuję – powiedziałem – i dlatego tutaj siedzę. Chłopaki dobrze grają.

– A ty już nie?

Mimo woli przypomniałem sobie ten dzień, kiedy wszedłem do sypialni mojego brata Cona i usłyszałem, jak jego akustyczny gibson do mnie szepcze. Mówi mi, że mogę zagrać *Cherry, Cherry*.

– Jamie? – Pstryknęła mi palcami przed nosem. – Wracaj na ziemię.

– Dość dobrze, żeby mieć z tego frajdę – powiedziałem – ale czasy, kiedy wychodziłem na scenę z gitarą, minęły.

I tu się myliłem, jak się okazało.

W 2012 roku skończyłem pięćdziesiąt sześć lat. Hugh i jego długoletnia dziewczyna zabrali mnie na kolację. W drodze do domu przypomniałem sobie stary ludowy przepis – pewnie go znacie – jak ugotować żabę. Wkłada się ją do zimnej wody i zaczyna podgrzewać. Jeśli robi się to stopniowo, żaba jest za głupia, żeby wyskoczyć. Nie wiem, czy to prawda, ale uznałem, że to doskonała metafora starzenia się.

Za młodu patrzyłem na ludzi po pięćdziesiątce ze współczuciem i skrępowaniem: za wolno chodzili, za wolno mówili, oglądali telewizję, zamiast wybrać się do kina czy na koncert, przez udaną imprezę rozumieli kolację z sąsiadami zakończoną dość wcześnie, żeby pójść spać po wiadomościach o jedenastej. Jednak – jak to jest w przypadku większości innych pięćdziesięcio-, sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatków, którzy są we względnie przyzwoitej formie – gdy przyszła kolej na mnie, wcale nie było mi z tym źle. A to dlatego, że mózg się nie starzeje, choć, co prawda, to prawda, jego poglądy na świat mogą ulec skostnieniu i występuje większa tendencja do wygłaszania tyrad o starych dobrych czasach. (Los oszczędził mi przynajmniej tego, bo większość moich tak zwanych starych dobrych czasów spędziłem w narkotycznym ciągu). Myślę, że po pięćdziesiątce większość ludzi powoli wyzbywa się zwodniczych majaków dotyczących życia. Dni biegną coraz szybciej, coraz więcej człowieka boli, chód staje się coraz wolniejszy, pewne rzeczy to jednak rekompensują. Ogólny spokój pociąga za sobą docenienie tego, co się ma, i – w moim przypadku – determinację, by w pozostałym mi czasie być możliwie największym porządnikiem. To oznaczało rozlewanie zupy raz w tygodniu w schronisku dla bezdomnych w Boulder i pracę na rzecz trzech–czterech kandydatów na różne urzędy, którzy głosili radykalny pogląd, że Kolorado nie należy zalać betonem.

Wciąż od czasu do czasu spotykałem się z paniami. Wciąż dwa razy w tygodniu grałem w tenisa i pokonywałem na rowerze co najmniej dziesięć kilometrów dziennie, dzięki czemu miałem płaski brzuch i endorfiny w krwiobiegu. Jasne, przy goleniu widziałem wokół moich oczu i ust kilka zmarszczek więcej niż kiedyś, ale ogólnie miałem wrażenie, że prawie się nie zmieniam. Co oczywiście jest nieszkodliwym złudzeniem człowieka w jesieni życia. Dopiero kiedy latem 2013 roku wróciłem do Harlow, zrozumiałem prawdę: jestem kolejną żabą w garnku. Dobra wiadomość była taka, że na razie woda podgrzała się tylko częściowo; zła – że proces jest nieodwracalny. Trzy okresy w życiu mężczyzny to rzeczywiście młodość, wiek średni i jak to się, do cholery, stało, że się tak szybko zestarzałem?

Dziewiętnastego czerwca 2013 roku, równo dwa lata po ślubie Bree z George'em Hughesem i rok po narodzinach ich pierwszego dziecka, wróciłem do domu po średnio rewelacyjnej sesji nagraniowej i w skrzynce pocztowej znalazłem kopertę radośnie ozdobioną balonikami. Adres zwrotny był znajomy: RFD #2, Methodist Road, Harlow, Maine. Rozerwałem ją i moim oczom ukazało się zdjęcie rodziny mojego brata Terry'ego z podpisem: RADOŚĆ POMNOŻONA PRZEZ DWA! SERDECZNIE ZAPRASZAMY NA IMPREZĘ!

Długo się w nie wpatrywałem, bo moją uwagę przykuły białe włosy Terry'ego, rozrośnięty brzuch Annabelle oraz troje młodych dorosłych, ich dzieci. Mała dziewczynka, która kiedyś roześmiana, ze Smerfetką w ręku, biegła w samych obwisłych majtkach przez wodę tryskającą ze zraszacza, dziś była ładną młodą kobietą z dzieckiem – moją stryjeczną wnuczką, Carą Lynne – na ręku. Jeden z moich bratanków, ten chudy, wyglądał jak Con. Ten krzepki był niesamowicie podobny do naszego ojca... i trochę do mnie, biedaczysko.

Otworzyłem zaproszenie.

POMÓŻCIE NAM ŚWIĘTOWAĆ

DWIE WAŻNE OKAZJE

31 SIERPNIĄ 2013!

35. ROCZNICĘ ŚLUBU TERENCE'A I ANNABELLE!

1. URODZINY CARY LYNNE!

CZAS: 12.00 – ?

MIEJSCE: NAJPIERW W NASZYM DOMU,

POTEM W EUREKA GRANGE

WYŻERKA: DO SYTA!

ZESPÓŁ: THE CASTLE ROCK ALL-STARS

ALKOHOL: NIE PRZYNOŚIĆ WŁASNEGO!

PIWO I WINO BĘDĄ SIĘ LAĆ STRUMIENIAMI!

Pod spodem było kilka zdań skreślonych ręką mojego brata. Choć zaledwie miesiące dzieliły go od sześćdziesiątych urodzin, Terry pisał tymi samymi bazgrołami, za których sprawą jedna z nauczycielek w podstawówce wysłała go do domu z uwagą treści „Terence MUSI poprawić charakter pisma!” przypiętą spinaczem do wypisu ocen.

Cześć, Jamie! Przyjedź, dobra? Masz 2 mies., żeby wszystko zaplanować, więc nie przyjmę żadnych wymówek. Jeśli Connie może przyjechać z Hawajów, to Ty z Kolorado tym bardziej! Tęsknimy za Tobą, braciszku!

Terry może i tęsknił; jego rodzina mało mnie znała.

Wrzuciłem zaproszenie do wiklinowego kosza na drzwiach kuchni. Nazywałem go Przechowalnią, bo był pełen listów, na które – tak sobie mówiłem – może kiedyś odpiszę... co, jak zapewne wiecie, znaczyło, że nie zabiorę się do tego nigdy. Powiedziałem sobie, że nie mam ochoty wracać do Harlow, i może rzeczywiście tak było, ale mimo wszystko ciągnęło mnie do rodziny. Springsteen miał chyba trochę racji, kiedy napisał ten wers, że nie ma to jak więzy krwi.

Zatrudniałem sprzątaczkę Christine, która raz w tygodniu przychodziła odkurzyć podłogę, powycierać kurze i zmienić pościel (głupio mi było obarczać ją tym ostatnim obowiązkiem, bo przecież dawno temu nauczono mnie robić to samodzielnie). Była posepną staruszką i w dni jej wizyt zawsze przezornie wymykałem się z domu. Kiedy raz wróciłem po zakończonym sprzątanu, zobaczyłem, że Christine wygrzebała zaproszenie z Przechowalni i otwarte postawiła na stole kuchennym. Nigdy przedtem nic takiego nie zrobiła, uznałem to więc za znak od losu. Tego wieczoru usiadłem przy komputerze, westchnąłem i wysłałem do Terry'ego krótki e-mail: „Będę”.

To był niesamowity weekend. Wybawiłem się za wszystkie czasy i ledwo mogłem uwierzyć, że niewiele zabrakło, żebym się wymówił... albo nie odpowiedział na zaproszenie, co zapewne na dobre zerwałoby moje już i tak mocno nadszarpnięte więzi z rodziną.

W Nowej Anglii panował upał i samolotem niemiłosiernie trzęsło, kiedy w piątkowe popołudnie podchodził do lądowania na lotnisku Jetport w Portland. Do hrabstwa Castle jechałem wolno, ale nie dlatego, że był duży ruch. Musiałem po drodze oglądać wszystkie znajome z dawnych lat farmy, kamienne mury, sklep Brownie's, teraz już ciemny i zamknięty na głucho, i się nimi zachwycać. Zupełnie jakby moje dzieciństwo wciąż tu było, ledwo widoczne pod plastikową płachtą, która z upływem czasu stała się porysowana, zakurzona i zmatowiała.

Po szóstej wieczorem dotarłem do mojego rodzinnego domu. Dzięki dobudowanemu aneksowi powiększył się prawie dwukrotnie. Na podjeździe stała czerwona mazda, w której od razu rozpoznałem samochód wynajęty na lotnisku (jak mój ford eclipse), a na trawniku pikap z napisem OLEJ OPAŁOWY MORTONA, ozdobiony taką ilością krepiny i kwiatów, że wyglądał niczym platforma na karnawałowej paradzie. Oparta o przednie koła duża tablica oznajmiała:

WYNIK: TERRY I ANNABELLE 35,

CARA LYNNE 1! WYGRALI WSZYSCY!

TO TUTAJ JEST IMPREZA!

ZAPRASZAMY DO ŚRODKA!

Zaparkowałem wóz, wszedłem po schodkach, podniosłem pięść, żeby zapukać, pomyślałem: A co tam, przecież tu dorastałem, i po prostu otworzyłem drzwi.

Przez chwilę czułem się, jakbym wrócił do czasów, kiedy byłem w wieku jednocyfrowym. Moja rodzina siedziała stłoczona wokół stołu jadalnego jak w latach sześćdziesiątych, wszyscy naraz mówili, śmiali się i przekomarzali, podawali sobie kotlety, tłuczone ziemniaki i talerz z gotowanymi kolbami kukurydzy przykrytymi wilgotną ścierką do naczyń, żeby nie wystygły, tak jak robiła to nasza mama.

W pierwszej chwili nie poznałem dystyngowanego siwowłosego mężczyzny na końcu stołu od strony salonu, a już na pewno nie wiedziałem, kim jest siedzący obok niego przystojny brunet. Wtedy człowiek o wyglądzie emerytowanego profesora zauważył mnie i rozpromieniony zerwał się na nogi, a ja uświadomiłem sobie, że to mój brat Con.

– JAMIE! – krzyknął i wypadł zza stołu, omal nie zrzucając Annabelle, żony Terry’ego, z krzesła. Objął mnie niedźwiedzim uściskiem i obsypał moją twarz pocałunkami. Zaśmiałem się i poklepałem go po plecach. I nagle obok wyrósł Terry, złapał nas obu i trzech braci odstawiło coś w rodzaju niezdarnego *micwa tanc*, aż podłoga się zatrzęsała. Zobaczyłem, że Con płacze, i poczułem, że mnie też się troszkę zbiera na łzy.

– Przestańcie, chłopaki! – powiedział Terry, choć sam ciągle skakał. – Wylądujemy w piwnicy!

Skakaliśmy jeszcze przez jakiś czas. Miałem wrażenie, że tak trzeba. I to było w porządku. To było coś dobrego.

Con przedstawił przystojniaka, który zapewne był dwadzieścia lat od niego młodszy, jako swojego serdecznego przyjaciela z Wydziału Botaniki Uniwersytetu Hawajów. Uścisnąłem jego dłoń, ciekaw, czy zadali sobie trud, żeby wynająć oddzielne pokoje w Castle Rock Inn. Pewnie nie, to już nie te czasy. Nie pamiętam, kiedy do mnie dotarło, że Con jest gejem; pewnie w czasie, gdy on robił doktorat, a ja jeszcze grałem *Land of 1000 Dances* z The Cumberlands na Uniwersytecie Stanu Maine. Jestem pewien, że nasi rodzice wiedzieli o tym dużo wcześniej. Nie robili wokół tego szumu, więc my też nie. Dzieci można o wiele więcej nauczyć milczącym

przykładem niż nakazami i zakazami, tak przynajmniej sędzę.

Tata tylko raz wspomniał przy mnie o orientacji seksualnej swojego drugiego syna, pod koniec lat osiemdziesiątych. Musiało to wyrzucić na mnie duże wrażenie, bo w tamtym okresie byłem na prawie permanentnym haju i dzwoniłem do domu najrzadziej, jak się dało. Chciałem, by tata wiedział, że żyję, ale zawsze się bałem, że po moim głosie pozna, że jestem o krok od śmierci, z czym sam się wtedy właściwie pogodziłem.

– Co wieczór modłę się za Conniego – powiedział podczas tej rozmowy. – Cholerne AIDS. Zupełnie jakby naumyślnie to rozprzestrzeniali.

Los oszczędził Conniego i dziś mój brat wyglądał jak okaz zdrowia, choć nie sposób było nie zauważyć, że posunął się w latach, zwłaszcza kiedy siedział obok swojego przyjaciela z Wydziału Botaniki. Przed oczami mignęło mi wspomnienie Cona i Ronniego Paquette'a usadowionych ramię w ramię na kanapie w salonie i próbujących śpiewać w duecie *House of the Rising Sun*... to się nazywa próżny trud.

Wspomnienia musiały się choć częściowo odbić na mojej twarzy, bo Con uśmiechnął się szeroko, ocierając oczy.

– Ileż to lat minęło od naszych kłótni o to, czyja kolej przynieść pranie z podwórka, co?

– Za dużo – powiedziałem i znów pomyślałem o żabie zbyt głupiej, by zrozumieć, że woda w jej sadzawce na kuchence jest coraz cieplejsza.

Dołączyli do nas Terry i córka Annabelle, Dawn, z Carą Lynne na rękach. Oczy dziecka miały odcień, który nasza matka nazywała Błękitem Mortonów.

– Cześć, wujku Jamie. To twoja stryjeczna wnuczka. Jutro kończy roczek i z tej okazji wyrósł jej nowy ząb.

– Jest śliczna. Mogę ją potrzymać?

Dawn uśmiechnęła się nieśmiało do obcego człowieka, którego ostatnio widziała, kiedy jeszcze nosiła aparat na zębach.

– Możesz spróbować, ale zwykle drze się wniebogłose, kiedy ma do czynienia z kimś, kogo nie zna.

Wziąłem dziecko, gotów je oddać, gdy tylko się rozbeczy. Ale Cara Lynne obejrzała mnie uważnie, wyciągnęła rączkę i ścisnęła mój nos. A potem się zaśmiała. Moja rodzina wiwatowała i klaskała. Mała rozejrzała się zaskoczona, po czym znów popatrzyła na mnie oczami, które – przysięgłbym – były oczami mojej matki.

I raz jeszcze się zaśmiała.

Impreza nazajutrz miała właściwie tę samą obsadę, tylko z większą liczbą aktorów drugoplanowych. Niektórych rozpoznałem od razu, innych kojarzyłem tylko mgliście i dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że kilkoro z nich to dzieci ludzi, którzy dawno temu pracowali u mojego ojca, a dziś u Terry'ego. Imperium mojego brata się rozrosło; oprócz firmy handlującej olejem opałowym był właścicielem obejmującej całą Nową Anglię sieci małych sklepów spożywczych o nazwie Morton's Fast Shops. Brzydki charakter pisma nie przeszkodził mu osiągnąć sukcesu.

Ekipa cateringowa z Castle Rock urzędowała przy czterech grillach, nakładała na talerze hamburgery i hot dogi, którym towarzyszyła oszałamiająca obfitość sałatek i deserów. Piwo lało się strumieniami ze stalowych beczek, a wino z drewnianych. Kiedy pałaszowałem na podwórku nafaszerowaną bekonem bombę kaloryczną, jeden z akwizytorów Terry'ego – podpity, wesoły i wylewny – poinformował mnie, że do mojego brata należy też Splash City we Fryeburgu i tor wyścigowy Littleton w New Hampshire.

– Na tym torze złamanego centa nie zarabia – powiedział – ale sam wiesz, jaki on jest...
zawsze uwielbiał wyścigi samochodowe.

Przypomniało mi się, jak Terry pracował z naszym ojcem w garażu przy kolejnych wcieleniach Rakiety Szos, obaj w wymazanych smarem T-shirtach i obwisłych na tyłku kombinezonach, i nagle uświadomiłem sobie, że mój brat, ta wiejska mysz, która przez całe życie nie ruszyła się z rodzinnego sioła, jest zamożny. Może nawet bogaty.

Ilekoć Dawn przechodziła w pobliżu z Carą Lynne, mała wyciągała do mnie rękę. Ostatecznie to ja nosiłem ją przez prawie całe popołudnie i w końcu zasnęła mi na ramieniu. Widząc to, jej tata uwolnił mnie od brzemienia.

– Nie do wiary – powiedział, kładąc ją na kocu w cieniu największego drzewa na podwórku. – Zwykle boi się ludzi.

– To mi pochlebia – odparłem i pocałowałem zaczerwieniony od ząbkowania policzek dziecka.

Było dużo rozmów o starych czasach i starych dziejach, pogawędek nad wyraz zajmujących dla tych, którzy byli przy tym, o czym mowa, i koszmarne nudnych dla całej reszty. Trzymałem się z dala od piwa i wina, więc kiedy zabawa przeniosła się do oddalonej o sześć kilometrów Eureka Grange, zostałem wyznaczony na jednego z kierowców. Przez całą drogę walczyłem z dźwignią zmiany biegów potężnego pikapa, który należał do firmy Terry'ego. Trzydzieści lat nie prowadziłem auta z ręczną skrzynią i moi podpici pasażerowie – było ich dwunastu, wliczając w to siedmiu na pace – wyli ze śmiechu, ilekoć zwalniałem sprzęgło i samochodem szarpało. Cud, że nikt nie wypadł.

Ekipa cateringowa dotarła na miejsce przed nami i po bokach parkietu, który dobrze pamiętałem, rozstawione już były stoły z jedzeniem. Stałem i patrzyłem na ten przestwór wypolerowanego drewna, kiedy Con ścisnął moje ramię.

– Wracają wspomnienia, braciszku?

Pomyślałem o tym, jak pierwszy raz wyszedłem na estradę, śmiertelnie przerażony, wdychając smród potu buchający falami spod moich pach. I o mamie i tacie tańczących walca, kiedy graliśmy *Who'll Stop the Rain*.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – powiedziałem.

– Oj, chyba wiem – odparł i mnie wyściskał. Po czym szepnął mi na ucho raz jeszcze: – Chyba wiem.

Na lunchu w domu było może siedemdziesięciu ludzi; o siódmej w Eureka Grange No. 7 zebrało się dwa razy tyle i aż żal, że w sali nie zainstalowano magicznej klimatyzacji Charliego Jacobsa, żeby wspomóc ospałe wentylatory pod sufitem. Wziąłem deser, który wciąż pozostawał specjalnością Harlow – galaretka limonkowa z kawałkami owoców z puszki – i wyniosłem go na zewnątrz. Wyszedłem za róg budynku, zjadając galaretkę plastikową łyżeczką, i zobaczyłem wyjście pożarowe, pod którym pierwszy raz pocałowałem Astrid Soderberg. Pamiętałem, jak podbita futrem parka obramowywała idealny owal jej twarzy. Pamiętałem truskawkowy smak jej szminki.

„Było dobrze?”, spytałem. A ona odpowiedziała: „Spróbuj jeszcze raz, to ci powiem”.

– Hej, kocie! – Głos dobiegł tuż zza moich pleców. Aż podskoczyłem. – Chcesz dziś zagrać parę kawałków?

W pierwszej chwili go nie poznałem. Tyczkowaty, długowłose nastolatek, który zwerbował mnie na gitarzystę rytmicznego Chrome Roses, dziś był łysy na czubku głowy i siwy po bokach, z wielkim bandziochem wylewającym się z ciasno zapiętych spodni. Patrzyłem

na niego nad papierową miseczką galaretki luźno zwisającą u dłoni.

– Norm? Norm Irving?

Uśmiechnął się tak szeroko, że w głębi jego ust błysnęły złote zęby. Wypuściłem galaretkę z ręki i porwałem go w objęcia. Zaśmiał się i odwzajemnił uścisk. Powiedzieliśmy sobie, że świetnie wyglądamy. Powiedzieliśmy sobie, że za długo się nie widzieliśmy. No i oczywiście powspominaliśmy stare czasy. Norm powiedział, że zmajstrował dziecko Hattie Greer i się z nią ożenił. Małżeństwo przetrwało tylko kilka lat, ale po okresie porozwodowej zimnej wojny postanowili oddzielić przeszłość grubą kreską i zostać przyjaciółmi. Ich córka Denise dziś dobijała do czterdziestki i prowadziła własny zakład fryzjerski w Westbrook.

– I jest już na swoim, spłaciła wszystkie kredyty. Mam dwóch chłopaków z drugą żoną, ale tak między nami mówiąc, Deenie to moje oczko w głowie. Hattie ma syna z drugim mężem. – Nachylił się ku mnie z ponurym uśmiechem. – Gówniarz co rusz ląduje w pierdłu. Posłałbym go do czorta, ale szkoda pieniędzy na znaczek.

– Co u Kenny’ego i Paula?

Kenny Laughlin, nasz basista, też poślubił swoją sympatię z czasów Chrome Roses i byli małżeństwem do tej pory.

– Prowadzi agencję ubezpieczeniową w Lewiston. Nieźle mu się wiedzie. Jest tu dzisiaj. Nie widziałeś go?

– Nie. – Chociaż może widziałem, tylko go nie poznałem. Ani on mnie.

– A co do Paula Boucharda... – Norm pokręcił głową. – Wspiął się w parku stanowym Acadia i spadł. Żył jeszcze dwa dni, zanim odszedł. To było w 1990 roku. Pewnie to i lepiej. Lekarze mówili, że gdyby przeżył, byłby sparalizowany od szyi w dół. Tetraplegia, tak to się nazywa.

Przelotnie wyobraziłem sobie, że nasz dawny perkusista pozostał przy życiu. Że dziś leży w łóżku, oddycha za pomocą respiratora i ogląda pastora Danny’ego w telewizji. Odpędziłem tę myśl.

– A co u Astrid? Wiesz, gdzie się podziewa?

– Gdzieś na wschodzie. W Castine? Rockland? – Pokręcił głową. – Nie pamiętam.

Rzuciła studia, żeby wyjść za mąż, i rodzice się na nią wkurzyli. Pewnie wkurzyli się podwójnie, kiedy wzięła rozwód. Zdaje się, że prowadzi restaurację, jedną z tych bud z homarami, ale nie powołuj się na mnie. Szaleliście za sobą, co?

– Tak – powiedziałem. – Szaleliśmy.

Skinął głową.

– Młodzieńcza miłość. Nic na tym świecie się z nią nie równa. W sumie nie wiem, czy chciałbym zobaczyć, jak Astrid Soderberg dziś wygląda, ale w tamtych czasach była z niej prawdziwa żyleta. Prawdziwy dynamit. Dobrze mówię?

– Tak. – Pomyślałem o zniszczonej chałupie obok Skytop. I o żelaznym słupie. O tym, jak trafiony piorunem świecił na czerwono. – Tak, to prawda.

Chwilę pomilczeliśmy, po czym klepnął mnie w ramię.

– W każdym razie co ty na to? Zagrasz z nami? Lepiej się zgódź, bo bez ciebie kapela będzie do niczego.

– Jesteś w tym zespole? W The Castle Rock All-Stars? Kenny też?

– Jasne. Ostatnio mało gramy... nie to, co w starych czasach... ale tej oferty nie mogliśmy odrzucić.

– To mój brat Terry cię na mnie nasłał?

– Może skrycie miał nadzieję, że zagrasz kawałek czy dwa, ale nie. Po prostu chciał wynająć zespół z dawnych lat, a ja i Kenny właściwie jako jedyni z tamtej epoki jeszcze żyjemy,

mieszkamy na tym zadupiu i gramy. Naszym gitarzystą rytmicznym jest stolarz z Lisbon Falls, lecz w zeszłą środę spadł z dachu i połamano sobie nogi.

– Au – powiedziałem.

– Jego au, mój zysk – stwierdził Norm Irving. – Mieliliśmy zagrać jako trio, co, jak wiesz, jest do dupy. Trzech z czterech członków Chrome Roses to całkiem niezłe, zważywszy, że ostatni koncert daliśmy na zabawie Policyjnego Towarzystwa Sportowego w mieście ponad trzydzieści pięć lat temu. Chodź więc. Zreaktywujmy zespół. Trasa w oryginalnym składzie i tak dalej.

– Norm, nie mam gitary.

– W samochodzie mam trzy – powiedział. – Wybierz sobie, którą chcesz. Tylko pamiętaj, nadal zaczynamy od *Hang On, Sloopy*.

Na scenie powitał nas entuzjastyczny, wzmocniony alkoholem aplauz. Kenny Laughlin, chudy jak zawsze, ale teraz z kilkoma niezbyt ładnymi pieprzykami na twarzy, przestał majstrować przy pasku swojego fendera p-bass, podniósł głowę i stuknęliśmy się pięściami. Nie miałem tremy jak wtedy, kiedy pierwszy raz stałem na tej scenie z gitarą w rękach, lecz czułem się, jakbym śnił wyjątkowo wyrazisty sen.

Norm ustawił sobie mikrofon jedną ręką, jak zawsze, i zwrócił się do publiczności, która czekała, by zatańczyć rock and rolla jak za dawnych lat.

– Panie i panowie, na perkusji mamy napisane „Castle Rock All-Stars”, ale dziś na gitarze rytmicznej zagra z nami specjalny gość i dlatego przez najbliższych parę godzin znowu jesteśmy Chrome Roses. Dawaj, Jamie.

Pomyślałem o pocałunku z Astrid pod schodami pożarowymi. Pomyślałem o zardzewiałym mikrobusie i ojcu Norma, Cicero, siedzącym na sfatygowanej kanapie w starej przyczepie mieszkalnej, zawijającym marychę w papierki Zig-Zag i mówiącym mi, że jak chcę zdać na prawo jazdy za pierwszym razem, to muszę skrócić te swoje kudły. Pomyślałem o występach na młodzieżowych potańcówkach w RolloDrome w Auburn i o tym, jak nie schodziliśmy ze sceny, kiedy wybuchały nieuniknione rozróby czy to między dziećmi z liceum Edwarda Little’a a tymi z liceum w Lisbon, czy też między grupami z liceum w Lewiston i liceum Świętego Dominika; po prostu graliśmy głośniej. Pomyślałem o tym, jak wyglądało moje życie, zanim sobie uświadomiłem, że jestem żabą w garnku.

Krzyknąłem:

– Raz i dwa, i wiecie, co i jak!

Zagraliśmy.

W E-dur.

E to podstawa.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia pewnie gralibyśmy do pierwszej w nocy – wtedy zaczynała się godzina policyjna dla nieletnich – ale to już nie były lata siedemdziesiąte. O jedenastej byliśmy złani potem i wyczerpani. To nic; na polecenie Terry’ego o dziesiątej zabrano wino i piwo, a bez wody ognistej tłum szybko się przerzedził. Większość tych, którzy zostali, wróciła na swoje miejsca, chętni dalej słuchać, ale zbyt zziębnięci, żeby tańczyć.

– Jesteś dużo lepszy niż kiedyś, kocie – powiedział Norm, kiedy chowaliśmy instrumenty.

– Ty też. – Co było równie dużym kłamstwem jak „świetnie wyglądasz”. W wieku czternastu lat za nic w świecie nie uwierzyłbym, że przyjdzie dzień, gdy będę lepszym gitarzystą rockowym od Normana Irvinga, ale dzień ten przyszedł. Norm posłał mi uśmiech na znak, że wie

to, co lepiej niech pozostanie niewypowiedziane. Podszedł do nas Kenny i trzej żyjący członkowie Chrome Roses złączyli się w uścisku, który w czasach licealnych nazwalibyśmy „pedalskim”.

Przyszedł Terry wraz z Terryem Juniorem, najstarszym synem. Mój brat wydawał się zmęczony, ale i niewymownie szczęśliwy.

– Słuchaj, Con i jego przyjaciel zabrali ludzi z Castle Rock, którzy wypili za dużo, żeby prowadzić. Odwiozłbyś towarzystwo z Harlow moim pikapem, jeśli pożyczę ci Terry’ego Juniora w charakterze drugiego pilota?

Powiedziałem, że chętnie. Po ostatnim pożegnaniu z Normem i Kennym (któremu towarzyszyła wymiana tych dziwaczkich uścisków śniętej ryby, charakterystycznych dla muzyków) zgarnąłem moją grupę pijaków i pojechałem. Przez pewien czas bratanek pokazywał mi drogę, choć tego nie potrzebowałem, nawet po ciemku, ale kiedy wysadziłem ostatnie dwie-trzy pary na Stackpole Road, zamilkł. Spojrzałem w bok i zobaczyłem, że chłopak oparł głowę o szybę od strony pasażera i twardo śpi. Obudziłem go, kiedy zajechaliśmy przed dom na Methodist Road. Pocałował mnie w policzek (nawet sobie nie wyobrażał, jak głęboko mnie tym wzruszył) i poszedł chwiejnym krokiem do środka, gdzie pewnie miał zwyczajem młodzieży spać do południa w niedzielę. Byłem ciekaw, czy zajął mój stary pokój, i stwierdziłem, że pewnie nie; niechybnie rozlokował się w nowym aneksie. Czas wszystko zmienia. Może to i dobrze.

Powiesiłem kluczyki do pikapa na wieszaku w przedpokoju i poszedłem do mojego wynajętego auta. Zauważyłem, że w stodole palą się światła. Zajrzałem do środka i zobaczyłem Terry’ego. Przebrał się ze stroju imprezowego w kombinezon. Jego najnowsza zabawka, chevy SS z końca lat sześćdziesiątych albo początku siedemdziesiątych, lśniła w blasku podwieszonych pod sufitem lamp niczym niebieski klejnot. Woskował karoserię.

Podniósł głowę, kiedy wszedłem.

– Na razie nie mogę zasnąć. Za dużo emocji. Trochę popucuję to cacko i idę spać.

Przesunąłem dłonią po masce.

– Piękny.

– Żałuj, że nie widziałeś, jak wyglądał, kiedy go kupiłem na licytacji w Portsmouth.

Ludzie uważali, że to trup, ale ja uznałem, że da się go przywrócić do życia.

– Przebudzić – powiedziałem. Tak naprawdę nie do Terry’ego.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu i wzruszył ramionami.

– Można i tak to nazwać. Trzeba tylko zamontować nową skrzynię biegów i już będzie prawie na chodzie. Nie przypomina starych Rakiet Szos, co?

Zaśmiałem się.

– Pamiętasz, jak pierwsza koziółkowała na torze wyścigowym?

Terry przewrócił oczami.

– Na pierwszym okrążeniu. Pieprzony Duane Robichaud. Chyba dostał prawo jazdy w Sears and Roebuck.

– Mieszka tu jeszcze?

– Nie, umarł dziesięć lat temu. Co najmniej dziesięć. Rak mózgu. Kiedy go wykryli, biedak nie miał już żadnych szans.

„Przypuścimy, że jestem neurochirurgiem – powiedział Jacobs tamtego dnia w The Latches. – Przypuścimy, że informuję cię, że jest dwadzieścia pięć procent szans, że umrzesz na stole operacyjnym. Czy nie zdecydowałbyś się pójść pod nóż mimo to?”

– To smutne.

Skinął głową.

– Pamiętasz, co mawialiśmy, kiedy byliśmy mali? „Co jest smutne? Życie. Co to jest

»Życie«? Taka gazeta. Ile kosztuje? Piętnaście centów. Mam tylko dziesięć. To smutne. Co jest smutne? Życie». I tak w kółko.

– Pamiętam. Wtedy sądziliśmy, że to żart. – Zawahałem się. – Myślisz czasem o Claire, Terry?

Wrzucił szmatę do kubła i poszedł umyć ręce w zlewie. Były dwa kurki, nie, jak kiedyś, jeden z zimną wodą. Odkręcił je i zaczął mydlić ręce. Po łokcie, jak uczył nas tata.

– Kurczę, co dzień. O Andym też myślę, ale rzadziej. To była, jak to mówią, naturalna kolej rzeczy, chociaż może pożyłby trochę dłużej, gdyby nie nadmierne zamięłowanie do noża i widelca. Ale to, co spotkało Claire... to było po prostu nie w porządku, do cholery. Wiesz?

– Tak.

Oparł się o maskę chevy SS, patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

– Pamiętasz, jaka była piękna? – Wolno pokręcił głową. – Nasza piękna siostra. Ten bydlak... ten potwór pozbawił ją tylu lat, które miała przed sobą, a sam wybrał wyjście tchórza. – Przesunął dłonią po twarzy. – Lepiej nie mówmy o Claire. Za bardzo się rozklejam.

Też się rozklejałem. Claire, która była na tyle starsza ode mnie, że widziałem w niej kogoś w rodzaju zapasowej mamy. Claire, nasza piękna siostra, która nigdy nikogo nie skrzywdziła.

Przeszliśmy przez podwórko, wsłuchani w cykanie świerszczy w wysokiej trawie. Zawsze robią najwięcej hałasu pod koniec sierpnia i na początku września, jakby wiedziały, że lato się kończy.

Terry przystanął u podnóża schodków i zobaczyłem, że jego oczy wciąż są mokre. Miał za sobą udany, ale przy tym długi i stresujący dzień. Źle, że na jego zakończenie przypomniałem mu o Claire.

– Zostań na noc, braciszku. Rozłoży się kanapę.

– Nie – powiedziałem. – Obiecałem Conniemu, że rano zjem w Inn śniadanie z nim i jego partnerem.

– Partnerem. – Przewrócił oczami. – Też coś.

– Bez takich, Terence. To już nie dwudziesty wiek. Dziś, gdyby chcieli, mogliby wziąć ślub w dwunastu stanach. Z tym włącznie.

– Och, to mi nie przeszkadza, nie moja sprawa, kto się z kim żeni, ale ten facet to żaden partner bez względu na to, co Connie myśli. Od razu widać, że leci tylko na kasę. Chryste, jest o połowę młodszy od Cona.

Na te słowa pomyślałem o Briannie, która była nawet więcej niż o połowę ode mnie młodsza. Ale nie leciała na kasę. Co to, to nie.

Uściskałem Terry'ego i pocałowałem w policzek.

– Do zobaczenia jutro. Na lunchu, zanim pojadę na lotnisko.

– Jasne. I... Jamie, świetnie dziś wymiatałeś na gitarze.

Podziękowałem mu i poszedłem do samochodu. Kiedy otwierałem drzwi, Terry mnie zawołał. Odwróciłem się.

– Pamiętasz ostatnie nabożeństwo wielebnego Jacobsa? Na którym wygłosił to, jak je nazywaliśmy, Straszne Kazanie?

– Tak – powiedziałem. – Pamiętam doskonale.

– Wszyscy wtedy byliśmy w takim szoku i uznaliśmy, że przemawiała przez niego rozpacz po stracie żony i synka. Ale wiesz co? Kiedy myślę o Claire, mam ochotę znaleźć Jacobsa i uścisnąć mu dłoń. – Terry ramiona, masywne jak ramiona naszego ojca, zaplótł na piersi. – Bo teraz myślę sobie, że postąpił odważnie, mówiąc to wszystko. Że każde jego słowo to była święta prawda.

Terry może i się wzbogacił, ale pozostał oszczędny i w niedzielę na lunch były resztki z imprezy. Przez prawie cały posiłek trzymałem Carę Lynne na kolanach i karmiłem ją kawałeczek po kawałeczku. Kiedy zbierając się do wyjścia, oddałem ją Dawn, mała wyciągnęła do mnie rękę.

– Nie, kochanie – powiedziałem, całując to niewiarygodnie gładkie czołko – muszę jechać.

Miała w repertuarze może z dziesięć słów – jednym z nich teraz już było moje imię – ale gdzieś czytałem, że małe dzieci rozumieją dużo więcej, niż się wydaje. Wiedziała, co mówię. Zmarszczyła buzię, łzy nabiegły do tych niebieskich oczu w tym samym odcieniu, co oczy mojej matki i nieżyjącej siostry, i Cara Lynne znów wyciągnęła do mnie rączki.

– Pospiesz się – powiedział Con – bo będziesz ją musiał adoptować.

Poszedłem więc. Z powrotem do wynajętego samochodu, z powrotem na lotnisko Jetport w Portland, z powrotem na lotnisko w Denver, z powrotem do Nederland. Ciągle jednak myślałem o tych wyciągniętych do mnie pulchnych rączkach i tych wypełnionych łzami oczach koloru Błękitu Mortonów. Miała zaledwie roczek, ale chciała, żebym został dłużej. Chyba właśnie po tym człowiek poznaje, że jest w domu, bez względu na to, jak bardzo się od niego oddalił i jak długo przebywał gdzie indziej.

Dom jest tam, gdzie chcą, żebyś został dłużej.

Zima 2013/2014 była dobra dla nękanych suszą farmerów amerykańskiego Zachodu, ale fatalna dla nas, górali. Ośrodki narciarskie, które zazwyczaj wtedy mają największy ruch w interesie, musiały się ratować sztucznym śniegiem. Opadów nie brakowało, lecz aż do marca miały u nas tylko postać deszczu. Wreszcie – kiedy większość miłośników białego szaleństwa już opuściła Vail, Aspen, Steamboat Springs i naszą Eldora Mountain – przyszła wiadomość, że nadciąga potężna śnieżycyca. Przypadająca na nas część sławetnego Wiru Polarnego zrzuciła już ponad metr śniegu na Greeley.

Większość dnia spędziłem w Wolfjaw, gdzie pomagałem Hugh i Mookiemu zabezpieczyć studia i dom. Zostałem dotąd, aż wiatr zaczął przybierać na sile i z ołowianego nieba sypnęły pierwsze tumany śniegu. Wtedy wyszła do nas Georgia ubrana w ciepłą roboczą kurtkę, nauszniki i czapkę z napisem „Ranczo Wolfjaw” nad daszkiem. Jej mina wróżyła, że ktoś zaraz dostanie burę.

– Wyślij chłopaków do domu – powiedziała do Hugh. – Chyba że chcesz, żeby gdzieś na poboczu utknęli do czerwca.

– Jak ekspedycja Donnera – stwierdziłem. – Ale Mookiego bym nie zjadł. Za żyłasty.

– No już, spadajcie – nakazał Hugh. – Tylko przed odjazdem sprawdźcie, czy studia są dobrze pozamykane.

Zrobiliśmy to i na wszelki wypadek sprawdziliśmy też stajnię. Znalazłem nawet czas, żeby oddzielić konie kawałkami jabłka. Mój ulubieniec Bartleby już od trzech lat nie żył. Kiedy podrzuciłem Mookiego do jego pensjonatu, sypał gęsty śnieg i wiatr dał czterdziestką, jeśli nie mocniej. Centrum Nederland opustoszało, sygnalizatory świetlne kołysały się, a w drzwiach wcześniej zamkniętych sklepów powstawały zaspas.

– Zasuwał do domu! – zawołał Mookie, przekrzykując wiatr. Usta i nos miał przewiązane chustą; wyglądał jak leciwy bandyta.

Usłuchałem jego rady. Przez całą drogę wiatr walił w mój samochód niczym rozeźlony

szkolny łobuz. Pchał mnie jeszcze mocniej, kiedy szedłem chodnikiem do domu, ciasno otulając kołnierzem twarz, gładko ogoloną i nieprzygotowaną na wreszcie biorącą się do rzeczy zimę w Kolorado. Po wejściu do środka musiałem pociągnąć drzwi obiema rękami, żeby je zamknąć.

Zajrzałem do mojej skrzynki pocztowej i zobaczyłem list. Jeden rzut oka wystarczył, żebym odgadł, kto jest nadawcą. Pismo Jacobsa stało się chybotliwe, pełne zawijasów, ale wciąż mogłem je rozpoznać. Zaskoczył mnie tylko adres zwrotny: Poste restante, Motton, Maine. Nie całkiem moje rodzinne strony, ale o rzut beretem stamtąd. Zdecydowanie za blisko, moim zdaniem.

Postukałem kopertą w dłoń. Omal nie uległem pierwszej pokusie, by podrzeć ją na kawałki, otworzyć drzwi i rozrzucić strzępy na wietrze. Do dziś – co dzień, czasem co godzinę – wyobrażam sobie, że tak właśnie robię, i zastanawiam się, co by to zmieniło. Jednak obróciłem kopertę na drugą stronę. Tam, napisane tą samą niepewną ręką, widniało jedno zdanie: „Radzę, żebyś to przeczytał”.

Nie miałem na to ochoty, ale rozerwałem kopertę. Wyjąłem pojedynczą kartkę owiniętą wokół drugiej, mniejszej koperty opatrzonej napisem: „Zanim to otworzysz, przeczytaj list ode mnie”. Zrobiłem to więc.

Boże, dopomóż mi, zrobiłem to.

4 marca 2014

Drogi Jamie,

zdobyłem oba Twoje adresy e-mailowe, służbowy i prywatny (jak wiesz, mam swoje sposoby), ale jestem dziś starym człowiekiem, hołduję starym obyczajom i uważam, że ważne sprawy osobiste powinno się omawiać w listach, najlepiej pisanych odręcznie, jeśli to możliwe. Jak widzisz, ja wciąż jestem w stanie pisać odręcznie, choć jak długo jeszcze, nie wiem. Jesienią 2012 roku miałem niegroźny wylew, potem, latem zeszłego roku, przytrafił mi się drugi, już poważniejszy. Liczę, że wybaczysz mój okropny charakter pisma.

Mam jeszcze jeden powód po temu, by zwrócić się do Ciebie listownie. Aż za łatwo jest skasować e-mail, natomiast trochę trudniej zniszczyć list, nad którym ktoś się ciężko napracował. Na wszelki wypadek dopiszę parę słów na kopercie, by zwiększyć prawdopodobieństwo, że to przeczytasz. Jeśli nie uzyskam odpowiedzi, będę musiał kogoś do Ciebie wysłać, a tego wolalbyśmy uniknąć, bo czas nagli.

Kogoś wysłać. To mi się nie spodobało.

Kiedy się ostatnio widzieliśmy, poprosiłem Cię, żebyś został moim asystentem. Odmówiłeś. Teraz ponawiam moją prośbę, tym razem już pewien, że się zgodzisz. Musisz się zgodzić, bo moje prace są na ukończeniu. Pozostał jeden ostatni eksperyment. Jestem pewien, że się powiedzie, ale nie śmiem przeprowadzić go w pojedynkę. Potrzebuję pomocy i, co równie istotne, potrzebuję świadka. Możesz mi wierzyć, że stawka tego eksperymentu jest niemal równie wysoka dla Ciebie, jak dla mnie.

Pewnie masz ochotę także i tym razem odmówić, ale znam Cię na tyle dobrze, stary druhu, by być przekonany, że kiedy przeczytasz załączony list, zmienisz zdanie.

Z serdecznym pozdrowieniem

Charles D. Jacobs

Wiatr zawył; śnieg walił w szyby w drzwiach ze stukotem jakby drobnych ziarenek piasku. Droga do Boulder wkrótce będzie – a może już była – nieprzejezdna. Trzymałem w ręku mniejszą kopertę, myśląc: Coś się stało. Nie chciałem wiedzieć co, ale czułem, że jest za późno, żeby się wycofać. Usiadłem na schodach prowadzących do mojego mieszkania i otworzyłem załączony list w tej samej chwili, kiedy szczególnie silny podmuch wstrząsnął budynkiem. Pismo było niepewne jak pismo Jacobsa, opadające w dół, ale rozpoznałem je od razu – dostałem wiele listów miłosnych, w tym kilka całkiem namiętnych, skreślonych tą samą ręką. Mój żołądek stał się ciężki jak z ołowiu i przez chwilę myślałem, że zemdleję. Spuściłem głowę, po czym dłonią nietrzymającą listu zasłoniłem oczy i ucisnąłem skronie. Słabość minęła. Prawie tego żałowałem. Przeczytałem list.

25 lutego 2014

Drogi Pastorze Jacobs,

jest Pan moją ostatnią nadzieją.

Pisząc to, czuję się, jakbym postradala rozum, ale taka jest prawda. Próbuję się z Panem skontaktować za namową mojej przyjaciółki Jenny Knowlton. Jest wykwalifikowaną pielęgniarką i twierdzi, że nigdy nie wierzyła w cudowne uzdrowienia (choć w Boga wierzy). Mimo to przed kilkoma laty poszła na zorganizowane przez Pana spotkanie przebudzeniowe w Providence w stanie Rhode Island i uleczył ją Pan z artretyzmu, tak ciężkiego, że ledwo mogła zaciskać i otwierać dłonie, a w dodatku była uzależniona od oxycontin. Powiedziała mi: „Wmówiłam sobie, że idę tylko posłuchać Ala Stamera, bo miałam wszystkie płyty, które nagrał z The Volites, ale w głębi ducha musiałam wiedzieć, dlaczego naprawdę tam jestem, bo kiedy pastor spytał, kto z obecnych pragnie zostać uzdrowiony, stanęłam w kolejce”. Opowiadała, że kiedy dotknął Pan jej skroni swoimi obrączkami, ból dłoni i ramion zniknął bez śladu, podobnie jak potrzeba brania oxy. Przyznam, że uwierzyć w to ostatnie było mi jeszcze trudniej niż w uleczenie z artretyzmu, bo w moich stronach wielu ludzi łyka te prochy i wiem, że bardzo trudno to rzucić.

Pastorze Jacobs, mam raka płuc. Podczas chemioterapii wypadły mi włosy, w trakcie radioterapii ciągle wymiotowałam (straciłam 30 kg), ale po zakończeniu tych koszmarnych mąk nowotwór ciągle we mnie siedzi. Teraz lekarz chce, żebym poddała się operacji usunięcia płuca, ale moja przyjaciółka Jenny powiedziała mi wprost: „Kochana, będę z tobą brutalnie szczerą. Lekarze zazwyczaj decydują się na to, kiedy jest już za późno, i dobrze o tym wiedzą, ale robią operację i tak, bo nic innego im nie zostało”.

Z łupaniem w głowie odwróciłem kartkę na drugą stronę. Pierwszy raz od lat chciałem przyćpać. Gdybym był na hajku, mógłbym spojrzeć na podpis czekający na mnie u dołu i nie mieć ochoty krzyczeć.

Jenny mówi, że z informacji, które znalazła w internecie, wynika, że uleczył Pan wiele osób, nie tylko ją. Wiem, że nie jeździ Pan już po kraju. Może przeszedł Pan na emeryturę, może jest Pan chory, może nawet nie żyje (choć modlę się, by tak nie było, dla Pańskiego i mojego dobra). Nawet jeśli Pan żyje i ma się dobrze, być może nie czyta Pan już korespondencji. Zdaję

sobie więc sprawę, że to jest trochę tak, jakbym wkładała list do butelki i wyrzucała ją za burtę, ale coś – nie tylko Jenny – każe mi spróbować. Bądź co bądź, niektóre z tych butelek docierają na ląd i ktoś odczytuje zawarte w nich wiadomości.

Zrezygnowałam z operacji. Jest Pan dosłownie moją ostatnią nadzieją. Wiem, jak nikła i zapewne naiwna jest ta nadzieja, ale Pismo Święte głosi: „Wszystko możliwe jest dla tego, kto wierzy”. Czekam na Pańską odpowiedź... albo jej brak. Tak czy tak, niech Bóg Pana błogosławi i strzeże.

Z nadzieją

Astrid Soderberg

17 Morgan Pitch Road

Mt. Desert Island, Maine 04660

(207) 555-6454

Astrid. Dobry Boże!

Znowu Astrid, po tylu latach. Zamknąłem oczy i zobaczyłem ją stojącą pod schodami pożarowymi, jej młodą, piękną twarz obramowaną kapturem parki.

Podniosłem powieki i przeczytałem dopisek Jacobsa pod jej adresem.

Widziałem jej kartę choroby i ostatnie wyniki tomografii. W tej kwestii możesz mi wierzyć: jak wspomniałem w moim liście, mam swoje sposoby. Po radioterapii i chemioterapii guz w jej lewym płucu się skurczył, ale nie zniknął całkowicie i nowe plamy pojawiły się na prawym płucu. Jej stan jest poważny, jednak mogę ją uratować. W tej kwestii też możesz mi wierzyć; ale takie nowotwory są jak pożar w suchym buszu – rozprzestrzeniają się błyskawicznie. Zostało jej mało czasu i podjąć decyzję musisz natychmiast.

Skoro, do cholery, zostało tak mało czasu, zastanawiałem się, dlaczego nie zadzwoniłeś albo chociaż nie wysłałeś swojego cyrografu priorytetem?

Wiedziałem jednak dlaczego. Chciał, żeby czasu było jak najmniej, bo nie na Astrid mu zależało. Astrid była pionkiem. Ja – jedną z figur w tylnym szeregu. Nie miałem pojęcia dlaczego, ale wiedziałem, że tak jest.

List trząsał się w moim ręku, kiedy czytałem ostatnie wiersze.

Jeśli zgodzisz się pomóc mi tego lata w doprowadzeniu mojej pracy do końca, Twoja stara przyjaciółka (i być może kochanka) zostanie ocalona, uwolniona od raka. Jeśli odmówisz, pozwolę jej umrzeć. Oczywiście uznasz to za okrutne, nawet nieludzkie, ale gdybyś wiedział, jak wielką wagę mają moje badania, zmieniłbyś zdanie. Tak, nawet Ty! Moje numery, stacjonarny i komórkowy, zamieszczam poniżej. Kiedy piszę te słowa, obok mnie leży numer telefonu pani Soderberg. Jeśli zadzwonisz do mnie – z odpowiedzią pozytywną, oczywiście – ja zadzwonię do niej.

Wybór należy do Ciebie, Jamie.

Przez dwie minuty siedziałem na schodach, oddychałem głęboko i siłą woli uspokajałem kołaczące serce. Myślałem o tym, jak wpijała się we mnie biodrami, przyprawiając mnie o twardą jak pręt zbrojeniowy erekcję, jak głaskała mnie dłonią po karku i wdmuchiwała dym papierosowy do moich ust.

Wreszcie wstałem i wdrapałem się do mojego mieszkania, z dwoma listami zwisającymi z dłoni. Dwa razy przystawałem, żeby złapać oddech – choć schody nie były długie ani strome, a ja dzięki przejażdżkom rowerowym miałem niezłą kondycję. Ręka tak mi drżała, że musiałem przytrzymać ją drugą, by trafić kluczem do zamka.

Dzień był ciemny i moje mieszkanie zasnuwał mrok, ale nie zapaliłem światła. To, co musiałem zrobić, należało załatwić od razu. Odpiąłem telefon od paska, zwałem się na kanapę i wybrałem numer komórki Jacobsa. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Jamie – powiedział.

– Ty bydlaku – rzuciłem. – Ty zaszary bydlaku.

– Też się cieszę, że cię słyszę. Jaka jest twoja decyzja?

Jak dużo o nas wiedział? Czy kiedykolwiek coś mu powiedziałem? A Astrid? Jeśli nie, ile zdołał wyszperać? Nie wiedziałem i nie miało to znaczenia. Po tonie jego głosu poznałem, że pyta tylko dla formalności.

Powiedziałem, że będę u niego najszybciej, jak to możliwe.

– Jeśli chcesz przyjechać, z radością cię ugoszczę, choć tak naprawdę potrzebny mi będziesz dopiero w lipcu. Jeśli wołałbyś jej nie zobaczyć w stanie, w jakim jest teraz...

– Złapię samolot, jak tylko się rozpogodzi. Jeżeli możesz zrobić swoje przed moim przyjazdem... uleczyć ją... uzdrowić... to nie zwlekaj. Ale nigdzie jej nie puścisz, dopóki się z nią nie zobaczę. Pod żadnym pozorem.

– Nie ufasz mi, prawda? – Mówił tak, jakby głęboko go to zasmucało, lecz nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. Potrafił po mistrzowsku zagrać każde uczucie.

– Czemu miałbym ci ufać, Charlie? Widziałem cię w akcji.

Westchnął. Poryw wiatru zatrzęsł budynkiem i zawył pod okapem.

– Gdzie dokładnie w Motton mieszkasz? – spytałem, ale, jak Jacobs, tylko dla formalności. Życie kołem się toczy i zawsze wraca do punktu wyjścia.

Kozia Góra – Ona czeka – Złe wieści z Missouri

I tak oto, niespełna pół roku po krótkim odrodzeniu Chrome Roses, raz jeszcze wylądowałem na lotnisku Jetport w Portland i pojechałem do hrabstwa Castle. Tym razem jednak nie do Harlow. Siedem kilometrów od rodzinnego domu odbiłem z drogi numer 9 w stronę Koziej Góry. Dzień był ciepły, ale nad Maine, jak nad Kolorado, przed kilkoma dniami przeszła wiosenna śnieżycyca i zewsząd dobiegały melodyjne dźwięki płynącej wody z roztopów. Po bokach drogi wciąż tłoczyły się sosny i świerki o gałęziach uginających się pod ciężarem śniegu, lecz jezdnia została odśnieżona i lśniła mokrym blaskiem w słońcu.

Przystanąłem na parę minut koło Longmeadow, miejsca wielu pikników koła młodych metodystów w latach mojego dzieciństwa, i, na dłużej, u wylotu drogi na Skytop. Nie miałem czasu odwiedzić niszczonej chałupy, w której oboje z Astrid straciliśmy dziewictwo, zresztą nawet gdybym miał, i tak nie mógłbym tego zrobić. Żwir teraz już był utwardzony, a drogę odśnieżono, ale przegradzała ją solidna drewniana brama z przeciągniętą przez skobel kłódką wielkości pięści orka. Na wypadek gdyby ktoś nie zrozumiał aluzji, duża tablica przestrzegała: BEZWZGLĘDNY ZAKAZ WSTĘPU oraz INTRUZI BĘDĄ KARANI Z PEŁNĄ SUROWOŚCIĄ.

Półtora kilometra dalej dotarłem do stróżówki ośrodka na Koziej Górze. Droga nie była zagrodzona, ale przy wjeździe czuwał strażnik w lekkiej kurtce włożonej na brązowy uniform. Kurtkę miał rozpiętą, może dlatego, że dzień był ciepły, a może po to, by każdy przyjeżdżający mógł się do woli napatrzeć na pistolet w kaburze na jego biodrze. Wyglądał na duży.

Opuściłem szybko, ale zanim strażnik zdążył zapytać o moje nazwisko, drzwi stróżówki otworzyły się i wyszedł Charlie Jacobs. Obszerna parka nie mogła ukryć, jak niewiele z niego zostało. Kiedy widzieliśmy się poprzednio, był chudy. Teraz stał się wymizerowany. Utykał jeszcze mocniej niż ostatnio, a uśmiech, którym mnie powitał, choć może z założenia miał być ciepły i serdeczny, ledwo uniósł lewą stronę jego twarzy, nadając jej wyraz raczej szydery. Wylew, pomyślałem.

– Jamie, jakże miło cię widzieć! – Wyciągnął rękę i uściśniłem ją... choć nie bez oporu.
– Spodziewałem się ciebie dopiero jutro.

– W Kolorado szybko otwierają lotniska po śnieżycach.

– Nie wątpię, nie wątpię. Mogę się z tobą zabrać na górę? – Kiwnął głową w stronę strażnika. – Sam przywiózł mnie wózkiem golfowym, a w stróżówce jest grzejnik, ale ostatnimi czasy szybko marzną, nawet przy tak wiosennej pogodzie, jaką mamy dzisiaj. Pamiętasz, jak dawniej nazywaliśmy wiosenny śnieg, Jamie?

– Nawozem dla ubogich – powiedziałem. – Wsiadaj.

Kuśtykając, obszedł samochód od przodu i energicznym gestem odpędził Sama, który próbował wziąć go pod ramię. Mięśnie twarzy Jacobs miał mało sprawne, chwiał się na nogach, a mimo to był całkiem żwawy. Człowiek z misją, pomyślałem.

Wsiadł ze stęknieniem ulgi, podkreślił ogrzewanie i zatarł sękatę dłoń przy wylocie powietrza po stronie pasażera, jakby grzał się u ogniska.

– Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

– Proszę bardzo.

– Widoki jak na drodze dojazdowej do The Latches, nie sądzisz? – spytał, wciąż

zacierając dłonie. Towarzyszył temu nieprzyjemny, szeleszczący dźwięk.

– Może... z wyjątkiem tego. – Wskazałem w lewo, gdzie dawniej była średnio trudna trasa narciarska zwana Dymnym Szlakiem. A może Dymnym Szusem. Teraz jedna lina wyciągu była zerwana i parę krzeselek leżało na poły zagrzebanych w zaspie, która pewnie przetrwa jeszcze z pięć tygodni, chyba że utrzyma się ładna pogoda.

– Brzydko wygląda – przyznał – ale nie ma sensu tego naprawiać. Jak tylko śnieg stopnieje, każę rozebrać wszystkie wyciągi. Sądzę, że na nartach już sobie nie pojeżdżę, zgodzisz się? Byłeś tu kiedyś w dzieciństwie?

Byłem kilka razy, z Conem, Terrym i ich kolegami ceprami, ale nie miałem nastroju na towarzyskie pogawędki.

– Przyjechała?

– Tak, koło południa. Przywiozła ją Jenny Knowlton, jej przyjaciółka. Miały nadzieję przyjechać wczoraj, ale na wschodzie zamieć była dużo silniejsza. I uprzedzając twoje następne pytanie, nie, jeszcze się nią nie zająłem. Biedaczka jest wyczerpana. Jutro będzie na to dość czasu. No i dość czasu na to, żebyście się zobaczyli. Chociaż jak chcesz, możesz zobaczyć ją dzisiaj, kiedy spróbuje coś zjeść na kolację. W restauracji są kamery telewizji przemysłowej.

Miałem mu powiedzieć, co o tym myślę, ale unióś dłoni.

– Spokojnie, przyjacielu. Nie ja je zamontowałem; były tu, kiedy kupiłem ten ośrodek. Pewnie służyły dyrekcji do pilnowania, czy personel przykłada się do pracy. – Jego jednostronny uśmiech wydawał się jeszcze bardziej drwiący niż poprzednio. Może to było tylko złudzenie, ale nie sądzę.

– Chęlpisz się? – spytałem. – Po to mnie tu ściągnąłeś?

– Oczywiście, że nie. – Odwrócił się w stronę topniejących zasp przemykających z boku. Po chwili znów spojrzał na mnie. – Cóż. Może. Tylko trochę. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, byłeś taki napuszony. Taki wyniosły.

W tej chwili nie czułem się napuszony, a już na pewno nie wyniosły. Czułem się jak w pułapce. W końcu byłem tutaj z powodu dziewczyny, której nie widziałem od ponad czterdziestu lat. Dziewczyny, która paczka po paczce kupowała własną zgubę w najbliższym sklepie spożywczym. Albo w aptece w Castle Rock, gdzie papierosy wystawione były przy samym wejściu, obok kasy. Po prawdziwe lekarstwa musiałeś iść na sam tył sali. Ironia losu, prawda? Wyobraziłem sobie, że wysadzam Jacobsa przy ośrodku i odjeżdżam bez słowa. To była paskudnie kusząca myśl.

– Naprawdę pozwoliłbyś jej umrzeć?

– Tak. – Ciągłe ogrzewał ręce przy wylocie powietrza. Teraz wyobraziłem sobie, że chwytam jedną z nich i łamię te sękate paluchy jak pałeczki chlebowe.

– Dlaczego? Dlaczego jestem dla ciebie tak cholernie ważny?

– Bo jesteś moim przeznaczeniem. Duże słowo, ale w tym przypadku całkowicie trafne. Myślę, że wiedziałem to od chwili, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, chłopaczka grzebiącego na kłęczkach w ziemi przed twoim domem. – Mówił z cierpliwością człowieka niewzruszonej wiary. Albo szaleńca. Może tak naprawdę między jednym a drugim nie ma różnicy. – Pewności nabrałem, kiedy zjawiłeś się w Tulsa.

– Co ty robisz, Charlie? Do czego będę ci latem potrzebny? – Nie pierwszy raz go o to spytałem, ale były jeszcze inne pytania, których nie śmiałem zadać. Jak bardzo to niebezpieczne? Wiesz to chociaż? W ogóle cię to obchodzi?

Sprawa miała wrażenie, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć prawdę, czy nie... ale nigdy nie wiedziałem, co naprawdę myślał. I wtedy przed nami wyrósł ośrodek wypoczynkowy na Koziej Górze – jeszcze większy niż The Latches, ale brzydkie i nowoczesne kanciasty; Frank Lloyd

Wright w kiepskiej formie. Zamożnym ludziom, którzy w latach sześćdziesiątych przyjeżdżali tu się rozerwać, pewnie wydawał się modernistyczny, nawet futurystyczny. Dziś wyglądał jak kubistyczny dinozaur o szklanych oczach.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Jacobs. – Przypuszczam, że chcesz się odświeżyć i trochę odpocząć. Ja odpocząć chcę na pewno. Goszczenie cię to niezwykła radość, Jamie, ale i spory wysiłek. Ulokowałem cię w Apartamencie Snowe’a na drugim piętrze. Rudy cię zaprowadzi.

Rudy Kelly był olbrzymem w spranych džinsach, luźnej szarej bluzie i białych pielęgniarskich butach o podeszwach z porowatej gumy. Wyjaśnił, że jest nie tylko osobistym asystentem pana Jacobsa, ale i jego pielęgniarzem. Sądząc z gabarytów, zapewne robił też za ochroniarza. Z całą pewnością nie miał wątłego uścisku dłoni muzyka.

W dzieciństwie byłem kilka razy w holu ośrodka, raz nawet zjadłem tu lunch z Conem i rodziną jednego z jego kolegów (cały czas drżąc ze strachu, że posłużę się niewłaściwym widelcem albo uświadnię sobie koszulę sosem), ale na wyższe piętra nie zawędrowałem nigdy. Winda była stara i rozklekotana – zabytkowe urządzenie w rodzaju tych, które w powieściach grozy zawsze stają między piętrami – i postanowiłem, że przez cały pobyt tutaj, bez względu na to, jak długi, korzystać będę ze schodów.

Budynek był dobrze ogrzany (niewątpliwie z wykorzystaniem tajemnej elektryczności Charliego Jacobsa) i zauważyłem, że przeprowadzono pewne naprawy, na oko jednak bez ładu i składu. Wszystkie światła się paliły, drewniany parkiet nie skrzypiał, a mimo to panowała aż nadto wyczuwalna atmosfera opuszczenia. Apartament Snowe’a znajdował się na końcu korytarza i widok z jego przestronnego salonu był prawie tak ładny jak z wierzchołka Skytop, ale tapetę miejscami znaczyły zacieki, a wypełniające hol zapachy wosku do podłóg i świeżej farby zastąpił słaby odór pleśni.

– Pan Jacobs chciałby, żeby o szóstej zjadł pan z nim kolację w jego apartamencie – powiedział Kelly. Głos miał łagodny, uniżony, lecz wyglądał jak postać z filmu toczącego się w więzieniu; nie prowodyr ucieczki, tylko zbir z celi śmierci, który zabija strażników próbujących powstrzymać zbiegów. – Odpowiada to panu?

– Tak – powiedziałem i kiedy wyszedł, zamknąłem drzwi na zamek.

Wziąłem prysznic – gorącej wody było pod dostatkiem i zaczęła lecieć od razu – po czym przygotowałem sobie świeże ubrania. Jako że miałem jeszcze sporo czasu, położyłem się na narzucie przykrywającej duże łóżko. Poprzedniej nocy źle spałem, a w samolotach nie mogę zmrużyć oka, więc drzemka dobrze by mi zrobiła, ale nic z tego, sen nie przychodził. Ciągle myślałem o Astrid – jaka była wtedy i jaka musiała być teraz. Astrid, która przebywała ze mną pod jednym dachem, trzy piętra niżej.

Kiedy za dwie szósta Kelly delikatnie zapukał do drzwi, byłem ubrany i gotowy do wyjścia. Na moją sugestię, żebyśmy poszli schodami, błysnął uśmiechem wskazującym, że rozpoznał we mnie mięczaka.

– Winda jest całkowicie bezpieczna, proszę pana. Pan Jacobs osobiście nadzorował pewne naprawy i to stare pudło było wysoko na jego liście.

Nie protestowałem. Myślałem o tym, że piąta osoba mojego dramatu nie jest już pastorem, wielobnym ani kaznodzieją. U kresu życia znów był po prostu „panem” i facet o wyglądzie Vina Diesela po spartaczonym liftingu mierzył mu ciśnienie.

Jacobs zajmował apartament na parterze w skrzydle zachodnim. Już się przebrał w ciemny garnitur i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Wstał na moje powitanie, przywołał na usta ten jednostronny uśmiech.

– Dziękuję, Rudy. Powiesz Normie, żeby za kwadrans podała do stołu?

Rudy skinął głową i wyszedł. Jacobs odwrócił się do mnie, wciąż uśmiechnięty, i zatarł ręce, znów z tym nieprzyjemnym szelestem. Za oknem nieoświetlona trasa narciarska pokryta niezrytym nartami wiosennym śniegiem ginęła w ciemności niczym droga donikąd.

– Przykro mi, ale będzie tylko zupa i sałatka. Od dwóch lat nie jem mięsa. Tworzy w mózgu złogi tłuszczu.

– Zupa i sałatka mogą być.

– Jest też chleb na zakwasie, wypiek Normy. Palce lizać.

– Brzmi zachęcająco. Chciałbym zobaczyć Astrid, Charlie.

– Ona i jej przyjaciółka Jenny Knowlton mają przyjść na kolację koło siódmej. Po jedzeniu pani Knowlton poda Astrid leki przeciwbólowe i pomoże jej w wieczornej toalecie. Mówiłem, że Rudy może przejąć część tych obowiązków, ale Jenny Knowlton nie chce o tym słyszeć. Niestety, chyba przestała mi ufać.

Wróciłem myślami do listu od Astrid.

– Mimo że uleczyłeś ją z artretyzmu?

– Widzisz, wtedy byłem pastorem Dannym. Teraz, kiedy porzuciłem całą tę religijną otoczkę... powiedziałem im to, czułem, że muszę... pani Knowlton stała się podejrzliwa. Tak właśnie działa prawda, Jamie. Budzi w ludziach podejrzenia.

– Czy Jenny Knowlton odczuwa jakieś skutki uboczne?

– Żadnych. Po prostu wierzyła w te brednie o cudach i trudno jej się bez nich obejść. Ale skoro już poruszyłeś temat skutków ubocznych, zapraszam do mojego gabinetu. Chcę ci coś pokazać i jest na to akurat dość czasu przed kolacją.

Za gabinet służyła wnęka w salonie apartamentu. Komputer był włączony, po ekranie znów galopowały znajome konie. Jacobs usiadł, krzywiąc się, jakby coś go zabolalo, i wcisnął klawisz. Miejsce koni zajął niebieski pulpit z dwoma tylko folderami. Oznakowane były literami A i B.

Kliknięciem na folder A wywołał spis nazwisk i adresów w kolejności alfabetycznej. Wcisnął klawisz i lista zaczęła się dość szybko przewijać.

– Wiesz, co to jest?

– Uzdrawienia, domyślam się.

– Potwierdzone uzdrawienia, wszystkie spowodowane pobudzeniem mózgu prądem elektrycznym... choć nie prądem znanym elektrykom. W sumie ponad trzy tysiące sto osób. Wierzysz mi na słowo?

– Tak.

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, choć ten ruch wyraźnie sprawiał mu ból.

– Na pewno?

– Tak.

Usatysfakcjonowany, zamknął folder A i otworzył B. Kolejne nazwiska i adresy, też w kolejności alfabetycznej, i tym razem przewijane dość wolno, żebym wyłowić wśród nich kilku znajomych. Stefan Drew, piechur mimo woli; Emil Klein, ziemiożerca; Patricia Farmingdale, która nasypała sobie soli do oczu. Ta lista była znacznie krótsza od poprzedniej. Zanim się skończyła, mignął mi Robert Rivard.

– To ludzie, którzy doznali istotnych skutków ubocznych terapii. W sumie osiemdziesięciu siedmiu. Jak już, zdaje się, powiedziałem ci przy naszym ostatnim spotkaniu, to

mniej niż trzy procent ogólnej liczby uzdrowionych. Kiedyś w folderze B było ponad sto siedemdziesiąt nazwisk, ale w wielu przypadkach niepokojące objawy ustąpiły. Jak u ciebie. Osiem miesięcy temu przerwałem obserwację, ale jestem pewien, że gdybym ją kontynuował, ta lista stałaby się jeszcze krótsza. Ludzki organizm ma nadzwyczajną zdolność regeneracji po wszelkich urazach. Przy odpowiednim pobudzeniu kory mózgowej i układu nerwowego nową elektrycznością zdolność ta staje się praktycznie nieograniczona.

– Kogo próbujesz przekonać? Mnie czy siebie?

Wypuścił powietrze ze zniesmaczonym „pfff”.

– Próbuję tylko uspokoić twoje sumienie. Chcę asystenta, który współpracuje ze mną dobrowolnie, nie pod przymusem.

– Jestem tu. Zrobię, co obiecałem... jeśli zdołasz uleczyć Astrid. Niech to ci wystarczy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział Jacobs.

Kobieta, która weszła, miała dostojną, pulchną sylwetkę Dobrej Babuni z bajki dla dzieci i świdrujące oczy ochroniarza w domu towarowym. Położyła tacę na stole w salonie i stanęła z dłońmi skromnie splecionymi na prostej czarnej sukience. Jacobs wstał, znowu z grymasem, i się zachwiał. Podtrzymałem go pod łokieć – to było pierwsze zadanie, jakie wykonałem jako jego asystent, przynajmniej na tym nowym etapie naszego życia. Podziękował mi i wyszliśmy z gabinetu.

– Normo, pozwól, że przedstawię ci Jamiego Mortona. Będzie z nami co najmniej do jutrzejszego śniadania, a latem przyjedzie na dłużej.

– Miło mi – powiedziała i wyciągnęła rękę. Uścisnąłem jej dłoń.

– Pojęcia nie masz, jak wielkim triumfem Normy jest ten uścisk dłoni – rzekł Jacobs. –

Od dzieciństwa ludzki dotyk przejmował ją głębokim wstrętem. Prawda, moja droga? Nie jest to, zauważ, problem fizyczny, tylko psychologiczny. A mimo to została uleczona. Myślę, że to ciekawe, zgodzisz się?

Powiedziałem Normie Goldstone, że cieszę się, iż mogę ją poznać, i trzymałem jej dłoń chwilę dłużej, niż to było konieczne. Puściłem ją, widząc jej narastające skrępowanie. Uleczona, ale chyba nie w pełni. To też było ciekawe.

– Pani Knowlton mówi, że dziś przeprowadzi pańską pacjentkę na kolację trochę wcześniej, panie Jacobs.

– W porządku, Normo. Dziękuję.

Wyszła. Jedliśmy. Posiłek był lekki, mimo to ciążył mi w żołądku. Czuję się, jakbym miał wszystkie nerwy na wierzchu, a każdy z nich rozpalił się do czerwoności. Jacobs jadł powoli – może żeby zrobić mi na złość – ale w końcu odstawił pusty talerz po zupie. Zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po następną kromkę chleba, lecz spojrzał na zegarek i odsunął się z krzesłem od stołu.

– Chodź ze mną – powiedział. – Czas już, żebyś zobaczył swoją starą znajomą.

Na drzwiach po drugiej stronie korytarza wisiała tabliczka TYLKO DLA PERSONELU OŚRODKA. Jacobs przeprowadził mnie przez duży sekretariat umeblowany nagimi biurkami i pustymi regałami. Dalej był zamknięty na klucz gabinet.

– Oprócz dyżurujących dwadzieścia cztery godziny na dobę strażników przysyłanych przez firmę ochroniarską – powiedział Jacobs – cały mój personel to Rudy i Norma. I choć obojgu ufam, nie widzę potrzeby, żeby wystawiać ich na pokuszenie. A pokusa, by podejrzeć kogoś bez jego wiedzy, jest silna, nie sądzisz?

Nie odpowiedziałem. Nie wiem, czy w ogóle byłbym w stanie. W ustach miałem tak sucho, jakby były wyłożone starym dywanem. Dwanaście monitorów stało w trzech rzędach po cztery. Jacobs włączył ten oznakowany RESTAURACJA 3.

– Chyba o tę kamerę nam chodzi. – Wesoło. Niczym krzyżówka pastora Danny’ego z gospodarzem teleturnieju.

Zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim stopniowo ukazał się czarno-biały obraz. Restauracja była duża, co najmniej pięćdziesiąt stolików, ale zajęty był tylko jeden. Siedziały przy nim dwie kobiety, na razie jednak widziałem tylko Jenny Knowlton, bo drugą zasłaniała Norma, która pochylona stawiała przed nimi talerze zupy. Jenny była ładną brunetką po pięćdziesiątce. Zobaczyłem, że jej usta poruszyły się w bezgłośnym „dziękuję”. Norma skinęła głową, odsunęła się od stolika i wtedy zobaczyłem, co zostało z pierwszej dziewczyny, którą kochałem.

Gdyby to był romans, pewnie napisałbym coś w stylu: „Choć nieuchronnie odmienione upływem czasu i nadszarpnięte wyniszczającą chorobą, jej piękno w swojej istocie przetrwało”. Chciałbym móc tak napisać, ale jeśli teraz zacznę kłamać, wszystko, co opowiedziałem do tej pory, straci wszelką wartość.

Astrid była staruchą na wózku inwalidzkim. Miała bladą, obwisłą twarz. Patrzyła apatycznie na jedzenie, na które wyraźnie nie miała ochoty. Towarzyszka włożyła jej na głowę dużą dzierganą czapkę przypominającą szkocki beret, jednak czapka zsunęła się na bok, odsłaniając łysinę oprószoną białym meszkiem.

Starucha na wózku wzięła łyżkę wychudłą dłonią składającą się z samych ścięgien, po czym odłożyła ją z powrotem. Brunetka zaczęła jej coś tłumaczyć. Blada istota skinęła głową. Spadła jej przy tym czapka, Astrid jednak jakby tego nie zauważyła. Zanurzyła łyżkę w zupie i powoli podniosła do ust, większość zawartości rozlewając po drodze. Wysączyła resztę, wydymając usta jak świętej pamięci Bartleby, kiedy karmiłem go z ręki kawałkami jabłka.

Kolana ugięły się pode mną. Gdyby nie krzesło ustawione przed monitorami, runąłbym na podłogę. Jacobs stał obok mnie z sękatymi dłońmi założonymi za plecy i kiwał się w przód i w tył z lekkim uśmiechem na twarzy.

A ponieważ to ma być prawdziwa historia, nie romans, muszę dodać, że skrycie odczułem ulgę. Nie będę musiał dotrzymać naszego diabelskiego cyrografu, bo starucha na wózku nie miała najmniejszych szans wrócić do zdrowia. Rak, pitbull wśród chorób, gryzł ją i rozszarpywał swoimi kłami. I nie przestanie, dopóki nie rozerwie jej na strzępy.

– Wyłącz to – szepnąłem.

Jacobs nachylił się ku mnie.

– Co proszę? Mój słuch nie jest już tak dobry jak przed...

– Doskonale mnie słyszałeś, Charlie. Wyłącz to.

Zgasił monitor.

Całowaliśmy się pod schodami pożarowymi Eureka Grange No. 7 w tumanach sypiącego śniegu. Astrid wdmuchiwała mi do ust dym papierosowy, a czubek jej języka wędrował to tu, to tam, najpierw po mojej górnej wardze, potem pod nią, delikatnie pieszcząc dziąsło. Ścisnąłem jej pierś, nie mogłem jednak wymacać za wiele, bo dostępu broniła gruba parka.

Całuj mnie bez końca, pomyślałem. Całuj mnie bez końca, żebyśmy nie musieli zobaczyć, co zrobił z nami upływ czasu i kim jesteś dzisiaj.

Ale żaden pocałunek nie trwa wiecznie. Odsunęła się i zobaczyłem bladą twarz wewnątrz podbitego futrem kaptura, mętne oczy, zwiotczałe usta. Język, który przed chwilą wniknął

między moje wargi, był czarny, złuszczone. Całowałem trupa.

A może nie, bo kąci jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Coś się stało – powiedziała Astrid. – Prawda, Jamie? Coś się stało i Matka wkrótce tu będzie.

Obudziłem się ze zduszonym okrzykiem. Położyłem się spać w majtkach, teraz jednak stałem nago w kącie. W prawej dłoni ścisnąłem długopis wzięty ze stolika nocnego i dźgałem się nim w lewe przedramię, na którym widniała mała, ale rozrastająca się konstelacja niebieskich kropek. Upuściłem go na podłogę i zatoczyłem się do tyłu.

Stres, pomyślałem. Stres wywołał u Hugh przyzmatyki na spotkaniu przebudzeniowym w hrabstwie Norris i stres dopadł cię dzisiaj. Na szczęście nie nasypałeś sobie soli do oczu. Ani nie obudziłeś się na podwórku z gębą pełną ziemi.

Było piętnaście po czwartej, ta zdradliwa pora nocy, kiedy jest za późno, żeby się z powrotem położyć, a za wcześnie, żeby wstać na dobre. Wyjąłem książkę z mniejszej z moich dwóch toreb i usiadłem przy oknie. Zacząłem czytać. Moje oczy chłoneły słowa tak jak moje usta zupę i sałatkę Normy Goldstone: nie czując smaku. Ostatecznie dałem za wygraną i tylko patrzyłem w ciemność, wyczekując świtu.

Nieprędko nadszedł.

Śniadanie zjadłem w apartamencie Jacobsa... jeśli można śniadaniem nazwać jedną grzanekę i pół filiżanki herbaty. Charlie za to wtroił koktajl owocowy, jajecznicę i istną górę smażonych ziemniaków w plasterkach. Taki był chudy, że dziwiłem się, gdzie mu się to wszystko mieści. Na stoliku przy drzwiach stała mahoniowa skrzynka. W niej, powiedział mi, były jego uzdrawiające przyrządy.

– Nie używam już pierścieni. Nie są potrzebne, skoro więcej nie będę występował publicznie.

– Kiedy zaczniesz? Chcę mieć to jak najszybciej z głowy i wyjechać.

– Lada chwila. Twoja stara znajoma całymi dniami drzemie, nocą jednak źle sypia. Ostatnia noc musiała być dla niej szczególnie ciężka, bo zabroniłem pani Knowlton podać jej o północy środki przeciwbólowe... tłumią fale mózgowie. Załatwimy sprawę w Pokoju Wschodnim. O tej porze dnia to moje ulubione miejsce. Gdybyśmy obaj nie wiedzieli, że Bóg to dochodowy, samofinansujący się twór Kościołów tego świata, widok światła jutrzeńki prawie by wystarczył, żeby rozbudzić w nas wiarę na nowo.

Wychylił się do przodu, patrząc na mnie ze śmiertelną powagą.

– Nie musisz w tym uczestniczyć. Widziałem, jak mocno wczoraj byłeś poruszony. Będę potrzebował twojej pomocy latem, ale dziś rano może mi asystować Rudy albo pani Knowlton. Jak chcesz, pojedź gdzieś i wróć jutro. Wyskocz do Harlow. Odwiedź brata i jego rodzinę. Sądzę, że po powrocie zastaniesz Astrid Soderberg zupełnie odmienioną.

W pewnym sensie tego właśnie się obawiałem, bo od wyjazdu z Harlow Charlie Jacobs zarabiał na życie rozmaitymi sztuczkami. Jako pastor Danny pokazywał ludziom świńskie wątroby i oznajmiał, że to usunięte nowotwory. Nie było to CV, które budzi zaufanie. Czy mogłem być absolutnie pewien, że ta wymizerowana kobieta na wózku inwalidzkim to rzeczywiście Astrid Soderberg?

Serce mówiło, że tak; głowa nakazywała sercu, żeby było ostrożne i nie ufało niczemu. Ta Knowlton mogła być jego współniczką – w kuglarskim żargonie naganiaczem. Następne pół

godziny będzie męczarnią, ale nie miałem zamiaru stehórzyć i pozwolić Jacobsonowi dokonać fałszywego uzdrowienia. Oczywiście, potrzebowałby prawdziwej Astrid, żeby taki numer się powiodł, ale po długich, tłustych latach, które spędził w roli wędrownego kaznodziei, nie można było tego wykluczyć, zwłaszcza jeśli moja dawna dziewczyna na starość wpadła w kłopoty finansowe.

Jasne, to mało prawdopodobny scenariusz. W ogólnym rozrachunku najważniejsze było moje przeświadczenie, że mam obowiązek doprowadzić to do bez wątpienia smutnego końca.

– Zostanę.

– Jak chcesz. – Uśmiechnął się i choć niesprawną stroną jego ust wciąż odmawiała współpracy, w uśmiechu tym nie było śladu drwiny. – Miło będzie znów z tobą pracować. Jak za dawnych lat w Tulsa.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. To był Rudy.

– Panie są w Pokoju Wschodnim, panie Jacobs. Pani Knowlton mówi, że może pan zacząć w każdej chwili. I że im wcześniej, tym lepiej, bo pani Soderberg bardzo cierpi.

Szedłem ramieniem w ramię z Jacobsem w głąb korytarza, niosąc mahoniową skrzynkę pod pachą. Pod drzwiami Pokoju Wschodniego na chwilę straciłem odwagę i puściłem go przodem, sam zostałem na progu.

Nie zauważył. Cała jego uwaga – i niebagatelna charyzma – skoncentrowana była na kobietach.

– Jenny i Astrid! – powiedział serdecznie. – Moje dwie ulubione panie!

Jenny Knowlton zdawkowo musnęła jego wyciągniętą dłoń – zdążyłem zobaczyć, że jej palce są proste i na oko nietknięte artretyzmem. Astrid nawet nie próbowała podnieść ręki. Siedziała zgarbiona na wózku inwalidzkim i patrzyła w górę, na Jacobsa. Dolną połowę jej twarzy zasłaniała maska tlenowa. Obok stała butla na wózku.

Jenny powiedziała coś do Jacobsa, za cicho, żebym usłyszał, a on energicznie pokiwał głową.

– Tak, nie mamy chwili do stracenia. Jamie, zechciałbyś... – Obejrzał się, zobaczył, że nie stoję za nim, i przyzwał mnie niecierpliwym gestem.

Od środka pokoju zalanego jasnym blaskiem poranka dzieliło mnie nie więcej niż dziesięć kroków, ale każdy zdawał się trwać bardzo długo. Zupełnie jakbym szedł pod wodą.

Astrid zerknęła na mnie obojętnymi oczami kogoś, kto całą energię wkłada w walkę z bólem. W pierwszej chwili jakby mnie nie poznała i spuściła wzrok z powrotem na kolana. Ulżyło mi. Nagle jednak poderwała głowę. Jej usta otworzyły się pod przezroczystą maską. Zasłoniła twarz dłońmi, odtrącając maskę na bok. To było tylko po trosze niedowierzanie, jak sądzę. Głównie przerażenie, że widzę ją w takim stanie.

Może chowałyby się za dłońmi dłużej, ale nie miała na to dość siły i ręce opadły jej na kolana. Płakała. Jej oczy, obmyte łzami, znów wyglądały młodo. W tej chwili wszelkie wątpliwości, czy to naprawdę ona, ulotniły się bez śladu. Tak, to była Astrid. Ta sama dziewczyna, którą kochałem, dziś uwięziona w dogorywającym wraku ciała starej, chorej kobiety.

– Jamie? – Miała chrapliwy głos kawki.

Ukląknę na jedno kolano niczym kawaler proszący lubą o rękę.

– Tak, kochanie. – Ująłem jej dłoń, odwróciłem wnętrzem ku górze, pocałowałem. Ta dłoń była zimna.

– Odejdź. Nie chcę, żebyś... – Astrid wciągnęła powietrze ze świstem. – ...Żebyś widział

mnie taką. Nie chcę, żeby ktokolwiek widział mnie taką.

– Nie martw się. – Charlie cię uzdrowi, chciałem dodać, ale tego nie zrobiłem. Astrid już nic nie mogło pomóc.

Jacobs wziął Jenny Knowlton na stronę i rozmawiał z nią, dając nam chwilę dla siebie. Na tym właśnie polegało piekło przebywania z Charliem: że czasem potrafił być czuły.

– Papierosy – powiedziała tym chrapliwym głosem kawki. – Cóż za idiotyczna metoda samobójstwa. A wiedziałam, że źle robię. Każdy to wie. Powiedzieć ci coś zabawnego? Nawet teraz chce mi się zapalić. – Zaśmiała się i śmiech przeszedł w ostry, wyraźnie bolesny kaszel. – Przeszmuglowałam trzy paczki. Jenny je znalazła i zabrała. Jakby to miało coś zmienić.

– Ciii – powiedziałem.

– Rzuciłam to. Na siedem miesięcy. Gdyby dziecko przeżyło, może rzuciłabym na dobre. Coś... – Wzięła głęboki, świszczący oddech. – Coś sobie z nami igra. Tak uważam.

– Strasznie się cieszę, że cię widzę.

– Pięknie kłamiesz, Jamie. Co on na ciebie ma?

Nie odpowiedziałem.

– Cóż, nieważne. – Jej dłoń powędrowała na tył mojej głowy, jak w czasie naszych młodzieńczych pieszczot, i przez jedną straszną chwilę bałem się, że spróbuje mnie pocałować tymi suchymi, umierającymi ustami. – Masz takie włosy jak dawniej. Piękne i gęste. Ja swoje straciłam. Chemia.

– Odrosną.

– Nieprawda. To... – Rozejrzała się. Jej oddech świszczął jak dziecięcy gwizdek. – Próżny trud i tyle. Nadzieja matką głupich.

Jacobs przyprowadził Jenny z powrotem.

– Pora zaczynać. – Po czym rzekł do Astrid: – To nie potrwa długo, moja droga, i nie będzie bolało. Prawdopodobnie stracisz przytomność, ale większość nawet tego nie zauważa.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy stracę przytomność na dobre – powiedziała mu Astrid i uśmiechnęła się blade.

– No, no, tylko bez takich. Nigdy nie daję stuprocentowej gwarancji, ale jestem przekonany, że niebawem poczujesz się dużo lepiej. Zaczynajmy, Jamie. Otwórz skrzynkę.

Tak zrobiłem. W środku, w wyłożonych aksamitem zagłębieniach, spoczywały dwa krótkie stalowe pręty zakończone czarnym plastikiem i biała skrzynka sterownicza z przełącznikiem suwakowym. Wyglądała identycznie jak ta, którą posługiwał się Jacobs, kiedy z Claire przyprowadziliśmy do niego Cona. Przemknęło mi przez myśl, że z czterech osób w tym pokoju trzy są idiotami, a jedna szaleńcem.

Jacobs wyjął pręty z ich legowisk i zetknął z sobą czarne plastikowe czubki.

– Jamie, weź skrzynkę sterowniczą i delikatnie przesun przełącznik. Tylko ociupinkę. Usłyszysz pstryknięcie.

Kiedy to zrobiłem, rozłączył czubki prętów. Błysnęła niebieska iskra i rozbrzmiało krótkie, ale silne „mmm”. Dźwięk dobył się nie z prętów, lecz z drugiego końca pokoju, jakby za sprawą jakiegoś dziwnego elektrycznego brzuchomówstwa.

– Doskonale – powiedział Jacobs. – Możemy zaczynać. Jenny, połóż ręce na ramionach Astrid. Dostanie skurczu, a nie chcemy, żeby się ocknęła na podłodze, prawda?

– Gdzie pańskie święte obrączki? – spytała Jenny. Jej twarz i głos z każdą chwilą wyrażały coraz większe powątpiewanie.

– To coś lepszego od obrączek. Dużo potężniejszego. Bardziej świętego, jeśli wolisz. A teraz proszę, połóż ręce na jej ramionach.

– Niech pan się nie waży razić jej prądem!

– Najmniejsze z moich zmartwień, Jen – wychrypiała Astrid głosem kawki.
– Nic takiego się nie stanie. – Jacobs przybrał profesorski ton. – Nie może się stać.
Podczas terapii elektrowstrząsowej lekarze puszczają prąd o napięciu do stu pięćdziesięciu woltów, żeby wywołać duży napad padaczkowy. A one... – Zastukał prętem o pręt. – Nawet przy pełnej mocy wskazówka amperomierza ledwo by drgnęła. Energii, którą zamierzam wykorzystać... obecnej w tym pokoju, otaczającej nas teraz, w tej chwili, nie da się zmierzyć zwyczajnymi przyrządami. Jest w swojej istocie niepoznawalna.
„Niepoznawalna” to nie było słowo, które chciałem usłyszeć.
– Proszę to zrobić i tyle – powiedziała Astrid. – Jestem strasznie zmęczona i mam w piersi szczura. Płonącego.
Jacobs spojrział na Jenny. Zawahała się.
– Na spotkaniu przebudzeniowym to nie tak wyglądało.
– Może nie – zgodził się Jacobs – ale to jest prawdziwe przebudzenie. Zobaczysz. Połóż dłonie na jej ramionach, Jenny. Bądź gotowa mocno ją przytrzymać. Nie będzie jej bolało.
Wykonała polecenie.
Jacobs odwrócił się do mnie.
– Kiedy przystawię czubki prętów do skroni Astrid, zacznij przesuwając przełącznik. Licz kolejne pstryknięcia. Po czwartym przestań i czekaj na dalsze instrukcje. Gotowy? Zaczynamy.
Przyłożył czubki prętów do zagłębień po bokach jej głowy, w których pulsowały delikatne niebieskie żyłki.
– Miło było cię znowu widzieć, Jamie – powiedziała Astrid cicho, afektowanym tonem i zamknęła oczy.
– Może trochę brykać, więc przyszykuj się na to, żeby ją przytrzymać – powiedział Jacobs do Jenny. Po czym: – W porządku, Jamie.
Przesunąłem przełącznik. Pstryk... i pstryk... i pstryk... i pstryk.

Nic się nie stało.
To tylko rojenia starego człowieka, pomyślałem. Cokolwiek robił w przeszłości, już tego nie potrafi...
– Jeszcze dwa pstryknięcia, jeśli łaska. – Jego głos był suchy i pewny.
Zrobiłem to. Dalej nic. Przytrzymywana przez Jenny za ramiona Astrid była jeszcze bardziej zgarbiona niż przedtem. Z bólem słuchałem jej świszczącego oddechu.
– Jeszcze jedno – powiedział Jacobs.
– Charlie, już prawie doszedłem do końca...
– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Jeszcze jedno!
Pchnąłem suwak. Rozległo się kolejne pstryknięcie i tym razem z drugiego końca pokoju dobiegło głośniejsze buczenie, nie „mmm” tylko „MMRRRR”. Nie zobaczyłem żadnego błysku (przynajmniej go nie pamiętam), a mimo to na chwilę mnie oślepiło. Zupełnie jakby w moim mózgu eksplodowała bomba głębinowa. Zdaje się, że Jenny Knowlton krzyknęła. Jak przez mgłę zobaczyłem, że Astrid szarpnęła się na wózku tak potężnie, że Jenny – przecież nie chucherko – poleciała do tyłu i omal nie runęła na podłogę. Wychudzone nogi Astrid wystrzeliły do przodu, rozluźniły się, po czym znów się poderwały. Zawył alarm.
Do pokoju wpadł Rudy, a zaraz po nim Norma.
– Mówiłem, żebyś wyłączył to cholerstwo, zanim zaczniemy! – krzyknął Jacobs do Rudy’ego.
Astrid wyrzuciła ręce w górę, jedną omal nie trafiając w twarz Jenny, która wróciła, żeby

znów przytrzymać przyjaciółkę za ramiona.

– Przepraszam, panie Jacobs...

– Wyłącz to, durniu!

Charlie wyrwał mi skrzynkę sterowniczą i przesunął przełącznik z powrotem do pozycji wyjściowej. Astrid zaczęła się krztusić.

– Pastorze Danny, ona się dusi! – krzyknęła Jenny.

– Nie gadaj głupot! – warknął Jacobs. Policzki miał czerwone, oczy mu błyszczały.

Wyglądał, jakby mu ubyło dwadzieścia lat. – Norma! Zadzwoń do stróżówki! Powiedz, że to fałszywy alarm!

– Czy mam...

– Idź! Idź! Do jasnej cholery, IDŹ!

Poszła.

Astrid uniosła powieki, ale wyrzały spod nich tylko wytrzeszczone białka. Wstrząsnął nią kolejny miokloniczny skurcz i wysunęła się do przodu, wierzgając nogami. Młóciła rękami powietrze jak tonący pływak. Alarm nie przestawał wyć. Chwyciłem ją za biodra i zanim wylądowała na podłodze, posadziłem z powrotem na wózku. Krok jej spodni pociemniał, poczułem silny odór moczu. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że z kącika jej ust wycieka piana. Spadła z brody na kołnierz bluzki, tworząc kolejną ciemną plamę.

Alarm umilkł.

– Dzięki Bogu i za to – powiedział Jacobs. Stał zgięty wpół, z dłońmi na udach, i obserwował konwulsje Astrid z zainteresowaniem, ale bez niepokoju.

– Musimy wezwać lekarza! – krzyknęła Jenny. – Nie utrzymam jej!

– Bzdura. – Jacobs wykrzywił usta w półuśmiechu; na nic więcej nie mógł się zdobyć. – Myślałaś, że będzie łatwo? To rak, na litość boską. Daj jej chwilę i wszystko będzie...

– W ścianie są drzwi – powiedziała Astrid.

Już nie chrypiała. Jej oczy wróciły do oczodołów... ale nie równocześnie; najpierw jedno, potem drugie. Kiedy już były na swoim miejscu, skierowały się na Jacobsa.

– Nie możesz ich widzieć. Są małe i obrośnięte bluszczem. Bluszcz jest martwy. Ona czeka po drugiej stronie, nad zniszczonym miastem. Nad papierowym niebem.

Wiem, że to niemożliwe, ale przysięgłbym, że krew ścięła mi się lodem w żyłach. Coś się stało, pomyślałem. Coś się stało i Matka wkrótce tu będzie.

– Kto? – spytał Jacobs. Wziął ją za rękę. Półuśmiech zniknął. – Kto czeka?

– Ona. – Patrzyła prosto na niego.

– Kto? Astrid, kto?

Chwilę milczała. Wreszcie jej usta rozciągnęły się w straszliwym uśmiechu, który obnażył wszystkie zęby.

– Nie ta, której chcesz ty.

Uderzył ją w twarz. Głowa Astrid odskoczyła w bok, ślina trysnęła z ust. Krzyknąłem zaskoczony i złapałem Jacobsa za nadgarstek, kiedy zamierzył się na nią znowu. Powstrzymałem go, ale z najwyższym trudem. Nie miał prawa być tak silny. To była moc zrodzona z hysterii. Albo długo tłumionej furii.

– Nie możesz jej bić! – krzyknęła Jenny, puściła ramiona Astrid, okrążyła wózek i stanęła twarzą w twarz z Jacobsem. – Ty wariacie, nie możesz jej...

– Przestań – powiedziała Astrid. Jej głos był słaby, ale przytomny. – Przestań, Jenny.

Jenny obejrzała się. I zrobiła wielkie oczy, bo po białych policzkach Astrid powoli rozlewał się delikatny różowy rumieniec.

– Czemu na niego krzyczysz? Coś się stało?

Tak, pomyślałem. Coś się stało. Z całą pewnością.

Astrid odwróciła się do Jacobsa.

– Kiedy zaczniemy? Chciałabym jak najszybciej, bo ból jest nie do... nie do...

Wszyscy troje patrzyliśmy na nią. Nie, nie troje, pięcioro. Rudy i Norma zakradli się z powrotem na próg Pokoju Wschodniego i też patrzyli.

– Chwila – powiedziała Astrid. – Chwila, moment.

Dotknęła swojej piersi. Objęła dłońmi mizerne szczątki biustu. Ucisnęła brzuch.

– Już pan to zrobił, prawda? Wiem, że tak, bo nic mnie nie boli! – Wciągnęła powietrze i wypuściła je z pełnym niedowierzania śmiechem. – I mogę oddychać! Jenny, znowu mogę oddychać!

Jenny Knowlton padła na kolana, podniosła dłonie na wysokość głowy i zaczęła klepać Ojcie Nasz tak szybko, jakby płytę czterdziestkępućkę puścić z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę. Zawtórował jej drugi głos – Normy. Ona też była na klęczkach.

Jacobs posłał mi spojrzenie, którego wymowa była aż nadto czytelna: A widzisz, Jamie? Ja odwalam całą robotę, a zasługa przypada Panu B.

Astrid próbowała wstać z wózka, lecz wychudzone nogi nie zdołały utrzymać jej ciężaru. Złapałem ją, zanim gruchnęła twarzą na podłogę, i objąłem ramionami.

– Jeszcze nie, kochanie – powiedziałem. – Jesteś za słaba.

Ostrożnie posadziłem ją z powrotem na wózku. Patrzyła na mnie wybałuszonymi oczami. Maską tlenową przekręciła się na bok i zapomniana zwisała po lewej stronie jej twarzy.

– Jamie? To ty? Co tu robisz?

Spojrzałem na Jacobsa.

– Po zabiegu często następuje utrata pamięci krótkotrwałej – wyjaśnił. – Astrid, możesz mi powiedzieć, kto jest prezydentem?

Wyglądała na zdziwioną pytaniem, ale odpowiedziała bez wahania.

– Obama. A wiceprezydentem Biden. Naprawdę mi się polepszyło? Na stałe?

– Tak, naprawdę, i tak, na stałe, ale w tej chwili to nieważne. Powiedz mi...

– Jamie? To naprawdę ty? Ale masz białe włosy!

– Fakt – odparłem. – Jeszcze trochę i zupełnie osiwieję... Na razie posłuchaj Charliego.

– Szalałam za tobą, ale choć nieźle grałeś, tańczyć potrafiłeś tylko na haju. Po studniówce zjedliśmy kolację w Starland i zamówiłeś... – Urwała i oblizała wargi. – Jamie?

– Jestem.

– Mogę oddychać. Naprawdę znowu mogę oddychać. – Popłakała się.

Jacobs pstryknął palcami przed jej nosem jak hipnotyzer estradowy.

– Skup się, Astrid. Kto cię tu przywiózł?

– Je... Jenny.

– Co wczoraj jadłaś na kolację?

– Żupę. Żupę i sałatkę.

Znów pstryknął palcami przed jej mokrą od łez twarzą. Zamrugła i odchyliła się do tyłu. Wręcz widziałem, jak mięśnie pod jej skórą napinają się i jędrnieją. To było cudowne i okropne zarazem.

– Żupę. Żupę i sałatkę.

– Doskonale. Co to za drzwi w ścianie?

– Drzwi? Nie...

– Powiedziałas, że obrasta je bluszcz. Że po drugiej stronie jest zniszczone miasto.

– Nie... nie pamiętam.

– Powiedziałas, że ona czeka. Że... – Spojrzał w jej zdezorientowaną twarz i westchnął. –

Nieważne. Musisz odpocząć, moja droga.

– Pewnie tak – powiedziała Astrid – ale głównie mam ochotę tańczyć. Z radości.

– Przyjdzie i na to czas. – Poklepał jej dłoń. Uśmiechał się do Astrid, lecz odniosłem wrażenie, że jest głęboko zawiedziony, że nie pamiętała tych drzwi ani tego miasta. Ja nie. Nie chciałem wiedzieć, co zobaczyła, kiedy tajemna elektryczność Charliego przeszła najgłębsze zakamarki jej mózgu. Nie chciałem wiedzieć, co czeka za ukrytymi drzwiami, o których mówiła, obawiałem się jednak, że wiem.

Matka.

Nad papierowym niebem.

Astrid przespała cały poranek i dużą część popołudnia. Po przebudzeniu oznajmiła, że jest głodna jak wilk. To zadowoliło Jacobsa, który polecił Normie Goldstone zanieść „naszej pacjentce” grzankę z serem i mały kawałek ciasta z zeszkobanym lukrem. Uznał, że lukier może być zbyt treściwy na jej wyniszczony żołądek. Jacobs, Jenny Knowlton i ja obserwowaliśmy ją przy jedzeniu; spałaszowała całą grzankę i pół ciastka, zanim odłożyła widelec.

– Na resztę też mam ochotę – powiedziała – ale już mi się nie zmieści.

– Kwestia czasu – stwierdziła Jenny. Skubała palcami rozłożoną na kolanach serwetkę.

Na Astrid zerkała tylko przelotnie, na Jacobsa wcale. To z jej inicjatywy tu przyjechały i nie wątpię, że ucieszyła się z nagłej poprawy stanu zdrowia przyjaciółki, ale było oczywiste, że to, co zobaczyła w Pokoju Wschodnim, mocno nią wstrząsnęło.

– Chcę do domu – powiedziała Astrid.

– Och, kochana, nie wiem...

– Czuję się na siłach. Naprawdę. – Astrid spojrzała przeproszająco na Jacobsa. – Nie żebym nie była wdzięczna... do końca życia będę panu dziękować w modlitwach... ale chcę być u siebie. Chyba że sądzi pan...?

– Nie, nie – powiedział Jacobs. Podejrzywałem, że skoro już zrobił swoje, pragnął się jej jak najszybciej pozbyć. – Nie ma lepszego lekarstwa niż sen we własnym łóżku. Jeśli zaraz wyjedziesz, powinnaś być w domu wkrótce po zmierzchu.

Jenny tym razem nie zaprotestowała, tylko wróciła do skubania swojej serwetki. Zanim jednak spuściła głowę, wyczytałem z jej twarzy ulgę. Chciała wyjechać równie mocno jak Astrid, choć być może nie z tych samych powodów.

Astrid nie tylko wracała rumieńce. Siedziała prosto na wózku inwalidzkim. Patrzyła czystym, żywym wzrokiem. Zachodziły w niej niezwykle zmiany.

– Nie wiem, jak panu dziękować, panie Jacobs, i na pewno nigdy nie zdołam się panu odwdziaczyć, ale gdyby pan kiedyś czegoś potrzebował, wystarczy poprosić, a zrobię wszystko co w mojej mocy.

– Właściwie jest kilka takich rzeczy. – Wyliczył je na sękatych palcach prawej dłoni. – Jedz. Śpij. Ciężko pracuj nad tym, żeby odzyskać siły. Dasz radę?

– Tak. I nigdy więcej nie tknę papierosów.

Zbył to machnięciem ręki.

– Nawet nie będziesz chciała. Prawda, Jamie?

– Tak sądzę – powiedziałem.

– Pani Knowlton?

Jenny drgnęła, jakby uszczypnął ją w tyłek.

– Astrid musi zatrudnić fizjoterapeutę albo ty musisz to zrobić w jej imieniu. Im szybciej wstanie z wózka, tym lepiej. Mam rację? Dobrze kombinuję, jak to się mówi?

– Tak, pastorze Danny.

Zmarszczył brwi, ale jej nie poprawił.

– Jest coś jeszcze, co możecie dla mnie zrobić, piękne panie, coś bardzo ważnego: zachowajcie w tajemnicy mój udział w tym, co się tu stało. W nadchodzących miesiącach czeka mnie dużo pracy i ostatnie, czego mi do szczęścia trzeba, to tabuny chorych ściągających tutaj w nadziei na uzdrowienie. Rozumiecie?

– Tak – powiedziała Astrid.

Jenny skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

– Astrid – mówił dalej Jacobs – kiedy pójdziesz do swojego lekarza, a on, co nieuniknione, wyrazi zdumienie twoim stanem, powiesz mu tylko, że modliłaś się o remisję i Bóg cię wysłuchał. Jego osobista wiara czy jej brak w skuteczność modlitwy nie będzie istotna; tak czy tak, będzie miał niezbity dowód w postaci zdjęć z rezonansu magnetycznego, że o twoim radośnie uśmiechniętym obliczu nie wspomnę. Radośnie uśmiechniętym i zdrowym obliczu.

– Tak, dobrze. Jak pan sobie życzy.

– Zawiozę cię do apartamentu – powiedziała Jenny. – Musimy się spakować. – Podtekst: Zabierajmy się stąd. Pod tym względem była jednej myśli z Charliem Jacobsem; oboje dobrze kombinowali.

– Dobrze. – Astrid spojrzała na mnie nieśmiało. – Jamie, przyniosłbyś mi colę? Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Pewnie.

Jacobs patrzył, jak Jenny pcha wózek z Astrid przez pustą restaurację. Kiedy zniknęły za drzwiami na drugim końcu sali, odwrócił się do mnie.

– To co, umowa stoi?

– Tak.

– Nie zwiniesz się na południe?

Na południe. W kuglarskim żargonie oznaczało to zabranie manatków i ulotnienie się bez śladu.

– Nie, Charlie. Nie zwinę się na południe.

– W takim razie wszystko gra. – Patrzył na drzwi, którymi wyszły kobiety. – Teraz, kiedy opuściłem Drużynę Jezusa, pani Knowlton za mną nie przepada, co?

– Przede wszystkim się ciebie boi.

Zbył to wzruszeniem ramion. Prawie całkowicie jednostronnym, jak jego uśmiech.

– Dziesięć... może nawet pięć lat temu nie uleczyłbym pani Soderberg. Ale teraz sprawy szybko idą naprzód. Latem...

– Latem co?

– Kto wie? – powiedział. – Kto wie?

Ty, pomyślałem.

– Zobacz, Jamie – powiedziała Astrid, kiedy przyniosłem jej colę.

Wstała z wózka i niepewnie przeszła trzy kroki do krzesła przy oknie sypialni.

Przytrzymując się oparcia, obróciła się i z westchnieniem ulgi i rozkoszy ciężko usiadła.

– Nic wielkiego, wiem...

– Żartujesz? To nadzwyczajne. – Podałem jej wypchaną lodem szklankę coca-coli.

Nasadziłem nawet na krawędź plasterki limonki, tak na szczęście. – I z dnia na dzień będziesz w stanie robić coraz więcej.

Mieliśmy pokój tylko dla siebie. Jenny przeprosiła i poszła, tłumacząc, że musi spakować

resztę rzeczy, choć z tego, co widziałem, nie zostało już nic do pakowania. Na łóżku leżał płaszcz Astrid.

– Zdaje się, że zawdzięczam ci równie wiele, co panu Jacobsowi.

– Nieprawda.

– Nie kłam, Jamie, bo nos ci urośnie i szerszenie pożądlą cię w golenie. Na pewno przychodzą do niego tysiące listów błagających o uzdrowienie, nawet teraz. Nie sądzę, żeby mój wybrał z tej sterty przypadkiem. To ty zajmowałeś się ich czytaniem?

– Nie, Al Stamper, dawny ulubieniec twojej przyjaciółki Jenny. Ze mną Charlie skontaktował się później.

– I przyjechałeś – powiedziała. – Po tylu latach przyjechałeś. Dlaczego?

– Bo musiałem. Lepiej tego nie wytłumaczę. Poprzestańmy na tym, że był czas, że świata poza tobą nie widziałem.

– Niczego mu nie obiecałeś? Nie było żadnego... jak to się mówi... *quid pro quo*?

– Zupełnie. – Nawet powieka mi nie drgnęła. W latach, kiedy byłem narkomanem, stałem się wytrawnym kłamcą, a smutna prawda jest taka, że tego rodzaju umiejętności zostają człowiekowi na całe życie.

– Podejdź tu. Stań przy mnie.

Zrobiłem to. Bez wstydu ani skrępowania położyła dłoń na rozporoku moich dzinsów.

– Używałaś tego delikatnie. Wielu chłopaków nie zdobyłoby się na to. Byłeś niedoświadczony, ale miałeś w sobie dobroć. Ja też świata poza tobą nie widziałam. – Opuściła rękę i spojrzała na mnie oczami, które już nie były matowe i skupione na bólu. Teraz biło z nich życie. I niepokój. – Obiecałeś coś. Wiem o tym. Nie spytam co, ale jeśli mnie kiedykolwiek kochałeś, uważaj na niego. Zawdzięczam mu życie i mówiąc to, czuję się podle, ale uważam, że jest niebezpieczny. I myślę, że ty też tak sądzisz.

Czyli wcale nie byłem tak wytrawnym łgarzem, za jakiego się uważałem. A może po prostu teraz, wyleczona, widziała więcej.

– Astrid, nie masz się o co martwić.

– Tak sobie myślę... pocałowałbyś mnie, Jamie? Dopóki jesteśmy sami? Wiem, że uroda nie grzeszę, ale...

Padłem na kolano – znów czując się jak kawaler z romansu – i pocałowałem ją. Nie, uroda nie grzeszyła, ale w porównaniu z tym, jak wyglądała rano, była ślicznym kociakiem. Ten pocałunek to jednak było tylko przelotne muśnięcie. Żar wygasł. Przynajmniej jak dla mnie. A mimo to byliśmy z sobą związani. Węzłem był Jacobs.

Pogłaskała mnie po tyle głowy.

– Wciąż piękne włosy, siwiejące czy nie. Życie tak niewiele nam zostawia, ale tobie zostawiło przynajmniej to. Żegnaj, Jamie. I dziękuję.

Wychodząc, przystanąłem, żeby zamienić parę słów z Jenny. Głównie chciałem się dowiedzieć, czy mieszka na tyle blisko Astrid, żeby mieć ją na oku.

Uśmiechnęła się.

– Jesteśmy kumpelami porozwodowymi od czasu, kiedy sprowadziłam się do Rockland i zaczęłam pracować w tamtejszym szpitalu. To było dziesięć lat temu. Kiedy zachorowała, zamieszkałam z nią.

Dałem jej numer mojej komórki i numer do Wolfjaw.

– Mogą wystąpić skutki uboczne.

Skinęła głową.

– Pastor Danny mnie uprzedził. To znaczy pan Jacobs. Trudno mi się przyzwyczaić do tego, że mam go tak nazywać. Mówił, że może wykazywać skłonności do lunatyizmu, dopóki jej fale mózgowe się nie wyregulują. Przez cztery do sześciu miesięcy, powiedział. Spotkałam się z takimi zachowaniami u ludzi, którzy przesadzają z lekami typu Ambien i Lunesta.

– Tak, to najbardziej prawdopodobne. – Choć do tego dochodziło jeszcze jedzenie ziemi, kompulsywne wędrówki donikąd, zespół Tourette’a, kleptomania i to, co Hugh Yates nazwał przyzmatykami. O ile wiedziałem, ambien takich objawów nie wywoływał. – Ale gdyby zdarzyło się coś innego... zadzwoń.

– Jak bardzo się niepokoisz? – spytała. – Powiedz, czego mam się spodziewać.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Pewnie wszystko będzie w porządku. – W końcu z większością uzdrowionych nie działo się nic złego, przynajmniej według Jacobsa. I choć nie ufałem mu za grosz, musiałem liczyć, że co do tego mówił prawdę, bo teraz już nic innego mi nie pozostawało. Było za późno, żeby się wycofać. Co się stało, to się nie odstanie.

Jenny wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

– Polepszyło jej się. To łaska Boża, Jamie, bez względu na to, co myśli pan Jacobs teraz, kiedy odwrócił się od Boga. Bez niej... bez niego... pożyłaby najdłużej sześć tygodni.

Astrid zjechała po rampie dla niepełnosprawnych na wózek, ale do subaru outback Jenny wsiadła o własnych siłach. Jacobs zamknął za nią drzwi. Chwyliła jego dłoń w obie ręce przez otwarte okno i raz jeszcze mu podziękowała.

– To była dla mnie przyjemność – powiedział. – Tylko pamiętaj o swojej obietnicy. – Wysunął rękę z jej uścisku, żeby położyć palec na ustach. – Nikomu ani mru-mru.

Schyliłem się i pocałowałem Astrid w czoło.

– Jedz – powiedziałem. – Odpoczywaj. Poddaw się rehabilitacji. I ciesz się życiem.

– Zrozumiałam, kapitanie – odparła. Zajrzała mi za plecy i kiedy zobaczyła, że Jacobs pomału gramoli się po stopniach na ganek, napotkała mój wzrok i powtórzyła to, co powiedziała wcześniej. – Uważaj.

– Nie martw się.

– I tak będę się martwić. – Patrzyła mi w oczy z głęboką troską. Postarzała się jak ja, ale teraz, gdy choroba została wygnana z jej organizmu, znów widziałem w niej dziewczynę, która stała przed sceną z Hattie, Carol i Suzanne, i razem z nimi wywijiała tyłkiem, kiedy Chrome Roses grały *Knock on Wood* czy *Nutbush City Limits*. Dziewczynę, którą pocałowałem pod schodami pożarowymi. – Będę się bardzo martwić.

Ja też.

Dołączyłem do Charliego Jacobsa na ganku i patrzyliśmy, jak schludne małe outback Jenny Knowlton toczy się drogą do bramy. Była piękna, odwilżowa pogoda i spod śniegu wyłoniła się zieleniąca już trawa. Nawóz dla ubogich, pomyślałem. Tak to nazywaliśmy.

– Będą trzymać język za zębami? – spytał Jacobs.

– Tak. – Może nie do grobowej deski, ale na pewno dość długo, by zdołał skończyć swoją pracę, jeśli rzeczywiście był tego bliski. – Obiecały.

– A ty, Jamie? Dotrzymasz obietnicy?

– Tak.

To mu chyba wystarczyło.

– Może zostaniesz na noc?

Potrząsnąłem głową.

– Zarezerwowałem pokój w Embassy Suites. Z samego rana mam samolot.

I nie mogłem się doczekać, żeby stąd wyjechać, tak jak nie mogłem się doczekać wyjazdu z The Latches.

Nie powiedziałem tego, ale jestem pewien, że to wiedział.

– W porządku. Tylko masz być gotowy, kiedy zadzwonię.

– Czego ci jeszcze trzeba, Charlie? Oświadczenia na piśmie? Powiedziałem, że przyjadę, to przyjadę.

– Dobrze. Przez prawie całe życie odbijaliśmy się od siebie jak kule bilardowe, ale z tym już prawie koniec. Pod koniec lipca... najpóźniej w połowie sierpnia nasze drogi się rozejdą.

Co do tego miał rację. Niech Bóg mu dopomoże, miał rację.

Oczywiście zakładając, że On istnieje.

Mimo że w Cincinnati miałem przesiadkę, w Denver byłem już nazajutrz przed pierwszą po południu – jak podróżować w czasie, to tylko odrzutowcem lecącym na zachód. Włączyłem telefon. Na poczcie głosowej miałem dwie wiadomości. Pierwsza była od Jenny – że przed zaśnięciem zamknęła Astrid na klucz w sypialni, że elektroniczna niania, którą przy niej zostawiła, przez całą noc ani pisnęła i o siódmej rano Astrid jeszcze twardo spała.

– Jak wreszcie wstała, zjadła jajko na miękko i dwie grzanki. A wygląda tak, że... muszę sobie powtarzać, że to nie złudzenie.

To była dobra wiadomość. Zła przyszła od Brianny Donlin – czy raczej Brianny Donlin-Hughes. Zostawiła ją dosłownie parę minut przed lądowaniem mojego samolotu.

– Robert Rivard nie żyje, Jamie. Nie znam szczegółów. – Ale do wieczora je zdobyła.

Pewna pielęgniarka swego czasu powiedziała Bree, że większość ludzi, którzy trafiają do Gad's Ridge, już stamtąd nie wychodzi, i w przypadku chłopca, którego pastor Danny uleczył z dystrofii mięśniowej, to się w pełni potwierdziło. Znaleźli go w jego pokoju, dyndającego na stryczku, który zrobił z dzinsów. Zostawił list pożegnalny treści: „Nie mogę przestać widzieć potępionych. Szereg ciągnie się w nieskończoność”.

XII

Księgi Zakazane – Moje wakacje w Maine – Smutna historia Mary Fay – Nadejście burzy

Jakieś sześć tygodni później dostałem e-maila od mojej dawnej partnerki śledczej.

Do: Jamie

Od: Bree

Temat: Tytułem informacji

Po powrocie z posiadłości Jacobsa w stanie Nowy Jork pisałeś, że wspomniał o książce zatytułowanej *De Vermis Mysteriis*. Ten tytuł zapadł mi w pamięć, pewnie dlatego, że w liceum nauczyłam się łaciny na tyle, by wiedzieć, że to znaczy „Tajemnice Robaka”. Najwyraźniej wnikanie we wszystko, co z Jacobsem związane, to nałóg, z którego trudno wyjść, bo postanowiłam trochę powęszyc. Bez wiedzy męża, dodam, gdyż w jego mniemaniu wszystko, co z Jacobsem związane, zostawiłam za sobą.

W każdym razie sprawa wygląda poważnie. Według Kościoła katolickiego *De Vermis Mysteriis* to jedna z sześciu Ksiąg Zakazanych. *Grimoires*, jak je nazywano. Pozostałe pięć to *Księga Apoloniusza* (autor był lekarzem w czasach Chrystusa), *Księga Alberta Wielkiego* (zaklęcia, talizmany, komunikacja ze zmarłymi), *Lemegeton* i *Salomonis Clavicule* (rzekomo autorstwa samego króla Salomona) oraz *Picatrix*. Ta ostatnia, wraz z *De Vermis Mysteriis*, podobno była pierwowzorem fikcyjnej książki *Necronomicon* wymyślonej przez H.P. Lovecrafta.

Wszystkie Księgi Zakazane dostępne są w różnych wydaniach. Z JEDNYM wyjątkiem: *De Vermis Mysteriis*. Według Wikipedii tajni emisariusze Kościoła katolickiego (Dan Brown się kłania) jeszcze przed początkiem dwudziestego wieku spalili wszystkie oprócz sześciu–siedmiu egzemplarzy *De Vermis*. (Swoją drogą, dziś papieskie hufce nie chcą przyznać, że taka książka w ogóle istniała). Inne zniknęły i uważa się, że albo zostały zniszczone, albo są w rękach prywatnych kolekcjonerów.

Jamie, wszystkie Księgi Zakazane traktują o MOCY i o tym, jak ją zdobyć przy wykorzystaniu alchemii (którą dziś nazywamy „nauką”) połączonej z matematyką i pewnymi brzydkimi okultystycznymi rytuałami. To wszystko zapewne bzdury, ale i tak ciarki mnie przechodzą, kiedy o tym czytam – sam mówiłeś, że Jacobs przez całe życie badał zjawiska elektryczne i uzdrowienia, których dokonał, każą mi sądzić, że mógł zawładnąć całkiem sporą mocą. W związku z czym nasuwa się stare porzekadło: „Kto złapie tygrysa za ogon, nie śmie puścić”.

Jeszcze parę spraw, które powinny dać Ci do myślenia.

Po pierwsze: aż do połowy siedemnastego wieku katolicy przyłapani na prowadzeniu badań nad *potestas magnum universum* (napędową siłą wszechświata) podlegali ekskomunice.

Po drugie: Wikipedia podaje – choć, dodam, bez odesłania do żadnych potwierdzających to źródeł – że dwuwiersz, który większość ludzi pamięta z fikcyjnego *Necronomiconu* Lovecrafta, został żywcem przepisany z egzemplarza *De Vermis*, do którego Lovecraft uzyskał dostęp (na pewno nie miał go na własność, był za biedny, żeby kupić taki biały kruk). Mowa o fragmencie: „Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami/ Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami”. To przyprawiło mnie o koszmary. Nie żartuję.

Czasem nazywałeś Charlesa Daniela Jacobsa piątą osobą Twojego dramatu. Mam

nadzieję, że skończyłeś z nim na dobre, Jamie. Dawno temu śmiałybym się z tego wszystkiego, ale dawno temu myślałam, że uzdrowienia na spotkaniach przebudzeniowych to pic na wodę.

Zadzwoń kiedyś, dobra? Daj znać, że wszystko, co z Jacobsem związane, to dla Ciebie już tylko przeszłość.

Ściskam czule, jak zawsze

Bree

Wydrukowałem to i dwa razy przeczytałem. Potem sprawdziłem *De Vermis Mysteriis* w Google i znalazłem wszystko, o czym napisała Bree, a także jeden szczegół, który pominęła. Na blogu *Mroczne tomy magii i zaklęć*, poświęconym rzadkim książkom, ktoś nazwał zakazaną księgę Prinna „najbardziej niebezpieczną, jaką kiedykolwiek napisano”.

Wyszedłem z mieszkania, ruszyłem w głąb ulicy i kupiłem pierwszą paczkę papierosów od czasu krótkiego flirtu z tytoniem na studiach. Po powrocie usiadłem na schodkach przed moim budynkiem, żeby zapalić – wewnątrz nie mogłem, był zakaz. Przy pierwszym zaciągnięciu złapał mnie kaszel i zakręciło mi się w głowie. Pomyślałem: Te cholerstwa zabiłyby Astrid, gdyby nie interwencja Charliego.

Tak. Charlie i jego cudowne uleczenia. Charlie, który trzymał tygrysa za ogon i nie to, że nie śmiał, ale nie chciał go puścić.

„Coś się stało”, powiedziała Astrid w moim śnie, z szerokim uśmiechem całkowicie pozbawionym jej dawnego uroku. „Coś się stało i Matka wkrótce tu będzie”.

A później, po tym jak Jacobs poraził jej mózg swoją tajemną elektrycznością: „W ścianie są drzwi. Obrońnięte bluszczem. Bluszcz jest martwy. Ona czeka”. I, w odpowiedzi na pytanie Jacobsa, o kogo chodzi: „Nie ta, której chcesz ty”.

Mogę złamać obietnicę, pomyślałem, odrzucając papierosa. Nie byłby to pierwszy raz.

Prawda, ale nie tę. Nie tę obietnicę.

Wszedłem do środka, zgmiotłem paczkę papierosów i wyrzuciłem do kosza obok skrzynek pocztowych. W mieszkaniu zadzwoniłem na komórkę Bree, przygotowany zostawić wiadomość, odebrała jednak osobiście. Podziękowałem jej za e-mail i zapewniłem, że nie zamierzam się więcej widywać z Charlesem Jacobsem. Powiedziałem to kłamstwo bez poczucia winy ani najmniejszego wahania. Mąż Bree miał rację; musiała skończyć ze wszystkim, co z Jacobsem związane. A kiedy przyjdzie pora, abym pojechał do Maine spełnić moją obietnicę, okłamię Hugh Yatesa z tego samego powodu.

Dawno, dawno temu dwoje nastolatków zakochało się w sobie tak mocno, jak tylko nastolatki potrafią. Całowali się pod schodami pożarowymi, a kilka lat później kochali się w zrujnowanej chałupie wśród huku gromów i błysków piorunów – scena jak z Victorii Holt. Z czasem Charles Jacobs ocalił oboje od zapłacenia najwyższej ceny za ich nałogi. Byłem po dwakroć jego dłużnikiem. Na pewno to rozumiecie i mógłbym na tym poprzestać, ale wtedy pominąłbym dużo istotniejszą prawdę: byłem też ciekawy. Boże, dopomóż, chciałem zobaczyć, jak podnosi wieko puszki Pandory, i zajrzeć do środka.

– To nie jest nieudolna próba dania mi do zrozumienia, że wybierasz się na emeryturę, co? – Hugh próbował przybrać żartobliwy ton, ale w oczach miał autentyczny niepokój.

– Nie, skąd. Po prostu chcę wziąć parę miesięcy urlopu. Może tylko sześć tygodni, jeśli

mi się znudzi. Muszę odnowić więzi z rodziną w Maine, dopóki mogę. Młodszy już nie będę.

Miałem zamiar trzymać się z dala od rodziny z Maine. I tak byli za blisko Koziej Góry.

– Przecież jesteś jeszcze małolat – powiedział markotnie. – Ja jesienią skończę siedemdziesiąt sześć lat. Tyle, ile było puzonów na czele wielkiej parady w tej starej piosence z musicalu *The Music Man*. Już samo to, że Mookie wiosną zwinął żagle, utrudniło mi życie. Jeśli jeszcze ty odejdziesz, chyba będę musiał zamknąć interes.

Westchnął ciężko.

– Powiniennem mieć dzieci, kogoś, kto objąłby stery, kiedy mnie zabraknie, ale czy nawet wtedy byłaby jakaś gwarancja? E tam. Mówisz im, że masz nadzieję, iż przejmą rodzinny biznes, i w odpowiedzi słyszysz: „Sorry, tato, ja i ten wiecznie upalony leser z mojej szkoły, z którym nie chciałeś, żebym się zadawał, jedziemy do Kalifornii robić deski surfingowe wyposażone w Wi-Fi”.

– Skoro już wyrzuciłeś z siebie, co ci leży na wątrobie...

– Tak, tak, wracaj do korzeni, proszę bardzo. Pobaw się w łapki ze stryjeczną wnuczką i pomóż bratu wyremontować jego najnowszy klasyczny wóz. Wiesz, jak tu jest latem.

Pewnie, że wiedziałem; interesy szły jak krew z nosa. Latem nawet najbardziej gówniane zespoły łatwo znajdują pracę, a kiedy grają na żywo w barach i na kilkudziesięciu festiwalach w Kolorado i Utah, raczej nie mają czasu na wynajmowanie studia.

– Będzie George Damon – powiedziałem. – Wrócił z emerytury w wielkim stylu.

– Taaa... – odparł Hugh. – Jedyne w Kolorado, który potrafi sprawić, by *I'll Be Seeing You* brzmiało jak *God Bless America*.

– Może nawet jedyny na świecie. Hugh, nie miałeś więcej tych swoich przyrządków, co? Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Nie. Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

Wzruszyłem ramionami.

– Czuję się dobrze – mówił dalej. – Co noc muszę parę razy wstawać, żeby wycisnąć pół filiżanki moczu, ale w moim wieku to chyba normalna. Chociaż... powiedzcie mi coś dziwnego? Tyle że dla mnie to nie tyle dziwne, ile niepokojące.

Nie byłem pewien, czy chcę to usłyszeć, ale uznałem, że powinienem. Był początek czerwca. Jacobs jeszcze nie zadzwonił, ale to robi. Nie miałem co do tego wątpliwości.

– Ciągle śni mi się taki sen. W nim nie jestem tu, w Wolfjaw, tylko w Arvada, w domu, w którym dorastałem. Ktoś zaczyna pukać do drzwi. Właściwie nie pukać, tylko się dobijać. Nie chcę otworzyć, bo wiem, że to moja matka, a ona nie żyje. Co w sumie jest głupie, bo w czasach, kiedy mieszkalem w Arvada, żyła i była zdrowa jak koń, ale to ona, jestem tego pewien. Idę w głąb korytarza, nie chcę tego, lecz nogi same mnie niosą... wiesz, jak to jest w snach. Wtedy ona już wali w drzwi ile sił, pięściami, sądząc z hałasu, a mnie przypomina się opowiadanie grozy, które w liceum czytaliśmy na angielskim. Zdaje się, że miało tytuł *Sierpniowy upał*.

Nie *Sierpniowy upał*, pomyślałem. W *Małpiej łapce* jest dobijanie się do drzwi.

– Wyciągam rękę do gałki i budzę się zlany potem. Co o tym sądzisz? Myślisz, że podświadomość przygotowuje mnie do zejścia ze sceny?

– Może – przytaknąłem, ale myślami byłem już gdzie indziej. Przy innych drzwiach. Małych, obrośniętych martwym bluszczem.

Jacobs zadzwonił pierwszego lipca. Byłem w jednym ze studiów, właśnie aktualizowałem oprogramowanie Apple Pro. Kiedy usłyszałem jego głos, usiadłem przed konsolą i zajrzałem przez szybę do dźwiękoszczelnego pokoju prób, pustego, nie licząc rozmontowanej perkusji.

– Już prawie czas, żebyś dotrzymał obietnicy – powiedział. Mamrotał niewyraźnie, jakby trochę za dużo wypił, choć przy mnie nigdy nie brał do ust niczego mocniejszego od czarnej kawy.

– W porządku. – Mówiłem ze względym spokojem. Bo i czemuż by nie? W końcu spodziewałem się tego telefonu. – Kiedy mam przyjechać?

– Jutro. Najpóźniej pojutrze. Podejrzewam, że nie będziesz chciał zamieszkać ze mną w ośrodku, przynajmniej na początku...

– Dobrze podejrzewasz.

– ...ale masz być nie dalej niż o dwie godziny drogi. – „Godziny” zabrzmiało jak „gosiny”. – Przyjedziesz, jak tylko zadzwonię.

To przypomniało mi inną opowieść z dreszczykiem, zatytułowaną *Zagwiżdż, chłopcze, a przybędę do ciebie*.

– Zgoda – powiedziałem. – Ale...

– Tak?

– Poświęcę ci dwa miesiące i szlus. Kiedy przyjdzie wrzesień, z nami koniec, cokolwiek się wydarzy.

Kolejna pauza, ale słyszałem, jak ciężko, z wysiłkiem oddycha; niczym Astrid, kiedy jeszcze była na wózku.

– Niech będzie.

– Dobrze się czujesz?

– Następny wylew, niestety. – A raczej „nieffety”. – Może nie mówię wyraźnie jak kiedyś, ale zapewniam cię, że myślę jasno jak zawsze.

Pastor Danny, ulecz samego siebie, pomyślałem nie pierwszy raz.

– Charlie, mam dla ciebie wiadomość. Robert Rivard nie żyje. Pamiętasz? Chłopak z Missouri. Powiesił się.

– Przykro mi. – Nie sprawiał wrażenia zasmuconego i nie tracił czasu na pytanie o szczegóły. – Po przyjeździe zadzwoń i daj znać, gdzie jesteś. Tylko pamiętaj, nie dalej niż o dwie godziny drogi.

– Jasne. – Rozłączyłem się.

Przez kilka minut siedziałem w nienaturalnie cichym studiu i patrzyłem na rozwieszone na ścianach oprawione okładki płyt. Wreszcie zadzwoniłem do Jenny Knowlton. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Jak się ma nasza dziewczyna? – spytałem.

– Dobrze. Przybiera na wadze, przechodzi półtora kilometra dziennie. Wygląda dwadzieścia lat młodziej.

– Żadnych skutków ubocznych?

– Nic. Żadnych drgawek, żadnego lunatyzmu, żadnej amnezji. Niewiele pamięta z naszego pobytu na Koziej Górze. W sumie to chyba dobrze.

– A co u ciebie, Jenny? Wszystko w porządku?

– Tak, ale muszę lecieć. Mamy dziś w szpitalu urwanie głowy. Dzięki Bogu, że niedługo biorę urlop.

– Chyba nie wyjedziesz i nie zostawisz Astrid samej? To raczej nie byłby dobry po...

– Nie, nie, skądże znowu! – W jej głosie była nerwowość. – Jamie, wzywają mnie. Muszę iść.

Siedziałem przed ciemną konsolą. Patrzyłem na okładki płyt – właściwie kompaktów, kwadraciki wielkości pocztówek. Przypomniało mi się coś, co zdarzyło się wkrótce po tym, jak dostałem w prezencie mój pierwszy samochód, tego forda galaxie rocznik 1966. Norm Irving,

z którym wybrałem się na przejażdżkę, nudził, żebym docisnął gaz do dechy na prostym jak strzała trzykilometrowym odcinku drogi numer 27. „Zobaczmy, na co tę furę stać”, przekonywał. Przy stu dwudziestu na godzinę przód zaczął drzeć, ale nie chciałem wyjść na mięczaka – w wieku siedemnastu lat to bardzo ważne – więc nie zdejmowałem nogi z pedału. Przy stu dwudziestu pięciu drzenie ustało. Przy stu trzydziestu galaxie nabrał nierzeczywistej, niebezpiecznej lekkości, miał coraz mniejszy kontakt z jezdnią i uświadomiłem sobie, że jestem o krok od utraty panowania nad kierownicą. Uważając, by nie dotknąć hamulca – od taty wiedziałem, że przy dużej prędkości mogłoby się to tragicznie skończyć – stopniowo spuściłem nogę z gazu i galaxie zaczął zwalniać.

Jakżebym chciał móc to samo zrobić teraz.

Hotel Embassy Suites koło lotniska Jetport zrobił na mnie przyzwoite wrażenie, kiedy przenocowałem tam po cudownym uzdrowieniu Astrid, więc i tym razem się w nim zatrzymałem. Przemknęło mi przez myśl, żeby poczekać na sygnał od Jacobsa w Castle Rock Inn, ale tam byłoby zbyt duże zagrożenie, że natknę się na jakiegoś starego znajomego – na przykład Norma Irvinga. Wtedy wieść o moim przyjeździe na pewno dotarłaby do Terry’ego. Brat zacząłby dociekać, co robię w Maine i dlaczego się u niego nie zatrzymałem. A na tego rodzaju pytania nie miałem ochoty odpowiadać.

Mijały dni. W Święto Niepodległości, wraz z kilkutysięcznym tłumem, oglądałem z promenady w Portland pokaz fajerwerków; wszyscy wzdychaliśmy z zachwytem, gdy na niebie eksplodowały piwonie, chryzantemy i diademy, a w wodach zatoki Casco ich kołysane fałami odbicia. W następnych dniach odwiedziłem zoo w York, muzeum tramwajów w Kennebunkport i latarnię morską na Pemaquid Point. Zwiedziłem Miejską Galerię Sztuki w Portland, w której wystawiano trzy pokolenia Wyethów, i obejrzałem popołudniowy spektakl *The Buddy Holly Story* w teatrze w Ogunquit – odtwórca głównej roli był niezły, ale do Gary’ego Buseya ze sfilmowanej wersji sporo mu brakowało. Obzerałem się homarami, aż mi zbrzydły tak, że nie mogłem na nie patrzeć. Chodziłem na długie spacerunki po skalistym brzegu. Dwa razy w tygodniu zaglądałem do księgarni Books-A-Million w Maine Mall i kupowałem książki, które czytałem w moim pokoju, aż morzył mnie sen. Wszędzie nosiłem z sobą komórkę, Jacobs jednak milczał. Parę razy myślałem, żeby do niego zadzwonić, i powiedziałem sobie, że chyba do reszty zgłupiałem, skoro w ogóle biorę to pod uwagę. Po co wywoływać wilka z lasu?

Pogoda była piękna, niska wilgotność, nieskazitelnie czyste niebo, dzień w dzień dwadzieścia parę stopni. Czasem, głównie nocą, przechodziły przelotne ulewy. Któregoś wieczoru usłyszałem, jak prezenter pogody Joe Cupo nazwał jedną z nich „taktownym deszczem”. Dodał, że to najpiękniejsze lato, jakie widział w ciągu swojej trzydziestopięcioletniej kariery.

W Minneapolis odbył się mecz gwiazd, wznowiono sezon baseballowy i w miarę jak zbliżał się sierpień, zacząłem mieć nadzieję, że ostatecznie wrócę do Kolorado, nie zobaczywszy się z Charliem. Przemknęło mi przez myśl, że mógł dostać czwartego wylewu, tym razem katastrofalnego w skutkach, i miałem oko na nekrologi w „Portland Press-Herald”. Nie to, że z nadzieją, ale...

E tam nie. Pewnie, że z nadzieją.

W lokalnym serwisie informacyjnym dwudziestego piątego lipca Joe Cupo z żalem poinformował mnie i resztę swoich widzów z południowego Maine, że wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć. Fala upałów obecnie prażąca Środkowy Zachód w weekend przemieści się nad Nową Anglię. Przez cały ostatni tydzień lipca temperatury miały sięgać trzydziestu kilku

stopni, a sierpień, przynajmniej na początku, zapowiadał się nie lepiej.

– Sprawdźcie więc państwo, czy wasze klimatyzatory są sprawne – poradził Cupo. –

W taką pogodę nie pozostaje nic innego jak leniuchować.

Tego wieczoru zadzwonił Jacobs.

– Niedziela – powiedział. – Masz być nie później niż o dziewiątej rano.

Zapewniłem, że będę.

Joe Cupo miał rację. Upał nadciągnął w sobotę po południu i kiedy nazajutrz o wpół do ósmej rano wsiadłem do wynajętego samochodu, powietrze już gęstniało. Drogi były puste, więc szybko dotarłem na Kozią Górę. Kierując się ku ośrodkowi, zauważyłem, że znów można swobodnie wjeżdżać na Skytop; solidna drewniana brama stała otwarta na oścież.

Strażnik Sam czekał na mnie, ale już nie w uniformie. Ubrany w dżinsy, siedział na opuszczonej tylnej klapie pikapa tacoma i zjadał bajgla. Kiedy podjechałem, odłożył go ostrożnie na serwetkę i niespiesznie podszedł do mojego samochodu.

– Dzień dobry, panie Morton. Wczesnie pan przyjechał.

– Nie ma ruchu – powiedziałem.

– Tak, latem to najlepsza pora do jazdy. Zanim tłumy palantów z Massachusetts ruszą na plażę. – Spojrzał w niebo, którego błękit już przechodził w mglistą biel. – A niech się smażą, aż dostaną raka skóry. Ja zamierzam siedzieć w domu, oglądać Soxów i cieszyć się klimatyzacją.

– Co, ma pan fajrant na dzisiaj?

– Fajrant w ogóle – powiedział. – Jak zadzwonię do pana Jacobsa i powiem, że pan jedzie, to koniec. Robota wykonana.

– Cóż, życzę miłej reszty lata. – Wyciągnąłem rękę.

Uścisnął ją.

– Nie wie pan, co on kombinuje? Umiem dochować tajemnicy; nawet muszę, bo taka była umowa.

– Wiem tyle co pan.

Mrugnął do mnie jakby na znak, że obaj wiemy, że to nieprawda, i przepuścił mnie machnięciem ręki. Zanim wszedłem w pierwszy zakręt, zobaczyłem w lusterku wstecznym, jak Sam chwyta bajgla, zatrząskuje tylną klapę pikapa i siada za kierownicą.

„Koniec. Robota wykonana”.

Szkoda, że nie mogłem powiedzieć tego samego.

Jacobs powoli, ostrożnie zszedł do mnie po schodach z ganku. Podpierał się laską. Usta miał jeszcze bardziej wykrzywione niż ostatnio. Na parkingu stał jeden samochód, i to dobrze mi znany: schludne małe subaru outback. Z tyłu miał naklejkę treści JAK OCALISZ JEDNO ŻYCIE, JESTEŚ BOHATEREM. JAK OCALISZ TYSIĄC, JESTEŚ PIEŁĘGNIARKĄ. Zrobiło mi się ciężko na sercu.

– Jamie! Jak się cieszę, że cię widzę! – „Cię” zabrzmiało jak „czę”. Podał mi rękę, ale zignorowałem ten gest.

– Jeśli jest tu Astrid, ma wyjechać, i to natychmiast – powiedziałem. – Myślisz, że to blef? To się rozczarujesz.

– Spokojnie, Jamie. Astrid jest dwieście kilometrów stąd, dochodzi do siebie w swoim przytulnym gniazdku zaraz na północ od Rockland. Jej przyjaciółka Jenny wielkodusznie zgodziła się mi pomóc na ostatnim etapie mojej pracy.

– Jakoś wątpię, czy wielkoduszność miała z tym cokolwiek wspólnego. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Wejdz. Na dworze jest już gorąco. Samochód przestawisz na parking później.

Nawet o lasce powoli wdrapywał się po stopniach i kiedy się zachwiał, musiałem go podtrzymać. Ramię, które chwyciłem, to była praktycznie sama kość. Kiedy dotarliśmy na szczyt, Jacobs ciężko dyszał.

– Muszę chwilę odsapnąć. – Osunął się na jedno z prostych bujanych krzeseł ustawionych na ganku.

Usiadłem na poręczy balustrady.

– Gdzie Rudy? Myślałem, że to on jest twoją pielęgniarką.

Jacobs obdarzył mnie tym swoim osobliwym uśmiechem, jeszcze bardziej jednostronnym niż ostatnio.

– Wkrótce po mojej sesji z panią Soderberg w Pokoju Wschodnim Rudy i Norma złożyli wymówienie. W tych czasach trudno o dobrych asystentów, Jamie. Wyłączając tu obecnych, oczywiście.

– Zatrudniłeś więc Jenny Knowlton.

– Tak i wierz mi, doskonale na tym wyszedłem. Więcej zapomniała o opiece pielęgniarskiej, niż Rudy Kelly się kiedykolwiek nauczył. Pomóż mi, co?

Dźwignąłem go na nogi i razem weszliśmy do chłodnego wnętrza.

– W kuchni jest sok i słodkie bułki. Częstuj się, czym chcesz, a potem przyjdź do mnie do głównego salonu.

Bułek nie tknąłem, ale nalałem sobie małą szklankę soku pomarańczowego z karafki, którą znalazłem w wielkiej lodówce. Odstawiając ją na miejsce, obejrzałem zapasy żywności. Wystarczyłyby na mniej więcej dziesięć dni. Dwa tygodnie, gdyby oszczędnie gospodarować. Czy będziemy tu tak długo, czy też Jenny Knowlton albo ja pojedziemy na zakupy do Yarmouth, prawdopodobnie najbliższego miasta z supermarketem?

Jacobs zrezygnował z ochrony. Zatrudnił nową pielęgniarkę – co w sumie mnie nie zaskoczyło, zważywszy na jego coraz bardziej niepewny stan – ale nie gosposię, z czego wynikało (między innymi), że Jenny musiała też dla niego gotować i, być może, zmieniać mu pościel. Byliśmy tu tylko we troje, przynajmniej tak wtedy sądziłem. Jak się okazało, było nas czworo.

Północna ściana głównego salonu była cała ze szkła i wychodziła na Longmeadow i Skytop. Nie widziałem starej chałupy, lecz znajomy żelazny słup nadal sterczał w zamglone niebo. Kiedy na niego patrzyłem, wszystko nareszcie zaczęło mi się układać w logiczną całość... ale nawet wtedy powoli, tym bardziej że Jacobs zataił przede mną jeden kluczowy szczegół, który dopełniłby obrazu. Można rzec, że powinienem był odgadnąć prawdę i tak, wszystkie elementy układanki miałem przed nosem, ale byłem gitarzystą, nie detektywem, i w rozumowaniu dedukcyjnym nigdy nie byłem najszybszym chartem na torze wyścigowym.

– Gdzie Jenny? – spytałem. Jacobs usiadł na kanapie, ja naprzeciwko niego, w fotelu z uszakami, który próbował mnie połknąć w całości.

– Zajęta.

– Czym?

– Nie twoja sprawa. Przynajmniej na razie. – Wychylił się do przodu z dłońmi splecionymi na główce laski. Wyglądał jak drapieźny ptak. Taki, który wkrótce będzie za stary, żeby latać. – Masz pytania. Rozumiem to lepiej, niż sądzisz, Jamie... Wiem, że w dużej mierze

ściągnęła cię tu dociekliwość. We właściwym czasie dostaniesz odpowiedzi, ale raczej nie dzisiaj.

– A kiedy?

– Trudno powiedzieć. Wkrótce. Tymczasem będziesz gotował dla nas obu i przychodził na moje wezwanie.

Pokazał mi białą skrzynkę – niewiele się różniącą wyglądem od tej, którą obsługiwałem tamtego dnia w Pokoju Wschodnim, tyle że zamiast przełącznika suwakowego był na niej guzik i wytłoczona nazwa fabryczna: Notiflex. Nacisnął guzik i rozbrzmiały dzwonki, niosące się echem ze wszystkich dużych pokojów na parterze.

– Nie musisz mi pomagać w korzystaniu z toalety, z tym jeszcze sobie radzę, ale obawiam się, że będziesz musiał być pod ręką, kiedy będę brał prysznic. W razie gdybym się poślizgnął. Lekarz przepisał mi żel, który musisz dwa razy dziennie wcierać w moje plecy, biodra i uda. Aha, i będziesz przynosić większość posiłków do mojego apartamentu. Nie dlatego, że jestem leniwy czy chcę z ciebie zrobić mojego osobistego lokaja; po prostu łatwo się męczę i oszczędzam siły. Zostało mi jeszcze jedno do zrobienia. To rzecz wielka, doniosła, i kiedy przyjdzie na nią czas, muszę być na tyle silny, żeby jej dokonać.

– Chętnie będę ci gotował i podawał posiłki, Charlie, ale reszta to robota dla pielęgniarki i myślałem, że Jenny Knowlton się tym...

– Jak już mówiłem, jest zajęta, więc musisz przejąć jej... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Przypomniał mi się dzień, kiedy cię poznałem. Miałem zaledwie sześć lat, ale pamiętam to jak dziś. Usypałem górę z ziemi...

– Rzeczywiście. Też to doskonale pamiętam.

– ...i bawiłem się żołnierzami. Padł na mnie cień. Podniosłem głowę i to byłeś ty. Teraz przyszło mi do głowy, że twój cień pada na mnie przez całe moje życie. Powinienem już, w tej chwili stąd odjechać i się z niego wydostać.

– Ale tego nie zrobisz.

– Nie. Nie zrobię tego. Coś ci jednak powiem. Pamiętam też, jakim wtedy byłeś człowiekiem... Ukląkłeś i się ze mną bawiłeś. Pamiętam twój uśmiech. Kiedy dziś się uśmiechasz, widzę tylko szyderstwo. Kiedy mówisz, słyszę tylko rozkazy: zrób to, zrób tamto, a potem ci powiem dlaczego. Charlie, co się z tobą stało?

Z wysiłkiem dźwignął się z kanapy, a kiedy chciałem mu pomóc, odpędził mnie machnięciem ręki.

– Jeśli musisz o to pytać, bystry chłopak wyrósł na głupiego mężczyznę. Przynajmniej kiedy straciłem żonę i syna, nie szukałem pociechy w narkotykach.

– Miałeś swoją tajemną elektryczność. To był twój narkotyk.

– Dzięki za cenne spostrzeżenie, ale ta dyskusja jest bezprzedmiotowa, więc ją zakończmy, dobrze? Kazałem przygotować kilka pokoiów na piętrze. Na pewno znajdziesz taki, który ci będzie odpowiadał. Na lunch chciałbym kanapkę z sałatką jajeczną, szklankę chudego mleka i ciastko owsiane z rodzynkami. Błonnik podobno usprawnia pracę jelit.

– Charlie...

– Dość – powiedział, kuśtykając w stronę windy. – Wkrótce się wszystkiego dowiesz. Tymczasem zachowaj swoje burżuazyjne sądy dla siebie. Lunch w południe. Przynies go do Apartamentu Coopera.

Zostawił mnie samego, chwilowo zbyt oszołomionego, żeby zebrać myśli.

Minęły trzy dni.

Na zewnątrz panował skwar, horyzont rozmywał się w zamglonym, przesyconym wilgocią powietrzu. W ośrodku było chłodno i przytulnie. Przygotowywałem posiłki. Drugiego wieczoru Jacobs na kolację zszedł do mnie na dół, poza tym zawsze jadł w swoim apartamencie. Ilekroć zanosilem mu jedzenie, słyszałem ryk telewizora, co wskazywało, że ze słuchem też ma kłopoty. Wyglądało na to, że jego ulubionym kanałem był Weather Channel, nadający prognozy pogody przez całą dobę. Na moje pukanie zawsze wyłączał telewizor, zanim pozwalał mi wejść.

Te dni były dla mnie przyspieszonym kursem opieki pielęgniarskiej. Jacobs wciąż mógł samodzielnie się ubierać i odkręcać wodę przed porannym prysznicem – miał specjalne krzeselko prysznicowe dla niepełnosprawnych, na którym siedział, kiedy się mydlił i opłukiwał. Ja czekałem w jego sypialni, aż mnie zawoła. Kiedy to robił, zakręcałem wodę, pomagałem mu wyjść spod prysznica i go wycierałem. W porównaniu z tym, jak wyglądał w czasach, kiedy był pastorem i później jarmarcznym kuglarzem, stał się wrakiem człowieka. Jego biodra sterczały jak kości indyka oskubanego na Święto Dziękczynienia, każde żebro rzucało cień, pośladki były niewiele większe od bułeczek. Wskutek przebytego wylewu cały przechylał się na prawo, kiedy prowadziłem go z powrotem do łóżka.

Wcierałem voltaren w bolące go miejsca, po czym przynosiłem jego tabletki, przechowywane w plastikowym pojemniku z prawie tyłoma przegródkami, ile fortepian ma klawiszy. Kiedy łykał ostatnią, voltaren już działał, dzięki czemu Charlie mógł się samodzielnie ubrać – z wyłączeniem prawej skarpety. Tę ja musiałem mu włożyć, zawsze jednak czekałem z tym, aż wciągnie na siebie bokserki. Ani myślałem znaleźć się oko w oko z jego leciwym fiutem.

– W porządku – mówił, gdy skarpeta już okrywała jego wychudłą łydkę. – Z resztą sobie poradzę. Dziękuję, Jamie.

Zawsze dziękował. I zawsze włączał się telewizor, kiedy tylko zamykałem za sobą drzwi.

Dni dłużyły się niemiłosiernie. Z basenu spuszczonego wodę, a było zdecydowanie za gorąco na spacer po okolicy. Na szczęście w ośrodku znajdowała się siłownia i kiedy nie czytałem (korzystając z nędznej namiastki biblioteki, zaopatrzonej głównie w powieści Erle'a Stanleya Gardnera i Louisa L'Amoura, a także Książki Wybrane „Reader's Digest”), ćwiczyłem samotnie w imponującej, klimatyzowanej sali. Przebiegałem kilometry na bieżni mechanicznej, pedałowalem na rowerze stacjonarnym, chodziłem na stairmasterze, machałem hantlami.

Telewizor w moim pokoju odbierał tylko Channel 8 z Poland Springs, w dodatku kiepsko – obraz na ekranie był zbyt zamazany, żeby dało się cokolwiek oglądać. Ten sam problem był z telewizorem zajmującym ścianę Salonu Zachodzącego Słońca. Domyślałem się, że gdzieś jest antena satelitarna, ale tylko Charlie Jacobs jest do niej podłączony. Przeszło mi przez myśl, żeby go spytać, czy nie podzieliliby się, ale tego nie zrobiłem. Mógłby się zgodzić, a ja już dostałem od niego wszystko, czego chciałem. Dary od Charliego miały swoją cenę.

Tyle ćwiczyłem, a mimo to spałem fatalnie. Wrócił stary koszmar, którego nie miałem od lat – moi nieżyjący bliscy siedzący wokół stołu w jadalni mojego rodzinnego domu i spleśniały tort urodzinowy, który wydaje na świat wielkie owady.

Rankiem trzydziestego lipca obudziłem się krótko po piątej przekonany, że usłyszałem jakiś hałas na dole. Uznając, że to pozostałość snu, położyłem się z powrotem i zamknąłem oczy. Już zasypiałem, kiedy ten dźwięk rozległ się znowu. Stłumiony brzęk, jakby garnków.

Wstałem, naciągnąłem dzinsy i pospieszyłem na dół. Kuchnia była pusta, ale za oknem mignęła sylwetka schodząca po tylnych schodach obok rampy załadunkowej. Kiedy tam

dotarłem, Jenny Knowlton właśnie wsuwała się za kierownicę wózka golfowego opatrzonego napisem OŚRODEK KOZIA GÓRA. Na siedzeniu obok niej stała miska z czterema jajkami.

– Jenny! Poczekaj!

Drgnęła, zobaczyła, że to ja, i uśmiechnęła się. Za dobre chęci zasłużyła na piątkę, ale ten uśmiech nie wypadł przekonująco. Wyglądała dziesięć lat starzej niż przy naszym ostatnim spotkaniu, ciemne kręgi pod jej oczami wskazywały, że nie tylko ja mam kłopoty ze snem. Przestała farbować włosy i spod lśniącej czerni wyzierało co najmniej kilka centymetrów siwizny.

– Obudziłam cię, co? Przepraszam, ale to w sumie twoja wina. Suszarka jest pełna naczyń i potraściłam ją łokciem. Matka cię nie nauczyła używać zmywarki?

Odpowiedź brzmiała „nie”, bo zmywarki nie mieliśmy. Matka nauczyła mnie, że najlepiej suszyć naczynia na powietrzu, pod warunkiem że nie ma ich za dużo. Ale nie o kuchennych obyczajach chciałem rozmawiać.

– Co tu robisz?

– Przyszłam po jajka.

– Wiesz, że nie to mam na myśli.

Odwróciła wzrok.

– Nie mogę ci powiedzieć. Obiecałam. Mało tego, podpisałam umowę. – Zaśmiała się niewesoło. – Wątpię, czy utrzymałaby się przed sądem, ale i tak zamierzam jej dochować. Mam dług, tak jak ty. Poza tym wkrótce wszystkiego się dowiesz.

– Chcę wiedzieć teraz.

– Muszę iść, Jamie. On nie chce, żebyśmy z sobą rozmawiali. Gdyby się dowiedział, byłby wściekły. Chciałam tylko wziąć kilka jajek. Jak zobaczę jeszcze jedną miskę płatków śniadaniowych, zacznę krzyczeć.

– Jeśli masz w samochodzie sprawny akumulator, mogłaś pojechać do Food City w Yarmouth i kupić sobie tyle jajek, ile dusza zapagnie.

– Nie wolno mi wyjeżdżać, dopóki nie będzie po wszystkim. Tobie też. O nic więcej nie pytaj. Muszę dochować obietnicy.

– Przez wzgląd na Astrid.

– Cóż... on płaci mi kupę forsy za prostą opiekę pielęgniarską, dość, żebym mogła przejść na emeryturę, ale tak, głównie przez wzgląd na Astrid.

– Kto nad nią czuwa, kiedy tu jesteś? Lepiej nie zostawiać jej samej. Nie wiem, co Charlie ci powiedział, ale niektóre jego zabiegi naprawdę mają skutki uboczne, i to niekiedy...

– Jest pod dobrą opieką, nie musisz się o to martwić. Mamy... grono zaufanych osób.

Tym razem jej uśmiech był mocniejszy, bardziej naturalny, i przynajmniej jedno stało się dla mnie jasne.

– Jesteście kochankami, prawda? Ty i Astrid?

– Partnerkami. Niedługo po tym, jak Maine zalegalizowało małżeństwa gejowskie, wyznaczyłyśmy datę ślubu. Potem zachorowała. To wszystko, co ci mogę powiedzieć. Jadę. Nie mogę na długo opuszczać stanowiska. Zostawiłam ci pod dostatkiem jajek, bez obaw.

– Czemu nie możesz na długo opuszczać stanowiska?

Potrząsnęła głową, nie patrząc mi w oczy.

– Muszę jechać.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, już tu byłaś?

– Nie... ale wiedziałam, że będę.

Pojechała w dół zbrocza. Koła wózka zostawiały ślady w brylantowej rosie. Te klejnociki nie miały szans długo przetrwać; dzień ledwo się zaczął, a już było tak gorąco, że pot wystąpił mi

na ramiona i czoło. Jenny zniknęła wśród drzew. Wiedziałem, że gdybym poszedł za nią, znalazłbym ścieżkę. I że ścieżka ta doprowadziłaby mnie do starej chałupy. Tej, w której w innym wcieleniu leżałem pierś w pierś, biodro w biodro z Astrid Soderberg.

Kilka minut po dziesiątej tego ranka, kiedy czytałem *Tajemniczą historię w Styles* (jedną z ulubionych książek mojej nieżyjącej siostry), parter rozbrzmiał dzwonieniem. Jacobs mnie wzywał. Poszedłem na górę, do Apartamentu Coopera, z nadzieją że nie zastanę go leżącego na podłodze ze złamanym biodrem. Niepotrzebnie się martwiłem. Ubrany, wspierał się na lasce i wyglądał przez okno. Gdy odwrócił się do mnie, oczy mu błyszczały.

– To może być dzień, na który czekamy – powiedział. – Bądź w pogotowiu.

Mylił się jednak. Kiedy zaniósłem mu kolację – krupnik i kanapkę z serem – telewizor milczał, a Jacobs nie chciał otworzyć. Głosem rozkapryszonego dziecka krzyknął przez drzwi, żebym sobie poszedł.

– Musisz jeść, Charlie.

– Przede wszystkim muszę mieć ciszę i spokój! Zostaw mnie!

Wróciłem do niego koło dziesiątej. Zamierzałem tylko posłuchać pod drzwiami, czy telewizor jazgocze, a jeśli tak, spytać, czy Charlie nie zje choć grzanki przed snem. Telewizor był wyłączony, ale Jacobs nie spał i mówił do kogoś zbyt donośnym głosem, jakim głuchnący ludzie zwykle rozmawiają przez telefon.

– Nie może nas opuścić, dopóki nie będę gotowy! Dopilnuj tego! Za to ci płacę, więc do roboty!

Problemy – i to z Jenny, jak się zdawało. Zaczynała mieć dosyć i dojrzywała do tego, żeby odejść. Najprawdopodobniej z powrotem do domu, który dzieliła z Astrid... i wtedy naszła mnie myśl, że rozmawiał właśnie z Jenny. Co by to oznaczało? Kto miałby nas opuścić?

Nie zapukałem. Wróciłem do siebie.

To, na co czekał – na co czekaliśmy wszyscy – nadeszło nazajutrz.

Dzwonek wezwał mnie o pierwszej po południu, niedługo po tym, jak zaniósłem Jacobsowi lunch. Drzwi apartamentu były otwarte i podchodząc do nich, usłyszałem specja od pogody mówiącego o tym, jak ciepła jest Zatoka Meksykańska i co to wróży na nadchodzący sezon huraganowy. Potem jego głos zagłuszyła seria ostrych, brzęczących sygnałów. Przeszując próg, zobaczyłem czerwony pasek u dołu ekranu. Zniknął, zanim zdążyłem przeczytać, co na nim było napisane, ale potrafię rozpoznać ostrzeżenie meteorologiczne na pierwszy rzut oka.

Zła pogoda w czasie fali upałów oznaczała burze, burze oznaczały pioruny, a pioruny, jak dla mnie, oznaczały Skytop. Dla Jacobsa też, postawiłbym na to każde pieniądze.

Był całkowicie ubrany, jak dzień wcześniej.

– Dziś nie będzie fałszywych alarmów, Jamie. Komórki burzowe na razie są nad stanem Nowy Jork, ale przemieszczają się na wschód i przybierają na sile.

Znów rozległ się brzęczący sygnał i tym razem zdołałem przeczytać napis na pasku: „Alarm pogody dla hrabstw York, Cumberland, Androscoggin, Oxford i Castle obowiązujący do 1 sierpnia godz. 2.00 Prawdopodobieństwo wystąpienia gwałtownych burz 90%. Burzom towarzyszyć mogą ulewy, silny wiatr, grad wielkości piłek golfowych. Zaleca się pozostanie w domach”.

Sam bym na to nie wpadł, Sherlocku, pomyślałem.

– Te komórki nie mogą się rozproszyć ani zmienić kierunku – powiedział Charlie. Mówił ze spokojem płynącym z szaleństwa albo absolutnej pewności. – Nie mogą i tyle. Ona dużo dłużej nie pociągnie, a ja jestem zbyt stary i schorowany, żeby zaczynać od nowa z kimś innym. Przyrowadź wózek golfowy pod rampę załadunkową za kuchnią i bądź gotowy w każdej chwili ruszyć.

– Na Skytop – powiedziałem.

Uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem.

– Idź już. Muszę mieć oko na te burze. W rejonie Albany odnotowano przeszło sto uderzeń piorunów na godzinę, czy to nie wspaniale?

Nie tego słowa bym użył. Nie pamiętałem, ile woltów według niego wytwarzało jedno uderzenie pioruna, ale wiedziałem, że dużo.

Miliony.

Dzwonek odezwał się znowu o piątej z minutami. Poszedłem na górę, po trosze z nadzieją, że zastanę Charliego przygnębionego i wściekłego, a po trosze diabelnie zaintrygowany, jak zwykle. Wszystko wskazywało na to, że pod tym drugim względem się nie zawiodę, bo niebo szybko ciemniało na zachodzie i słyszałem już pomruki burzy, odległe, ale coraz bliższe. Niczym armia nadciągająca po niebie.

Jacobs wciąż był przechylony na prawą burtę, ale radosne podniecenie aż go rozsadzało, ujęło mu lat. Mahoniowa skrzynka stała na niskim stoliku przy kanapie. Zamiast w telewizor – tym razem wyłączony – wpatrywał się w ekran laptopa.

– Zobacz, Jamie! To piękne!

Ujrzałem prognozę pogody Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej na ten wieczór, zwężający się pomarańczowoczerwony stożek przechodzący bezpośrednio nad hrabstwem Castle. Przewidywano, że załamanie pogody nastąpi między siódmą a ósmą. Zerknąłem na zegarek. Była piąta piętnaście.

– I co? Prawda, że to piękne?

– Skoro tak twierdzisz, Charlie.

– Usiądź, ale najpierw bądź łaskaw przynieść mi szklankę wody. Muszę ci parę spraw wyjaśnić i chyba jest na to akurat dość czasu. Choć wkrótce trzeba będzie wyjść, o tak. Zwinąć się na południe, mówiąc po kuglarsku. – Zarechotał.

Wyjąłem z lodówki barowej butelkę wody i napełniłem kryształowy kieliszek Waterford – dla gości Apartamentu Coopera tylko to co najlepsze. Napił się i cmoknął ze smakiem, wydając nieprzyjemny, suchy dźwięk, bez którego mógłbym się obejść. Zamruczał grom. Jacobs spojrzął za okno z uśmiechem człowieka oczekującego na przybycie starego przyjaciela. Potem odwrócił się do mnie.

– Jak wiesz, zarobiłem dużo pieniędzy, grając rolę pastora Danny’ego. Zamiast jednak wydać je na prywatne samoloty, ogrzewane psie budy i pozłacaną armaturę w łazience, przeznaczyłem moje dochody na dwa cele. Pierwszym była prywatność; napatrzyłem się na tyłu pogan z Chrystusem na ustach, że starczy mi na całe życie. Drugim zaś prywatne firmy detektywistyczne, w sumie dwanaście, najlepsze z najlepszych, z siedzibami w dwunastu największych amerykańskich miastach. Kazałem im odszukać i obserwować pewnych ludzi cierpiących na pewne rzadkie choroby. Względnie rzadkie. Tych chorób jest w sumie osiem.

– Chorych ludzi? Nie uleczonych, jak mi mówiłeś?

– Och, obserwowali też reprezentatywną grupę uleczonych... nie tylko ciebie interesowały skutki uboczne, Jamie... ale nie to było ich głównym zadaniem. Przez ostatnie

dziesięć lat znaleźli kilkuset nieszczęśników dotkniętych interesującymi mnie przypadłościami i przysyłali mi regularne meldunki. Kartotekę prowadził Al, dopóki nie odszedł; od tego czasu robię to sam. Wielu tych biedaków w tym czasie zmarło. Ludzki los, uważasz, to choroby i smutek.

Nie odpowiedziałem, ale grom zrobił to za mnie. Niebo na zachodzie było złowieszczo ciemne.

– W miarę postępów w moich badaniach...

– Czy grała w nich jakąś rolę księga *De Vermis Mysteriis*, Charlie?

Był zaskoczony, ale zaraz się odprężył.

– Brawo. *De Vermis Mysteriis* to podstawa moich badań. Wiesz, Prinn oszalał. Dożył swoich dni w niemieckim zamku, w którym prowadził studia nad skomplikowaną matematyką i jadł robaki. Zapaścił paznokcie, pewnej nocy rozszarpał sobie nimi gardło i umarł w wieku trzydziestu siedmiu lat, malując własną krwią równania na podłodze.

– Naprawdę?

Wzruszył jednym ramieniem i uśmiechnął się jedną stroną ust.

– Kto to może wiedzieć na pewno? To opowieść ku przestrodze, jeśli jest prawdziwa, z drugiej jednak strony historii takich wizjonerów spisywali ludzie zainteresowani tym, żeby nikt inny nie poszedł w ślady tych geniuszy. Przeważnie świętoszki z Niebiańskiej Firmy Ubezpieczeniowej. Na razie mniejsza z tym; o Prinnie pomówimy kiedy indziej.

Wątpię, pomyślałem.

– W miarę postępów w moich badaniach detektywi odsiewali kolejnych kandydatów.

Z setek zostało kilkudziesięciu. Na początku tego roku zostało dziesięć osób. W czerwcu trzy. – Wychylił się do przodu. – Szukałem kogoś, kogo nazwałem Pacjent Omega.

– Ostatniego, którego uzdrowisz.

To go jakby rozbawiło.

– Można tak powiedzieć. Tak, dlaczego nie? I tu przechodzimy do smutnej historii Mary Fay, którą akurat zdążę opowiedzieć, zanim przeniesiemy się do mojego warsztatu. – Parsknął ochrypłym śmiechem przypominającym mi głos Astrid przed jej uleczeniem. – Pewnie wypadaloby go nazwać Warsztatem Omega. Tyle że jest to jednocześnie dobrze wyposażona sala szpitalna.

Wszystko powoli stawało się jasne.

– Nad którą czuwa pielęgniarka Jenny.

– Jakie to szczęście, że ją znalazłem, Jamie! Rudy Kelly nie wiedziałby, co robić... albo uciekłyby, skomląc jak szczeniak z osą w uchu.

– Opowiedz mi tę historię. Chcę wiedzieć, w co się pakuję.

Oparł się wygodnie.

– Dawno, dawno temu, w latach siedemdziesiątych, niejaki Franklin Fay poślubił Janice Shelley. Oboje studiowali na anglistyce Uniwersytetu Columbia, potem zaczęli razem uczyć. Franklin pisał i publikował wiersze... niektóre czytałem, są całkiem niezłe. Z czasem mógł zostać wielkim poetą. Jego żona obroniła doktorat o Jamesie Joysie, a potem prowadziła zajęcia z literatury angielskiej i irlandzkiej. W 1980 roku urodziła im się córka.

– Mary.

– Tak. Trzy lata później, w ramach dwuletniego programu wymiany kadry naukowej, zaproponowano im posady nauczycieli w American College w Dublinie. Na razie nadążasz?

– Tak.

– Latem 1985 roku, kiedy ty grałeś muzykę, a ja pokazywałem na jarmarkach moje Portrety Błyskawicą, Franklin i Janice postanowili przed powrotem do Stanów wybrać się

w podróż po Irlandii. Wynajęli samochód kempingowy i wyruszyli. Pewnego dnia zatrzymali się na lunch w pubie w hrabstwie Offaly. Zaraz po odjeździe zderzyli się czołowo z ciężarówką przewożącą produkty rolne. Państwo Fay zginęli. Dziecko, jadące z tyłu i zapięte pasami, odniosło ciężkie obrażenia, ale przeżyło.

To była niemal kopia wypadku, w którym zginęli jego żona i syn. Wtedy sądziłem, że musiał zdawać sobie z tego sprawę, teraz jednak nie jestem tego taki pewien. Czasem najtrudniej zauważyć to, co ma się przed nosem.

– Widzisz, jechali złą stroną drogi. Moja teoria jest taka, że Franklin wypił o jedno piwo czy lampkę wina za dużo, zapomniał, że jest w Irlandii, i z przyzwyczajenia ruszył prawym pasem. Zdaje się, że coś podobnego przytrafiło się pewnemu amerykańskiemu aktorowi, choć nazwiska nie pamiętam.

Ja pamiętałem, ale nie zadałem sobie trudu, żeby mu o tym powiedzieć.

– W szpitalu małej Mary Fay zrobiono serię transfuzji. Domyślasz się, do czego zmierzam? – Pokręciłem przecząco głową. – Krew była skażona, Jamie. Zakaźnym prionem, który wywołuje chorobę Creutzfeldta-Jakoba, powszechnie znaną jako choroba wściekłych krów.

Kolejny grom. Tym razem huk zamiast pomruku.

– Mary wychowywała się u wujostwa. Dobrze się uczyła w szkole, została sekretarką w kancelarii prawniczej, zaczęła studiować prawo, po dwóch semestrach zrezygnowała i ostatecznie wróciła na stanowisko sekretarki. To było w 2007 roku. Choroba, którą w sobie nosiła, była uśpiona i taka pozostała do ostatniego lata. Wtedy u Mary zaczęły występować objawy normalnie kojarzone z używaniem narkotyków, załamaniem nerwowym albo jednym i drugim. Odeszła z pracy. Brakowało jej pieniędzy, a w październiku 2013 roku pojawiły się dolegliwości fizyczne: mioklonie, ataksja, drgawki. Przebudzony prion wziął się do roboty i zaczął wyżerać dziury w jej mózgu. Nakłucie łądźwiowe i rezonans magnetyczny w końcu wykryły winowajcę.

– Jezu – powiedziałem. Przed oczami mignął mi obraz ze starej relacji filmowej, pewnie oglądanej w jakimś pokoju motelowym, kiedy byłem w trasie: krowa stoi w ubłoconym boksie na szeroko rozstawionych nogach, przekrzywia łeb, przewraca ślepiami i muczy bezmyślnie, usiłując utrzymać równowagę.

– Jezus nie pomoże Mary Fay – stwierdził Jacobs.

– Ale ty tak.

Odpowiedział spojrzeniem, z którego nie mogłem nic wyczytać. Potem odwrócił głowę i wbił wzrok w ciemniejące niebo.

– Pomóż mi wstać. Nie zamierzam się spóźnić na spotkanie z piorunem. Całe życie na nie czekałem. – Wskazał mahoniową skrzynkę na stoliku. – Weź ją. Będę potrzebował tego, co jest w środku.

– Magiczne prety zamiast magicznych obrączek.

Pokręcił głową.

– Nie tym razem.

Pojechaliśmy windą. Dotarł do holu ośrodka o własnych siłach, po czym osunął się na jeden z foteli przy wygasłym kominku.

– Idź do magazynu na końcu korytarza w skrzydle wschodnim. W środku znajdziesz sprzęt, którego dotąd unikałem.

Okazało się, że chodzi o przedpotopowy wózek inwalidzki z wiklinowym siedziskiem i żelaznymi kółkami, które piekielnie skrzypiały. Potoczyłem go do holu i pomogłem Jacobsowi

na nim usiąść. Wyciągnął ręce po mahoniową skrzynkę. Oddałem ją – nie bez obaw. Przytulił skrzynkę do piersi jak rodzone dziecko i kiedy wiozłem go przez restaurację do opuszczonej kuchni, wznowił przerwana opowieść pytaniem.

– Możesz się domyślić, dlaczego panna Fay rzuciła studia?

– Bo zachorowała.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Ty mnie w ogóle słuchasz? Prion wtedy jeszcze był uśpiony.

– Uznała, że to nie dla niej? Miała za słabe oceny?

– Ani jedno, ani drugie. – Odwrócił się do mnie i poruszył brwiami jak stary zbereznik.

Widok, bez którego mógłbym się obejść. – Mary Fay jest ową bohaterką współczesnej epoki, samotną matką. Jej syn Trevor ma dziś siedem lat. Nie poznałem go osobiście, Mary sobie tego nie życzyła, ale pokazała mi wiele zdjęć, kiedy rozmawialiśmy o jego przyszłości. Trevor przypomina mi mojego synka.

Dotarliśmy do drzwi prowadzących na rampę załadunkową, lecz ich nie otworzyłem.

– Dziecko choruje na to co ona?

– Nie. Przynajmniej na razie.

– A zachoruje?

– Całkowitej pewności mieć nie można, ale nie wykryto u niego prionu Creutzfeldta-Jakoba. Jak dotąd. – Znów zagrzmiało. Wzmagający się wiatr szarpnął drzwiami i cicho zawył pod okapem. – Chodź, Jamie. Naprawdę musimy już iść.

Schody koło rampy załadunkowej były za strome, żeby zszedł po nich o lasce, więc zniosłem go na dół. Był szokująco lekki. Usadawiłem go na miejscu pasażera w wózku golfowym i wsunąłem się za kierownicę. Kiedy zjechaliśmy ze żwiru na opadający trawnik za ośrodkiem, rozległ się kolejny grzmot. Chmury na zachód od nas były ciemnofioletowymi kominami. Na moich oczach błyskawice wystrzeliły z ich rozdętych brzuchów w trzech różnych miejscach. Nie mieliśmy szans, by burza nas ominęła, i kiedy nadejdzie, zatrzęsie naszym światem w posadach.

– Wiele lat temu powiedziałem ci, że żelazny drąg na Skytop ściąga pioruny – przypomniał Charlie. – Dużo bardziej niż zwyczajny piorunochron. Pamiętasz?

– Tak.

– Przyszedłeś tu kiedyś zobaczyć to na własne oczy?

– Nie – skłamałem bez wahania. To, co zaszło na Skytop latem 1974 roku, pozostanie między mną a Astrid. Może powiedziałbym o tym Bree, gdyby kiedykolwiek zapytała o mój pierwszy raz, ale nie Charliemu Jacobsonowi. Nigdy, przenigdy.

– W *De Vermis Mysteriis* Prinn pisze o „potężnej maszynierii, która wprawia w ruch młyn wszechświata” i rzece mocy, która tę maszynierię napędza. Nazywa tę rzekę...

– *Potestas magnum universum* – powiedziałem.

Spojrzał na mnie z krzaczastymi brwiami uniesionymi po jego dawną linię włosów.

– Myliłem się co do ciebie. Wcale nie jesteś głupi.

Fale rozeszły się po niekoszonej od tygodni trawie. Wiatr przybrał na sile. Wciąż jeszcze był ciepły. Kiedy stanie się zimny, lunie deszcz.

– *Potestas magnum universum* to piorun, prawda? – zapytałem.

– Nie, Jamie. Pomimo jego wysokiego napięcia piorun jest tylko strużką mocy, jedną z wielu podobnych, które składają się na to, co ja nazywam tajemną elektrycznością. Jednak tajemna elektryczność, choć nad podziw potężna, sama w sobie też jest jedynie dopływem. Zasila

coś dużo większego, moc niepojętą dla człowieka. To właśnie jest owa *potestas magnum universum*, o której pisał Prinn, i dziś zamierzam z niej skorzystać. Piorun i to... – uniósł skrzynkę trzymaną w kościstych dłoniach – to tylko środki do celu.

Znaleźliśmy się wśród drzew, na tej samej ścieżce, którą Jenny jechała z jajkami. Ponad nami kołysały się gałęzie; liście, które wkrótce zapewne zerwie wiatr i grad, toczyły ożywioną rozmowę. Gwałtownie zdjąłem nogę z pedału gazu i wózek natychmiast znieruchomiał, jak to z elektrycznymi pojazdami bywa.

– Jeśli planujesz zaprząć do swoich celów tajemnice wszechświata, to wybaczone, ale ja się wypisuję. Już same twoje uzdrowienia są przerażające. Mówisz o... sam nie wiem... drzwiach czy czymś takim.

Małych, pomyślałem. Obrośniętych martwym bluszczem.

– Uspokój się – powiedział. – Tak, są drzwi... mówi o nich Prinn, Astrid zdaje się też o nich wspomniała... ale nie chcę ich otworzyć. Chcę tylko zajrzeć przez dziurkę od klucza.

– Na litość boską, po co?

Spojrzał na mnie z dziką wręcz pogardą.

– Czyżbyś jednak był głupcem? Jak nazwałbyś drzwi zamknięte przed całą ludzkością?

– Czemu mi po prostu nie powiesz?

Westchnął, jakby uznał mnie za przypadek beznadziejny.

– Jedź dalej, Jamie.

– A jeśli nie pojedę?

– To pójde pieszo. Jeżeli nogi odmówią mi posłuszeństwa, będę się czołgał.

Oczywiście blefował. Beze mnie nie uszedłby kroku. Ale wtedy tego nie wiedziałem, więc pojechałem dalej.

Chałupa z zapadającym się dachem i z wypłowiałym graffiti – w której kochałem się z Astrid – zniknęła. Teraz zobaczyłem zgrabny mały domek, biały z zielonymi wykończeniami. Przed nim był kwadratowy trawnik i rosły efektowne letnie kwiaty, z których po burzy nie zostanie ślad. Na wschód od domku utwardzona droga przechodziła w żwir, który pamiętałem z moich wypraw na Skytop z Astrid. Kończył się przy tej wybrzuszonej granitowej kopule zwieńczonej żelaznym słupem sterczącym w niebo.

Jenny, ubrana w kwiecistą bluzkę i białe nylonowe spodnie pielęgniarce, stała na ganku z ramionami założonymi pod biustem i dłońmi otulającymi łokcie, jakby jej było zimno. Na szyi miała stetoskop. Zatrzymałem się przy schodkach, okrążyłem wózek od przodu i podszedłem do usiłującego wsiąść Charliego. Jenny zeszła do nas i pomogła mi go postawić na nogi.

– Dzięki Bogu, że jesteście! – Musiała przekrzykiwać wzmagający się wiatr. Świerki i sosny chyliły przed nim karki. – Już myślałam, że jednak nie przyjedziecie! – Wzdrygnęła się, kiedy niebo przecięła błyskawica i huknął grom.

– Do środka! – wrzasnąłem na nią. Powiało chłodem; moja spocona skóra niezawodnie jak termometr wyczuła zmianę temperatury powietrza. Burza była tuż-tuż.

Wprowadziliśmy Jacobsa po schodkach, ja z jednej, Jenny z drugiej strony. Miotane wiatrem cienkie resztki włosów wirowały wokół jego głowy. Wciąż miał laskę w rękę i opiekuńczo tulił mahoniową skrzynkę do piersi. Usłyszałem grzechot, spojrzałem w stronę Skytop i zobaczyłem, że wiatr spycha w dół zbocza, ku przepaści, kawałki skalne odłupane z granitu przez poprzednie burze.

Weszliśmy do środka. Jenny nie mogła domknąć drzwi. Mnie się udało – z dużym wysiłkiem; wówczas skowyt wiatru nieco przycichł. Drewniane kości domku trzeszczały, ale

ściany wyglądały solidnie. Sądziłem, że wiatr raczej nas nie zdmuchnie, a żelazny drąg przyjmie na siebie wszelkie bliskie uderzenia piorunów. Taką miałem nadzieję.

– W kuchni jest pół butelki whisky. – Jacobs był zdyszany, lecz spokojny. – Chyba że pani Knowlton ją opróżniła?

Jenny potrząsnęła głową. Była blada, oczy miała wielkie i błyszczące – nie od łez, ze strachu. Podskakiwała na każde uderzenie gromu.

– Przynieś mi odrobinę – polecił mi Jacobs. – Na jeden palec, nie więcej. Należy też sobie i pani Knowlton. Wzniesiemy toast za powodzenie naszego przedsięwzięcia.

– Nie chcę pić i nie chcę wznosić żadnych toastów – powiedziała Jenny. – Chcę tylko, żeby już było po wszystkim. Głupia jestem, że się w to wdałam.

– Idź, Jamie – rzucił Jacobs. – Przynieś trzy drinki. Tylko szybko. *Tempus fugit*.

Butelka stała na blacie koło zlewu. Wyjąłem trzy szklanki do soku i wlałem do każdej kapkę whisky. Piłem bardzo rzadko, bo bałem się, że gorzała obudzi we mnie chęć powrotu do ćpania, teraz jednak tego mi było trzeba.

Gdy wróciłem do salonu, nie zastałem tam Jenny. Błyskawica rozjarzyła okna na niebiesko, lampy i światło górne zamigotały i znów zajaśniały pełnym blaskiem.

– Musiała zerknąć na naszą pacjentkę – powiedział Jacobs. – Wypiję jej drinka. Chyba że ty chcesz.

– Wysłałeś mnie do kuchni po to, żebyś mógł z nią porozmawiać na osobności?

– Nonsens. – Uśmiechnął się zdrową stroną twarzy; druga pozostała poważna i czujna. Wiesz, że kłamię, zdawała się mówić, ale teraz i tak już jest za późno.

Dałem mu szklankę i postawiłem tę dla Jenny na stoliku obok kanapy, zasłanym kolorowymi czasopismami ułożonymi w gustowny wachlarz. Przyszło mi do głowy, że być może po raz pierwszy wszedłem w ciało Astrid dokładnie w tym miejscu, gdzie stał ten stolik. „Nie ruszaj się, kochanie”, powiedziała wtedy, a potem: „Jest cudownie”.

Jacobs wznosił drinka.

– A zatem wypijmy za...

Wychyliłem do dna, zanim mógł dokończyć.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, po czym przelknął whisky – oprócz jednej kropli, która ściekła po zastygłej stronie jego ust.

– Budzę w tobie wstręt, prawda? Przykro mi, że tak mnie postrzegasz. Nawet nie wiesz, jak bardzo przykro.

– Nie wstręt, strach. Bałbym się każdego, kto igra z siłami, których nie pojmuje.

Wziął drinka przeznaczonego dla Jenny Knowlton. Widziana przez szklankę zastygła strona jego twarzy była powiększona jak pod lupą.

– Mógłbym się z tobą spierać, ale po co? Burza jest już prawie nad nami, a kiedy niebo się przejaśni, nasze drogi się rozejdą. Miej jednak odwagę chociaż przyznać, że jesteś ciekawy. W dużej mierze to cię tutaj ściągnęło: chcesz poznać prawdę. Jak ja. Jak kiedyś Prinn. Tylko biedna Jenny jest tu wbrew swojej woli. Przyjechała spłacić dług miłości. Co czyni ją szlachetną w stopniu dla nas nieosiągalnym.

Drzwi za jego plecami się otworzyły. Doleciały mnie charakterystyczne zapachy sali chorych – mocz, balsam do ciała, środek odkażający. Jenny zamknęła drzwi za sobą, zobaczyła szklankę w dłoni Jacobsa i zabrała ją. Przelknęła z grymasem, który naprężył ściągną w jej szyi.

Jacobs zgarbił się nad laską, bacznie obserwując Jenny.

– Mam rozumieć, że...?

– Tak. – Zagrzmiało. Jenny krzyknęła cicho i upuściła pustą szklankę, która poturlała się po dywanie.

– Wróc do niej – powiedział Jacobs. – Jamie i ja zaraz do was przyjdziemy.

Jenny bez słowa weszła z powrotem do pokoju chorej. Jacobs odwrócił się do mnie.

– Słuchaj bardzo uważnie. Kiedy wejdziemy, po lewej zobaczysz komodę. W górnej szufladzie jest rewolwer. Załatwił mi go Sam, ten ochroniarz. Nie przewiduję, żebyś go musiał użyć, ale jeśli tak, Jamie... nie zawahaj się.

– Po co, na litość boską, miałbym...

– Rozmawialiśmy o pewnych drzwiach. To drzwi do śmierci, przez które prędzej czy później przechodzi każdy z nas w postaci okrojonej do samego umysłu i ducha, odrzuciwszy ciało jak pustą rękawiczkę. Bywa, że śmierć jest naturalna, jest aktem łaski, który kładzie kres cierpieniu. Zbyt często jednak przychodzi jako skrytobójca, bezsensownie okrutny, nieznający litości. Moja żona i syn, odebrani mi w wyniku głupiego wypadku, są doskonałymi tego przykładami. Innym jest twoja siostra. To tylko trzy z milionów podobnych przypadków. Przez większą część życia potępiałem tych, którzy próbują wyjaśnić tę głupotę, ten bezsens, bredniami o wierze i bajkami o niebie. Te bzdury nigdy nie przyniosły mi pociechy, jestem pewien, że tobie też. A mimo to... coś tam jest.

Tak, pomyślałem, kiedy piorun uderzył tak mocno i tak blisko, że zadrżały szyby w oknach. Coś jest za drzwiami i coś się stanie. Coś strasznego. Chyba że do tego nie dopuszczę.

– W czasie moich eksperymentów dostrzegałem przebłyski tego czegoś. Widziałem tego cień we wszystkich uzdrowieniach dokonanych przez tajemną elektryczność. Poznaję to coś nawet w ich skutkach ubocznych, których część jest ci znana. To ślady jakiejś nieznannej egzystencji toczącej się poza granicami życia. Każdy czasem się zastanawia, co leży za murem śmierci. Dziś, Jamie, zobaczymy to na własne oczy. Chcę wiedzieć, co się stało z moją żoną i synem. Chcę wiedzieć, co wszechświat szykuje wszystkim po zakończeniu naszego doczesnego żywota, i zamierzam to dziś ustalić.

– Ta wiedza nie jest nam przeznaczona. – Z szoku niemal straciłem głos i nie byłem pewien, czy Jacobs usłyszy mnie przez wznoszący się wiatr, ale usłyszał.

– Możesz z ręką na sercu powiedzieć, że nie myślisz co dzień o swojej siostrze? Że się nie zastanawiasz, czy wciąż gdzieś tam istnieje?

Milczałem, on jednak skinął głową, tak jakbym potwierdził jego słowa.

– Pewnie, że o niej myślisz, i wkrótce poznamy wszelkie odpowiedzi. Mary Fay nam ich udzieli.

– Jak to? – Moje usta wydawały się odrętwiałe, i to nie od alkoholu. – Jak miałyby to zrobić, skoro ją uzdrowisz?

Spojrzał na mnie wzrokiem pytającym, czy ja naprawdę jestem taki tępy.

– Nie mogę jej uzdrowić. Te osiem chorób, o których wspomniałem, wybrałem właśnie dlatego, że nie da się ich uleczyć tajemną elektrycznością.

Szum wiatru przeszedł w krzyk i pierwsza bezładna kanonada deszczu uderzyła w zachodnią ścianę domu. Krople waliły mocno jak rzucane kamyki.

– Pani Knowlton wyłączyła respirator, kiedy jechaliśmy tu z ośrodka. Mary Fay nie żyje od prawie piętnastu minut. Krew stygnie w jej żyłach. Komputer w jej czaszce, uszkodzony chorobą, którą nosiła w sobie od dzieciństwa, a mimo to wspaniała, zgasł.

– Myślisz... ty naprawdę myślisz... – Nie mogłem dokończyć. Zaniemówiłem.

– Tak. Trzeba było wielu lat badań i eksperymentów, by do tego dojść, ale tak. Uzyskując przez piorun dostęp do tajemnej elektryczności, a przez tajemną elektryczność do *potestas magnum universum*, zamierzam przywrócić Mary Fay do życia. Wówczas poznam prawdę o tym, co jest po drugiej stronie drzwi, które prowadzą do Królestwa Śmierci. Dowiem się tego z pierwszej ręki od kogoś, kto tam naprawdę był.

– Oszalałeś! – Odwróciłem się w stronę drzwi. – Nie będę w tym uczestniczył.
– Nie mogę cię zatrzymać, jeśli naprawdę chcesz odejść – powiedział – choć wychodzenie na dwór w taką burzę byłoby szczytem lekkomyślności. Może jednak cię przekonam? Wiedz, że zrobię to nawet bez ciebie, tyle że wówczas życie pani Knowlton, jak i moje własne, będzie zagrożone. Cóż to byłoby za ironia losu, gdyby Jenny umarła tak szybko po ocaleniu Astrid.

Odwróciłem się do niego. Dłoń już miałem na klamce; deszcz łomotał w drzwi. Błyskawica rzuciła niebieski prostokąt na dywan.

– Możesz się dowiedzieć, co się stało z Claire. – Mówił zniżonym, łagodnym, jedwabistym głosem; głosem, którym pastor Danny potrafił przekonać każdego.

Głosem kuszącego diabła.

– Może nawet będziesz miał okazję z nią porozmawiać... usłyszeć, jak mówi, że cię kocha. Czy to nie byłoby cudowne? Oczywiście, o ile wciąż istnieje jako świadoma istota... powiedz, nie chciałbyś wiedzieć, czy tak jest?

Błysnął kolejny piorun i w mahoniowej skrzynce, widoczne przez szczelinę w zatrzasku, mignęło jadowite zielonofioletowe światło. Pojawiło się na sekundę i zgasło.

– Na pocieszenie powiem ci, że pani Fay wyraziła zgodę na ten eksperyment. Wszystkie papiery są w najlepszym porządku, włącznie z pisemnym oświadczeniem upoważniającym mnie do przerwania tak zwanej uporczywej terapii, kiedy uznam to za stosowne. W zamian za zgodę na krótkotrwałe wykorzystanie przeze mnie jej szczątków... z zachowaniem należytego szacunku... syn Mary będzie miał zabezpieczoną przyszłość dzięki okazałemu funduszowi powierniczemu, który zapewni mu byt na długie lata. Nikt tu nie jest ofiarą, Jamie.

To ty tak twierdzisz, pomyślałem. To ty tak twierdzisz.

Huknął grom. Tym razem tuż przed pojawieniem się błyskawicy usłyszałem słabe pstryknięcie. Jacobs też.

– Już czas. Chodź ze mną do pokoju albo odejdz.

– Pójdę z tobą – powiedziałem – i będę się modlił o to, żeby nic się nie wydarzyło. Bo to nie jest eksperyment, Charlie. To robota diabła.

– Myśl, co chcesz, módl się, ile chcesz. Może będziesz miał więcej szczęścia niż ja... choć szczerze w to wątpię.

Otworzył drzwi i wszedłem za nim do pokoju, w którym umarła Mary Fay.

XIII

Przebudzenie Mary Fay

W izbie śmierci Mary Fay było duże okno wychodzące na wschód, ale burza już rozpełtała się w najlepsze i za szybą widziałem tylko zmatowiałą srebrzystą zasłonę deszczu. Mimo zapalanej lampki w pokoju gnieździły się cienie. Potrafiłem lewym barkiem komodę, o której wspomniał Jacobs, ale nawet nie pomyślałem o rewolwerze w górnej szufladzie. Całą uwagę skupiałem na nieruchomej postaci w szpitalnym łóżku. Widziałem ją wyraźnie, bo wszystkie monitory zostały wyłączone, a stojak z kroplówką odsunięty w kąt.

Była piękna. Śmierć usunęła wszelkie ślady wyryte przez chorobę, która zaatakowała jej mózg, i zwrócona ku górze twarz – o alabastrowej cerze kontrastującej z burzą bujnych ciemnokasztanowych włosów – była nieskazitelna jak kamea. Mary miała zamknięte oczy. Grube rzęsy leżały na jej policzkach. Wargi były lekko rozchylone. Leżała przykryta prześcieradłem do ramion, ze splecionymi dłońmi na wierzchu, nad wypukłością piersi. Przypomniłem mi się – i długo dźwięczał w mojej głowie – urywek wiersza przeczytanego na angielskim w ostatniej klasie liceum: „Twoje hiacyntowe włosy, klasyczne rysy... Do statuy podobna...”***.

Jenny Knowlton stała obok teraz już bezużytecznego respiratora i załamywała ręce.

Błysnął piorun. W jego świetle mignął mi żelazny słup na Skytop, stojący od Bóg wie ilu lat, rzucający wyzwanie każdej burzy, żeby pokazała, co potrafi.

Jacobs wyciągnął skrzynkę w moją stronę.

– Pomóż mi, Jamie. Musimy się spieszyć. Weź ją i otwórz. Ja zajmę się resztą.

– Nie róbcie tego – powiedziała Jenny z kąta. – Na miłość boską, dajcie jej spoczywać w pokoju.

Jacobs może jej nie usłyszał pośród bębnienia deszczu i wycia wiatru. Ja owszem, ale postanowiłem ją zignorować. Tak oto, proszę ja was, sami sprowadzamy na siebie potępienie – ignorując głos, który błaga, abyśmy przestali. Abyśmy przestali, dopóki jeszcze jest czas.

Otworzyłem skrzynkę. W środku nie było ani prętów, ani żadnego urządzenia sterującego, tylko metaliczna opaska na głowę, cienka jak pasek eleganckiego dziewczęcego bucika. Jacobs wyjął ją ostrożnie – z czcią – i delikatnie rozciągnął. Widziałem, jak się naprężała. I kiedy uderzył następny piorun, znów poprzedzony tym słabym pstryknięciem, po opasce zatańczyła zielona poświata, upodabniając ją do czegoś, co nie było przedmiotem z martwego metalu. Może do węża. Takiego, który drażniony ukąsi.

– Pani Knowlton, proszę unieść jej głowę – powiedział Jacobs.

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy latały jej z boku na bok.

Westchnął.

– Jamie, ty to zrób.

Podszedłem do łóżka niczym we śnie. Pomyślałem o Patricii Farmingdale sypiącej sobie sól do oczu. O Emilu Kleinie jedzącym ziemię. O Hugh Yatesie, na którego oczach ludzie uczestniczący w spotkaniu z pastorem Dannym zmienili się w wielkie mrówki. Pomyślałem: Każde uzdrowienie ma swoją cenę.

Rozległo się kolejne pstryknięcie, błysnął następny piorun. Huk gromu wstrząsnął domem. Lampka przy łóżku zgasła. W pokoju na chwilę zapadły ciemności, po czym generator z warkotem obudził się do życia.

– Szybko! – jęknął Jacobs. Zobaczyłem, że ma poparzone dłonie. A mimo to nie puszczał

opaski. To był jego ostatni przewodnik, jego połączenie z *potestas magnum universum*. Wówczas sądziłem (i sądzę tak nadal), że nawet śmiertelnie porażony prądem nie wypuściłby jej z rąk. – Szybko, zanim piorun uderzy w słup!

Uniosłem głowę Mary Fay. Kasztanowe włosy zsunęły się z tej nieskazitelnej (i nieruchomej) twarzy ciemną falą, która rozlała się po poduszce. Charlie stał obok mnie, pochylony, i chrapliwie, gorączkowo łąpał powietrze. Jego oddech śmierdział starością. Przeszło mi przez myśl, że gdyby kilka miesięcy poczekał, mógłby osobiście zobaczyć, co jest po drugiej stronie drzwi. Ale nie tego chciał. W sercu każdej wielkiej religii jest jedna święta tajemnica, która umacnia w wierze i wymusza wierność, niekiedy nawet męczeństwo. Czy chciał wiedzieć, co leży za wrotami śmierci? Tak. Jednak bardziej zależało mu na tym – wierzę w to całym sercem – żeby tę tajemnicę zbeczczyć. Wywlec ją na światło dzienne i wszystkim pokazać, krzycząc: „Oto i ona! Oto czemu służyły wszystkie wasze krucjaty i morderstwa w imię Boga! I co, podoba się?”.

– Jej włosy... unieś jej włosy. – Odwrócił się z wyrzutem do skulonej w kącie kobiety. – Niech cię diabli, mówiłem, żeby je ściąć!

Jenny nie odpowiedziała.

Uniosłem włosy Mary Fay. Były miękkie i ciężkie jak bela jedwabiu. Zrozumiałem, dlaczego Jenny ich nie ścięła. Nie potrafiła się na to zdobyć.

Jacobs nasunął cienką metalową opaskę na czoło zmarłej, tak że mocno przylegała do zagłębień w skroniach.

– W porządku – powiedział, prostując się.

Delikatnie ułożyłem głowę martwej kobiety z powrotem na poduszce i kiedy spojrzałem na te ciemne rzęsy muskające jej policzki, do głowy przysłała mi pocieszająca myśl: To się nie uda. Uzdrowienia to jedno; wskreszenie człowieka, który nie żyje od piętnastu minut – nie, teraz już prawie pół godziny – to co innego. Rzecz po prostu niewykonalna. A nawet jeśli miliony woltów zawarte w uderzeniu pioruna rzeczywiście wywołają jakąś reakcję – jeśli pod ich wpływem Mary Fay poruszy palcami albo odwróci głowę – będzie to znaczyło tyle, co drgnienie nogi martwej żaby porażonej prądem z suchego ogniwa. Co on właściwie miał nadzieję osiągnąć? Choćby jej mózg za życia był w pełni zdrowy, teraz i tak już rozkładałby się w czasie. Śmierć mózgu jest nieodwracalna; nawet ja to wiedziałem.

Cofnąłem się o krok.

– Co teraz, Charlie?

– Czekamy – powiedział. – Już niedługo.

Kiedy lampka przy łóżku zgasła po raz drugi, jakieś pół minuty później, już się na powrót nie zapaliła i przestałem słyszeć przebijający dotąd przez ryk wiatru warkot generatora. Jacobs jakby stracił zainteresowanie Mary Fay. Wyglądał przez okno z dłońmi splecionymi za plecami niczym kapitan statku na mostku. Żelaznego słupa nie było widać przez ścianę deszczu nawet w postaci majaczącego cienia, ale wiedziałem, że go zobaczymy, kiedy trafi weń piorun. Jeśli piorun weń trafi. Jak dotąd tam nie uderzył. Może Bóg jednak istnieje, pomyślałem, i opowiedział się przeciwko Charlesowi Jacobsowi.

– Gdzie urządzenie sterujące? – spytałem go. – Gdzie połączenie ze słupem na szczycie? Spojrzał na mnie z pogardą.

– Nie da się sterować mocą, która kryje się za piorunem. Spaliłaby na węgiel nawet tytanową skrzynkę. Co do połączenia... to ty, Jamie. Nawet teraz jeszcze się nie domyślasz, dlaczego tu jesteś? Myślałeś, że ściągnąłem cię po to, żebyś mi gotował?

Jak już to powiedział, nie mogłem zrozumieć, czemu wcześniej tego nie dojrzałem. Tajemna elektryczność nigdy tak naprawdę nie opuściła ani mnie, ani innych uzdrowionych przez pastora Danny'ego. Czasem spała jak choroba skrywająca się tak długo w mózgu Mary Fay. Czasem się budziła i zmuszała cię, żebyś jadł ziemię, sypał sobie sól do oczu czy wieszał się na własnych spodniach. Aby otworzyć te małe drzwi, potrzebne były dwa klucze. Jednym była Mary Fay.

Drugim byłem ja.

– Charlie, musisz to przerwać.

– Przerwać? Zwariowałeś?

Nie ja, pomyślałem. Ty. Ja właśnie odzyskałem rozum.

Miałem tylko nadzieję, że nie za późno.

– Coś czeka po drugiej stronie. Astrid nazwała to Matką. Nie sądzę, żebyś chciał ją zobaczyć. Ja na pewno nie.

Schyliłem się, żeby zerwać metalowy diadem z czoła Mary Fay. Jacobs objął mnie niedźwiedzim uściskiem i odciągnął od niej. Miał wychudłe ręce i powinienem był bez trudu mu się wyrwać, ale nie mogłem. Trzymał mnie z całą mocą swojej obsesji.

Kiedy się szamotaliśmy w tym mrocznym pokoju, wiatr nagle przycichł. Ulewa zelżała. Przez okno znów widziałem słup i strumyczki spływające brudami przecinającymi wypukłe granitowe czoło Skytop.

Dzięki Bogu, pomyślałem. Burza przechodzi.

Już prawie wyrwałem się Jacobsowi, ale w tej chwili przestałem z nim walczyć i przez to straciłem okazję, by zakończyć cały ten koszmar, zanim się zaczął. Burza nie przeminęła, tylko nabierała oddechu przed przypuszczeniem głównego szturmu. Znów powiał silny wiatr, tym razem z prędkością huraganu, i w ułamku sekundy przed uderzeniem pioruna poczułem to samo, co tego dnia, kiedy przyjechałem tu z Astrid; wszystkie włosy na moim ciele stanęły dęba, miałem wrażenie, że powietrze w pokoju przeistoczyło się w olej. Tym razem nie było „pstryk!”, lecz trzask głośny jak wystrzał z broni małego kalibru. Jenny krzyknęła ze zgrozą.

Zygzakowata gałąź ognia strzeliła z chmur w żelazny słup na Skytop, nadając mu niebieską barwę. Moją głowę wypełnił potężny chór wrzeszczących głosów i zrozumiałem, że to krzyczą wszyscy uzdrowieni przez Charlesa Jacobsa i sfotografowani jego aparatem do Portretów Błyskawicą. Nie tylko ci, którzy doznali skutków ubocznych; wszyscy bez wyjątku, tysiące ludzi. Gdyby ten wrzask potrwał choć dziesięć sekund, doprowadziłby mnie do obłądzenia. Kiedy jednak elektryczny ogień powlekający słup zanikł, pozostawiając po sobie matową wiśniową poświatę jak na wyjętym z ognia żelazie do wypalania piętna, udręczone głosy ucichły.

Zagrzmiało i znowu rozpętała się ulewa, której towarzyszyło bębnienie gradu.

– O mój Boże! – krzyknęła Jenny. – O mój Boże, zobaczcie!

Diadem na głowie Mary Fay świecił jasnym, pulsującym zielonym blaskiem. Widziałem to nie tylko oczami; miałem ten obraz też w głębi mózgu, bo byłem połączeniem. Przewodem. Drzwiami w ścianie. Blask zaczął przygasać i wtedy w słup uderzył kolejny piorun. Chór znów się rozwrzeszczał. Tym razem zieleń na opasce przeszła w skrzącą się, oślepiającą biel. Zamknąłem oczy i zasłoniłem uszy rękami. Pod powiekami wciąż miałem powidok diademu, teraz rozjarzonego nieziemskim błękitnym światłem.

Wewnętrzne wrzaski ucichły. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że blask bijący z opaski przygasa. Jacobs wpatrywał się w martwą Mary Fay zafascynowanym wzrokiem. Ślina kapłała z zastygłej strony jego ust.

Grad ostatni raz wściekle zadudnił i dał za wygraną. Deszcz zaczął słabnąć. Błyskawica przecięła niebo nad drzewami za Skytop, ale burza już oddalała się na wschód.

Jenny uciekła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Usłyszałem, że biegnąc przez salon, na coś wpadła, po czym drzwi na zewnątrz – te, które z takim trudem domknąłem – rozwarły się na oścież i z hukiem uderzyły w ścianę. Już jej nie było.

Jacobs na to nie zważał. Nachylił się nad zmarłą, która leżała z zamkniętymi oczami i czarnymi jak sadza rzęsami na policzkach. Diadem był już tylko martwym metalowym paseczkiem. W ciemnym pokoju nawet nie połyskiwał. Jeśli poparzył czoło Mary Fay, zasłaniał wszelkie tego ślady. Nie sądziłem jednak, żeby tak się stało; poczułbym swąd spalenizny.

– Obudź się – powiedział Jacobs. Nie było reakcji. Zaczął krzyczeć: – Obudź się! – Potrząsnął jej ramieniem, zrazu delikatnie, potem mocniej. – Obudź się! Obudź się, do cholery, obudź się!

Przy każdym potrząśnięciu głowa latała jej z boku na bok, jakby na znak przeczenia.

– OBUDŹ SIĘ, SUKO, OBUDŹ SIĘ!

Jeszcze trochę, a zrzuciłby ją z łóżka na podłogę; takiej profanacji nie mógłbym znieść. Złapałem go za prawe ramię i odciągnąłem. Zatoczyliśmy się do tyłu w niezdatnym tańcu i wpadliśmy na komodę.

Odwrócił się do mnie z twarzą dziką z wściekłości.

– Puść mnie! Ocaliłem twoje żałosne, nic niewarte życie i żądam, abys...

Wtedy coś się stało.

Z łóżka dobiegł cichy pomruk. Rozluźniłem dłoń, którą trzymałem Jacobsa. Trup leżał w niezmienionej pozycji, tyle że teraz, wytrzęsiony przez Charliego, ręce miał rozrzucone na boki.

To był tylko wiatr, pomyślałem. Jestem pewien, że gdybym miał dość czasu, zdołałbym sam siebie o tym przekonać, ale zaraz ten dźwięk rozległ się znowu: słaby pomruk z ust kobiety w łóżku.

– Ona wraca! – Charliemu oczy wychodziły z orbit jak ślepie ropuchy zgniatanej w pięści okrutnego dziecka. – Budzi się. Żyje!

– Nie – powiedziałem.

Chyba mnie nie słyszał. Skupiony był tylko na martwej kobiecie, na bladym owalu jej twarzy majaczącym w przeciągających przez pokój cieniach. Powłókł się do niej jak Ahab przez pokład „Pequoda”, ciągnąc chorą nogę za sobą. Oblizywał niezastygłą stronę ust. Ciężko dyszał.

– Mary! – wołał raz po raz. – Mary Fay!

Znów rozległ się pomruk, cichy i niemelodyjny. Jej oczy pozostały zamknięte, ale z zimnym dreszczem przerażenia uświadomiłem sobie, że widzę, jak ruszają się pod powiekami; jakby, choć martwa, śniła.

– Słyszysz mnie? – W jego głosie była niemal lubieżna zarliwość. – Jeśli słyszysz, daj mi znak.

Pomruk nie milkł. Jacobs położył dłoń na jej lewej piersi, po czym odwrócił się do mnie. Nie do wiary, ale był szeroko uśmiechnięty. Jego twarz w mroku wyglądała jak trupia czaszka.

– Serce nie bije – powiedział. – A mimo to ona żyje. Żyje!

Nie, pomyślałem. Czeka. Ale oczekiwanie już prawie dobiegło końca.

Jacobs odwrócił się z powrotem do niej i opuszcł w połowie zastygłą twarz na centymetry od jej martwego oblicza – kochanek pochylony nad swoją lubą.

– Mary! Mary Fay! Wróć do nas! Wróć i powiedz nam, gdzie byłaś!

Trudno mi myśleć o tym, co stało się potem, a co dopiero o tym pisać, ale muszę to zrobić, choćby po to, żeby przestrzec innych, którym chodzą po głowie podobne eksperymenty

z piekła rodem; może po przeczytaniu tych słów je zarzuca.

Otworzyła oczy.

Mary Fay otworzyła oczy, ale nie były to już oczy ludzkie. Piorun roztrzaskał zamek w drzwiach, które miały na zawsze pozostać zamknięte, i przeszła przez nie Matka.

Oczy początkowo były niebieskie. Jasnoniebieskie. Nie wyrażały nic. Były zupełnie puste. Patrzyły na sufit przez rozgorączkowaną twarz Jacobsa, a także przenikały sufit i zachmurzone niebo nad nim. Po chwili wróciły. Zauważyły Jacobsa i pojawiło się w nich coś jakby zrozumienie. Znow rozległ się ten pomruk, choć nie widziałem, by Mary wzięła choć jeden oddech. Po co miałyby to robić? Była martwa... oprócz tych nieludzkich, szeroko otwartych oczu.

– Gdzie byłaś, Mary Fay? – Jacobsowi głos drżał. Ślina wciąż kapła z niesprawnej strony jego ust, pozostawiając wilgotne plamy na pościeli. – Gdzie byłaś, co tam widziałaś? Co czeka po śmierci? Co jest po drugiej stronie? Powiedz mi!

Jej głowa zaczęła pulsować, jakby zawarty w niej martwy mózg stał się za duży na swoją obudowę. Oczy Mary Fay pociemniały, ich błękit przeszedł najpierw w kolor lawendowy, potem w fiolet i wreszcie w indygo. Usta rozciągnęły się w szerokim, z sekundy na sekundę coraz szerszym uśmiechu, który obnażył wszystkie zęby. Jedną z dłoni powoli, pajęczymi ruchami przesunęła się po narzucie i chwyciła Jacobsa za nadgarstek. Charlie wydał zduszony okrzyk, czując jej lodowate palce, i zamachał wolną ręką, żeby złapać równowagę. Przytrzymałem go i tak oto połączyło się dwoje żywych i jeden nieboszczyk. Głowa zmarłej pulsowała na poduszce. Rosła. Nabrzmiwała. Mary Fay to już nie była piękna kobieta; to nawet nie był człowiek.

Pokój nie zniknął; wciąż tam był, ale poznałem, że jest uludą. Uludą był i domek, i Skytop, i cały ośrodek. Uludą był cały świat żywych. To, co uważałem za rzeczywistość, tak naprawdę było tylko zasłoną, lichą jak stara nylonowa pończocha.

Za nią był prawdziwy świat.

Bazaltowe bloki strzelały w czarne niebo podziurawione wyjąłymi gwiazdami. Myślę, że te bloki były wszystkim, co zostało z ogromnego, zniszczonego miasta. Stało ono na jałowej ziemi. Jałowej, tak, ale nie pustej. Przez nią, ze spuszczonej głowami, potykając się, noga za nogą wędrowała szeroka i nieskończenie długa kolumna nagich istot ludzkich. Koszmarny orszak ciągnął się aż po odległy horyzont. Ludzi poganiały stwory przypominające mrówki, większość czarna, niektóre ciemnoczerwone, koloru krwi żyłnej. Kiedy ktoś upadał, mrówkopodobni strażnicy rzucali się na niego, kąsali i bodli głowami, aż nieszczęśnik dzwigał się na nogi. Widziałem młodych mężczyzn i stare kobiety. Widziałem nastolatków, ludzi z niemowlętami na ręku. Widziałem dzieci próbujące podtrzymać się nawzajem. A każda twarz wyrażała to samo otępiałe przerażenie.

Szli pod wyjąłymi gwiazdami, upadali, byli karani i przynaglani do wstania głębokimi, ale bezkrwawymi ukąszeniami w ręce, nogi i brzuchy. Bezkrwawymi, bo ci ludzie byli martwi. Prysnał naiwny miraż życia doczesnego i zamiast nieba, które obiecywali kaznodzieje wszelkich wyznań, po śmierci czekało na nich martwe miasto z cyklopowych kamiennych bloków pod niebem, które samo w sobie było tylko zasłoną. Wyjące gwiazdy wcale nie były gwiazdami. To były dziury i dobiegające z nich wycie płynęło z prawdziwej *potestas magnum universum*. Za niebem skrywały się istoty, żywe, wszechmocne i do cna bezduszne.

„Skutki uboczne zabiegów to ślady jakiejś nieznannej egzystencji toczonej się poza granicami życia”, powiedział Charlie i egzystencja ta była blisko, w tym jałowym, przyrmatycznym świecie obłądnej prawdy, która, dostrzeżona choćby przez okamgnienie,

doprowadziłyby każdego do szaleństwa. Mrówkopodobne stwory służyły tym wielkim istotom, tak jak maszerujący nadzy zmarli służyli mrówkopodobnym stworom.

Może to miasto wcale nie było miastem, tylko swoistym mrowiskiem, w którym wszyscy martwi Ziemi byli zniewaleni, a potem pożerani. Czy umierali na dobre, kiedy to ich spotykało? Możliwe, że nie. Nie chciałem pamiętać dwuwiersza, który Bree przytoczyła w swoim e-mailu, ale przypomniał mi się i tak, nic nie mogłem na to poradzić: „Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami/ Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami”.

Gdzieś w tej chmarze maszerujących byli Patsy Jacobs i Morrie Przylepa. Gdzieś w niej była Claire – która zasłużyła na niebo, a trafiła tutaj, do jałowego świata pod pustymi gwiazdami, upiornego królestwa, w którym mrówkopodobni strażnicy, o makabrycznie ludzkich rysach, czasem się czołgali, a czasem stali wyprostowani. Zdałem sobie sprawę, że ten koszmar to zaświaty, które czekają nie tylko na złych pośród nas, ale na nas wszystkich.

Mój umysł zachwiał się w posadach. Przyniosło mi to ulgę i prawie dałem za wygraną. Jedna myśl ocaliła mnie przed utratą rozumu i trzymam się jej do dziś: że być może ten koszmarny obraz sam w sobie jest mirażem.

– Nie! – krzyknąłem.

Umarli odwrócili się do mnie. To samo zrobiły mrówkopodobne stwory. Zgrzytały zuwaczkami. Widziałem ich obmierzłe (ale inteligentne) ślepia. Niebo nad nami zaczęło się rozdzierać z tytanicznym chrzęstem. Przez szczelinę przecisnęło się ogromne czarne odnóże porośnięte kłakami kolczastej sierści. Na końcu miało potężny szpon składający się z ludzkich twarzy. Jego właścicielka chciała jednego i tylko jednego: uciszyć głos sprzeciwu.

To była Matka.

– Nie! – krzyknąłem znowu. – Nie, nie, nie, nie!

Źródłem tej wizji było nasze połączenie ze wskrzeszoną martwą kobietą; wiedziałem to nawet w stanie skrajnego przerażenia. Dłoń Jacobsa ścisnęła moją jak obręcz kajdanek. Gdyby to była jego prawa, zdrowa ręka, za nic w świecie nie oswobodziłbym się w porę. Trzymał mnie jednak lewą, osłabioną. Pociągnąłem z całej siły, podczas gdy to ohydne odnóże wysuwało się w moją stronę, a szpon z krzyczących twarzy macał dookoła, zamierzając porwać mnie w górę, do niepoznawalnego wszechświata trwogi, który czeka za tym czarnym papierowym niebem. Przez szczelinę w firmamencie widziałem obłąkane światło i kolory nieprzeznaczone dla oczu śmiertelników. Te barwy żyły. Czułem, jak mnie oblażą.

Szarpnąłem raz jeszcze, wyrywając się z uścisku Charliego, i poleciałem do tyłu. Pusta równina, wielkie kamienne miasto, macający szpon – wszystko zniknęło. Znowu byłem w sypialni domku, leżałem na podłodze. Piąta osoba mojego dramatu stała koło łóżka. Mary Fay – czy mroczna istota, którą tajemna elektryczność Jacobsa przyzwała do jej ciała i martwego mózgu – ścisnęła jego dłoń. Głowa martwej kobiety zmieniła się w pulsującą meduzę z nieudolnie nagryzmołoną ludzką twarzą. Oczy były matowe, czarne. Jej uśmiech... pewnie powiecie, że w rzeczywistości nikt się nie uśmiecha od ucha do ucha, że tak się tylko mówi, ale martwa kobieta, która nie była już martwa, właśnie tak się uśmiechała. Dolna połowa jej twarzy stała się czarną, rozedrganą, tętniącą jamą.

Jacobs patrzył na nią wybałuszonymi oczami. Twarz miał błądą jak ser.

– Patricia? Patsy? Gdzie jesteś? Gdzie Morrie?

Istota przemówiła pierwszy i ostatni raz.

– *Poszli służyć Wielkim Bóstwom w Nicości. Nie ma śmierci. Nie ma światła. Nie ma spoczynku.*

– Nie. – Jego pierś drgnęła i powtórzył to krzykiem: – Nie!

Próbował się cofnąć. Ona... to trzymało go mocno.

Z rozdziawionych ust martwej kobiety wyłoniło się czarne odnóże z poruszającym się szponem na końcu. Szpon był żywy; tworzyła go twarz. Twarz, którą rozpoznałem. To był Morrie Przylepa. Krzyczał. Z posępnym szelestem, który słyszę w koszmarach do dziś, szpon wypęłzył spomiędzy warg kobiety, wyciągnął się, wyprężył i zaczął macać po prześcieradle niczym obdarte ze skóry palce, pozostawiając osmalone ślady, z których unosiły się smużki dymu. Czarne oczy istoty, która do niedawna była Mary Fay, ogromniały. Ostatecznie zwały się z sobą nad grzbietem nosa, tworząc jedną ogromną gałkę, którą patrzyła z tępą żądzą.

Charlie rzucił głową do tyłu, z jego gardła dobyło się bulgotanie. Wspiął się na palce, jakby podejmował ostatni rozpaczliwy wysiłek, żeby wyswobodzić się z uścisku istoty wdzierającej się z tego obłąkanego świata cieni, który, teraz już wiem, leży tak blisko naszego. Potem padł na kolana i osunął się czołem na łóżko, jakby się modlił.

Istota puściła go i zwróciła swoją nieopisanie potworną uwagę na mnie. Odrzuciła prześcieradło i usiłowała wstać, z tym czarnym owadźmi odnóżem wciąż sterczącym z rozdziawionych, przepaścistych ust. Do twarzy Morriego dołączyła twarz Patsy. Były stopione w jedno, wiły się jak robak.

Wstałem, przyciskając plecy do ściany i wypychając się w górę nogami. Nabrzmiała, pulsująca twarz Mary Fay ciemniała, jakby Mary dławiała się istotą ze swego wnętrza. To pojedyncze gładkie oko wpatrywało się we mnie. Przysięgłbym, że widzę odbite w nim cyklopowe miasto i niekończący się orszak martwych.

Nie pamiętam, kiedy wyszarpnąłem górną szufladę komody; wiem tylko, że nagle broń znalazła się w moim ręku. Gdyby to był zabezpieczony pistolet automatyczny, pewnie stałbym tak i naciskał na zablokowany spust, aż istota dzwignęłaby się z łóżka, powlokła przez pokój i mnie pochwyciła. Szpon wciągnąłby mnie przez jej rozdziawione usta do tego innego świata, gdzie spotkałaby mnie jakaś niewyobrażalna kara za to, że ośmieliłem się wypowiedzieć jedno słowo: „Nie”.

Ale to nie był pistolet automatyczny. To był rewolwer. Wypaliłem pięć razy i cztery kule wbiły się w istotę, która usiłowała powstać z łoża śmierci Mary Fay. Dokładnie wiem, ile razy strzeliłem. Słyszałem huk rewolweru, w mroku widziałem kolejne błyski z lufy, czułem, jak broń podskakuje mi w dłoni, ale miałem wrażenie, że wszystko to przytrafia się komuś innemu. Istota upadła na plecy, wymachując rękami. Stopione z sobą twarze krzyknęły zlanymi w jedno ustami. Pamiętam, że pomyślałem: Nie zabijesz Matki kulami, Jamie. Nie ją.

A jednak się nie ruszała. Ohyda wyłoniona z jej ust leżała bezwładnie na poduszce. Twarze żony i syna Jacobsa zanikały. Zasłoniłem oczy rękami i zacząłem krzyczeć, raz po raz. Krzyczałem, aż ochryplem. Kiedy opuściłem dłonie, szpon zniknął. Matka też.

Już słyszę, jak mówicie: „Jeśli w ogóle tam była”, i wcale wam się nie dziwię; sam bym w to nie uwierzył, gdybym nie widział tego na własne oczy. Ale widziałem. Oni – umarli – byli tam. Ona także.

Teraz została tylko Mary Fay, kobieta, której pośmiertny spokój zakłóciły cztery kule wystrzelone w jej zwłoki. Leżała krzywo z włosami rozścielonymi wokół głowy i otwartymi ustami. Widziałem dwa otwory po kulach w jej koszuli nocnej i dwa następne niżej, w prześcieradle na jej biodrach. Widziałem też osmalone smugi pozostawione przez ten straszliwy szpon; poza tym nie było po nim śladu.

Jacobs bardzo pomału zaczął się osuwać w lewo. Wyciągnąłem do niego rękę, ale ruchem dziwnie powolnym, jak we śnie. Nie miałem szans go złapać. Gruchnął bokiem na podłogę, wciąż z ugiętymi kolanami. Jego oczy były szeroko otwarte, ale już się szklily. Rysy zastygły w wyrazie niewysłowionego przerażenia.

Charlie, wyglądasz jak porażony prądem, pomyślałem i zacząłem się śmiać. Rany boskie,

ależ się śmiałem! Zgiąłem się wół i złapałem za kolana, żeby nie fiknąć. Mój śmiech był prawie bezdźwięczny – straciłem głos od krzyku – ale za to autentyczny. Bo to było śmieszne; zgodzicie się, prawda? Porażony prądem! Porażające zdarzenie! Boki zrywać!

Jednak przez cały czas, kiedy się śmiałem – spazmatycznie, aż do mdłości – nie odrywałem oczu od Mary Fay, czekając, kiedy porośnięte kłakami sierści czarne odnóże znów wypełźnie z jej ust i wyłoni z siebie te wrzeszczące twarze.

Wreszcie wypadłem chwiejnym krokiem z izby śmierci i przeszedłem przez salon. Na dywanie leżało kilka połamanych gałązek wwianych przez drzwi, które Jenny Knowlton zostawiła otwarte. Chrzęściły pod moimi nogami jak kości i znów chciało mi się krzyżeć, ale byłem zbyt zmęczony. Och, jakże byłem zmęczony!

Spiętrzone chmury burzowe przesuwają się na wschód, po drodze ciskając tu i tam zygzaki piorunów; wkrótce ulice Brunswick i Freeport spłyną wodą, bo bryłki gradu zapchają kanały deszczowe, jednak między tymi ciemnymi kłębami na niebie a miejscem, w którym stałem, tęcza rozpięła swój wielobarwny łuk nad całą szerokością hrabstwa Androscoggin. Czy tęcze nie ukazały się też tego dnia, kiedy przywiozłem tu Astrid?

„Bóg dał Noemu znak tęczy”, śpiewaliśmy na czwartkowych spotkaniach koła młodych metodystów, podczas gdy Patsy Jacobs kołysała się na ławce przy pianinie, a jej koński ogon latał z boku na bok. Tęcza powinna być znakiem dobrym, obwieszcza przecież koniec burzy, lecz jej widok na nowo rozbudził we mnie wstręt i trwożę, bo przypomniła mi Hugh Yatesa. Hugh i jego pryzmatyki. Hugh, który jak ja widział mrówkopodobne stwory.

Pociemniało mi w oczach. Uświadomiłem sobie, że zaraz zemdleję, i uznałem, że to dobrze. Może zanim się ocknę, mój umysł wymaże z pamięci to wszystko, co się tu wydarzyło. Tak byłoby lepiej. Nawet obłąd byłby lepszy... pod warunkiem że uwolniłby mnie od Matki.

Najlepsza ze wszystkiego byłaby śmierć. Robert Rivard to wiedział; Cathy Morse też. Wtedy przypomniłem sobie o rewolwerze. Na pewno została w nim jeszcze jedna kula dla mnie, ale stwierdziłem, że to żadne rozwiązanie. Może byłoby inaczej, gdybym nie usłyszał słów Matki skierowanych do Jacobsa: „Nie ma śmierci. Nie ma światła. Nie ma spoczynku”.

Tylko Wielkie Bóstwa.

W Nicości.

Kolana ugięły się pode mną i upadłem, oparty plecami o framugę drzwi. Tam urwał mi się film.

*** Przetłóżył Stanisław Barańczak.

XIV

Następstwa

To wszystko wydarzyło się przed trzema laty. Dziś mieszkam niedaleko mojego brata Conrada w Kailua, ładnym nadmorskim miasteczku na hawajskiej Big Island. Moje mieszkanie znajduje się na Oneawa Street, dość daleko od plaży, w niemodnej dzielnicy, ale jest przestronne i – przynajmniej jak na Hawaje – tanie. Poza tym mam z niego blisko na Kuulei Road, a to duży plus. Na Kuulei Road stoi Ośrodek Zdrowia Psychicznego imienia Brandona L. Martina, w którym przyjmuje mój psychiatra.

Edward Braithwaite mówi, że ma czterdzieści jeden lat, ale ja dałbym mu trzydzieści. Przekonałem się, że w oczach sześćdziesięcioletnia – a taki wiek osiągnę w sierpniu – wszyscy mężczyźni i kobiety w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat wyglądają na trzydziestolatków. Trudno (przynajmniej mnie) poważnie traktować ludzi, którzy sprawiają wrażenie, jakby dopiero im stuknął trzeci krzyżyk, ale wobec Braithwaite’a mocno się staram, bo zrobił dla mnie wiele dobrego... choć, wyznam, nie tyle ile środki przeciwdepresyjne. Wiem, że niektórzy ich nie lubią. Twierdzą, że pigułki tłumią myślenie i uczucia; mogę poświadczyć, że tak jest w istocie.

I jestem wdzięczny za to Bogu.

Poznałem Eda dzięki Conowi, który rzucił gitarę na rzecz sportu, a sport na rzecz astronomii. Do dziś w siatkówce nie ma sobie równych, a i na korcie tenisowym radzi sobie nie najgorzej.

Powiedziałem doktorowi Braithwaite’owi wszystko to, co przeczytaliście na tych kartach. Niczego nie zataiłem. W większość z tego oczywiście nie wierzy – bo i kto przy zdrowych zmysłach by wierzył? – ale jakąż ulgą jest o tym mówić! A pewne elementy tej historii dały mu do myślenia, bo można je łatwo zweryfikować. Na przykład pastor Danny. Nawet dziś, gdy wpisać jego nazwisko w Google, wyskoczy prawie milion linków; sprawdźcie sami, jeśli nie wierzycie. Czy dokonywane przez niego uzdrowienia były autentyczne, pozostaje sprawą dyskusyjną, ale to samo można powiedzieć o cudach papieża Jana Pawła II, który miał za życia uleczyć francuską zakonnicę z parkinsona, a sześć lat po śmierci Kostarykankę z tętniaka (to dopiero sztuczka!). Los wielu spośród uzdrowionych przez Charliego – co zrobili sobie i innym – to też niezbite fakty, nie tylko domysły. Ed Braithwaite sądzi, że wplotłem te szczegóły w swoją opowieść, by nadać jej pozory rzeczywistości. Powiedział to niemal wprost pod koniec zeszłego roku, kiedy przytoczył mi słowa Junga: „Najwspanialszy bazarze świata są w szpitalach dla psychicznie chorych”.

Ja nie jestem w szpitalu dla psychicznie chorych; kiedy kończę sesje w ośrodku Martina, wolno mi wyjść i wrócić do mojego cichego, nasłonecznionego mieszkania. Za to jestem wdzięczny. Wdzięczny jestem też za to, że wciąż żyję, w odróżnieniu od wielu uzdrowionych przez pastora Danny’ego. Między latem 2014 a jesienią 2015 roku popełniali samobójstwa dziesiątkami. Może setkami – trudno stwierdzić na pewno. Choć nie chcę, wyobrażam ich sobie, gdy budzą się w tym innym świecie, idący nago pod wyjąłymi gwiazdami, poganiani przez potworne mrówki, i bardzo się cieszę, że mnie wśród nich nie ma. Myślę, że wdzięczność za życie, bez względu na jej przyczynę, wskazuje, że człowiek zdołał zachować trzon swojego rozumu. Bo to, że część rozumu opuściła mnie na zawsze – amputowana jak ręka albo noga przez to, co zobaczyłem przy łożu śmierci Mary Fay – jest faktem, z którym nauczyłem się żyć.

I przez pięćdziesiąt minut w każdy wtorek i czwartek, między drugą a drugą pięćdziesiąt, mówię.

Mówię tyle, że ho, ho.

Następnego ranka po burzy obudziłem się na jednej z kanap w holu głównym ośrodka wypoczynkowego na Koziej Górze. Bolała mnie twarz i pękał mi pęcherz, ale ani myślałem załatwić się w męskiej toalecie na wprost restauracji. W niej były lustra, a nie chciałem choćby przypadkiem zobaczyć swojego odbicia.

Poszedłem się odlać na zewnątrz i na stopniach ganku zobaczyłem rozbity wózek golfowy. Na siedzeniu i desce rozdzielczej była krew. Spojrzałem w dół, na moją koszulę. Też zakrwawiona. Kiedy otarłem spuchnięty nos, na palec spadł mi rdzawoczerwony strup. A zatem przyjechałem wózkiem golfowym, rozbiłem go i uderzyłem się w twarz, choć nic z tego nie pamiętałem.

Powiedzieć, że nie chciałem wracać do domku koło Skytop, to niedomówienie stulecia, ale nie miałem wyjścia. Najłatwiej było wsiąść do wózka. Trudniej – zdobyć się na to, żeby pojechać nim ścieżką wśród drzew; a po każdym kolejnym postoju w celu usunięcia opadłych gałęzi coraz ciężiej było ponownie ruszyć. Mój nos pulsował bólem, w skroniach łupało.

Drzwi wciąż były otwarte. Zaparkowałem, wysiadłem z wózka i zrazu mogłem tylko stać i trzeć mój nieszczęsny spuchnięty nos, aż znów pociekła z niego krew. Dzień był słoneczny, piękny – burza wchłonęła cały upał – ale pokój za tymi otwartymi drzwiami był ciemną jaskinią.

Nie masz się czego bać, powiedziałem sobie. Nic się nie stanie. Już po wszystkim.

A jeśli jednak nie? A jeśli coś wciąż się działo?

A jeśli ona czekała na mój powrót, gotowa wyciągnąć ku mnie ten szpon złożony z twarzy?

Zmusiłem się, żeby wejść po schodkach, stopień po stopniu. Kiedy w lesie za mną zakrakała wrona, drgnąłem, krzyknąłem i osłoniłem głowę rękami. Przed paniczną ucieczką powstrzymała mnie tylko świadomość, że jeśli nie zobaczę, co jest w środku, izba śmierci Mary Fay będzie mnie prześladować do końca życia.

Nie było żadnej pulsującej ohydy z pojedynczym czarnym okiem. Pacjentka Omega Charliego leżała w takiej samej pozycji jak wtedy, kiedy ją ostatnio widziałem, z dwoma otworami po kulach w koszuli nocnej i dwoma następnymi w prześcieradle okrywającym jej biodra. Miała otwarte usta i choć nie wyłaziło z nich żadne czarne monstrum, nawet nie próbowałem sobie wmówić, że to wszystko mi się uroiło. Wiedziałem lepiej.

Metalowa opaska, teraz matowa i ciemna, wciąż okalała jej czoło.

Jacobs był w innej pozycji. Nie leżał na boku koło łóżka z podciągniętymi do piersi kolanami. Siedział po drugiej stronie pokoju, oparty plecami o komodę. Jednak wtedy nie umarł. Koszmar, który się rozegrał w tym pokoju, wywołał u niego kolejny wylew, ale Charlie ocknął się, doczołgał do komody i tam skonał.

Tak być mogło, gdyby nie rewolwer w jego ręku.

Długo wpatrywałem się w tę broń ze zmarszczonym czołem, usiłując przypomnieć sobie, jak było naprawdę. Nie dałem rady. Ed Braithwaite proponuje sesję hipnozy, która pomoże mi odzyskać zablokowane wspomnienia, ale odmawiam. Po części ze strachu, co hipnoza wyzwoliłaby z mroczniejszych zakamarków mojego umysłu. Głównie dlatego, że i bez tego wiem, co musiało się wydarzyć.

Odwróciłem się od Charliego (na jego twarzy wciąż był ten sam wyraz najwyższego przerażenia), by spojrzeć na Mary Fay. Strzeliłem z rewolweru pięć razy, byłem tego pewien, ale

trafiły ją tylko cztery kule. Jedna poszła Panu Bogu w okno – nic zaskakującego, biorąc pod uwagę mój ówczesny stan ducha. Kiedy jednak podniosłem oczy na ścianę, zobaczyłem w niej nie jeden, lecz dwa otwory po kulach.

Czyżbym zeszłego wieczoru pojechał do ośrodka, a potem tu wrócił? Mogło tak być, owszem, nie sądziłem jednak, abym był w stanie się na to zdobyć, nawet w nieprzytomnym widzie. Nie, zaaranżowałem miejsce zbrodni przed odjazdem. Dopiero potem wróciłem do ośrodka, rozbiłem wózek golfowy, wszedłem chwiejnym krokiem po schodach i zasnąłem w holu.

Charlie nie przeczołgał się przez pokój; to ja go przeciągnąłem na drugą stronę. Oparłem jego ciało o komodę, włożyłem mu rewolwer do prawej ręki i strzeliłem w ścianę. Gliny, które pewnego dnia zastaną tu ten dziwny obrazek, być może nie zbadają dłoni Charliego na obecność prochu strzelniczego, ale jeśli tak, to go wykryją.

Miałem ochotę zasłonić twarz Mary Fay, ale wszystko musiało zostać tak, jak jest, zresztą zależało mi głównie na tym, żeby uciec z tego ciemnego pokoju. Począłem jednak jeszcze chwilę. Ukląknę przy piątej osobie mojego dramatu i dotknąłem jego chudego nadgarstka.

– Powinieneś był przestać, Charlie – powiedziałem. – Powinieneś był przestać dawno temu.

Czy jednak mógł? Łatwo byłoby powiedzieć, że tak, bo wtedy miałbym na kogo zrzucić winę. Tyle że w równym stopniu musiałbym obarczyć nią siebie, bo ja też nie przestałem. Ciekawość to rzecz straszna, ale ludzka.

Bardzo ludzka.

– W ogóle mnie tam nie było – powiedziałem doktorowi Braithwaite’owi. – Tej wersji postanowiłem się trzymać i tylko jedna osoba mogła jej zaprzeczyć.

– Ta pielęgniarka – stwierdził Ed. – Jenny Knowlton.

– Sądziłem, że nie będzie miała innego wyboru, jak tylko mi pomóc. Musieliśmy pomóc sobie nawzajem. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli oboje zeznamy, że wyjechaliśmy z Koziej Góry razem, kiedy Jacobs zaczął bredzić o wyłączeniu aparatury podtrzymującej życie Mary Fay. Byłem pewien, że Jenny na to pójdzie, choćby po to, by zyskać pewność, że będę milczał o jej udziale w całym zajściu. Nie miałem numeru jej komórki, wiedziałem jednak, że musi go mieć Jacobs. Jego notes z adresami był w Apartamencie Coopera i rzeczywiście, w środku znalazłem numer Jenny. Zadzwoiłem, włączyła się poczta głosowa. Poprosiłem, żeby oddzwoniła. W notesie był też numer Astrid, więc i z nią spróbowałem się skontaktować.

– I też włączyła się poczta głosowa.

– Tak. – Ukryłem twarz w dłoniach. Astrid wtedy już nie była w stanie odebrać telefonu ani ode mnie, ani od nikogo innego. – Tak, to prawda.

Oto co się stało. Jenny wróciła wózkiem golfowym do ośrodka; Jenny wsiadła do swojego subaru; Jenny pojechała na Mount Desert Island, nigdzie się po drodze nie zatrzymując. Chciała tylko odetchnąć po tym wszystkim w domu, u boku ukochanej. Astrid, a jakże, czekała na nią. Ich ciała znaleziono zaraz za drzwiami wejściowymi. Astrid musiała zatopić nóż rzeźnicki w gardle swojej partnerki, gdy tylko Jenny przestąpiła próg. Potem podcięła sobie nim żyły. Zrobiła to niefachowo, na krzyż... za to głęboko, aż do kości. Wyobrażam sobie, jak leżały tam razem, w kałużach schnącej krwi, gdy najpierw zadzwonił telefon Jenny w jej torebce, a potem komórka Astrid leżąca na blacie kuchennym pod stojakiem z nożami. Nie chcę

tego sobie wyobrażać, lecz nie jestem w stanie się powstrzymać.

Nie wszyscy uzdrowieni przez Jacobsa popełnili samobójstwo, ale w ciągu następnych dwóch lat zrobiło to wielu. Nie wszyscy zabrali z sobą najbliższych, ale przeszło pięćdziesięciu owszem; wiem to z mojego prywatnego dochodzenia, którego wynikami podzieliłem się z Edem Braithwaite'em. On najchętniej wytłumaczyłby to zbiegiem okoliczności. Nie całkiem może się na to zdobyć, choć ochoczo polemizuje z wnioskiem, jaki wysnułem z tych szaleństw, samobójstw i morderstw: Matka domaga się ofiar.

Patricia Farmingdale, dama, która nasypała sobie soli do oczu, odzyskała wzrok na tyle, by udusić swojego starego ojca poduszką w łóżku, a następnie palnąć sobie w łeb z rugera męża. Emil Klein, ziemiożerca, zastrzelił żonę i syna, po czym poszedł do garażu, oblał się paliwem z kosiarki i zapalił zapałkę. Alice Adams, uleczona z raka na spotkaniu przebudzeniowym w Cleveland, weszła do sklepu spożywczego uzbrojona w AR-15 swojego chłopaka i dała ognia. Zabiła trzy przypadkowe osoby. Kiedy opróżniła magazynek, wyjęła z kieszeni trzydziestkęósemkę z krótką lufą i strzeliła sobie w podniebienie. Margaret Tremayne, jedna z osób uzdrowionych przez pastora Danny'ego w San Diego (z choroby Crohna), zrzuciła synka z balkonu swojego mieszkania na ósmym piętrze, po czym poszła w jego ślady. Świadkowie twierdzili, że spadając, nie wydała żadnego dźwięku.

No i był jeszcze Al Stamper. Pewnie słyszeliście, co się z nim stało; jakże moglibyście przeoczyć krzyczące nagłówki bulwarówek? Zaprosił obie byłe żony na kolację, ale jedna z nich – druga, zdaje się – szczęśliwie dla siebie utknęła w korku i się spóźniła. Kiedy weszła przez otwarte drzwi do domu Stampera w Westchester, zastała żonę numer jeden przywiązaną sznurem do krzesła przy stole jadalnym, z wgniecioną czaszką. Były wokalista The Vo-Lites wyłonił się z kuchni, uzbrojony w kij baseballowy oblepiony krwią i włosami. Żona numer dwa uciekła z krzykiem, a Stamper rzucił się za nią w pościg. W połowie długości osiedlowej ulicy powalił go atak serca. Żadna niespodzianka; facet swoje ważył.

Jestem pewien, że nie znalazłem wszystkich przypadków, bo po pierwsze, porozrzucane są po całym kraju, a po drugie, wiele z nich zaginęło wśród doniesień o wybuchach bezsensownej przemocy, które w Ameryce nieuchronnie stają się codziennością. Bree pewnie odszukałaby ich więcej, ale nie pomogłaby mi, nawet gdyby wciąż była singielką i mieszkała w Kolorado. Bree Donlin-Hughes ostatnimi czasy nie chce mieć ze mną nic wspólnego i w pełni ją rozumiem.

Krótko przed zeszłorocznym Bożym Narodzeniem Hugh zadzwonił do matki Bree i wezwał ją do swojego gabinetu. Powiedział, że ma dla niej niespodziankę, i nie kłamał. Udusił dawną kochankę kablem od lampy, zaniósł jej ciało do garażu i usadowił je w fotelu pasażera swojego klasycznego lincolna continental. Sam zasiadł za kierownicą, odpalił silnik, włączył rocka w radiu i zrobił sobie inhalację ze spalin.

Bree wie, że obiecałem trzymać się z dala od Jacobsa... i wie, że skłamałem.

– Przypuśćmy, że wszystko to prawda – powiedział Ed Braithwaite podczas jednej z naszych niedawnych sesji.

– Cóż za śmiała teza – stwierdziłem.

Uśmiechnął się, ale pozostał przy temacie.

– To i tak nie dowodziłoby, że obraz piekielnych zaświatów, który widziałeś, był prawdziwy. Wiem, że dręczy cię on do dziś, Jamie, ale weź pod uwagę wszystkich ludzi – nie wyłączając Jana z Patmos, autora Apokalipsy – którzy mieli wizje nieba i piekła. Starcy... stare

kobiety... nawet dzieci twierdzą, że widziały, co jest po drugiej stronie. „Niebo istnieje... naprawdę” to w gruncie rzeczy wizje życia po życiu przedstawione przez dziecko, które omal nie umarło w wieku czterech lat...

– Coltona Burpo – odpowiedziałem. – Czytałem to. Opowiada o koniku, którego dosiąść może tylko Jezus.

– Śmieję się z tego, ile chcesz. – Braithwaite wzruszył ramionami. – Bóg mi świadkiem, że łatwo tę relację wykipić... ale Burpo spotkał też poronioną siostrę, o której nic nie wiedział. To informacja potwierdzona. Jak te samobójstwa rozszerzone, o których opowiadasz.

– Wiele rozszerzonych samobójstw, a Colton spotkał tylko jedną siostrę – odparłem kpiąco. – To się nazywa różnica ilościowa. Nie chodziłem na zajęcia ze statystyki, ale tyle wiem.

– Chętnie przyjmę, że wizja tego dzieciaka była złudzeniem, bo to potwierdzałoby moją tezę, że złudzeniem była także twoja wizja... jałowe miasto, mrówkopodobne stwory, niebo jak czarny papier. Rozumiesz, do czego zmierzam, prawda?

– Tak. I chciałbym być w stanie to kupić.

Każdy by tego chciał na moim miejscu. Bo każdy z nas, mężczyzna i kobieta, winien jest naturze swoją śmierć, a perspektywa przenosin w miejsce, które widziałem, nie tylko rzucała cień na moje życie; sprawiała, że życie to wydawało się wątłe i nieistotne. Nie – nie tylko moje życie; wszelkie życie. Dlatego kurczowo trzymam się jednej myśli. To moja mantra, pierwsze słowa, które wypowiadam rano, i ostatnie, które mówię przed zaśnięciem.

Matka kłamała.

Matka kłamała.

Matka kłamała.

Czasem prawie w to wierzę... ale są powody, dla których nie mogę się na to w pełni zdobyć.

Są znaki.

Przed powrotem do Nederland – gdzie miałem odkryć, że Hugh zamordował matkę Bree i się zabił – pojechałem do mojego rodzinnego domu w Harlow. Były po temu dwa powody. Musiałem się zabezpieczyć, na wypadek gdyby po odnalezieniu ciała Jacobsa policjanci zaczęli mnie wypytywać, po co przyjechałem do Maine. To wydawało mi się istotne (choć koniec końców tego nie zrobili), ważniejsze jednak było co innego: potrzebowałem otuchy, jaką daje pobyt w znajomym miejscu, wśród ludzi, którzy mnie kochają.

Nie była mi jednak dana.

Pamiętacie Carę Lynne, prawda? Moją stryjeczną wnuczkę? Tę, którą nosiłem na rękach na imprezie trzydziestego pierwszego sierpnia 2013 roku, aż zasnęła mi na ramieniu? Tę, która wyciągała do mnie rączki, ilekroć się zbliżałem? Kiedy wszedłem do domu mojego dzieciństwa, Cara Lynne siedziała między mamą i tatą w starym wysokim krzeselku, w którym być może i mnie kiedyś sadzano. Na mój widok zaczęła krzyczeć i miotać się tak gwałtownie, że spadłaby na podłogę, gdyby tata jej w porę nie złapał. Wtuliła twarz w jego pierś, wciąż wrzeszcząc na całe gardło. Ucichła, dopiero gdy jej dziadek Terry wyprowadził mnie na ganek.

– Co ją, u licha, ugryzło? – spytał na poły żartobliwie. – Jak byłeś tu ostatnio, nie można jej było od ciebie oderwać.

– Nie wiem – powiedziałem, ale oczywiście wiedziałem doskonale. Miałem nadzieję zostać na noc, może dwie, i chłonąć normalność tak, jak wampir wysysa krew, ale nic z tego. Nie wiedziałem, co Cara Lynne we mnie wyczuła, nigdy więcej jednak nie chciałem widzieć jej przerażonej buzi.

Powiedziałem Terry'emu, że wpadłem tylko się przywitać i nie mogę nawet zostać na kolację, bo muszę złapać samolot do Portland. Byłem w Lewiston, wyjaśniłem, gdzie nagrywał zespół polecony przez Norma Irvinga. Według niego mieli potencjał, żeby zaistnieć na scenie krajowej.

– I miał rację? – spytał Terry.

– Gdzie tam. Amatorszczyzna. – Ostentacyjnie spojrzałem na zegarek.

– Nie przejmuj się samolotem – powiedział Terry. – Złapiesz inny. Wejź, zjedz kolację z rodziną, braciszku. Cara się uspokoi.

Nie wierzyłem w to.

Powiedziałem Terry'emu, że mam sesje nagraniowe w Wolfjaw, których absolutnie nie mogę opuścić. Powiedziałem, że może kiedy indziej. A gdy wyciągnął do mnie ramiona, uściskałem go mocno, świadom, że najprawdopodobniej więcej się nie zobaczymy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o tych wszystkich morderstwach i samobójstwach, ale zdawałem sobie sprawę, że noszę w sobie truciznę i pewnie nosić ją będę do końca życia. Ostatnie, czego chciałem, to zarazić nią ludzi, których kochałem.

Idąc do wynajętego samochodu, przystanąłem i spojrzałem na pas ziemi między trawnikiem a Methodist Road. Droga była utwardzona od lat, ale ten pas ziemi wyglądał identycznie jak wtedy, gdy bawiłem się na nim żołnierzami, które dostałem od siostry na szóste urodziny. Klęczałem tam i bawiłem się nimi pewnego dnia jesienią 1962 roku, kiedy padł na mnie cień.

Wciąż jestem w tym cieniu.

– A ty kogoś zabiłeś?

Ed Braithwaite zadał mi to pytanie przy kilku okazjach. To się chyba nazywa „powtórzenie wzmacniające”. Zawsze się uśmiecham i mówię, że nie. Fakt, wpakowałem cztery kule w nieszczęsną Mary Fay, ale już wtedy nie żyła, a Charles Jacobs umarł na ostatni, potężny wylew. Gdyby nie stało się to tego dnia, stałoby się kiedy indziej, pewnie jeszcze przed końcem roku.

– No i, jak widać, nie popełniłeś samobójstwa – ciągnie Ed, uśmiechając się w odpowiedzi na mój uśmiech. – Chyba że jesteś moim przywidzeniem.

– Nie jestem.

– Nie kusi cię, żeby to zrobić?

– Nie.

– Nie rozważasz takiej możliwości nawet teoretycznie? Na przykład w środku nocy, kiedy nie możesz zasnąć?

– Nie.

Moje życie ostatnimi czasy nie jest szczęśliwe, co to, to nie, ale środki przeciwdepresyjne dają mi grunt pod nogami. Samobójstwo w ogóle nie wchodzi w grę. A zważywszy na to, co może czekać po śmierci, chcę żyć jak najdłużej. Jest coś jeszcze. Czuję – słusznie czy nie – że za wiele rzeczy muszę odpokutować. Z tego powodu wciąż staram się być porządnikiem. Gotuję w jadłodajni dla ubogich Harbor House na Aupupu Street. Dwa razy w tygodniu pomagam w sklepie charytatywnym na Keolu Drive, obok cukierni Nene Goose. Człowiek martwy nie może za nic odpokutować.

– Powiedz mi, Jamie... dlaczego jesteś tym jednym wyjątkowym lemingiem, który nie czuje pragnienia, by rzucić się z urwiska? Dlaczego akurat ty jesteś na nie odporny?

Tylko wzruszam ramionami. Mógłbym mu odpowiedzieć na to pytanie, ale by nie

uwierzył. Mary Fay była drzwiami Matki do naszego świata, lecz ja byłem kluczem. Strzelając do trupa, nie zabija się nikogo – zresztą nieśmiertelnej istoty jak Matka w ogóle nie można zabić – ale kiedy wypaliłem z tego rewolweru, zamknąłem drzwi. Powiedziałem „nie” dosadniej niż tylko ustami. Gdybym wyjaśnił mojemu psychiatrze, że z powodu tej odmowy istota nie z tego świata, jedno z Wielkich Bóstw, zachowuje mnie sobie na jakiś ostateczny, apokaliptyczny akt zemsty, rzeczony psychiatra mógłby mnie skierować na przymusowe leczenie. Tego nie chcę, bo mam jeszcze jeden obowiązek, który uważam za ważniejszy niż gotowanie w Harbor House czy sortowanie ubrań w sklepie charytatywnym.

Na koniec każdej sesji z Edem płacę jego recepcjonistce czekiem. Stać mnie na to, bo wędrowny gitarzysta rockowy, który został inżynierem dźwięku, jest dziś zamożnym człowiekiem. To się nazywa ironia losu, co? Hugh Yates umarł bezpotomnie, pozostawiając sporą fortunę (schedę po ojcu, dziadku i pradziadku). W testamencie zapisał drobne sumy wielu osobom, w tym Malcolmowi McDonalldowi (czyli Mookiemu) i Hillary Katz (vel Pagan Starshine), ale gros jego majątku miało zostać podzielone między mnie a Georgię Donlin.

Zważywszy na to, że Georgia zginęła z ręki Hugh, adwokaci do spraw spadkowych mogli wgryzać się w ten zapis przez następne dwadzieścia lat – i przy okazji nieźle się nachapać – ale ponieważ nie było chętnych, żeby narobić rabanu (ja na pewno nie miałem takiego zamiaru), obyło się bez sporów. Prawnicy Hugh skontaktowali się z Bree i poinformowali ją, że jako córka zmarłej ma pełne prawo ubiegać się o przypadającą na jej matkę część łupu.

Bree nie chciała się o nic ubiegać. Od mojego adwokata wiem, że według niej pieniądze Hugh są „skalane”. Może i miała rację, ale ja przyjąłem je bez skrupułów. Po części dlatego, że nie miałem nic wspólnego z uzdrowieniem Hugh, głównie jednak przez to, że uważam samego siebie za człowieka skalanego i sądzę, że lepiej być skalanym w komfortowych warunkach niż w nędzy. Nie mam pojęcia, co się stało z kilkoma milionami zapisanymi Georgii, i nic a nic mnie to nie obchodzi. Niezdrowo jest wiedzieć za dużo.

Teraz jestem o tym przekonany.

Po każdej z dwóch w tygodniu sesji, kiedy już opłacę rachunek, wychodzę z recepcji gabinetu Eda Braithwaite’a. Za drzwiami jest szeroki, wyłożony dywanem korytarz, wzdłuż którego ciągną się inne gabinety. Gdybym skręcił w prawo, wróciłbym do holu głównego, a z holu głównego na Kuulei Road. Nie skręcam jednak w prawo. Skręcam w lewo. Widzicie, to, że znalazłem Eda, było tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności; za pierwszym razem przyszedłem do Ośrodka Zdrowia Psychicznego imienia Brandona L. Martina w innej sprawie.

Idę w głąb korytarza, po czym przemierzam wonny, pięknie utrzymany ogród, zielone serce tego wielkiego kompleksu. Tu pacjenci grzeją się w niezawodnym hawajskim słońcu. Wielu jest normalnie ubranych, niektórzy są w piżamach albo koszulach nocnych, kilku (nowo przybyli, jak sądzę) ma na sobie szpitalne koszule. Niektórzy prowadzą rozmowy albo z innymi pacjentami, albo z niewidocznymi towarzyszami. Inni tylko patrzą na drzewa i kwiaty pustym, mocno odurzonym wzrokiem. Dwóm czy trzem towarzyszą opiekunowie, żeby nie zrobili krzywdy sobie ani innym. Opiekunowie zwykle witają mnie, kiedy przechodzę obok. Dobrze już mnie znają.

Na drugim końcu tego dziedzińca pod gołym niebem jest Cosgrove Hall, jeden z trzech pawilonów mieszkalnych dla pacjentów. Pozostałe dwa są dla tych, którzy goszczą tu krótko, głównie z takimi czy innymi nałogami. W nich zwykle przebywa się dwadzieścia osiem dni.

Cosgrove jest dla ludzi, których wyleczyć trudniej. O ile w ogóle się da.

Jak korytarz w głównym budynku, ten w Cosgrove jest szeroki i wyłożony dywanem. Jak na korytarzu w głównym budynku, powietrze tu jest schłodzone do idealnej temperatury. Nie ma jednak obrazów na ścianach ani cichej muzyki z głośników, bo niektórzy pacjenci słyszą w niej obsceniczne szepty albo złowrogie polecenia. Na korytarzu w głównym budynku większość drzwi jest otwarta. Tu wszystkie są zamknięte. Mój brat Conrad przebywa w Cosgrove Hall od prawie dwóch lat. Dyrekcja i opiekujący się nim psychiatra chcą przenieść go gdzieś na stałe – wspominają o Aloha Village na Maui – na razie jednak się temu sprzeciwiam. Tu, w Kailua, mogę go odwiedzać po wizytach u Eda i dzięki hojności Hugh Yatesa stać mnie na to, żeby płacić za jego utrzymanie.

Choć muszę przyznać, że wędrówki korytarzem Cosgrove to ciężka próba.

Staram się dotrzeć do celu z oczami utkwionymi we własnych stopach. Daję radę, bo wiem, że wejście z dziedzińca dzielą od małego pokoju Cona dokładnie sto czterdzieści dwa kroki. Przeważnie mi się udaje, ale nie zawsze. Czasem słyszę głos szepczący moje imię.

Pamiętacie partnera Cona, prawda? Tego przystojniaka z Wydziału Botaniki Uniwersytetu Hawajów? Nie podałem wcześniej jego nazwiska i teraz też nie zamierzam, choć może zrobiłbym to, gdyby przynajmniej raz Conniego odwiedził. Nie zjawia się tu jednak. Gdybyście go spytali dlaczego, na pewno by powiedział: „Czemu, na litość boską, miałbym odwiedzać człowieka, który próbował mnie zabić?”.

Do głowy przychodzą mi dwa powody.

Po pierwsze, kiedy to się stało, Con nie był przy zdrowych zmysłach... więcej, w ogóle nie był przy zmysłach. Walnąwszy przystojniaka lampą w głowę, mój brat uciekł do łazienki, zamknął się w środku i łyknął garść tabletek valium... małą garść. Gdy Młody Botanik odzyskał przytomność (z raną głowy, która wymagała szycia, ale poza tym w całkiem dobrym stanie), zadzwonił na pogotowie. Przyjechała policja i wyważyła drzwi łazienki. Nieprzytomny Con chrapał w wannie. Ratownicy zbadali go i uznali, że nawet nie ma co płukać mu żołądka.

Con szczególnie się przyłożył do próby zabójstwa Młodego Botanika i siebie samego – to drugi powód. No ale, oczywiście, był jednym z pierwszych uzdrowionych przez Jacobsa. Pewnie pierwszym w ogóle. W dniu wyjazdu z Harlow Charlie powiedział mi, że Con prawdopodobnie wyzdrowiał sam z siebie; reszta to była sztuczka, zwyczajne mydlenie oczu. „To umiejętność, której uczą na teologii – powiedział. – Zawsze byłem w tym dobry”.

Tyle że skłamał. Uzdrowienie było tak rzeczywiste jak obecna półkatatonia Cona. Teraz to wiem. To mnie Charlie nabrał, nie jeden, lecz wiele razy. Mimo to... trzeba cieszyć się i z małych rzeczy, prawda? Zanim przebudziłem Matkę, Conrad Morton przeżył wiele szczęśliwych lat, obserwując gwiazdy. Jest dla niego nadzieja. Było nie było, gra w tenisa (choć w ogóle się nie odzywa), no i, jak wspomniałem, w siatkówce nie ma sobie równych. Wedle jego lekarza wykazuje coraz żywsze reakcje na bodźce zewnętrzne (cokolwiek to znaczy), a pielęgniarki i sanitariusze coraz rzadziej zastają go stojącego w kącie i delikatnie stukającego głową w ścianę. Ed Braithwaite uważa, że z czasem Conrad może w pełni do nas wrócić; że może się przebudzić. Postanowiłem w to wierzyć. Mówi się, że dopóki jest życie, jest nadzieja, i ani myślę się z tym spierać, ale sądzę, że prawdziwa też jest odwrotność tego powiedzenia.

Jest nadzieja, więc żyję.

Dwa razy w tygodniu, po konsultacjach z Edem, siadam w pokoju mojego brata i znów zaczynam mówić. Część moich opowieści jest prawdziwa – na przykład o awanturze w Harbor House zakończonej interwencją policji, o wyjątkowo dużej dostawie prawie nowych ubrań do sklepu charytatywnego czy o tym, że wreszcie zabrałem się do oglądania wszystkich pięciu sezonów *Prawa ulicy* – a część zmyślona, na przykład te o kobiecie, z którą się rzekomo

spotykam, kelnerce z Nene Goose, i o moich długich pogawędkach przez Skype'a z Terrym. Te spotkania z Conem to monologi, nie rozmowy, a jako takie wymagają fikcji. Moje prawdziwe życie nie wystarcza, bo ostatnimi czasy jest tak skąpo umeblowane jak tani pokój hotelowy.

Na koniec zawsze mu mówię, że jest za chudy, musi więcej jeść, i że go kocham.

– A ty mnie kochasz, Con? – pytam.

Jak dotąd nie odpowiedział, ale czasem się lekko uśmiecha. To jest pewnego rodzaju odpowiedź, zgodzicie się?

Kiedy przychodzi godzina czwarta i nasze spotkanie dobiega końca, robię w tył zwrot i wracam na dziedziniec, gdzie cienie – palm, awokado i wielkiego, powykręcanego banianu w centrum tego wszystkiego – zaczęły już się wydłużać.

Odliczam kroki i zerkam przelotnie na drzwi przede mną, poza tym jednak oczy mam utkwione w dywanie. Chyba że słyszę ten głos szepczący moje imię.

Czasem, kiedy tak się dzieje, jestem to w stanie zignorować.

Czasem nie.

Czasem wbrew sobie podnoszę wzrok i widzę, że szpitalna ściana, pomalowana na kojący, pastelowy odcień żółtego, zmieniła się w wielkie szare kamienie zespolone prastarą zaprawą i obrosnięte bluszczem. Bluszcz jest martwy, pędy wyglądają jak wyciągające się dłonie szkieletów. Małe drzwi w ścianie są ukryte, Astrid miała co do tego rację, ale istnieją. Zza nich dochodzi głos sączący się przez starą, zardzewiałą dziurkę od klucza.

Idę dalej zdecydowanym krokiem. Za tymi drzwiami czekają koszmary, których nie sposób objąć rozumem. Nie tylko kraina śmierci, ale kraina poza śmiercią, świat pełen obłądnych kolorów, szalonej geometrii i bezdennych otchłani, w których Wielkie Bóstwa wiodą swój niekończący się, obcy żywot, i snują swoje niekończące się, nikczemne myśli.

Za tymi drzwiami jest Nicość.

Idę dalej i myślę o dwuwierszu zawartym w ostatnim e-mailu od Bree: „Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami/ Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami”.

„Jamie – szepcze głos starej kobiety przez dziurkę od klucza w drzwiach, które tylko ja widzę. – Chodź. Przyjdź do mnie, a będziesz żył wiecznie”.

„Nie – mówię jej tak jak wtedy, w mojej wizji. – Nie”.

I... jak dotąd to wystarcza. W końcu jednak coś się stanie. Zawsze tak jest. A kiedy coś się stanie...

Przyjdę do Matki.

6 kwietnia 2013 – 27 grudnia 2013

OD AUTORA

CHUCK VERRILL to mój agent. Sprzedał tę książkę, służył mi pomocą i dodawał otuchy w trakcie jej powstawania.

NAN GRAHAM zredagowała ją z właściwą sobie przenikliwością i nieodłącznym ostrym niebieskim ołówkiem w ręku.

RUSS DORR, mój niestrudzony asystent, dostarczał mi informacje, gdy informacje były potrzebne. Mogłem coś popłatać, jeśli źle zrozumiałem taki czy inny szczegół. W takich przypadkach wińcie mnie, nie jego.

SUSAN MOLDOW odbierała wszystkie telefony ode mnie, nawet kiedy byłem upierdliwy, i zagrzewała mnie do dalszej pracy.

MARSHA DeFILIPPO i JULIE EUGLEY pilnują moich spraw ziemskich, abym mógł żyć w mojej wyobraźni.

TABITHA KING, moja żona i najlepszy krytyk, wskazała mi słabe punkty i nalegała, abym je poprawił. Co też uczyniłem na miarę moich możliwości. Kocham ją wielce.

Dziękuję Wam wszystkim, a szczególnie THE ROCK BOTTOM REMAINDERS, którzy nauczyli mnie, że człowiek nigdy nie jest za stary na rock and rolla, i dzięki którym wymachuję nogami w rytm *In the Midnight Hour* od 1992 roku. E-dur. E to podstawa.

Bangor, Maine

Grudzień 2013

Spis treści

I. Piąta osoba dramatu – Góra Czaszki – Jezioro Spokoju II. Trzy lata – Głos Conrada – Cud III. Wypadek – Opowieść mojej mamy – Straszne Kazanie – Pożegnanie IV. Dwie gitary – Chrome Roses – Piorun na Skytop V. Płynne przemijanie czasu – Portrety Błyskawicą – Moje kłopoty z narkotykami VI. Terapia elektryczna – Nocna przechadzka – Wkurzony chłop z Oklahomy – Bilet na Mountain Express VII. Powrót do domu – Ranczo Wolfjaw – Bóg uzdrawia jak błyskawica – Głuchy w Detroit – Pryzmatyki VIII. Spotkanie przebudzeniowe XIX. Lektura nekrologów w łóżku – Znowu Cathy Morse – The Latches X. Dzwony weselne – Jak ugotować żabę – Zjazd rodzinny – „Radzę, żebyś to przeczytał” XI. Kozia Góra – Ona czeka – Złe wieści z Missouri XII. Księgi Zakazane – Moje wakacje w Maine – Smutna historia Mary Fay – Nadejście burzy XIII. Przebudzenie Mary Fay XIV. Następstwa OD AUTORA